

Numer 1 na liście bestsellerów New York Timesa



JIM BUTCHER

AKTA DRESDENA

ZIMNE DNI

*Magia.
Potrafi zabić.*

**JIM
BUTCHER**
**AKTA DRESDENA
ZIMNE DNI**

PRZEŁOŻYŁA ANNA STUDNIAREK

**WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2020**

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty

Rozdział czterdziesty siódmy

Rozdział czterdziesty ósmy

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Rozdział pięćdziesiąty

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Tytuł oryginału:
The Dresden Files – Book Fourteen. Cold Days

Copyright © 2013 by Jim Butcher

Copyright for the Polish translation © 2020 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:
Chris McGarth

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66409-60-6

Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o. o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 733 50 10
www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Chrisowi Achterhofowi, autorowi „Greed”
(po przeczytaniu tej książki będzie wiedział dlaczego)
i wszystkim starym kumplom z International Fantasy Gaming Society.
Wszyscy jesteście zabawni i dzięki wam lata dziewięćdziesiąte stały się jaśniejsze.*

Rozdział pierwszy

Mab, Królowa Powietrza i Ciemności, władczyni Zimowego Dworu sidhe, ma niezwykle pomysły, jeśli chodzi o fizjoterapię.

Obudziłem się pośród miękkości.

Powinienem pewnie stwierdzić, że obudziłem się w miękkim łóżku. Ale... to po prostu nie wyraża, jak miękkie ono było. Kojarzycie te stare kreskówki, w których ludzie śpią na puchatych chmurkach? Ci goście obudziliby się, wrzeszcząc z bólu, gdyby dali się namówić na skorzystanie z chmury po wypróbowaniu łóżka Mab.

Ogień w mojej piersi w końcu zaczął przygasać. Gęsta wata wypełniająca myśli nieco się rozproszyła. Kiedy zamrugalem, miałem wrażenie, że moje powieki się lepia, ale udało mi się unieść rękę, powoli, i je przetrzeć. Zdarzało mi się biegać po plażach, na których było mniej piachu niż w moich oczach.

Rany. Bycie prawie martwym jest trudnym doświadczeniem.

Leżałem w łóżku.

Łożu wielkości mojego starego mieszkania.

Pościel była idealnie biała i gładka. Łoże otaczały zasłony, również śnieżnobiałe, falujące łagodnie w podmuchach chłodnego powietrza.

Temperatura była na tyle niska, że kiedy wypuściłem ustami powietrze, zobaczyłem chmurkę pary, ale kołdra sprawiała, że nie marzłem.

Draperie wokół łoża rozsunęły się i pojawiła się dziewczyna.

Wyglądała na zbyt młodą, by legalnie kupować alkohol, a jednocześnie była jedną z najśliczniejszych kobiet, jakie widziałem w życiu. Wysokie kości policzkowe, egzotyczne oczy w kształcie migdałów. Oliwkowa karnacja i tęczęwki w niesamowitym zielono-złocistym odcieniu. Do tego włosy ściągnięte w prosty kucyk, niebieski szpitalny fartuch i zero makijażu.

A niech mnie. Każda kobieta, która w takim stroju nadal wyglądała tak dobrze, była cholerną boginią.

– Witaj – powiedziała i uśmiechnęła się do mnie.

Może to wszystko było jedynie zasługą łoża, ale uśmiech i głos były jeszcze lepsze niż cała reszta jej osoby.

– Cześć – wychrypiałem głosem, który właściwie nie brzmiał ludzko. Zacząłem kaszleć.

Postawiła przykrytą tacę na niedużym stoliku obok łóżka, a sama usiadła na skraju. Zdjęła pokrywę i sięgnęła po białą porcelanową filiżankę. Podała mi ją – jak się okazało, w środku znajdował się gorący rosół z kluskami.

– Codziennie to robisz. Zaczynasz mówić, zanim coś przełkniesz. Pij.

Zrobiłem to. Zupa Campbella. Była cudowna. Nagle przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie chorowałem. Nie pamiętałem, gdzie wtedy byliśmy, ale tato zrobił mi rosół z kluskami. Smakował dokładnie tak samo.

– Myślę... że coś sobie przypominam – powiedziałem po kilku łykach. – Nazywasz się... Sarah? – Zmarszczyła czoło, ale potrząsnąłem głową, nim zdążyła się odezwać. – Nie, zaczekaj. Sarissa. Masz na imię Sarissa.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się.

– Pierwszy raz. Wygląda na to, że w końcu odzyskujesz koncentrację.

Zaburczało mi w brzuchu i w tej samej chwili przepełnił mnie ogromny głód. W reakcji na to uczucie zamrugalem i zacząłem pośpiesznie przełykać zupę.

Sarissa roześmiała się, co sprawiło, że w pokoju zrobiło się jaśniej.

– Nie utop się. Nie ma pośpiechu.

Wypiłem całość, jedynie odrobinę wylewając na brodę, i mruknąłem:

– Jak nie ma, skoro jest. Umieram z głodu. Co jeszcze masz?

– Wiesz co? Zanim to zrobimy, spróbujemy z kolejnym pierwszym razem.

– Że co?

– Powiesz mi, jak się nazywasz?

– A co, nie wiesz?

Sarissa się uśmiechnęła.

– A ty wiesz?

– Harry Dresden.

Jej oczy zamigotały, a mnie zrobiło się dobrze aż po czubki palców u stóp. A jeszcze lepiej, kiedy wyjęła talerz wypełniony kurczakiem, tłuczonymi ziemniakami i innymi warzywami, na które nie miałem zbytnej chęci, ale pewnie były zdrowe. Jedzenie wyglądało dobrze i pomyślałem, że za chwilę zaślinię podłogę.

– Czym się zajmujesz, Harry?

– Jestem magiem. I prywatnym detektywem w Chicago. – Zmarszczyłem czoło, bo nagle przypomniałem sobie coś jeszcze. – Och. I pewnie jestem Rycerzem Zimy.

Przez kilka sekund gapiała się na mnie nieruchoma jak rzeźba, a jej twarz była

absolutnie bez wyrazu.

– Yyy... – powiedziałem. – Jedzenie?

Zadrżała i odwróciła wzrok. Później odetchnęła i podniosła dziwny widelczyk, podobny do tych, które dają dzieciom z problemami z koordynacją ruchową – miał mnóstwo zaokrąglonych krawędzi – i wcisnęła go w moją dłoń.

– Jeśli uda ci się osiągnąć trzeci, to będzie naprawdę dobry dzień.

Widelec robił wrażenie dziwnego i ciężkiego. Pamiętałem, jak używałem widelców, ich niewielką wagę i precyzję, z jaką mogłem przenieść jedzenie z talerza do ust. Ten widelec wydawał się ciężki i niezgrabny. Męczyłem się z nim przez kilka sekund, a później, już przy drugiej próbie, udało mi się wbić go w tłuczone ziemniaki. Kolejnym trudnym zadaniem było uniesienie tego cholerstwa do ust.

Ziemniaki były idealne. Odpowiednio ciepłe, lekko posolone, z delikatną nutką masła.

– Omójbosz – wymamrotałem z pełnymi ustami. I sięgnąłem po więcej.

Drugi kęs był prostszy, trzeci jeszcze łatwiejszy i zanim się zorientowałem, talerz był pusty, a ja zbierałem ostatnie resztki. Czuję się wyczerpany i napchany, choć jedzenia nie było wcale aż tak dużo. Sarissa patrzyła na mnie z zadowolonym uśmiechem.

– Pewnie umazałem sobie całą twarz, co?

– To znaczy, że ci smakowało. – Wzięła serwetkę i wytarła mi okolice ust. – Miło było w końcu poznać twoje imię, Harry.

Rozległ się odgłos zbliżających się, lekkich kroków.

Sarissa natychmiast wstała, odwróciła się i z wdziękiem uklękła na podłodze z opuszczoną głową.

– I jak? – usłyszałem aksamitny kobiecy głos.

Całe moje ciało zadrżało w odpowiedzi na ten dźwięk, jak struna gitary, kiedy w pobliżu ktoś zagra właściwą nutę.

– Jest świadomy, Wasza Wysokość, pamiętał moje imię i swoje. Sam zjadł.

– Doskonale. Dziś jesteś już wolna.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. – Sarissa wstała i spojrzała na mnie. – Cieszę się, że czujesz się lepiej, panie Rycerzu.

Spróbowałem wymyślić coś uroczego i dowcipnego.

– Zadzwoń do mnie.

Wydała z siebie zaskoczone sapnięcie, które mogło być początkiem śmiechu, po czym zerknęła przestraszona w drugą stronę i odeszła. Szuranie jej tenisówek na

twardej podłodze wkrótce ucichło.

Na tle zasłon na drugim końcu łóżka pojawił się cień. Wiedziałem, do kogo należał.

– Minąłeś swój nadir – powiedziała zdecydowanie zadowolonym tonem. – Raczej wzrastasz niż się kurczysz, mój Rycerzu.

Nagle zacząłem mieć problemy z zebraniem myśli na tyle, by się odezwać, ale w końcu mi się udało.

– Wiesz, jak to jest. Kurczę blade.

Nie tyle rozsunęła zasłonę, ile wpłynęła do środka, pozwalając, by delikatna tkanina ją otoczyła i podkreśliła jej sylwetkę. Kiedy do mnie dotarła, powoli wypuściła powietrze i spojrzała na mnie z góry, a jej oczy zmieniały odcienie zieleni z wywołującą zawrót głowy szybkością.

Mab, Królowa Powietrza i Ciemności, za bardzo przerażała, by być piękną. Choć każdą komórkę mojego ciała wypełniło nagle bezmyślne pożądanie, a w oczach pojawiły mi się łzy na widok jej urody, nie chciałem się zbliżyć nawet na cal. Była wysoką kobietą, miała dobrze ponad sześć stóp wzrostu, a każdy jej cal promieniał. Błada skóra, miękkie usta o barwie zamarzniętych malin, długie srebrno-białe włosy z emanującymi blaskiem opalizującymi pasmami. Miała na sobie jedwabną suknię w odcieniu głębokiej lodowatej zieleni, która odsłaniała silne białe ramiona.

I znajdowała się jakieś sześć cali od mojego łóżka.

– Wyglądasz wspaniale – wychrypiałem.

Coś zapłonęło w tych migdałowych oczach.

– Jestem wspaniała, mój Rycerzu.

Wyciągnęła rękę, a jej paznokcie były ciemnoniebieskie i zielone, kolory migotały i zmieniały się jak opale. Dotknęła tymi paznokciami mojego nagiego ramienia.

A ja nagle poczułem się jak piętnastolatek, który ma po raz pierwszy pocałować dziewczynę – podniecenie, szalone fantazje i nerwowa niepewność.

Jej paznokcie, nawet same czubki, były zimne jak lód. Przeciągnęła nimi po mojej piersi i oparła je na sercu.

– Hmm... – powiedziałem w ciszy, która moim zdaniem była bardzo niezręczna. – Jak się miewasz?

Przechyliła głowę i wpatrzyła się we mnie.

– Sarissa wydaje się miła – odważyłem się powiedzieć.

– Odmieniec. Kiedyś poprosiła mnie o przysługę. Pamięta czas, gdy moim Rycerzem był Lloyd Slate.

Oblizałem wargi.

– Gdzie jesteśmy?

– Arctis Tor. Moja twierdza. Apartament Rycerza. Znajdują się tu wszelkie śmiertelne udogodnienia.

– To miłe. W końcu moje mieszkanie się spaliło i tak dalej. Czy mam zapłacić kaucję?

Na wargi Mab powoli wypełzł uśmiech. Nachyliła się jeszcze bardziej w moją stronę.

– Dobrze, że zdrowiejesz – szepnęła. – Twój duch oddalił się bardzo od ciała, kiedy spałeś.

– Wolny duch. Cały ja.

– Już nie. – Mab pochyliła się nade mną. – Drżysz.

– Aha.

Moje pole widzenia wypełniły jej oczy.

– Boisz się mnie, Harry?

– Jestem zdrow na umyśle.

– Myślisz, że zrobię ci krzywdę? – wyszeptwała. Jej usta znajdowały się ułamek cala od moich.

Serce biło mi w piersi tak mocno, że aż bolało.

– Myślę... że jesteś, kim jesteś.

– Z pewnością nie masz powodów do strachu. – Jej oddech łaskotał moje wargi. – Należysz teraz do mnie. Jeśli nie będziesz czuł się dobrze, nie wykorzystam cię do wypełniania mojej woli.

Próbowałem zmusić się do rozluźnienia.

– To... to prawda.

Skupiałem na niej wzrok i nie zauważyłem, jak podnosi z łóżka grubą, puchatą poduszkę. Byłem więc całkowicie zaskoczony, kiedy uderzyła, szybko jak wąż, i przycisnęła mi poduszkę do twarzy.

Zamarłem na pół sekundy, a poduszka nacisnęła mocniej, odcinając mi dopływ powietrza, zatykając nos i usta. Wtedy kontrolę przejął strach. Szarpałem się, lecz miałem wrażenie, że moje ręce i nogi pokrywa kilka cali ołowiu. Próbowałem odepchnąć Mab, ale ona była po prostu zbyt ciężka, a moje ramiona były zbyt słabe. Za to jej dłonie i ramiona były jak zamrożona stal, szczupłe i nieruchome.

Zrobiło mi się czerwono przed oczami, a później czarno. Zaczynałem tracić czucie.

Mab była spokojna. Nieubłagana. Bezlitosna.

Była Mab.

Gdybym jej nie powstrzymał, zabiłaby mnie. Mab nie mogła zabić śmiertelnika, ale dla niej nie byłem już jednym z nich. Byłem jej wasalem, członkiem jej dworu i uważała, że ma wszelkie prawo odebrać mi życie, jeśli uzna to za stosowne.

Ta lodowata świadomość dodała mi sił. Zacisnąłem ręce wokół jednego z jej ramion i przekręciłem, naprężając całe ciało. Wysilek sprawił, że moje biodra uniosły się nad posłanie, a nawet nie próbowałem jej odepchnąć. Jej absolutnej sile nie dało się przeciwstawić. Ale udało mi się odrobinę przesunąć nacisk tej siły i w ten sposób zsunąć jej ręce i poduszkę nieco w bok, dzięki czemu mogłem zaczerpnąć trochę słodkiego, chłodnego powietrza.

Mab leżała na mnie górną połową ciała i nie próbowała się poruszyć. Czułem na sobie jej spojrzenie, pustą intensywność wzroku, gdy dyszałem i kręciło mi się w głowie od nagłego przyływu błogosławionego tlenu.

Poruszyła się bardzo powoli, z ogromnym wdziękiem. W sposobie, w jaki przesunęła się w górę mojego ciała i spoczęła piersią na moim torsie, było coś wężowego. Była zimnym, efemerycznym ciężarem, niewiarygodnie kobiecą miękkością, a jej jedwabiste włosy przesuwwały się po moich policzkach, wargach i szyi.

Z gardła Mab wydobył się niski, głodny odgłos, gdy się pochyliła, a jej wargi niemal dotknęły mojego ucha.

– Słabość na nic mi się nie przyda, magu. – Zadrżała w swego rodzaju powolnej, obcej ekstazie. – Odpocznij. Zdrowiej. Śpij. Najprawdopodobniej zabiję cię jutro.

– Ty? Cytat z *Narzeczonej Księżniczki*?

– A co to? – spytała.

I zniknęła. Po prostu zniknęła.

Tak wyglądał pierwszy dzień mojej fizjoterapii.

* * *

Mógłbym ze szczegółami opisać następne kilka tygodni, ale choć były ciężkie, miały też w sobie pewną rutynę. Poza tym w mojej głowie przypominają teledysk do *Walk Foo Fighters*.

Kiedy budziłem się rankiem, czekała już na mnie Sarissa, zachowująca uprzejmy i profesjonalny dystans. Pomagała mi się zatroszczyć o potrzeby osłabionego ciała, co rzadko pozwalało zachować godność, ale ona nigdy o tym nie wspominała. Jakiś czas później Mab próbowała mnie zabić, na coraz bardziej pomysłowe i niespodziewane

sposoby.

W teledysku w mojej głowie widzę ujęcie, jak znów sam zjadam posiłek – a chwilę później wielkie łoże staje w płomieniach. Spadam z niego niezgrabnie i odczołguję się, by nie zostać pieczenią. Później, najwyraźniej następnego dnia, Sarissa pomaga mi dojść do łazienki i wrócić. Kiedy zaczynam rozluźniać się na łóżku, z baldachimu wprost na moje ramiona spada jadowity wąż, pieprzona indyjska kobra. Wrzeszczę jak mała dziewczynka i zrzucam ją na podłogę. Następnego dnia z pomocą Sarissy próbuję włożyć świeże ubranie – a wtedy nagle wypada z nich cała chmara gryzących mrówek i muszę dosłownie zerwać z siebie rzeczy.

I tak to idzie. Sarissa i ja przy sięgających do pasa poręczach gimnastycznych. Kiedy ja próbuję przypomnieć sobie, jak zachować równowagę, przeszkadza nam fala czerwonoookich szczurów. Zwierzaki zmuszają nas do wskoczenia na poręcz, zanim odgryzą nam stopy. Sarissa obserwująca mnie podczas wyciskania sztangi na ławce poziomej i Mab opuszczająca wielki stary toporek strażacki na moją głowę w czasie trzeciej serii, zmuszająca mnie do zablokowania go przeklętym gryfem. Ja sam wlokący się pod prysznic, kiedy nagle zatraskują się drzwi i całość zaczyna wypełniać woda. W której pluskają się cholerne piranie.

I tak dalej, i tak dalej. Siedemdziesiąt siedem dni. Siedemdziesiąt siedem zamachów na moje życie. Użyjcie wyobraźni. Mab z całą pewnością to zrobiła. Był nawet tykający krokodyl.

* * *

Właśnie wróciłem z niedużej siłowni, w której przeszedłem jakieś cztery mile w górę i sam nie wiem ile do przodu na orbitreku. Byłem spocony i wyczerpany, marzyłem jedynie o prysznicu i znów łóżku. Otworzyłem drzwi i wtedy Mab otworzyła ogień z cholernej śrutówki.

Nie miałem czasu na myślenie ani obliczenia, kiedy pociągnęła za spust. Mogłem jedynie reagować. Rzuciłem się do tyłu i wyrzuciłem swoją wolę w powietrze przed siebie, tworząc z niej barierę czystej energii. Śrutówka dudniła, w zamkniętej przestrzeni odgłos był ogłuszający. Śruciny uderzały w barierę i rykoszetowały, leciały wszędzie dookoła i lądowały na ziemi ze stukotem i grzechotem. Uderzyłem o ziemię, wciąż podtrzymując barierę, a Mab nacierała, jej oczy błyszczały wszystkimi odcieniami opali, szalone, ekstatyczne i całkowicie niespójne z jej poza tym spokojną twarzą.

Była to jedna z tych rosyjskich śrutówek z dużym magazynkiem bębnowym, a ona opróżniła cały, strzelając we mnie, celując mi w twarz.

W chwili gdy rozległ się trzask zamiast dudnienia, rzuciłem się w bok i szybko przetoczyłem, unikając ataku srebrnoszarego malka – kotowatej istoty wielkości rysia, obdarzonej paskudnymi szponami i siłą małego niedźwiedzia. Wylądował w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się moja głowa, a jego pazury wyrwały odłamki z kamiennej posadzki.

Kopnąłem malka piętą i rzuciłem nim przez korytarz, w stronę kamiennej ściany. Uderzył w nią z miaukiem sprzeciwu. Znów skupiłem się na Mab, która upuściła jeden magazynek na ziemię i wyjęła kolejny.

Zanim zdążyła go zamocować, przeciąłem dłonią powietrze i krzyknąłem:

– *Forzare!*

Niewidzialna moc wystrzeliła na zewnątrz i wyrwała broń i magazynek z rąk Mab. Szarpnąłem, a wtedy koziolkująca śrutówka błyskawicznie przebyła dzielącą nas pustą przestrzeń. W chwili gdy malk odzyskał siły i znów na mnie skoczył, złapałem ją za lufę (była piekielnie gorąca). Chwyciłem śrutówkę obiema rękami i uderzyłem nią malka w łeb, na tyle mocno, że w połowie skoku upadł na ziemię i pozostał tam nieprzytomny.

Mab zaśmiała się srebrzyście i klasnęła w dłonie jak mała dziewczynka, która właśnie się dowiedziała, że dostanie kucyka.

– Tak! – powiedziała. – Ślicznie. Brutalnie, bezwzględnie i ślicznie.

Ścisnąłem śrutówkę do chwili, gdy oszołomiony malk wrócił do siebie i zaczął się niechętnie wycofywać. Dopiero kiedy zniknął za rogiem, znów odwróciłem się do Mab.

– To się robi nudne. Nie masz czegoś ciekawszego do roboty, zamiast bawić się ze mną w gierki prosto z Grimtootha?

– W rzeczy samej. Ale po cóż grać w gierki, jeśli nie po to, by przygotować cię na wyzwania, które cię czekają?

Przewróciłem oczami.

– Zabawę? – zasugerowałem.

Zadowolenie zniknęło z jej twarzy zastąpione zwyczajowym lodowatym chłodem. Była to przerażająca przemiana i uświadomiłem sobie, że mam nadzieję, że nie sprowokowałem jej swoimi żarcikami.

– Zabawa zaczyna się, kiedy kończą się gierki, mój Rycerzu.

Zmarszczyłem czoło.

– Cóż to miało znaczyć?

– Że w twoim apartamencie czeka na ciebie stosowny strój i że masz się przebrać na wieczór. – Odwróciła się, by ruszyć za malkiem, jej suknia szeleściła na kamiennej posadzce. – Dzisiejsza noc, mój magu, będzie... zabawą.

Rozdział drugi

W pokoju czekało na mnie ubranie – smoking w odcieniu ciemnego srebra i pereł. W jednej z dwóch małych papierowych kopert znalazłem parę zdobionych klejnotami spinek do mankietów, kamienie były bardziej niebieskie i błyszczące niż szafiry.

W drugiej znajdował się amulet mojej matki.

Był to zwyczajny srebrny pentagram, podniszczona pięcioramienna gwiazda w okręgu na prostym srebrnym łańcuszku. Środek pentagramu wypełniał nieduży czerwony kamień przycięty na wymiar. Kiedyś zamocowałem go klejem na gorąco. Mab najwyraźniej wysłała amulet do prawdziwego jubilera, by zrobił to solidniej. Ostrożnie dotknąłem kamienia i natychmiast wyczułem ukrytą wewnątrz energię, dziennik podróży mojej nieżyjącej matki.

Założyłem amulet na szyję i poczułem nagłą, ogromną ulgę. Myślałem, że go zgubiłem, kiedy moje przebite kulą ciało wpadło do jeziora Michigan. Przez chwilę stałem, trzymając na nim rękę i ciesząc się dotykiem chłodnego metalu na wewnętrznej stronie dłoni.

Później włożyłem smoking i przejrzałem się w lustrze wielkości stołu bilardowego.

– *Just a gigolo* – zanuciłem fałszywie, próbując dobrze się bawić. – *Everywhere I go, people know the part I'm playing*^[1].

Facet patrzący na mnie z lustra wyglądał na surowego i twardego. Miałem wystające kości policzkowe. W czasie tego, co było właściwie śpiączką, dużo schudłem, a w czasie rehabilitacji odzyskałem jedynie mięśnie. Pod skórą wyraźnie rysowały się żyły. Brązowe włosy sięgały mi poniżej brody, czyste, ale rozczochrane. Nie obciąłem ich ani nie poprosiłem o przyprowadzenie fryzjera. Istoty, które znają się na magii, mogą zrobić innym koszarne rzeczy, jeśli tylko dorwą kosmyk włosów wybranej osoby, więc postanowiłem nie rozstawać się ze swoimi. Ale pozbyłem się brody. Broda rośnie tak szybko, że jeśli ktoś goli się codziennie, pozostaje bardzo mało czasu, by ją wykorzystał przeciwko niemu – a poza tym ogolony zarost jest zbyt rozproszony i niezbyt się nadaje do tego celu.

Z dłuższymi włosami bardziej przypominałem brata. Kto by pomyślał. Długa, pociągła twarz, ciemne oczy, pod lewym pozioma blizna. Skórę miałem ziemistą. Od

miesiący nie widziałem słońca. Bardzo wielu miesięcy.

Kiedy tak patrzyłem, piosenka ucichła. Nie miałem do niej serca. Zamknąłem oczy.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz, Dresdenie? – szepnąłem. – Jesteś trzymany w zamknięciu jak przeklęte zwierzątko domowe. Jakby była twoją właścicielką.

– A nie jest? – rozległ się warczący głos malka.

Nie wspominałem o tym? Te stwory umieją mówić. Niezbyt dobrze wypowiadają słowa, a nieludzkie brzmienie ich głosów sprawia, że dostaję gęziej skórki, ale mówią.

Obróciłem się i uniosłem znów dłoń w obronnym geście, ale nie musiałem. Malk, którego chyba nie widziałem wcześniej, siedział na podłodze mojego apartamentu, tuż za drzwiami. Zbyt długi ogon owijał się wokół jego przednich łap i sięgał aż za plecy. Był to wielki okaz tego gatunku – jakieś osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu funtów żywej wagi i rozmiary młodej pumy. Futro miał czarne jak smoła, pomijając białą plamkę na piersi.

Na temat malków wiedziałem z całą pewnością, że nie należy okazywać im słabości. Nigdy.

– To mój apartament – powiedziałem. – Wynoś się.

Malk pochylił głowę.

– Nie mogę, panie Rycerzu. Mam rozkazy od samej królowej.

– Wynoś się, zanim sam cię wyniosę.

Wielki malk poruszył jedynie czubkiem ogona.

– Gdybyś nie był zaprzysiężonym sługą mojej królowej i gdybym nie miał obowiązku okazywać ci uprzejmości, chciałbym, żebyś spróbował, śmiertelniku.

Spojrzałem na niego, mrużąc oczy.

Takie zachowanie nie pasowało do malka. Poza jednym osobnikiem wszystkie znane mi malki były krwiożerczymi maszynkami do zabijania, zainteresowanymi jedynie tym, co mogłyby rozszarpać i zjeść. Nie prowadziły uprzejmych rozmów. Nie były też szczególnie odważne, zwłaszcza w pojedynkę. Malk mógł napaść na człowieka w ciemnej uliczce, ale wtedy zaatakowany nie miał szansy zobaczyć go wcześniej.

Ten... wyglądał, jakby miał ochotę zobaczyć, jak robię z siebie idiotę.

Ostrożnie sięgnąłem zmysłami i nagle poczułem niemal bezgłośnie pulsowanie aury malka. A niech to. Ten stwór miał moc. To znaczy mnóstwo mocy. Aury maga zwykle nie dawało się wyczuć, o ile ktoś nie znajdował się na wyciągnięcie ręki od niego, ale ja czułem go z drugiego końca pomieszczenia. Czymkolwiek była ta istota, jedynie wyglądała jak jeden z porośniętych futrem, zabójczo nadpobudliwych

śmiertelnie niebezpiecznych maniaków. Zapanowałem nad swoimi odruchami.

– Kim jesteś?

Malk skinął mi głową.

– Wiernym sługą Królowej Powietrza i Ciemności. Najczęściej zwań mnie Sith.

– Ha. Gdzie twój czerwony miecz świetlny?

Sith zmrużył złociste oczy.

– Kiedy pierwszy z twojego rodzaju zaczynał gryzmolić wiedzę na kamieniu i w glinie, moje imię było starożytne. Stąpaj ostrożnie wokół niego.

– Chciałem jedynie zmienić ton rozmowy odrobiną humoru, Sithy. Rozchmurz się.

Sith znów poruszył końcem ogona.

– Pocięcie twojego kręgosłupa na podstawki do piwa by mnie rozchmurzyło.

Mogę?

– Obawiam się, że odpowiedź brzmi „nie”. – Zamrugalem. – Zaczekaj. Jesteś... Kot Sith. Ten Kot Sith?

Malk znów pochylił głowę.

– Jam jest.

Na wszystkie dzwony piekieł. Kot Sith był ważną postacią w folklorze elfów. Ta istota nie była po prostu malkiem, lecz przeklętym władcą malków, ich praprzodkiem, Optimusem Prime. Przed kilku laty zaatakowałem podobną starożytną elfią istotę. Nie wyglądało to ładnie.

Kiedy Kot Sith zaproponował, że potnie mój kręgosłup na podstawki do piwa, nie żartował. Jeśli choć trochę przypominał starożytnego fobofaga, mógł to zrobić.

– Rozumiem. Yyy. Co tu robisz?

– Jestem twoim ordynansem...

– Moim...

– Ordynansem. Adiutantem. – W jego głosie brzmiało lekkie warczenie.

– Ordynansem... – Zmarszczyłem czoło. – Chwileczkę. Pracujesz dla mnie?

– Wolę myśleć, że jest to kierowanie twoją niekompetencją. Będę odpowiadał na twoje pytania. W czasie twojego pobytu w tym miejscu będę twoim przewodnikiem. Dopilnuję, by twoje potrzeby zostały zaspokojone.

Założyłem ręce na piersi.

– I pracujesz dla mnie?

Ogon Sitha znów drgnął.

– Służę swojej królowej.

Aha. Wymijająca odpowiedź. Czegoś unikał.

– Masz odpowiadać na moje pytania, prawda?

– Tak.

– Czy Mab rozkazała, żebyś wypełniał moje polecenia?

Ogon zadrgał kilka razy. Sith patrzył na mnie i nic nie mówił.

Milczenie zwykle można uznać za potwierdzenie, ale ja nie mogłem się powstrzymać.

– Przynieś mi colę.

Sith popatrzył na mnie. I zniknął.

Zamrugalem i rozejrzałem się dookoła, ale nigdzie go nie było. Po upływie może półtorej sekundy usłyszałem trzask i syk otwieranej puszkę. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Kot Sith siedzi na jednej z toaletek. Obok niego stała otwarta puszka coli.

– A niech mnie. Jak ty...? Przecież nawet nie masz kciuków.

Sith patrzył na mnie.

Podszedłem do toaletki i podniosłem puszkę. Sith przez cały czas śledził mnie wzrokiem, jego mina była tajemnicza i z całą pewnością mało przyjazna. Pociągnąłem łyk i skrzywiłem się.

– Ciepła?

– Nie powiedziałaś mi, że ma być zimna. Z radością wypełnię każde inne twoje polecenie, panie Rycerzu, o ile nie będzie sprzeczne z rozkazami mojej królowej.

Tłumaczenie: „Nie chcę tu być. Nie lubię cię. Wydawaj mi polecenia, a zamienię twoje życie w piekło”. Skinąłem malkowi głową.

– Przyjąłem do wiadomości. – Pociągnąłem łyk coli. Ciepła czy nie, wciąż była colą.

– Dlaczego smoking? Co to za okazja?

– Dziś wieczorem świętujemy narodziny.

– Przyjęcie urodzinowe, tak? Czyje?

Sith nic nie mówił przez kolejne kilkanaście sekund. Później podniósł się i zeskoczył na podłogę, wylądował absolutnie bezgłośnie. Przepłynął obok mnie w stronę drzwi.

– Nie możesz być przecież aż tak głupi. Chodź za mną.

Fryzurę wciąż miałem dość nieporządną. Zmoczyłem trochę włosy i zaczesalem je do tyłu – na nic lepszego nie mogłem liczyć. Później ruszyłem za Sithem, moje eleganckie skórzane półbuty błyszczaly, a ich podeszwy stukały o kamienną posadzkę.

– Kto będzie na tym przyjęciu? – spytałem Sitha, kiedy go dogoniłem.

Od dawna nie opuszczałem swojego apartamentu. Na moje życie składało się jedzenie, spanie i zbieranie do kupy. Poza tym nie miałem ochoty wybrać się na zwiedzanie Arctis Tor. Kiedy odwiedziłem je poprzednio, wkurzyłem elfy. To znaczy wszystkie. Nie cieszyła mnie perspektywa, że wpadnę na jakiegoś wroga nastawionego stracha, szukającego rewanżu w ciemnym korytarzu. Drzwi apartamentu otworzyły się same z siebie, Sith przeszedł przez nie, a ja za nim.

– Najważniejsi i najpotężniejsi pośród sidhe Zimy – wyjaśnił Sith. – Ważne osoby z Dzicy. Może nawet delegacja Lata.

Kiedy wkroczyliśmy do stolicy Zimy, ściany zmieniły się z czegoś przypominającego wyglądem gładki lany beton w krystaliczny lód we wszelkich odcieniach lodowatego niebieskiego i zieleni. Pasma barw przeplatały się i łączyły, a w głębi lodu tańczyły błyski światła, jak leniwe świetliki w odcieniach fioleto, szkarłatu i zimnego błękitu. Moje oczy chciały śledzić światełka, ale nie pozwoliłem im. Nie umiem wam powiedzieć, dlaczego, ale instynkt podpowiadał mi, że to byłoby niebezpieczne, a ja go słuchałem.

– Wielka impreza, czyż nie? – odezwałem się. – Myślisz, że będzie problem z paparazzi?

– Mam taką nadzieję. Pozbycie się winnych tego rodzaju wtargnięcia byłoby satysfakcjonujące.

Powietrze było lodowate. Czuję przenikliwy chłód, ale jego kły nie przebijały mojej skóry. Nie mógłbym powiedzieć, że było mi przyjemnie, ale nie zwracałem większej uwagi na temperaturę. Nie drżałem. Nie trząsałem się. Uznałem, że to zasługa mocy, którą obdarzyła mnie Mab.

Sith prowadził mnie znacznie ciemniejszym korytarzem, przechodziliśmy na przemian przez plamy głębokiej ciemności i zimnego, ponurego blasku. Kiedy to robiliśmy, nasze cienie tańczyły i się rozciągały. Po kilku sekundach zauważyłem, że cień Kota Sitha był większy od mojego. Tak z siedem czy osiem razy większy. Przełknąłem ślinę.

– Kiedy ostatnio uczestniczyłem w wielkiej nadnaturalnej imprezie, zostałem otruty, a później wszyscy obecni usiłowali mnie zabić. Dlatego spaliłem lokal do gołej ziemi.

– Właściwy sposób postępowania z wrogami. Choć pewnie odkryjesz, że Arctis Tor jest mniej palne.

– Jeszcze nigdy nie natrafiłem na miejsce, którego nie mógłbym wysadzić, spalić albo rozwalić, jeśli miałem odpowiednią motywację. Myślisz, że ktoś na przyjęciu

chce mnie zabić?

– Tak. Ja chcę cię zabić.

– Bo cię irytuję?

– Bo sprawia mi to przyjemność. – Sith spojrział na mnie. Jego wielki jak billboard cień na ścianie powtórzył ten ruch. – Oraz mnie irytujesz.

– To jeden z moich darów. Kolejnym jest zadawanie irytujących pytań. Pomijając ciebie, czy na przyjęciu będzie jeszcze ktoś, do kogo nie powinienem odwracać się plecami?

– Jesteś teraz jednym z Zimy, magu. – Znow odwrócił ode mnie spojrzenie swoich złotych oczu. – Nie odwracaj się plecami do nikogo.

¹ *Jestem żigolo i dokądkolwiek się udam, ludzie wiedzą, jaką gram rolę* (przyp. tłum).

Rozdział trzeci

Kot Sith prowadził mnie korytarzami, których nie widziałem w czasie poprzedniej wizyty w siedzibie Mab.

Do diabła, wtedy myślałem, że składała się ona z muru otaczającego dziedziniec i pojedynczej wieży z iglicami. Nie miałem okazji zobaczyć kompleksu pod lodem dziedzińca. Był ogromny.

Szliśmy dziesięć minut, przeważnie w tę samą stronę, zanim Kot Sith stwierdził:

– Te drzwi.

Podobnie jak ściany wykonano je z lodu, ale wisiał na nich gruby pierścień z metalu, który mógł być srebrem. Złapałem za pierścień i pociągnąłem, a wtedy drzwi otworzyły się gładko, ukazując niewielki przedsionek, poczekalnię z kilkoma głębokimi fotelami.

– Co teraz?

– Wejść – wyjaśnił Kot Sith. – Zaczekaj na wskazówki. Postępuj zgodnie ze wskazówkami.

– Nie jestem dobry w żadnej z tych rzeczy.

Oczy Sitha zabłysły.

– Doskonale. Mam rozkazy, by się ciebie pozbyć, jeśli sprzeciwisz się poleceniom Mab albo w inny sposób podważysz jej autorytet.

– Może pójdziesz i spytasz Najstarszego Fantoma, jak łatwo tego dokonać, Mruczku? Sio.

Sith tym razem nie zniknął, jedynie tak jakby wtopił się w cienie. Jego złociste oczy pozostały widoczne jeszcze przez kilka sekund, po czym odszedł.

– Zawsze okradają wielkich – mruknąłem. – Spadkobiercy Lewisa Carrolla powinni pobierać opłaty licencyjne od tego gościa.

Chyba że, oczywiście, było odwrotnie.

Wkroczyłem do przedsionka i drzwi zamknęły się za mną. Na stoliku leżało coś, co wyglądało na ręcznie robione cukierki. Nie dotknąłem ich. Nie dlatego, że martwiłem się o swoją smukłą sylwetkę, ale dlatego, że znajdowałem się w sercu kraju niegodziwych elfów i zjadanie przypadkowych cukierków nie wydawało się zbyt

inteligentne.

Na stole obok cukierków spoczywała stara książka, ułożona starannie i precyzyjnie obok talerzyka. Nosiła tytuł *Kinder- und Hausmärchen*. Pochyliłem się i otworzyłem ją. Była napisana po niemiecku i naprawdę stara. Tekst wydrukowano na papierze najwyższej jakości, cienkim, szeleszczącym i z pozłacanymi krawędziami. Na stronie tytułowej, pod tytułem, umieszczono nazwiska autorów, Jacoba i Wilhelma Grimmów, oraz datę wydania – 1812.

Książka została podpisana i opatrzona osobistą dedykacją: „Dla Mab”. Ponieważ nie rozumiałem treści, skupiłem się na ilustracjach. Było to przyjemniejsze niż czytanie tych głupich plotkarskich magazynów we wszystkich innych poczekalniach. I pewnie bardziej związane z rzeczywistością.

Gdy przeglądałem książkę, drzwi otworzyły się bezdźwięcznie i do środka wkroczyła wizja. Miała na sobie aksamitną suknię w tym głębokim granatowo-fioletowym odcieniu nieba o zmroku. Kiedy drzwi się zamykały, obejrzała się w stronę korytarza i wtedy zobaczyłem, że suknia ma głęboki dekolt. Strój uzupełniały rękawiczki w tym samym kolorze, sięgające do połowy bicepsów, oraz bukiet barwinków we włosach, który doskonale pasował do sukni. Później odwróciła się do mnie i uśmiechnęła się.

– Ojej. Doskonale się prezentujesz, Harry.

Podniosłem się uprzejmie, choć dopiero po kilku sekundach udało mi się powiedzieć:

– Sarisso. A niech mnie. Ty... prawie nie przypominasz samej siebie.

Uniosła brew, ale widziałem zadowolone wygięcie jej warg.

– Ojej. To był prawie komplement.

– Wyszedłem z wprawy. – Wskazałem na fotel. – Zechcesz usiąść?

Posłała mi skromny uśmiech i podeszła do fotela, poruszając się z absolutnym płynnym wdziękiem. Podałem jej dłoń, by pomóc jej w zajęciu miejsca, czego wcale nie potrzebowała. Wtedy lekko ścisnęła moje palce. Kiedy już usiadła, również to zrobiłem.

– Miałabyś ochotę na cukierka?

W jej uśmiechu jakimś sposobem kryła się lekka przygana.

– Sądzę, że to nie byłoby zbyt mądre. A ty?

– Na dzwony piekiel, zgoda. Ja tylko, no... Wypada rozmawiać, kiedy się, ech... Nie jestem pewien, co... – Podniosłem bezcenny egzemplarz baśni braci Grimm i pokazałem jej. – Książka.

Sarissa zasłoniła usta dłonią, ale jej oczy migotały.

– No tak. Widziałam ją kilka razy. Słyszałam pogłoski, że Jej Wysokość bardzo się starała, by baśnie zostały wydrukowane.

– Jasne. To ma sporo sensu.

– Dlaczego?

– Kiedy rewolucja przemysłowa nabrała wiatru w żagle, wpływy sidhe zaczęły słabnąć. Dzięki jej wysiłkom, by ludzkie dzieci nadal słuchały baśni, sprawiła, że ona i jej lud nie zostali zapomniani.

– A to jest ważne?

– Gdyby nie było, czemu miałyby to robić? Jestem przekonany, że bycie zapomnianym jest złe dla istot, które żyją w połowie w świecie śmiertelnych, a w połowie tutaj. Wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby się okazało, że pomogła też Waltowi Disneyowi. Zrobił więcej niż ktokolwiek, by wprowadzić te opowieści do współczesnego świata. Do diabła, wybudował nawet parę krain wróżek w świecie śmiertelnych.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

Sarissa złożyła ręce na kolanach i uśmiechnęła się do mnie. Była to absolutnie spokojna i urocza mina – ale instynkt podpowiadał mi, że ukrywała niepokój.

Przed kilkoma miesiącami nie umiałbym pewnie tego stwierdzić, ale Sarissa została uwikłana w kilka z sesji terapeutycznych Mab i widziałem jej reakcję na nagły strach i stres. Teraz emanowała takim samym opanowanym napięciem jak wtedy, kiedy z szafki z ręcznikami na siłowni wypadła lawina jadowitych pajaków – tych dużych. Miała na sobie rybaczkę, była bez żadnych butów i musiała stać całkowicie nieruchomo, kiedy dziesiątki tych stworów pełzały po jej bosych stopach, aż udało mi się ich pozbyć, delikatnie i ostrożnie, by nie wzbudzić w nich strachu, który mógłby skłonić zwierzątko do zabicia nas.

W tej próbie chodziło o zapanowanie nad własnymi reakcjami na nagły przestrah. Sarissa to zrobiła, nie pozwoliła, by niepokój nad nią zapanował. Czekwała, z miną bez wyrazu i prawie spokojna, i wyglądała przy tym niemal dokładnie tak, jak w tej chwili.

A to sprawiło, że zaczęły mnie swędzieć stopy.

Ona spodziewała się pajaków.

– Czemu więc zawdzięczam twoje towarzystwo? – spytałem. – Chcesz, żebym na koniec zrobił jeszcze kilka serii ćwiczeń z jogi?

– Na jodze czułeś się jak ryba w próżni. Wiem, jak uwielbiasz serie ćwiczeń, ale obawiam się, że muszę cię rozczarować. Dziś na polecenie królowej mam ci

towarzyszyć. Moim zadaniem jest przedstawić ci protokół obowiązujący podczas zgromadzenia dworu i dopilnować, żebyś za bardzo się nie nudził.

Odchyliłem się do tyłu i popatrzyłem na nią z namysłem.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem taki problem. I, ojej, przebywanie w towarzystwie kogoś tak ślicznego jak ty to prawdziwa udręka.

Uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

– Mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście.

– Nie było to pytanie retoryczne – wyjaśniłem. – Mówię poważnie. Chciałbym cię o coś spytać, ale jeśli wolałabyś zachować to dla siebie, nie obrażę się.

Wtedy w jej masce pojawiło się pęknięcie. Szybko zerknęła na moją twarz i znów opuściła wzrok.

– Dlaczego miałabym nie chcieć odpowiadać na twoje pytania?

– Ponieważ ćwiczyłem z tobą codziennie przez ostatnie jedenaście tygodni, a nadal nie znam twojego nazwiska. Nie wiem, co robisz w realnym świecie. Nie znam twojego ulubionego koloru ani smaku lodów. Nie wiem, czy masz rodzinę. Jesteś mistrzynią rozmawiania o rzeczach, które się nie liczą, i robienia przy tym wrażenia, że to jedyny sensowny rodzaj rozmowy.

Bardzo starannie nie poruszyła się ani nie odpowiedziała.

– Mab ma na ciebie jakiegoś haka, prawda? Tak samo jak na mnie.

Po dłuższej chwili bez ruchu szepnęła:

– Mab ma haka na każdego. Pytanie brzmi jedynie: czy ta osoba sobie to uświadamia?

– Rozumiem, że się mnie boisz. Wiem, że widziałaś Lloyda Slate'a w akcji, kiedy był Rycerzem Zimy, a ja doskonale wiem, jakim wspaniałym był człowiekiem. Jak się domyślam, sądzisz, że będę taki jak on.

– Nie powiedziałam niczego takiego.

– To nie było oskarżenie. – Staralem się mówić łagodnie. – Nie chcę cię skłonić do powiedzenia czegokolwiek. Nie mam nadziei, że dasz mi wymówkę, żebym coś ci zrobił. Jasne? Nie jestem taki jak Lloyd Slate.

– On też nie był – szepnęła Sarissa. – Nie na początku.

Poczułem zimno w żołądku.

Widzicie, na tym polega tragedia kondycji ludzkiej. Nikt nie chce zostać zdeprawowany przez władzę, kiedy wyrusza, by ją zdobyć. Ludzie mają dobre, nawet szlachetne powody, by robić to, cokolwiek robią. Nie chcą jej źle wykorzystywać, nie

chcą jej nadużywać i nie chcą stać się bezwzględnyimi potworami. Dobrzy ludzie, porządni ludzie wyruszają drogą cnoty, by sięgnąć po władzę, ale nie pozwolili, by ich zmieniła albo odebrała im ideały.

Co i tak się dzieje.

Historia jest tego pełna. Ludzie z zasady kiepsko sobie radzą z władzą. A w chwili gdy ktoś zaczyna myśleć, że panuje nad władzą lepiej niż wszyscy pozostali, już postawił pierwszy krok na tej ścieżce.

– Taka jest rzeczywistość, Sarisso – powiedziałem cicho. – Jestem Rycerzem Zimy. Cieszę się łaską i błogosławieństwem Mab. Mogę tu robić właściwie, co zechcę, i nie odpowiadam przed nikim poza nią samą.

Młoda kobieta zadrżała.

– Gdybym tego chciał. Gdybym pragnął ciebie... cię skrzywdzić, mógłbym to zrobić. W tej chwili. Nie mogłabyś mnie powstrzymać, a nikt inny by nie zareagował. Spędziłem rok, leżąc na wznak, a teraz, kiedy znów się poruszam... różne moje pragnienia domagają się realizacji. Właściwie sędzę, że Mab przysłała cię tutaj, żeby zobaczyć, co z tobą zrobię.

Uprzejma mina zniknęła z twarzy Sarissy zastąpiona czujną obojętnością.

– Tak. Oczywiście, że tak. – Poruszyła dłońmi, przenosząc dolną na wierzch, ostrożnie, jakby się martwiła, że pogniecie suknię. – Dokładnie wiem, jaką przeznaczyła mi rolę, panie Rycerzu. Mam być – wykrzywiła wargi – dla ciebie dostępna.

– No cóż. Do tego, rzecz jasna, nie dojdzie.

Otworzyła szerzej oczy. Poza tym siedziała całkowicie nieruchomo.

– Przepraszam?

– Nie jestem Lloydem Slate'em. Nie jestem jednym z udomowionych potworów Mab... i prędzej umrę, niż pozwolę, żeby zmieniła mnie w jednego z nich. Byłaś dla mnie dobra i pomogłaś mi przetrwać trudne chwile, Sarisso. Nie zapomnę o tym. Masz moje słowo.

– Nie rozumiem.

– To nie jest skomplikowane. Niczego ci nie odbiorę. Nie zmuszę cię do zrobienia czegoś, czego sama nie zechcesz. Kropka.

Nie umiałem zinterpretować jej miny, kiedy wypowiedziałem te słowa. Mogła wyrażać złość, podejrzliwość, przerażenie albo sceptycyzm. Cokolwiek działo się w głowie Sarissy, sprawiając, że jej twarz właśnie tak wyglądała, nie umiałem tego przetłumaczyć.

– Nie wierzysz mi. Prawda?

– Przeżyłam jedną trzecią życia w Arctis Tor. – Sarissa odwróciła twarz. – Nikomu nie wierzę.

Wydaje mi się, że w życiu nie widziałem nikogo tak ślicznego, kto wydawałby się tak absolutnie samotny, jak ona w tej chwili. Jedna trzecia życia w Zimie? A jednak wciąż była współczująca, przyjazna i troskliwa. Pewnie widziała różne rzeczy, musiała stawić czoło paskudztwom, z którymi zetknęli się nieliczni śmiertelnicy – Unseelie entuzjastycznie podchodzili do swoich rozrywek, a lubili, gdy zabawy były paskudne i okrutne.

Ale oto była, postawiona przed losem, którego musiała obawiać się od dziecka – została oddana na pożarcie potworowi. I spokojnie stawiała temu czoło. Panowała nad sobą i wciąż odnosiła się do mnie ciepło. To świadczyło o wielkiej sile, a siła zawsze była czymś, co uważałem za atrakcyjne u kobiety. Podobnie jak odwaga. Godność pod presją.

Naprawdę mógłbym polubić tę dziewczynę.

Rzecz jasna, właśnie dlatego Mab ją wybrała – żeby mnie skusić, przekonać, bym porzucił drogę cnoty, by ją mieć. A później, kiedy zrobię coś tak mało znaczącego, zaczniesz rozrzucać przede mną nowe przynęty, aż w końcu podniosę następną. Mab była Mab. Nie zamierzała trzymać Rycerza z sumieniem.

Dlatego zamierzała mordować moje, cal po calu. Gdybym nadużył władzy wobec dziewczyny, Mab wykorzystałaby moje poczucie winy i nienawiść do samego siebie, by popchnąć mnie w stronę następnego kroku i kolejnego.

Mab była bezwzględna suką.

Odwróciłem wzrok od Sarissy. Musiałem zapewnić jej bezpieczeństwo – przede wszystkim przede mną.

– Rozumiem. A przynajmniej część. Mój pierwszy mentor też nie był szczególnie miły.

Pokiwała głową, ale był to niezobowiązujący gest, potwierdzenie, że usłyszała moje słowa, a nie stwierdzenie, że się z nimi zgadza.

– W porządku. Niezręczna cisza jest niezręczna. Może powiesz mi, co muszę wiedzieć o dzisiejszym wieczorze?

Wzięła się w garść i znów przybrała przyjazną minę.

– Wejdziemy przedostatni, tuż przed królową. Ona przedstawi cię dworowi, a później będą rozrywki i posiłek. Po ucztach masz rozmawiać z dworem i dać im szansę, by cię poznali.

– Taki jest protokół? Święto Dziękczynienia u teściów?

Coś przypominającego prawdziwy uśmiech sprawiło, że jej oczy nieco się rozjaśniły, a na ten widok moje gruczoły nie oszalały. Ani troszeczkę.

– Nie do końca. Są dwa prawa, których trzeba przestrzegać pod groźbą śmierci.

– Tylko dwa? Rany, z czego utrzymują się prawnicy Unseelie?

– Po pierwsze – Sarissa zignorowała mój żarcik – na podłogę dworu nie wolno wylewać krwi, o ile królowa nie wyda takiego rozkazu.

– Żadnego mordowania bez wcześniejszego skinienia głową. Czaję. A drugie?

– Nikomu nie wolno się odezwać do królowej, o ile ona nie wyda takiego rozkazu.

Prychnąłem.

– Poważnie? Bo ja mam problemy z trzymaniem buzi na kłódkę. Właściwie jestem pewien, że to fizycznie niemożliwe. Pewnie to wpływ wychowania w dzieciństwie. Czytałaś te komiksy o Spider-Manie, w których...?

– Harry. – W głosie Sarissy zabrzmiało napięcie. Położyła dłoń na moim ramieniu, a jej szczupłe palce były jak grube druty. – Nikt nie odzywa się do królowej – szepnęła z naciskiem. – Nikt. Nawet lady Maeve nie waży się sprzeciwić temu prawu. – Zadrżała. – Widziałam, co się wtedy dzieje. Wszyscy widzieli.

Zacisnąłem wargi i przez chwilę z namysłem wpatrywałem się w jej dłoń, po czym skinąłem głową.

– W porządku. Przyjąłem do wiadomości.

Sarissa powoli odetchnęła i również pokiwała głową.

Wtedy właśnie w czymś, co wyglądało zupełnie jak ściana, otworzyły się drzwi, których nie widziałem wcześniej. Po drugiej stronie stał Kot Sith. Zignorował mnie znacząco i przeniósł spojrzenie złotych oczu na Sarissę.

– Nadszedł czas.

– Dobrze – odpowiedziała. – Jesteśmy gotowi.

Wstałem i wyciągnąłem dłoń do Sarissy. Przyjęła ją, a ja wziąłem ją pod rękę. Ścisnęła raz moje przedramię, a później odwróciliśmy się i podążyliśmy kolejnym korytarzem za Kotem Sithem.

Sarissa pochyliła się do mnie i szepnęła:

– Wiesz, co to jest, prawda?

Chrząknąłem cicho.

– Jasne. Mój pierwszy dzień na spacerunku.

Rozdział czwarty

Sith poprowadził nas kolejnym korytarzem, ciemniejszym niż pozostałe, aż w końcu przestałem widzieć go w mroku. Miast tego na podłodze pojawił się bardzo słaby fosforyzujący blask w kształcie odcisków jego łap, dający nam dość światła, byśmy mogli bezpiecznie się poruszać. Czuję, że Sarissa robi się coraz bardziej spięta, ale nic nie powiedziała. Mądrze. Jeśli coś zamierzało wyskoczyć i nas zjeść, słuch ostrzegłby nas jako pierwszy.

Odgłos naszych kroków na podłodze się zmienił i uświadomiłem sobie, że wkroczyliśmy na wielką otwartą przestrzeń. Wtedy właśnie zniknęły emanujące blaskiem odciski łap.

Zatrzymałem się od razu i mocniej przyciągnąłem Sarissę. Znowu zachowała całkowite milczenie, poza jednym krótkim westchnieniem.

Mijały sekundy milczenia.

– Sith – powiedziałem cicho. – Przewodnik z ciebie do dupy. Nie obchodzi mnie, jak wielki masz cień.

Mój głos odbijał się echem, gdy czekaliśmy, ale Sith najwyraźniej nie planował powrotu. Po kilku sekundach wyciągnąłem rękę i wydobyłem amulet zza smokingu.

Uniosłem go i skupiłem się, wysyłając do niego drobny prąd swojej woli, i już po chwili amulet zaczął emanować niebiesko-białym światłem. Dopiero wtedy się rozejrzałem.

Znajdowaliśmy się w kolejnej lodowej jaskini, tym razem wypełnionej olbrzymimi, dziwaczными... konstrukcjami, żadne inne określenie mi nie pasowało. Mógłbym nazwać je rzeźbami, tyle tylko że w dzisiejszych czasach nikt nie tworzy rzeźb wielkości budynków, nawet z lodu. Rozejrzałem się powoli dookoła. W tych konstrukcjach było coś dziwnego, coś prawie...

Sarissa też się rozglądała. Robiła wrażenie czujnej, ale nie przestraszonej.

– Czy to... ogromne meble?

...znajomego.

Konstrukcje były rzeźbami, w skali osiem do jednego, przedstawiającymi kanapę, dwa fotele, ceglany kominek, regały... Mab odtworzyła w lodzie moją starą suterенę,

łącznie z właściwą fakturą wykładziny dywanowej wyrzeźbioną w lodowej posadzce.

Miałem około sekundy, by to wszystko przyjąć, kiedy jaskinię wypełnił nagły wybuch dźwięków, barw i ruchów. Uderzyła we mnie fala czystego hałasu, kiedy na skraju blasku pojawiła się horda istot z każdego mrocznego podania ludowego, jakie kiedykolwiek opowiadano, a ich krzyki i wrzaski dobiegały ze wszystkich stron.

To był najgorszy możliwy scenariusz dla śmiertelnego maga. Możemy zrobić niesamowite rzeczy, ale potrzebujemy czasu, by ich dokonać. Czasami zyskujemy go, przygotowując się z dużym wyprzedzeniem – tworząc narzędzia, które pomagają nam szybciej i bardziej precyzyjnie się skupić. Czasami zyskujemy czas, decydując, gdzie i kiedy rozpocząć walkę. Czasami rzucamy zaklęcie z odległości paru albo paru setek mil. Ale ja nie miałem niczego takiego.

Rekonwalescencja z Mab sprawiła, że byłem zbyt zajęty odzyskiwaniem sił lub spaniem, by mieć czas na stworzenie nowych narzędzi, i pozostał mi jedynie amulet. Z drugiej strony Mab zapewniła mi solidny trening, jeśli chodzi o magię. Byłem zmuszony wykorzystywać zdolności bez żadnych narzędzi czy podpór albo zginąć. Lepiej niż kiedykolwiek w życiu radziłem sobie teraz z surową magią.

Ale to po prostu nie było wystarczające, bym mógł przeżyć to, co się zbliżało.

Poruszyłem się bez zastanowienia, stanąłem między Sarissą i jak największą liczbą tamtych i wypełniłem prawą rękę wolą. Upuściłem pięcioramienny amulet, a moje palce otoczył blady niebiesko-biały ogień. Uniosłem dłoń – nie było czasu na myślenie, celowanie albo planowanie – zdecydowany zabrać kogoś z nich ze sobą.

Sarissa gwałtownie wyciągnęła rękę i złapała mnie za nadgarstek. Szarpnięciem opuściła moją dłoń, zanim zdążyłem uwolnić zaklęcie, a wtedy wśród zgiełku usłyszałem krzyk Sarissy:

– Żadnego rozlewu krwi!

I uświadomiłem sobie, że wszyscy inni zgromadzeni w jaskini ryczą:

– NIESPODZIANKA!

Horda wszelkiego rodzaju mrocznych i ohydnych istot zatrzymała się jakieś dwadzieścia stóp od Sarissy i mnie, a wtedy ściany, podłoga i sklepienie zaczęły emanować blaskiem. Zabrzmiała muzyka – cholerna pełna orkiestra symfoniczna na żywo, gdzieś po drugiej stronie olbrzymiej repliki mojej starej sofy. Wysoko na sklepieniu jaskini tysiące płomyków niesamowitego blasku zgromadziły się w głębi lodu i poruszając się niczym flotylla pływaków synchronicznych, stworzyły słowa: **WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN, DRESDENIE.**

Stałem tam przez kilka sekund z sercem bijącym stanowczo zbyt szybko

i mrugałem.

– Yyy. Aha.

Sarissa przez chwilę spoglądała na sklepienie, po czym przeniosła wzrok na mnie.

– Nie wiedziałam.

– Ja też nie, naprawdę. Czy to już Halloween?

– Prawie, tak sądzę – odparła Sarissa.

Zrobiło się jeszcze dziwniej.

Zaczęli śpiewać.

Śpiewali *Happy Birthday*.

Pamiętacie, jak wspomniałem, że od głosu malka dostałem gęziej skórki? To nic w porównaniu z chrapliwym rechotem bagiennej wiedźmy albo dziwacznym świszczącym głosem mantykory. Gobliny nie przestałyby fałszować, nawet gdyby ktoś im za to zapłacił, a wielkie nietoperzowate stwory, które służą jako siły lotnicze Mab, wrzeszczały w takim zakresie, że ledwie je słyszałem. Trolle, ohydne zbiry wysokie na ponad dziesięć stóp, brzmią jak syrena mgłowa z zapaleniem krtani.

Ale całą tę kakofonię przenikały głosy z przeciwnego krańca skali, głosy, które wyśpiewywały melodię tak doskonale, czysto i ostro jak brzytwa, że miałem ochotę podciąć sobie nią żyły. Ludzie zawsze utożsamiają piękno z dobrem, ale tak po prostu nie jest. Do Zimowego Dworu należały istoty obdarzone niedającą spokoju urodą, hipnotyzującą urodą, rozbijającą urodą, nieskalaną urodą, nieznośną urodą, krwiożerczą urodą. Nawet w świecie śmiertelnych znajdzie się wiele pięknych drapieżników, a jeśli człowiek jest dość szybki i zmotywowany, może podziwiać tę urodę, kiedy go zabijają i zjadają. Podobnie jak wszystkie inne istoty, sidhe śpiewali dla mnie, a ja czułem ciężar ich uwagi jak nacisk fali wzbudzonej przez zbliżającego się rekina.

Takiej muzyki się nie słucha. Można ją przetrwać.

Głosy ucichły gwałtownie, pozostał tylko jeden krystaliczny alt:

– I jeszcze więcej.

Tłum stworów rozstał się nagle i spomiędzy nich wystąpiła dziewczyna. Zatrzymała się na chwilę, dla efektu i by wszyscy mieli czas ją podziwiać.

Znów zmieniła fryzurę. Teraz był to wyjątkowo szeroki irokez, długi, z wyjątkiem całkiem wygolonych boków głowy, dzięki czemu fryzura odsłaniała czubki lekko spiczastych uszu. Włosy wciąż były we wszelkich odcieniach zamarzniętego niebieskiego, zielonego i fioletu i opadały na jedną stronę jej twarzy. Fryzura na tyle kojarzyła się z Veronicą Lake, że jej bardzo szeroko otwarte oczy emanowały sugestią

radośnie niegodziwej tajemniczości. Była wysoka jak na dziewczynę, jakieś pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, a jej figura idealnie łączyła smukłość i krągłości – nieliczne szczęściary wyglądają tak jakiś rok życia. Taki wygląd sprawia, że dziewczyny w tym wieku mają problemy z mężczyznami, którzy powinni być dość dorośli, by nie zachowywać się głupio.

I była naga. Zachwycająco, niepokojąco naga – i równie świeża, tryskająca energią i naturalna, jak wtedy, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy przed prawie dziesięciu laty.

Tyle tylko że, no... wiecie, wtedy była mniej naga.

Rany, ja przecież w ogóle nie zwracałem na to uwagi.

– A oto i nasz jubilat! – powiedziała Maeve śpiewnym głosem i uniosła rękę.

Ruszyła w moją stronę powolnym krokiem. Formalnie rzecz biorąc, nie była całkowicie naga. Miała srebrne kolczyki w sutkach, pod wargą, w pępku i pewnie w innych miejscach. Starłem się aż tak uważnie nie przyglądać. Jej idealną bladą skórę zdobiły również klejnoty. Nie wiem, jak zostały przymocowane, ale trzymały się jej, a kiedy się poruszała, wypełniały jaskinię błyskami kolorowego światła. Skupiały się głównie wokół jej... no... Była, ach, no... olśniewająca.

W ciszy, która zapanowała, prześlizgnęła się w moją stronę, jej zielone oczy otaczało coś w rodzaju maski z klejnotów i wzorów malowanych henną. Wprost emanowała seksem. Nie żeby w przeszłości nie była dwuznaczna, ale to był już zupełnie nowy poziom.

– Popatrz tylko na siebie. – Obeszła mnie i przyjrzała mi się, powoli i dokładnie. – Wygląda na to, że pogłoski o twojej śmierci były mocno przesadzone.

– Cześć, Maeve. Wiesz, prawie włożyłem taki sam strój. Ojej, ale byśmy się oboje zarumienili.

Zimowa Panna, następczyni i uczennica Mab, zakończyła okrążenie i zatrzymała się przede mną, wprost ociekając czystym zwierzęcym popędem.

– To urodziny, więc włożyłam urodzinowy strój. – Odetchnęła głęboko, głównie dla efektu. – Mam nadzieję, że ci się podoba.

Do diabła, tak, podobał mi się. A przynajmniej wszystkiemu poniżej mojej dolnej wargi – tak naprawdę bardziej, niż powinien. Nie wykorzystywała wobec mnie żadnej magii, sprawdziłem taką możliwość w chwili, kiedy ją zobaczyłem. To pewnie przez ten cały odpoczynek, ćwiczenia i zdrowe odżywianie, których przeważnie udawało mi się unikać w prawdziwym świecie. Efektem było silne i zdrowe, a jednocześnie całkowicie normalne libido. Całkowicie normalne.

To nie ja się zmieniałem. Cokolwiek Mab ze mną zrobiła, co uleczyło mój złamany kręgosłup, pozwalało mi biegać z szybkością wampira i dało mi odruchy umożliwiające powstrzymanie ataku rozwścieczonego malka, nie zmieniło mnie na żadnym podstawowym poziomie.

Wszystko było całkowicie zdrowe i normalne w Krainie Zaprzeczenia.

Maeve spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się do mnie, bardzo powoli. I podobnie jak w sytuacji, kiedy w pobliżu była Mab, czułem, że całe moje ciało wibruje w reakcji na nią, jej obecność, jej bliskość, jej... wszystko. Ten uśmiech miał w sobie coś, co zostało mi przekazane w ułamku sekundy – Maeve, jak wyglądałaby w ekstazie, pode mną, patrząca na mnie z tą śliczną twarzą oszołomioną uczuciami. A z tym obrazem przyszła setka – albo tysiąc – innych, każdy przedstawiający jedną uwiecznioną chwilę, tego rodzaju chwile, które jako jedyne pozostają z gorączkowego snu, znieruchomiałe i nałożone jedna na drugą, a każda z nich jest obietnicą, przewidywaniem i każda jest wycelowana w najbardziej podstawowe, najbardziej prymitywne części mojego mózgu. Nie ograniczało się to do obrazów. Każda warstwa miała elementy wspomnień zmysłowych, każde z nich było jedynie częściowe, ale dojmujące – dotyk, smak, zapach, dźwięk i wizja – całe dziesiątki snów i fantazji skompresowane w tej jednej chwili mrocznego natchnienia.

Zdarzał mi się w życiu seks mniej przyjemny niż uśmiech Maeve.

Obrazom towarzyszyły myśli Maeve.

Słyszysz mnie. Słyszysz mnie teraz, bo jesteśmy teraz razem, podobnie jak ty z Mab. Wiesz, poczułam cię, kiedy złączyłeś się z nami. I chcę poczuć więcej. Jesteś również moim Rycerzem, Dresdenie. Pozwól, że cię przywitam. Przyjdź do mnie. Chodź ze mną. Spaceruj w blasku gwiazd i pozwól, żebym pokazała ci tajemne rozkosze.

Minęło kilka sekund, zanim przypomniałem sobie, że nadal stoję w lodowatej sali, wciąż mam na sobie ubranie i znajduję się na wyciągnięcie ręki od Maeve. Kiedy się odezwałem, mówiłem przez zaciśnięte zęby.

– Przykro mi. Dziś jestem już umówiony, Maeve.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

– Przeprowadź ją. – Jej spojrzenie było jednocześnie roztańczone i oszalałe. Przeniosła wzrok na Sarisę, która westchnęła i zeszytywniała obok mnie. – Jest wspaniała, a ja chętnie... poznałabym ją lepiej.

Wyobraź sobie możliwości, mój Rycerzu. W moją głowę uderzył kolejny zmysłowy pokaz slajdów, a każdy obraz przedstawiał coś, czym nie powinienem czuć się zaintrygowany, ale czego nie potrafiłem do końca zignorować – tyle że tym razem

uwzględniały również Sarisnę. *Mogę pokazać ci przyjemności, o jakich nawet nie śniłeś. Przeprowadź swoją śliczną towarzyszkę. Dam ci ją i wiele, bardzo wiele innych.*

W mojej głowie znów zapłonęły szalone możliwe przyjemności, oszalamiające, elektryzujące, i miałem wrażenie, że za chwilę zacznę zdzierać z siebie ubranie.

I przez sekundę poważnie to rozważałem.

Nie jestem z tego dumny, ale pokusy działają również na mnie. Nie jestem w końcu mądrzejszy od przeciętnego faceta i przez sekundę miałem ochotę zobaczyć, co znajdowało się za drzwiami numer jeden. Wiedziałem, że to by była głupota – i zabawa, jasne, ale przede wszystkim głupota. Wiedziałem, że byłbym idiotą, gdybym się zgodził, a jednak...

Pewnego dnia coś mnie zabije. Być może potwór. Być może moja własna głupota. Być może coś, co w końcu dopada każdego – prosty, nieubłagany czas (choć raczej bym na to nie stawiał). Ostatnio poznałem bliżej ideę własnej śmierci, ponieważ przez dłuższy czas byłem martwy albo prawie martwy, i wcale nie czułem się z nią swobodniej. Wcale nie pragnąłem odejść w paskudny, bolesny sposób.

A jeśli trzeba odejść, pewnie są gorsze sposoby niż w ogniu sybaryckiej chwały.

Niech to diabli, Maeve miała niezłą gadkę.

Ha.

Każdy, kto sprzedaje coś naiwniakom, musi ją mieć.

Na sali zapanowała absolutna cisza – zakłócał ją jedynie mój chrapliwy oddech – i nagle stałem się świadom napięcia. Wszystkie istoty czekały, a ja pojąłem, że to druga próba zabójstwa tego wieczoru. Maeve starała się mnie zniszczyć.

– Złożyłaś kiedyś taką propozycję Lloydowi?

Maeve odchyliła głowę do tyłu i wpatrzyła się we mnie, a jej uśmiech nagle zamarznął.

– Mowę ci odjęło? – spytałem głośnie. Postarałem się, by w moim głosie zabrzmiało szyderstwo. – Nie słyszałaś pytania?

Zamarznięty uśmiech stał się polarny.

– Co ty do mnie powiedziałaś?

– Powiedziałem: „nie”, ty psychopatyczna jędo. – Wyplułem te słowa z całą pogardą, jaką udało mi się zebrać. – Wiedziałem, jak traktowałaś Lloyd Slate’a. Wiedziałem, jak traktowałaś odmieńców ze swojego dworu. Wiem, czego się po tobie spodziewać, ty arogancka, rozpuszczona, samolubna, małostkowa, okrutna idiotko.

Wyraz twarzy Maeve się zmienił, choć nie w skupiony sposób. Robiła wrażenie... zaskoczonej.

Sarissa popatrzyła na mnie wstrząśnięta. Później rozejrzała się, jakby szukała okopu, schronu albo może pojazdu opancerzonego, do którego mogłaby wskoczyć.

– Wysłałaś swoją ostatnią służebnicę, by zamordowała moich przyjaciół w dniu ich ślubu, Maeve – mówiłem dalej, dość głośno, by słyszała mnie cała sala. – Myślisz, że o tym zapomniałem? A może ten fakt był zbyt drobny i mało znaczący, by powstrzymać go przed wycieknięciem z twojego rzekomego mózgu? Uważasz mnie za zbyt głupiego, bym zrozumiał, że zorganizowałaś to przyjęcie „niespodziankę” w nadziei, że z zaskoczenia rozleję krew we dworze, Darth Barbie? Właśnie próbowałaś mnie zamordować, Maeve, i myślisz, że trochę psychicznego porno sprawi, że o tym zapomnę? Nie wiem, czy jesteś szalona, czy tylko naprawdę bardzo głupia.

Maeve gapiła się na mnie z otwartymi ustami.

– A teraz posłuchaj. Jesteś urocza, laleczko. Jesteś zachwycająca. Wywołujesz nadnaturalne erekcje. I co z tego? Jesteś wybrakowanym towarem. Dlatego odwróć się i zabierz ten swój goły tyłeczek z dala ode mnie... zanim ja zrobię to za ciebie.

Przez dłuższą chwilę panowała martwa cisza.

Później twarz Maeve wykrzywiła wściekłość. Kusząca uroda jej rysów zniknęła zastąpiona zwierzęcą furią. Jej oczy zapłonęły, a temperatura powietrza nagle spadła, boleśnie, na tyle, że na lodzie pojawiły się lodowe kryształki. Przeklęty lód pokrył się lodem.

Maeve piorunowała mnie wzrokiem z czystą nienawiścią w swoich zbyt wielkich oczach, a później lekko skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Wygląda na to, że jeszcze mamy życie, które możemy uczcić – syknęła. – Muzyka.

Gdzieś na sali znów zaczęła grać orkiestra symfoniczna. Milczący krąg łotrów z opowieści przed snem rozproszył się z wdziękiem i już po chwili można było pomyśleć, że to wyjątkowo szalony, wyjątkowo odpicowany bal przebierańców.

Oczy Maeve błyszczały. Obróciła się, prezentując mi się z szyderczym machnięciem czupryną, po czym zniknęła w tłumie.

Odwróciłem się do Sarissy i odkryłem, że patrzy na mnie z szeroko otwartymi oczyma.

– Odmówiłeś jej.

– Aha.

– Nikt tego nie robi. Nie tutaj.

– Nieważne.

– Nie rozumiesz. To, w jaki sposób jej ubliżyłeś, jest... jest... – Sarissa pokręciła

głową i dodała z mistrzowskim niedopowiedzeniem: – W jej głowie zasłużyłeś na to, by ci się odpłacić.

– Do tego musiało dojść, prędzej czy później. Irytuje mnie raczej jej reakcja.

– Muzyka?

– Aha. A za minutę mogą być też tańce. To się nie skończy dobrze.

– Mogło być gorzej. – Odetchnęła głęboko i znów dała się wziąć pod rękę. – Wygrałeś pierwszą rundę.

– Jedynie ją przeżyłem.

– Tutaj to oznacza zwycięstwo.

– Jeśli więc zwyciężymy resztę nocy, będzie to dobry początek. – Rozejrzałem się. – Chodź.

– Dokąd idziemy?

– W jakieś miejsce, które nie jest środkiem sali. Gdzieś, gdzie będę miał za plecami ścianę. I mam też nadzieję na przekąski. Umieram z głodu.

Rozdział piąty

Nie czuję się swobodnie na imprezach. Może po prostu nie jestem typem imprezowicza.

Nawet kiedy na imprezie nie ma szalonych elfów, wielkich potworów i psychotycznych królowych Faerie, i tak nie jest mi łatwo. Pewnie dlatego, że nigdy nie jestem pewien, co powinienem ze sobą zrobić.

Owszem, jest alkohol, ale ja nie lubię być pijany i jestem pewien, że w tym stanie nie robię się bardziej uroczy. Co najwyżej zabawniejszy, i to nie zawsze w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Gra muzyka, ale ja nigdy nie nauczyłem się tańczyć do kawałków, w których ważną rolę odgrywa gitara elektryczna. Są ludzie, z którymi można porozmawiać, i może nawet dziewczyny, z którymi można poflirtować, ale jeśli zapomnieć o głupich rzeczach, które robię, nie jestem szczególnie interesujący. Lubię czytać, siedzieć w domu, wychodzić na spacer z psem – zupełnie jakbym już został emerytem. Kto chciałby słuchać o czymś takim? Szczególnie jeśli musiałbym przekrzykiwać muzykę, do której nikt nie tańczy.

Innymi słowy – jestem obecny, ale nie piję, słucham muzyki, ale nie tańczę, i próbuję prowadzić rozmowy z prawie nieznanymi o czymkolwiek, co nie jest moim własnym głupim życiem, a oni zwykle mają podobne cele, jak ja. Co prowadzi do licznych chwil niezręcznego milczenia. A później zaczynam się zastanawiać, po co w ogóle przyszedłem.

Na dzwony piekieł, impreza z potworami jest właściwie prostsza. Chodzi o to, że przynajmniej całkiem nieźle wiem, co mam robić, kiedy na nią trafię.

Stół z jedzeniem ustawiono przy replice klapy, która kiedyś prowadziła do piwnicy. W tym gigantycznym modelu była otwarta, co znaczyło, że w lodowej podłodze ział ogromny otwór, a gdyby ktoś pechowo się poślizgnął, wpadłby w egipskie ciemności. Zastanawiałem się, czy głębokość piwnicy oddano w tej samej skali.

Na stole leżały wszelkiego rodzaju imprezowe przekąski, ale jeśli pominąć różnorodność, wyglądały na zwyczajne jedzenie. Odetchnąłem przez nos i byłem już całkiem pewien – to ludzkie żarcie, a nie legendarna ambrozja elfów.

– Chwała Bogu. – Sarissa wzięła dwa talerzyki. – Jedzenie. Bałam się, że znów nie będzie niczego poza deserami z kwiatów.

– Chwileczkę. Jesteśmy pewni, że to jedzenie?

– Nie czujesz zapachu? Zawsze umiem je rozpoznać. Miejscowa kuchnia nie jest... szczególnie subtelna. Właściwie pierwszą rzeczą, której się nauczyłam, było ich rozróżnianie.

Zaczęła napępniać oba talerzyki, głównie przekąskami, które sam też bym wybrał. No cóż. Przez prawie trzy miesiące właściwie pełniła obowiązki mojej dietetyczki. Wiedziała już, co mi smakuje, a co nie.

Dziwne. Czy tak by było, gdybym kiedykolwiek miał, no... żonę albo kogoś w tym rodzaju?

Do diabła, skąd się wzięła ta myśl? Przez to całe ostatnie, choć wymuszone, przebywanie w zaciszu domowym? Moje serce nagle zachowało się jak królik i przez kilka sekund biło stanowczo za szybko. Na wszystkie dzwony piekieł, czyżbym właśnie dostał ataku paniki? Na samą myśl o nazwaniu jakiejś kobiety żoną? Choć... kiedy się nad tym zastanowiłem, nie byłem pewien, czy kiedykolwiek użyłem tego słowa w odniesieniu do samego siebie i innej osoby jednocześnie. A przynajmniej nie wprost.

Potrząsnąłem głową i odsunąłem tę myśl na bok, do późniejszego rozważenia, kiedy nie będę miał na plecach wielkiej tarczy celowniczej.

Pozwoliłem, żeby Sarissa wybrała dla nas jedzenie, a sam miałem oko na podejrzone osoby i sytuacje. Po jakichś dwudziestu sekundach uznałem, że to niemożliwe, i ograniczyłem się do pilnowania, czy nikt nie biegnie na nas z nożem w rękę i wrzaskiem. Trzymałem zaklęcia obronne na końcu umysłu, jeśli można tak powiedzieć, gotowe do pojawienia się w rzeczywistości w ułamku sekundy.

Zauważyłem dobry, spokojny kącik, w którym mogliśmy stanąć, w pobliżu gigantycznego kominka. Wziąłem talerze od Sarissy i ruszyliśmy w tamtą stronę.

Z tłumu wyłoniła się znajoma postać i stanęła nam na drodze, a ja odkryłem, że się uśmiecham. Stwór, który pokuśtykał do mnie, miał niewiele ponad pięć stóp wzrostu i wspierał się na ciężkiej, sękatej lasce. Miał na sobie szatę z kapturem z niefarbowanego lnu, przewiązaną miękkim sznurem. Za pas wcisnął trzy złożone pasy fioletowej tkaniny – oficjalne stuły starszych członków Białej Rady Magów, zdobyte, kiedy przegrali z nim w oficjalnych pojedynkach.

Aha, był też kozą. Cóż, bardzo ludzką z wyglądu kozą. Miał wydłużoną, kozią twarz, do tego wygięte baranie rogi, złociste oczy, długą i białą brodę, a minę

zadowolona.

– Najstarszy Spryciołek. – Uśmiechnąłem się.

– Pan Rycerz. – Jego basowy głos przyjemnie dudnił. Wymieniliśmy ukłony, co również wyraźnie sprawiło mu przyjemność. – Przyjmij, proszę, me najserdeczniejsze powinszowania w tym dniu twych narodzin.

– Z radością. Jak skłonili cię do pokazania się w tym cyrku dziwołagów?

Westchnął.

– Zobowiązania.

– Rozumiem. – Skinąłem na Sarissę. – Pozwól, że przedstawię ci Sarissę. Pomagała mi odzyskać siły po tym, jak odniosłem rany. Sarisso, to...

– Lord spryciołek. – Dygnęła, co jakimś sposobem wyglądało naturalnie. – Jakże cudownie znów was spotkać, panie.

– Miło cię widzieć, dziecko. Mimo klimatu wyglądasz kwitnąco.

– To zaiste wielkoduszna ocena.

– Wolę mniemać, że nadziei pełna. Widzę, że z nowym Rycerzem się związałaś.

– Nie – wtrąciłem szybko. – Wcale. Nie było... związku. Ona mnie leczy.

Sarissa uniosła brew, a później odezwała się do spryciołka:

– Taka była cena Mab.

– Ach. Zobowiązanie wielkim ciężarem może być, dla Zimy i Lata jednak. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Czy on wie o twoim...

– Ten temat się nie pojawił.

– Ach. – Najstarszy Spryciołek uniósł dłonie. Miał dziwne paznokcie przypominające kopyta. – Także i ja podążę ścieżką milczenia.

Sarissa pochyliła głowę.

– Dziękuję.

– Oczywiście.

Podeszły do nas dwie kolejne postacie, obie miały ponad siedem stóp wzrostu. Nie jestem przyzwyczajony do bycia najniższym uczestnikiem dowolnej rozmowy. Ani nawet jednym z niższych. Żeby wymienić żarówkę, nie muszę za bardzo wyciągać rąk. Mogę umieścić gwiazdkę na czubku choinki bez wspinania się na palce. Jestem jak yeti z filmów o reniferze Rudolfie, ale nie mam takich problemów z zębami i nie lubię, jak ktoś nade mną góruje.

(Co pewnie powinno mi uświadomić, jaki wpływ mogę wywierać na innych ludzi, tak ogólnie, a szczególnie kiedy traktuję w taki sposób osoby obdarzone autorytetem, które są niższe ode mnie. Jednakże tego rodzaju chwila krystalicznego objawienia

prawdopodobnie nie pomogłaby mi zwyciężyć tego wieczoru).

Pierwszy był przygnębiająco znajomy. Nosił skórzany strój myśliwski, szarozielono-brązowy, i miecz z rękojeścią z rogu u pasa. Po raz pierwszy zobaczyłem go bez hełmu. Miał kudłate, siwiejące, jasnobrązowe włosy, które opadały mu na ramiona. Asymetryczne rysy sprawiały, że nie był przystojny, ale emanował swego rodzaju łotrzykowskim urokiem, jego oczy zaś miały niepokojący złoto-zielony odcień. Nie znałem jego imienia, ale był Królem Goblinów, jedną z istot z Faerie dość potężnych, by prowadzić Dziki Gon, i był obecnym władcą goblinów.

(Nie tak jak ten wielki, paskudny tępak w *Hobbicie*. Prawdziwy goblin to zmutowany Terminator seryjny zabójca psychopatyczny ninja. Wyobraźcie sobie Hannibala Lectera skrzyżowanego z Jackie Chanem).

Och, i raz mu ubliżyłem, więżąc go w magicznym kręgu. Elfy małe i duże tego nienawidzą.

– Spryciołku. – Król Goblinów pochylił głowę.

Najstarszy Spryciołek ukłonił się lekko w odpowiedzi.

– Lordzie Herne.

– Znasz te dzieci?

– Owszem.

Najstarszy Spryciołek zaczął nas uprzejmie przedstawiać.

Kiedy to robił, przyglądałem się mężczyźnie obok Króla Goblinów. Wyraźnie z nim kontrastował. Król Goblinów był wielki, ale miał w sobie coś, co sugerowało zwinność i grację. Przypominało to patrzenie na tygrysa. Owszem, w tej chwili mógł wyglądać na spokojnego i rozluźnionego, ale każdy wiedział, że w dowolnie wybranej chwili mógł ruszyć szybko i zdecydowanie i nie zamierzał w żaden sposób ostrzec o nadchodzącym ataku.

Ten mężczyzna nie był tygrysem, lecz niedźwiedziem. Bary miał tak potężne, że w porównaniu z nim Herne wydawał się wręcz szczupły. Jego przedramiona niemal dorównywały wielkością bicepsom, a gruba szyja kojarzyła się z ciężarówcami i zawodowymi zbirami. Ręce i twarz pokrywały mu blizny, a wszystkie wyblakły do białych linii, jak u niektórych starych motocyklistów. Miał na sobie kolczugę – istoty z Faerie nie znosiły dotyku żelaza, zatem z pewnością wykonano ją z czegoś innego.

Na kolczugę zarzucił długi szkarłatny płaszcz lamowany białym futrem i spięty szerokim czarnym skórzanym pasem. Jego potężny tors sprawiał, że nawet niewielki brzuch dodawał znaczącą masę do jego ogromnej sylwetki. Zza pasa, obok bardzo prostej i funkcjonalnej rękojeści pozbawionego ozdób miecza, wystawały rękawice

z czarnej skóry, również lamowane białym futrem. Włosy mężczyzny były krótkie, białe i błyszczące, a biała broda opadała na jego pierś jak grzywacz. Oczy miały odcień zimowego nieba.

Przestałem słuchać, co mówił Najstarszy Spryciołek, bo zaczęła mi opadać szczeka.

Drugi mężczyzna zauważył moją minę i wydał z siebie głośny, dudniący śmiech. Nie był to jeden z tych szyderczych chichotów, lecz głośny wyraz rozbawienia, który sprawił, że jego brzuch zatrzęsł się jak... czy odważę się to powiedzieć?

Jak misa galaretki.

– A to – powiedział Najstarszy Spryciołek – nowy Rycerz Mab.

– Przepraszam. Ja... uch. Cześć. – Wyciągnąłem rękę. – Harry Dresden.

Wielka dłoń otoczyła moją; wciąż nie przestawał się przy tym śmiać. Jego palce mogłyby zmiażdżyć moją rękę.

– Wiem, kim jesteś, Dresdenie – zadudnił. – Mów mi Kringle.

– A niech mnie, poważnie? Bo... a niech mnie.

– Mój Boże, to urocze. – Sarissa się uśmiechała. – Zachowujesz się jak prawdziwy fan, Dresdenie.

– Aha, ja tylko... po prostu się czegoś takiego nie spodziewałem.

Kringle znów zaśmiał się grzmiąco. Dźwięk wypełnił powietrze wokół niego.

– Z pewnością wiedziałeś, że mój dom jest wśród istot z Faerie. Spodziewałeś się, że będę wasalem Lata, chłopcze?

– Szczerze? Ani przez chwilę się nad tym nie zastanawiałem.

– Niewielu to robi. Jak ci się podoba nowa praca?

– Wcale.

– W takim razie dlaczego się zgodziłeś?

– Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Kringle uśmiechnął się do mnie.

– Ach. Twój poprzednik niezbyt mi się podobał.

– Ditto. Przychodzisz na wszystkie takie imprezy?

– Taki jest zwyczaj. Mam okazję odwiedzić tych, których rzadko spotykam gdzie indziej. – Kringle skinął na Króla Goblinów i Najstarszego Spryciołka. – Mamy parę chwil, żeby nadrobić zaległości.

– I polować. – Król Goblinów uśmiechnął się, ukazując ostre zęby.

– I polować. – Kringle spojrzał z ukosa na Najstarszego Spryciołka. – Zechcesz do nas dołączyć w tym roku?

Spryciołkowi jakimś sposobem udało się uśmiechnąć.

– Zawsze mnie o to pytasz.

– A ty zawsze odmawiasz.

Najstarszy Spryciołek wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

– Chwileczkę. – Zwróciłem się do Kringle'a: – Ty się wybierasz na polowanie? – Wskazałem na Króla Goblinów. – Z nim? Ty?

Kringle znów zarechotał i – przysięgam na Boga – jednocześnie oparł ręce na brzuchu.

– A dlaczego miałbym tego nie robić?

– Stary. Stary. Ty przecież jesteś... cholernym Świętym Mikołajem.

– Dopiero po Halloween. Co za dużo, to niezdrowo. Stawiam granicę.

– Ha. Ale ja nie żartowałem.

Chrząknął i uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Chłopcze, pozwól, że coś ci powiem, tu i teraz. Nikt z nas nie jest tym, kim był kiedyś. Każdy ma historię. Każdy skądś pochodzi. Każdy wędruje w stronę celu. A jeśli ktoś żyje tak długo, jak ja, droga może być daleka i dziwnie meandrować... sędzę, że coś o tym wiesz.

Zmarszczyłem czoło.

– To znaczy?

Wskazał na siebie.

– To historia, którą znacie dopiero od niedawna. W dzisiejszych czasach wciąż żyją magowie, którzy nie słyszeli o takiej osobie, kiedy w dzieciństwie czekali na zimowe święta.

Pokiwałem z namysłem głową.

– Stałeś się czymś innym.

Mrugnął.

– A kim byłeś wcześniej?

Kringle uśmiechnął się wyraźnie zadowolony z nieudzielenia odpowiedzi.

Odwrociłem się do Sarissy i spytałem:

– Ty znasz większość tych gości. Co...?

Nie było jej tam.

Rozejrzałem się po najbliższej okolicy, ale jej nie zauważyłem. Przeniosłem wzrok na Kringle'a i Króla Goblinów. Obaj patrzyli na mnie spokojnie i obojętnie. Posłałem spojrzenie Najstarszemu Spryciołkowi, którego długie, klapnięte prawe ucho raz drgnęło.

Kierując się tą wskazówką, spojrzałem w lewo i zauważyłem Sarisę, którą

prowadzono na parkiet taneczny pod repliką mojego oryginalnego plakatu z *Gwiezdnych Wojen*. Plakat miał teraz rozmiar muralu na drapaczu chmur, a parkiet wielkość parkingu. Większość sidhe tańczyła – czysty fantastyczny wdzięk i wirujące barwy, a od czasu do czasu błysk kocich oczu o barwie klejnotów, kiedy obracali się i kołysali.

Młody sidhe płci męskiej prowadził Sarissę za nadgarstek, a jej napięte ramiona wskazywały, że to ją boli. Po wyrazie jej twarzy nikt by się tego nie domyślił. Młody sidhe miał czarną skórzaną kurtkę i czapkę drużyny piłkarskiej z Cincinnati, ale jego twarzy nie widziałem zbyt dobrze.

- Wygląda to na nowe wyzwanie – mruknął Król Goblinów.
- Aha. Panowie, wybaczcie mi.
- Znasz prawo dworu Mab, tak? – spytał Kringle. – I znasz cenę za jego złamanie?
- Jasne.
- Co zamierzasz zrobić, chłopcze?
- Wygląda na to, że doszło do pewnego nieporozumienia. Zamierzam rozpocząć dialog.

Rozdział szósty

Wejście na parkiet taneczny pełen sidhe przypomina branie kwasu.

Częściowo dlatego, że wszyscy są tak piekielnie ładni. Każda panna sidhe dorównywała Maeve, jeśli chodzi o czysto fizyczną atrakcyjność, a niektóre z nich były ubrane niemal równie skąpo jak ona, choć raczej w stylu najnowszych prowokacyjnych trendów chicagowskiej sceny klubowej. I tak, chłopcy też byli śliczni i równie odpicowani, ale nie rozpraszała mnie aż tak bardzo.

Częściowo z powodu ich gracji. Sidhe nie są ludźmi, choć wyglądają na blisko spokrewnionych. Kiedy patrzy się na gimnastyków klasy olimpijskiej, łyżwiarzy figurowych albo zawodowych tancerzy przedstawiających układ, nie można nie być pod wrażeniem czystego, swobodnego wdzięku, z jakim się poruszają, jakby ich ciała były lżejsze od powietrza. Najbardziej niezdarni z sidhe działają na takim poziomie, a ci wyjątkowi pozostawiają śmiertelników daleko w tyle. Trudno to opisać, bo mózg ma problem z przetworzeniem czegoś takiego – brakuje punktu odniesienia dla tego, co widziałem, ruchu, równowagi, siły, swobodnej subtelności. Zupełnie jakbym nagle odkrył całkowicie nowy zmysł z olbrzymią liczbą bodźców – ciągle widziałem rzeczy, które sprawiały, że mój mózg wrzeszczał na mnie, żebym się zatrzymał i obserwował, by móc je odpowiednio skatalogować i przetworzyć.

A częściowo z powodu ich magii. Sidhe wykorzystują magię w taki sam sposób, w jaki reszta z nas oddycha, instynktownie i bez zastanowienia. Walczyłem z nimi już wcześniej, ich moc była przywoływana zwykle prostymi gestami, jakby zaklęcia zostały wbudowane na stałe w ich odruchy motoryczne.

Ta moc nie była skierowana na mnie, nie specjalnie – odnosiłem raczej wrażenie, jakbym się w nią zanurzył, jakby to była sadzawka zajmująca tę samą przestrzeń co parkiet taneczny. Niemal natychmiast przyciągnęła mój umysł, a ja mogłem jedynie zacisnąć zęby i się trzymać. W powietrzu wokół tańczących sidhe płonęły wstęgi kolorowego światła. Ich stopy uderzały w podłogę, a dłonie w ciała, ich własne i innych, dodając kolejne warstwy synkopowanego rytmu do melodii. Sapnięcia i krzyki dołączały do rytmu i melodii, pierwotne i dzikie, odbijające się echem i rzucające sobie nawzajem wyzwania ze wszystkich stron, jakby to wcześniej

przećwiczyli. Nie zrobili tego. Po prostu tacy byli.

Dźwięk i rytm uderzały z obu stron, dudniły w moich uszach, dezorientowały mnie. Światło tańczyło i migotało przez całe spektrum w delikatnych, uwodzicielskich wzorcach. Ciała wyginały się i wyprężały w nieludzkim artyzmie, a ich wdzięk był atakiem na mój zdrowy rozsądek. Częściowo chciałem po prostu tam stać i wchłaniać to, gapić się jak paskudny, niezgrabny behemot pośród sidhe. Takie tańce wprowadziły wielu śmiertelników w pełne łez uniesienie – ogólnie rzecz biorąc, nie skończyło się to dla nich dobrze.

Postawiłem wszystkie znane mi mentalne bariery, sięgnąłem do tego jądra zimnej, czystej mocy, które było we mnie od tamtej nocy, kiedy brązowym nożem Medei zamordowałem swojego poprzednika. Wtedy nawet nie uświadamiałem sobie, co się ze mną działo, bo skupiałem się na innych rzeczach, ale teraz rozumiałem, że moc uzdrowiła moje zniszczone ciało i dała mi siłę, prędkość i wytrzymałość osiągające granicę ludzkich możliwości – a może nawet poza nie wykraczające. Czułem ją tylko, kiedy jej szukałem, ale najwyraźniej moja instynktowna potrzeba przetrwania wystarczyła, bym do niej sięgnął, kiedy wyruszyłem, by ocalić córkę z łap nieistniejącego już Czerwonego Dworu wampirów.

Teraz wiała się do mojego umysłu jak lodowaty podmuch i zniszczyła oszołomienie, jakie taniec sidhe wywołał w moich myślach. Ruszyłem przed siebie przez tłum i przez kilka kroków próbowałem uskakiwać, prześlizgiwać się i uchylać, żeby nie uderzyć nikogo w poruszającej się gromadzie. Później uświadomiłem sobie, że niezależnie od tego, co zyskałem, gdy zostałem Rycerzem Zimy, wciąż byłem beznadziejnie tępy i powolny w porównaniu z sidhe.

Dlatego po prostu zacząłem iść, a schodzenie z drogi pozostawiłem im. W sumie lepiej to pasowało do mojego nastroju. A oni to robili. Żadne nie było ostentacyjne i wymachujące kończyny niektórych mijały mnie o ułamek cala, ale nikt mnie nie trącił.

Ogólnie rzecz biorąc, sidhe są wysocy, ale ja mam wzrost zawodowego koszykarza i mogłem spoglądać ponad tłumem. Dostrzegłem czerwoną czapkę i błysk szeroko otwartych oczu Sarissy, i ruszyłem za nimi. Dogoniłem ich w pobliżu tylnej ściany ogromnej sali. Sidhe, który złapał Sarisnę, stał za nią, jedną ręką obejmował ją za szyję, a drugą w pasie, i przyciskał jej plecy do swojej piersi. Sarissa miała szeroko otwarte oczy. Widziałem zaczerwienienie skóry na nadgarstku, już zaczynały się tam pojawiać sińce w kształcie palców sidhe.

Zorientowałem się, że zaciskam pięści i warczę w głębi gardła.

Nagle, zupełnie spontanicznie, parkiet taneczny w promieniu dziesięciu stóp od naszej trójki opustoszał. Sidhe zrobili miejsce na konfrontację. Oczy jak klejnoty migotały i spoglądały od czasu do czasu, ale tańce trwały nadal.

– Panie Rycerzu – powiedział trzymający Sarissę sidhe. Miał proste czarne włosy wystające spod czapki i kości policzkowe tak wysokie, że potrzebowały butli tlenowych. W jego uśmiechu było coś wyjątkowo lisiego. Kły miał odrobinę za duże, odrobinę za ostre. – Cóż to za przyjemność, móc z tobą porozmawiać.

– Nie będziesz tak myślał za minutę. Puść ją.

Pochylił się nad Sarissą i odetchnął przez nos.

– Dziwne. Nie czuję cię na niej. Nie rościłeś sobie do niej prawa.

– Twoja też nie jest. Puść ją. Nie zmuszaj mnie, żebym się powtarzał.

– To zwykła śmiertelniczka. – Uśmiechnął się. – Śmiertelniczka bez pozycji tutaj w Arctis Tor, na dworze. To nie miejsce dla śmiertelników. Jej ciało, jej umysł i jej życie będą stracone, jeśli postanowimy je sobie wziąć.

– Właśnie postanowiliśmy. Że. Ją. Wypuścimy.

Ruszyłem w jego stronę.

W jego oczach pojawiło się coś gorączkowego i nagle mogłem zobaczyć każdą kość i ścięgno w jego dłoni napierające na skórę. Jego paznokcie wydawały się odrobinę zbyt długie, odrobinę zbyt ciężkie i odrobinę zbyt ostre niż normalnie. Sarissa próbowała się odezwać, ale jedynie zakrztusiła się i ucichła.

– Będziesz się zbliżał, a ja będę naciskał. To strasznie interesująca gra. Zastanawiam się, jak mocno musiałbym ścisnąć, żeby zmiażdżyć jej tchawicę.

Zatrzymałem się, bo znałem odpowiedź na jego pytanie – niezbyt mocno. Potrzeba jedynie odrobinę więcej nacisku niż do zmiażdżenia pustej puszkii po piwie. To trochę przerażające, jak łatwo jest kogoś zabić, kiedy wie się, jak to zrobić.

– A co z prawem Mab?

– Nie rozleję nawet kropli jej krwi – odparł gładko. – Kiedy odetnę jej dopływ powietrza albo złamię kark, po prostu przestanie istnieć... wielka szkoda, ale prawo jest prawem.

Nagle uderzyło mnie przecucie, że ten sidhe przede mną, w czarnej skórzanej kurtce i czerwonej czapce, umiał to zrobić.

– Nie jesteś fanem Cincinnati, prawda?

– Ach! – Sidhe się uśmiechnął. – Widzisz, Sarisso, domyślił się. Minęło trochę czasu, ale dotarł do celu.

– Jesteś jednym z redcapów.

– Nie jednym z. – W jego głosie zabrzmiała irytacja. – Jestem tym Redcapem, Rycerzyku.

Redcap był jedną z postaci, w przypadku których miałem ogromną nadzieję, że to tylko bajanie. Na ile pamiętałem legendy, zyskał swoje imię, witając przyjaźnie podróżnych, a później brutalnie ich mordując. Kiedy skończył, farbował czapkę na świeży szkarłat, zanurzając ją w ich stygnącej krwi. Założenie, że jest twardzielem, wydawało się rozsądne. Legendy były równie wiarygodnym źródłem, jak wszystkie inne pogłoski, ale patrząc na tego faceta, odniosłem wrażenie, że przez cały czas by się uśmiechał i miał erekcję, mordując Sarisnę. Albo mnie.

Z całą pewnością spodziewał się, że zareaguję strachem i ostrożnością. Co jedynie dowodzi, że niezależnie od tego, jak stara jest dana istota, stulecia niekoniecznie dodają jej mądrości.

– Wielki zły Redcap – powiedziałem, przeciągając samogłoski. – A kiedy wybierałeś czapkę na dzisiejszy wieczór, by symbolizowała twoją moc i umiejętności, zdecydowałeś się na Cincinnati zamiast Philly? Albo Bostonu? Poważnie?

Redcap najwyraźniej nie wiedział, co o tym sądzić. Jedynie gapił się na mnie, próbując ocenić, czy mu ubliżyłem, czy nie.

– Stary, wy, sidhe, jesteście bandą pozerów. Wiedziałaś o tym? Próbujesz robić i mówić rzeczy, które twoim zdaniem wywołają reakcję... ale po prostu nie ogarniasz, co? Czy ty w ogóle byłeś kiedykolwiek na meczu? Ja kilka lat temu wybrałem się na jeden w towarzystwie Gwynna ap Nudda. Może kiedyś o nim słyszałeś.

– Myślisz, że twoi sojusznicy mnie przerażają, magu?

– Myślę, że jesteś oportunistą.

– Że co?

– Słyszałeś mnie. Rzucasz się na ludzi, którzy podróżują samotnie, którzy nie mają najmniejszej szansy obronić się przed tobą. A szczególnie, kiedy na początku jesteś miły i usypiasz ich czujność. – Uśmiechnąłem się, ukazując zęby. – Moja czujność nie została uspiona, Red. I nie jestem kimś, kto nie ma z tobą szans.

– Jeśli mnie dotkniesz, zabiję ją – warknął i dla podkreślenia swoich słów lekko szarpnął Sarisnę.

Spojrzałem na nią i miałem nadzieję, że umiała odczytać to, co kryło się pod powierzchnią.

– Co za pech, ale niewiele będę mógł poradzić, jeśli postanowisz ją teraz zabić. Oczywiście, kiedy już to zrobisz... nie sądzę, żebyś miał większe szanse, Red. Jeśli ona umrze, ty dołączysz do niej.

– Nie złamałbyś prawa Mab – zaszydził.

– Masz rację. Sądzę więc, że po prostu otworzę Ścieżkę z powrotem do świata śmiertelnych, zaciągnę cię ze sobą, a później... cóż, zawsze miałem słabość do ognia.

Najwyraźniej taka możliwość nie przyszła Redcapowi do głowy.

– Co?

– Wiem, że nie pasuje to tematycznie do mojej nowej roboty i w ogóle, ale uważam, że jest skuteczny. Daj komuś ogień, a będzie mu ciepło przez jeden dzień, ale wrzuc go do ognia, a będzie mu ciepło do końca życia. Tao Pratchetta. Chciałeś stawić mi czoło przed wszystkimi, zyskać uznanie za to, że pierwszego wieczoru przytarłeś mi nosa? Gratulacje, Red. Jesteś mistrzem.

Redcap zmrużył błyszczące oczy, a jego lisi uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Myślisz, że się ciebie boję.

– Kiedy ostatnim razem ktoś porwał moją dziewczynę na imprezę, zrobił się niezły bajzel – powiedziałem bardzo łagodnie. – Spytaj o to Czerwony Dwór. No tak.

Na te słowa Redcap się roześmiał, co bolało. Dosłownie. Ostry dźwięk sprawił, że zadzwoniło mi w uszach.

– Nie obchodzi mnie, jak wiele karaluchów czy wampirów zabiłeś, śmiertelniku. Jestem sidhe.

– Nieważne. Paru z nich też zabiłem.

– Tak. – W głosie Redcapa brzmiała paskudna, głodna nuta. – Letnią Pannę. Brałem udział w tej bitwie, śmiertelniku. Widziałem, jak popłynęła jej krew.

Pokiwałem głową.

– A co każe ci sądzić, że nie zrobię tego znowu?

Redcap lekko skinął brodą w bok:

– Oni.

Zamarłem.

Do diabła, Harry, zbeształem sam siebie. To elfy. Elfy zawsze oszukują. Zawsze mają w zanadrzu cios z zaskoczenia. Za bardzo skupiłem się na tym, co miałem przed sobą. Redcap nie był wyzwaniem.

Był przynętą.

Jakby na dany sygnał tańce się zatrzymały. Muzyka ucichła. Na ile umiałem to ocenić, wszelkie poruszenia na całej sali całkowicie ustały i nagle stałem na niewielkiej polance w lesie smukłych, niegodziwie pięknych postaci i dziwnie migoczących oczu.

Z tego lasu wyłoniły się dwie istoty, wyszły niezręcznie z tłumu sidhe, po jednej

z każdej strony mnie, w odległości może piętnastu stóp.

Pierwsza, po mojej prawej, była potężna i szła, powłócząc nogami, zgięta w pół pod obszarpanym szarym płaszczem, dość dużym, by zakryć niewielką ciężarówkę. Jej kroki były dwa albo trzy razy dłuższe od moich, a kiedy się zatrzymała, rozłożyła długie ramiona na boki i oparła je na podłodze. Pod kapturem widziałem płaską, szeroką głowę przypominającą czaszkę, czerwoną i błyszczącą. Ręce stwora kończyły się trzema palcami, nieproporcjonalnie grubymi i długimi na parę stóp. One też były czerwone i błyszczące, jakby coś wybudowano na ramie z kości, dodano ciało i mięśnie, ale później twórca zapomniał o skórze. Istota kapiała krwią na podłogę i wpatrywała się we mnie bardzo szeroko otwartymi, bardzo białymi oczyma, w których kryły się jedynie malutkie punkciki czerni.

Rozpoznałem go. Trupiołowy, stwór, która składa sam siebie z porzuconych kości i mięsa zarżniętych wieprzy i bydła. Później zaczyna zjadać, cokolwiek uda mu się złapać, zwykle zaczynając od zwierząt domowych, przez dzieci aż po dorosłych. Jeśli złapie się go na wczesnym etapie, należy go brutalnie powstrzymać – ale tego nikt nie złapał.

Na moich oczach wyprostował się nieśpiesznie – miał dobrze ponad dziesięć stóp wysokości. Jego szczęki tworzyły kości więcej niż kilku różnych istot. Rozchylały się powoli, a powstały otwór miał średnicę tunelu zjeżdżalni w akwaparku. Na podłogę popłynęło więcej krwi i rozległ się głośny świst powolnego oddechu stwora.

Po lewej druga postać zsunęła kaptur. Miała jakieś osiem stóp wysokości i przypominała wyglądem człowieka, poza gęstym żółto-białym futrem, które ją porastało. Mięśnie miała tak potężne, że było je widać mimo sierści, a jej płonące, przekrwione oczy błyszczały pod grubymi łukami brwiowymi. Był to ogr z Zimowego Dworu, znacznie silniejszy, niż mogło się to wydawać na pierwszy rzut oka. Gdyby zechciał, mógłby mnie podnieść, wbić moją głowę w jedną z lodowych ścian, a później potraktować mój kręgosłup jak karabińczyk.

– Całą noc czekałem, żeby zobaczyć tę minę na jego twarzy – powiedział Redcap do Sarissy. – Czyż to nie bezcenne? Co się teraz wydarzy? Jestem tak bardzo zainteresowany.

Odrobina przyjaznego szkolenia i wkurzony malk to jedno, ale walka przeciwko trzem z najpaskudniejszych istot z Faerie jednocześnie pewnie oznaczała przegraną. Może udałoby mi się przeżyć, gdybym był szybki, dobry i miał odrobinę szczęścia.

Ale Sarissa nie.

Miałem tylko jedną realną szansę – błyskawiczna i przytłaczająca agresja. Gdyby

udało mi się wyłączyć jednego z tych palantów z walki przed jej rozpoczęciem, stosunek sił zmieniłby się z niemożliwego w jedynie przytłaczający. Znaczyło to również, że pojawiłaby się niewielka szansa na ocalenie dziewczyny.

Oczywiście oznaczałoby to również złamanie prawa Mab. Chełpiłem się otwieraniem Ścieżki i gdyby przyszło co do czego, pewnie mógłbym – ale trupiogłowy i ogr prędzej by mnie dopadli.

I wtedy właśnie rozległ się dźwięk – wrzask, dudnienie okrutnych trąb, które brzmiało, jakby tego, kto w nie dał, biczowano pokrytym solą batem. Minęła sekunda, nim zorientowałem się, że to nie instrumenty grały. Wysoko po mojej lewej, na replice mojego ulubionego fotela, z lodu wydobywały się kryształy, a gdy lód zmieniał formę, rozlegał się pisk. Utworzyły połowę kopuły składającej się ze szpikulców i zamrożonych ostrzy i zadrżały, gdy środek tej nowej narośli znów się przeobraził. Wewnątrz szpikulców brzęczały i tańczyły lodowate niebieskie, zielone i fioletowe płomyki, emanujące szalonym, skrzącym się blaskiem o wielu barwach. Zorza była jednocześnie hipnotyzująca i oślepiająca, a małe kule dyskotekowe marzyły, że pewnego dnia dorosną i będą choć w połowie tak jaskrawe.

Mab wyszła z lodu i wyglądała przy tym, jakby przechodziła przez cieniutką zasłonę. Miała na sobie oficjalny strój, opalizującą białą szatę przepasaną połączonymi lodowymi kryształami. Na jej czole opierała się lodowa korona, a białe włosy opadały jak śnieg ze szczytu góry. Była odległa i zimna, czysta, piękna i bezlitosna jak śnieg w blasku księżyca.

Stała tak przez chwilę, spoglądając na jaskinię. Później usiadła, powoli i władczo, a lód z kolczastej kopuły przeobraził się w siedzisko. Zajęła na nim miejsce, a lód znów zapiszczał, wydając z siebie drugą udręczoną fanfarę.

Wszyscy obecni w jaskini zwrócili głowy w jej stronę. Sidhe wokół mnie uklękli jednocześnie, włączając w to Redcapa i jego kumpli. Wszędzie na sali inne istoty z Zimowego Dworu robiły to samo i nagle jedynie nieliczni stali wyprostowani. Byłem jednym z nich. Podobnie Król Goblinów, Kringle i Najstarszy Spryciołek, choć każdy z nich stał z opuszczoną głową, w geście szacunku dla władczyni Zimy. Podążyłem za ich przykładem, ale oczy miałem szeroko otwarte.

Zauważyłem Maeve w odległości około czterdziestu, może pięćdziesięciu stóp, na lodowym podwyższeniu naśladującym książkę, która spadła z jednego z regałów. Z tego miejsca doskonale widziała konflikt między mną a Redcapem i nie ukloniła się. Sączyła coś niebieskiego jak lód z kieliszka do szampana i całkowicie ignorowała obecność matki – ale czułem jej złą wolę, płonącą w moim kierunku, nawet jeśli nie

patrzyła prosto na mnie.

Mab przyglądała się mnie i moim towarzyszom zabawy przez dobrą minutę, nic przy tym nie mówiąc. W panującej ciszy było słychać płyn skapujący na podłogę z różnych fragmentów trupiogłowego.

Maeve odwróciła się do matki i pociągnęła łyk niebieskiego szampana. Nic nie mówiła, jej twarz była spokojna i rozluźniona, ale wręcz wyczuwałem węchem, że w duchu uśmiecha się złośliwie.

I dopiero wtedy zrozumiałem. Pierwsza próba Maeve, by skłonić mnie do rozpoczęcia walki na dworze, miała odwrócić moją uwagę. Chciała, żebym skupił się na niej, by mogła wytrącić mnie z równowagi swoim wysokoenergetycznym seksualnym atakiem. Przez to nie myślałem dość jasno, by uniknąć pułapki, którą zatrzaskał Redcap.

Mab przez kolejną minutę patrzyła w milczeniu na Zimową Pannę. Później uśmiechnęła się i bardzo lekko skinęła głową w stronę córki w geście uznania.

– Dobrze rozegrane – mruknęła Mab.

Nie podniosła głosu. Nie musiała. Łód od niego zawibrował.

Przeniosła na mnie wzrok i choć była zbyt daleko, bym dostrzegał szczegóły, jakimś sposobem wiedziałem, co dokładnie znaczyła jej mina – dałem się wciągnąć w ten bajzel. I sam musiałem się z niego wyplątać.

Byłem sam.

Mab przeniosła wzrok na resztę sali.

– W tym dniu świętowania narodzin naszego najnowszego Rycerza pozdrawiamy was, panowie i damy Zimy. Witajcie ponownie w naszym domu. Widzimy, że uroczystości już trwają. – Usadowiła się wygodnie na tronie i uniosła palec do wargi, jakby zafascynowana rozgrywającą się przed nią sceną. – Prosimy, nie pozwólcie, by nasze pojawienie się je przerwało. – Uniosła powoli dłoń. – Jest naszym pragnieniem, byście dalej świętowali.

Cudownie.

Odwróciłem się znów do Redcapa, kątem oka obserwując jego skrzydłowych, i próbowałem wymyślić coś, cokolwiek, co wyciągnęłoby mnie i Sarisnę z tego bajzlu.

Trupiogłowy znów przykucnął, wyraźnie gotując się do skoku. Jego niedopasowane pazury i szpony drapały podłogę. Ogr przeciągnął palce i ponownie zacisnął je w pięści. Odgłos przypominał maszynkę do robienia prażonej kukurydzy. Redcap znów się podniósł, bez trudu ciągnąc za sobą Sarisnę.

A ja miałem na sobie smoking.

Na wszystkie dzwony piekieł.

Jeśli chciałem, żebyśmy oboje przeżyli ten wieczór, musiałem dać z siebie wszystko.

Głos Mab zabrzmiał jak gardłowe mruczenie.

– Muzyka. Pragniemy zobaczyć tańce.

Rozdział siódmy

Szanse były małe. Stanowczo za małe. Cała trójka zabójczych fae stała gotowa do ruchu, a niezależnie od tego, którego z nich zaatakowałbym jako pierwszego, perspektywy Sarissy nie były dobre. Usłyszałem muzykę, niskie i ciche tony, narastające bardzo, ale to bardzo powoli.

Potrzebowałem przewagi, czegoś, co zmieniłoby reguły gry.

Właściwie...

Zmiana reguł gry była dokładnie tym, czego potrzebowałem.

Elfy specjalizują się w krętowniach i sztuczkach, to prawda, a ja przed paroma chwilami o tym zapomniałem. Ale jest jeszcze coś, co przenika ich do szpiku kości – uwielbiają gry.

– A może sprawimy, że całość będzie jeszcze ciekawsza? – zaproponowałem. – Ufam, że nie będziecie mieć nic przeciwko, jeśli zmienimy nasz spór w małą grę?

Och, na sali zapanowało wtedy ogromne skupienie, gdy jakieś tysiąc gardel jednocześnie wciągnęło powietrze. Właściwie czułem, że zaczyna się robić duszno, kiedy wszystkie te istoty pochylły się odrobinę w moją stronę, a ich rosnące zainteresowanie wypełniło jaskinię. Tempo muzyki również się zmieniło, pozostały tylko zawieszony smyczki i stłumiona perkusja.

Poczułem, że przepelnia mnie uczucie, i wiedziałem, że nie należy do mnie – było zbyt czyste, zbyt pierwotne, i sprawiło, że moje ciało znów zadrżało – aprobata Mab była gwałtowna.

– Ależ magu – stwierdził Redcap. – Już gramy w grę. Nie można zmieniać zasad tylko dlatego, że się przegrywa.

– Ale można zmienić stawkę. A gdybyście mogli uzyskać więcej?

Redcap zmrużył oczy.

– Co więcej mógłbyś mieć do stracenia poza swoim życiem?

Posłałem mu protekcyjny uśmiech – a w każdym razie taką miałem nadzieję.

– Chwileczkę. Dlaczego w ogóle rozmawiam z narzędziem, a nie z osobą, która je trzyma? – Odwróciłem się plecami do Redcapa, przełknąłem ślinę i spojrzałem na Maeve. – Proponuję ci nagrodę, Zimowa Panno. Jesteś gotowa mnie wysłuchać?

Oczy Maeve błyszczały jaśniej niż klejnoty na jej... brzuchu. Podeszła do skraju podwyższenia i patrzyła na mnie.

– Jeśli on zwycięży – skinałem głową w stronę Redcapa – pójdę z tobą. Z własnej woli.

Maeve przechyliła głowę.

– A jeśli ty zwyciężysz?

– Sarissa będzie wolna. Wy odejdziecie w spokoju.

Maeve wydeła dolną wargę.

– Spokojnie. To raczej nie jest dobra zabawa. – Uniosła dłoń i od niechcienia bawiła się włosami. – Z mojego punktu widzenia już zdobyłam nagrodę, śmiertelnika. Zobaczę matkę patrzącą na parę unoszącą się z przynajmniej jednego świeżego trupa na jej własnym dworze.

– Masz całkowitą rację, Maeve. Nieźle mnie urządziłaś i byłaś bardzo sprytna. – Mrugnąłem do niej. – Ale czy gra, którą już wygrałaś, jest jeszcze zabawna? Po co zadowalać się tak ulotną nagrodą, choćby i wartościową, skoro możesz odebrać Mab jej Rycerza na oczach całej Zimy?

Te słowa do niej dotarły. Poczulem nagły przyływ ambitnego pożądanego, które przeszło Zimową Pannę, i kipiącą nienawiść towarzyszącą krótkiemu spojrzeniu, jakie posłała odległej Mab na jej tronie.

Usta Maeve wygięły się w grymasie przypominającym uśmiech w takim samym stopniu, w jakim rekin przypomina delfina. Pstryknęła palcami, a dźwięk ten był niemal równie głośny jak wystrzał z pistoletu małego kalibru. Pośpieszyli do niej dwaj sidhe, eskortujący oszołomionego z wyglądu atletycznego młodzieńca. Maeve nie zaczęła na niego. Po prostu usiadła. Sidhe pchnęli młodzieńca na czworaki, a niewielki ciężar Maeve spoczął na jego szerokich plecach.

– Muszę ci to przyznać, matko – powiedziała, nie patrząc w stronę Mab. – Wybierasz naprawdę interesujących śmiertelników do swojej służby.

Uśmiezek Mab mówił więcej niż wszelkie słowa. Poza tym nie poruszyła się ani nie odezwała.

– Pani... – zaczął mówić Redcap za moimi plecami.

– Cicho – rzuciła Maeve z roztargnieniem. – Chcę zobaczyć, co się stanie. Co masz na myśli, magu?

W odpowiedzi sięgnąłem i kilkoma szybkimi pociągnięciami rozwiązałem muszkę. Nie była to jedna z tych gotowych muszek. Składała się z jednego paska czystego jedwabiu, idealnie dobranego długością do mojej szyi, z szerszymi

skrzydełkami na końcu. Uniosłem ją, nieco teatralnie obróciłem się dookoła i powiedziałem:

– Z szacunku dla naszej gospodyni i jej prawa nie będzie rozlewu krwi.

Później rzuciłem muszkę na lodową podłogę między sobą a Redcapem.

Spojrzałem na Maeve i arogancko uniosłem brodę.

– To jak, księżniczko? Bawimy się?

Maeve uniosła dłoń i od niechcienia przeciągnęła czubkiem palca po wargach, jej oczy błyszczały. Spojrzała na Reda i pokiwała głową.

– Dobra, błaznie. – Odwróciłem się w jego stronę. – Może pozwolisz, żeby ten tu yeti przytrzymał dziewczynę, kiedy my dwaj zatańczymy? – Posłałem mu szeroki uśmiech. – Chyba że boisz się starego łowcy karaluchów?

Górna warga Reda zadrżała. Gdyby nie był jednym z sidhe, na przyjęciu i w obecności wszystkich swoich najdroższych zaprzyjaźnionych wrogów, warknęłoby na mnie.

Przywołał ogra jedną ręką, a wtedy stwór poczłapał w jego stronę. Popchnął Sarissę w jego wielkie, kudłate, mięsiste ramiona. Ogr nie złapał dziewczyny za szyję. Po prostu położył dłoń na jej głowie – wyglądała jak włochaty, pająkowaty hełm – i tak trzymał. Z włosów Sarissy wypadły pałeczki z dymnego szkła, a oczy dziewczyny otworzyły się jeszcze szerzej.

– Jeśli mag użyje swoich czarów, skreć jej kark. – Redcap spojrzał na ogra i dodał: – Ale nie odrywaj jej głowy.

– Ano – mruknął ogr. Świdrował mnie wzrokiem.

Auć. Niezły ruch ze strony Reda. Choć chyba nie musiał się kłopotać. Nigdy nie udało mi się porządnie trafić żadnego z sidhe moją magią. Ich obrona przeciwko czemuś takiemu była po prostu piekielnie dobra. Ale liczyłem, że uda mi się wykorzystać ją pośrednio, by pomóc sobie w walce, a Redcap właśnie odebrał mi tę możliwość.

Sarissa posłała Redcapowi spojrzenie, od którego zaczęłyby się łuszczyć farba na ścianach, i powiedziała chrapliwie:

– Harry, nie musisz tego dla mnie robić. Możesz odejść.

– Żartujesz? – mruknąłem. – Myślisz, że chce mi się szukać nowego fizjoterapeuty? Trzymaj się.

Przygryzła wargę i pokiwała głową.

Postarałem się przestać myśleć o dziewczynie i spróbowałem się skupić. Wciąż byłem w lepszej sytuacji niż jeszcze przed kilkoma chwilami. Teraz zamiast walki

trzech na jednego, która najprawdopodobniej skończyłaby się moją śmiercią, a śmiercią Sarissy na pewno, mieliśmy czyste jeden na jednego. Gdybym przegrał, Sarissa by tego nie przeżyła, a ja skończyłbym jako gryzak Maeve albo trup. (Miałem nadzieję na trupa). Ale gdybym zwyciężył, oboje z Sarissą moglibyśmy odejść. Nie oznaczałoby to, że taka sytuacja się nie powtórzy, ale przeżylibyśmy tę noc, co z definicji było zwycięstwem.

Oczywiście teraz musiałem wygrać bez pomocy magii, w pojedynku na garotę przeciwko elfowi, który był ode mnie szybszy i miał stulecia doświadczenia w zabijaniu śmiertelników. A, i musiałem zwyciężyć bez rozlewu krwi, bo inaczej złamałbym prawo Mab – a wiedziałem, jak ona by na to zareagowała. Rozerwałaby mnie na strzępy. Jediną oznaką miłosierdzia z jej strony byłoby zrobienie tego w jednej chwili, a nie rozciągnięcie na wiele tygodni.

Krótko mówiąc, nikt nie zamierzał mi pomóc. Czasem bycie samotnym bohaterem jest do dupy.

Miałem jedną przewagę – byłem przyzwyczajony do walki z zawodnikami z wyższej kategorii wagowej. Nie przeszedłem długiego szkolenia w walce wręcz, ale miałem spore doświadczenie, jeśli chodziło o lądowanie w ryzykownych sytuacjach z morderczo nastawionymi stworami albo ludźmi, którzy byli ode mnie więksi, silniejsi, szybsi i zdecydowani odebrać mi życie – umiałem prowadzić trudną walkę. Redcap umiał zabijać, ale pozbawiając mnie możliwości korzystania z magii, odsłonił część swoich kart – odnosił się do mnie z ostrożnością.

Jasne, był drapieżnikiem, ale w naturze drapieżniki zwykle atakują słabych, chorych, starych i oddalonych od stada. Samotni drapieżcy atakują wyłącznie z zaskoczenia, kiedy mają wszystkie możliwe przewagi. Do diabła, nawet żarłacze ludojady to robią, a są jednymi z największych i najstarszych drapieżników na świecie. W swoim życiu widziałem wiele istot, które polowały na ludzi, i traktuję je jako ryzyko zawodowe, stały element pracy. Wiem, jak działają. Drapieżniki nie lubią uczciwej walki. Sprzeciwia się to ich naturze i pozbawia ich dużej części przewagi.

Redcap próbował ograniczyć moje możliwości, starając się uzyskać jak największą przewagę, jak to robi każdy drapieżnik. A to pokazało mi, że najpewniej nie był przyzwyczajony do tego rodzaju otwartej konfrontacji.

Był nerwowy.

Ja też byłem nerwowy – ale dla mnie taki stan psychiczny był czymś znajomym, a dla niego nie. Może mógłbym to wykorzystać.

Rozpiąłem górny guzik koszuli i zsunąłem marynarkę, jakby nic się nie działo, nie

śpieszyłem się. Rzuciłem ją jednemu z przyglądających się sidhe. Złapał ją, złożył i przewiesił sobie przez ramię, nie odrywając od nas wzroku, a ja spokojnie rozpiąłem mankiety i podwinąłem rękawy. Schowałem spinki do kieszeni.

Przeciągnąłem się i ziewnąłem, co mogło być lekką przesadą, ale, do diabła, czemu nie? Raz kozie śmierć. Uśmiechnąłem się do Maeve, bardzo lekko skinąłem głową Mab i odwróciłem się do Redcapa.

– Gotów – powiedziałem.

– Gotów – powtórzył jak echo Redcap.

Muzyka ucichła nagle i w ciszy rozległ się głos Mab dochodzący ze wszystkich stron.

– Zaczynajcie.

Rzuciłem się do przodu szybciej niż kiedykolwiek, zanim zostałem Rycerzem Mab. Było blisko. Redcap był szybszy, ale ja miałem dłuższe ręce. Złapał bliższy koniec jedwabiu tuż przed tym, jak ja złapałem za swój. Kiedy zacisnąłem palce, wyrwał go z mojego uścisku i opadł całym ciężarem ciała w dół, a jednocześnie tylną nogą zatoczył łuk do przodu, jakieś sześć cali nad lodową podłogą.

Zmieniłem potknięcie w przewrót do przodu. Przeleciałem nad kopniakiem, podciągnąłem kolana pod brodę i gładko się podniosłem – ale ten ruch sprawił, że znalazłem się za Redcapem, a wiedziałem, że ze swoją prędkością i zwinnością z całą pewnością już skacze mi na plecy.

Obróciłem się, unosząc jedną rękę na wysokość gardła, by go powstrzymać, gdyby znalazł się już dość blisko, by owinać je muszką, i jednocześnie rzuciłem się w jego stronę z uniesioną poziomo prawą ręką, z nadzieją, że trafię go w szyję.

Źle oceniłem sytuację. Poruszał się tak szybko, że zauważyłem jedynie niewyraźny ruch, a on nie próbował zarzucić mi muszki na szyję – celował w moją wyciągniętą lewą rękę. Jedwab owinał się wokół mojego nadgarstka, a ja zacisnąłem na nim dłoń we właściwej chwili, by zdążyć prześlizgnąć się w bok, przyciągając moją rękę do swojego ciała. Wykorzystał mój impet i uwięzioną rękę, by pozbawić mnie równowagi i obrócić dookoła, z całej siły szarpiąc mnie przy tym za ramię.

Siłę miał znaczną, a technikę bez zarzutu. Nagle zmienił kierunek, wykorzystując mój własny ruch przeciwko mnie, i z głośnym trzaskiem oraz przeszywającym bólem wyrwał mi rękę ze stawu barkowego.

– Harry! – krzyknęła Sarissa, łapiąc ogra za nadgarstek. Był gruby jak jej własna noga i wydawało się, że ogr nawet nie dostrzega jej szarpaniny.

Redcap nadal trzymał mnie za ramię, przyciskając mój wciąż owinięty muszką

nadgarstek do swojego mostka. Uśmiechnął się szeroko i szedł tyłem po okręgu, a ból i nacisk sprawiły, że musiałem dreptać przed nim. Wśród sidhe zabrzmiał huragan ślicznego, zimnego śmiechu, jak chór lodowych dzwonek.

Redcap się nie śpieszył. Złożył szyderycki ukłon tłumom i odezwał się do mnie:

– Przez chwilę się przejmowałem, śmiertelniku. Jesteś szybszy, niż można by się spodziewać.

Kopnął mnie w wybite ramię. Nie próbował oderwać mi ręki kopniakiem. Robił to dla zabawy. Bardzo bolało.

– Powinieneś zobaczyć swoją minę, śmiertelniku. To się nazywa zabawa.

– Wiesz co, Red? – wydyszałem. – Wszyscy dobrze się bawimy.

Przeniosłem ciężar na kolana i plecy i wbiłem prawą rękę w bok kolana tego osła.

Nie wiem, jak silnym uczynił mnie dar Mab, bo przed rozpoczęciem fizjoterapii niezbyt często podnosiłem ciężary. Nie wiedziałem zbyt wiele o tym, ile ciężarowcy mogli unieść, na przykład podczas wyciskania na ławce. Dlatego też nie miałem większego pojęcia, jak moje obecne wcielenie miało się do starego dobrego mnie. Albo starego dobrego kogokolwiek. A do tego obciążniki na sztandze miały oznaczenia w systemie metrycznym, a ja chyba przespałem dzień, kiedy uczyliśmy się przeliczać je na funty.

Jestem jednak pewien, że czterysta kilogramów to całkiem nieźle.

Siła uderzenia sprawiła, że kolano Redcapa pękło jak balonik i wygięło się w stronę drugiej nogi. Elf zawył z zaskoczenia i bólu i próbował się wyrwać, ale podobnie jak ja nie byłem zdolny się poruszyć przez kilka krytycznych sekund po tym, jak mnie zranił, jego ciało również nie reagowało właściwie i upadł obok mnie.

Miałem wrażenie, że lewa strona mojego ciała płonie, tyle że ja i ból jesteśmy starymi kumplami. Jego uścisk na muszce osłabł, a ja nie mogłem poruszyć lewą ręką na tyle, by ją rozluźnić. Dlatego, zanim zdołał odzyskać siły, uderzyłem go zdrową ręką w szyję. Zakrztusił się i zaczął się wić, a ja w tym czasie odwinąłem jedwab z bezużytecznej ręki. Próbowałem wyrwać mu muszkę, on jednak otrząsnął się już z ciosów, które mu zadałem, i trzymał mocno. Szarpałem ze wszystkich sił, ale miałem tylko jedną rękę i brakowało mi punktu podparcia. Czuję, jak jedwab wyślizguje mi się z palców.

Dlatego puściłem go bez ostrzeżenia, a kiedy Redcap leciał do tyłu, złapałem za inny cel.

Zrobił przewrót do tyłu i zatrzymał się sześć stóp ode mnie. Wsparł się na dłoni i kolanie, wciąż ściskając muszkę.

Od niechcienia włożyłem jego czerwoną czapkę, uniosłem palec wskazujący do daszka, mrugnąłem do niego i stwierdziłem:

– Włosy ci się spociły pod czapką.

Znów rozległ się chór mrozącego krew w żyłach śmiechu sidhe. Fakt, że śmiały się razem ze mną, nie czynił go przyjemniejszym niż wtedy, kiedy śmiały się ze mnie.

Na twarzy Redcapa pojawił się ciemny rumieniec, a naczynka krwionośne w jego oczach popękały.

Na wszystkie dzwony piekieł, cymbał nie był szczególnie poruszony, kiedy połamałem mu nogę. Ale wystarczyło, żebym dotknął jego czapki i zawstydził go przed towarzyszami, a od razu wpadł w szal. Nikt już nie ma właściwych priorytetów.

Podniosłem się, zanim zdążył skoczyć. Uderzył we mnie, nim do końca odzyskałem równowagę, i obaj poleciliśmy na ziemię. Patrzył na mnie płonącymi oczyma. Zignorował muszkę i zacisnął ręce na moim gardle.

Był silny. Sądzę, że mogłem być silniejszy od niego, ale używałem tylko jednej ręki. Uderzyłem nią w jego przedramiona – gdyby wciąż wbijał we mnie te paznokcie, z całą pewnością popłynęłaby krew. Syknął i w ostatniej chwili cofnął ręce. Wtedy uderzyłem kolanem w jego ranną nogę. Zaczął krzyczeć, a ja zrzuciłem go z siebie i ruszyłem za nim.

Przetoczyliśmy się parę razy i nie umiem opisać, jak bardzo bolało to nas obu. On mógł używać obu rąk. Ja mogłem używać obu nóg, żeby zapewnić sobie podparcie – ale on wił się lepiej ode mnie i jakimś sposobem udało mu się w zamieszaniu prześlizgnąć na moje plecy i zacisnąć mi rękę na gardle. Wsunąłem pod nią kilka palców i zacząłem go odrywać. Ten ruch nie mógł zapewnić mi zwycięstwa. Udało mi się zmniejszyć nacisk, ale nie mogłem go z siebie zdjąć i zaczęła mnie boleć głowa.

Wśród sidhe rozległo się kolejne grupowe westchnienie i czułem, że nachylają się bliżej, ich zainteresowanie było wręcz gorączkowe, całe setki oczu jak klejnoty migotały niczym gwiazdy, gdy światło zaczęło przygasać. Sarissa patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma, minę miała przerażoną.

Ale... zgubiła jeden pantofel.

Na moich oczach wyciągnęła palce stopy i udało jej się podnieść z podłogi jedną ze szklanych pałeczek. Przeklęty yeti, który ją trzymał, nawet tego nie zauważył. Zbyt uważnie przyglądał się walce.

Sarissa chwyciła pałeczkę dłońmi i złamała ją.

Odłamki czarnego szkła poleciały na wszystkie strony, odsłaniając wąski stalowy pręt. Nie patrząc, uniosła rękę i przycisnęła pręt od spodu do nadgarstka yeti.

Elfy, czy to sidhe, czy innego rodzaju, nie znoszą dotyku żelaza. Dla nich jest gorsze niż stopiony pluton. Parzy je jak ogień, pozostawia blizny, zatruwa. Istnieje wiele podań na temat zimnego żelaza i powszechnie uważa się, że to określenie dotyczy jedynie żelaza kutego na zimno, ale to stek bzdur. Kiedy stare opowieści wspominają o „zimnym żelazie”, jest to poetyckie określenie, podobnie jak „rozgrzany ołów”. Jeśli chce się zrobić krzywdę jednemu z fae, wystarczy żelazo, w tym dowolny stop z jego domieszką.

I, stary, ono naprawdę robi im dużą krzywdę.

Na nadgarstku ogra pojawił się nagle jaskrawy żółto-biały płomień, jasnością przypominający spawarkę. Ogr zawył i gwałtownie cofnął rękę z głowy Sarissy, jakby był dzieckiem eksperymentującym z monetą i gniazdkiem elektrycznym.

Sarissa obróciła się na pięcie i cięła małym prętem udo ogra.

Stwór zawył z pierwotnej wściekłości i cofnął się, odruchowo uderzając ją długą łapą.

Dziewczyna przyjęła na siebie jedynie niewielki ułamek siły ciosu, ale to wystarczyło, by poleciała do tyłu. Upadła parę stóp ode mnie i podniosła na mnie wzrok, a jej spojrzenie było oszołomione.

Dolna warga Sarissy pękła.

Duża rubinowa kropla spadła z jej ust i wisiała w powietrzu, błyszcząca i doskonała, i trwała tak przez pół wieczności, aż w końcu uderzyła w lodową podłogę.

Kiedy krew dotknęła nadnaturalnego lodu, rozległ się syczący pisk, odgłos pośredni między rozgrzaną patelnią a wypadkiem w zakładzie wysokich ciśnień. Lód pod nią rozpadł się, jakby ta kropelka była niewyobrażalnie ciężka, a sieć ciemnych pęknięć sięgnęła na pięćdziesiąt stóp we wszystkie strony.

Muzyka ucichła. Redcap zmarł. Podobnie jak wszyscy pozostali.

Mab podniosła się z tronu i jakimś sposobem w tej jednej chwili przebyła całą odległość od swojego podwyższenia, jakby sam akt wstawania popchnął ją przez przestrzeń. Jej piękna biała suknia stała się kruczoczarna, wyglądało to tak, jakby w powietrzu unosiła się delikatna atramentowa mgielka. Włosy nabrały tego samego odcienia, a oczy były całkiem czarne, łącznie z twardówką, podobnie paznokcie. Wydawało się, że skóra mocniej opina jej kości, przez co piękne rysy stały się wychudzone i straszliwe.

Redcap oderwał się ode mnie i odczołgał na rękach w bezpieczne miejsce. Trzeba mu to przyznać – może i był sadystycznym, krwiożerczym potworem, ale nie głupcem.

Wściekły i poparzony ogr nie był dość bystry, by się zorientować, co się działo. Wciąż dymiący, wciąż pełen furii, szedł ciężkim krokiem w stronę Sarissy.

– Rycerzu. – Głos Mab był jak trzask bicia.

Maeve stanęła na skraju podwyższenia i zacisnęła dłonie w pięści, a jej wargi wygięły się w grymasie.

Nie podniosłem się z ziemi. Nie miałem czasu. Jedynie skupiłem swoją wolę na zbliżającym się ogrze i napełniłem zakłęcie złością i bólem, jak również zamarznętym jądrem mocy z mojego wnętrza. Wypuściłem energię i zagrzałem:

– *Ventas servitas!*

Ogr był zaledwie kilka stóp od Sarissy, kiedy w jego masywną sylwetkę uderzył przywołany przeze mnie podmuch arktycznego wichru i podniósł go nad ziemię. Odrzucił ogra na dobre dziesięć stóp. Stwór przetoczył się, wbił szpony w lód i spróbował się podnieść.

Wstałem boleśnie świadomy czarnej obecności Mab tuż za lewym ramieniem i spojrzeń Zimowego Dworu.

Powiedziałem Sarissie, że to mój pierwszy dzień w więzieniu, a spaceriak był pełen istot, które mogły mnie zabić i zrobiłyby to, gdyby dostały okazję. Czas na lekcję pogładową.

Sięgnąłem do zimna w swoim wnętrzu. Dotykanie tej mocy było bolesne jak skok w lodowatą wodę, jak wyjście spod ciepłej kołdry w chłód nieogrzewanego mieszkania w zimowy poranek. Nie podobało mi się to, ale wiedziałem, jak ją zdobyć.

Musiałem jedynie pomyśleć o wszystkich, których zawiodłem. Wszystkich, których pozostawiłem w Chicago. Bracie Thomasie. Praktykantce Molly. Przyjaciołach. Córce. Karrin. Myślałem o nich i miałem wrażenie, że coś w mojej piersi rozrywa się na pół.

Zima w moim wnętrzu była męczarnią i udręką – ale kiedy się w niej zanurzyłem, przynajmniej nic nie czułem.

Uniosłem prawą rękę – ta strona wyrzucała energię – skupiłem wolę i krzyknąłem:

– *Infriga!*

Pojawił się nagły błysk światła, zawroźnienie arktycznego wichru, wycie powietrza, nagle skondensowanego do postaci płynnej, i wybuch szronu i mgły skupiony wokół ogra. Powietrze stało się ścianą kłębiącej się mgły i przez kilka sekund panowała cisza. Zaczekałem, aż mgła się rozproszy. Po kilkunastu długich sekundach zaczęła się rozwiewać, porwana przez pozostałości wichury, którą przywołałem jako pierwszą.

Kiedy się rozproszyła, cały Zimowy Dwór patrzył na ogra, wciąż pochylonego jak

wtedy, kiedy rzuciłem na niego zaklęcie.

Poczekalem jeszcze chwile, by wszyscy zobaczyli ogra stojącego całkowicie nieruchomo i rzucającego wyzwanie prawu Mab.

Wtedy znów zebrałem wolę, wyciągnąłem rękę i warknąłem:

– *Forzare!*

Lanca niewidzialnej mocy wystrzeliła w stronę ogra – a kiedy uderzyła, zamrożony potwór rozpadł się na tysiące zlodowaciałych kawałków, z których największy miał wielkość mojej pięści.

Odłamki zabitego ogra zasypały kilkaset stóp kwadratowych parkietu tanecznego, makabryczne zamarznęte szrapnele uderzyły w zgromadzonych sidhe i zmusiły ich do wycofania się z okrzykami niepokoju. Po chwili sidhe znów zapanowali nad sobą. Wpatrywali się we mnie swymi jasnymi oczami, a ich twarze były obce, nieprzeniknione.

Z któregoś kąta dobiegł głęboki, szczerze rozbawiony śmiech. Kringle, pomyślałem.

Odwróciłem się do Mab, chcąc coś powiedzieć, ale wtedy przypomniałem sobie jej drugie prawo i zamknąłem usta.

Na wargach Mab pojawił się mikrouśmiech aprobaty. Skinęła mi głową.

– Jeśli wyrażicie zgodę, przemówię do nich.

Wpatrywała się we mnie czarnymi oczyma padlinożernego ptaka, po czym pokiwała głową.

Najpierw pomogłem Sarissie wstać i podałem jej czystą białą chusteczkę, którą natychmiast przycisnęła do ust. Uśmiechnąłem się, jak miałem nadzieję, uspokajająco. Później odetchnąłem głęboko i odwróciłem się, by przemówić do zgromadzonych. Mówiąc, powoli zataczałem krąg, by się upewnić, że uwzględniłem wszystkich. Mój głos odbijał się echem w całej sali, jakbym używał systemu nagłośnienia.

– Dobra, wy prymitywne tępaki. Słuchajcie. Nazywam się Harry Dresden. Jestem nowym Rycerzem Zimy. Ustanawiam zasadę: kiedy jesteście w zasięgu mojego wzroku, śmiertelnicy są zakazani. – Przerwałem na chwilę, żeby moje słowa do nich dotarły. Później mówiłem dalej. – Nie mogę wydawać wam rozkazów. Nie mogę kontrolować tego, co robicie w swoich domenach. Nie zmienię was. Nawet nie spróbuję. Ale jeśli zobaczę, że maltretujecie śmiertelnika, dołączycie do tego tu Kawałka. Zero ostrzeżeń. Zero usprawiedliwień. Mniej niż zero tolerancji. – Znów przerwałem na chwilę. – Jakies pytania?

Jeden z sidhe uśmiechnął się szyderczo i zrobił krok do przodu przy akompaniamencie skrzypienia skórzanych spodni. Otworzył usta, minę miał protekcjonalną.

– Śmiertelniku, naprawdę myślisz, że możesz...

– *Infriga!* – warknąłem, znów uwalniając Zimę. Nie zaczekałem, aż chmura się rozproszy, i zadałem drugi cios, krzyząc: – *Forzare!*

Tym razem skierowałem większość mocy do góry. Makabryczne kawałki zamrożonego sidhe opadały z trzaskiem na łód parkietu.

Kiedy mgła się rozproszyła, Sidhe wydawali się... oszołomieni. Nawet Maeve.

– Cieszę się, że mnie o to spytałeś – powiedziałem do przestrzeni, w której wcześniej stał lord sidhe. – Mam nadzieję, że moja odpowiedź wyjaśniła wszelkie nieporozumienia. – Popatrzyłem na prawo i lewo, ale nikt nie odważył się spojrzeć mi w oczy. – Jeszcze jakieś pytania?

Zapanowała głucha cisza, przerywana jedynie kolejnymi dudniącymi wyrazami rozbawienia Kringle'a.

– Córko – powiedziała spokojnie Mab. – Twój pacholek przyniósł mi wstyd jako gospodyni tego zgromadzenia. Udasz się natychmiast do Arctis Minora i tam będziesz oczekiwać na moje życzenia.

Maeve patrzyła zimno na Mab. Później obróciła się na pięcie, migocząc klejnotami, i odeszła. Podążyło za nią kilka tuzinów sidhe, w tym Redcap i trupiołowy.

Mab odwróciła się do Sarissy i odezwała o wiele spokojniejszym głosem:

– Żelazo. Poważnie?

– Przepraszam, królowo. Zutylizuję je w bezpieczny sposób.

– Dopilnuj tego – poleciła Mab. – Chciałabym zatańczyć. Panie Rycerzu?

Zamrugalem, ale nie wahałem się dłużej niż chwila albo trzy.

– No tak. Moje ramię może w tym przeszkodzić.

Mab uśmiechnęła się i położyła dłoń na moim barku. Ręka wskoczyła z powrotem na swoje miejsce, czemu towarzyszył srebrzysty wstrząs odczuć, a ból prawie zniknął. Poruszyłem ramieniem i nawet jeśli nie było do końca sprawne, działało wystarczająco dobrze.

Odwróciłem się do Mab, ukloniłem i podszedłem bliżej, gdy znów zabrzmiała muzyka. Był to walc. Na oczach oszołomionych sidhe płąsałem z Mab w rytmie utworu „45” zespołu Shinedown w wersji na pełną orkiestrę symfoniczną, a co mniejsze kawałki naszych wrogów trzeszczały pod naszymi stopami. Co dziwne, nikt do nas nie dołączył.

Taniec z Mab przypominał taniec z cieniem. Poruszała się z takim wdziękiem i tak lekko, że gdybym miał zamknięte oczy, mógłbym nie zauważyć, że w ogóle tam jest. Przy niej czułem się ociężały i niezgrabny, ale przynajmniej udało mi się nie potknąć o własne nogi.

– Dobrze ci poszło, magu – mruknęła Mab. – Nikt nie podniósł na nich ręki w taki sposób od czasów Tam Lina.

– Chciałem, by pojęli naturę tego, co nas łączy.

– Wygląda na to, że ci się udało. Następnym razem, kiedy cię zaatakują, nie zrobią tego tak otwarcie.

– Poradzę sobie.

– Nie spodziewam się niczego mniej. W przyszłości postaraj się nie znaleźć w aż tak niekorzystnej sytuacji. Możesz nie mieć pod ręką Sarissy, by uratowała cię po raz drugi.

Odchrząknąłem. Później zmarszczyłem czoło i powiedziałem:

– Chciałaś, żeby to się dziś wydarzyło. Nie chodziło tylko o to, żeby pokonać twoich arystokratów w pojedynku spojrzeń. Puściłaś coś w ruch.

Z aprobatą wygięła lekko kącik ust.

– Dobrze wybrałam. Jesteś gotów, mój Rycerzu. Czas, bym wydała ci pierwszy rozkaz.

Przełknąłem ślinę i próbowałem nie robić nerwowej miny.

– Ach tak?

Kiedy piosenka się skończyła, Mab stała bardzo blisko mnie. Lekko uniosła głowę, by szepnąć mi do ucha. Sidhe klaskali uprzejmie i bez entuzjazmu, ale dźwięk wystarczył, by zagłuszyć szeptane słowa.

– Magu. – Jej lekko chropawy głos drżał. Każdą sylabę wręcz wypełniały jad i nienawiść. – Zabij moją córkę. Zabij Maeve.

Rozdział ósmy

Taniec z Mab przypominał pośpieszne wypicie kilku szklanek starej whiskey. Bycie tak blisko niej, jej urody, jej bezdennych oczu, bardzo mnie poruszyło. Jej zapach, chłodny, czysty i upajający, pozostał w moich nozdrzach i był dezorientującą przyjemnością. Zużyłem sporo energii, by dwukrotnie odstawić numer z przerobieniem na mielonkę, a połączenie tego z bliskością Mab sprawiło, że po zakończeniu tańca miałem drobne problemy z utrzymaniem równowagi.

Nie chodziło o to, że darzyłem ją uczuciem. Nie czułem tego stłumionego pulsowania fizycznego pociągu, jak w obecności ładnej kobiety. Do diabła, z całą pewnością jej nie kochałem. Po prostu przebywanie tak blisko niej, tego rodzaju zabójczej mocy i piękności, nieśmiertelnego głodu i pożądania, musiało mną wstrząsnąć. Mab nie była człowiekiem i nie była przeznaczona dla ludzkiego towarzystwa. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że długotrwałe wystawianie na jej bliskość musiało mieć poważne, nieprzyjemne skutki uboczne.

Nie mówiąc już o tym, co właśnie kazała mi zrobić.

Konsekwencje takiego czynu byłyby... naprawdę, naprawdę ogromne. I jedynie idiota dałby się wmieszać w bezpośrednie działanie na tak poważną skalę – co, prawdę mówiąc, nie świadczyło o mnie zbyt dobrze, gdyby wziąć pod uwagę to, jak często odgrywałem rolę idioty.

Po tańcu Mab wróciła na tron i spoglądała na salę spod ledwie uchylonych powiek, odległa postać, znów odziana w czystą biel i nietykalna. Kiedy moja głowa wyłoniła się z zimnej, otępiającej czystości mocy Zimy, wszystkie bóle po walce z Redcapem powróciły z całą mocą. Zmęczenie narastało, a kiedy rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym usiąść, ujrzałem siedzącego obok Kota Sitha. Jego szeroko otwarte oczy były cierpliwe i nieprzejrzyste.

– Panie Rycerzu. Nie tolerujesz głupców. – W głosie malka brzmiała ledwie słyszalna nuta aprobaty. – Czego potrzebujesz?

– Mam dość przyjęcia. Czy byłoby wielką niedogodnością dla królowej, gdybym teraz je opuścił?

– Gdyby życzyła sobie, byś pozostał, znajdowałbyś się u jej boku. I wydaje się, że

stosownie się zaprezentowałaś.

– Dobrze. Jeśli nie miałbyś nic przeciwko, poproś proszę Sarissę, by do mnie dołączyła.

– Nie mam nic przeciwko.

Tym razem w głosie Kota Sitha brzmiała zdecydowana aprobata. Zniknął wśród tłumu, a po kilku chwilach powrócił, prowadząc Sarissę. Szła dość pewnie, choć wciąż przyciskała do warg moją chusteczkę.

– Chcesz się stąd wynosić? – spytałem ją.

– Dobry pomysł. Większość szych wyszła po waszym tańcu. Teraz wszystko będzie się... degenerować.

– Degenerować?

– Nie mam ochoty zostawać – powiedziała ostrożnie. – Wolałabym sobie pójść.

Zmarszczyłem czoło i nagle uświadomiłem sobie, że próbowała mnie przejrzeć. Jednocześnie stałem się boleśnie świadom pewnej liczby panien sidhe, które... powiedziałbym, że „czaiły się” w pobliżu, ale zwykle nie używa się tego słowa w odniesieniu do kogoś tak pięknego. W każdym razie pół tuzina z nich trzymało się blisko i śledziło mnie wzrokiem. Z niepokojem przypominałem sobie film dokumentalny o lwicach polujących w stadzie. Było w nich coś bardzo podobnego.

Jedna oszałamiająca ciemnowłosa piękność, odziana w czarne skórzane spodnie i naklejoną w strategicznych miejscach taśmę izolacyjną, wpatrywała się we mnie uważnie, a kiedy zorientowała się, że na nią patrzę, oblizwała wargi, niezmiernie powoli. Przeciągnęła czubkiem palca po brodzie i przez szyję aż do mostka, po czym posłała mi uśmiech tak niegodziwy, że rodzice powinni byli posłać go do szkoły kadetów.

– Och. – Nagle zrozumiałem. Mimo zmęczenia poczułem, że mam sucho w gardle, a moje serce nieco przyśpieszyło. – Degenerować.

– Pójdę sobie – stwierdziła Sarissa. – Nie masz żadnych zobowiązań wobec mnie tylko dlatego, że przyszliśmy razem.

Do panny Taśmy Izolacyjnej podeszła inna sidhe o włosach w kolorze indygo, objęła ją i obie wpatrzyły się we mnie. Coś w moim wnętrzu – skłamałbym, gdybym powiedział, że nic z tego nie było moje – wydało z siebie pierwotne warczenie i poradziło mi, żebym zaciągnął je obie za włosy do swojej jaskini i zrobił z nimi, co tylko zechcę. Był to niezwykle potężny impuls, który sprawił, że zacząłem przesuwać środek ciężkości, by zrobić krok w ich stronę. Powstrzymałem się i zamknąłem oczy.

– Jasne. Jasne, wyglądają wspaniale, ale to nie jest fantazja, która stała się

rzeczywistością, Harry. To rębak w stroju króliczka *Playboya*. – Potrząsnąłem głową i zanim otworzyłem oczy, zdecydowanie odwróciłem się od pokusy. – Oboje sobie pójdziemy. Pozostanie byłoby złym pomysłem. – Podałem rękę Sarissie.

Przez chwilę patrzyła na mnie zamyślona, marszcząc czoło, zanim wzięła mnie pod rękę. Wyszliśmy znów prowadzeni przez Kota Sitha. Kiedy znaleźliśmy się w lodowych korytarzach, spytała:

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Wszedłeś. Chciałeś zostać. I... powiedzmy, że, ach, apetyty panien sidhe nie są wyolbrzymione. I nic nie podnieca ich bardziej od brutalności i mocy. Niektórzy mężczyźni dosłownie zabijaliby, żeby dostać szansę, z której ty właśnie zrezygnowałeś.

– Pewnie tak. Idioci.

– W takim razie dlaczego odmówiłeś?

– Ponieważ nie jestem przekłętą dmuchaną lalką.

– To dobry powód, by unikać zainteresowania, kiedy ktoś się narzuca. Ale do niczego takiego nie doszło. Dlaczego zrezygnowałeś z tego, co ci oferowały?

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, zanim odpowiedziałem:

– Już dokonałem jednego wyboru, który... który odebrał mi wszystko. Nie wiem, jak długo będę jeszcze w okolicy ani jakie życie uda mi się dla siebie wykroić. Ale w miarę możliwości chcę żyć jako pan samego siebie. Nie jako czyjaś więzienna ciota. Nie promocja dnia.

– Ach. – Lekko zmarszczyła czoło.

Zamrugałem kilka razy i nagle uświadomiłem sobie, czego próbowała się dowiedzieć.

– Och. Zastanawiasz się, czy odtrąciłem je, bo zamierzałem zająć się tobą?

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Nie wyraziłabym tego w taki sposób.

Prychnąłem.

– Nie zamierzam.

Pokiwała głową.

– Dlaczego?

– A czy to ma znaczenie?

– Dlaczego zawsze ma znaczenie.

Tym razem to ja spojrzałem z namysłem na Sarissę.

- Owszem.
- W takim razie dlaczego nie?
- Ponieważ ty też nie jesteś przeklętą dmuchaną lalką.
- Nawet gdybym sama chciała?

Na te słowa poczułem lekkie ściskanie w żołądku. Sarissa była piekielnie atrakcyjna i lubiłem ją. Od czasu do czasu sprawiałem, że się uśmiechała albo śmiała. I minęło sporo czasu...

Stary, to historia mojego życia. Wydaje się, że zawsze minęło sporo czasu.

Ale trzeba myśleć o czymś więcej niż następna godzina.

– Jesteś tutaj, bo Mab wydała ci taki rozkaz. Cokolwiek zrobimy, będzie to miało w sobie element przymusu, niezależnie od tego, jak by do tego doszło. Nie wchodzę w to.

– Przed chwilą uratowałeś mi życie. Niektórzy mogliby sądzić, że zasłużyłeś na moje zainteresowanie.

– Niektórzy przez cały czas mają głupie pomysły. Liczy się jedynie twoje zdanie. – Spojrzałem na nią. – Poza tym ty również mnie uratowałaś. Wniosłaś stal w serce Zimy. Wykorzystałaś ją na oczach samej Mab. To szaleństwo.

Uśmiechnęła się lekko.

– Byłoby szaleństwem, gdybym jej nie wniosła. W czasie, który tu spędziłam, nauczyłam się paru rzeczy.

Dotarliśmy do drzwi mojego apartamentu, co wciąż wydawało się niezręcznym określeniem, nawet w mojej własnej głowie. Mój apartament. Faceci tacy jak ja nie mają apartamentów. Mają kryjówki. Kot Sith opuścił nas dyskretnie. Nie zauważyłem, jak odchodził.

- Jak długo to trwało?
- Zbyt długo. – Nie zdjęła ręki z mojego ramienia.
- Wiesz, od dłuższego czasu ze sobą współpracujemy.
- Owszem.

– Ale nigdy nie rozmawialiśmy o sobie. Nie tak naprawdę. Tylko ślizgaliśmy się po powierzchni.

- Ty nie mówiłaś o sobie. Ja nie mówiłam o sobie.
- Może powinniśmy to zmienić.

Sarissa spuściła wzrok. Jej policzki lekko się zarumieniły.

- Ja... a powinniśmy?
- Chcesz wejść? Żeby porozmawiać. Nic więcej.

Przez chwilę rozważała swoją odpowiedź.

– Jeśli chcesz, żebym to zrobiła.

Próbowałem spojrzeć na to z punktu widzenia Sarissy. Była piękną kobietą, która musiała ciągle pozostawać świadoma zainteresowania mężczyzn. Śmiertelniczką żyjącą w świecie elfów, z których większość była nikczemna, a wszystkie były niebezpieczne. Pierwszym Rycerzem Zimy, którego poznała, był Lloyd Slate, paskudny sukinsyn. Coś ją łączyło z samą Mab, istotą, która mogła zniszczyć Sarissę w dowolnej chwili, gdyby była z niej niezadowolona.

A ja byłem człowiekiem Mab od brudnej roboty.

Sarissie groziła śmierć jedynie dlatego, że przypadkiem towarzyszyła mi na przyjęciu. Prawie zginęła. Jednocześnie podjęła jednak działania, by uratować siebie – i mnie też – a teraz stała spokojnie obok mnie i nie okazywała najmniejszego niepokoju. Przez kilka miesięcy pomagała mi znów stanąć na nogi, zawsze łagodna, zawsze pomocna, zawsze cierpliwa.

Była ostrożna, jeśli chodziło o obdarzenie mnie zaufaniem. Trzymała się na bezpieczną odległość. Rozumiałem dlaczego. Ostrożność była cechą niezbędną do przetrwania w Zimie, a z jej punktu widzenia byłem najpewniej rodzącym się potworem. I to potworem, któremu została oddana.

Kiedy się nad tym zastanowiłem, nawet jeśli uratowałem jej życie, ona wcale by tego nie potrzebowała, gdyby mi nie towarzyszyła. Doszedłem do wniosku, że biorąc pod uwagę to i wszystko inne, co dla mnie zrobiła, byłem jej wielkim dłużnikiem.

Ale nie mogłem jej pomóc, jeśli nie dowiem się o niej czegoś więcej.

– Na parę minut – powiedziałem. – Proszę.

Pokiwała głową i weszliśmy do środka. Do mojej sypialni przylegał niewielki salon. Gdzieś przeczytałem, że ogólnie rzecz biorąc, kobiety czują się swobodniej, kiedy ktoś siedzi obok nich, nie zaś naprzeciwko. Mężczyźni odwrotnie. Siedzenie twarzą w twarz zawiera podtekst bezpośredniego konfliktu fizycznego – w którym przewagę ma zazwyczaj ten większy i silniejszy. Nie wiedziałem, czy to prawda, ale Sarissa była już dość nakręcona i wolałem niczego do tego nie dokładać. Dlatego posadziłem ją na jednym końcu kanapy, a później sam usiadłem na drugim, na tyle daleko, że nie mogłem jej dotknąć.

– W porządku. Pewnie nie rozmawialiśmy, bo nigdy nie mówiłem ci nic o sobie. Czy o to chodzi?

– Zaufanie musi być obustronne.

Zaśmiałem się krótko.

– Za dużo przebywasz z Mab. Ona też nie lubi odpowiadać na proste pytania „tak” lub „nie”.

Sarissa wygięła kąciki warg.

– Tak.

Znów się zaśmiałem.

– W porządku. Kiedy wejdiesz między wrony i tak dalej. Może powinniśmy wymieniać się pytaniami i odpowiedziami. Zaczynaj.

Splotła dłonie i zmarszczyła czoło, po czym pokiwała głową.

– Słyszałam wiele historii na twój temat. Że masz wiele ofiar na sumieniu. Czy to prawda?

– Nie wiem, co słyszałaś. Ale... tak. Kiedy złe istoty atakują ludzi w moim mieście, staram się wejść im w drogę. I od jakiegoś czasu jestem Strażnikiem Białej Rady. Walczyłem w wojnie przeciwko Czerwonemu Dworowi. Dużo walczyłem. Czasem ktoś zginął. Dlaczego jesteś dłużniczką Mab?

– Ja... cierpię na pewną odmianę wrodzonej demencji. Widziałam, co stało się z moją starszą siostrą, i... – Zadrżała. – Lekarze nie mogą mi pomóc. Mab tak. Zabiłeś kiedyś kogoś, kto nie próbował cię zabić?

Spuściłem wzrok na buty.

– Dwa razy – odparłem cicho. – Poderżnąłem gardło Lloydowi Slate’owi, żeby zostać Rycerzem Zimy. I...

Nagle wspomnienie. Zniszczone miasto pełne wyjących potworów i krwi. Błyski światła i ryczące wybuchy magii rozrywające skały i powietrze. Wszędzie pył. Przyjaciele – walczący, krwawiący, zdesperowani. Kamienny ołtarz pokryty grubą warstwą zaschłej krwi. Przerażona dziewczynka, moja córka. Zdrada.

Pocałunek na czole kobiety, którą właśnie miałem zamordować.

Boże, Susan, wybacz mi.

Łzy w oczach sprawiały, że niewiele widziałem, a gardło miałem tak ściśnięte, jakby Redcap znowu mnie dusił, ale zmusiłem się do mówienia.

– I zabiłem pewną kobietę, Susan Rodriguez, bo gdybym tego nie zrobił, zginęłaby mała dziewczynka wraz ze sporą liczbą dobrych ludzi. Ona o tym wiedziała. – Przetarłem oczy i odkaslnąłem. – Jakie były warunki twojej umowy z Mab?

– Że dopóki pozostanę sobą i zdrowa na umyśle, będę jej towarzyszyć i wypełniać jej polecenia przez trzy miesiące w roku. Kiedy chodziłam do szkoły, w letnie wakacje. Teraz w weekendy, z wyjątkiem ostatnich tygodni. Dzięki temu, że opiekowałam się tobą, będę miała teraz całe miesiące wolnego. – Bawiła się zabrudzoną chusteczką. Jej

pęknięta warga przestała krwawić i znaczyła ją teraz smuga ciemnej, zaschłej krwi. – Przez ten cały czas, kiedy zajmowałam się twoją terapią, chyba wspomniałeś coś o tym, że kiedyś miałeś psa i kota. Ale nigdy nie mówiłeś o przyjaciółach i rodzinie. Czemu?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jestem pewien. – A później uświadomiłem sobie, że okłamuję wszystkich obecnych. – Może... może dlatego, że myślenie o nich boli. Bo za nimi tęsknię. Bo... bo są dobrymi ludźmi. Najlepszymi. A ja nie jestem pewien, czy będę umiał spojrzeć im w oczy po tym, co zrobiłem. A ty? Masz przyjaciół?

– Są ludzie, z którymi czasem robię różne rzeczy. Nie... nie jestem pewna, czy nazwałabym ich przyjaciółmi. Nie chcę mieć przyjaciół. Interesują się mną niebezpieczne istoty. Gdybym się do kogoś zbliżyła, mogłabym mu zagrozić. Czy ty się tym w ogóle przejmujesz?

– Codziennie. Byłem na pogrzebach przyjaciół, którzy zginęli, bo byli zamieszani w moją pracę i moje życie. Ale chcieli tam być. Znali niebezpieczeństwo i zdecydowali się stawić mu czoło. Nie zamierzam dokonywać wyborów za nich. Myślisz, że samotność jest lepsza?

– Myślę, że jest lepsza dla nich. Jesteś teraz zdrowy. Zamierzasz wrócić do domu? Do przyjaciół i rodziny?

– Już nie mam domu. – Nagle poczułem się bardzo zmęczony. – Spalili moje mieszkanie. Książki, laboratorium. A przyjaciele myślą, że nie żyję. Jak mógłbym wrócić? „Cześć wszystkim. Wróciłem. Tęskniliście za mną? Pracuję teraz dla jednego ze złych gości, byliście pod moją nieobecność na czymś fajnym w kinie?”. – Potrząsnąłem głową. – Narobiłem sobie nowych wrogów. Paskudnych. Znów bym ich w to wciągnął. Wiem, co by powiedzieli... że to bez znaczenia. Ale nie wiem jeszcze, co zrobię. Wydaje się, że Mab ci ufa. Co takiego dokładnie dla niej robisz?

Sarissa uśmiechnęła się lekko.

– Jestem dla niej takim ludzkim szerpą. Mimo całej swej potęgi i wiedzy Mab nie zawsze dobrze rozumie ludzi. Zadaje mi pytania. Czasami oglądamy telewizję, chodzimy do kina albo słuchamy muzyki. Zabierałam ją na koncerty rockowe. Na lodowisko. Na zakupy. Do klubów. Raz wybrałyśmy się do Disneylandu.

Zamrugalem.

– Chwileczkę. Twoją pracą jest... Jesteś najlepszą psiapsiółką Mab?

Sarissa nagle zaczęła się śmiać, aż w jej oczach pojawiły się łzy.

– Och. – Nadal chichotała. – Och, nigdy nie myślałam o tym w taki sposób, ale...

Boże, to pasuje, prawda? Co weekend coś razem robimy. – Potrząsnęła głową i poświęciła chwilę, by zapanować nad śmiechem. Później spytała: – Czy masz kogoś szczególnego? W domu?

Karrin.

Ale nie odważyłem się wypowiedzieć jej imienia. Nie wiadomo, kto jeszcze mógł słuchać.

– Może. To... tak jakby się zaczynało, kiedy odszedłem. Nie jestem pewien, dokąd by nas zaprowadziło. Chciałbym myśleć, że... – Wzruszyłem ramionami. – Cóż, to było kiepskie wyczucie czasu na epicką skalę. A ty?

– Nic poza przypadkowymi kontaktami. Gdybym była z kimś blisko, cóż... to byłby dobry cel dla wrogów Mab, czyli każdego w Faerie, jak mi się czasem wydaje. Zabicie kochanka śmiertelnej ulubienicy Mab byłoby obelgą, ale na tyle niebezpośrednią, że nie miałyby możliwości reakcji. – Odetchnęła głęboko i spuściła wzrok na dłonie. – Widziałam, jak rozmawiasz z nią na parkiecie. Widziałam twoją minę. Kogo kazała ci zabić?

Zawahałem się.

– Ja... jestem pewien, że nie powinienem ci tego mówić. Ta informacja mogłaby wpakować cię w kłopoty.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że na twarz Sarissy powraca rezerwa.

– Ach. Cóż, w takim razie nasza krótka wymiana zdań się skończyła. – Zagryzła dolną wargę i spytała, całkiem spokojnie: – Chodziło o mnie?

Pytanie mnie zaskoczyło.

– Że co? Nie. Nie, nie chodziło o ciebie.

Nie poruszyła się przez kilka uderzeń serca.

– Ja... rozumiem. – Podniosła wzrok i posłała mi uprzejmy, fałszywy uśmiech. – Późno już. A ty powinienes jak najwięcej odpoczywać.

– Sarisso, zaczekaj...

Wstała, plecy miała wyprostowane, a ramiona napięte.

– Chyba wróć do siebie. Chyba że wolałbyś...

Wstałem razem z nią.

– Nie myśl, że jestem dla zasady przeciwny temu pomysłowi. Jesteś bystra, lubię cię i jesteś oszałamiająca. Ale nie. Nie w taki sposób.

Znów przygryzła wargę i pokiwała głową.

– Dziękuję ci za to. Za zrozumienie.

– Jasne.

Podałem jej rękę i odprowadziłem ją do drzwi kryjówki.

(„Kryjówka” brzmiała w mojej głowie znacznie lepiej niż „apartament”).

Przy drzwiach spojrzała na mnie.

– Mogę zadać ci pytanie?

– Oczywiście.

– Wypełnisz rozkaz Mab?

Mój mózg zaczął bełkotać i biegać dookoła na samą myśl o tym, co Mab kazała mi zrobić. Ale zmusiłem go, żeby usiadł i zaczął oddychać do papierowej torebki, a później zastanowiłem się nad tym.

– Może tak. A może nie.

– Dlaczego?

Zakołysałem się na piętach. To jedno słowo uderzyło mnie między oczy jak kij do baseballa. Sarissa trafiła dokładnie w to, co najbardziej niepokoiło mnie w rozkazie Mab.

Dlaczego? Dlaczego teraz, a nie przed sześcioma miesiącami, rok temu albo sto lat temu? Dlaczego dziś, a nie jutro? Do diabła, dlaczego w ogóle mam to zrobić? Zima i Lato miały Rycerzy przede wszystkim dlatego, że Królowym Faerie nie wolno było bezpośrednio zabijać śmiertelników i potrzebowały do tego celu cyngla. Ale Maeve nie była śmiertelna. Mab spokojnie mogła dopaść Pannę Gwiazdziste Krocze.

Dlaczego?

– Nie jestem pewien. Ale, do diabła, dowiem się.

Rozdział dziewiąty

– Kocie Sith! – zawołałem, kiedy Sarissa wyszła.

Za moimi plecami rozległo się:

– Tak, panie Rycerzu?

Drgnąłem i bynajmniej nie obróciłem się gwałtownie na pięcie jak przerażony nastolatek. Odwróciłem się bardzo wytwornie i po bondowsku, co pasowało do mojego smokingu, i spojrzałem na niego.

– Na wszystkie dzwony piekieł. Zawsze się tak pojawiaasz?

– Nie. – Malk siedział na oparciu sofy, którą przed chwilą opuściłem z Sarissą. – Zwykle się nie odzywam. Po prostu przechodzę do rzeczy.

– Znasz moje rozkazy?

– Jestem świadom, że dostałeś rozkazy. Mam ci ułatwić ich wypełnienie.

Pokiwałem głową.

– Muszę wrócić do Chicago. Natychmiast. I potrzebuję samochodu.

Kot Sith odwrócił się i miękkim krokiem ruszył w stronę sypialni. Zatrzymał się w korytarzu przed drzwiami bieliźniarki, machnął ogonem i popatrzył na mnie.

– Proszę bardzo.

Zmarszczyłem czoło. Później podszedłem do szafki i otworzyłem drzwi.

Moją kryjówkę zalało jesienne powietrze, parne i duszne w porównaniu z Arctis Tor. Po drugiej stronie drzwi paliły się jaskrawe światła i dopiero po kilku minutach mrugania i przyzwyczajania wzroku uświadomiłem sobie, że oślepiły mnie zwyczajne latarnie uliczne. W szafie miałem kawałek chodnika, a za nim Michigan Avenue, rozciągającą się do witryny sklepu naprzeciwko.

Zamrugałem kilka razy. Sith otworzył Ścieżkę między Faerie a Chicago.

Świat duchów, Nigdynigdy, jest niewyobrażalnie ogromny. Faerie to zaledwie jedna jego część, w większości zajmująca krainy ducha, które leżą najbliżej świata śmiertelnych. Geografia duchowego świata nie przypomina tego realnego. Różne miejsca w krainie duchów łączą się z miejscami o podobnej energii w prawdziwym świecie. Innymi słowy, mroczne i nawiedzone części Nigdynigdy łączą się z mrocznymi i nawiedzonymi miejscami w świecie śmiertelnych.

A moja przeklęta bieliźniarka w Arctis Tor łączyła się z Chicago – a konkretnie z Michigan Avenue i neogotyckim kamiennym budynkiem naprzeciwko starej wieży ciśnień. Była noc. Od czasu do czasu ulicą przejeżdżały samochody, ale nikt nie zwracał uwagi na otwarty portal prowadzący do serca Zimy. Arctis Tor było izolowanym miejscem w Nigdynigdy, trudno było do niego dotrzeć bez pomocy wewnątrz. Nawet podróżowanie Ścieżkami wymaga przynajmniej trochę czasu i spodziewałem się dłuższego spaceru do prawdziwego świata.

– Jak? – spytałem cicho.

– Jej Wysokość kazała ją stworzyć.

Zagwizdałem. Celowe stworzenie połączenia z określonego miejsca do określonego miejsca wymagało tak ogromnej energii, że nawet Białej Radzie Magów rzadko się to udawało – widziałem coś takiego tylko raz w życiu, przed rokiem, w Chichén Itzá.

– Kazała ją stworzyć? Dla mnie?

– W rzeczy samej. Właściwie obecnie to jedyna droga umożliwiająca dostanie się do Faerie lub opuszczenie go.

Zamrugalem kilka razy.

– Masz na myśli Zimę?

– Faerie – stwierdził Sith. – Całe.

Zakrztusiłem się.

– Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że całe Faerie otoczyła blokada?

– W rzeczy samej. Aż do świtu.

– Dlaczego?

– Można założyć, że w ten sposób miałeś dostać fory. – Z tymi słowami Sith przeszedł spokojnie przez drzwi i stanął na chodniku. – Twój samochód, panie Rycerzu.

Przeszedłem przez drzwi, a chicagowskie powietrze uderzyło mnie w twarz tysiącem aromatów, wrażeń i dźwięków, które znałem równie dobrze jak własny oddech. Po chłodnej, suchej ciszy Arctis Tor miałem wrażenie, że znalazłem się w samym środku działającego cyrku. Było zbyt wiele odgłosów, aromatów, kolorów, ruchu. Arctis Tor było nieruchome jak środek zimowej nocy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chicago jest... no cóż, Chicago.

Odkryłem, że mrugam gwałtownie.

Dom.

Wiem. To oklepane. Zwłaszcza że Chicago jest, jak mógłby to określić ktoś

uprzejmy, barwnym miejscem. To gniazdo przestępczości i korupcji. Oraz pomnik architektury i przedsiębiorczości. Jest brutalne i niebezpieczne, i jest centrum muzyki i sztuki. Dobrzy, źli, brzydki, wyrafinowani, potwory i anioły – wszyscy tu są.

Zapachy i odgłosy wywołały w moim umyśle lawinę wspomnień, ich intensywność sprawiła, że aż zadrżałem. Prawie nie zauważyłem samochodu, który zatrzymał się obok mnie przy krawężniku.

Był to bardzo stary karawan, cadillac wyprodukowany z całą pewnością niedługo po drugiej wojnie światowej, z zaokrąglonymi płetwami. Pomalowano go na bardzo ciemny odcień niebieskiego, z jaskrawofioletowymi płomieniami. Jechał zakosami ulicą, skręcił nieco zbyt ostro w stronę krawężnika, wyskoczył do przodu z rykiem silnika, a później wpadł w krótki poślizg z zablokowanymi hamulcami, o cal mijając słupki na krawężniku i rozciągnięty między nimi łańcuch.

– Jeszcze jakieś życzenia, panie Rycerzu? – spytał Kot Sith.

– Nie w tej chwili – odparłem ostrożnie. – No tak. Kto go prowadzi?

– Lepiej, żebyś to był ty – stwierdził Sith z wyraźną pogardą, machnął ogonem i zniknął.

Silnik zaryczał raz jeszcze, samochód szarpnął się, ale nie ruszył. Światła zapaliły się i zgasły, wycieraczki poruszyły się kilka razy, po czym silnik wszedł na jałowy bieg, a światła stopu zgasły.

Ostrożnie podszedłem do samochodu, pochyliłem się nad łańcuchem i zastukałem w szybę od strony kierowcy.

Nic się nie wydarzyło. Okna były trochę przyciemniane, na tyle, że na jasno oświetlonej ulicy ciemne wnętrze było niewidoczne. Nie widziałem nikogo w środku. Otworzyłem drzwi.

– Hip, hip, hura, chłopaki! – zabrzmiał cichy głosik jak z kreskówki.

– Hip, hip!

– Hura! – zapiszczało kilkanaście innych głosików.

– Hip, hip!

– Hura!

– Hip, hip!

– Hura! – Po czym rozległ się serdeczny chór: – Hura, hura, hura!

Na siedzeniu kierowcy znajdowało się około tuzina malutkich humanoidów. Ich przywódca, największy z nich, miał osiemnaście cali wzrostu. Wyglądał jak wyjątkowo atletycznie zbudowany młodzieniec narysowany w odpowiedniej skali. Nosił pancerz z resztek i śmieci. Jego napierśnik stworzono z kawałka aluminiowej

puszki, białej z logo coca-coli. Tarcza na jego lewym ramieniu powstała z tego samego materiału, tym razem ze świątecznymi białymi niedźwiedziami. U pasa nosił część plastikowego pojemniczka podróżnego na pastę do zębów, do którego wcisnął coś, co wyglądało na ząbkowany nóż do masła. Jego rękonoś owinięto dużą ilością taśmy izolacyjnej i sznurka. Włosy humanoida były fioletowe, o kilka odcieni ciemniejsze niż lawendowy, który pamiętałem, i unosiły się wokół jego głowy jak puch dmuchawca. Na plecach opadały, niczym opalizujący płaszcz, skrzydła ważki.

Stał na szczycie konstrukcji z mniejszych istotek tworzących miniaturową ludzką piramidę, a jego ręce spoczywały na kierownicy. Kilkoro innych, wyraźnie zmęczonych, opierało się o dźwignię zmiany biegów, a kolejne leżały na podłodze, stertą ciał przyciskając hamulec. Wszyscy mieli podobne stroje z przerobionych odpadków.

Przywódca zasalutował mi, uśmiechając się promiennie.

– Generał major Toot-toot z Gwardii Pana Pi Lorda Zimy zgłasza się na służbę! Dobrze cię widzieć, panie. – Jego skrzydła zabrzęczały i wyleciał z karawanu, żeby wznieść się na wysokość mojej twarzy. Zaczął kręcić kółka. – Patrz, patrz! Mam nowy sprzęt.

– Wszyscy jesteśmy z Zimy i tak dalej! – wtrącił jeden z mniejszych członków gwardii.

Uniósł tarczę, która powstała z kawałka plastikowego opakowania dezodorantu w sztyfcie, z napisem „Zimowa świeżość”.

– Dalej, Zima! – krzyknął Toot, unosząc pięść.

– Dalej, pizza! – odpowiedzieli pozostali.

Toot obrócił się gwałtownie i spiorunował ich wzrokiem.

– Nie, nie, nie! Ćwiczyliśmy to!

– DALEJ, PIZZA! – zaryczeli, głośniejsze i bardziej jednogłośnie.

Toot-toot westchnął i pokręcił głową.

– Dlatego wszyscy jesteście poławnikami, a ja generałem majorem. Bo macie wąsy kukurydzy w uszach.

Toot i kompania byli moimi swego rodzaju sługami. Przez te wszystkie lata dobrze się dogadywałem z Małym Ludkiem, głównie dzięki temu, że przekupywałem ich pizzą. Paru donosicieli i kapusiów zmieniło się w bandę uroczych małych pasożytów, a później w armię – a w pewnym momencie Toot wpadł na pomysł, by stworzyć z nich prawdziwą armię. Starali się – naprawdę – ale trudno stworzyć zdyscyplinowane wojsko, kiedy większość gości ma okres skupienia wynoszący dwadzieścia sekund.

Dyscyplina jest nudna.

– Chłopaki, chłopaki – powiedziałem. – Rozejść się i zrobić mi miejsce. Śpieszę się.

Elfy natychmiast wypełniły polecenie, wszystkie wdrapały się na miejsce pasażera albo do tylnej części. Wsiadłem najszybciej, jak mogłem, i zamknąłem za sobą drzwi.

Zapiąłem pas i włączyłem się do niezbyt nasilonego ruchu. Wielki cadillac ruszył z zadowolonym pomrukiem i o wiele większą mocą, niż byłem przyzwyczajony. Mój ostatni samochód był klasycznym volkswagenem garbusem z silnikiem wielkości talii kart.

– Urosłeś, Toot? – spytałem.

– Tak – odparł z obrzydzeniem. – Choć stoję z ciężarkami na głowie przez, no, całe dwadzieścia minut dziennie. Nawet dałem się uprać. Dwa razy! I nic z tego!

– Myślę, że wyglądasz dziarsko.

Usiadł na środku deski rozdzielczej i zaczął machać nogami.

– Dziękuję, panie!

– Czyli pizza docierała na czas, kiedy ja, no, byłem nieobecny?

– Tak, panie. Pani Leanansidhe ją dostarczała! – Toot zniżył głos i odezwał się przez zaciśnięte zęby: – Gdyby tego nie robiła, te tępaki by zdezerterowały.

– Cóż, mamy umowę. To przecież oznacza umowa, prawda?

– Prawda – powtórzył stanowczo Toot. – Ufamy ci, Harry. Prawie wcale nie zachowujesz się jak człowiek!

Wiedziałem, że to miał być komplement, ale te słowa sprawiły, że po moich plecach prześlizgnęło się coś zimnego. Moja elfia matka chrzestna, Leanansidhe, wypełniała moje zobowiązania, kiedy mnie nie było? Stary, mogły być z tego kłopoty. Dla sidhe przysługi są twardą walutą.

Ale ucieszyłem się na widok Toota i jego gangu. Są piekielnie użyteczni i – jak sobie uświadomiłem – bywają o wiele bardziej niebezpieczni i kompetentni niż większość istot, nawet ze świata nadnaturalnego.

– Nigdy ani przez chwilę nie wątpiłem w ciebie i twoją gwardię, generale majorze.

Co było prawdą – nie miałem najmniejszych wątpliwości, że dopóki pizza będzie docierała, mogę liczyć na ich całkowitą lojalność.

Komplement sprawił, że Toot się rozpromienił, a jego ciało zapulsowało delikatną aurą chłodnego niebieskiego blasku.

– Jak gwardia może ci służyć, panie?

Zaczęli wieczór, prawie rozbijając samochód, ale byłem pod wrażeniem, że w ogóle im się to udało.

– Mam sprawę – powiedziałem poważnie. – Będę potrzebował kogoś, kto będzie miał na mnie oko.

– Wyprostuj się trochę, panie – odparł Toot i krzyknął: – Hej, połowniku Fioletowy Chwast! Chodź i miej oko na Pana Pi Lorda Zimy!

Staralem się nie uśmiechnąć.

– Nie, to metafora.

Toot zmarszczył czoło i podrapał się po głowie.

– Nie wiem, o co chodzi.

Nie mogłem się roześmiać. Nie mogłem. To by zraniło jego małe uczucia.

– Za chwilę zaparkuję i wejdę do budynku. Chcę, żeby strażnicy zostali w samochodzie i wokół niego, a paru innych poszło ze mną i dopilnowało, żeby nikt się do mnie nie podkradł, korzystając z mojej nieuwagi.

– Och! To łatwe!

– Dobrze. – Podjechałem do krawężnika. – Zrób to.

Toot zsalutował, wzniosł się w powietrze i błyskawicznie przeleciał na tył, jednocześnie wydając rozkazy piskliwym głosem.

Zaciągnąłem hamulec ręczny starego cadillaca i wyszedłem, nie marnując czasu. Nie przytrzymałem drzwi dłużej, niż zrobiłbym to, gdybym był sam. Mały Ludek nie potrzebował hołubienia. Bywają niezbyt bystrzy, ale są szybcy, twardzi i pomysłowi. Nawet gdybym chciał, miałbym problem z utrzymaniem ich w samochodzie.

Kiedy już wysiadłem, wyglądałem, jakbym był całkiem sam. Kogokolwiek Toot posłał za mną, ten ktoś był cichy i niemal niewidzialny, a mnie nie chciało się wyciągać szyi i próbować go dostrzec. Jest coś, co cechuje Mały Ludek tak samo jak resztę elfów – kiedy zawrą umowę, dotrzymują jej. Już wcześniej mieli na mnie oko i teraz też to robią. Do diabła, ponieważ dopuszczałem się ciężkiego przestępstwa, pewnie uznali, że to niezła zabawa.

Trudno zmusić Mały Ludek do przejmowania się dyscypliną. Z drugiej strony niebezpieczeństwo też nie robi na nim zbyt wielkiego wrażenia.

Przeszedłem prawie cały kwartał do właściwego budynku wielorodzinnego z brązowego piaskowca, charakteryzującego się podobną elegancją i umiłowaniem detali, jak blok czekolady do pieczenia. Nie był to elegancki apartamentowiec, jak ten, w którym mieszkał mój brat, ale nie była to też jedna z komunalnych czynszówek. Nie miał odzwiernego ani najnowocześniejszych zabezpieczeń, co na razie było najważniejszą kwestią.

Wchodząc do środka, miałem trochę szczęścia – jeden z mieszkańców, dwudziestoparoletni koleś, który wyglądał, jakby wracał z popijawy, otworzył drzwi, wchodząc do środka, a ja zawołałem:

– Mógłbyś je przytrzymać?!

Zrobił to. Pewnie nie powinien, ale faceci w smokingach, nawet bez krawata, nie są na pierwszy rzut oka kryminalistami. Skinąłem mu głową i podziękowałem uśmiechem. Mruknął coś niewyraźnie i skręcił w boczny korytarz, a ja wsiadłem do windy i pojechałem na górę.

Kiedy znalazłem się na właściwym piętrze, reszta nie była zbyt trudna. Przeszedłem korytarzem w stronę właściwych drzwi i oparłem się o nie.

Przeszła po mnie fala gęsiej skórki, zaczynająca się od grzbietu dłoni, i odruchowo cofnąłem palce. Ha. Na drzwiach były osłony, magiczne zabezpieczenia. Tego się nie spodziewałem. Osłony mogą zrobić intruzowi różne rzeczy, od zasugerowania, żeby odwrócił się i odszedł, przez mocne odepchnięcie aż po usmażenie go na frytkę.

Przez chwilę przyglądałem się osłonom. Była to gładka mozaika czarów, pewnie efekt współdziałania kilku mniejszych talentów. Ktoś taki jak ja może postawić osłonę, która przypomina wielki żelazny mur. To wyglądało raczej jak zasłona z ciasno splecionych żelaznych pierścieni. Do większości celów oba posłużą równie dobrze – ale jeśli ma się właściwe narzędzia, z tym drugim rodzajem ściany można sobie poradzić bardzo łatwo.

– A ja jestem narzędziem – mruknąłem. Zastanowiłem się nad tym, westchnąłem i potrząsnąłem głową. – Pewnego dnia – powiedziałem – pewnego wspaniałego i cudownego dnia będę naprawdę w porządku.

Delikatnie oparłem czubki palców o drzwi i w myślach przejrzałem osłony. Aha. Gdybym próbował się włamać, osłony wywołałyby ogromny hałas, chmurę dymu, jak również nagłe, dojmujące uczucie klaustrofobii. Uruchomiłyby się alarmy pożarowe i tryskacze, zostałyby też wezwane odpowiednie służby.

Teoretycznie była to skuteczna obrona sama z siebie, ale ten kawałek z klaustrofobią był naprawdę mistrzowskim posunięciem. Hałas doprowadziłby do instynktownego wyrzutu adrenaliny, co w połączeniu z paniką wywołaną przez osłonę skłoniłoby większość istot do ucieczki w stronę wyjścia zamiast podejmowania ryzyka w bardzo hałaśliwym i zatłoczonym otoczeniu. Tego rodzaju subtelna manipulacja zawsze działa najlepiej wśród różnych czynników odwracających uwagę.

Waszyngton wykorzystuje to od dziesięcioleci.

Odcinałem osłony od źródła mocy, jedną po drugiej, próbując ograniczyć

uszkodzenia, by dało się je łatwo naprawić. Już czułem się dość paskudnie z tym, co zamierzałem zrobić. Kiedy osłony zostały wyłączone, odetchnąłem głęboko i wykorzystując całą siłę nóg i ciała, oparłem się o drzwi. Ćwiczyłem. Futryna popękała i ustąpiła, a ja szybko i cicho wślizgnąłem się do lokum Waldo Buttersa.

W mieszkaniu było ciemno, a ja nie znałem go na tyle dobrze, żeby poruszać się bez światła. Zostawiłem uchylone drzwi, by do środka wsączał się blask z korytarza. To była ta niebezpieczna część. Jeśli ktoś usłyszał hałas, zadzwonił na policję. Musiałem zniknąć w ciągu pięciu minut.

Przeszedłem przez salon do krótkiego korytarzyka. Sypialnia Buttersa była po prawej, pokój komputerowy po lewej. Drzwi sypialni były zamknięte, pokój komputerowy wypełniał słaby blask. Wszedłem do środka. Przy ścianach stało kilka komputerów – wiedziałem, że Butters i reszta towarzystwa wykorzystują je do czegoś związanego z grami komputerowymi, co robili razem. Komputery były wyłączone poza jednym, największym, który stał w kącie i był zwrócony w stronę pokoju. Butters nazywał go fotelem kapitana. Siedział tam i koordynował działania w grze. Rajdy, tak się to chyba nazywało, które trwały do bladego świtu. Butters musiał pracować na nocną zmianę i twierdził, że granie na komputerze w wolne noce pomaga mu zachować rytm dobowy.

Ten monitor był włączony, w odbiciu w jedynym oknie widziałem, że ekran podzielono na kilkanaście części, a w każdej z nich rozgrywał się inny pornograficzny scenariusz.

Na stole stała ludzka czaszka, zwrócona przodem do monitora, w jej oczodołach tańczyły słabe pomarańczowe ogniki. Mimo że była całkowicie niezdolna do przyjęcia jakiegokolwiek wyrazu, jakimś sposobem robiła wrażenie, jakby jej oczy zaszklily się z zadowolenia.

Nie minęły dwie sekundy, a komputer wydał z siebie koszmarny odgłos i wypuścił chmurkę dymu, a ekran pociemniał. Skrzywiłem się. Moja wina. Magowie i technika nie dogadują się ze sobą, a im bardziej zaawansowana technika, tym szybciej coś się psuje – szczególnie jeśli chodzi o elektronikę. Butters próbował stworzyć teorię wyjaśniającą, dlaczego świat działał w taki sposób, ale zaprotestowałem w chwili, kiedy w imię nauki miałem założyć na głowę czapkę z folii aluminiowej.

Czaszka wydała z siebie okrzyk zaskoczenia i rozczarowania. Po kilku zdezorientowanych mignięciach rozejrzała się po pokoju i jej świetliste spojrzenie padło na mnie.

– Harry! – powiedziała czaszka. Nie poruszyła zuchwą, żeby stworzyć te słowa, ani

nic. Po prostu się wydobyły. – Na wszystkie dzwony piekieł, wróciłeś ze świata umarłych?

– Przeważnie umarłych – poprawiłem go. – Wydostałeś się z plaży Omaha, co?

– Żartujesz sobie? Kiedy tylko się wydostałem, uciekłem jak królik i schowałem się!

– Mogłeś wyeliminować tego dupka.

– A czemu miałbym chcieć to zrobić? To kiedy organizujemy sobie nowe laboratorium? I czy mogę mieć stałe łącze? – W jego oczach zapłonęła chciwość albo coś bardzo podobnego. – Potrzebuję stałego łącza, Harry.

– To coś komputerowego, tak?

– Filister – mruknął Bob Czaszka.

Bob jako taki nie był czaszką. Był duchem powietrza albo intelektu, albo jednej z wielu innych rzeczy, jakimi określano takie istoty. Czaszka była naczyniem, które zamieszkiwał, trochę jak butelka dzina. Bob był asystentem i doradcą magów jeszcze w czasach, zanim kusze wyszły z mody, i zapomniał więcej szczegółów na temat teorii magii, niż ja poznałem. Był moim asystentem i przyjacielem od czasu, kiedy zamieszkałem w Chicago.

Dopóki nie usłyszałem jego głosu, nie uświadamiałem sobie, jak bardzo tęskniłem za tym obłąkanym zbokiem.

– Kiedy zabieramy się do pracy? – spytał Bob radośnie.

– Pracuję. Muszę z tobą porozmawiać.

– Nadstawiam uszu. Pomijając kwestię uszu, rzecz jasna. – Bob zamrugał. – Masz na sobie smoking?

– No tak.

– Powiedz mi, że się nie ożeniłeś.

– Nie ożeniłem się. Pomijając tę całą kwestię z Mab, która jest niepokojąca i dziwna. Przez ostatnie trzy miesiące każdego dnia próbowała mnie zabić.

– To zupełnie w jej stylu. Jak ci się udało z tego wyplątać?

– No tak.

– Och. No... tak. Może powinieneś sobie pójść, Harry.

– Rozluźnij się. Wiem, że miałeś swoje konflikty z Mab, ale tutaj jestem tylko ja.

– Właśnie. I ta część tak jakby mnie niepokoi.

Zmarszczyłem czoło.

– Daj spokój. Od jak dawna mnie znasz?

– Harry... jesteś cynglem Mab.

– Owszem, ale nie przyszedłem tu, żeby cię odstrzelić.

– Możesz kłamać. Sidhe nie umieją kłamać, ale ty tak.
– Na wszystkie dzwony piekieł, nie kłamię.
– Skąd mam to wiedzieć?
– Bo jeszcze cię nie odstrzeliłem? – Zmarszczyłem czoło. – Chwileczkę... Grasz na czas, prawda?

– Gram na czas? – powtórzył radośnie Bob. – Co masz na myśli?

Nie było ostrzeżenia. Żadnego. Drzwi sypialni Buttersa wypadły na zewnątrz, wszędzie poleciały odłamki taniej sklejki. Niemal w tej samej chwili w plecy uderzył mnie pocisk z żyjącego ciała, popchnął moją pierś do przodu i szarpnął głowę. Kręgosłup rozboleł mnie gwałtownie i poczułem, że lecę na ziemię.

Coś potężnego, warczącego i strasznie silnego wylądowało na mnie i poczułem, jak szarpią mnie pazury i kły.

Pewnie zużyłem całe szczęście tego wieczoru na gościa przy wejściu do budynku.

Rozdział dziesiąty

Pazury rozszarpały mój smoking, drapały plecy, pośladki i tył ud. Kły wbiłyby mi się w szyję, gdybym nie zasłonił jej rękami – zacisnąłem dłonie na karku, najmocniej jak umiałem, i mogłem jedynie mieć nadzieję, że żaden palec nie będzie wystawał za bardzo i nie zostanie odgryziony. Pojawił się ból, przeszywający i potężny, ale to nie był malk ani ghoul, więc pazury nie wbiły się aż tak głęboko i liczyłem, że rany nie będą zbyt poważne – chyba że walka potrwa dłużej i osłabi mnie upływ krwi.

Analityczna część mojego umysłu rozważała te fakty w obojętny i racjonalny sposób.

Reszta z wściekłości wpadła w pieprzony berserkerski szał.

Wsparłem się na ramieniu, a drugim łokciem uderzyłem do tyłu, zadając mocny cios, który trafił w coś miękkiego i wywołał zaskoczony skowyt napastnika. Zęby cofnęły się na chwilę, a pazury zwolniły. Odepchnąłem się szerokim ruchem tej samej ręki, przetoczyłem i zrzuciłem z pleców wilka wielkości doga. Uderzył z hałasem w jeden ze stołów, rozrzucając na boki sprzęt.

Podniosłem się, złapałem za oparcie fotel komputerowy i uniosłem go. Nim wilk o ciemnorudym futrze zdążył wstać, fotel już opadał, a ja warczałem wściekle coś niezrozumiałego.

W ostatniej chwili mimo furii rozpoznałem napastniczkę i zmieniłem kierunek ataku. Fotel uderzył w podłogę tuż przed wilczycą i rozpadł się na jakieś pięćdziesiąt kawałków, odłamki metalu i plastiku poleciały na wszystkie strony.

Wilczyca cofnęła się przed fruującymi elementami i podniosła na mnie wzrok. Znieruchomiała z pyskiem w wyrazie absolutnego wstrząsu i po kilku sekundach zniknęła, jej ciało szybko przybrało postać rudowłosej dziewczyny o kształtnej sylwetce, całkowicie pozbawionej ubrania. Gapiła się na mnie ze zboląłą miną i dyszała chrapliwie, zanim w końcu szepnęła:

– Harry?

– Andi.

Wyprostowałem się i spróbowałem zmusić ciało do rozluźnienia. Słowo zabrzmiało jak warknięcie. Adrenalina wciąż wypełniała moje ramiona i nogi i w tej

właśnie chwili ponad wszystko marzyłem o tym, żeby walnąć kogoś w twarz. Kogokolwiek. Nieważne kogo.

A to nie było w porządku.

– Andi. – Zmusiłem się, by mój głos zabrzmiał cicho i łagodnie. – Co ty tu robisz, do diabła?

– Ja? – wykrztusiła. – Ja... to nie ja jestem martwa.

Noc jest jeszcze młoda, pomyślała wściekła część mnie, ale zwalczyłem ją.

– Pogłoski, śmierć, przesadzone – odpowiedziałem jedynie. – I nie mam czasu na pogaduszki na ten temat.

Odwróciłem się do Boba na biurku i usłyszałem, jak Andi otwiera szufladę za moimi plecami. Odgłos, jaki wydaje pistolet, kiedy ktoś odciąga zamek i ładuje nabój do komory, jest charakterystyczny i łatwy do zapamiętania – i wcale nie musi być bardzo głośny, by przyciągnąć uwagę.

– Zabieraj łapy od czaszki – wydyszała Andi, a w jej głosie brzmiał ból – albo wpakuję w ciebie kulkę.

Zatrzymałem się. Moim pierwszym impulsem było pragnienie, by pokryć podłogę zamarzniętymi kawałkami Andi – co to w ogóle miało być, do diabła? Złość, która wciąż krążyła we mnie zimnymi falami, popychała mnie w tę stronę, do działania, do przemocy. Nie zrozumcie mnie źle – bynajmniej nie mam alergii na jedno ani drugie – ale zawsze całkiem nieźle panowałem nad złością. Nie czułem się tak od lat, od tych pierwszych dni, kiedy prawie zostałem zabity przez Białą Radę.

Skorzystałem z tego, czego nauczyłem się w tamtych czasach. Zamknąłem oczy i zaczerpnąłem kilka głębokich oddechów, przypominając sobie, że złość jest tylko złością, że to odczucie, jak ciepło i zimno. Sama z siebie nic nie znaczyła. Nie była powodem do działania. Do tego służyło myślenie.

Stare lekcje pomogły i odizolowałem się od wściekłości. Powoli wyciągnąłem rękę, upewniając się, że są widoczne. Później odwróciłem się do Andi. Stała z pistoletem w postawie Weavera, jakby nauczyła się tego od kogoś, kto wiedział, co robi.

Gdybym zechciał, mógłbym odbić kule, ale nie mogłem ich zatrzymać. A byliśmy w budynku pełnym niewinnych postronnych.

– Wiesz o czaszce? – spytałem.

– Trudno, żeby nie. W końcu tu mieszkam.

Zamrugąłem kilka razy.

– Ty i... Do diabła. Niezła robota, Butters.

Andi patrzyła spokojnie przez celownik broni. Była nieco przekrzywiona, jakby

boląca ją prawa strona ciała. Mój łokieć musiał ją trafić w zębra. Skrzywiłem się. Nie mam nic przeciwko szamotaninie, kiedy jest konieczna, ale nie biję przyjaciół i nie biję kobiet, a Andi była jednym i drugim.

– Przepraszam za to. – Skinąłem w jej stronę. – Nie wiedziałem, że to ty.

– A ja wciąż nie wiem, czy to ty. Szczególnie że jesteś martwy i tak dalej. Jest mnóstwo istot, które mogą spróbować wyglądać jak Harry.

– Bob – rzuciłem przez ramię. – Powiedz jej, że to ja.

– Nie mogę – odparł Bob rozmarzonym tonem. – Cycki.

Racja. Ponieważ Andi była naga. Widziałem ją już wcześniej w takim stanie, ponieważ z byciem wilkołakiem wiązało się takie ryzyko. Znałem kilkoro z nich i przyjaźniłem się z nimi. Kiedy się przeobrażają, ubrania i inne rzeczy nie idą razem z nimi, więc gdy wracają do ludzkiej postaci, są całkiem nadzy.

Jedno muszę przyznać Bobowi – mały zboczeniec miał gust. Przemiana w wilka musiała być fantastycznym treningiem, bo Andi i nagość bardzo do siebie pasowały. Choć w tej chwili byłem raczej pod wrażeniem jej wielkiej, lekko falującej broni.

– Bob – powtórzyłem z większym naciskiem.

Wyciągnąłem rękę, próbując wsunąć ją między Boba a Andi i nie sięgając przy tym po czaszkę.

– Ej! – rzucił ostro Bob. – Do diabła, Harry! Nie mam większych szans, żeby normalnie je zobaczyć!

Andi otworzyła szerzej oczy.

– Bob... to naprawdę on?

– Tak, ale teraz pracuje dla złych gości. Pewnie najbezpieczniej byłoby go zastrzelić.

– Ej!

– To nic osobistego – zapewnił mnie Bob. – Co ty byś poradził klientce, gdyby Rycerz Zimy włamał się do jej mieszkania, walczył z nią i złamał jej dwa zębra?

– Żeby nie strzelała. Kula się odbije, a w mieszkaniach dookoła jest stanowczo zbyt wiele ludzi.

Na te słowa Andi zdjęła palec ze spustu, ale nie cofnęła go całkowicie i przycisnęła do kabłąka. Odetchnęła powoli.

– To... bardziej przypomina coś, czego spodziewałabym się po... po tobie, Harry. – Przełknęła ślinę. – To naprawdę ty?

– To, co ze mnie pozostało.

– Słyszeliśmy o twoim duchu. Ja nawet tak jakby... tak jakby czułam twój zapach,

kiedy byłeś w pobliżu. Wiedziałam. Myśleliśmy, że nie żyjesz.

– To tak naprawdę nie był mój duch. To byłem ja. Tylko zapomniałem zabrać ze sobą ciało. – Zakaszlałem. – Mogłabyś może wycelować w inną stronę?

– Nie trzymam palca na spuście. Nie zachowuj się jak dziecko. Myślę. – Przyglądała mi się przez chwilę. – Dobra, założmy, że to naprawdę ty. Co tu robisz?

– Przyszedłem po czaszkę.

– Jestem bezcenny! – wtrącił Bob.

– Użyteczny. – Spiorunowałem go wzrokiem. – Nie wpadaj w przesadną dumę.

– Wiem, że przyszedłeś po czaszkę – stwierdziła Andi. – Dlaczego teraz? W środku nocy? Dlaczego się włamałeś? Harry, wystarczyłoby, żebyś poprosił.

Zazgrzytałem zębami.

– Andi... nie mam dużo czasu. Dlatego moja odpowiedź będzie krótka. W porządku?

– W porządku.

– Jeśli się tu włamię i zabiorę coś Buttersowi, on będzie moją ofiarą, osobą bez większego znaczenia. Jeśli przyjdę tu i poproszę go o pomoc, będzie moim współnikiem, a to uczyni go celem dla moich przeciwników.

Zmarszczyła czoło.

– Jakich przeciwników?

Westchnąłem.

– Coś takiego powiedziałbym swojemu współnikowi, Andi.

– Hm, czy nie tym właśnie jesteśmy, w pewnym sensie?

– Tym byliście – powiedziałem z łagodnym naciskiem. – Bob ma rację. W tej chwili nie do końca stoję po słusznej stronie. I nie zamierzam pociągnąć za sobą ciebie i Buttersa.

– Powiedz mi, Harry – odezwał się Bob – przeciwko komu stoisz?

– Nie przed poskatronkanąka.

– Jedynie próbuję zdobyć informacje, jak dobry sługus. Sam rozumiesz.

– Jasne.

Andi zmarszczyła czoło.

– Bob nie jest... Czy on nie należy do ciebie?

– Nie jestem obecnym właścicielem czaszki. Osoba, do której należy czaszka, może liczyć na lojalność Boba.

– Usługi – poprawił mnie Bob. – Nie wpadaj w przesadną dumę. W tej chwili pracuję dla Buttersa. I ciebie oczywiście też, laleczko.

– Laleczko – powtórzyła Andi głosem bez wyrazu. – Czy ja dobrze słyszałam? – Przeniosła na mnie wzrok. – Postronna?

– Jeśli nic nie wiesz, nie ma powodu, żeby torturować cię aż do śmierci, chcąc się tego dowiedzieć.

Na te słowa nieco pobladła.

– Ci goście uważają, że filmy z serii *Piła* były przezabawne. Zrobią ci krzywdę, bo dla nich to coś lepszego od seksu. Nie zawahają się. A ja próbuję wam zapewnić odpowiednią przykrywkę, na ile się da. Tobie i Buttersowi. – Potrząsnąłem głową. – Musisz mi zaufać, Andi. Oddam Boba przed świtem.

Zmarszczyła czoło.

– Dlaczego wtedy?

– Bo nie chcę też, żeby ci, dla których pracuję, dostali go w swoje łapy. Nie jest człowiekiem...

– Dziękuję – powiedział Bob. – Ciągłe to wyjaśniam, ale nikt nie słucha.

– ...ale wciąż jest w pewnym sensie moim przyjacielem.

Bob wydał odgłos, jakby wymiotował.

– Nie rób się sentymentalny, Dresdenie.

Zignorowałem go.

– Andi. Nie mam czasu. Wezmę teraz czaszkę. Zamierzasz mnie zastrzelić czy coś?

Sapnęła z frustracją i oparła się o stół. Opuściła broń, skrzywiła się, przesunęła dłońią po brzuchu i przycisnęła ją do żeber po drugiej stronie.

Nie patrzyłem na to, co ten ruch zrobił z jej piersiami, bo byłoby to groteskowo niestosowne, nawet jeśli powstały w ten sposób zarys sylwetki mógł być wyjątkowo fascynujący.

Podniosłem czaszkę, stary, znajomy kształt i ciężar w mojej ręce. Światelka jego oczu zamigotały i może odrobinę zmieniły odcień.

– Dobra! – zapiał Bob. – Znów w siodle!

– Ciszej. Mam ze sobą wsparcie. Druga drużyna również może mnie obserwować w sposób, który jest całkowicie niewidoczny. Wolałbym, żeby nie słyszeli każdego słowa.

– Ściszam, o potężny.

Kiedy odwróciłem się znów do Andi, miała przerażoną minę.

– O Boże, Harry. Twoje plecy.

Chrząknąłem, przekręciłem się i obejrzałem się w odbiciu w szybie. Marynarka wisiała w strzępach i plamiła ją krew. Bolało, ale nie za bardzo, porównywalnie

z paskudnym oparzeniem słonecznym.

– Przepraszam.

– Przeżyję. – Podeszedłem do niej, pochyliłem się i pocałowałem ją w czubek głowy.

– Przepraszam za twoje żebra. I komputery. Wynagrodzę wam straty.

Potrząsnęła głową.

– Tym się nie przejmuj. Cokolwiek, wiesz. Cokolwiek, co możemy zrobić, by ci pomóc.

Westchnąłem.

– No tak. Za to też przepraszam.

Zmarszczyła czoło i popatrzyła na mnie.

– Za co?

Przed wyjściem zamierzałem rzucić ją na ziemię, uderzyć w brodę i sprawić, żeby na chwilę straciła przytomność. Osiągnąłbym w ten sposób dwa cele. Po pierwsze, powstrzymałbym ją przed bohaterską próbą podążenia za mną. Po drugie, jeśli ktoś mnie obecnie obserwował, mógłbym go przekonać, że ukradłem jej Boba. Byłoby to logiczne, choć bezwzględne posunięcie, które zapewniłoby jej dodatkową ochronę, choćby niewielką.

Ale kiedy kazałem swojej dłoni się poruszyć, nie zrobiła tego.

Rycerz Zimy, zabójca na usługach Mab, nieważne. Nie biję dziewczyn.

Westchnąłem.

– Przepraszam, że nie mogę cię teraz walnąć.

Uniosła brwi.

– Och. Myślisz, że w ten sposób byś mnie chronił, o to chodzi?

– Choć wydaje się to całkiem popieprzone, to tak, o to chodzi.

– Całkiem dobrze sama sobie z tym radziłam przez ostatni rok, Harry. Nawet bez ciebie.

Auć. Skrzywiłem się.

Andi spuściła wzrok.

– Ja nie... Przepraszam.

– Nie przejmuj się. Po moim wyjściu lepiej zadzwoń na policję. Zgłoś wtargnięcie. Tak się robi, kiedy ktoś się włamie.

Pokiwała głową.

– Mogę porozmawiać o tym z Buttersem?

Całość byłaby o wiele prostsza, gdyby udało mi się nie zamieszać nikogo. O to chodziło we włamaniu. Ale teraz... Cóż. Andi wiedziała, a ja byłem jej zbyt wiele

winien, by prosić ją o utrzymanie tajemnicy przed Buttersem, któremu byłem winien jeszcze więcej.

– Ostrożnie. Za waszym progiem. I... może poza tym nikomu, na razie. W porządku?

– W porządku – odparła cicho.

– Dzięki. – Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć, więc powtórzyłem: – Przepraszam.

Później wziąłem czaszkę i wyszedłem pośpiesznie w mrok.

Rozdział jedenasty

Kiedy znów znalazłem się w karawanie, pojazd ruszył. Milcząca i prawie niewidzialna eskadra Gwardii Pana Pi leciała w luźnej formacji wokół samochodu, pomijając Toota, który usadowił się na oparciu siedzenia pasażera. Czaszka Boba spoczywała na samym siedzeniu, ze świetlistymi oczodołami zwróconymi w moją stronę.

– No tak, szefie – powiedział radośnie Bob – dokąd jedziemy?

– Na razie donikąd. Ale w swoich działaniach kieruję się teorią, że ruchomy cel trudniej trafić.

– To nieco większa paranoja niż zazwyczaj. Pochwalam. Ale dlaczego?

Skrzywiłem się.

– Mab chce, żebym zabił Maeve.

– Co takiego? – pisnął Bob.

Zaszokowany Toot spadł z oparcia siedzenia pasażera.

– Słyszałeś. Toot, wszystko w porządku?

– Ja tylko... sprawdzałem, czy nie ukrył się tam żaden zabójca, panie. Tył jest czysty.

– To nie ma sensu. Opowiedz mi wszystko.

Tak też zrobiłem.

– I wtedy kazała mi zabić Maeve – dokończyłem – a ja postanowiłem przyjść po ciebie.

– Chwileczkę, chwileczkę, chwileczkę. Pozwól, że się upewnię. Mab dała ci dziewczynę, całą tylko dla ciebie, a ty nie dotarłeś nawet do pierwszej bazy?

Skrzywiłem się.

– Bob, mógłbyś się skupić, proszę? Tu nie chodzi o dziewczynę.

Bob prychnął.

– To chyba pierwszy raz, kiedy nie chodzi o dziewczynę.

– Maeve, Bob. Muszę wiedzieć, dlaczego Mab pragnie jej śmierci.

– Może chce cię z wielkim hukiem oblać.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo nie możesz zabić Maeve, Harry.

– Nie chcę tego zrobić. Nie jestem nawet pewien, czy zamierzam.

– Za bardzo jesteś zajęty walką z własnym głupim sumieniem, żeby mnie uważnie posłuchać, szefie. Nie możesz jej zabić. Nie nie chcesz, nie nie powinienes. Nie możesz.

Zamrugalem.

– Yyy. Dlaczego nie?

– Maeve jest nieśmiertelną. Może i jedną z najmniej ważnych nieśmiertelnych, ale i tak nieśmiertelną. Porąb ją na kawałki. Spal. Rozprosz jej prochy na wietrze. Ale to jej nie zabije. Powróci. Może za kilka miesięcy, może za kilka lat, ale nie możesz jej tak po prostu zabić. Jest Zimową Panną.

Zmarszczyłem czoło.

– Hę? Letnią Pannę zabiłem bez najmniejszych problemów.

Bob wydał z siebie odgłos frustracji.

– Jasne, ale dlatego, że znajdowałeś się we właściwym miejscu, by to zrobić.

– Jak to?

– Mab i Tytania stworzyły je jako pole śmierci dla nieśmiertelnych, miejsce, w którym równowaga sił z założenia ma się zmieniać. Muszą mieć coś takiego do ważnych walk... inaczej nic nigdy nie zostałyby postanowione. A to byłoby marnowanie czasu i mięsa armatniego.

Zobaczyłem, jak powstała część tego miejsca – i to przez Wejrzenie – co pozostawiło niezatarte wspomnienie w moim umyśle. Widziałem wylewające się energie dwóch Królowych Faerie, moc na poziomie, który wymykał się opisowi. I oczywiście w pewnym sensie byłem w tym miejscu, kiedy zamordowałem Lloyda Slate'a i przyjąłem robotę jako cyngiel dla Mab.

Wspomnienie... Starożytny kamienny stół splamiony krwią. Gwiazdy wirujące nad moją głową, oszalałymi swoją szybkością i jasnością. Kłębiąca się zimna mgła pełznająca wokół stołu, dotykająca mojej nagiej skóry, gdy Mab dosiadła mnie, a jej nagie piękno dusiło mnie i wyszarpywało mi myśli przez oczy. Przepelniająca mnie moc, przelewająca się we mnie z krwi wypełniającej wijące się zagłębienia w kamieniu, z głodnej woli Mab.

Zadrzałem i odepchnąłem wspomnienie. Ścisnąłem kierownicę.

– Czyli nie mogę jej zabić – powiedziałem cicho.

– Nie.

Spiorunowałem wzrokiem drogę.

– Jaki ma sens wydanie mi rozkazu, żebym zrobił coś, o czym ona sama wie, że jest

niemożliwe? – zastanawiałem się na głos. – Jesteś pewien, Bob? Nie ma żadnego sposobu poza kamiennym stołem?

– Raczej nie. – Wzrok Boba omiół wewnątrz samochodu. – I w większości Nigdy nigdy też się nie uda.

– Ej. Co to za rozbiegane spojrzenie?

– Jakie rozbiegane spojrzenie?

– Kiedy mówiłeś „Raczej nie”, rozglądałeś się po całym samochodzie.

– Yyy, wcale nie.

– Bob.

Czaszka westchnęła.

– Muszę ci powiedzieć?

– Stary. Od kiedy rozmawiamy w taki sposób?

– Od kiedy zacząłeś pracować dla niej. – Bobowi jakimś cudem udało się zadrzeć.

Przechyliłem głowę i zamyśliłem się.

– Chwileczkę. To ma związek z twoją waśnią z Mab?

– Nie waśnią. W waśni obie strony walczą. Tu raczej ja uciekam z wrzaskiem, nim ona rozedrze mnie na strzępy.

Potrząsnąłem głową.

– Stary. Wiem, że kiedy chcesz, potrafisz być irytującym dupkiem... ale co takiego zrobiłeś, że Mab się na ciebie wściekła?

– Nie chodzi o to, co robię Harry – powiedział Bob bardzo cichutko. – Chodzi o to, co wiem.

Uniosłem brew. Trudno było sprawić, by czaszka się wzdrygnęła.

– A co takiego dokładnie wiesz?

Światelka w oczodołach zmniejszyły się do malutkich punkcików, a jego głos był szeptem.

– Wiem, jak zabić nieśmiertelnego.

– Jak Maeve?

– Maeve. Mab. Matka Zimy. Ktokolwiek z nich.

Cholera jasna.

Dla takiej informacji rzeczywiście warto było zabić.

Jeśli Bob wiedział, jak odjąć „nie” od „nieśmiertelnego”, mógł stanowić zagrożenie dla potężnych istot w całym wszechświecie. Do diabła, miał szczęście, że bogowie, demony i wszelkie nadnaturalne moce nie wybrały się razem na safari, żeby go dopaść. A to znaczyło, że moja misja być może nie była niemożliwa.

– Chciałbym, żebyś mi powiedział.

– Nie ma mowy. Nie ma mowy. Przetrwałem tak długo jedynie dlatego, że trzymałem buzię na kłódkę. Jeśli zacznę teraz gadać, Mab i wszyscy inni nieśmiertelni zainteresowani tą głupią planetą zmiażdżą moją czaszkę w proch i zostawią mnie, żebym usmażył się na słońcu. – Światelka wskazały na tylną część. – A tam jest zbyt wiele uszu.

– Toot. Zabierz wszystkich z samochodu. Potrzebuję prywatności. Upewnij się, że nikt nie zbliży się na tyle, by móc podsłuchiwać.

– Oj – jęknął Toot z tyłu. – Nawet ja?

– Tylko tobie mogę zaufać, że powstrzymasz tych wszystkich frajerów, generale majorze. Nikt nie podsłuchuje. Kapujesz?

Niemal słyszałem dumę wybuchającą w jego głosie.

– Kapuję! – zapiszczał. – Zrobię to, panie.

Opuścił szybę i wyfrunął. Znów zamknąłem okno i rozejrzałem się po karawanie, korzystając ze zwykłych i magicznych zmysłów, by się upewnić, że jesteśmy sami. Później znów odwróciłem się do czaszki.

– Bob, rozmawiamy tu we dwóch. Zastanów się. Mab wysłała mnie, żebym zabił Maeve, czego sam nie byłbym w stanie dokonać... a wiedziała, że ty wiesz, jak to zrobić. Wiedziała, że pierwszym krokiem, jaki podejmę, będzie przybycie tutaj. Myślę, że chciała, żebym przyszedł do ciebie. Sądzę, że spodziewała się, że mi powiesz.

Czaszka rozważała to przez chwilę.

– To podejście bardzo pośrednie i spora manipulacja, więc pewnie jesteś na właściwym tropie. Daj mi się zastanowić. – Minęła długa minuta, po czym odezwał się bardzo cicho. – Jeśli ci powiem, musisz coś dla mnie zrobić.

– To znaczy?

– Nowe naczynie. Musisz stworzyć mi nowy dom. Miejsce, w którym mógłbym się schronić. Wtedy, jeśli zniszczą ten, będę miał dokąd pójść.

– To dla mnie ciężkie zadanie – stwierdziłem poważnie. – Masz tam właściwie swój osobisty kieszonkowy wymiar. Nigdy wcześniej nie spróbowałem stworzyć czegoś tak skomplikowanego. Nawet Małe Chicago się z tym nie równa.

– Przysięgnij mi. Przysięgnij mi na swoją moc.

Przysięga na moc to sposób, w jaki mag zawiera ustną umowę. Jeśli złamie dane słowo, jego zdolność korzystania z magii zaczyna słabnąć, a jeśli wciąż to robi, prędzej czy później zupełnie zanika. Złamana przysięga, złożona na moc, mogła

cofnąć mnie o całe dziesięciolecia, jeśli chodzi o możliwość używania magii. Uniosłem dłoń.

– Bob, przysięgam na swoją moc, że jeśli mi powiesz, stworzę dla ciebie nowe naczynie, zakładając, że przeżyję następne dni. Ale... nie spodziewaj się niczego tak luksusowego jak to, co masz teraz.

Migoczące ogniki wróciły do normalnego rozmiaru.

– Nie martw się, szefie. – W głosie Boba brzmiało współczucie. – Nie będę.

– Mądrała.

– Do rzeczy! Nieśmiertelnego można zabić jedynie w pewnych ściśle określonych miejscach.

– A ty znasz jedno z nich? Gdzie?

– Ha, już poczyniłeś ludzkie założenie. Istnieją więcej niż trzy wymiary. Nie wszystkie miejsca są w przestrzeni. Niektóre z nich to miejsca w czasie. Nazywa się je koniunkcjami.

– Słyszałem o koniunkcjach, Bob – powiedziałem z irytacją. – Kiedy gwiazdy i planety ustawiają się we właściwym porządku. Wykorzystuje się je czasem, by wspomóc rzucanie wyjątkowo wymagających zaklęć.

– To jeden ze sposobów, by ocenić koniunkcję. Ale gwiazdy i planety są jedynie wskaźnikami wykorzystywanymi do opisanie pozycji w czasie. I to jeden ze sposobów wykorzystania koniunkcji, ale mają one również inne zastosowania.

Pokiwałem z namysłem głową.

– I istnieje koniunkcja, kiedy nieśmiertelni są podatni na cios?

– Zasłużył na ciasteczko, zrozumiał. Co roku.

– Kiedy?

– W noc Halloween, rzecz jasna.

Mocno nacisnąłem hamulec i podjechałem do krawężnika.

– Powtórz to.

– Halloween. – Głos Boba brzmiał poważnie. – Wtedy świat martwych jest najbliższy światowi śmiertelnych. Wszyscy... i wszystko... co przebywa na tym świecie, w Halloween jest śmiertelne.

Zagwizdałem, cicho i długo.

– Wątpię, by na świecie żyło więcej niż parę osób, które o tym wiedzą, Harry. A nieśmiertelni postarają się, by tak pozostało.

– Dlaczego są tak zaniepokojeni? Przecież mogliby po prostu nie pokazywać się w noc Halloween.

– Ponieważ wtedy... – Wydał z siebie pomruk frustracji. – Trudno to wyjaśnić, bo nie macie właściwych modeli konceptualnych. Ledwie liczyście do czterech wymiarów.

– Wydaje mi się, że matematycy dochodzą do kilkunastu. Oszczędź sobie obelg i spróbuj.

– Halloween jest czasem, kiedy żerują. Albo... uzupełniają paliwo. Albo poruszają się swobodnie. To w pewnym sensie jedno i to samo, a ja przekazuję jedynie część. Noc Halloween jest porą, kiedy stabilna niezmienność nieśmiertelności staje się plastyczna. Czerpią energię... i wtedy mogą dodać nową moc do swojej opończy. Przeważnie kradną małe fragmenty innym nieśmiertelnym.

– Tamci ześwirowani kemmlerowcy i ich Darkhallow. – Westchnąłem. – To była noc Halloween.

– Zgadza się! Rytuał miał uczynić jedno z nich nieśmiertelnym. Zasada jest taka sama... to jedyna noc w roku, kiedy mogłoby dojść do czegoś takiego. Wątpię, by wszyscy z nich wiedzieli, że to musiała być ta noc. Ale założę się, że Cowl tak. Ten facet jest na serio przerażający.

– Raczej na serio potrzebuje gipsu na całe ciało i psychoterapii. – W zamyśleniu przeczesalem palcami zbyt długie i rozczochrane włosy. – Czyli w Halloween są tutaj? Wszyscy?

– Każdy, kto jest... jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl, to „przebudzony”. Nieśmiertelni nie zawsze poruszają się w strumieniu czasu z taką samą prędkością jak wszechświat. Z twojego punktu widzenia wygląda to tak, jakby byli uśpieni. Nie są. Po prostu nie jesteś w stanie właściwie postrzegać prawdziwego stanu ich istnienia.

– Są tutaj – powiedziałem powoli. – Żerują albo oszukują się nawzajem, by zdobyć odrobinę mocy.

– Zgadza się.

– Cukierek albo psikus?

– No pewnie. A jak myślisz, skąd się to wzięło?

– Przez cały czas? To niewiarygodnie niepokojące.

– Wydaje mi się, że to drugi albo trzeci Merlin Białej Rady wymyślił te wszystkie tradycje związane z Halloween. Właśnie z tego powodu ludzie zaczęli tej nocy zakładać maski. Chodziło o to, by przechodzący przypadkiem obok głodni nieśmiertelni może... może... zastanowili się, zanim kogoś pożrą. W końcu nie mogli być pewni, czy osoba kryjąca się za maską nie była innym nieśmiertelnym, który ich podpuszczał.

– Halloween jest jutro w nocy. – Wyświetlacz banku, który mijaliśmy, powiedział mi, że niedawno minęła druga w nocy. – Albo raczej dziś, formalnie rzecz biorąc.

– Cóż za zbieg okoliczności. Tak przy okazji, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Nic dla ciebie nie mam.

Może poza moim własnym życiem.

– Nic się nie stało. Tak właściwie zdążyłem już zaliczyć imprezę. – Podrapałem się po brodzie. – Czyli... gdybym dopadł Maeve w Halloween, mógłbym ją zabić.

– Cóż – powiedział ostrożnie Bob – w każdym razie możesz spróbować. Technicznie jest to możliwe. Co nie znaczy, że jesteś dość silny, by tego dokonać.

– Jak dużo czasu mam? Kiedy kończy się noc Halloween?

– Kiedy o poranku odezwie się pierwszy ptak – odparł od razu Bob. – Zaśpiewa, zapieje, nieważne. Kiedy rozlegnie się jego głos, noc się skończy.

– Dobrze. Termin. – Zmrużyłem oczy. – Co daje mi niewiele ponad dwadzieścia cztery godziny – mruknąłem. – Muszę tylko ją znaleźć, a może być wszędzie na świecie albo w Nigdynigdy, ściągnąć ją tutaj i pokonać, a ona przez ten cały czas nie może mi uciec ani mnie zabić. Prosta sprawa.

– Tak. Niemal niemożliwa do zrealizowania, ale prosta. I przynajmniej wiesz już kiedy i jak.

– Ale nadal nie zbliżyłem się do daczego.

– Tu ci nie pomogę, szefie. Jestem duchem intelektu, a założenie, z którym mamy do czynienia, jest bez sensu.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie ma żadnego rozsądnego powodu. – Bob wydawał się nieszczęśliwy. – Chodzi o to, że kiedy Maeve umrze, pojawi się kolejna Maeve.

Zmarszczyłem czoło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Bob westchnął.

– Myślisz o Królowych Faerie jako o określonych jednostkach, Harry. Ale one nie są jednostkami. Są opończami mocy, rolami, stanowiskami. Osoba, która je nosi, jest właściwie wymienna.

– Tak jak bycie Rycerzem Zimy?

– Dokładnie tak. Kiedy zabiłeś Slate'a, moc, opończa po prostu przeniosła się na ciebie. Podobnie z Królowymi Faerie. Maeve nosi opończę Zimowej Panny. Zabij ją, a dostaniesz nową Zimową Pannę.

– Może tego właśnie chce Mab.

– To bez sensu.

– Dlaczego?

– Ponieważ opończa zmienia tego, kto ją nosi.

Nagle zrobiło mi się zimno.

(„Nie jestem taki jak Lloyd Slate”).

(„On też nie był. Nie na początku”).

– Nieważne, kto to jest – gadał dalej Bob. – W miarę upływu czasu to go zmienia. W pewnym momencie nie będziesz umiał odróżnić od siebie Maeve i jej następczyni. Poznaj nową Maeve. Taką samą jak stara Maeve.

Przełknąłem ślinę.

– Czyli... czyli Lily, która przyjęła opończę Letniej Panny po tym, jak zabiłem Aurorę...

– Minęło ile? Dziesięć lat? Już odeszła albo jest blisko. Daj jej jeszcze dekadę, najwyżej dwie, i będzie Aurorą.

Milczałem przez chwilę, po czym spytałem:

– Czy ze mną też się tak stanie?

Bob był ostrożny.

– Pewnie... już poczułeś początki. No, impulsywność. Intensywne emocje. Tego rodzaju rzeczy. To narasta. I nie zatrzymuje się. – Udało mu się wyrzucić wrażenie, jakby się skrzywił. – Przepraszam, szefie.

Przez chwilę wpatrywałem się w knykcie.

– Czyli nawet jeśli rozwalę tę Maeve, pojawi się inna. Może nie przez dziesięciolecia, ale w końcu tak.

– Nieśmiertelni nie przejmują się dziesięcioleciaми, szefie. Dla nich to jak dla ciebie kilka tygodni.

Pokiwałem z namysłem głową.

– Czyli może chodzi o właściwy moment.

– Jak to?

Wzruszyłem ramionami.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem, ale to jedyne, co przychodzi mi na myśl. Może Mab chce mieć przez najbliższe kilka lat Maeve mniej podobną do Maeve.

– Dlaczego?

Warknąłem.

– Już mam jedno dlaczego. Nie musisz mi dodawać kolejnych. – Postukałem palcami w kierownicę. – Dlaczego Mab nie zrobi tego sama?

– Ach, rozumiem. Wszystko jest w porządku, jeśli to ty dodajesz „dlaczego”. Tworzysz skomplikowane zasady, Harry.

Zignorowałem jego słowa z pogardą, na jaką zasługiwały.

– Mówię poważnie. Mab ma moc. Co ją powstrzymuje przed rozerwaniem Maeve na strzępy?

– Coś? – zasugerował Bob.

– Nie wierzę, że dałem sobie podrzeć smoking dla czegoś takiego.

– Ej! Właśnie powiedziałem ci coś tak cennego, że może uratować ci życie! Albo cię zabić!

– Jasne. Zgadza się. Ale to za mało. Potrzebuję więcej informacji.

– Znasz tu paru ludzi.

Warknąłem.

– Moja fizjoterapeutka, którą znam od całych trzech miesięcy, prawie dziś umarła, bo przyszła ze mną na imprezę... i to mimo że Mab patrzyła mi przez cały czas przez ramię jako sędzia.

– Jak to się różni od ostatniego razu, kiedy bawiłeś się z fae?

– Teraz ich znam. – Właściwie to było trochę straszne, kiedy wspominałem siebie sprzed dziesięciu lat. Tamten facet przerażał swoją ignorancją. – Aurora i jej ekipa byli właściwie całkiem przyzwoici. Mylili się, jasne. Ale w ich oczach to my byliśmy złymi gośćmi. Byli twardzi, ale nie byli zabójcami. Maeve jest inna.

– W jaki sposób?

– Nie ma ograniczeń.

– A ty doszedłeś do wniosku, że stoisz naprzeciwko niej.

– Wiem, że tak jest. A ona stała się dość potężna, by rzucić wyzwanie Mab na jej własnym dworze. Lepiej poznałem też Mab i to wszystko cholernie mnie przeraża. – Prychnąłem i poczułem w brzuchu łaskotanie. – A Maeve najwyraźniej jest zagrożeniem dla niej. I ja mam się tym zająć.

Bob zagwizdał.

– Cóż. Może to jest wyjaśnienie.

– Jakie wyjaśnienie?

– Dłaczego Mab tak się piekielnie uparła, żebyś to ty został nowym Rycerzem. Jesteś w końcu prawie awatarem hasła „Wszystko rozpada się”. Mab ma cel i chce być całkowicie pewna. Jesteś jak... jej pocisk kierowany. Nie wie dokładnie, co się wydarzy, ale wie, że będzie wielki huk.

– Jestem pociskiem, tak?

– Jej wielkim, tępym pociskiem burzącym – powiedział wesoło. – Oczywiście znasz prawdę o pociskach, Harry.

– Jasne. – Znów wrzuciłem bieg. – Są jednorazowe.

– Spokojnie, mały skaucie. Przynajmniej dziś wieczorem rzuciła się na ciebie seksowna ruda laska. Nie w celu oczywistym, ale nie można mieć wszystkiego.

Prychnąłem.

– Dzięki, Bob.

– Andi totalnie miała nad tobą przewagę. Gdzie była twoja mała ekipa ochroniarska?

– Zapomniałem zaprosić ich za próg. Poza tym sądzę, że dopadłaby mnie, zanim ktokolwiek zdążyłby mnie ostrzec.

– Myślałeś kiedyś, żeby zastąpić ich prawdziwymi zbirami jako ochroniarzami? Znam istotę, która zna istoty.

– Pieprzyć to. Toot i jego banda nie są gangsterami, ale im ufam. To znaczy... o wiele bardziej.

– To znaczy, że jesteś frajerem. Z *Archiwum X* niczego cię nie nauczyło? Nie ufaj nikomu.

Chrząknąłem.

– Kot Sith udzielił mi niemal dokładnie takiej samej rady.

– Auć. Ten gość. Wciąż ma takie podejście?

– Czułem się bezpieczniej, zakładając, że tak.

– Nie lubię go, ale nie uważam też za tępaka. Przynajmniej udziela dobrych rad.

– Matematycznie może i tak. Ale zaufanie nie jest jedną z tych rzeczy, które da się obliczyć.

– Pewnie, że tak. Ufasz komuś, ten ktoś cię zdradza, dostajesz wartość ujemną. Nie ufasz nikomu, nikt nie może cię rozczarować, wychodzisz na zero.

Zaśmiałem się.

– Albo ufasz, masz rację i wychodzisz na plus.

– Phi. Jakby takie rzeczy się zdarzały.

– W życiu chodzi o coś więcej niż wyjście na zero.

Bob prychnął.

– I dlatego pierwszą rzeczą, którą zrobiłeś po powrocie do miasta, było obdzwonienie wszystkich przyjaciół, powiedzenie im, że potrzebujesz ich pomocy, i zaufanie, że ci pomogą.

Wpatrzyłem się ponuro w jezdnię.

– Wcale nie było tak, że pierwszym, co zrobiłeś, było włamanie się do jednego z przyjaciół, uszkodzenie jego mienia i kradzież potężnego magicznego doradcy, którego lojalność przechodzi na osobę, która przypadkiem posiada pewną starą czaszkę... Najpewniej dlatego, że chcesz mieć sługusa, który będzie się zgadzał z każdym twoim słowem, zamiast robić ci piekło. A jedynymi istotami, którym pozwalasz sobie pomóc, jest banda małych elfów, wielbiących ziemię, po której stąpasz, bo kupujesz im pizzę. – Bob chrząknął ze sceptycyzmem. – Widzę, jak ważne jest dla ciebie zaufanie, szefie.

– Jak widać, właśnie dlatego cię zabrałem. Ponieważ potrzebowałem kogoś, kto będzie mi potakiwał, a ty jesteś w tym świetny.

– Ej, ja jestem tylko zwierciadłem, szefie. Nie moja wina, że jesteś ambiwalentny.

– Nie jestem ambiwalentny.

– Wiesz, co trzeba zrobić, ale i tak zachowujesz się jak kretyn. Jeśli to nie jest ambiwalencja, może Mab na ciebie wpłynęła. Bo to odrobinę zwariowane. – Prychnął.

– Poza tym, gdybyś się nie wahał, ja bym nie wygadywał takich rzeczy, prawda?

Zamierzałem powiedzieć coś sarkastycznego, ale jakieś dziesięć stóp od maski starego cadillaca pojawiło się nagle jaskrawe czerwone światło. Wpatrywałem się w nie przez ułamek sekundy, po czym mocno wdepnąłem hamulec. Zauważyłem jeszcze, że to nie było światło uliczne, ale Toot-toot, otoczony jaskrawoczerwoną aurą i gorączkowo machający rękami. Cadillac wciąż toczył się do przodu, a elf zrobił kilka kroków w przód, wbiegł po przedniej szybie i zniknął mi z oczu.

Gdy ciężki wytwór przemysłu samochodowego z Detroit ślizgał się po asfalcie, zobaczyłem przed sobą coś lecącego w powietrzu, co uderzyło w jezdnię i zaczęło koziołkować. Rozpoznałem prostą sportową torbę z czarnego nylonu.

A później świat stał się biały i młot wielkości Chrysler Building wbił mnie w siedzenie starego cadillaca.

Rozdział dwunasty

Kiedy bomba wybuchła, znajdowała się jakieś pięćdziesiąt stóp ode mnie.

Terapia Mab się opłaciła. Czysty instynkt sprawił, że kiedy huknęło, już zaczynałem tworzyć tarczę obronną. Nie zdążyłem stworzyć niczego solidnego, ale to, co z tego wyszło, najpewniej pomogło mi zachować przytomność.

Wybuchy są niewiarygodnie głośne. Jeśli nigdy nie znaleźliście się w pobliżu, nie ma sposobu, by opisać ich czystą gwałtowność. Umysł tak naprawdę nie rejestruje tego jako dźwięku, jak na przykład wystrzału z broni palnej. W powietrzu pojawia się przeraźliwa moc, nagłe uderzenie młotem, dezorientujący nacisk, jakby zderzenie z ciężarówką z miękkich materacy. Traci się słuch. Rozlega się znajomy, wysoki ton, ale nikt nie mówi, że to próba systemu ostrzegania i alarmowania. Wszędzie unosi się pył i dym i nic nie widać. Mięśnie nie działają właściwie. Mózg każe im się poruszyć, a one są niezdecydowane. Może to zrobią, a może nie. Trudno ocenić, gdzie jest dół. Oczywiście umysł to wie, na poziomie racjonalnym – ale ciało zachowuje się, jakby zapomniało o swojej naturalnej świadomości ciężenia.

Nawet jeśli coś ostrego i szybkiego nie przebije jednego z waszych ulubionych narządów, pobliski wybuch sprawia, że człowiek jest na wpół ślepy, głuchy i osłabiony, jakby się upił.

Odslonięty.

Cadillac z piskiem opon przesuwiał się w stronę czarnej nylonowej torby, a już po chwili wpatrywałem się w chmurę pyłu i niewyraźny obraz ceglanej ściany przed maską wozu. Przednią szybę pokryła siatka pęknięć, która sprawiała, że niewiele widziałem. Czułem piekielny ból w piersi.

Obmacalem ją niespokojnie niezgrabnymi palcami i pomyślałem, że auto załatwione przez Sitha musiało mieć pancerne szyby, bo inaczej miałbym kawałki szkła we wnętrzościach. W moim polu widzenia tańczyły światełka. Wzrok nie chciał się na nich skupić. Wonie były niewiarygodnie ostre. Powietrze wypełniał gęsty, gryzący dym, zaprawiony wonią rzeczy, których spalanie jest szkodliwe dla zdrowia. Wyczułem benzynę. Kątem oka widziałem wiszące przewody, gdzieś na zewnątrz samochodu, z których strzelały białe iskry.

Nic z tego nie wydawało się normalne, ale nie umiałem sobie przypomnieć właściwego słowa, by to opisać.

Niebezpieczeństwo.

Tak. O to chodziło. Niebezpieczeństwo. Znajdowałem się w niebezpieczeństwie.

Ruchomy cel trudniej trafić.

Otworzyłem drzwi od strony pasażera i wytoczyłem się z auta, krztusząc się pyłem. Kolejny wypadek samochodowy? Stary Mike zażąda ode mnie majątku za kolejną naprawę Niebieskiego Chrabąszcza. Czy miałem w banku jakieś pieniądze? Nie pamiętałem, czy wpłaciłem ostatni czek od Strażników.

Nie, chwileczkę. Wóz, z którego właśnie wysiadłem, nie był Niebieskim Chrabąszczem, moim wiernym starym volkswagenem garbusem, który zginął na służbie. To był ten podrasowany samochód służbowy Hermana Munstera, który moja szefowa...

Mój mózg zakończył restart i wszystko znów stało się jasne – ktoś właśnie próbował mnie wysłać z powrotem do epoki kamienia łupanego za pomocą bomby.

Pokręciłem głową, zakrztusiłem się pyłem, ściągnąłem z głowy czapkę Redcapa i zasłoniłem nią usta jako maseczką. Cadillac wjechał na chodnik i uderzył w budynek. Jeden z reflektorów się stukł, przedni zderzak był trochę powgniatany, a drzwi pasażera otwarte, ale poza tym samochód był na chodzie. Jakies dziesięć, może dwanaście stóp kwadratowych ściany wypadło na zewnątrz, częściowo na maskę, częściowo na chodnik. Rozejrzałem się. Niewiele widziałem przez pył. Dostrzegłem uszkodzone ściany. Kilka niewielkich pożarów. Latarnia uliczna zerwała się z kabla, na którym wisiała – stąd się wzięły iskrzące przewody.

Światełka wciąż tańczyły w przypadkowy sposób, a ja zamrugałem, próbując się ich pozbyć. Ale kiedy człowiek dostanie po głowie, zwykle widzi białe i srebrne iskry. Te były pomarańczowe i czerwone, jak węgielki w ognisku.

Nagle jedno z tych światełek obróciło się w powietrzu i poleciało w moją stronę. Szarpnąłem się, wciąż niezgrabnie, i moją twarz przeszył nagły ból.

Wrzasnąłem i przykleknąłem na jedno kolano. Coś wbiło się w mój policzek i tam pozostało, mocując tę przeklętą czapeczkę Cincinnati do mojej twarzy. Instynktownie uniosłem rękę, ale zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, ból wypełnił świeże rany na moich plecach, posiniaczone dłonie, szyję, którą Redcap prawie zmiażdżył.

To sprawiło, że padłem na ziemię. Nie dało się tego przetworzyć, nie mówiąc już o zignorowaniu. Zareagowałem zwierzęcym odruchem i machnąłem łapą w kierunku

źródła najbardziej intensywnego cierpienia. Znow przeszył mnie ból i nagle czapka oderwała się od mojej twarzy. Razem z nią na ziemię spadł zakrwawiony długi na dobre cztery cale gwóźdź. Jego końcowe dwa cale były zakrwawione, a drugi koniec owinięto grubą warstwą taśmy izolacyjnej.

Kiedy go wyrwałem, poczułem, że ból rozprasza się i znow staje się jedynie irytującym doznaniem w tle, jak jeszcze przed kilkoma chwilami. W chwili gdy zniknęło cierpienie, znow mogłem jasno myśleć.

Ktoś do mnie strzelił? Z pieprzonej gwoździarki? Co tu się działo, do diabła?

Kiedy ta myśl pojawiła się w moim umyśle, podleciało do mnie kolejne światełko i zanim zdążyłem zareagować, uderzyła mnie kolejna fala bólu, zupełnie absurdalnego w swoim natężeniu, zaczynając od nogi. Powróciły wcześniejsze doznania, ze świeżym dodatkiem w postaci twarzy. Wrzasnąłem i machnąłem ręką, wrywając z prawego mięśnia czworogłowego drugi gwóźdź, bardzo podobny do pierwszego. Znow wypełniła mnie ta zimna moc, tłumiąc ból i rozjaśniając myśli.

Światełka o barwie węgielków atakowały mnie zbyt szybko. Nie miałem czasu na rzucenie zaklęcia obronnego, nie w moim stanie, a moje ciało, nawet jeśli byłem Rycerzem Zimy, nie było dość szybkie, by ich uniknąć albo zaatakować. W chwili gdy przetwarzałem te myśli, trzeci gwóźdź trafił mnie w lewe ramię i znow musiałem wyrwać się z kolejnej fali czystej udręki. Czułem się całkowicie bezradny i oszołomiony niezdolnością pokonania tak malutkiego wroga.

Nagle zrozumiałem, jak czuła się pod koniec poprzednia Letnia Panna, Aurora.

– Wstawaj, Harry – wydyszałem, walcząc z dezorientacją i gwałtownym falowaniem bólu. – Wstawaj, zanim cię przygwożdżą.

Przygwożdżą. Łapiecie?

Ale ja zawsze żartuję, kiedy się boję, a teraz byłem przerażony. Czymkolwiek były te istoty, to gdyby wbiły we mnie więcej niż jeden z tych gwoździ, wątpiłem, bym zdołał zebrać myśli na dość długo, by je wyjąć. Miałem koszmarną wizję, jak leżę rozciągnięty na chodniku w agonii, a z każdego cala mojego ciała wystają gwoździe.

Próbowałem się odsunąć, zrobić unik, ale w porównaniu z pędzącymi iskierkami poruszałem się jak na nagraniu odtworzonym w zwolnionym tempie. Pół tuzina świetlistych istot ruszyło w moją stronę, zbliżając się w szyku w kształcie litery V, i wiedziałem, że zaraz będzie naprawdę źle.

I wtedy rozległ się dźwięk gwizdka, co słyszałem nawet ogłuszony, i cichutki, odległy głos zapiszczał:

– Do Pana Pi!

Pół tuzina kul chłodnego niebieskiego światła poleciało w stronę napastników, zatrzymując ich zaledwie parę stóp od mojego ciała. Sześć wybuchów iskier i świetlistych plamek rozjaśniło noc, barwy wirowały i kłębiły się, kiedy malutcy żołnierze z Gwardii Pana Pi zwarli się z napastnikami.

Toot spadł z góry, wylądował ciężko na moim brzuchu. Jak na kogoś rozmiaru kurczaka był silny i aż sapnąłem, kiedy popchnął mnie znów na ziemię. Szeroko rozstawił stopy, zrobił drapieżny grymas, unosił tarczę, a w dłoni ścisnął miecz ze stołowego noża.

– Nie podnoś się, panie! Zaczekaj, aż oczyścimy drogę ucieczki!

Drogę? Poświęciłem sekundę, żeby się rozejrzeć. Widziałem, jak jeden z „połowników” Toota leci bokiem, unosząc włócznię ze szpilki do włosów i ołówka w stronę kogoś z Małego Ludku. Ta humanoidalna istota miała na sobie coś, co wyglądało na prawdziwy czarny pancerz z formowanego plastiku, albo może skorupy, i trzymała w ręku kolejny z aż za dobrze mi znanych gwoździ. Wrogi elf został ranny i z zadanej szpilką rany na jego malutkiej nodze ciekły świetliste pyłki, szkarłatne i ciemnopomarańczowe.

Ciemne i chłodne kule światła były wszędzie, całe dziesiątki, wszystkie jednocześnie wirujące, nurkujące i robiące pętle. Nie dało się śledzić tych poruszeń. Nawet gdybym był całkiem przytomny, nadażyłbym może za jedną dziesiątą.

Pięcioro czy sześcioro wrogich fae, większych i jaśniejszych od pozostałych, zanurkowało w moją stronę, a każde trzymało w ręku miecz z gwoźdź. Wydawały z siebie piskliwe, niesamowite okrzyki, kiedy atakowały mnie – i Toot-toota.

Dobra, przez lata myślałem o Toot-toocie bardzo różnie. Porównywałem go do rozmaitych śmiesznych rzeczy, a czasami do ludzi, których zbytnio nie ceniłem. Żartowałem sobie z niego, choć nigdy, jeśli sądziłem, że sprawi mu to przykrość. Ale gdybyście rok temu spytali mnie o idealne porównanie opisujące tego małego kolesia, nigdy, przenigdy nie powiedziałbym „król Leonidas”.

Toot wydał z siebie wysoki ryk i wzniosł się w powietrze. Uderzył tarczą elfa w czarnym pancerzu pośrodku wrogiego szyku, a jednocześnie się obrócił, przez co rzucił pechowego fae na towarzysza po lewej. Miecz Totta zabłysł i jedno przezroczyste skrzydło uwolniło się od ciała, do którego było przymocowane. Mały elf stracił równowagę i wbił się w stertę cegieł i gruzu.

Dwaj się przebili.

Udręka.

Następną rzeczą, jakiej byłem świadom, był Toot wyciągający gwoździe z mięśni

mojego brzucha, a świeża rana w tym miejscu i w mięśniu piersiowym zwiększyły bilans bólu tego wieczora. Toot ostrożnie złapał gwóźdź za rękojesc z taśmy izolacyjnej, odwrócił się i rzucił nim w stronę pary walczących elfów. Trafił pomarańczowego wroga bokiem stalowego gwoźdź. Pojawił się rozbłysk białego światła, a uderzona istota wydała z siebie wrzask, który zaczynał się na skraju ludzkiej zdolności słyszenia i przeszedł w częstotliwości słyszalne dla psów, po czym uciekła, a strażnik podążył za nią.

– Rozpraszać się! – ryknął Toot. Cóż... tak, jak mógł ryknąć ktoś, kto zmieściłby się w pojemniku na chleb. – Za nimi, połownicy!

Ciemne światła uciekały w panice, a jaskrawoniebieskie kule leciały za nimi z bzyczeniem.

– Pozwolenie, by ruszyć w pogoń za tymi dupkami, panie?! – krzyknął Toot.

W końcu miałem kilka sekund, by zebrać myśli. Gwałtownie potrząsnąłem głową. Nie pomogło, ale prosty akt rozpoznania problemu, rozważenia rozwiązania i podjęcia kroków, by go naprawić, nieco przywrócił porządek w moim umysłowym domu.

– To manewr mylący. – Rozejrzałem się. – Odciągają gwardię.

Tam. Wysoko. Piekielnie wysoko, jakieś dwadzieścia pięter w górę. Plama światła o barwie węgielków nagle oderwała się od balkonu i zaczęła opadać w naszą stronę. Kiedy się zbliżyła, rozpadła się na dziesiątki rozwścieczonych małych kul. Podskakiwały i falowały, nabierając prędkości, a wzór ich ruchów był oszalamiający, dezorientujący. Od głównej chmury odrywały się kolejne światełka, lecące we wszystkie strony.

Toot, który znów stał mi na brzuchu, patrzył na nie z otwartymi ustami. Jego lewa ręka opadła, tarcza zawisała u boku.

– Ojej. – Przełknął ślinę. – No tak. Nie jestem pewien, czy dopadnę ich wszystkich, panie.

Usiadłem, zmuszając go do zejścia z brzucha, i wstałem.

– Dobrze sobie poradziłeś, Toot – warknąłem. – Dobra, plotki. Czas na maga.

Przed paru laty zajmowałem się z Molly magią powietrza, co było częścią jej kursu wprowadzającego do magii żywiołów. Nie miała drygu do wykorzystywania podmuchów wiatru jako broni, ale udało jej się wymyślić zaklęcie, które nieźle imitowało suszarkę do włosów.

Uniosłem prawą rękę, zebrałem wolę i przygotowałem zaklęcie suszarki.

Tyle tylko że podkręciłem je na maksa.

– *Ventas reductas!* – zagrzałem i wypuściłem wolę.

Moją wyciągniętą rękę opuścił z wyciem podmuch arktycznego wichru. W wilgotnym październikowym powietrzu pojawiła się mgielka, tworząc stożek wielkości bloku mieszkalnego. Na wszystkich powierzchniach w okolicy pojawił się szron. Wicher uderzył w opadający Mały Ludek, odrzucając postaci na wszystkie strony. Pomarańczowe światełka chwiały się i wirowały, a ich skomplikowany szyk zupełnie się rozpadł.

Zauważyłem, że zbierają się z boku i próbują znów ustawić w szyku, więc zmieniłem kierunek podmuchu i znów ich rozproszyłem. Zakłęcie Molly było efektywniejsze od czegokolwiek, co sam wymyśliłem, kiedy byłem na jej poziomie, ale nie ma czegoś takiego jak darmowy obiad. Tak wiele wiatru wymaga mnóstwa energii i nie byłem w stanie utrzymać go zbyt długo.

Toot nagle mnie opuścił i zanurkował w powietrzu, jego skrzydełka się rozmywały. Ściskając miecz, zniknął za maską samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

Już po chwili na bagażniku auta zaczęła się bijatyka. Jeden z wrogich elfów przezoziółkował w powietrzu i wylądował na trupie świateł drogowych. Dwa kolejne uciekały z wyraźną paniką, leciały szybko, lecz nierówno, a po drodze upuściły gwoździe.

Nagle strzeliły iskry, gdy stal uderzyła o stal, a Toot wyłonił się z za wozu, gorączkowo broniąc się przed kolejnym członkiem Małego Ludku, niemal dorównującym mu wzrostem. Przeciwnik miał na sobie czarny pancerz, który pokrywały kolce z cholernych haczyków wędkarskich, nawet hełm, i walczył czymś, co wyglądem przypominało prawdziwy miecz, tyle że w odpowiedniej skali – taki z falującą klingą, który nazywają chyba flambergiem.

Na moich oczach ostrze wroga odcięło pół cala aluminium ze szczytu tarczy Toota. Później nastąpiła seria mocnych oburęcznych ciosów, które miały rozrąbać Toota.

Generał major podskakiwał i kołysał się jak trzcina, ale atak był gwałtowny, a przeciwnik równie szybki jak on sam. Udało mu się zablokować kolejny cios tarczą, ale później klinga flamberga zatrzymała się na krawędzi tarczy i znów ją przecięła, pozostawiając jedynie niewielki prostokąt aluminium na ramieniu elfa. Toot wznosił się w powietrze, ale jego przeciwnik mu dorównywał, kręcili się wokół słupa latarni, miecz wroga zderzał się z zaimprovizowaną bronią Toota, aż leciały iskry.

Chciałem się wtrącić, ale jak zawsze rozmiar ma znaczenie. Mój cel był malutki i poruszał się szybko. Obaj tak bardzo się kręcili, że nawet gdybym miał szczęście

i któregoś trafił, równie dobrze mogłem wyeliminować Toota, jak i Kapitana Haka. Dzięki Mab moja magia ewokacyjna była bardziej skupiona i precyzyjna niż kiedykolwiek, ale wciąż jeszcze nie panowałem nad nią na tyle, by pozwolić sobie na taką szczegółowość. A poza tym cały czas musiałem powstrzymać resztę zbirów Haka za pomocą ogromnej dmuchawy do liści. Mogłem jedynie patrzeć.

Hook zamachnął się w stronę głowy Toota, on jednak uchylił się w ostatniej chwili, a flamberg wbił się na moment w metalowy słup latarni.

– Aha! – warknął Toot i wbił nóż stołowy w opancerzoną rękę Haka.

Drugi elf cofnął się, wyraźnie poczuł ból, flamberg zaś upadł na ziemię.

– Poddaj się, łotrze! – krzyknął Toot. – Przyjmij sprawiedliwość Pana Pi!

– Nigdy! – odpowiedział spod hełmu podobnie piskliwy głos.

Hak wyjął dwa sztylety, wąskie jak wykałaczki. Ustawił je jak nożyce, powstrzymał nimi kolejny cios Toota, odepchnął nóż i zamachnął się sztyletem w stronę szyi przeciwnika. Toot cofnął się gwałtownie, ale został trafiony w pierś, a sztylet przeciął jego pancerz tak samo łatwo jak flamberg.

Generał major krzyknął z bólu i cofnął się.

Czegoś takiego potrzebowałem. Przekręciłem dmuchawę do liści, żeby uderzyć w Haka. Trafiła małego elfa, kiedy ruszał w stronę Toota, i rzuciła nim o ścianę budynku, a odbijający się od niej podmuch odepchnął Toota w bezpieczne miejsce. Elf odzyskał równowagę w locie, zamachał skrzydełkami i poleciał niepewnie w moją stronę. Złapałem go wolną ręką, przycisnąłem do boku i odwróciłem się częściowo od Haka, osłaniając Toota.

Chmura wrogich fae wciąż kłębiła się niepewnie. Wyraźnie brakowało im przywódcy, a wichura, którą uderzyłem napastników, rozproszyła ich – ale kończyła mi się energia, a jakieś dwie sekundy po tym, jak się ogarną, będę trupem.

– Nogi, nie zawiedźcie mnie teraz – mruknąłem.

Wciąż kierując dmuchawę do liści na Haka, którego uważałem za ich przywódcę, ruszyłem naprzód, w stronę samochodu. Sprawdziłem go kilkoma szybkimi spojrzeniami. Woń benzyny nie pochodziła z cadillaca, ale z na wpół zmiażdżonego samochodu, który znajdował się bliżej torby z bombą.

Ostatni raz napełniłem mocą dmuchawę do liści i wskoczyłem do cadillaca, zatraskując za sobą drzwi. Upuściłem Toota obok Boba, najdelikatniej jak umiałem.

– Co się dzieje?! – krzyknął Bob niewyraźnie spod siedzenia pasażera, gdzie wylądował bokiem.

– Malutkie elfy skopały mi tyłek! – odkrzyknąłem, próbując uruchomić samochód.

– Mają nade mną cholerną przewagę!

Rozległ się głośny trzask i wąski sztylecik przebił się przez szybę po stronie pasażera. Siatka pęknięć, która się na niej pojawiła, sprawiła, że widziałem przez nią tyle samo, co przez witraż.

– Auć! – jęknąłem.

Bob zaczął się histerycznie śmiać.

Sztylet zniknął, a po chwili to samo powtórzyło się po stronie kierowcy.

Cholera jasna, Hak był stanowczo za bystry jak na kogoś rozmiarów pluszowej zabawki. Oślepił mnie.

Wrzuciłem wsteczny i zjechałem z chodnika na jezdnię, sypiąc przy tym cegłami i gruzem. W chwili gdy wydostałem się na ulicę, przednią szybę również pokryła siateczka pęknięć, więc po prostu jechałem tyłem, oglądając się przez ramię. To szło niezłe przez kilka sekund, a później popękała również i tylna szyba.

Zazgrzytałem zębami. W normalnej sytuacji następnym posunięciem byłoby opuszczenie bocznej szyby i wyjrzenie przez nią. Tej nocy byłem pewien, że gdybym spróbował, dostałbym miniaturowym sztyletem w oko.

Czasem trzeba wybrać między zrobieniem czegoś głupiego a czegoś samobójczego. Dlatego jechałem na ślepo i tyłem przez środek Chicago, Bob zaś śmiał się do rozpuku.

– Malutkie elfy! – Zachichotał, kołysząc się, kiedy cadillac podskakiwał. – Malutkie elfy!

Mój plan działał przez jakieś dziesięć sekund – po czym uderzyłem w zaparkowany samochód. Miałem szczęście, że nie był duży. Zgadza się, nie widziałem go, ale odbił się od cadillaca jak bila trafiona inną bilą. Jednocześnie siła uderzenia wyrwała mi z rąk kierownicę i sprawiła, że cadillac wjechał na kolejny chodnik. Auto przebiło metalową barierkę, a tylne koła zsunęły się po prowadzących w dół schodach.

Próbowałem wydobyć samochód, ale brakowało mi podparcia dla opon.

Koniec trasy.

Zakląłem z głębi serca i uderzyłem pięścią w kierownicę. Później zmusiłem się, by zamknąć oczy i pomyśleć. Myśl, myśl, nie reaguj w panice. Nie trać głowy, Dresdenie.

– Generale majorze. Wszystko w porządku?

– Nie jest źle, panie. – Sapnął. – Bywało gorzej.

– Musimy ruszać.

– Uciekać! – Bob chichotał. – Uciekać! Malutkie elfy!

Warknąłem z frustracją i nałożyłem Bobowi czapkę Redcapa.

– Nie bądź dupkiem. To poważna sprawa.

Głos Boba był ledwie stłumiony. Brzmiał tak, jakby duch z trudem łapał oddech.

– Poważna! Malutkie! Elfy! P-p-potęźny mag Dresden!

– Nie jesteś aż tak zabawny, jak ci się wydaje – powiedziałem surowym tonem. – Toot, masz jakieś pomysły?

– Uwięzić ich wszystkich w kręgu? – zaproponował Toot.

Westchnąłem. Racja. Musiałem tylko skłonić napastników do wylądowania w tym samym miejscu, wewnątrz magicznego kręgu, którego nie miałem jak stworzyć.

Toot to świetny gość. Tylko... nie bardzo nadaje się na doradcę.

Pęknięte szyby spowił pomarańczowy blask, podkreślając siatkę pęknięć. Potężny pomarańczowy blask.

– Cholera. – Sapnąłem. – Nie zamierzam zostać zapamiętany jako mag, który zużył śmiertelną klątwę z powodu bandy malutkich gwoździarek.

I wtedy rozległ się bardzo złowrogi odgłos.

Gdzieś z tyłu cadillaca ktoś otworzył wlot paliwa.

Nie było trudno się domyślić, co było następne. Ogień.

– Do diabła, nie.

Zabrałem czapkę, odwróciłem wciąż rozchichotanego Boba do góry nogami, a później wrzuciłem Toota do czaszki. Leżał w niej niezgrabnie, jego nogi i ręce wystawały na zewnątrz, ale nie narzekał.

– Ej! – sprzeciwił się Bob.

– Masz za swoje, Chichotku – warknąłem.

Włożyłem czaszkę pod pachę jak piłkę.

Wiedziałem, że nie mam większych szans, by uciec przed stadem elfich piranii, ale były to zdecydowanie większe szanse, niż gdybym został w samochodzie i spłonął. Na wszystkie dzwony piekiel, ile bym dał za bransoletkę z tarcz. Albo starą laskę. Nie miałem nawet parasola.

Nie byłem pewien, ile pozostało mi magii, ale przygotowałem zaklęcie tarczy i ukształtowałem ją, by osłaniała mnie w biegu. Nie mogłem utrzymać jej zbyt długo – ale może gdybym miał ogromne szczęście, przeżyłbym dość długo, by coś wymyślić.

Odetchnąłem kilka razy, głęboko i absolutnie bez paniki, po czym wyszedłem z cadillaca, podnosząc tarczę z okrzykiem:

– *Defendarius!*

Mały Ludek niemal natychmiast zaczął uderzać w moją tarczę. Kiedyś przetrwałem burzę gradową w baraku z blachy falistej. Odgłos był podobny, tyle tylko

że bliższy i piekielnie niebezpieczny.

Ruszyłem biegiem. Wciąż obecny pył, chmura mgły pozostawionej przez zaklęcie dmuchawy do liści i chmara wrogich elfów sprawiały, że ledwie widziałem. Wybrałem kierunek i pobiegłem. Dziesięć kroków. Dwadzieścia kroków. Wróg wciąż uderzał w tarczę, a kiedy napelniałem ją wolą, by utrzymać ją na miejscu, moje ciało stawało się coraz cięższe.

Trzydzieści kroków – wpadłem w niewielką dziurę w chodniku, potknąłem się i przewróciłem.

Upadek w czasie walki zwykle nie jest niczym dobrym. Człowiek rzadko znów się podnosi. W końcu nie bez powodu fraza „padł” była przez stulecia synonimem śmierci.

Padłem.

I wtedy usłyszałem najpiękniejszy dźwięk w moim życiu. Gdzieś w pobliżu jakiś kot wydał z siebie wściekłe syczenie.

Mały Ludek żyje w śmiertelnym strachu przed *Felis domesticus*. Koty są spostrzegawcze, ciekawskie i dość szybkie, by złapać małe elfy. Do diabła, kot domowy może wytropić, upolować i zjeść więcej gatunków niż jakikolwiek inny lądowy drapieżnik. To niezrównani myśliwi i Mały Ludek o tym wie.

Syk ten miał natychmiastowy efekt. Napastnicy cofnęli się odruchowo i błyskawicznie wzniesli na dwadzieścia stóp w powietrze – nawet Hak. Miałem możliwość się rozejrzeć i zobaczyłem dużego cętkowanego kocura, który zeskoczył z kontenera na śmieci na chodnik obok mnie.

– Nie! – krzyknął Hak spod hełmu. – Zabijcie bestię! Zabijcie ich wszystkich!

– Co takiego? Co ja wam zrobiłem? – zaprotestował Bob z oburzeniem. – Mnie tu nawet nie powinno dzisiaj być!

Elfy popatrzyły na Haka i zaczęły znów zbierać odwagę.

W pobliżu wrzasnął drugi kot. I trzeci. I czwarty. Koty wychodziły z bocznych uliczek i spod zaparkowanych samochodów. Koty spacerowały po gzymsach dwadzieścia stóp nad ziemią. Błyszczące oczy odbijały światło w głębokich cieniach między budynkami.

Jak sądzę, nawet Hak nie był gotów na coś takiego. Mały elfi czempion wydał z siebie okrzyk frustracji, odwrócił się i wzleciał bardzo wysoko, znikając w mroku nocy. Pozostali podążyli za nim, odlatując niczym świetlista wstęga.

Przez sekundę po prostu leżałem, wyczerpany i dyszący, po czym usiadłem i rozejrzałem się dookoła.

Koty zniknęły, jakby nigdy ich nie było.

Usłyszałem, jak ktoś wychodzi z uliczki za moimi plecami, i mimo zmęczenia moje ciało się napięło. I wtedy usłyszałem młodą kobietę, mówiąca z akcentem niezłe udającym brytyjski.

– Mały Ludek łatwo spłoszyć, ale wkrótce powrócą. I to w większej liczbie.

Opadłem na ziemię, czując nagłą ulgę. Źli goście rzadko cytują *Gwiezdne wojny*.

– Molly – westchnąłem.

Wysoka młoda kobieta ubrana w podniszczone ciuchy z drugiej ręki kucnęła obok mnie i uśmiechnęła się.

– Cześć, szefie. Witamy w domu.

Rozdział trzynasty

– Nowicjuszka. – Poczułem, że się uśmiecham. – Iluzja. Bardzo ładna.

Molly skinęła mi lekko głową.

– To moja specjalność.

– I bardzo dobre wycucie czasu. A poza tym, co, do diabła? Skąd wiedziałaś, że jestem...?

– Żywy?

– Tutaj, ale jasne. Skąd wiedziałaś?

– Priorytety, szefie. Możesz iść.

– Nic mi nie jest.

Podniosłem się, odpychając się od ziemi. Nie było to tak trudne, jak powinno, i czułem, że moja wytrzymałość już zaczyna się odbudowywać, że energia powraca. Nadal czułem się zmęczony – nie zrozumcie mnie źle – ale powinienem aż się zataczać, a tak nie było.

– Nie wyglądasz najlepiej. Czy to był smoking?

– Przez chwilę. – Spojrzałem z ukosa na samochód. – Masz ochotę poprowadzić?

– Jasne. Ale... nieźle utknął, Harry, chyba że zamówiłeś dźwig.

Chrząknąłem nieco zirytowany tonem jej głosu.

– Wsiądź do środka, włącz silnik i lekko naciśnij gaz.

Molly wyglądała, jakby miała ochotę się sprzeciwić, ale nagle gwałtownie spuściła wzrok. Po chwili usłyszałem syreny. Zmarszczyła czoło, pokręciła głową i wsiadła do samochodu. Sekundę później rozległ się pomruk silnika.

Zszedłem na schody, na których utknęły koła samochodu, odłożyłem czaszkę Boba i znalazłem dobre miejsce pod tylną ramą. Oparłem stopy, wsunąłem dłonie pod podwozie cadillaca i popchnąłem.

Było trudno. Naprawdę, naprawdę cholernie trudno – ale później wóz zajęczał, poruszył się i powoli uniósł. Dźwigałem go nogami na równi z ramionami, napierałem całym ciałem i całym sobą czułem wysiłek. Wypuściłem powietrze z płuc w powolnym jęku, ale wtedy właśnie koła wydostały się ze schodów, obróciły, znalazły oparcie na chodniku i auto wyjechało do końca.

Złapałem czaszkę z wciąż bezwładnym Tootem w środku, wspiałem się z powrotem po schodach i wsiałem do wozu po stronie pasażera. Uniosłem rękę i posłałem falę mocy przez auto, mrując przy tym:

– *Forzare.*

Uszkodzona przednia szyba jęknęła i poddała się, wyrwała się z ramy i odsłoniła widok dla Molly.

– Jedź – zaskrzeczałem.

Molly ruszyła ostrożnie. Obok nas przejeżdżały samochody służb, więc zbliżyła się do krawężnika i jechała powoli, by je przepuścić. Siedziałem i dyszałem – uświadomiłem sobie, że prawdziwego wysiłku związanego z poruszeniem czegoś tak ciężkiego nie zauważa się, kiedy się to robi – wszystko dociera dopiero po chwili, gdy mięśnie wróćą do siebie na tyle, by zażądać tlenu. I to już, do diabła!

– Jak leci, stary? – spytałem po chwili.

– Boli. – Toot westchnął. – Ale nic mi nie będzie, panie. Pancierz zatrzymał część ciosu.

Sprawdziłem czaszkę. Światelka w oczach zniknęły. Kiedy w okolicy pojawiła się Molly, Bob zaczął udawać, że go nie ma. Postąpił zgodnie z moimi stałymi rozkazami, które wydałem w chwili gdy została moją praktykantką. Bob miał niemal nieograniczoną wiedzę na temat magii. Molly charakteryzowało wykalkulowane lekceważenie własnych ograniczeń, kiedy uważała to za uzasadnione. Stworzyliby bardzo przerażający duet i w czasie jej szkolenia pilnowałem, żeby pozostawali od siebie oddzieleni.

– Musimy zniknąć z ulicy. Znaleźć jakieś spokojne i bezpieczne miejsce.

– Znam jedno takie. Co się stało?

– Ktoś rzucił w mój samochód torbą pełną materiałów wybuchowych – warknąłem. – A później dorzucił pieprzoną eskadrę śmierci chochlików z piekła rodem.

– Mówisz, że rozpoznali ten samochód w ruchu ulicznym? – Jej głos brzmiał oschle. – Jakie jest prawdopodobieństwo?

Chrząknąłem.

– Kolejny powód, żeby zniknąć. Pronto.

– Rozluźnij się. Okryłam samochód zasłoną w chwili, kiedy minęliśmy policję. Jeśli ktoś cię wcześniej śledził, teraz już tego nie robi. Odetchnij, Harry. Wkrótce będziemy na miejscu.

Zamrugąłem. Zrobiła na mnie wrażenie. Zasłony nie były prostymi zaklęciami. Jasne, Molly się w nich specjalizowała, ale tu zrobiła coś więcej. Nie miałem pewności,

czy mógłbym zasłonić całego cadillaca, jednocześnie jadąc ostrożnie ulicą i prowadząc rozmowę. Właściwie byłem przekonany, że bym sobie nie poradził.

Nowicjuszka zaczynała mnie przerastać.

Wpatrywałem się w profil Molly, kiedy prowadziła. A właściwie się gapiłem. Poznałem ją przed laty, kiedy była niezdarnym dzieciakiem w krótkiej koszulce. Teraz miała pięć stóp dziesięć cali wzrostu albo trochę więcej i jasnobrązowe włosy, choć od kiedy ją poznałem, zmieniła ich kolor jakieś pięćdziesiąt razy. W tej chwili miały naturalny odcień i były obcięte krótko na linii brody. Do tego minimalny makijaż. Dziewczyna miała figurę wyjątkowo kształtnej rzeźby, ale nie epatowała nią w tym stroju – spodnie khaki, kremowa koszulka i czekoladowa kurtka.

Kiedy ostatnio widziałem Molly, wyglądała na zagłodzoną, miała na sobie szmaty, a każdy dźwięk i ruch wprawiał ją w drżenie, jakby była dzikim kotem – co nie dziwiło, ponieważ prowadziła tajną wojnę przeciwko grupie zwanej Fomorami, a jednocześnie unikała gliniarzy i Strażników Białej Rady. Wciąż była szczupła i nieco zbyt czujna, jej oczy próbowały obserwować cały świat jednocześnie, ale to wrażenie napięcia jak w przesadnie ściśniętej sprężynie znacznie się zmniejszyło.

Wyglądała dobrze. Kiedy to zauważyłem, coś poruszyło się pod powierzchnią, coś, co nie powinno istnieć. Gwałtownie odwróciłem wzrok.

– Uch. Harry?

– Wyglądasz lepiej, niż kiedy widziałem cię ostatnio, dzieciaku.

Przez chwilę się uśmiechała.

– I nawzajem.

Prychnąłem.

– Trudno byłoby wyglądać gorzej. I dotyczy to nas obojga.

Spojrzała na mnie.

– Tak, czuję się znacznie lepiej. Wciąż nie jestem... – Wzruszyła ramionami. – Nie jestem mistrzynią stabilności. A przynajmniej jeszcze nie. Ale pracuję nad tym.

– Czasami myślę, że w takim stanie znajduje się większość z nas. W miarę możliwości odpędzamy szaleństwo. Próbujemy stać się kimś lepszym, niż byliśmy wcześniej. Liczy się ta druga część.

Uśmiechnęła się i nic nie powiedziała. Po kilku chwilach skrzyła na prywatny parking.

– Nie mam pieniędzy na parking – zauważyłem.

– Nie ma takiej potrzeby.

Zatrzymała się i opuściła popękaną szybę, żeby pomachać strażnikowi

otwierającemu bramę. Podniósł wzrok znad książki, uśmiechnął się do niej i nacisnął przycisk. Brama się otworzyła, a Molly wprowadziła auto na parking. Przejechała całą jego długość i zaparkowała ostrożnie na miejscu pod dachem.

– W porządku. Wysiadaj.

Wyszliśmy z samochodu, a Molly zaprowadziła mnie do wejścia do budynku mieszkalnego. Otworzyła je kluczem, ale zamiast ruszyć w stronę wind, wskazała mi kolejne drzwi z boku. Je również otworzyła kluczem i zeszła po dwóch biegach schodów do ostatnich drzwi. Bez większego wysiłku wyczuwałem magiczne osłony na drzwiach i schodach. To były solidne zaklęcia zabezpieczające. Molly otworzyła drugie drzwi i powiedziała:

– Proszę, wejdź do środka. – Uśmiechnęła się do Toota. – I twoja ekipa oczywiście też.

– Dziękuję.

Wszedłem za nią.

Molly miała mieszkanie.

Miała mieszkanie dość duże, by Hugh Hefner mógł w nim urządzić imprezę urodzinową.

Salon miał wielkość boiska do koszykówki i sufit na wysokości jedenastu stóp. Nieduży barek oddzielał kuchnię od reszty otwartej przestrzeni. W rogu znajdował się kominek, który otaczały rzemieślniczej roboty meble salonowe. Drugi zestaw wygodnych foteli i biurko ustawiono we wnęce z półkami na książki. Molly miała też ławkę do wyciskania i orbitrek, jedno i drugie drogiej europejskiej marki. Drewniany parkiet w kilku miejscach przykrywały dywany, pewnie droższe od podłogi, którą zasłaniały. Widziałem też dwoje drzwi. Dębowych. Granitowe blaty. Kuchenkę gazową z sześcioma palnikami. Wbudowane oświetlenie.

– Na wszystkie dzwony piekieł. No tak. Ładny lokal.

Molly zsunęła kurtkę i rzuciła ją na oparcie kanapy.

– Podoba ci się?

Poszła do kuchni, otworzyła szafkę i wyjęła apteczkę.

– Podoba. Hmm. Skąd?

– Ciemne elfy mi go wybudowały.

Ciemne elfy. To byli poważni klienci na nadnaturalnej scenie. Niezrównani rzemieślnicy, bardzo zamknięte w sobie i niezależne towarzystwo – i absolutnie nie znosili wygłupów. Nikt nie chce nadepnąć ciemnemu elfowi na odcisk. Ze szczodrości też raczej nie słynęli.

– Pracujesz dla nich?

– Nie. Należy do mnie. Kupiłam je od nich.

Znów zamrugałem.

– Za co?

– Honor.

Mruknęła coś i machnęła ręką w stronę żyrandola wiszącego nad stołem w niewielkiej części jadalnej. Zaczął emanować czystym białym światłem, równie jasnym jak kilka żarówek.

– Przynies go tutaj, może uda się mu pomóc.

Najdelikatniej, jak potrafiłem, przeniósłem Toota z czaszki na stół. Molly pochyliła się nad nim i popatrzyła.

– Prosto przez napierśnik? Co cię trafiło, Toot-toot?

– Wielki tłusty dupek. – Toot się skrzywił. – I miał też prawdziwy miecz. Wiesz, jak trudno przekonać jednego z was, dużych gości, żebyście zrobili nam miecze, z których możemy naprawdę korzystać?

– Widziałem jego sprzęt – powiedziałem. – Totalnie bardziej podobał mi się twój, generale majorze. O wiele fajniejszy i bardziej elegancki niż ta stylówka na czarnego Rycerza.

Toot wyszczerzył zęby.

– Dziękuję, panie!

Elf z trudem wy dostał się ze zniszczonego pancerza, a ja z ostrożną pomocą Molly oczyściłem ranę i zabandażowałem ją. Choć Toot przez ten cały czas nie wyglądał na szczęśliwego, wyraźnie był raczej nieswój i zmęczony niż poważnie ranny. Kiedy opatrzyłem ranę, padł na blat stołu i zasnął.

Molly uśmiechnęła się, wyjęła z szafki czysty ręcznik i okryła nim istotkę. Toot złapał go i zwinął się pod nim z westchnieniem.

– W porządku. – Molly podniosła apteczkę. Wezwała mnie gestem do kuchni. – Twoja kolej. Ściągaj koszulę.

– Najpierw postaw mi kolację.

Znieruchomiała na chwilę, a ja zastanawiałem się, czy te słowa rzeczywiście zabrzmiały jak żart, którym były w mojej głowie. Po chwili Molly doszła do siebie. Uniosła brew w sposób niepokojąco przypominający jej matkę (kobietę, z którą rozsądny mężczyzna nie zadziera) i założyła ręce na piersi.

– W porządku.

Przewróciłem oczami i zdjąłem zniszczony smoking.

– Jezu – powiedziała cicho Molly. Wychyliła się za mnie i ze zmarszczonym czołem wpatrzyła w moje plecy. – Wyglądasz, jakbyś wyszedł ze sztuki pasyjnej.

– Nie czuję się aż tak źle.

– Ale możesz poczuć, jeśli w jedną z tych ran wda się zakażenie. Po prostu... stój tu i się nie ruszaj. Rany. – Podeszła do szafki i wróciła z dużą brązową butelką wody utlenionej i paroma ręcznikami kuchennymi. Odprowadzałem ją wzrokiem. – Zaczniemy od twoich pleców. Oprzyj się o blat.

Wypełniłem jej polecenie, oparłem łokcie na granicie i cały czas ją obserwowałem. Molly przez chwilę bawiła się materiałami, po czym wzięła się do pracy. Zaczęła wylewać wodę utlenioną na rany na moich plecach. Gdyby nie czas spędzony w Arctis Tor, mógłbym zareagować odruchowym drgnięciem na dotyk zimnego płynu. Trochę piekło, a później syczało entuzjastycznie.

– To co, żadnych pytań?

– Hm? – Nie podnosiła wzroku.

– Powróciłem z martwych i trochę się spodziewałem... nie wiem. Niewielkiego wstrząsu. I jakiegoś miliona pytań.

– Wiedziałem, że żyjesz.

– Jasne, tak jakby się domyśliłem. Jak? – Nie odpowiedziała, a ja po chwili uświadomiłem sobie, jaka jest prawdopodobna odpowiedź. – Moja matka chrzestna.

– Poważnie traktuje swoją rolę Yody.

– Pamiętam. – Starłem się mówić neutralnym tonem. – Od jak dawna wiesz?

– Od kilku tygodni. Masz tam tyle rozcięć, że chyba zabraknie mi plastrów. Będziemy musieli owinąć to bandażem.

– Włożę czystą koszulę. Posłuchaj, to nic wielkiego. Małe ślady, które znikną za dzień albo dwa.

– Małe... Rycerz Zimy i tak dalej?

– Mniej więcej. Mab... można powiedzieć, że wprowadziła mnie w temat, kiedy wracałem do zdrowia.

– Co się stało?

Odruchowo spojrzałem w stronę czaszki Boba. Powiedzenie Molly, co się działo, oznaczałoby, że zostanie w to wmieszana. Wciągnęłoby ją w ten konflikt. Nie chciałem narażać jej na takie niebezpieczeństwo – nie ponownie.

Oczywiście pewnie decyzja nie należała tylko do mnie. A poza tym Molly wtrąciła się w czasie zamachu na moje życie, który prawie się powiódł. Ktokolwiek stał za chmarą chochlików piranii, pewnie to zobaczył. Molly już brała udział w walce.

Gdybym teraz zaczął ukrywać przed nią różne rzeczy, jedynie zmniejszyłbym jej szanse na przeżycie.

Nie chciałem jej mieszać, ale zasłużyła, by samodzielnie dokonać wyboru.

Dlatego powiedziałem jej, szczerze, zwięźle i bez żadnej redakcji poza fragmentem o Halloween. Czuję się trochę dziwnie. Prawie nigdy nie mówię nikomu tyle prawdy. Prawda jest niebezpieczna. Słuchała, skupiając spojrzenie wielkich oczu na punkcie na mojej brodzie.

Kiedy skończyłem, powiedziała jedynie:

– Odwróć się.

Zrobiłem to, a ona zajęła się ranami na mojej piersi, ramionach i twarzy. Oczyszczanie ran ponownie było odrobinę nieprzyjemne, ale nic poza tym. Patrzyłem, jak się mną zajmuje. Nie umiałem odczytać wyrazu jej twarzy. Kiedy pracowała, nie patrzyła mi w oczy, zachowywała się energicznie i spokojnie, bardzo rzeczowo.

– Molly – powiedziałem, kiedy skończyła.

Zatrzymała się, ale wciąż nie patrzyła na mnie.

– Przepraszam. Przepraszam, że musiałem poprosić cię o pomoc... w tym, co zrobiłem. Przepraszam, że nie zmusiłem cię do zostania w domu, kiedy ruszyliśmy do Chichén Itzá. Nie powinienem cię na to narażać. Nie byłaś gotowa.

– Bez jaj – odpowiedziała cicho. – Ale... ja też nie przyjmowałam wtedy odmowy. Żadne z nas nie podjęło tamtej nocy rozsądnej decyzji.

– Może. Ale tylko jedno z nas jest mentorem. To ja powinienem być tym, który wie, co się dzieje.

Molly kilka razy potrząsnęła głową, urywanym ruchem.

– Harry, było, minęło. W porządku? Stało się. To przeszłość. I niech tam pozostanie.

– Na pewno tego chcesz?

– Tak.

– W porządku. – Podniosłem papierowy ręcznik i wytarłem kilka strumyczków spienionej wody utlenionej, które spływały po moim brzuchu. – Cóż. Teraz potrzebuję jedynie czystej koszuli.

Molly wskazała na jedne z dębowych drzwi.

– Tam. Są tam dwie komody i szafa. Nic wyszukanego, ale z pewnością wszystko będzie na ciebie pasować.

Zamrugałem kilka razy.

– Yyy. Że co?

Prychnęła i przewróciła oczami.

– Harry... daj spokój. Wiedziałam, że żyjesz. To znaczyło, że wrócisz. Lea kazała mi zachować to dla siebie, więc przygotowałam dla ciebie miejsce. – Zrobiła szybki krok do kuchni, otworzyła szufladę i wróciła z niewielkim mosiężnym kluczem. – Masz, to pozwoli ci otworzyć zamki, minąć osłony ciemnych elfów i moje zaklęcia obronne.

Zmarszczyłem czoło, ale wziąłem klucz.

– Hmm...

– Nie proszę cię, żebyś ze mną zamieszkał, Harry. – Głos Molly brzmiał oschle. – To tylko... dopóki nie staniesz znów na nogi. Albo... jak długo będziesz w mieście i będziesz musiał gdzieś się zatrzymać.

– Myślałaś, że sam sobie nie poradzę?

– Oczywiście, że nie. Ale... no wiesz. Chyba pomyślałam, że może nie powinienes? – Popatrzyła na mnie niepewnie. – Byłeś przy mnie, kiedy cię potrzebowałam. Uznałam, że teraz moja kolej.

Odwróciłem wzrok, zanim całkiem się rozkleiłem. Dziewczyna zorganizowała ten lokal, zawarła sojusz z wyjątkowo podejrzliwą i ostrożną nadnaturalną nacją, przygotowała dla mnie pokój i wybrała mi ubrania? W ciągu kilku tygodni. Choć wcześniej przez większą część roku żyła w łachmanach na ulicy?

– Jestem pod wrażeniem, nowicjuszko. Naprawdę.

– To jeszcze nie jest ta imponująca część. Ale chyba nie mamy czasu w to wchodzić, jeśli wziąć pod uwagę, w co się wpakowałeś.

– Przeżyjmy Halloween, a wtedy może usiądziemy i pogadamy. Molly, nie powinnaś robić tego dla mnie.

– Masz przerost ego? – W jej oczach krył się duch jej starego, zuchwałego wcielenia. – Zorganizowałam ten lokal dla siebie, Harry. Całe życie przeżyłam w jednym domu. Mieszkanie na ulicy nie było... nie było dla mnie dobre, jeśli chciałam wziąć się w garść. Potrzebowałam czegoś... czegoś... – Zmarszczyła czoło.

– Swojego? – podpowiedziałem.

– Stabilnego. Cichego. I mojego. Nie żebyś nie był tu mile widziany. Kiedy tego potrzebujesz.

– Tych ubrań też pewnie nie kupiłaś dla mnie.

– Może zaczęłam się spotykać z koszykarzami? – Oczy Molly zabłysły na chwilę. – Nie wiesz tego.

– Pewnie, że wiem.

Zaczęła odkładać apteczkę.

– Pomyśl o ubraniach jako... jako o prezencie urodzinowym. – Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym uśmiechnęła się z wahaniem. – Naprawdę dobrze cię widzieć, Harry. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

– Dzięki. Uściskałbym cię, ale jednocześnie wybieliłbym i zakrwawił twoje ubranie.

– Zachowam na później. Ja, no... Dotarcie do uścisków może trochę zająć. – Odetchnęła głęboko. – Harry, wiem, że i tak masz ręce pełne roboty, ale musisz coś wiedzieć.

Zmarszczyłem czoło.

– Tak?

– Tak. – Roztarła ramiona, jakby było jej zimno. – Tak jakby odwiedzałam twoją wyspę.

Pośrodku południowej części jeziora Michigan leży wyspa, która nie pojawia się na żadnych mapach, planach ani obrazach satelitarnych. To węzeł mrocznych linii mocy i nie lubi towarzystwa. Zachęca ludzi, którzy się zbliżają, by się zgubili i odeszli. Samoloty ciągle nad nią przelatują, ale nikt jej nie widzi. Przed kilku laty związałem się z wyspą i strzegącym jej *genius loci*. Nazwałem go Demonreach i niewiele o nim wiedziałem, poza tym, że był sojusznikiem.

Kiedy zostałem zastrzelony i wpadłem w ciemne wody jeziora Michigan, potrzeba było Mab i Demonreacha, by utrzymać mnie przy życiu. Obudziłem się ze śpiączki w jaskini pod powierzchnią wyspy, z roślinami wrośniętymi w moje cholerne żyły jak organiczna kroplówka. To było naprawdę dziwne miejsce.

– Jak się tam dostałaś?

– Łodzią. Przecież.

Posłałem jej spojrzenie.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Uśmiechnęła się nieco smutno.

– Po tym, jak ktoś taki jak Łowca Ciał przerobi człowiekowi umysł na nasiona granatu, umysłowy odpowiednik znaku „Zakaz wstępu” to bułka z masłem.

– Ha. Przyjąłem. Ale to niebezpieczne miejsce, Molly.

– I robi się coraz gorzej.

Przestąpiłem z nogi na nogę.

– Zdefiniuj „gorzej”.

– Zbiera się tam energia. Jak para w kotle. Wiem, że jestem w tym wciąż nowa... ale rozmawiałam z Leą i ona się zgadza.

Boże, przeciągała to, zmuszała mnie do domyślania się, co wie. Nienawidziłem tego.

– Zgadza się z czym?

– No tak. – Molly spuściła wzrok. – Harry. Sądzę, że w ciągu kilku dni wyspa wybuchnie. A kiedy tak się stanie, zabierze ze sobą około połowy Środkowego Zachodu.

Rozdział czternasty

– Oczywiście, że tak. – Rozejrzałem się, złapałem apteczkę i ruszyłem w stronę wskazanego wcześniej pokoju gościnnego, tupiąc przy tym ze złością. – Rany, co za głupie miasto. Dlaczego wszystkie ohydne nadnaturalne rzeczy, które się dzieją, dzieją się właśnie tutaj? Znikam na kilka miesięcy i... uch. Zaraz wracam. Grr, wrr, grr.

W pokoju był włącznik światła, który działał. Żarówka nie zgasła i w ogóle. Przyjrzałem się jej podejrzliwie. Zwykle kiedy się tak wściekam, żarówki nie przeżywają kontaktu wzrokowego, a już na pewno mojego naśladownictwa Yosemite Sama. Najwyraźniej ciemne elfy wymyśliły jakieś rozwiązanie technicznego zespołu zrzedliwego maga.

A pokój... cóż.

Przypominał mi dom.

Moje mieszkanie było malutkie. W salonie Molly można by je zmieścić dobre sześć razy. Mój stary lokal był mniej więcej wielkości jej pokoju gościnnego. Podobnie jak moje mieszkanie wyposażono go w meble z drugiej ręki. Para głębokich foteli i wygodna sofa przed niewielkim kominkiem. Do tego podrapane regały na książki, stare i solidne, a na nich coś, co pewnie miało przynajmniej częściowo zastępować moją starą kolekcję literatury w wydaniach kieszonkowych. W miejscu, gdzie znajdowałaby się moja sypialnia, stało łóżko – podwójne. Błat umieszczono tam, gdzie byłby mój kuchenny blat, zauważyłem też małą lodówkę, a na niej coś, co wyglądało jak elektryczna kuchenka.

Rozejrzałem się dookoła. To nie był dom... ale coś w pobliżu. I chyba było to coś najbardziej wzruszającego, co ktokolwiek kiedykolwiek dla mnie zrobił.

Przez chwilę wspominałem zapach swojego starego mieszkania, dymu z drewna płonącego na kominku, sosnowego środka czyszczącego i odrobiny wilgotnej stęchlizny, nieuniknionej w suterenie. I gdybym naprawdę mocno zacisnął powieki, mógłbym prawie udawać, że znów tam byłem. Że byłem w domu.

Ale mój dom spłonął. Odpląciłem sprawcom z nawiązką, wciąż jednak czułem dziwną pustkę w żołądku, kiedy myślałem o tym, że już nigdy go nie zobaczę.

Tęskniłem za swoim kotem Misterem. Tęskniłem za psem. Tęskniłem za swoim miejscem, które dobrze znałem, które było schronieniem. Tęskniłem za swoim życiem.

Wydawało mi się, że od bardzo dawna nie byłem w domu.

Przy łóżku ustawiono szafę, a po obu jej bokach wąskie komody. Wypełniały je ubrania. Nic wyszukanego. Koszulki. Stare dzinsy. Trochę nowej bielizny i skarpetek, wciąż w plastikowych opakowaniach. Krótkie spodenki, spodnie od dresu. Kilka par używanych adidasów wielkości niedużych kajaków i buty turystyczne, które nawet znośnie pasowały. Wybrałem właśnie je. Moje stopy nie są szczególnie wrażliwe.

Zdjąłem spodnie od smokingu, oczyściłem i opatrzyłem rany na nogach, po czym po raz pierwszy od czasu, kiedy dostałem kulkę w pierś, włożyłem rzeczy, które wydawały mi się znajome i wygodne.

Wyszedłem z sypialni, ściskając zakrwawione ubrania, i spojrzałem na Molly. Wskazała palcem na kominek. Podziękowałem skinieniem głowy, przypomniałem sobie o wyjęciu z kieszeni spodni zdobionych klejnotami spinek do mankietów i wrzuciłem wszystko do ognia. Krew, która wsiąkła w ubrania, nie byłaby łatwa do wykorzystania przeciwko mnie, nawet gdyby ktoś się tu włamał i je zabrał, ale z takimi rzeczami lepiej nie ryzykować.

– W porządku. – Przysiadłem na oparciu fotela. – Wyspa. Kto jeszcze o tym wie?

– Lea. Przypuszczalnie powiedziała Mab. Zakładałam, że wieści dotrą do ciebie.

– Mab najwyraźniej należy do tych matek, które uważają, że dzieci powinny samodzielnie zdobywać informacje.

– To one w ogóle istnieją?

Chrząknąłem.

– Nawiązałaś kontakt z Demonreachem?

– Duchem? – Molly pokręciła głową. – On... toleruje moją obecność, ale nie jest bynajmniej serdeczny ani przyjazny. Chyba wie, że coś mnie łączy z tobą.

– Jasne. Z całą pewnością. Gdyby chciał, żebyś opuściła wyspę, nie byłoby cię na niej. – Kilka razy pokręciłem głową. – Daj mi się zastanowić.

Molly to zrobiła. Poszła do kuchni, do lodówki. Wróciła z dwiema puszkami coca-coli, otworzyła obie i podała jedną mnie. Stuknęliśmy się ostrożnie i napiliśmy. Zamknąłem oczy i próbowałem uporządkować myśli. Molly czekała.

– W porządku. Kto jeszcze wie?

– Nikt.

– Nie powiedziałaś Radzie?

Molly skrzywiła się na wzmiankę o Białej Radzie Magów.

– A jak miałabym to zrobić? Biorąc pod uwagę, że ich zdaniem jestem poszukiwaną uciekinierką i że nikt z nich nawet by nie mrugnął, gdybym została stracona na miejscu.

– Wielu z nich by mrugnęło – powiedziałem cicho. – A jak myślisz, dlaczego wciąż jeszcze chodzisz po świecie?

Molly zmarszczyła czoło i spojrzała na mnie.

– Co masz na myśli?

– Widać, że Lea dużo cię nauczyła i że przez ostatni rok twoje umiejętności bardzo się rozwinęły. Ale tam są ludzie, którzy mają za sobą całe dziesięciolecia takich doświadczeń. Może nawet stulecia. Gdyby naprawdę chcieli cię odnaleźć i zabić, zostałybyś odnaleziona i zabita. Kropka.

– W takim razie dlaczego tak się nie stało?

– Ponieważ w Radzie są ludzie, którym by się to nie spodobało. Mój d... Ebenezar mógłby bez trudu pokonać każdego członka Rady, gdyby się na niego zezłościł. To już by pewnie wystarczyło... ale Ramirez też cię lubi. A ponieważ to on jest facetem, który teoretycznie powinien cię pojmać, gdyby zrobił to ktoś inny, wszedłby mu w paradę. On również jest młody, ale zdobył sobie szacunek. A gdyby doszło do konfliktu, większość młodych wilków w Radzie stanęłaby po jego stronie. – Westchnąłem. – Posłuchaj, Biała Rada zawsze była wielką kupą dupków. Ale nie są nieludzy.

– Tylko czasami. – W głosie Molly brzmiała gorycz.

– Człowieczeństwo się liczy. Wciąż tu jesteś, prawda?

– Nie dzięki nim.

– Gdyby nie pojawili się w Chichén Itzá, żadnemu z nas nie udało by się wydostać.

Molly zmarszczyła czoło na te słowa.

– To nie była Biała Rada.

Formalnie rzecz biorąc, tak. To była Szara Rada. Ale ponieważ Szara Rada w większości składała się z członków Białej Rady, którzy w tajemnicy ze sobą współpracowali, w moim umyśle to się nadal liczyło. Tak jakby.

– Ci goście są tym, czym powinna być Rada. I czym mogłaby się stać. A kiedy najbardziej potrzebowaliśmy pomocy, przybyli. – Pociągnąłem łyk coli. – Wiem, że świat czasami wydaje się mroczny i paskudny. Ale wciąż są w nim dobre rzeczy. I dobrzy ludzie. A niektórzy z nich są członkami Rady. Nie kontaktowali się z tobą, bo nie mogą... ale uwierz mi, chronili cię przed wpakowaniem się w jeszcze większe tarapaty niż do tej pory.

– Tak zakładasz – powiedziała uparcie.

Westchnąłem.

– Dzieciaku, przez całe życie będziesz musiała sobie radzić z Radą. Co może trwać trzy albo cztery setki lat. Nie mówię, że jeśli się mylą, nie powinnaś powiedzieć im tego prosto w twarz. Ale możesz rozważyć myśl, że spalenie za sobą mostów może się okazać bardzo złym podejściem za sto albo dwieście lat.

Molly miała minę, jakby chciała się sprzeciwić – ale jednocześnie wyglądała też na zamyśloną. Napila się coli i zmarszczyła czoło.

Do diabła. Dlaczego nie wpadłem na pomysł, żeby samemu sobie udzielić takiej rady, kiedy byłem w jej wieku? Mogłoby to znacznie ułatwić mi życie.

– Wróćmy do wyspy. Z jak dużą pewnością możesz ocenić poziom energii.

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Byłam w Chichén Itzá. Moje wspomnienia są dość niejasne, ale niektóre fragmenty pamiętam bardzo dobrze. Jedną z rzeczy, które sobie przypominam, jest napięcie budujące się pod głównym zigguratem. Pamiętasz?

Owszem, choć w tamtym czasie było to bardzo nisko na liście moich priorytetów. Czerwony Król rozkazał złożyć dziesiątki, może setki ofiar z ludzi, żeby napęlić zaklęcie, które miało zetrzeć mnie i wszystkich połączonych ze mną więzami krwi z powierzchni ziemi. Ta energia wibrowała w kamieniach miasta. Wybierzcie się kiedyś do dużej elektrowni i stańcie w pobliżu kondensatorów. Powietrze jest pełne takiego samego wibrującego w milczeniu potencjału.

– Pamiętam.

– Jest podobna. Może większa. Może mniejsza. Ale naprawdę, naprawdę duża. Zwierzęta uciekają.

– Która godzina?

Molly spojrzała na wysoki zegar szafkowy tykający spokojnie w kącie.

– Trzecia piętnaście.

– Dziesięć minut do mariny. Godzina z kawałkiem na wyspę i z powrotem. Powiedzmy godzina na wizytę serwisową. – Pokręciłem głową i prychnąłem. – Jeśli ruszymy w tej chwili, wrócimy do miasta w okolicach wschodu słońca, jak sądzisz?

– W przybliżeniu – zgodziła się.

– Mab – powiedziałem tonem, który zwykle rezerwowałem dla przekleństw.

– Co?

– Dlatego ta blokada. – Po chwili wyjaśniłem. – Mab zamknęła granice Faerie aż do świtu.

Molly nie była tępa. Widziałem, jak obracają się trybiki w jej głowie, kiedy to rozważała.

– Daje ci czas, żebyś mógł się tym bez przeszkód zająć.

– Względnie bez przeszkód – poprawiłem ją. – Zaczynam dochodzić do wniosku, że Mab troszczy się głównie o tych, którzy umieją się sami zatroszczyć o siebie. Dobra. Kiedy Maeve zacznie o świcie przenosić pionki do Faerie i w drugą stronę, szybko zrobi się zamieszanie. Poza tym nie chciałbym pracować nad magicznym odpowiednikiem reaktora atomowego, kiedy znów dopadnie mnie Hak z jego bandą miniaturowych psycholi. Tak.

Molly pokiwała głową.

– Tak, płyniemy najpierw na wyspę?

– Od razu płyniemy na wyspę.

* * *

Molly poprosiła ochronę budynku, by wezwała taksówkę. Wyszła z założenia, że będzie nieco mniej widoczna niż potężne auto na parkingu. Ochroniarze przyjmowali jej polecenia, jakby była dygnitarzem w czasie oficjalnej wizyty. Cokolwiek zrobiła dla ciemnych elfów, potraktowały to bardzo poważnie. Pozwoliłem Tootowi odespać walkę, zostawiłem też na wierzchu trochę śmieciowego jedzenia, żeby mógł je bez trudu znaleźć, kiedy się obudzi. Boba schowałem do płóciennej torby na ramię, którą starannie zapiąłem. Molly spojrzała na torbę, później na mnie, ale nie zadawała pytań.

Miałem ochotę się skrzywić. Molly nigdy nie miała oporów przed przekraczaniem granic w naszym związku nauczyciel-praktykantka. Widać było po niej czas spędzony z moją elfią matką chrzestną, Leanansidhe, Piętaszkiem Mab. Lea miała bardzo stanowcze i nieustępliwe podejście do granic. Ludzie, którzy je przekraczali, kończyli jako psy... albo coś, co psy zjadały.

Marina była jedną z wielu w mieście. Jezioro Michigan nadaje się idealnie do wszelkich odmian wodniactwa, żeglowania i pływania, a jego brzegi od dawna zajmowała społeczność żeglarzy. Nie należę do niej. Mówię „ściana” zamiast „gródź” i nie jestem pewien czy sterburta rzeczywiście jest po lewej. Często mieszam terminy. Nie przejmuję się tym.

Mariny to parkingi dla łodzi. Na przystani wybudowano mnóstwo pomostów albo pływających mostków pontonowych, które ciągnęły się długimi, prostymi rzędami.

Łodzie stały na prywatnych stanowiskach zupełnie jak na parkingu dla aut. Większość z nich wyglądała na przygotowane do zimy – pływanie po jeziorze Michigan w listopadzie bywało niebezpieczne. Okna i luki zostały zasłonięte, drzwi zamknięte, w marinie paliło się niewiele świateł.

I dobrze, bo znów zamierzałem się włamać.

W swoim czasie miałem klucz do wejścia do mariny, ale zgubiłem go, kiedy zostałem postrzelony, utonąłem, umarłem, zostałem ożywiony i zapadłem w śpiączkę, przez chwilę nawiedzałem przyjaciół, a później obudziłem się w łóżu Mab.

(Moje życie. Na wszystkie dzwony piekiel).

Tak czy inaczej, nie miałem klucza ani czasu do stracenia, więc kiedy dotarłem do zamkniętej na klucz bramy mariny, wykorzystałem swoją nową supersiłę i przy akompaniamencie zgrzytu wyginanego metalu zmusiłem bramę z siatki do otwarcia się. Zajęło mi to około trzech sekund.

– Super – mruknęła Molly za moimi plecami. – Chwileczkę. Z samochodem też to zrobiłeś?

Chrząknąłem, wysiłek sprawił, że nieco się zdyszałem.

– Cholera jasna. Jesteś silny jak Spider-Man.

– E tam. Spider-Man może podnieść dziesięć ton. Ja wyciskam czterysta kilo na sztandze.

– Kilo.

– Odziedziczyłem zestaw poprzedniego gościa. Taki wyszukany, europejski. Nie wiem, ile to jest w angielskich jednostkach.

– W Anglii używają kilogramów – rzuciła Molly oschle. – Ale to będzie prawie dwadzieścia pięć pudów.

Zatrzymałem się i popatrzyłem na nią.

Uśmiechnęła się do mnie uroczo.

Westchnąłem i ruszyłem dalej w stronę łodzi.

Nazywa się *Chrząszcz Wodny*. Mogłaby zastępować łódź zrzedliwego starego rybaka w scenach kaskaderskich w *Szczękach*, tyle tylko że niedawno została odmalowana i odnowiona, i wyglądała trochę zbyt ładnie. Zatrzymałem się na nabrzeżu tuż przed nią.

Tam. Stałem dokładnie tam i patrzyłem w stronę parkingu, kiedy to się stało. W rzeczywistości nie poczułem fali bólu w piersi, ale wspomnienie było tak ostre i wyraźne, że równie dobrze mogłem przeżyć to ponownie – wtedy nie bolało, dopiero

później, kiedy już spędziłem trochę czasu w wodzie, ale gdy Mab i Demonreachowi udało się połączyć moją duszę i ciało, paliło jak czysty ogień.

I pomyśleć, że musiałem zadzwonić i powołać się na przysługę, żeby ten facet mnie zastrzelił. Teraz wydawało się to pewnego rodzaju marnotrawstwem. Wtedy byłem przekonany, że gdyby dzięki umowie zawartej z Mab udało mi się zwyciężyć, stałbym się potworem wymagającym uspienia. Sam załatwiłem zabójcę, a Molly wykorzystwała swoje wyjątkowe talenty, bym zapomniał, co mnie czeka. Kiedy rzeczywiście zwyciężyliśmy, karabin snajperski miał nie dopuścić do powstania Harry'ego potwora.

Tyle tylko że przeżyłem. Następny był pewnie etap Harry'ego potwora.

Wiedziałem z dobrego źródła, że wcale nie musiałem skończyć jako szaleniec i łotr – jeśli założyć, że archanioł był godny zaufania, czego wcale nie zakładałem. Wiedziałem również z dobrego źródła, że, tak czy inaczej, skończę w taki sposób. W końcu nie wiedziałem, co się miało ze mną stać w przyszłości.

Ha. Dlaczego ja akurat miałbym być inny?

Chrząszcz Wodny z całą pewnością nie został uszczelniony, jeszcze nie. Był solidną, twardą łodzią – niezbyt szybką, ale też nieobawiającą się niczego, co mogła rzucić przeciwko niej natura. Trap był spuszczonej – „uszczelnienie klapy” i „trap” to właściwie jedyne słowa, z jakimi czuję się swobodnie. Wszedłem po nim bez wahania, nawet w mroku panującym w marinie późno w nocy. Znałem łódź. Kilka razy popłynąłem nią na wyspę.

Wszedłem na pokład i na dach sterówki, gdzie stał kierujący. Włączyłem dwie stare, zmęczone żarówki i sprawdziłem wskaźniki. Paliwo, olej, dobrze. Dość, by dopłynąć na wyspę i z powrotem. Kluczyka nie było w zapłonie – znajdował się w niewielkim sejfie w kajucie, ale ja znałem szyfr.

– Jest dobrze – zawołałem cicho. – Wchodź.

Molly weszła po trapie, a ja zszedłem do kajuty.

Nie było żadnego ostrzeżenia, dźwięku, ruchu, niczego. Schodziłem spokojnie po schodach, aż tu nagle moja twarz i pierś zostały przyciśnięte do ściany, a coś bardzo ostrego przyciskało mi się do szyi, tuż pod prawym uchem. Zimne, silne jak stal palce obejmowały całą moją głowę, wpychając ją w ścianę. Przekaz był jasny – gdybym walczył albo wydał z siebie jakiś dźwięk, coś ostrego wbiłoby mi się w mózg.

Zamarłem. Wydawało się to rozsądne. Gdyby napastnik chciał mojej śmierci, nie miałbym czasu dojść do wniosku, że mógł mnie już zabić.

– Witaj, kochanie – szepnął mężczyzna bardzo cicho. – Chyba trafiłeś na

niewłaściwą łódkę.

Nagle osunąłem się z ulgą.

– Na gwiazdy i kamienie. – Westchnąłem. – Thomasie, piekielnie mnie nastraszyłeś.

Nacisk zimnych palców na moją głowę nie złagodniał ani trochę, ale zapanowała cisza. Później nacisk stał się gwałtowny.

– Myślisz, że to zabawne? – Głos mojego brata stał się głośniejszy, wypełniała go złość. – Myślisz, że taki dowcip mnie bawi?

– Thomasie, to ja.

– Z całą pewnością – warknął Thomas, a nacisk wzmógł się na chwilę. – Harry Dresden jest martwy.

Miałem wrażenie, że moje gałki oczne próbują wydostać się z oczodołów.

– Glurk!

– Dam ci dokładnie trzy sekundy, żebyś zaczął mówić prawdę – warknął – albo przysięgam na Boga, że nigdy nie znajdą dość części, żeby zidentyfikować ciało.

Mówił poważnie, na wszystkie dzwony piekieł. Był wściekły. Gdybym był facetem, którego cokolwiek potrafi przerazić, a oczywiście nim nie jestem, czułbym się w tej chwili wyjątkowo zdenerwowany.

– Mab! – wykrztusiłem. – Do diabła, Thomasie, ty szaleńcu. To była Mab!

– Mab cię przysłała? – spytał ostro Thomas.

– Mab mnie uratowała! – wychrypiałem. – Na wszystkie dzwony piekieł, to ja!

Thomas zawarczał, niższym tonem, ale nie zmienił mojej czaszki w naleśnik ani nie wbił czegoś ostrego i metalowego w mój mózg. Thomas był silny – silniejszy ode mnie. Wampir z Białego Dworu może korzystać z takiej siły jedynie w wyjątkowych sytuacjach, ale Thomas był bardzo dobrze wykarmionym wampirem. Wiedziałem, że gdyby zechciał, mógłby mnie powykręcać jak kongresmen logikę, niezależnie od moich sterydów Rycerza Zimy.

– Molly! – zawołał. – Wiem, że tam jesteś. Czuję twój zapach.

Kilka sekund później rozległy się ciche kroki na trapie, a przy drzwiach poruszyły się cienie.

– Jestem tu.

– Kurwa, co to ma być? – spytał ostro.

– Nie jestem pewna. Jest ciemno. Ale gdybym cokolwiek widziała, powiedziałabym ci, że staram się nie stawać między kłócącym się rodzeństwem. To nic nie daje.

Minęły dwie albo trzy oszołomione sekundy. Później nacisk na czaszkę zniknął,

tak szybko, że prawie się przewróciłem. Chwyciłem się, zanim tak się stało, i potrząsnąłem głową.

– Auć. Ciebie też dobrze widzieć, stary.

Przeszedł cicho przez kajutę i rozległ się trzask. Zapaliła się lampka na baterię, wypełniając wnętrze słabym, ale wystarczającym blaskiem.

Mój brat miał prawie sześć stóp wzrostu. Wyglądał prawie tak, jak go pamiętałem – jego ciemne, błyszczące włosy opadały na ramiona. Skórę miał jeszcze bledszą ode mnie. Jego oczy były szare jak burzowa chmura, choć teraz wydawały się jaśniejsze, migotały w nich metaliczne plamki, które zdradzały jego niepokój i złość. Obaj mieliśmy podobne nachmurzone miny, ciemne brwi i przenikliwe spojrzenia, a jego wargi wyginały się w bezgłośnym warknięciu, kiedy wpatrywał się we mnie. Miał na sobie dżinsy i nic poza tym. Koja była rozłożona i wyglądała, jakby ktoś właśnie z niej wstał. Obudziłem go, kiedy wszedłem na pokład. W prawej ręce Thomas trzymał metalowy kołek do namiotu. Były na nim ziemia i rdza. Czy można dostać gangreny mózgu?

– Och. – Molly przez chwilę wpatrywała się w Thomasa. – Och, no. Ojej.

A, zapomniałem wspomnieć – mój brat jest mężczyzną, na którego kobiety polują. Całymi współpracującymi ze sobą stadami. Powiedziałbym, że jest śliczny jak model, tyle tylko że jeszcze nie natknąłem się na modela tak ślicznego jak on. Miał mięśnie, które falowały, nawet kiedy stał bez ruchu i rozluźniony, i to było absolutnie niesprawiedliwe.

I... zwykle nie spędzam dużo czasu, przyglądając się swojemu odbiciu, ale nagle uświadomiłem sobie, że w ciągu ostatnich kilku lat Thomas przestał wyglądać jak mój starszy brat. Teraz robił wrażenie młodszego ode mnie. Magowie żyją długo, ale przez ten czas nie zachowujemy młodzieńczego wyglądu. Thomas był wampirem. Będzie wyglądał tak dobrze do ostatniego tchu.

Facet prawie nie ćwiczy, je, co tylko zechce, i przez całe życie wygląda tak dobrze i tak młodo. Czy to sprawiedliwe?

– Nie możesz być moim bratem. – Thomas wpatrywał się we mnie. – Mój brat nie żyje. Wiesz, skąd o tym wiem?

– Thomasie... – zacząłem.

– Ponieważ mój brat skontaktowałby się ze mną – warknął. – Gdyby żył, odezwałby się do mnie. Dałby mi znać.

Molly skrzywiła się i odwróciła wzrok, jakby właśnie usłyszała bardzo głośny i bardzo nieprzyjemny dźwięk. Nie jestem wrażliwy na uczucia innych tak jak Molly,

ale nie musiałem być, by dostrzec, że na mój widok Thomas aż się zagotował.

– Przepraszam, Harry – odezwała się Molly. – Nie mogę... To boli.

– Idź – powiedziałem łagodnie.

Pokiwała głową i wróciła na pokład łodzi, zamykając za sobą drzwi.

Mój brat został na swoim miejscu i wpatrywał się we mnie.

– Cały ten czas. I ani słowa.

– Byłem martwy – powiedziałem cicho. – Albo prawie. Może raczej w śpiączce. Do diabła, sam myślałem, że jestem martwy.

– Kiedy się obudziłeś? – W jego głosie brzmiała wystudiowana obojętność.

– Jakies trzy miesiące temu. Nie byłem w dobrym stanie. Przez ten czas wracałem do siebie.

– Trzy miesiące. I nie mieli tam telefonów?

– Wyobraź sobie, że nie. Byłem przez jakiś czas w jaskini na wyspie. A później w Arctis Tor.

– I nie było żadnego sposobu, żebyś nawiązał kontakt? – spytał spokojnie. – Ty?

Zapadła cisza. Thomas wiedział, co potrafiłem. Jeśli chciałem, żeby ktoś dostał wiadomość, mogłem dopilnować, by tak się stało – w taki czy inny sposób.

– Co chcesz, żebyśmy powiedział, stary? Sprzedałem się, Thomasie.

– Tak, kiedy uszkodziłeś sobie plecy. Powiedziałeś nam. Dla Maggie. Żeby bezpiecznie wróciła do domu.

– Zgadza się.

– Na pustkę nocy, dlaczego nie dodałem dwa do dwóch...? – Westchnął. – Niech zgadnę. Próbowaleś się zabić po tym, jak bezpiecznie wróciła do domu, prawda?

Prychnąłem.

– Coś w tym rodzaju.

Przez kilka chwil w milczeniu kręcił głową. Później odetchnął głęboko, znów na mnie spojrzał i powiedział:

– Ty. Kretynie.

– Ej!

– Ty. Idioto.

– Do diabła, Thomasie. Nie przeżyłem swojego życia w taki sposób, żeby patrzeć, jak zmieniam się w... – Nagle urwałem i odwróciłem wzrok.

– W co, Harry? Powiedz to.

Potrząsnąłem głową.

– Nie, tego ci nie odpuszczę, braciszku. Powiedz to.

– W potwora – rzuciłem.

– Jasne. W potwora. Jak ja.

– Nie to miałem na myśli.

– Dokładnie to miałeś na myśli. – Wypluł te słowa ze złością. – Ty arogancki... – Z czystej frustracji rzucił kołkiem, który przekoziółkował i wbił się na dwa cale w drewnianą belkę. – Czekają cię pokusy, co? Radzenie sobie z potwornymi żądzami? Stawianie czoła możliwości, że jeśli choć na chwilę przestaniesz się skupiać, możesz się zmienić? Stracić panowanie nad sobą? Może zrobić krzywdę komuś, kto jest dla ciebie ważny? – Pokręcił głową. – No dalej, rozplacz się, kurwa.

Nie mogłem na niego spojrzeć.

– Wolałeś być martwy niż stać się taki jak ja. Niezłe słowa do brata.

– Nie o to chodziło.

– Trochę chodziło – odwarknął. – Do diabła, Harry.

– Nie mogę się cofnąć i tego zmienić. Gdybym mógł, może bym tak zrobił. Ale stało się. Przepraszam, ale tak jest.

– Powinieneś ze mną porozmawiać.

– Thomasie.

– Powinieneś mi zaufać. Do diabła, stary.

Wróciło do mnie wspomnienie tamtych pełnych rozpacz godzin. Moja córka została porwana i choć tak wiele razy poświęcałem wszystko dla innych, nikt nie wydawał się skłonny, by zrobić to dla mnie. Biała Rada, dla której walczyłem w wojnie, odwróciła się do mnie plecami. Kończył się czas. A chodziło o życie małej dziewczynki, która nigdy nie poznała swojego ojca.

– Dlaczego? – spytałem go zmęczonym głosem. – Co by to zmieniło? Co takiego mógłbyś powiedzieć, co by miało znaczenie?

– Że jestem twoim bratem, Harry. Że cię kocham. Że coś wiem na temat walki z mrocznymi fragmentami własnej natury. I że sobie poradzimy. – Położył łokcie na kolanach i wsparł czoło na dłoniach. – Że coś wymyślimy. Że nie jesteś sam.

Dźgnięcie.

Przekręcenie ostrza.

Miał rację. To było takie proste. Mój brat miał rację. Byłem egocentryczny i arogancki. Może było to zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę presję, pod jaką się w tamtym czasie znajdowałem, ale nie znaczyło, że nie popełniłem kolosalnych błędów.

Powinienem z nim porozmawiać. Zaufać mu. Nie próbowałem nawet pomyśleć

o nikim poza Maggie, nawet nie zacząłem szukać wsparcia u rodziny. Po prostu od razu przeszedłem do tej części planu, w której wynająłem jednego z najlepszych nadnaturalnych zabójców na świecie, żeby mnie odstrzelił. Pewnie świadczyło to o mojej desperacji.

Ale jeszcze więcej powiedziałem w ten sposób o swoim bracie. W tej kwestii też miał rację. Nigdy wcześniej świadomie nie musiałem stawić temu czoła, ale swoimi czynami powiedziałem Thomasowi, że lepiej być martwym niż potworem – potworem takim jak on. A czyny są ważniejsze niż słowa.

Zawsze wydawało mi się, że w miarę upływu lat robi się coraz łatwiej. Ale w rzeczywistości wszystko jeszcze bardziej się komplikuje.

– Przepraszam. Powinienem wtedy z tobą porozmawiać. – Mój głos brzmiał chrapliwie. – Powinienem porozmawiać z tobą przed trzema miesiącami. Ale nie mogłem, bo popełniłem błąd. Uważałem, że nie powinienem się z nikim kontaktować.

Thomas podniósł wzrok.

– Dlaczego nie?

– Bo na to nie zasługiwałem – powiedziałem cicho. – Bo się sprzedałem. Bo się wstydziłem.

Podniósł się ze złością.

– Och, absolutnie, rozumiem. Musiałeś zachować dystans. Inaczej wszyscy byśmy się dowiedzieli, że nie jesteś doskonały, ty gamoniowaty, głupi, arogancki, egoistyczny...

Uderzył mnie w pierś i objął tak mocno, że poczułem, jak trzeszcza mi żebra.

– ...niezgrabny, porywczy, irytujący, dumny, bezużyteczny...

Objąłem brata w odpowiedzi i słuchałem litanii obraźliwych przymiotników, aż dotarł do końca.

– ...dupku.

– Aha. Ja też za tobą tęskniłem.

Rozdział piętnasty

Żeby dotrzeć na wyspę, Thomas nawigował według gwiazd.

Ja co chwila zerkałem na kompas. Nie dlatego, że nie ufałem bratu, ale po prostu nie miałem bladego pojęcia, jak udawało mu się utrzymać *Chrząszcza Wodnego* na kursie bez jego pomocy. Molly spędziła pierwszą część wycieczki w kajucie, owinięta kocami – na jeziorze panował chłód. I ja, i Thomas czuliśmy się całkiem dobrze w samych koszulkach. Podejrzywałem, że moja praktykantka wciąż odczuwała skutki przebywania zbyt blisko, kiedy spotkałem się z Thomasem.

Po drodze na wyspę poinformowałem Thomasa o ostatnich wydarzeniach, pomijając jedynie szczegóły związane z zabijaniem nieśmiertelnych. Miałem paskudne uczucie, że posiadanie tak ważnych informacji na temat tak potężnych istot było doskonałym sposobem, by sprowadzić na siebie paskudną śmierć każdej dowolnej nocy poza Halloween.

– Tak, tak, tak – powiedział Thomas, kiedy skończyłem. – Widziałeś się z nią?

Skrzywiłem się.

– Z kim?

– Ty mi powiedz.

– Tylko z tobą i z Molly.

Popatrzył na mnie z głębokim rozczarowaniem i pokręcił głową.

– Dzięki, tato.

– Żyjesz. Jesteś jej winien to spotkanie.

– Może kiedy będzie po wszystkim.

– Wtedy możesz być już martwy. Na pustkę nocy, Harry. Czy ta mała przygoda na jeziorze niczego cię nie nauczyła?

Skrzywiłem się jeszcze bardziej.

– Na przykład czego?

– Na przykład, że życie jest krótkie. Że nie wiesz, kiedy się skończy. Że niektórych rzeczy, jeśli pozostaną niewypowiedziane, nie da się już powiedzieć. – Westchnął. – Jestem pieprzonym wampirem, stary. Wyrywam ludziom kawałki dusz i je zjadam. I uszczęśliwiam ich w trakcie.

Nie odpowiedziałem. Tym właśnie był mój brat. Był też czymś więcej, ale byłoby głupota, gdybym próbował zaprzeczyć tej części jego osoby.

– Jestem głównie potworem. I nawet ja wiem, że ona zasługuje, żeby usłyszeć od ciebie, że ją kochasz. Nawet jeśli nie dostanie już niczego więcej.

Zmarszczyłem czoło.

– Chwileczkę. O kim mówimy?

– O nich obu. Przestań być idiotą. Przestań biczować się myślą, że twoja obecność w jej życiu jej zagraża. Jesteś jedynym tobą w jej życiu, Harry. Uwierz mi. Nie budują zamienników faceta takiego jak ty.

– Nie budują zamienników nikogo – powiedziałem ze zmęczeniem. – Zobaczymy.

Thomas popatrzył na mnie, jakby chciał mnie przycisnąć. Ale nie zrobił tego.

– A co u ciebie? – spytałem. – Justine i jej koleżanka dotrzymują ci towarzystwa?

– Koleżanki – rzucił w zamyśleniu Thomas. – Liczba mnoga.

Absolutnie niesprawiedliwe.

– Hm – mruknąłem.

Zmarszczył czoło.

– Ej. A skąd właściwie o tym wiesz?

– Mój duch był obecny tamtej nocy, kiedy Justine uznała, że dość ma twojego rozczulania się nad sobą.

– Twój duch był tam jak długo?

– Odszedłem, zanim przeszliście do „tylko dla dorosłych”.

Prychnął.

– No tak, Justine... tak jakby została moją dietetyczką.

– Że co?

Wzruszył ramionami.

– Jesteś tym, co jesz, prawda? Ta zasada odnosi się również do wampirów. Jeśli Justine myśli, że jestem smutny, przyprowadza kogoś szczęśliwego. Jeśli uważa, że jestem zbyt spięty, kogoś wyluzowanego i spokojnego. – Wydał wargi. – Właściwie... to całkiem miłe. Zrównoważone i tak dalej. – Jego zmrużone oczy pobladły o kilka odcieni. – I mogę znów być z Justine. Nawet gdyby to było piekło, byłoby warto.

– Stary – rzuciłem z obrzydzeniem. – Samotni faceci na całym świecie cię nienawidzą. Zaczynając ode mnie.

– Wiem. – Pokiwał głową i uśmiechnął się. Później popatrzył przed siebie i wskazał palcem. – Tam, widzisz?

Wpatrzyłem się w czerń i dostrzegłem potężny blok jeszcze bardziej

nieprzeniknionej czerni. Dotarliśmy do wyspy.

Drzwi kajuty otworzyły się i wyszła Molly, wciąż z kocem na ramionach. Jej twarz nadal wydawała się ściągnięta, ale nie była już tak blada jak wtedy, gdy wypływaliśmy z mariny. Weszła po schodkach na sterówkę i stanęła obok mnie.

– Thomasie? – spytała. – Dlaczego byłeś dziś na łodzi?

Thomas zamrugał i popatrzył na nią.

– O co ci chodzi?

– Dlaczego spałeś na pokładzie?

– Bo nie powiedziałaś mi, o której przyjdiesz, a zachciało mi się spać.

Molly spojrzała z ukosa na Thomasa, a później na mnie.

– Poprosiłam cię, żebyś to zrobił?

– No tak. – Prychnął. – Zadzwoiłaś około dziesiątej.

Molly wciąż patrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Nie. Nie zrobiłam tego.

Thomas wyłączył silnik łodzi. *Chrząszcz Wodny* zatrzymał się powoli, a odgłos wody uderzającej o kadłub znów stał się słyszalny, kiedy silnik ucichł.

– W porządku – powiedział Thomas. – No tak. Co tu się dzieje, do diabła?

– Molly – spytałem – jesteś pewna?

– Mam różne problemy, ale zaniki pamięci ani nieświadome działania do nich nie należą.

Thomas zmrużył oczy.

– A gdyby tak było, skąd byś o tym wiedziała?

Molly zmarszczyła czoło.

– Słuszna uwaga. Tyle że... o ile mi wiadomo, nic o tym nie świadczy. Jestem tego równie pewna, jak wszystkich innych rzeczy, które postrzegam.

– Czyli jeśli Molly do mnie nie zadzwoniła... – zaczął mówić Thomas.

– Kto to zrobił? – dokończyłem.

Woda uderzała o kadłub.

– Co robimy? – spytała Molly.

– Jeśli ktoś nas wystawił, żebyśmy znaleźli się w tym miejscu – stwierdził Thomas – to pułapka.

– Jeśli to pułapka, z całą pewnością nie starali się jej ukryć – sprzeciwiłem się. – Wiemy jedynie, że ktoś chciał, żebyśmy znaleźli się w tym miejscu.

Molly pokiwała głową.

– Myślisz, że...?

– Robota Mab? – rzuciłem. – Przygotowanie mi transportu? Tak, możliwe.
– Gdyby twoja nowa szefowa chciała, żebyś znalazł się na wyspie, dlaczego po prostu nie kazała ci, żebyś się na nią udał? – spytał Thomas.
– Jasne. Przyjmowanie jej rozkazów to teraz moja praca.
Molly prychnęła cicho.
– Może się przyzwyczaję. Nie wiesz tego.
Thomas prychnął cicho.
Woda chlupała.

Nie mieliśmy tak naprawdę większego wyboru. Niezależnie od tego, czy ktoś nami manipulował, żebyśmy zjawili się w tym miejscu, wciąż pozostawał olbrzymi potencjalny problem z wyspą, coś, czym trzeba się było zająć jak najszybciej. Gdybym zaczekał, nadszedłby świt i istniało spore prawdopodobieństwo, że byłbym zbyt zajęty – albo martwy – żeby załatwić sprawę, zanim wszystko wyleci w powietrze. Co znaczyło, że jedynie teraz mogłem tak naprawdę podjąć działania.

– Chociaż raz – warknąłem – chciałbym ratować cholerną sytuację bez pilnych terminów. Wiecie?

– Robota potwora jest prostsza. – Thomas pokiwał głową. – O wiele prostsza.

W ten dwuznaczny sposób mój brat powiedział mi, co o mnie sądzi.

– Chyba wszyscy wiemy, że nie jestem na to dość bystry. Miejmy oczy szeroko otwarte. Thomas, przybij do przystani. Zobaczmy, kto na nas czeka.

* * *

Na wyspie znajdowało się kiedyś nieduże miasteczko, pod koniec dziewiętnastego wieku. Miało doki, magazyny i coś, co mogło być przetwórnią rybną czy czymś w tym rodzaju. Pewnie mieszkało na niej najwyżej parę setek ludzi.

Ale ludzi już nie było. A pozostałości miasteczka wyglądały jak szkielet leżący wśród drzew, które wrosły w podłogi. Nie wiem, co stało się z miasteczkiem. Opowieści z tamtych czasów wspominają jedynie o tajemniczych wydarzeniach na jeziorze i dużej liczbie nowych pensjonariuszy w tym, co uchodziło wówczas za szpital psychiatryczny. Samo miasteczko zniknęło z archiwów i nie dało się nawet odnaleźć jego nazwy. Wyspa również zniknęła z oficjalnych dokumentów – choć gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ówczesne władze uznały, że zatuszowanie istnienia wyspy było najlepszym sposobem, by ochronić ludzi przed kontaktem z nią.

Właściwie, wiedząc to, co wiem teraz, zgaduję, że wyspa skłoniła ich, by doszli do takiego wniosku. Wyspa, którą nazwałem Demonreach, była całkiem żywa.

Skądinąd większość świata jest. Ludzie sądzą, że cywilizacja i zorganizowana religia jakimś sposobem wymazały duchy istniejące na całym świecie w naturze. Tak się nie stało. Ludzie nie są wszechmocną mocą zniszczenia, za którą się arogancko uważają. Owszem, możemy wiele zmienić, ale nigdy tak naprawdę nie zniszczyliśmy tych starych duchów i istot z dziczy. Nie jesteśmy aż tak potężni. Jesteśmy jednak bardzo głośni i bardzo egocentryczni, więc większość ludzi tak naprawdę nie pojmuje, kiedy znajduje się w obecności ducha ziemi, istoty, którą starożytni Rzymianie nazywali *genius loci*.

Naturalnie nie rozumieli więc również, kiedy znaleźli się w obecności naprawdę wielkiego ducha ziemi – potężnego ducha, dajmy na to, Wezuwiusza.

Albo Demonreach.

Do czasu, aż zostałem postrzelony, odwiedzałem wyspę prawie w każdy weekend, a Thomas często mi towarzyszył. Wykorzystaliśmy trochę nowych desek, trochę materiału odzyskanego ze zniszczonego miasteczka i kilka pontonów z plastikowej folii i starych opon od ciągnika, żeby stworzyć pływający pomost służący jako nabrzeże, zakotwiczony do starych pali, które niegdyś podtrzymywały znacznie większą konstrukcję. Po zakończeniu nazwałem go Whatsup Dock, a wtedy Thomas wrzucił mnie do jeziora, na odległość dwudziestu stóp, w ten sposób udowadniając ponad wszelką wątpliwość, że zupełnie nie docenia humoru opartego na nawiązaniach.

(A później, kiedy już wyschłem, rzuciłem go na odległość czterdziestu stóp – za pomocą magii. Przecież jest moim bratem. To jedyne, co mogłem zrobić).

Chrząszcz Wodny podpłynął powoli do nabrzeża i uderzył w nie delikatnie. Trzeba być dość zręcznym, żeby wyjść z łodzi na pływający pomost, ale na szczęście dla mnie nie trzeba być gimnastykiem. Pomalowaliśmy zewnętrzną krawędź pomostu fosforyzującą farbą i w ciemności widać było emanujący łagodnym blaskiem wyraźny zarys. Wskoczyłem na pomost i przywiązałem pierwszą cumę do pierścienia, który wcześniej zamontowaliśmy, po czym przeszedłem na drugi koniec i złapałem drugą linę, którą rzucił mi Thomas. Kiedy zacumowaliśmy, Thomas opuścił trap (i butelka rumu!), a wtedy Molly ostrożnie po nim przeszła. Thomas zszedł na brzeg jako ostatni, zapinał pas, przy którym tym razem wisały absurdalnie wielki desert eagle – na wypadek gdyby zaatakował nas wściekły bawół afrykański – i długa stara maczeta bolo.

Kiedy patrzyłem na jego broń, poczułem się trochę odsłonięty. Brakowało mi zwyczajowego sprzętu, a przeżyłem sporo paskudnych sytuacji dzięki temu, że go miałem. Wytarłem ręce o dzinsy, skrzywiłem się i próbowałem nie myśleć, że moje wyposażenie składało się teraz z torby na ramię i gadającej czaszki.

Thomas to zauważył.

– Och. Ej, potrzebujesz spluwy, stary?

– One są takie modne.

Wrócił na pokład, a po chwili wyszedł z cholernym zabytkiem. Rzucił mi go.

Złapałem broń, marszcząc czoło. Był to karabin powtarzalny „Winchester”, jeden z tych z dużym zaokrąglonym kabłąkiem. Był ciężki, z ośmiokątną lufą, okładziną z orzechowego drewna i mosiężną komorą zamkową. Do tego regulowany celownik. Karabin miał uspokajający ciężar i doszedłem do wniosku, że gdyby skończyła mi się amunicja, trzymałbym w ręku porządną pałkę. Poza tym, niezależnie od tego, co znajdowało się w magazynku, tak ciężka broń prawie nie miała odrzutu. Jeśli już, to naciskała na ramię, a nie próbowała wyrwać go ze stawu.

– Za kogo ty mnie uważasz? – jęknąłem. – Johna Wayne’a?

– Nie masz takiej stylówki. Jest szybki, łatwy do opanowania i pozwala bez trudu wyjść poza zasięg broni krótkiej. Dzięki dźwigni jest niezawodny i będzie działał nawet po końcu świata.

Biorąc pod uwagę, jak ostatnio wyglądało moje życie, była to bez wątpienia zaleta.

– Naboje?

– Tradycyjne, colt kaliber czterdzieści pięć. Jeden strzał rzuci dużego mężczyznę na ziemię i nie pozwoli mu wstać. Łap.

Rzucił mi pas z amunicją, ciężki od metalowych nabojów o średnicy niemal dorównującej mojemu kciukowi. Przerzuciłem pas przez tors, upewniłem się, że komora jest pusta, ale nabój czeka w gotowości na przeładowanie, i oparłem ciężki karabin na ramieniu, podtrzymując kolbę jedną dłonią.

Molly westchnęła.

– Chłopcy.

Thomas wskazał kciukiem na łódź.

– Mam karabin maszynowy w sam raz dla ciebie, Molly.

– Barbarzyńca – mruknęła.

– Ja nie zasługuję na karabin maszynowy? – spytałem.

– Nie, bo nie umiesz strzelać. Dałem ci go tylko dlatego, żebyś poczuł się lepiej.

– Gotowi jesteście? – spytałem.

Molly trzymała przed sobą różdżki, po jednej w dłoni. Thomas przeszedł dumnym krokiem po trapie, minę miał znudzoną. Skinąłem na nich, odwróciłem się i zrobiłem kilka szybkich kroków, przechodząc z nabrzeża na kamienisty grunt wyspy.

Moja więź z wyspą była wyjątkowo solidna i potężna – ale istniała jedynie wtedy, kiedy rzeczywiście na niej stałem. Gdy do tego doszło, wypełniła mnie wiedza, przepłynęła przeze mnie, fala absolutnej informacji, która powinna zatopić moje zmysły i całkowicie mnie zdezorientować.

Ale tak się nie stało.

Taki jest urok intellectusa, czystej uniwersalnej wiedzy. Kiedy stałem na wyspie, pojmowałem ją w sposób, który był oszałamiająco prosty w przeżywaniu i rozumieniu, ale praktycznie niemożliwy do wyjaśnienia. Wiedza na temat wyspy po prostu we mnie wpływała. Mógłbym powiedzieć wam, ile rośło na niej drzew (17429), ile zostało powalonych przez letnie burze (siedemdziesiąt dziewięć) i ile jabłoni rodziło obecnie owoce (dwadzieścia dwie). Nie musiałem skupiać się na idei albo wrywać informacji z wyspy. Po prostu o tym myślałem i już wiedziałem, podobnie jak wiedziałem, czego dotyczą moje palce i jakie zapachy łączą się z jakimi potrawami.

Byliśmy sami na wyspie. Tyle wiedziałem. Wyczuwałem jednak również głęboki niepokój. Opis Molly był doskonały. Coś się działo – wyspa znajdowała się pod koszmarnym naciskiem, presją tak wszechobecną, że nawet drzewa zaczęły się odchyłać na zewnątrz od serca wyspy, wyciągając gałęzie w stronę wód jeziora. Bez dojmującej świadomości wyspy nie wyczułbym przesunięcia wielu tysięcy gałęzi o kilka cali, ale było prawdziwe i obecne.

– Jesteśmy sami. Nie ma tu nikogo poza nami.

– Jesteś pewien? – spytał Thomas.

– Jestem. Ale zachowam czujność. Jeśli wyczuję kogoś jeszcze, strzelę.

– Zaczekaj – powiedział Thomas. – Dokąd się wybierasz?

– Na szczyt wzgórza. Na... na wieżę, tak myślę.

– Sam? Jesteś pewien, że to rozsądne?

Molly stała na końcu nabrzeża. Kucnęła i wyciągnęła rękę w stronę ziemi wyspy. Musnęła ją palcami i cofnęła się z gwałtownym drżeniem.

– Uch. Tak. Nie chcemy schodzić z nabrzeża. Nie tej nocy.

– Wyspa się zdenerwowała, co? – W głosie Tomasa wyraźnie brzmiał grymas.

– Sądzę, że przydarzyłoby się nam coś złego, gdybyśmy spróbowali pójść z nim. – W głosie Molly brzmiał niepokój. – Cokolwiek się dzieje... Demonreach chce, by

jedynie Harry to zobaczył.

– Może niech wyspa po prostu za niego wyjdzie? – mruknął Thomas.

– W pewnym sensie to zrobiła.

– Mój brat... geoseksualista?

Prychnąłem.

– Posłuchaj, potraktuj ją jako partnera w interesach. I ciesz się, że jest po naszej stronie.

– Nie jest po naszej stronie – sprzeciwiła się cicho Molly. – Ale... myślę, że może być po twojej.

– To jedno i to samo – powiedziałem ostrzegawczym tonem w ogólnym kierunku wyspy. – Słyszysz? To moi goście. Zachowuj się miło.

Dudniące napięcie wyspy się nie zmieniło. Ani trochę. Trwało z nieuchronnością kojarzącą się z lodowcem, którego ani odrobinę nie obchodziły pragnienia jednego efemerycznego śmiertelnika, choćby nawet był magiem. Odniosłem wrażenie, że „miło” nie znajdowało się w słowniku Demonreacha. Pewnie powinno mi wystarczyć, jeśli powstrzyma się od przemocy.

– Porozmawiamy. – Zwróciłem się do wyspy, starając się, by zabrzmiało to jak groźba.

Demonreach się nie przejął.

Mruknąłem pod nosem, poprawiłem winchester na ramieniu i ruszyłem.

Chodzenie po wyspie to dziwne doświadczenie. Powiedziałbym, że przypomina chodzenie po własnym domu po ciemku, tyle tylko że żadnego domu nie poznałem tak dobrze jak wyspy. Wiedziałem, gdzie leży każdy kamień, gdzie wystaje każda gałąź na mojej ścieżce, wiedziałem o tym, choć nie ostrzegały mnie zmysły. Droga w ciemnościach była równie łatwa jak za dnia – a nawet łatwiejsza. Musiałbym skupić się choć odrobinę, by używać oczu. Ale tutaj każdy krok był pewny, a każdy mój ruch minimalny, efektywny i niezbędny.

Przeszedłem w ciemności przez gęste poszycie, prawie nie wydając dźwięku i ani razu się nie potykając. Jednocześnie zauważyłem, że Molly miała rację w innej kwestii – zderzenie energii w powietrzu stworzyło dysonans wystarczający, by odpędzić większość zwierząt, przynajmniej tych, które były do tego zdolne. Zniknęły jelenie. Zniknęły ptaki i szopy, jak również skunksy – choć do najbliższego brzegu jeziora było piekielnie daleko, zwierzęta potrafią pływać na dłuższe dystanse. Mniejsze ssaki, myszy, wiewiórki i tak dalej, pozostały, ale tłoczyły się wokół wyspy, na trzydziestu stopach najbliższej brzegu. Węże miały używanie i najwyraźniej nie były dość bystre, by

zorientować się, że wisi nad nimi większy problem.

Odnalazłem szlak prowadzący na szczyt wzgórza, najwyższego punktu wyspy, i ruszyłem nim. W zboczu wycięto nieregularne stopnie, by ułatwić wspinaczkę. Były zdradzieckie, jeśli nie szło się ostrożnie albo jeśli nie miało się niemal wszechwiedzy na temat tego miejsca.

Na szczycie wzgórza znajduje się zrujnowana kamienna latarnia morska. W tej chwili kształtem przypomina wydrążony silos, bo większość się zapadła. Obok zrujnowanej wieży ktoś wybudował chatkę z resztek kamienia. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, była kwadratowym, niskim budynkiem bez dachu. Zamierzałem wraz z Thomasem naprawić dach, żebym mógł nocować na wyspie w miejscu, w którym mógłbym rozpałcić ogień i się rozgrzać, ale nie zdążyliśmy tego zrobić, zanim wszystko poszło w diabły. Chatka stała, pusta i opuszczona – ale wewnętrzną ścianę, widzianą z miejsca, w którym stałem, zalewał łagodny złocisty blask. W powietrzu unosiła się woń dymu.

Ktoś rozpałcił dla mnie ogień.

Ruszyłem ostrożnie przed siebie, rozglądając się świadomością i oczami, na wypadek gdyby moja wszechwiedza okazała się prawie wszechwiedzą, ale nie wyczuwałem żadnego zagrożenia. Dlatego wszedłem do chaty i rozejrzałem się.

Na kominku płonął ogień, a na składanym stoliku zauważyłem skrzynie z grubego plastiku wypełnione słoikami z żywnością o długim okresie ważności. Skrzynie były zbyt grube, by przegryzło je jakieś zwierzę. W innym pudle znajdowało się wyposażenie kempingowe, więc poświęciłem chwilę, by wyjąć metalowy dzbanek do kawy, wyszedłem na zewnątrz i napełniłem go wodą ze starego żelaznego hydrantu. Wrzuciłem do środka parę garści zmielonej kawy, zawiesiłem dzbanek na obrotowym uchwycie przy kominku i przesunąłem nad ogień.

Wtedy wyjąłem czaszkę i postawiłem ją na stole.

– W porządku, Bob. Mamy robotę. Słuchałeś?

– Tak, tak. – Oczywiście Boba ożyły. – Wyspa zrobi bum czy coś w tym rodzaju.

– Naszą misją jest odkrycie, co się dzieje i jak to powstrzymać.

– Rany, sam nigdy bym się tego nie domyślił, Harry.

– To ściśle tajne. Czegokolwiek się tu dowiesz, musi pozostać między nami. Jeśli trafisz do kogoś innego, chciałbym, żeby cały ten wieczór został starannie zamknięty w bezpiecznym miejscu. I nie próbuj odciąć kolejnej osobowości, jak to zrobiłeś ze Złym Bobem.

– Ściśle tajne, zgadza się. I potrzebowalibyśmy o wiele więcej niż jednej nocy pracy

z tobą, by zebrać dość impetu niezbędnego do stworzenia całego nowego mnie. Żeby tak się stało, muszę się czegoś nauczyć.

– Mniej obelg, więcej analizy.

Promienie padające z oczodołów czaszki stały się jaśniejsze. Przesuwały się w prawo i w lewo, do góry i do dołu, niczym reflektory w więzieniu. Bob wydawał z siebie zamyślane mruknięcia.

Zająłem się dzbankiem. Po tym, jak kawa pogotowała się kilka minut, dodałem trochę zimnej wody z hydrantu, żeby fusy opadły, i nalałem sobie kubek. Dosypałem trochę śmietanki w proszku i garść cukru.

– Równie dobrze mógłbyś pić syrop – mruknął Bob.

– I mówi to gość pozbawiony kubków smakowych. – Pociągnąłem łyk. – I tak zamierzałem cię tu zabrać, żebyś rozejrzał się po okolicy.

– Oho – powiedział Bob w zamyśleniu.

– Co?

– No tak. Wciąż pracuję nad wierzchnią warstwą zaklęć na kamieniach tej chatki, Harry.

Zmarszczyłem czoło.

– Że co?

– Wiesz, że tam są symbole, prawda?

Pociągnąłem łyk kawy.

– Pewnie. Tak jakby się rozświeciły, kiedy...

Moje myśli przez parę sekund wypełniały mdląca, otepiająca umysł groza i ból. Przed kilku laty użyłem Wejrzenia maga, by spojrzeć na niewłaściwą istotę, a takiego rodzaju błędu nie da się zapomnieć. Teraz wspomnienie prawdziwej istoty tego stwora zapisało się na stałe w mojej mózgowicy, nie mogło odejść ani się zatrzeć – nigdy.

To źle. Ale najgorsze, że się do tego przyzwyczaiłem. Wywołało jedynie krótkie zająknięcie.

– ...naagloshii próbował dostać się do środka. Nie za bardzo mu się podobało.

– Tego się spodziewałem. – W głosie Boba brzmiała nerwowość. – No tak, Harry... ja nie wiem, czym one są.

Zmarszczyłem czoło.

– Że co?

– Nie wiem – powtórzył. Wydawał się szczerze zaskoczony. – Nie wiem, czym są, Harry.

Magia bardzo przypomina wiele innych dyscyplin, które ludzie zaczęli rozwijać całkiem niedawno, przynajmniej z historycznego punktu widzenia. Korzystanie z magii to sposób zrozumienia wszechświata i sposobu jego działania. Można podejść do tej kwestii z wielu różnych stron, zastosować wiele różnych teorii i umysłowych modeli. Można dotrzeć do tego samego miejsca wieloma różnymi ścieżkami teorii i rozumowania, zupełnie jak w bardzo zaawansowanej matematyce. I nie ma też czegoś takiego jak właściwy lub niewłaściwy sposób dotarcia do celu – istnieją jedynie różne drogi, jedne bardziej, inne mniej użyteczne w danym zastosowaniu. A nowe perspektywy w sposobie myślenia, teorii i praktyce pojawiają się dość regularnie. Sztuka bowiem rozwija się dzięki udziałowi wielu błyskotliwych umysłów.

Ale mimo wszystko, kiedy ma się solidne podstawy, wie się całkiem nieźle, co jest możliwe, a co nie. Niezależnie od tego, jak wiele omówień zastosuje się w formułach, dwa plus dwa nie równa się pięć. (Chyba że bardzo, bardzo rzadko, czasami, w niezwykle wyjątkowych i ogromnie mało prawdopodobnych okolicznościach). Magia nie jest czymś, co sprawia, że rzeczy się dzieją, puf. Istnieją prawa rządzące jej zachowaniem, strukturą, ograniczeniami – a Boba stworzono właśnie po to, by te granice można było badać, sprawdzać i opisywać.

Nie mogłem policzyć na ani jednym palcu ręki, ile razy Bob nie miał nic do powiedzenia. Zawsze coś wiedział. Czaszka od stuleci współpracowała z magami. Po drodze natrafił na właściwie wszystko.

– Że co? Poważnie? Nic?

– Są potężne. Tyle mogę ci powiedzieć. Ale są również skomplikowane. Molly w najlepszej formie nawet nie zbliżyłaby się do uplecenia czegoś tak szalonego. Ty w najlepszej formie nie zebrałbyś dość mocy, żeby napęlić jeden z najmniejszych kamieni. A to jedynie pierwsza warstwa. Myślę, że jest ich więcej. Może dużo więcej. Tak jakby setki.

– Na każdym kamieniu?

– Tak.

– To... To nie... Nie da się wcisnąć tak wiele magii w tak małą przestrzeń – sprzeciwiłem się.

– Ja nie potrafię. I ty nie potrafisz. Ponieważ to niemożliwe. Ale, no tak. Ktoś się tym nie przejmuje.

– Jak to zrobili?

– Gdybym wiedział, nie byłoby to niemożliwe. – W głosie Boba brzmiało zdenerwowanie. – Ale tyle mogę ci powiedzieć: poprzedza magię, jaką znamy.

Zapytałbym „Że co?“, ale chyba ostatnio tego nadużywałem. Dlatego jedynie pociągnąłem łyk kawy i przywołałem na twarz wyczekującą minę.

– To dzieło, te zaklęcia na kamieniu pochodzą z czasów przed poprzednikami Białej Rady. Doskonale znam rozwój i zastosowanie Sztuki od czasów złotego wieku Grecji. Ten towar – cokolwiek to właściwie jest? – jest starszy.

– Nie da się stworzyć zaklęć, które przetrwają tak długo – wymamrotałem. – To niemożliwe.

– Ostatnio często używasz tego słowa. Harry... ty... rozmawiamy tu o zupełnie innym poziomie. Takim, którego istnienia nie byłem nawet świadom. Uch. Rozumiesz, co to znaczy? Chociaż w przybliżeniu?

Powoli pokręciłem głową.

– Cóż, przynajmniej jesteś dość bystry, żeby o tym wiedzieć. W porządku. Znasz tego suchara o tym, że dostatecznie zaawansowaną technikę można opisać jedynie jako magię?

– Jasne.

– Cóż, wykorzystam teraz ten sam model. Jako mag całkiem nieźle radzisz sobie z budową drewnianych osiek i kamiennych kół. Te zaklęcia? To silnik spalinowy. Dokonaj stosownych przeliczeń. Na metaforycznym liczydło, jak sądzę.

Bardzo powoli wypuściłem powietrze z płuc.

Na wszystkie dzwony piekieł.

Nagle poczułem się bardzo młody i bardzo arogancki, i nieszczęśliwie bystry. Owszem, kiedy po raz pierwszy związałem się z wyspą, wiedziałem, że to zupełnie nie moja liga, ale myślałem, że przynajmniej uprawiamy ten sam cholerny sport. A tymczasem...

Znajdowałem się na ziemi niczyjej, prawda?

A wiecie, co było najlepsze w tej całej rozmowie? Zaklęcia, na których zablokowało się jedno z najbardziej rozwiniętych narzędzi badawczych znanych magom i które sprzeciwiały się wiedzy zgromadzonej przez stulecia? To była zrujnowana część wyspy.

Do diabła, co miałem znaleźć w części, która działała?

I tak siedziałem samotnie w zrujnowanej chacie, aż nagle wejście wypełniła obecność, patrząca na mnie przez pustą przestrzeń w miejscu dachu. Była ogromna, miała dobre dwanaście stóp wzrostu, i względnie humanoidalna z kształtu. Niewiele widziałem. Wydawało się, że w całości okrywa ją ciężki płaszcz. Pod kapturem płonęły dwa punkciki zielonego ognia. Po prostu stała, nienaturalnie nieruchoma,

i patrzyła na mnie z góry, choć chłodny wiatr znad jeziora poruszał skrajem jej płaszcz.

Demonreach. Zmaterializowany duch wyspy.

– Uch – powiedziałem. – Cześć.

Spojrzenie płonących oczu przeniosło się ze mnie na Boba na stole. A później Demonreach zrobił coś, czego nie zrobił nigdy wcześniej.

Odezwał się.

Na głos.

Jego głos był dudnieniem ciężkich gładów ocierających się o siebie, letniego grzmotu nad horyzontem. Głos był potężny. Nie głośny. To nie oddawało mu sprawiedliwości. Dochodził ze wszystkich stron jednocześnie. W reakcji na ten wszechobecny dźwięk powierzchnia niedopitej kawy zawibrowała.

– KOLEJNY.

– Meep – pisnął Bob. Światła w oczodołach czaszki zgasły.

Zamrugalem kilka razy.

– Ty... ty mówisz?

– KONIECZNOŚĆ.

– Jasne. No tak. Czyli... masz kłopoty, dobrze myślę?

– KŁOPOTY. TAK.

– Przyszedłem, żeby ci pomóc. – Czułem się przy tym wyjątkowo kiepsko. – Yyy. Czy to w ogóle możliwe?

– POTENCJALNIE – zabrzmiała odpowiedź. Później ogromna postać się odwróciła. Zrobiła niepewny krok. Ziemia nie tyle zadrżała pod jej ciężarem, ile przesunęła się lekko pod przytłaczającą obecnością starożytnego ducha. – CHODŹ. WEŹ DUCHA PAMIĘCI.

– ...meep... – zaskomlał Bob.

Chwyciłem czaszkę drżącymi rękami i wepchnąłem ją do torby. Wyjąłem z pudła na stole światło chemiczne, złamałem je i potrząsałem, jednocześnie próbując nadażyć. Miałem przecucie, dokąd się udajemy, ale dla pewności spytałem:

– Dokąd idziemy?

Demonreach nie zatrzymywał się, stawiał powolne kroki, ale mimo wszystko zmuszał mnie do truchtu.

– W DÓŁ.

Duch podszedł do zrujnowanego kręgu latarni i uniósł ciemną rękę w niejasnym geście. Kiedy to zrobił, ziemia w kręgu zafalowała i zadrżała, a później coś, co

wyglądało jak kamień, zaczęło spływać, wlewać się do otworu jak piasek opadający w klepsydrze. W ciągu kilku sekund w kamieniu powstał otwór wielkości klapy prowadzącej do mojego starego laboratorium i zobaczyłem niknące w mroku schody.

– Och. – Wiedziałem, że pod wyspą są jaskinie, ale nie, jak się tam dostałem i gdzie mogłem je znaleźć. – A niech mnie. Jaki mamy dokładnie plan działania?

– STUDNIĘ ZAATAKOWANO – zabrzmiała odpowiedź w systemie surround. – TRZEBA JĄ OBRONIĆ.

Demonreach ruszył w stronę schodów. Nie powinien się na nich zmieścić, ale poruszał się, jakby nie miał z tym problemu.

– Chwileczkę. Chcesz, żebym pokonał coś, czego ty nie możesz powstrzymać?

– CZAS, ŻEBYŚ ZROZUMIAŁ.

– Zrozumiał co?

– NASZ CEL, STRAŻNIKU. IDŹ ZA MNĄ.

Później podszedł do schodów i zniknął.

– Tam są potwory! – szepnął na wpół histerycznie Bob. – Uciekaj! Uciekaj!

– Na to już odrobinę za późno.

Ale przez sekundę zastanawiałem się nad postąpieniem zgodnie z jego radą. Część mnie rozważała, jak wygląda Tybet o tej porze roku. Wyruszenie w drogę, by się tego dowiedzieć, przez minutę wydawało się dobrym pomysłem.

Ale tylko przez minutę.

Później przełknąłem ślinę, złapałem światelko palcami, które z jakiegoś powodu wydawały się bardzo śliskie, i podążyłem za Demonreachem w mrok.

Rozdział szesnasty

Nie wiem, jak daleko w głąb prowadziły te schody.

To nie żart. Ani *licentia poetica*. Schody prowadziły w dół w następujący sposób: dwanaście stopni, zakręt pod kątem prostym, kolejne dwanaście stopni, znowu zakręt pod kątem prostym, następne dwanaście stopni i tak dalej. Przestałem liczyć gdzieś w okolicach dwóch setek i sięgnąłem do świadomości wyspy, by wyczuć resztę. Jasne. Tysiąc siedemset dwadzieścia osiem – dwanaście do sześcianu.

Każdy ze stopni miał około ośmiu cali wysokości, co dawało jakieś tysiąc sto stóp z kawałkiem, prosto w dół. Daleko poniżej poziomu jeziora. Do diabła, poniżej dna jeziora. Na klatce schodowej odbijały się echem głębokie, jęczące dźwięki, niemal zbyt niskie, by je usłyszeć. W słabym blasku światła chemicznego całość nabrała atmosfery rodem z beczki śmiechu w parku rozrywki, kiedy człowiek nagle się orientuje, że krąży w kółko i nie widzi drogi wyjścia.

– W dół, w dół, do miasta goblinów idź! – zaśpiewałem głośnym, fałszywym barytonem. Z trudem łapałem oddech. – Ho, ho, chłopcze mój!

Demonreach spojrział na mnie świecącymi oczyma. Może z irytacją.

– Daj spokój. Nigdy nie widziałeś animowanej wersji *Hobbita* wytwórni Rankin/Bass? Tej, która powstała, zanim nakręcono filmy na Nowej Zelandii?

Nie odpowiedział.

– Harry – mruknął do mnie Bob. – Przestań próbować go wnerwić.

– Nudzę się. I wolę nie myśleć o perspektywie powrotu na górę. Rozumiem, że schodzimy bardzo daleko w dół, ale nie moglibyśmy skorzystać z windy? Och, albo słupa strażackiego. To by przypominało zejście do Batjaskini. O wiele zabawniejsze. – Nieco podniosłem głos. – I szybsze.

Może to była moja wyobraźnia, ale kiedy wypowiedziałem ostatnie słowa, zobaczyłem, jak Demonreach zwalnia na chwilę, jakby się zastanawiał.

Nie.

– Ej, dlaczego nazwałeś mnie Strażnikiem? Owszem, jestem Strażnikiem, ale wielu facetów radzi sobie z tym o wiele lepiej ode mnie. Nie jestem raczej chodzącym wzorcem.

– STRAŻNIK. TERAZ JEST WIELU. NAJPIERW BYŁ JEDEN.

Odliczyłem na głos ostatnie dziesięć stopni, zatrzymałem się na drugim od końca i przeskoczyłem nad ostatnim. Wylądowałem obiema stopami na podłodze. Moje buty turystyczne uderzyły z łoskotem o kamień.

Dotarliśmy do niewielkiego pomieszczenia, jego podłogę i ściany wyłożono takimi samymi kamieniami jak te, z których wybudowano latarnię i chatę. Położyłem na nich dłoń i poczułem, że wibrują mocą, dysonansem sprzecznych energii. Właściwie, kiedy się zastanowiłem, uświadomiłem sobie, że od pewnego momentu ściany klatki schodowej i same stopnie również były z tego materiału – a każdy pojedynczy kamień wypełniał niemożliwa moc i biegłość.

– Mogę o coś spytać?

Demonreach zatrzymał się przy kamiennych drzwiach. Otaczały je większe kamienie pokryte skomplikowanymi rytami. Płonące oczy zwróciły się w moją stronę.

– Kto stworzył to miejsce?

Istota nie odpowiedziała. Wskazała na drzwi. Spojrzałem. Pośrodku znajdował się znak, pieczęć. Nie należała do żadnego znanego mi zestawu run, ale wiedziałem, że gdzieś już ją kiedyś widziałem. Killkanaście sekund przeglądałem wspomnienia, zanim wytropiłem właściwe – na grzbiecie bardzo, bardzo, ale to bardzo starego dziennika na półce mojego mentora.

– Merlin – powiedziałem cicho. – To jego znak, prawda?

Demonreach nie zareagował. Po co mówić TAK, skoro milczenie wystarczy?

Przełknąłem ślinę. Pierwszy Merlin to poważna sprawa, Artur, Excalibur i tak dalej. Wedle legendy, gdy po upadku Cesarstwa Rzymskiego zapanował chaos, Merlin stworzył Białą Radę Magów. Wskoczył w płomień Biblioteki Aleksandryjskiej, by ocalić najbardziej kluczowe teksty, pomógł uczynić z Kościoła katolickiego naczynie do przechowania wiedzy i kultury w czasie wieków ciemnych i jednym susem przeskakiwał nad wysokimi katedrami. O Merlinie opowiadano niezliczone historie. Wielu współczesnych magów wierzyło w popularną teorię, że były raczej apokryficzne niż prawdziwe. Do diabła, ja też tak uważałem.

Ale rozglądając się po tym miejscu, nagle straciłem pewność.

– PATRZ.

Demonreach wyciągnął długą rękę, wciąż ciemną i niewyraźną w mizernym blasku mojego światełka. Dotknęła jednego z kamieni otaczających wejście, a wtedy ten wybuchł szmaragdowym światłem.

Syknąłem i osłoniłem oczy, zauważyłem przy tym, że w powietrzu nagle zaczęła

trzaskać moc.

Demonreach dotknął drugiego kamienia, który również zaczął emanować blaskiem. Kiedy to zrobił, wrażenie narastającej energii stało się wręcz namacalne i włoski stanęły mi dęba. Wtedy właśnie zacząłem rozumieć, co się działo – to, co znajdowało się za drzwiami, otaczały osłony, przypominające te umieszczone wokół mieszkania Buttersa. Tyle tylko że musiał je napędzać pieprzony mistyczny pluton albo coś w tym rodzaju, skoro sam akt ich obchodzenia generował tyle energii tła.

Ogromny duch sięgnął do kolejnego kamienia, ale zatrzymał się, nim go dotknął.

– PAMIĘTAJ.

Kamienie. Były jak zamek szyfrowy. Demonreach podawał mi kod do swojego systemu zabezpieczeń. A biorąc pod uwagę, jak wiele niebezpiecznej energii unosiło się teraz w powietrzu, uznałem za całkiem rozsądne założenie, że gdybym kiedykolwiek się pomylił, cóż... potrzeba by ogara, planszy Ouija, specjalisty od antropologii sądowej i niewielkiej armii Małego Ludku, żeby odnaleźć to, co by ze mnie zostało.

Bardzo starannie zapamiętywałem, które kamienie wskazał duch. Bardzo starannie. Demonreach dotknął ostatniego, a granitowe drzwi nie tyle się otworzyły, ile po prostu przestały istnieć. Wypełniająca powietrze uwięziona gwałtowność, wściekła, uważna energia zmniejszyła się i zniknęła, a Demonreach ruszył przez otwór. Podążyłem za nim.

Znaleźliśmy się w znajomej jaskini, a moją pierś znów wypełnił fantomowy przypomniany ból.

Była zadziwiająco dobrze oświetlona jak na podziemną salę. Kiedy ostatnio ją odwiedzałem, byłem w zbyt kiepskim stanie, by dostrzec szczegóły, ale teraz widziałem na ziemi kilka skupisk migoczących kryształów, może bladozielonego kwarcu, które emanowały słabym światłem. Żadne z nich z osobna nie zapewniało wystarczającego oświetlenia, ale jako całość wypełniały większość jaskini nikłym zielono-białym blaskiem.

Sklepienie jaskini przebijały korzenie, choć nie miałem pojęcia, skąd się tam, do diabła, wzięły. Żadna roślina nie zapuszcza korzeni tak głęboko pod powierzchnią, jak ta jaskinia. A w każdym razie żadna normalna ziemska roślina. Z góry powoli ściekała woda, a tam, gdzie spadała ze sklepienia, znajdowały się skupiska kryształów.

Z boku pomieszczenia dostrzegłem wydrążenie w miękkiej ziemi, nie głębsze niż płytka wanna i długie na jakieś siedem stóp. Rozpoznałem je, nim zauważyłem

wysuszone pędy, które leżały dookoła. To było moje łóżko bóleści, gdzie przez długie miesiące spoczywało moje ciało, Mab i Demonreach dawali z siebie wszystko, by pompy nie przestawały działać, podczas gdy mój umysł i duch udawały Kacpra.

Znów poczułem ukłucie w piersi i odwróciłem wzrok. Przebudzenie z tej drzemki było jednym z dwóch albo trzech najbardziej bolesnych momentów mojego życia. Coś w moim wnętrzu się zmieniło. Nie z powodu bólu tego doświadczenia – choć był dojmujący. Patrząc na to miejsce, miałem wrażenie, że ból był efektem ubocznym głębszej i bardziej znaczącej przemiany w tym, co o sobie myślałem, jak siebie postrzegałem i jak powinienem oddziaływać na swój świat.

Ogień nie zawsze jest żywiołem zniszczenia. Klasyczna doktryna alchemiczna uczy, że włada również inną domeną – zmianą. Ogień moich zgryzot nie był jedynie bólem do zniesienia. Był czynnikiem przeobrażenia. Po wszystkim, co przeszedłem, zmieniłem się.

Nie na gorsze, tego byłem pewien – a przynajmniej jeszcze nie. Ale tylko kretyn albo pieprzony szaleniec mógłby stawić czoło tym wszystkim rzeczom i pozostać niewzruszony.

Zamrugalem, wrywając się z zamyślenia, i odkryłem, że Demonreach mnie obserwuje. W jego oczach było coś przenikliwego.

– PAMIĘĆ. REFLEKSJA.

Zmarszczyłem czoło.

– Co masz na myśli?

– TO MIEJSCE.

Rozważałem te słowa przez minutę.

– Mówisz, że właśnie zacząłem monolog wewnętrzny, bo przyszedłem tutaj?

Demonreach wyraźnie nie czuł potrzeby wyjaśniania.

– PAMIĘĆ. REFLEKSJA.

Westchnąłem.

– Cóż, jeśli kiedyś będę musiał coś poważnie rozważyć, wiem już chyba, dokąd się udać. – W jaskini było chłodno i wilgotno, powietrze wypełniała stęchła ziemna woń. Obróciłem się i przyjrzałem całej sali. – Jak nazywasz to miejsce?

Demonreach nic nie powiedział ani się nie poruszył.

– Jasne. Pewnie w ogóle nie nadałeś mu nazwy. – Zmarszczyłem nos. – Jaki jest cel tej sali?

– ZAMKNIĘCIE.

Zmarszczyłem czoło.

– Uch. Czego?

– NAJMNIEJSZE.

– Najmniejsze co? – Zaczynałem czuć irytację.

Demonreach jedynie na mnie patrzył.

– Uch, Harry – podpowiedział Bob cichutkim głosem. – Może powinieneś spojrzeć w kryształy?

Popatrzyłem z góry na czaszkę, wzruszyłem ramionami i podszedłem do najbliższego skupiska. Przez chwilę nad nim stałem. Było spore, długie na jakieś dwanaście stóp i szerokie na cztery albo pięć. A... a cienie przesuwające się na tle przezroczystych kryształów sugerowały, że ziemia pod nimi została wydrążona, tak jak moje łóżko. Właściwie...

Zmarszczyłem czoło i nachyliłem się jeszcze bardziej. Pod kryształami znajdował się zarys postaci. Obraz tego, co tam się znajdowało, dotarł do mnie po odbiciu przez liczne kryształy, był więc koszmarnie rozmazany, ale wpatrzyłem się weń, próbując nie skupiać wzroku i spojrzeć w głąb, jak z tymi magicznymi obrazkami w galeriach handlowych.

Obraz nagle stał się wyraźny. Pod kryształem spoczywała postać o prawie ludzkim kształcie, wysoka na dziewięć, może dziesięć stóp, smukła i porośnięta złocisto-brązowym kudłatym futrem. Jej ręce były zbyt długie w porównaniu z resztą ciała, a dłonie w porównaniu z ramionami. Palce, zbyt długie w porównaniu z dłońmi, kończyły się paskudnymi szponami.

Jej złocistożółte oczy były otwarte, świadome i wpatrywały się we mnie z czystą, nieskrywaną nienawiścią.

– Ja pierdołę! – Odruchowo zatoczyłem się do tyłu. – To naagloshii! To pierdolony naagloshii!

Naagloshii to zawsze złe wieści. Naprawdę złe. Niegdyś byli boskimi posłańcami świętych ludzi Diné, ale zapomnieli o swoim pochodzeniu i stali się legendarnymi skórozmiennymi amerykańskiego Południowego Zachodu. Raz walczyłem z jednym. Zabił mojego przyjaciela, mojego brata prawie doprowadził do szaleństwa i pozostawił mi trwałe psychiczne blizny, zanim stłukł mnie na kwaśne jabłko. Przeżyłem jedynie dlatego, że wtrącił się mag, który był jednym z najlepszych zmiennokształtnych, jakich znam. Słuchający Wiatru dopadł naagloshii. I już mało brakowało... ale naagloshii uciekł, by kiedyś znów stanąć do walki.

Już wcześniej natykałem się na okrutne i niebezpieczne istoty. Ale naagloshii były po prostu jedną z najbardziej złych istot, na jakie miałem nieprzyjemność natrafić.

A jeden z tych przeklętych stworów gapił się na mnie spod kruchej warstwy kwarcu, którą mógłbym zmiażdżyć kluczem francuskim, jego oczy zaś płonęły, jakby miał ochotę pożreć mnie w całości.

Nagle dopadły mnie złe przeczucia.

I zwróciłem się do kolejnej sterty kwarcu. I następnej.

Jestem szczęściarzem. Nie czekała na mnie leżąca pod podłogą w zasięgu ciosu jedna z najkoszmarniejszych bestii, jakie istnieją.

Czekało na mnie sześć.

Pod kryształowymi kopcami spoczywały również inne kształty. Nie rozpoznawałem ich. Jestem przekonany, że powinienem być bezgranicznie szczęśliwy z tego powodu.

– Najmniejsze. – Mój głos drżał. – Chcesz mi powiedzieć, że naagloshii jest jednym z „najmniejszych”. – Nagle poczułem, że muszę usiąść, więc zrobiłem to, gwałtownie osunąłem się na podłogę. – Co... co jeszcze tu jest?

Demonreach odwrócił się do ściany. Uniósł rękę i kamień zniknął, ukazując korytarz o szerokości około pięćdziesięciu stóp. Znów podniosłem się na drżące nogi, żeby się rozejrzeć. Tunel łagodnie opadał w dół i oświetlał go nikły blask kryształów.

Mnóstwa kryształów.

Całego mnóstwa kryształów.

Tunel niknął w perspektywie. Może miał milę długości. Może dwie. Może prowadził do samego piekła. Kryształowe kopce wznosiły się w regularnych odstępach. Niektóre z nich miały rozmiar budynków. Część pojedynczych kryształów musiała mieć wielkość cholernego drzewa. Ledwie zdążyłem się zagapić, kiedy uderzył mnie przyływ mocy, jakby otwarcie drzwi wypuściło płyn gromadzący się pod ciśnieniem. Energia nie miała fizycznej obecności – ale poczułem mdlącą falę tłustego zimna, która przepłynęła przeze mnie, a mroczna siła linii mocy, które łączyły się na wyspie, otoczyła mnie jak chmura niewidocznego smogu.

– STUDNIA.

Demonreach odwrócił się powoli, a wtedy pojawiło się jedenaścioro drzwi prowadzących do tuneli wyglądających niemal identycznie jak pierwszy. Jeszcze jedenaście. Ponieważ jeden niekończący się tunel pełen grozy najwyraźniej nie wystarczał. Miałem dwanaście.

Ich mroczna energia syczała i sączyła się w powietrzu, jakby czysta zła wola i zjadłość zostały wydestylowane w niewidzialna mgiełkę.

– I... wszystko, co tam jest, sprawia, że naagloshii wydają się drobnicą?

– ZGADZA SIĘ.

– Oczywiście. Naturalnie. – Wpatrzyłem się w pierwszy korytarz. – Czym one są? Co tam jest?

– KOSZMARY. MROCZNI BOGOWIE. BEZIMIENNE ISTOTY. NIEŚMIERTELNI.

– Cholera jasna – szepnąłem. I wtedy zrozumiałem, dlaczego to miejsce nazywają Studnią. – Dlatego właśnie wyspa jest źródłem tych wszystkich linii mocy. To jak wielki bulgoczący gejzer złego.

Bob zagwizdał z podziwem.

– Uch. A niech mnie, szefie, tak. Dokładnie tak. Energia w tych liniach mocy... to ciepło, które wydzielają te istoty.

Poczułem, że zaraz zacznę chichotać.

– Stary. Zamknięcie. Na wszystkie dzwony piekieł, zamknięcie. – Próbowałem stłumić chichot i zwróciłem się do Demonreacha. – To nie jest magiczna twierdza. To więzienie. Węzienie tak ciężkie, że pół tuzina pieprzonych naagłoshii znajduje się w części o złagodzonej rygorze.

– ZGADZA SIĘ. STRAŻNIKU.

Rozdział siedemnasty

– Ta praca raczej nie jest płatna, dobrze myślę? – spytałem.

Duch po prostu na mnie patrzył.

– Tak sądziłem. Czyli... kiedy nazwałeś mnie Strażnikiem, mówiłeś dosłownie.

– OWSZEM.

– A ty kim jesteś? Wartownikiem?

– WARTOWNIKIEM. MUREM. KRATAMI. JESTEM PORZĄDKIEM.

– Nie jesteś pierwszym stróżem prawa, z którym chciałbym nawiązać kontakt. – Przeczesałem włosy palcami. – W porządku. – Skrzywiłem się. – Te stwory tutaj. Czy w tym miejscu są niebezpieczne?

– ZAWSZE SĄ NIEBEZPIECZNE. ALE TU MAJĄ NAJMNIJ OKAZJI, BY TO WYRAZIĆ.

Zamrugalem. To było jedno z najdłuższych, najbardziej zniuansowanych i skomplikowanych stwierdzeń, jakie wypowiedział do mnie duch. Co znaczyło, że rozmawialiśmy o czymś ważnym – co miało sens. Demonreacha nie obchodzili przyjaciele, wrogowie ani inne drobiazgi bez znaczenia. Interesował się swoimi więźniami, kropka. Wszystko inne było oceniane pod kątem związku z tym tematem.

– Ale czy mogą się wydostać?

– NIE BEZ INTERWENCJI Z ZEWNĄTRZ. ALBO TWOJEGO UPOWAŻNIENIA.

– Meep. – Sapnąłem. – Uch. Chcesz powiedzieć, że mógłbym uwolnić te istoty?

– JESTEŚ STRAŻNIKIEM.

Przełknąłem ślinę.

– Czy istnieje możliwość, bym się z nimi porozumiał?

– JESTEŚ STRAŻNIKIEM.

– Na dzwony piekieł, niedobrze.

Właśnie odziedziczyłem stertę kłopotów.

Doświadczwszy naagloshii z bardzo bliska, nie miałem najmniejszego zamiaru wypuszczać jednej z tych istot. Wątpiłem, by cokolwiek innego, co tu przetrzymywano, spodobało mi się bardziej. Właściwie jak na razie nie miałem nawet zamiaru na nich patrzeć, nie mówiąc już o dowiadywaniu się, kim i czym byli

więźniowie – a o rozmowie w ogóle zapomnijcie. Istoty tak stare i potężne mogły być zabójcze z użyciem kilku starannie dobranych słów wypowiedzianych we właściwym momencie – co wiedziałem z bolesnego doświadczenia.

Ale nic z tego nie miało tak naprawdę znaczenia.

Właśnie wręczono mi coś, co tak naprawdę było wielką i paskudną bronią masowego rażenia i potencjalnego chaosu. Potęg świata nadnaturalnego nie obchodziłoby, że nigdy bym jej nie użył. Liczyło się jedynie to, że miałem możliwość z niej skorzystać. Naprawdę, panie władzo, wiem, że mam w bagażniku wyrzutnię raketową, ale trzymam ją tam tylko dlatego, żeby nie trafiła w ręce kogoś złego. Naprawdę. Mówię szczerze.

Goście z Białej Rady, którzy mnie nie lubili, zrobią się sini na twarzach i zaczną toczyć pianę z ust, kiedy się dowiedzą. A każdy wróg, jakiego kiedykolwiek miała Biała Rada, zacznie patrzeć na mnie jak na dar niebios – ktoś znający zasady funkcjonowania Białej Rady, z ogromnie skupioną osobistą mocą, kto niemal z całą pewnością przerazi Radę wystarczająco, by uznała go za podejrzanego, odizolowała, a ostatecznie zwróciła się przeciwko niemu. Ten facet byłby atutem w dowolnym konflikcie z magami tego świata.

I niech mnie, czy Biała Rada o tym nie wiedziała?

Jakby już nie kręciło się wokół mnie dość łowców głów.

A wiecie, co jest w tym wszystkim najlepsze? Tak naprawdę nie miałem do dyspozycji prawdziwej, użytecznej superbroni. Miałem jedynie klucz do wielkiej skrzyni pełnej bólu i problemów dla bardzo wielu ludzi.

Nic dziwnego, że dziadek wydawał się oszołomiony, kiedy dowiedział się, co zrobiłem z Demonreachem. A może nie tyle „oszołomiony”, ile „przerażony”.

Znów zaczynała mnie boleć głowa. Do diabła, tego tylko potrzebowałem. Przez ostatnie kilka lat moje bóle głowy stopniowo robiły się coraz paskudniejsze, aż do momentu, kiedy czasem prawie traciłem przez nie przytomność. Jakoś z nimi funkcjonowałem, do pewnego stopnia – człowiek nie może poświęcić całego życia na naukę manipulowania mocami wszechświata, nie wykształcając jednocześnie całkiem sporej samodyscypliny i wytrzymałości na ból. Ale to był jeszcze jeden przekłety kamień dodany do całego ciężaru, który musiałem dźwigać, próbując się wydostać z najciaśniejszej ślepej uliczki, w jakiej kiedykolwiek się znajdowałem.

Demonreach zawarczał. Wielkimi literami.

A ból zniknął.

Jeszcze przed chwilą czułem napięcie skóry głowy i dwa szpikulce do lodu

wbijające się w czaszkę w tych samych miejscach, co zawsze, a teraz ból całkowicie zniknął. Endorfiny, które moje ciało zaczęło pompować, dotarły na miejsce, nie zastały bólu i postanowiły urządzić imprezę. Nie padłem oszołomiony na ziemię, bo manipulowanie wszechświatem mnie uodporniło, ale było blisko.

– A niech to – wydyszałem. – Yyy... co ty właściwie zrobiłeś?

– OSTRZEGŁEM GO.

Zamrugałem kilka razy.

– Ty... przestraszyłeś mój ból głowy?

– ISTOTĘ, KTÓRA GO WYWOŁUJE. PASOŻYTA.

Gapiałem się tępo przez chwilę, po czym znów przejrzałem wspomnienia. Zgadza się. Dokładnie w tej sali, kiedy byłem tu poprzednim razem, albo Mab, albo Demonreach wspomnieli coś o podziale zadań przy utrzymywaniu przy życiu mojego ciała, kiedy reszta znajdowała się gdzie indziej. W tym o pasożycie, który podtrzymywał bicie mojego serca. Spiorunowałem Demonreacha wzrokiem.

– Opowiedz mi o tym pasożycie.

– NIE.

Prychnąłem z irytacją.

– Dlaczego nie?

– TARGOWAŁ SIĘ.

– O co?

– TWOJE ŻYCIE, STRAŻNIKU.

Zastanowiłem się nad tym.

– Chwileczkę... Potrzebowałeś jego pomocy, żeby mnie ocalić. A jego ceną było to, że nie opowiesz mi o nim?

– OWSZEM.

Odetchnąłem głęboko i przesunąłem palcami po głowie. Tam w środku coś biegało, wywołując migreny.

– Czy jest dla mnie zagrożeniem?

– W SWOIM CZASIE.

– Co się stanie, jeśli tam zostanie?

– WYRWIE SIĘ Z TWOJEJ CZASZKI.

– Auć. – Nic nie mogłem na to poradzić. Dostałem gęsiej skórki. W stanowczo zbyt młodym wieku widziałem *Obcego*. – Jak go wydostać?

Demonreach przez chwilę rozważał te słowa, wreszcie powiedział:

– SPYTAJ NOWICJUSZKĘ.

– Molly? Poważnie? Wiesz, że ona jest nowa, tak?

Patrzył na mnie.

– Ile zostało mi czasu, żeby się nim zająć?

– WKRÓTCE.

– Wkrótce? Jak wkrótce jest wkrótce? Co masz na myśli, mówiąc „wkrótce”?

Jedynie wpatrywał się we mnie.

Racja. Nieśmiertelne, nieludzkie, w pełni skupione na powstrzymaniu złej hordy teraz i na zawsze istoty mają problemy z poczuciem czasu. Na podstawie tego, co widziałem i słyszałem przez lata, zaczynałem pojmować, że linearność czasu to wyłącznie śmiertelna perspektywa. Inne istoty nie są do niej przywiązane aż tak bardzo jak my. Na tej wyspie rosły krzaki starsze ode mnie. I drzewa starsze od Chicago. Demonreach nie był kompatybilny ze stoperami i listą zadań na wybrany dzień.

– W porządku. W porządku, priorytety. Odłóżmy na chwilę na bok kwestię wyrrywającego się z czaszki pasożyta. To oznacza, że nadzoruję istną maszynę końca świata, a Białej Radzie i wszystkim innym odbije z tego powodu. Ale nie odbije im dzisiaj, bo najprawdopodobniej nie wiedzą, że wciąż żyję, a jeśli nie skupię się na najbliższych dwudziestu czterech godzinach, mogę nie przeżyć dość długo, żeby mieć szansę na całą tę zabawę. Czyli o tym również na razie zapominamy.

– ROZSĄDNE PRIORYTETY.

– Cieszę się, że je aprobujesz. – Byłem pewien, że coś, co nie rozumiało minut i sekund, nie będzie też miało większego doświadczenia z sarkazmem. – Wciąż masz problem. Musisz mi go wyjaśnić.

– JESTEŚ ZBYT OGRANICZONY. ZNISZCZYŁOBY CIĘ, PODOBNIKIE JAK ZNISZCZYŁO TWOJEGO DUCHA.

Uniosłem ręce i na wpół się wzdrygnąłem.

– Na litość boską, nie myśl do mnie. Myślisz stanowczo zbyt głośno.

Świecące oczy jakimś sposobem sprawiały wrażenie zde gustowanych.

– TEN SPOSÓB PRZEKAZYWANIA IDEI JEST NIESKUTECZNY I OGRANICZONY.

– Słowa, słowa, słowa. Mów do mnie jeszcze. Ale to właśnie mamy do dyspozycji, chyba że umiałbyś mi to narysować.

Demonreach milczał przez chwilę – a później z podłogi gwałtownie podniosły się pędy. Omal nie podskoczyłem. Nie zrobił mi żadnej krzywdy, poza tym, co sam sobie zrobiłem, a gdyby chciał to zrobić, i tak bym go nie powstrzymał. Dlatego czekałem.

Pędy wsunęły się do mojej torby i wyłoniły się owinięte wokół czaszki Boba.

– Harry! – pisnął Bob.

– On jest mój – powiedziałem ostro. – Skrzywdzisz go, a możesz zapomnieć, że ci pomogę.

– MAŁA ISTOTO. ZNASZ STRAŻNIKA. BĘDZIESZ TŁUMACZYŁA. NIE ZOSTANIESZ USZKODZONA.

– Ej! – Zrobiłem krok i stanąłem między Demonreachem a Bobem. – Słyszałeś mnie, Hopalong? Odłóż tę czaszkę.

– Harry! – powtórzył Bob. – Zaczekaj! On cię usłyszał!
Skrzywiłem się i odwróciłem, żeby spojrzeć na Boba. Wyglądał jak stary Bob.

– Tak?

– Tak. – Oczy czaszki migotały we wszystkie strony, jakby przyglądała się jednocześnie kilkunastu ekranom. – Rany, to jest wielkie! I stare!

– Czy on ci robi krzywdę?

– Hmm, nie... nie. A mógłby, gdyby chciał. Po prostu... to dużo do przetrawienia... –
Później czaszka zadrżała w uścisku pędów. – Och!

– Co „och”?

– Wyjaśnia problem – odparł Bob. – Musiał wszystko uprościć o kilka poziomów, zanim zrozumiałem.

Chrząknąłem i rozluźniłem się nieco.

– Och. To na czym polega problem?

– Zaczekaj. Próbuję wymyślić, jak go uprościć na tyle, żebyś ty go zrozumiał.

– Dzięki – warknąłem.

– Osłaniam cię, szefie. – Bob podskoczył kilka razy na pędach. – Ej, Hopalong!
Odwróć to w tamtą stronę!

Demonreach spiorunował czaszkę wzrokiem.

Bob znów podskoczył.

– Dalej! Trochę nam się śpieszy!

Zamrugąłem.

– Do diabła. Szybko przeszedłeś od przerażonego do przemądrzałego, Bob.

Bob prychnął.

– Bo choć ta istota jest duża i paskudna, potrzebuje mnie, żeby rozmawiać z tobą, co znaczy, że jestem ważny. A ona o tym wie.

– POMNIEJSZE ISTOTY KIEDYŚ SZANOWAŁY STARSZYCH.

– Szanuję cię jak diabli – poskarżył się Bob. – Chcesz, żebyś pomógł, a ja mówię ci,

jak. A teraz mnie obróć.

Przez jaskinię przeszedł nagły podmuch wiatru, jakby ogromne westchnienie. Pędy poruszyły się i przekręciły czaszkę w stronę najbliższej ściany.

Oczy Boba rozjaśniły się i nagle rzuciły dwa stożki światła na ścianę. Rozległ się odgłos, który jakby emanował z samej czaszki, rozmyty dźwięk przypominający początek ścieżki dźwiękowej starego filmu, a później na ścianie pojawiło się dawne logo wytwórni 20th Century Fox, to ze szperaczami, jak również pompatyczna fanfara, która często mu towarzyszyła.

– Film? Możesz odtwarzać filmy?

– I muzykę! I telewizję! Butters dał mi internet, kochanie! A teraz siedź cicho i uważaj.

Znajome logo zniknęło, a po chwili na czarnym tle pojawiły się znajome niebieskie litery, głoszące: DAWNO, DAWNO TEMU, WŁAŚCIWIE DOKŁADNIE TUTAJ...

– Daj spokój. Jeszcze mnie pozwą, Bob.

– Cicho, Harry. Albo trafisz do szczególnego miejsca w piekle.

Zamrugalem z dezorientacją na te słowa. Do diabła, zwykle nie jestem facetem, który nie łapie dowcipów opartych na nawiązaniach.

Na ścianie czerń ustąpiła gwiazdnemu polu, w którym powoli rosła niebieskozielona planeta. Ziemia. Później obraz przybliżał się coraz bardziej, aż rozpoznałem zarys jeziora Michigan i innych Wielkich Jezior, a następnie zarys samej wyspy.

Bob jest bezcenny, ale uwielbia dowcipaski i dramatyczne chwytły.

Obraz opadał, aż ukazał znajomy fragment wybrzeża, choć nie było na nim zniszczonego miasteczka, nabrzeża ani szeregu drewnianych pali w wodzie. Widziałem jedynie niewielką plażę i gęsty, ponury las.

Nagle w powietrzu pojawiła się pionowa smuga światła długości około ośmiu stóp. Światło rozszerzało się, aż zajęło jakieś trzy stopy, i wtedy pojawiła się w nim postać. Rozpoznałem znaki – ktoś otworzył Ścieżkę, przejście z Nigdyngdy na wyspę. Postać wyszła i zrobiła gest dłonią, a wtedy Ścieżka zamknęła się za nią.

Był to mężczyzna, dość wysoki, dość szczupły. Miał na sobie obszarpany strój w wielu odcieniach szarości. Jego szary płaszcz miał obszerny kaptur, który rzucał cień na większość twarzy, poza czubkiem nosa i krótkim siwym zarostem zasłaniającym dość spiczastą brodę.

(Na dole ekranu pojawił się napis. MERLIN).

– Chwileczkę? Widziałeś Merlina?

– Nie, ale obsadziłem Aleca Guinnessa w jego roli. Dobrze wygląda, co nie?

Westchnąłem.

– Czy mógłbyś przejść do sedna sprawy?

– Daj spokój. Dopisałem ten wątek z trójkątem miłosnym i obsadziłem Jenę Jameson i Carrie Fisher. Jest tam ta scena miłosna, którą naprawdę...

– Bob!

– Dobra, dobra. W porządku. Ech.

Film przyspieszył. Postać w szarości się rozmyła. Szła, machając rękami, kierowała oceanami energii, umieszczając ją całą w materii wyspy i wokół niej.

– Chwileczkę. Demonreach powiedział ci, jak on to zrobił?

– Nie. – W głosie Boba brzmiała irytacja. – To się nazywa swoboda twórcza, Harry.

– Dobra, pojąłem. Merlin wybudował wyspę. Jakkolwiek to zrobił. Przejdź do części z problemem.

Bob westchnął.

Merlin komicznie szybko wszedł do lasu i zniknął. Później mijał czas. Słońce przeleciało setki, a później tysiące razy, cienie wyspy pochylały się i wykrzywiały, drzewa wyrastały, rosły, starzały się i ginęły. Na dole ekranu pojawiły się słowa: MIJA MNÓSTWO CZASU.

– Dziękuję, że to dla mnie uprościłeś.

– *De nada.*

Kamera zwolniła. Znowu pojawił się Merlin. Oceany energii ponownie się podniosły i wypełniły wyspę. Merlin zniknął i minęły kolejne lata. Może minutę później znowu się pojawił – wyglądając dokładnie tak samo, jeśli mogę dodać – i powtórzył cykl.

– Zaraz, zaraz. Znowu to zrobił? Dwukrotnie?

– Ach – powiedział Bob, gdy na ekranie zaczął się kolejny cykl. – Trochę tak. Widzisz, Harry, to jedna z tych rzeczy, z których pojęciem będziesz miał problem.

– Mów powoli i sprawdź.

– Merlin nie wybudował więzienia pięć razy. Wybudował je raz. W pięciu różnych czasach. Jednocześnie.

Poczułem, że brwi mi się unoszą.

– Uch. Był w tym samym miejscu i robił tę samą rzecz jednocześnie w pięciu różnych czasach?

– Dokładnie tak.

– To nie ma sensu.

– Posłuchaj, więzienia śmiertelników buduje się w trzech wymiarach, tak? Merlin wybudował to tutaj w czterech, i pewnie jeszcze w kilku, choć nie da się ocenić, czy

wybudował je w danym wymiarze, jeśli nie wejdzie się do środka i nie dokona pomiarów, a sam akt pomiaru je zmieni, ale wszystko sprowadza się do jednego: to bardzo zaawansowany towar.

Westchnąłem.

– Jasne. Przyjąłem do wiadomości. Ale co jest nie tak?

Kamera cofnęła się i podniosła, ukazywała teraz wyspę z góry, a właściwie jej rozmazany zarys. Na powierzchni jeziora zapłonął znajomy kształt pięcioramiennej gwiazdy, jej linie były tak długie, że pięciokąt wewnątrz całkowicie obejmował wyspę. Wewnątrz pięciokąta powstał kolejny pięciokąt, podobnie jak pierwszy narysowany w taki sposób, by zabezpieczać i chronić. Kamera zrobiła zbliżenie i zobaczyłem, że drugi pięciokąt obejmował cały szczyt wzgórza, na którym znajdowała się chata i zrujnowana wieża. Kolejne zbliżenie i zobaczyłem zarys kolejnych pięciokątów, tym razem nie płaskich, ale rysowanych pod dziesiątkami przecinających się kątów, a ich środki otaczały tuzin tuneli pełnych złych istot, które znajdowały się pod wyspą.

– One – wyjaśnił Bob – symbolizują pierwotne czary rzucone na wyspę. To oczywiście ogromne uproszczenie, ale podstawowa architektura gwiazdy i kręgu jest taka sama, jak w twoich dziełach, Harry.

Wzór rozmazał się i powiększył, stał się gęściejszy, bardziej delikatny i bardziej emanujący mocą, aż coś ukuło mnie w mózgu i musiałem odwrócić wzrok od diagramu.

– Przepraszam, szefie. To miało przedstawiać splątanie zaklęć rzuconych w różnych czasach.

– Nic dziwnego, że było tak skomplikowane – mruknąłem.

– Jest jeszcze gorzej. Filtruję to dla ciebie. A tutaj mamy problem.

Zmusiłem się do ponownego spojrzenia na projekcję i zobaczyłem, że te miliony milionów zaklęć rezonowały ze sobą, rozrastały się i splatały, tworząc nieprzeniknioną barierę. Uznałem, że przypominało to patrzenie, jak rosną kryształy. Zaklęcia dodające mocy całej konstrukcji nie były same w sobie potężniejsze niż niektóre z moich dzieł – ale kiedy zostały połączone ze swoimi odpowiednikami na przestrzeni czasu, karmiły się nawzajem i tworzyły doskonały rezonans energii, który stał się czymś nieskończenie większym od sumy części składowych.

Później zobaczyłem dysonans. Bob postanowił przedstawić go jako ponure czerwone światło, które zaczęło lekko pulsować na zachodnim skraju wielkiego wzoru. Zaczęło jak coś słabego, ale później, jak rodzący się ból głowy, stało się czymś większym i bardziej zauważalnym. W miejscu, gdzie stykały się szkarłatne

i niebieskie światła, pojawiały się paskudne rozbłyski energii – rozbłyski, które wyczuwałem od chwili, gdy dotarłem na wyspę. Wkrótce to szkarłatne pulsowanie objęło połowę wyspy, a później nagle ekran zalała biel.

Napis na dole głosił: 1 LISTOPADA.

– Jutro – powiedziałem. – Super. Ale nadal nie rozumiem, co jest nie w porządku, Bob.

– Uderzy je energia – wyjaśnił Bob. – Starannie wycelowany wybuch energii, całe mnóstwo. Rozplącze zakłęcie zamykające, które stworzył Merlin, i uruchomi zabezpieczenie w razie uszkodzenia.

– OGIENŃ – zadudnił Demonreach.

– Tego się domyśliłem, dzięki. Ale z zakłęciami nic się jeszcze nie stało?

– Nie. To napięcie, które narasta? To... Cóż, możesz o tym myśleć jako o przyczynie i skutku, ale odwrotnie.

– Hę?

– To, czego doświadcza teraz wyspa, jest echem chwili, kiedy ten wybuch energii uderza w wyspę. Tyle tylko że to echo nie pojawia się później, ale wcześniej.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Mówisz mi, że powodem, dla którego wyspa zaraz wybuchnie, jest... to, że zaraz wybuchnie?

Bob westchnął.

– Ktoś uderza w wyspę energią, Harry. Ale napastnicy domyślili się, w jaki sposób Merlin stworzył to miejsce. Nie atakują w trzech wymiarach, lecz w czterech. Wysyłają moc przez czas, nie tylko przez przestrzeń.

– Czyli... jutro muszę powstrzymać ich przed zaatakowaniem wyspy?

– Nie. – Bob wyraźnie tracił cierpliwość. – Musisz powstrzymać ich przed zaatakowaniem w czasie, w którym rzeczywiście ją zaatakują.

– Uch...

– Posłuchaj mnie, kamień, którym rzucają, uderzy jutro. Ale musisz powstrzymać ich przed rzuceniem kamieniem w tym punkcie, w którym stoją, kiedy nim rzucają.

– Och. – Zamrugalem. – Rozumiem.

Bob odwrócił się do Demonreacha.

– Widzisz, z czym muszę tu pracować? Musiałem uprościć do rzucania kamieniem, zanim dotarło.

– JEGO POJMOWANIE JEST OGRANICZONE – zgodził się Demonreach.

– W porządku, mam dość takiego traktowania przez was obu. Jeśli jesteś taki

bystry, czemu nie powstrzymasz tego wszystkiego?

– WYJAŚNIENIE BY CIĘ USZKODZIŁO, STRAŻNIKU.

Bob prychnął zniecierpliwiony.

– Ponieważ ten duch jest wyspą, Harry. Zakłęciami, Studnią, materialną wyspą, wszystkim. Demonreach nie istnieje poza wyspą. Nie ma możliwości sięgnięcia poza siebie. Atak pochodzi z zewnątrz więzienia. Dlatego w ogóle potrzebuje Strażnika.

Zmarszczyłem czoło.

– Rozmawiał ze mną w ubiegłym roku na cmentarzu.

– Zastraszył Mab, żeby mu pomogła.

– NIE ZASTRASZYŁEM. TARGOWAŁEM SIĘ.

– Dobrze, dobrze. W takim razie dodam to do swojej listy. Odnaleźć tego, kto to robi, kimkolwiek jest, i powstrzymać go przez zrobieniem czegoś, czego jeszcze nie zrobił.

– Chyba że już to zrobił – mruknął Bob. – A w takim wypadku, no cóż. Trochę za późno.

– Racja – powiedziałem zmęczonym głosem.

Miałem prywatny czyściec pełen śpiących potworów.

Miałem pasożyta w mózgu, który przygotowywał się do rozwalenia mi czaszki, żeby ze mnie wyjść.

Mój mały wyspiarski raj miał wybuchnąć z energią wystarczającą, by ugotować mrocznych bogów i Bóg jeden wie, co jeszcze, co znajdowało się pod wyspą. A to oznaczało, że rozmawialiśmy o uwolnieniu energii rzędu gigaton. A jeśli nie powstrzymam kogoś przed zrobieniem tego, szelf kontynentalny czekał bardzo ciężki dzień.

A, racja. Miałem też zabić szaloną nieśmiertelną – lub stawić czoło gniewowi jej matki.

I musiałem to zrobić w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Może odrobinę szybciej.

– A najsmutniejsze jest to, że mam wrażenie, jakbym odzyskał życie. Czy to nie pokręcone?

– Harry – ostrzegł mnie Bob. – Wschód słońca za godzinę.

– Racja. – Westchnąłem i podniosłem czaszkę. Schowałem ją do torby i zwróciłem się do Demonreacha: – Zajmę się tym.

– DOBRZE.

Mruknąłem coś ponuro pod nosem, ruszyłem w stronę schodów i zacząłem

truchtać do góry, rozmyślając o wszystkich problemach, jakie miałem przed sobą.
Jak to dobrze, że ostatnio ćwiczyłem.

Rozdział osiemnasty

Tak między nami – to piekielnie dużo schodów w górę.

Również między nami – przeskakiwałem po dwa i trzy, biegiem, i ani razu nie zatrzymałem się po drodze.

Kiedy już dotarłem na szczyt, popędziłem w dół, moje stopy nie ślizgały się ani nie ślabyły, aż spokojnym truchtem wróciłem na plażę. Za moimi plecami wschodziło słońce, ale potężna masa Demonreacha zasłaniała je swoim cieniem i o świcie świadczył jedynie blask powoli wypełniający niebo.

Kiedy wyłoniłem się z lasu, Thomas wstał i automatycznie sięgnął po broń. Potrząsnąłem głową, nie zatrzymując się.

– Ruszajmy tę łajbę!

– Czego się dowiedziałeś?! – zawołał.

Zaczął odwiązywać cumy, a później wskoczył zwinnie na pokład *Chrząszcza Wodnego*. Molly wyłoniła się z kajuty, wyglądała przy tym, jakby jeszcze przed kilkoma sekundami spała.

Zbiegłem po nabrzeżu i wskoczyłem na pokład.

– Cała banda ludzi będzie na mnie wściekła, mam jakiś problem medyczny, który niedługo mnie zabije, jeśli się nim nie zajmę, aha, i wyspa jutro wybuchnie, zabierając ze sobą spory kawał kraju, jeśli nic z tym nie zrobię.

Thomas popatrzył na mnie spokojnie.

– Innymi słowy, to samo, co zawsze.

– To miłe, że są na tym świecie rzeczy, które nigdy nie zawodzą.

Mój brat prychnął i włączył silnik *Chrząszcza Wodnego*. Cofnęliśmy się od nabrzeża, a wtedy skręcił, dodał gazu i skierował się z powrotem w stronę miasta. Jak mówiłem już wcześniej, łódź nie jest wyścigowa, ale ma sporą moc, a kiedy słońce wzeszło, śmigaliśmy po pomarańczowo-złotej wodzie, pozostawiając za sobą szeroki kilwater w kształcie litery V. Ja sam stałem z przodu i opierałem dłonie na relingu.

Poczułem nadejście świtu, jak zawsze, kiedy zwracałem na to uwagę. Coś delikatnego, ale głębokiego uległo zmianie w otaczającym mnie powietrzu. Nawet gdybym miał worek na głowie, poczułbym to przejście w sposobie, w jaki wiatry

i prądy energii ogólnie zwane magią zaczęły się poruszać popychane światłem wschodzącego słońca.

Nie byłem dość blisko żadnej ze Ścieżek do krain Faerie, by wyczuć, czy zostały ponownie otwarte, ale było to rozsądne założenie. Wschód słońca rozprasza i rozpuszcza wzorce magicznej energii – nie dlatego, że magia jest ze swej natury mocą nocy, lecz dlatego, że świt ze swej natury jest mocą nowych początków i odrodzenia.

Każdy wschód słońca osłabiał działające czary. Zaklęcie rzucone tak szeroko, że odcinało całe Faerie od świata śmiertelnych, musiało być z konieczności raczej kruche i delikatne. Kiedy uderzyło w nie słońce, to było jak gazylion szkielec powiększających skupiających światło na starej gazecie. Poczerniało i się rozpadło. Umysł zafundował mi makabryczny kolaż obrazów – najmroczniejsze istoty Faerie nagle wyłaniające się z każdego denerwującego cienia, niepokojącej uliczki i niebezpiecznego starego porzuconego budynku w mieście. Można by się spodziewać, że mój umysł znajdzie sobie coś lepszego do roboty, na przykład fantazje o nieprawdopodobnie przyjaznych kobietach czy coś w tym rodzaju.

Molly podeszła i stanęła obok mnie. Spojrzałem na nią z ukosa. Wschodzące za nami słońce nadało jej włosom złoty odcień, ale sprawiło, że twarz spowijał lekki cień. Już nie wyglądała młodo.

Nie zrozumcie mnie źle – nie chodziło o to, że posiwiały jej włosy i wypadły zęby. Po prostu nowicjuszka zawsze emanowała energią, życiem i czystą radością. Takie było jej ustawienie domyślne i nawet sobie nie uświadamiałem, jak bardzo to w niej kochałem.

Teraz jej niebieskie oczy wydawały się zmęczone i czujne. Nie spoglądała na piękno świata jak kiedyś. Jej oczy poszukiwały niebezpieczeństw, bliskich i dalszych, były pełne ostrożności i mądrości zrodzonej z bólu – i kryło się w nich znacznie więcej stali, niż widziałem kiedykolwiek wcześniej.

Takie skutki mają miesiące szkolenia z Leanansidhe, połączone z prowadzeniem wojny na ulicach.

Może gdybym wcześniej traktował nowicjuskę ostrzej, nie byłby to dla niej taki szok. Może gdybym skupiał się na innych aspektach szkolenia, byłaby lepiej przygotowana.

Może, może, może, ale oszukiwałem sam siebie. Oczy Molly musiały zacząć tak wyglądać, prędzej czy później – podobnie jak moje.

W tym interesie dzieci nie traktuje się łagodnie.

– Mówiłam ci. – Molly nawet na mnie nie spojrzała. – To przeszłość. Pozostaw ją tam.

– Podsluchujesz moje myśli, dzieciaku?

Wygięła wargi.

– Tylko wtedy, gdy mam ochotę posłuchać szumu oceanu.

Wyszczrzyłem zęby. Podobało mi się to o wiele bardziej niż te wszystkie „panie Rycerzu”, które słyszałem ostatnio.

– Ile możesz mi powiedzieć?

Przez chwilę patrzyłem na jej oczy, gdy wpatrywała się przed siebie, i podjąłem decyzję.

– Wszystko – odpowiedziałem cicho. – Ale nie w tej chwili. Musimy skupić się na priorytetach. Kiedy zajmiemy się bezpośrednim zagrożeniem, przejdziemy do szczegółów.

– Maeve?

– I wyspa. – Opowiedziałem jej o zagrożeniu dla Demonreach, nie wchodząc w szczegóły związane z celem istnienia wyspy. – Innymi słowy, jeśli ich nie powstrzymam, będzie bum.

Molly zmarszczyła czoło.

– Nie wyobrażam sobie, jak możesz powstrzymać coś takiego, jeśli nie wiesz, kto to robi, jak również, gdzie i kiedy się to wydarzy.

– Gdyby problem był prosty i łatwy, nie trzeba by było maga do jego rozwiązania. Rzeczy niemożliwe robimy od ręki. Na niewyobrażalne trzeba trochę poczekać.

– Mówię poważnie.

– Ja też. Nie martw się. Chyba znam właściwego faceta, z którym powinienem o tym porozmawiać.

* * *

Połowa słońca znajdowała się nad horyzontem, kiedy zobaczyliśmy zarys budynków Chicago. Cieszyłem się tym przez minutę. Tak, wiem, głupota, ale to moje miasto, a zostawiłem je na całą wieczność, tak mi się w każdym razie wydawało. Dobrze było widzieć jesienne słońce odbijające się od szkła i stali.

Nagle poczułem, że się napinam, i odepchnąłem się od relingu, na którym się opierałem. Poświęciłem chwilę, by bardzo uważnie się rozejrzeć. Nie wiedziałem, co obudziło mój instynkt, ale zachowywał się dokładnie tak samo, jak nauczył się robić

za każdym razem, kiedy Mab rozpoczynała swój codzienny zamach na moje życie, a ja nie umiałbym go zignorować, choćbym chciał.

Niczego nie dostrzegłem, ale po chwili coś usłyszałem – bzyczące wycie małych, wysokoobrotowych silników.

– Thomas! – krzyknąłem ponad parsaniem silnika *Chrząszcza Wodnego*.

Wskazałem na ucho, a później zrobiłem szeroki gest ręką.

Nie był to do końca sygnał taktyczny, ale Thomas go zrozumiał. Ze swojego miejsca na sterówce nad kajutą rozejrzał się uważnie. Nagle jego wzrok zatrzymał się nad czymś na północny zachód od nas.

– Oho – westchnąłem.

Thomas napał na ster i skierował *Chrząszcza Wodnego* na południowy zachód. Ja wbiegłem po drabince prowadzącej na sterówkę i zatrzymałem się na najwyższym stopniu, dzięki czemu moja głowa znajdowała się na tym samym poziomie, co Thomasa. Osłoniłem oczy przed blaskiem wschodzącego słońca i spojrzałem na północny zachód.

Po wodzie pędziło w naszą stronę pięć skuterów wodnych. Thomas zmienił kurs, co kupiło nam trochę czasu, ale widziałem, że skutery poruszały się znacznie szybciej niż my. Thomas maksymalnie przyśpieszył i podał mi, nie żartując, błyszczącą mosiężną lunetę.

– Poważnie?

– Od kiedy wyszły te filmy o piratach, są wszędzie. Mam też sekstans.

– Seksu to ci akurat nigdy nie brakowało – mruknąłem ponuro i otworzyłem lunetę.

Thomas uśmiechnął się złośliwie.

Spojrzałem przez to coś, przytrzymując się jedną ręką. Biorąc pod uwagę prędkość i podskakiwanie łodzi, nie było łatwo, ale w końcu udało mi się przez chwilę przyjrzeć skuterom wodnym. Nie widziałem jeszcze zbyt wielu szczegółów, ale gość na pierwszym skuterze miał jaskrawoczerwony beret.

– Zdecydowanie mamy problem.

– Twoi znajomi?

– Redcap i paru jego kumpli sidhe, na to wygląda. – Opuściłem lunetę. – To mięśniaki Zimy, ale sądzę, że większość z nich to raczej średniowieczne typki. Co daje nam parę minut...

Rozległ się ostry syk i coś niewidocznego wyrwało mi lunetę z dłoni. Przekoziółkowała w powietrzu, siejąc dookoła odłamkami metalu i szkła.

Po sekundzie usłyszałem wystrzał.

– Cholera jasna – wykrztusiłem i padłem na pokład.

Rozległ się kolejny syk i głośny trzask, kiedy pocisk wbił się w ścianę kajuty nade mną.

– Średniowieczne? Jesteś pewien, że rozumiesz znaczenie tego słowa? – spytał ostro Thomas.

Nieco skręcił w bok, a później znów wrócił na pierwotny kurs. To sprawiało, że trudniej było nas trafić – ale znaczyło również, że płynęliśmy wolniej, zakosami, podczas gdy napastnicy pędzili prosto przed siebie.

Manewry nie powstrzymały ostrzału. Przy takiej odległości, biorąc pod uwagę nasze poruszenia względem siebie, ludzki strzelec wyborowy mógłby nas trafić jedynie z dużą dozą czegoś, co wykraczało poza szczęście i ocierało się o cud. Ale Redcap i jego kolesie nie byli ludźmi. Swoboda, z jaką sidhe poruszali się na parkiecie tanecznym, składała się z precyzyjnej elegancji i bezbłędnego wdzięku. Obie te rzeczy nieźle przekładały się na umiejętności strzeleckie.

Wciąż miałem swój błyszczący karabin, ale w tej sytuacji był bardziej niż bezużyteczny. Colt kaliber .45 byłby zabójczy w czasie zwyczajnej strzelaniny, czyli na odległość około dwudziestu stóp – ale przy strzelaniu do celu na taki dystans straciłby dużo ze skuteczności. Przypadkiem również gość trzymający broń straciłby dużo ze skuteczności, strzelając do celu na taki dystans. Dlatego zasypanie ich kulami wydawało mi się kiepskim pomysłem.

– Ej! – zawołałem do brata. – Gdybym przejął ster, mógłbyś ich wystrzelać z tej odległości?

– Gdybyśmy płynęli prosto, być może! – odkrzyknął.

Kolejny pocisk wyrwał kawał drewna z rogu deski rozdzielczej. Thomas przez chwilę wpatrywał się w otwór. Sześć cali w lewo, a dostałby w okolice krzyża.

– Uch. – Nadal co chwila zmieniał kurs łodzi. – Plan B?

– Racja – mruknąłem. – Racja. Plan B.

Myślałem gorączkowo, gdy ostrzał trwał. Pociski uderzały w burtę z głośnym, wściekłym łoskotem. Z pewnością nie mieli tyle amunicji, żeby utrzymać to przez dłuższy czas. Choć, kiedy się nad tym zastanowiłem, nie miałem pojęcia, jak szybko zużywali naboje. Na ile umiałem to ocenić, strzelał do nas jeden facet, i do tego coraz lepiej oceniał odległość nad wodą. Sidhe zaś się zbliżali. Wyglądało na to, że ich celność się przy tym zwiększała. Kiedy znajdą się w optymalnej odległości, to znaczy będą dość blisko, by nas trafić, ale my nie będziemy w stanie odpowiedzieć im

w podobny sposób, wystarczy, by zachowali ten dystans, a zabiją nas na śmierć.

Mógłbym zacząć rzucać w nich magią, ale w treningu Mab była luka – wszystko dostawałem pod nos. Nigdy nie walczyłem z nią ani z jednym z jej pełnomocników na odległość większą niż dwadzieścia stóp i bez odpowiednio przygotowanej laski czy bojowej różdżki nie mogłem sięgnąć dość daleko, by trafić tych żartownisiów. Istniała spora szansa, że oni też o tym wiedzieli i zamierzali trzymać się na dystans.

Słabość. Musiałem wykorzystać słabość. Sidhe nienawidzili żelaza, ale nawet gdybym jakieś znalazł, jak miałbym je dostarczyć? Jasne, spluwa strzelająca pociskami w koszulce naprawdę by im dowaliła, ale najpierw musiałbym ich trafić. W skrzynce z narzędziami było pudełko gwoździ. Może mógłbym nimi rzucać, ale znów pozostawała kwestia trafienia w nich. Do czego nie mogło dojść, póki wciąż byli tak daleko.

Musiałem zwabić ich bliżej.

– Nowicjuszko! – krzyknąłem.

Drzwi kajuty się otworzyły i Molly przeczołgała się po pokładzie, aż mnie zobaczyła.

– Kto zaczął do nas strzelać?

– Źli goście! – Skuliłem się, kiedy kolejny pocisk trafił w bok łodzi i zasypał mnie drzazgami. – A kto inny?!

– Uciekniemy im?

– Nie ma szans. Jakies pomysły?

– Mogłabym rzucić na nas zasłonę?

– Trudno będzie ukryć kilwater, nie?

– Och. Racja. Co robimy?

– Potrzebuję mgły. Dużo. Daj mi ją.

– Ojej, nie jestem pewna, Harry. Musiałabym poruszyć mnóstwo ognia, żeby dać ci choć trochę. Wiesz, że to nie moja specjalność.

– To nie musi być prawdziwa mgła.

– Och! To dokładnie moja specjalność!

– Grzeczna dziewczynka!

– Kurwa! – warknął Thomas.

Kiedy podniosłem wzrok, zatoczył się. Trzymał ster prawą ręką, a jego twarz wykrzywiał ból. Dostał w lewe ramię, tuż nad łokciem, i przyciskał rękę do ciała. Odślonił zęby w grymasie. Odrobinę zbyt jasna krew spływała po jego łokciu i kapłała na pokład.

– Plan B, Harry! Gdzie jest plan B, do diabła?

– Do roboty! – rzuciłem do Molly.

Praktykantka zamknęła oczy i zacisnęła pięści. Widziałem, jak się skupia, poczułem lekkie poruszenie powietrza, gdy zbierała wolę i moc. Później poruszyła rękami w skomplikowanym geście i coś szepnęła. Wciąż robiła ten gest, a ja uświadomiłem sobie, że ruch naśladował zaplatanie trzech lin w warkocz.

Pomiędzy jej palcami pojawiła się gęsta biała mgła. Na początku strużka na moich oczach zmieniła się w strumień. Później Molly w skupieniu pochyliła głowę, wymamrotała coś pod nosem i z jej dłoni wypłynęła chmura białej mgły większa od *Chrząszcza Wodnego*, rozpostarła się i przykryła powierzchnię wody nad kilwaterem łodzi, zasłaniając goniących nas sidhe.

Przez długą minutę pędziliśmy po wodzie, a ściana białej mgły rozrastała się, zasłaniając nasz kilwater. Wrogi ostrzał trwał jeszcze przez kilka sekund, ale później ucichł. Do diabła, gdyby udało nam się to utrzymać, może dotarlibyśmy do brzegu, nie robiąc niczego więcej. Spojrzałem na Molly. Miała bladą twarz, wykrzywioną w grymasie skupienia, a chmura iluzorycznej mgły już zaczynała słabnąć. Mgła nie jest trudną iluzją, praktykanci zwykle uczą się jej jako pierwszego przykładu tego rodzaju magii, ale Molly rozpostarła ją na ogromnej przestrzeni, a podejście siłowe nigdy nie było jej mocną stroną. Nie dotarlibyśmy w taki sposób do brzegu.

W porządku.

– Thomas! – krzyknąłem. – Hamuj! Niech nas dogonią, a wtedy dodaj gazu!

Thomas zwolnił gwałtownie i odgłos skuterów zagłuszył silnik *Chrabąszcza Wodnego*, w miarę ich zbliżania stawał się coraz wyższy.

– Molly, na mój znak rozproszysz ją!

– Dobra – sapnęła.

Mój brat stał przy sterze z zamkniętymi oczami, skupiając się na dźwiękach. Po chwili nagle znów dodał gazu.

– Molly, już!

Molly jęknęła, a iluzoryczna chmura białej mgły zniknęła, jakby nigdy nie istniała.

Skutery znajdowały się zaledwie sto pięćdziesiąt stóp od nas, pędziły po wodzie. Poruszały się o wiele szybciej od nas i w ciągu kilku sekund prawie wpadły na *Chrząszcza Wodnego*. Zaczęli skręcać w prawo i w lewo, żeby uniknąć zderzenia z naszą łodzią.

Wszyscy z wyjątkiem Redcapa. Prowadził skuter jedną ręką, a w drugiej trzymał karabinek automatyczny. Otworzył szerzej oczy na widok zbliżającej się szybko łodzi,

ale zamiast skrócić w bok, wyszczerzył zęby w szalonym uśmiechu, wycelował we mnie i przyśpieszył.

Zanim zdążył strzelić, wypuściłem zebraną wolę w wybuchu zupełnie nieskupionej magicznej energii i krzyknąłem:

– *Hexus!*

Chyba wspominałem już wcześniej, że magowie nie dogadują się z techniką. Jeśli umieścić dowolną skomplikowaną maszynę w obecności maga, nagle wszystko, co mogłoby się w niej zepsuć, rzeczywiście się psuje. I to w sytuacjach, kiedy nawet nie próbujemy do tego doprowadzić. Elektronika zwykle obrywa najbardziej, jak biedne komputery Buttersa, ale to szczególne prawo magii działa we wszystkich zakresach.

Skutery wodne, zwłaszcza najnowocześniejsze, to skomplikowana maszyna. Skupiają ogromną moc i energię w niewielkiej masie, ich systemami zarządzają małe komputerki i tak dalej. To zbiór małych, niemal bezustannych wybuchów w skrzynce, poruszających wodę pod ogromnym ciśnieniem – i mnóstwo rzeczy może pójść z nimi nie tak.

Skuter Redcapa doznał naglej, katastrofalnej awarii silnika. Rozległ się paskudny odgłos rozrywanego metalu, pojawiły płomienie, a uchwyt wyrwał się z ręki sidhe. Skuter przechylił się gwałtownie do przodu, zrzucając Redcapa. Kiedy go trafiłem, pędził z sześćdziesiąt mil na godzinę i dwa razy odbił się od powierzchni wody, zanim zderzył się z falą kilwaterny *Chrzyszcz Wodnego* i zniknął pod powierzchnią.

Thomas tymczasem wykorzystał inną okazję. Kiedy skutery się rozdzieliły, żeby nas ominąć, gwałtownie napał na ster i skrzył łódź ostro w lewo. Usłyszałem krótki krzyk i trzask, któremu towarzyszyła wibracja pokładu pod moimi stopami, kiedy skuter uderzył w dziób naszej łodzi – ze skutkiem podobnym do zderzenia jelenia z ciężarówką.

– *Hexus!* – krzyknęła Molly, wciąż przykucnięta na pokładzie.

Dobrze celowała, nawet jeśli jej heks nie miał takiej surowej mocy jak mój. Skuter, którego Thomas nie trafił, nagle zaczął dymić, a ryk jego silnika przycichł do wymuszonego, sapiącego grzechotu.

Odwróciłem się w drugą stronę i rzuciłem kolejny heks na dwa skutery przepływające za łodzią. Znajdowały się na skraju mojego zasięgu, więc heks nie przekonał ich silników do rozerwania się na kawałki, jak to zrobiła skupiona klątwa z pojazdem Redcapa – ale jeden ze skuterów gwałtownie się zatrzymał, drugi zaś skrzył ostro w prawo i po prostu nie przestawał się kręcić.

Thomas dodał gazu i *Chrzyszcz Wodny* pozostawił okaleczoną flotyllę niedoszłych

zabójców kołyszącą się na kilwaterze.

Rozluźniłem się dopiero, kiedy obejrzałem uważnie zewnątrz łodzi i sprawdziłem je magicznymi zmysłami, by się upewnić, że nikt nie zwisa za relingiem. Później, tak na wszelki wypadek, dwa razy sprawdziłem kajutę i luk, aż byłem całkiem pewny, że w tym całym chaosie nikt nie przeniknął na łódź.

Wtedy osunąłem się z ulgą na krzesło w kajucie. Ale tylko na sekundę. Następnie złapałem apteczkę i wyszedłem na mostek, żeby zająć się Thomasem.

Molly leżała rozciągnięta na pokładzie w porannym słońcu, wyczerpana po wysiłku, i wyraźnie spała. Nawet trochę pochrapywała. Przeszedłem nad nią i wspiąłem się na górę do brata. Zobaczył mnie i chrząknął.

– Za jakieś piętnaście minut zawiniemy do portu. Sądzę, że droga jest czysta.

– To nie potrwa długo. Jak ręka?

– Na wylot. Nie jest źle. Powstrzymaj tylko upływ.

– Nie ruszaj się.

Zająłem się jego ramieniem. Jak na rany postrzałowe, nie było najgorzej. Kula przebiła od tyłu dolną część tricepsa i wyszła po drugiej stronie, pozostawiając niewielki otwór. To pewnie była robota Redcapa – jego M4 strzelało wojskowymi nabojami z metalowym płaszczem, specjalnie zaprojektowanymi, by wybijały długie, ale niewielkie otwory. Oczyszcziłem ranę środkiem dezynfekującym, umieściłem opatrunek uciskowy na otworach i zakleiliśmy.

– Dobra, możesz już przestać narzekać.

Thomas, który przez cały czas milczał, posłał mi spojrzenie.

– Później możesz poprosić swój harem o zmianę opatrunku. Jak bardzo jesteś dzisiaj zajęty?

– Och. Nie wiem. Przecież muszę sobie teraz kupić nową koszulę.

– A czy później zechciałbyś mi pomóc uratować miasto? Jeśli nie masz innych planów.

Prychnął.

– To znaczy, czy zechciałbym chodzić za tobą, zastanawiając się, co się, do diabła, dzieje, bo nic mi nie mówisz, a później wpakować się w walkę z czymś, co pośle mnie na intensywną terapię?

– Aha. – Pokiwałem głową. – Mniej więcej.

– Jasne. W porządku.

Rozdział dziewiętnasty

Pojechaliśmy samochodem Thomasa do jego apartamentu.

– Widzę, że naprawiłeś hummera – powiedziałem z aprobatą.

Prychnął.

– Po tym, jak pozwoliłem ci, żebyś nim pojechał, przetrwał bez uszkodzeń ile? Trzydzieści minut?

– Daj spokój. – Wyciągnąłem nogi. Miałem dość miejsca. – Minęła co najmniej godzina. Jak sobie radzisz tam z tyłu, Molly?

Z tylnego siedzenia dobiegło chrapanie. Uśmiechnąłem się. Nowicjuszka dowlekleła się do wozu i bez słowa padła na siedzenie z tyłu.

– Nic jej nie jest? – spytał Thomas.

– Bardzo się dziś wysiliła.

– Z tą mgłą? Wydawało mi się, że przez cały czas rzuca iluzję.

– Stary, to przecież miało setki stóp długości i szerokości. To cholernie wielki obraz do wyświetlenia, zwłaszcza nad wodą.

– Bo woda uziemia magię?

– Zgadza się. I powinieneś się z tego cieszyć, bo inaczej sidhe rzucaliby w nas piorunami, nie kulami. Molly musiała utrzymywać obraz, podczas gdy energia, z której go stworzono, ciągle odpływała. A później jeszcze zaheksowała jeden ze skuterów wodnych. Jak dla niej to magia wagi ciężkiej. Jest zmęczona.

Thomas zmarszczył czoło.

– Coś jak wtedy, kiedy zemdlaleś w domu mojego ojca?

– Mniej więcej. Molly wciąż jest względnie nowa. Kiedy człowiek pierwsze kilka razy dotrze do swoich granic, po prostu traci przytomność. Nic jej nie będzie.

– Jakim cudem sidhe nie zaheksowali swoich własnych silników? Domyślam się, że gdybyś ty wsiadł na skuter wodny, działałby przez jakieś dziesięć sekund.

– Dałbym mu dziesięć do piętnastu minut. A z sidhe zadziało, bo oni nie są ludźmi.

– A dlaczego to miałyby cokolwiek zmieniać?

Wzruszyłem ramionami.

– Nikt tak naprawdę nie wie. Ebenezar sądzi, że wynika to z faktu, że ludzie z samej swej natury są skonfliktowani wewnętrznie. Magia reaguje na myśli i emocje... a ludzkie myśli i emocje ciągle są ze sobą sprzeczne. Jego zdaniem osoby obdarzone magicznym talentem otacza swego rodzaju turbulencja. I to ta turbulencja wywołuje awarie mechanizmów.

– Dlaczego?

Znów wzruszyłem ramionami.

– Tak po prostu jest. Konkretnie efekty działania tej turbulencji zmieniają się powoli, w miarę upływu czasu. Trzysta lat temu sprawiała, że śmietana kwaśniała, zwierzęta się niepokoili, a na skórze magów pojawiały się zmiany. Przebarwienia, pieprzyki i dzioby.

– Niezła zabawa.

– Jasne. Nie przejmuję się zbyt, że spóźniłem się na tego rodzaju zabawę. Gdzieś między tamtymi czasami a chwilą obecną coś się zmieniło i zaczęła wywoływać dziwne halucynacje u ludzi, którzy przebywali blisko nas. Znasz tę całą sporyszową teorię historii? Ludzie obdarzeni talentem, szczególnie ci, którzy w ogóle o nim nie wiedzieli, pewnie mieli z tym sporo wspólnego. Teraz robi sobie jaja z prawdopodobieństwa, jeśli chodzi o maszyny.

Thomas spojrzał na mnie z ukosa. Później ostrożnie wyłączył zestaw audio.

– Zabawne. – Po chwili dodałem: – Nie chciałem tego zrobić. Chodzi mi o to, że staram się tego nie robić, ale...

– Nie przeszkadza mi, jeśli psujesz moje rzeczy. Zmuszę Larę, żeby kupiła mi nowe rzeczy.

Lara, przyrodnia siostra Thomasa, była szarą eminencją Białego Dworu wampirów. Była zachwycająca, bystra i bardziej seksowna niż grupa modelek w bikini wspinających się na górę pieniędzy. Jako potencjalny wróg była odrobinę straszna. Jako od czasu do czasu sojusznik była cholernie przerażająca.

Nie zamierzałem powiedzieć tego Thomasowi, ale kiedy aranżowałem swoją śmierć, Lara była druga na liście potencjalnych doprowadzających do mojego zejścia. Bo przecież, hej, jeśli trzeba to zrobić, są gorsze sposoby na bycie wyeliminowanym niż przekłeta królowa światowych sukkubów.

– Co tam u Lary?

– Jest Larą. Cały czas prowadzi interesy, tworzy plany, wymyśla spiski.

– Jak Towarzystwo Lepszej Przyszłości?

TLP było sojuszem niedobrych towarzyszy z nadnaturalnego świata Chicago,

którego kwaterę główną stanowił niewielki, ale prawdziwy zamek, strzeżony przez wynajętych ochroniarzy z Walhalli.

Thomas odsłonił zęby w uśmiechu.

– To był rzeczywiście pomysł Lary. Marcone importował cholerny zamek i odbudował go na miejscu twojego starego pensjonatu. Lara mówi, że jest nie do zdobycia.

– Gwiazda Śmierci była nie do zdobycia. Lara poszła do łóżka z Marcone'em?

– Próbowwała, ale Marcone ograniczył się wyłącznie do interesów. Drugi mężczyzna, który odrzucił ją w ciągu stulecia. Zirytowała się.

Chrząknąłem. Tym pierwszym gościem byłem ja. John Marcone był królem półświatka Chicago. Mógł kupować i sprzedawać kongresmenów, a cały chicagowski establishment tańczył, jak im zagrał. Był też pierwszym zwyczajnym śmiertelnikiem, który podpisał Przymierze Unseelie, zgodnie z którym był baronem Chicago.

– Miałem trochę nadziei, że ona go zabije.

– Miałem trochę nadziei, że będzie odwrotnie. Ale kiedy Fomory próbują się wepchnąć na terytorium wszystkich pozostałych, oni potrzebują siebie nawzajem, przynajmniej na razie.

– Fomory są takie paskudne?

Była to ekipa złych gości, których imiona pamiętały jedynie stare księgi poświęcone mitologii, niedobitki z mrocznych mitów z całego świata, najgorsi z najgorszych – a przynajmniej najbardziej nastawieni na przetrwanie spośród najgorszych.

– Są bezwzględni – odparł Thomas. – I są wszędzie. Ale dzięki wynajętym spluwom Marcone'a, zasobom Lary i ludziom Murphy nie zdobyli tu stabilnego przyczółka. W innych miastach jest źle. Najgorzej w Los Angeles, Seattle, San Francisco, Miami i Bostonie. Łapią każdego z choćby odrobiną magicznych zdolności i porywają. Tysiące ludzi.

– Na dzwony piekieł – mruknąłem. – Co z Białą Radą?

– Są zajęci. Wedle pogłosek działają na wybrzeżach Europy, szczególnie nad Morzem Śródziemnym, i tam walczą z Fomorami. Lara dzieli się pewnymi informacjami z Radą i vice versa, ale to nie jest sojusz.

– W Stanach w ogóle nie działają?

Thomas wzruszył ramionami.

– Twoi kumple Strażnicy próbują. W ubiegłym roku Ramirez został poważnie ranny. Chyba jeszcze nie wrócił do służby. Ale Strażnicy w Baltimore i San Diego

trzymają się nieźle, a ten dzieciak w Teksasie zmienia życie Fomorów w piekło.

– Tym lepiej dla Dzikiego Billa. Dlaczego inne miasta nie upadły?

– Lara. – Ton głosu Thomasa lekko się zmienił i rozpoznałem precyzyjną wymowę charakterystyczną dla jego siostry. – Przez stulecia pracowaliśmy, by wyhodować to stado. Nie będę tolerować hordy ropuchowatych kłusowników.

– Uroczą jest.

– Dużo zrobiła. Ale nie poradziłaby sobie bez Paranetu.

– A niech mnie. Poważnie?

– Wiedza to siła. Paranet składa się z dziesiątek tysięcy ludzi. Oczy i uszy w każdym mieście, z każdym mijającym dniem coraz bardziej doświadczone. Coś się dzieje, jeden z Fomorów zrobi ruch, a cała społeczność dowiaduje się o tym w ciągu paru minut.

Zamrugalem.

– Potrafią zrobić coś takiego?

– Internet. Paranet składa się z talentów niższego rzędu. Mogą używać komputerów i internetu bez groźby zaheksowania. Jeśli coś zaczyna się dziać, wysyłają tweeta, a Lara wysyła jeden z czekających w gotowości oddziałów.

– I zupełnym przypadkiem dowiaduje się coraz więcej na temat magicznych talentów w innych miastach. Tych, które tak naprawdę nie mogą się bronić. Na wypadek gdyby później zgłodniała.

– Owszem. Ale Paranet nie ma większego wyboru w tej kwestii. – Milczał przez kilka przecznic, po czym stwierdził: – Lara robi się przerażająca.

– Lara zawsze była przerażająca.

Thomas pokręcił głową.

– Nie tak jak teraz. Zaczęła angażować się w rząd.

– Zawsze to robiła.

– Jeśli chodzi o urzędników miejskich, jasne. Kilku kluczowych biurokratów na poziomie stanu. I była przy tym delikatna i niewidzialna... manipulacja, wywieranie wpływu. Ale teraz wybrała coś zupełnie innego.

– Co?

– Kontrolowanie.

To zabawne, jak jedno małe słówko może zmrozić krew w żyłach.

– W takim razie umieszczę ją na liście.

Thomas prychnął.

– Nie tej. Zboczeńcu.

- Jasne. Bo uważasz, że jest szkaradna.
 - Jest zbyt przerażająca, żeby uznać ją za ładną – skłamałem.
 - Gdyby się dowiedziała, że powiedziałem ci nawet tyle, źle by się to skończyło.
 - Dla ciebie?
 - Nie dla mnie. Należę do rodziny. – Napiął mięśnie szczęki. – Dla Justine.
 - Do tego nie dojdzie. Bo jeśli Lara spróbuje, ochronimy Justine.
- Brat spojrzał na mnie.
- Dzięki – powiedział cicho.
 - Nieważne. Robi się tu trochę za słodko. Daleko jeszcze?
- Uśmiechnął się.
- Dupek.
 - Palant.
 - Osioł.
 - Lалуś.
 - Filister.
 - Łachudra.
 - Tępak.
 - Maruda...

* * *

Thomas właśnie wjeżdżał na miejsce parkingowe w garażu naprzeciwko apartamentowca w Pętli, kiedy rozległ się ryk silników i za hummerem zatrzymała się złota miejska terenówka. Wymieniliśmy spojrzenia i obaj pomyśleliśmy o tym samym. Samochód oznaczał, że napastnik był najpewniej śmiertelnikiem wykorzystującym śmiertelną broń. To oznaczało spluwy. To oznaczało, że gdyby zaczęli do nas strzelać, kiedy będziemy nadal w samochodzie, śpiąca na tylnym siedzeniu Molly nie miałaby szans.

Obaj zsunęliśmy się z przedniego siedzenia i jak najszybciej opuściliśmy hummera. Thomas miał swój pistolet, ja zabrałem winchester.

Z terenówki nikt nie wyskoczył z bronią. Silnik ucichł. Kilkanaście sekund później drzwi po stronie kierowcy się otworzyły i ktoś wysiadł. Spokojnie obszedł auto z przodu.

Był to szczupły mężczyzna, nieco mniej niż średniego wzrostu, o blond włosach tak jasnych, że niemal białych. Miał na sobie sprane niebieskie dżinsy, zieloną

jedwabną koszulę i pas podobny do tego, który nosił Thomas, z pistoletem automatycznym na jednym biodrze i mieczem na drugim. Nie był szczególnie przystojny i nie zachowywał się agresywnie, ale minę i spojrzenie miał zacięte. Zatrzymał się w miejscu, w którym widział nas obu, i stał tam z rozłożonymi rękami i dłońmi nie do końca rozluźnionymi po bokach – w pobliżu broni.

– Harry – powiedział cicho.

– Fix.

Znałem go. Był moim odpowiednikiem po stronie Lata. Jego poprzednik został zamordowany przez mojego poprzednika.

– Słyszałem, że Mab cię zwerbowała, żebyś został nowym Rycerzem Zimy. Byłem pewien, że to szalona pogłoska. Mężczyzna, którego znałem, nigdy nie skłoniłby się przed istotą taką jak Mab.

– Miałem swoje powody.

Obrzucił mnie spojrzeniem, powoli. Później stwierdził:

– Dostałeś polecenia.

– Może.

– Dostałeś. Mab wysłała cię, żebyś kogoś zabił, prawda?

– To nie twoja sprawa – powiedziałem cicho.

– Niech mnie diabli, jeśli nie. Rycerz Zimy istnieje, żeby zabijać tych, których nie może zabić sama Mab. Myślisz, że tego nie wiem?

– Myślę, że sam masz na sobie całkiem dużo sadzy, Fix. Siedzisz w tym samym biznesie, co ja.

– Nigdy. Zadaniem Rycerza Lata nie jest zabijanie w imieniu Tytanii.

– Ach tak? W takim razie co nim jest?

– Powstrzymywanie ciebie – stwierdził. – Nawet Mab nie powinna decydować, kto będzie żył, a kto umrze, Harry. Życie jest zbyt cenne, by marnować je w taki sposób. I jeśli wysłała cię, żebyś kogoś zabił, ktoś staje ci na drodze. To ja.

Nie odzywałem się przez dobrą minutę. Zakładałem, że Rycerz Lata miał tę samą robotę, co ja, tylko dla innej ekipy. Nie myślałem, że będę musiał skrzyżować miecz z Fixem, dosłownie czy w przenośni. Dziesięć lat temu taka możliwość by mnie nie speszyła. Ale Fix nie był tym samym facetem, co wtedy. Był Rycerzem Lata, a obecnie stał przed czempionem Białego Dworu i Rycerzem Zimy, i nawet mu przy tym nie drgnęła powieka. Rozpознаwałem ten jego spokój, ten bezruch przypominający niemal pełne rozluźnienie – to były skupienie i pewność siebie. Znał niebezpieczeństwo, nie chciał walczyć, ale był na to przygotowany i gotowy

zaakceptować konsekwencje.

Zazwyczaj walka z gośćmi o takim nastawieniu mentalnym jest bardzo złym pomysłem.

– Chcesz, żebym go przepędził? – spytał Thomas.

Fix nie odrywał ode mnie wzroku, ale skierował swoje słowa do Thomasa.

– Spróbuj, wampirze.

– Na gwiazdy i kamienie. – Westchnąłem. Wziąłem winchester i odłożyłem go ostrożnie z powrotem do hummera. – Fix, możemy skończyć z tym *W samo południe*? Nie zamierzam z tobą walczyć.

Zmarszczył lekko czoło.

– To się jeszcze okaże.

– Thomasie – powiedziałem – wracaj do wozu.

– Co takiego?

– Chcę porozmawiać z Fixem, a nie będzie to owocna rozmowa, jeśli będzie musiał mieć po jednym oku na każdego z nas, a palce na pistolecie, na wypadek gdybyś sięgnął po broń.

Thomas chrząknął.

– A jeśli on sięgnie po broń i zastrzeli cię, kiedy tylko przestanę cię osłaniać?

– Jeśli tak się stanie i poczujesz się przez to lepiej, możesz wyjść i walczyć, tak myślę. – Przez chwilę spoglądałem na Fixa. – Ale on tego nie zrobi.

– Harry.

– Nie zrobi tego – powtórzyłem cicho. – Znam go. Nie zrobi tego.

Thomas zawarczał cicho, ale wrócił do hummera i zamknął za sobą drzwi.

Fix wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym szybko rozejrzał się po okolicy, jakby spodziewał się zasadzki.

Westchnąłem i usiadłem na tylnym zderzaku hummera.

– Fix. Posłuchaj, robię to od około sześciu godzin. Nie przeszedłem całkiem na ciemną stronę. Jeszcze nie.

Fix założył ręce na piersi. Palce wciąż miał blisko broni, ale dalej niż jeszcze przed chwilą.

– Musisz zrozumieć. Lloyd Slate był prawdziwym potworem, stary.

– Wiem.

– Nie wiesz. Bo nigdy nie musiałeś stawić mu czoła bez mocy, jak my.

Rozłożyłem szeroko ręce.

– Nie zawsze miałem moc, Fix. A nawet kiedy ją mam, dookoła i tak jest mnóstwo

wielkich, przerażających rzeczy, w których obliczu jestem równie bezradny. Wiem.

– W takim razie rozumiesz mój problem.

– Załóżmy przez chwilę, że czasami bywam idiotą. Na czym polega twój problem?

Uśmiechnął się do mnie.

– Byłeś wystarczająco niebezpieczny, zanim Mab położyła na tobie rękę. Teraz? Możesz sprawić, że Lloyd Slate będzie wyglądał jak szkolny byczek.

– Ale nie zrobiłem tego.

– Ale mógłbyś.

– Może nie zrobię.

– A może tak.

– Jeśli jestem tak potężnym przeciwnikiem, za jakiego najwyraźniej mnie uważasz, to dlaczego sądzisz, że możesz stawić mi czoło?

Wzruszył ramionami.

– Może i nie mogę. Ale przynajmniej mam szansę. Ludzie za mną nie będą jej mieć.

– Ach. – Obaj milczeliśmy przez chwilę, po czym powiedziałem: – Pewnie więc nie wystarczy, jeśli zapewnię cię, że nie mam złych zamiarów.

– Wiesz, po czym można było poznać, że Slate kłamał?

– Po czym?

– Poruszał ustami.

Uśmiechnąłem się.

– Cóż, wydaje mi się, że masz parę możliwości.

– Ach tak?

– Dodaj dwa do dwóch. Możesz zobaczyć, jaki mam potencjał, i zacząć tworzyć plany uwzględniające rzeczy, które mógłbym zrobić, zamiast takich, które twoim zdaniem zrobię.

– To mogłoby być rozsądne. Von Clausewitz tak by powiedział.

– Gdyby to była wojna, a ja byłbym twoim wrogiem, jasne.

– A co jeszcze mógłbym według ciebie zrobić?

– Choć trochę mi zaufać? Widzisz, to iluzja, stary. Jeśli o mnie chodzi, nie musimy być wrogami. Nie musimy prowadzić wojny.

Fix zacisnął wargi.

– I na tym polega problem. Należysz do Mab. Lubię Harry'ego. Może nawet mógłbym mu zaufać. Ale wiem, jaka jest Mab... a Harry należy teraz do Mab.

– Niech mnie diabli, jeśli tak jest. Fakt, że przyjąłem tę robotę, nie oznacza jeszcze, że jesteśmy aż tak blisko.

– Wy, no, byliście całkiem blisko, stary. Ty i Mab. Na kamiennym stole.
Zawarcie umowy z kimś takim jak Mab nie jest czymś, co można przypieczętować obojętnym uściskiem dłoni. Poczułem, że się czerwienię.

– Och. Widziałeś to.

– Całe Faerie widziało.

– Boże, co za upokorzenie – wymamrotałem.

– Wiem, co masz na myśli. Przynajmniej nie było na płatnym kanale.
Prychnąłem.

– W porządku – powiedziałem w końcu. – Czas mnie trochę goni, więc sądzę, że powinieneś podjąć decyzję.

– Tak?

Pokiwałem głową.

– Kto będzie decydował? Ty? Czy von Clausewitz?

Fix odwrócił wzrok. W końcu powiedział:

– Nienawidzę tego gówna. Wiesz, to pierwszy raz, kiedy utrzymałem robotę dłużej niż sześć miesięcy.

– Rozumiem cię.

Znów się uśmiechnął.

– Chcę ci uwierzyć. – Odetchnął głęboko i stanął naprzeciwko mnie, znów opuszczając ręce wzdłuż boków. – Ale są tacy, których bezpieczeństwo zależy ode mnie. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Wstałem, bardzo powoli i niechętnie.

– Fix, nie chcę tej walki.

– I masz szansę jej uniknąć. Dam ci czas do południa, żebyś opuścił miasto, Harry. Jeśli zobaczę cię później, nie będę marnował czasu na gadanie i nie rzucę ci wyzwania do uczciwej walki. Jeśli naprawdę wierzysz, że sam podejmujesz decyzję, jeśli naprawdę chcesz, żeby między nami panował pokój, odejdziesz.

– Nie sądzę, bym mógł to zrobić.

– Nie sądziłem, byś mógł to zrobić – powiedział cicho. – Masz czas do południa.

Wymieniliśmy skinienia głowami. Później Fix wrócił do terenówki, przez cały czas nie odrywając ode mnie wzroku. Kiedy wsiadł do wozu, uruchomił silnik i odjechał.

Znów opadłem na tylny zderzak hummera i zamknąłem oczy.

Cudownie.

Kolejna sprawa.

Lubiłem Fixa. Był porządnym gościem. Został Rycerzem Lata i nie słyszałem, by

nadużywał mocy. W nadnaturalnych kręgach darzono go sympatią i szacunkiem. Raz widziałem go w akcji. Był o wiele potężniejszy niż przestraszony młodzieniec, którego znałem wcześniej.

Nie chciałem z nim walczyć.

Mógł nie dać mi wyboru.

Mab nie była milusia i cieplusia, wiedziałem o tym, kiedy się zaciągnąłem. Choć nie nazwałbym jej złą, była zajadła, gwałtowna i bezlitosna. Nie wątpiłem, że w swoim czasie wykończyła wiele porządných osób, w taki czy inny sposób. O Rycerzach Zimy krążyły opowieści sięgające wiele stuleci wstecz, a tytuł ten nosiły rozliczne nieprzyjemne osobistości. Kilku z nich nawet zyskało sławę. Gilles de Rais. Andriej Czikałto. John Haigh. Fritz Haarman. Gdybym znajdował się w sytuacji Fixa, a on w mojej, być może bez namysłu pociągnąłbym za spust.

Odchyliłem głowę do tyłu i z cichym stuknięciem oparłem ją o maskę.

Thomas usiadł obok mnie, a hummer nieco przysiadł.

– I co?

– Co co?

– Wycofa się?

– Nieważne.

– Pewnie, że ważne.

Potrząsnąłem głową.

– Nieważne, bo to porządny facet, a ja nie zamierzam zrobić mu krzywdy.

– Może nie dać ci wyboru.

– Zawsze jest wybór. Na tym to wszystko polega, stary. Zawsze, ale to zawsze jest wybór. Możliwości mogą być całkowicie do dupy, ale to nie znaczy, że nie ma wyboru.

– Pozwoliłbyś, żeby cię zabił?

Spojrzałem na Thomasa.

– Nie. Ale nie zrobię mu krzywdy.

Brat spojrzał na mnie z zaciśniętymi wargami, wstał i odszedł.

Powietrze zadrżało i pojawiła się Molly, stojąca jakieś dziesięć stóp za miejscem, które w czasie naszej rozmowy zajmował Fix. Patrzyła na Thomasa z nieszczęśliwą miną.

Zamrugąłem na jej widok.

– Od jak dawna tam stoisz?

– Wsiadłam po twojej stronie samochodu, kiedy Thomas wsiadał. No wiesz. Na wypadek gdyby coś się stało. Uznałam, że gdyby doszło do walki, najlepiej byłoby

szybko pozbawić go przytomności, żebyś nie musiał go zabijać.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Nieuczciwe zagranie.

– Miałam takiego jednego nauczyciela, który ciągle mi powtarzał, że jeśli kiedyś przydarzy mi się uczciwa walka, będzie to znaczyło, że ktoś popełnił błąd.

– Musiał być niezłym dupkiem.

– Miewał lepsze i gorsze chwile. – Zmrużyła oczy, patrząc za Thomasem, i powiedziała: – Wiesz, on się boi. Nie chce drugi raz stracić brata.

– Wiem.

– Ale jestem z ciebie naprawdę dumna, szefie – dodała ciszej. – To znaczy... Wiem, że ostatnio musiałeś podjąć kilka trudnych decyzji. Ale tato powiedziałby, że teraz miałeś rację. Zawsze jest wybór.

Chrząknąłem.

– Jeśli z Fixem dojdzie co do czego, nie chcę, żebyś się mieszała.

– Czemu nie?

– Ponieważ elfy prowadzą rachunki. I zawsze je wyrównują.

– Gdybym ja ci to powiedziała, odpowiedziałbyś, że to nie moja decyzja.

– I miałbym rację. – Westchnąłem. – Ale mam już dość zmartwień, nowicjuszko. Zostaw to. Dla mnie.

Zrobiła minę, jakbym kazał jej połknąć robaka.

– Spróbuję.

– Dzięki. – Wyciągnąłem rękę.

Pomogła mi się podnieść.

– Co teraz?

– Rozmowa telefoniczna. Chodźmy.

Rozdział dwudziesty

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest zajęty – rzuciłem do telefonu. – Muszę z nim porozmawiać. Kropka.

Siedzieliśmy w salonie Thomasa. On sam leżał rozwalony na kanapie. Paskudny nowoczesny wystrój wnętrza oparty na elementach ze szrotkowanej stali łagodziły zasłony i różne ozdoby – wpływ Justine. Thomas, jak większość mężczyzn, uważał poduszkę za coś do rzucania ze złością.

Jedna odbiła się od mojej piersi.

– Wprost roztaczasz wokół siebie urok, Harry – mruknął.

Zasłoniłem słuchawkę dłonią.

– Z tymi gośćmi uprzejmość do niczego nie prowadzi. Zaufaj mi. – Wróciłem do telefonu. – Nie. Nie na tej linii. Jest na niej podsłuch. Proszę mu powiedzieć, że Pączek musi porozmawiać osobiście z nim samym albo dobrze poinformowanym agentem, w ciągu godziny.

Thomas wypowiedział samym ruchem warg słowo „agent”, a do tego rozłożył szeroko palce w geście, który miał oznaczać ważne szpiegowskie sprawy. Kopnąłem poduszkę w jego stronę.

– Nie chcę słyszeć wymówek. Może tu dotrzeć, jeśli tylko zechce, i oboje o tym wiemy. Proszę do mnie oddzwonić na ten numer.

Z trzaskiem odłożyłem słuchawkę.

– Wcześniej tego dnia – odezwała się Molly z podłogi – ktoś powiedział mi coś o tym, że nie należy palić za sobą mostów. Niech się zastanowię. Kto to był?

– Nikt – warknąłem. – Wiem, co robię. – Odwróciłem się do Thomasa. – Ile pluskiew ma Lara w tym lokalu?

– Harry – odezwał się Thomas oburzonym tonem, nieco zbyt starannym, by był skierowany do mnie. – Jestem jej bratem. Nigdy nie zachowałaby się w taki sposób wobec ciała ze swojego ciała i krwi ze swojej krwi, rodziny, ukochanego brata.

– Ile? – warknąłem.

Wzruszył ramionami.

– Różnie bywa. Nowe pojawiają się czasami, kiedy nie ma mnie w domu.

Chrząknąłem. Położyłem telefon na blacie, odłączyłem go i złapałem za pieprzniczkę. Stworzyłem krąg z pieprzu wokół telefonu i zamknąłem go lekkim wysiłkiem woli.

– Jesteś dobrze ustawiony, prawda?

– Pieniędzmi Lary, owszem.

– Dobrze. – Wypuściłem falę woli i mruknąłem: – *Hexus*.

To usmażyło całą elektronikę w promieniu pięćdziesięciu stóp.

Wszystkie żarówki w mieszkaniu zgasły jednocześnie.

Thomas jęknął, ale poza tym nie narzekał.

– Nowicjuszek.

– Już się robi.

Molly wstała, zmarszczyła czoło i z opuszczonymi powiekami zaczęła krążyć po mieszkaniu.

Kiedy to robiła, ja machnięciem ręki rozerwałem krąg z pieprzu i znów podłączyłem telefon.

– Skoro zamierzałeś to zrobić, dlaczego nie zabrałeś się do tego, zanim wykonałeś tę rozmowę telefoniczną, która z całą pewnością pobudzi do działania całą ochronę Lary?

Uniosłem dłoń, uciszając go, aż Molly przeszła się w tę i z powrotem po holu.

– Nic – stwierdziła.

– Żadnych zaklęć? – spytał Thomas.

– Zgadza się. Jeśli ktoś wszedł tu niezaproszony, nie mógł stworzyć zaklęcia, które by się utrzymało. A nikt, kogo zaprosiłeś, nie... – Zmarszczyłem czoło. – Molly?

– Ja nie – odpowiedziała szybko.

– ...umieścił zaklęcia, by cię podsłuchiwać – dokończyłem. – A ja chciałem, żeby ludzie Lary wiedzieli, z kim się skontaktowałem. Kiedy spróbują podążyć tym śladem, zdradzą swoją obecność, a on będzie wiedział, jak działają.

– To była zapłata – stwierdził Thomas.

Wzruszyłem ramionami.

– Nazwij to przyjaznym gestem.

– Kosztem mojej siostry.

– Lara jest dorosła. Zrozumie. – Zastanowiłem się i po chwili powiedziałem: – Wszyscy zachowajcie spokój. Coś może się wydarzyć.

Thomas zmarszczył czoło.

– Na przykład co?

– Kocie Sith! – zawołałem stanowczo. – Jesteś mi potrzebny, jeśli wolno!

Rozległ się szum, jakby silny wiatr poruszał ciężką zasłoną, a później z cieni pod stołem Thomasa dobiegł obcy głos malka.

– Jestem tutaj, panie Rycerzu.

Mimo mojego ostrzeżenia Thomas szarpnął się w odpowiedzi i z nieznanego mi miejsca wydobył malutki pistolet półautomatyczny. Molly odetchnęła gwałtownie. Cofała się od źródła dźwięku, aż jej łopatki uderzyły w ścianę.

Być może nieco zbagatelizowałem fakt, jak bardzo niepokojące dźwięki wydaje malk, kiedy mówi. Najwyraźniej zbyt długo przebywałem w towarzystwie dziwnych istot.

– Spokojnie. – Wyciągnąłem rękę do Thomasa. – To Kot Sith.

Molly wydała odgłos, jakby się krztusiła.

Posłałem jej uspokajające spojrzenie i powiedziałem do brata:

– On pracuje ze mną.

Kot Sith podszedł do skraju cienia i jego sylwetka stała się widoczna. Jego oczy odbijały światło padające przez niemal całkowicie zasłonięte okna.

– Panie Rycerzu. Jak mogę ci służyć?

– Na pustkę nocy, to mówi – sapnął Thomas.

– Jak? – spytała Molly. – To miejsce ma porządny próg. Jak to coś mogło tak po prostu wejść?

To było rozsądne pytanie, zwłaszcza że Molly nie wiedziała o mojej dawnej ekipie sprzątającej i jej interakcjach z progiem w moim starym mieszkaniu.

– Istoty z Faerie nie muszą zostać koniecznie zaproszone, by przejść przez próg. Jeśli są życzliwe wobec mieszkańców domu, mogą tak po prostu wejść do środka.

– Chwileczkę – wtrącił Thomas. – Te dziwolągi mogą tak po prostu wchodzić i wychodzić? Wpaść bezpośrednio z Nigdy nigdy? A ty nam o tym nie powiedziałaś?

– Tylko jeśli mają dobre zamiary. Kot Sith przybył, by mi pomóc, a zatem również i wam. Dopóki tu jest, jest... – Zmarszczyłem czoło i spojrzałem na malka. – Pomożesz mi znaleźć właściwy sposób, by mu to wyjaśnić?

Sith przeniósł spojrzenie na Thomasa.

– Dopóki tu jestem, jestem związany tymi samymi tradycjami, które znajdowałyby zastosowanie, gdybym był twoim zaproszonym gościem. Nie skrzywdzę nikogo, kogo przyjąłeś do swojego domu, ani nie podejmę żadnych działań, które u gościa zostałyby uznane za niestosowne. Nie przekażę nikomu niczego, co widziałem i słyszałem w tym miejscu, a w czasie swojego pobytu dołożę wszelkich wysiłków, by

udzielać pomocy i wsparcia twojemu domostwu i innym gościom.

Zamrugalem. Spodziewalem się, że Sith walnie mnie swoją wielką maczugą złościwości, zamiast odpowiedzieć na to pytanie – nie wspominając już o tak szczegółowej odpowiedzi. Ale to miało sens. Zobowiązania gościa i gospodarza były wręcz świętością w nadnaturalnym świecie. Jeśli Sith rzeczywiście postrzegał tego rodzaju uprzejmość za obowiązek gościa, nie miałbym większego wyboru, jak tylko zachowywać się odpowiednio.

Thomas przetrwał to przez kilka chwil, po czym odchrząknął.

– Pewnie ja z kolei mam obowiązek zachowywać się jak porządny gospodarz.

– Powiedzmy, że nie mam obowiązku pozwolić, by stała mi się krzywda, albo pozostać i udzielać pomocy, jeśli zachowasz się w inny sposób – poprawił go Sith. – Jeśli na przykład zaczniesz do mnie strzelać z tej broni, odejdę, nie robiąc ci krzywdy, i dopiero później zacznę na ciebie polować, dopadnę cię poza ochroną twojego progu i zabiję cię, by zniechęcić innych do takiego zachowania w przyszłości.

Thomas miał minę, jakby zamierzał powiedzieć malkowi coś nieuprzejmego, ale tylko przez chwilę. Później zmarszczył czoło.

– To dziwne. Brzmisz jak... jak nauczyciel w podstawówce.

– Być może dlatego, że rozmawiam z dzieckiem. Porównanie jest właściwe.

Thomas zamrugał i spojrzał na mnie.

– Czy ta zła kicia właśnie nazwała mnie dzieckiem?

– Sądzę, że on nie tyle jest zły, ile skrajnie brutalny i łatwo się nudzi. Poza tym to ty zacząłeś. Nazwałeś go dziwolągiem.

Mój brat zacisnął wargi i zmarszczył czoło.

– Naprawdę? – Odwrócił się do Kota Sitha i odłożył broń. – Kocie Sith, ta uwaga nie była zwrócona bezpośrednio do ciebie ani nie miała na celu ci ubliżyć, ale przyjmuję do wiadomości, że cię obraziłem, i rozumiem, że ta obelga czyni mnie twoim dłużnikiem. Proszę, przyjmij moje przeprosiny, i jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w potrzebie, nie krępuj się poprosić mnie o proporcjonalną przysługę, by przywrócić równowagę.

Kot Sith przez chwilę wpatrywał się w Thomasa, po czym pochylił głowę.

– Nawet dzieci mogą się nauczyć dobrych manier. Umowa stoi. Do chwili gdy będę cię potrzebował, uznaję tę kwestię za załatwioną, Thomasie Raith.

– Znasz go? – spytałem.

– I twoją praktykantkę, Molly Carpenter. – W głosie Sitha brzmiała niecierpliwość.
– Jak również resztę twoich współpracowników. Czy mógłbym zasugerować, byś

wziął się do rzeczy, panie Rycerzu? *Tempus fugit*.

Jedna z najbardziej niebezpiecznych istot Zimy – najbardziej niebezpiecznych łowców – znała wszystkich moich przyjaciół. Było to coś, czym rozsądny człowiek powinien się przejmować. Przypomniałem sobie, że nawet jeśli ktoś jest uprzejmy, nie znaczy to jeszcze, że nie planuje przeprowadzić na tobie wiwisekcji. Oznacza to jedynie, że zanim złapie za skalpel, spyta, czy podtrzymujące cię sznury nie obcierają za bardzo. Kot Sith mógł być w tej chwili sojusznikiem, ale nie był moim przyjacielem.

– Za kilka minut wychodzimy. Mam przecucie, że ktoś będzie nas obserwował, a tego nie chcę. Chciałbym, żebyś odwrócił uwagę każdego, kto prowadzi bezpośrednią inwigilację.

– Z przyjemnością.

– Nie zabijając ich ani nie doprowadzając do poważnych uszkodzeń ciała. Równie dobrze to mieszkanie może obserwować gliniarz albo prywatny detektyw. Dlatego nic trwałego.

Kot Sith zmrużył oczy. Machnął lekko ogonem w jedną stronę, ale nic nie powiedział.

– Uznaj to za komplement – zasugerowałem. – Każdy idiota mógłby ich zabić. To, o co proszę, jest trudniejsze, stosownie dla twojej pozycji.

Jego ogon machnął w drugą stronę. Nic nie powiedział.

– Później chcę, żebyś zaniósł wieści do Letniej Panny. Chcę się z nią spotkać.

– Że co? – spytał Thomas.

– Czy to dobry pomysł? – spytała Molly w tej samej chwili.

Machnąłem ręką, uciszając ich, i nadal mówiłem do Sitha.

– Powiedz jej, że musi do tego dojść przed południem. Czy możesz się z nią skontaktować?

– Oczywiście, panie Rycerzu. Będzie chciała znać powód takiego spotkania.

– Powiedz jej, że wolałbym nie zabijać jej Rycerza i chciałbym przedyskutować, jak najlepiej tego uniknąć. Powiedz, że spotkam się z nią, gdziekolwiek zechce, jeśli obieca mi bezpieczeństwo. Przynieś mi jej odpowiedź.

Sith spojrział na mnie z ukosa.

– Takie postępowanie jest niemądre.

– Nie proszę ciebie, żebyś to zrobił. Czemu się przejmujesz?

– Królowa może nie być ze mnie zbyt zadowolona, jeśli popsuję jej najnowszą zabawkę, zanim będzie miała z niej użytek.

– Rany.

Sith poruszył uchem i jakimś sposobem udało mu się zrobić to pogardliwie.

– Zaniosę tę wiadomość, panie Rycerzu. I... odwrócę uwagę... tych, którzy na ciebie polują. Kiedy wyruszamy?

Za moimi plecami zadzwonił telefon Thomasa.

– Powiem ci za chwilę. – Odebrałem telefon. – Tu Pączek.

Kobieta o głosie tak lodowatym, że zasługiwał na użycie skali Kelwina, rzuciła:

– Spotka się z tobą. Wyznaczony Teren Neutralny. Za dziesięć minut.

– Doskonale. Od dawna nie piłem piwa.

Zapanowała cisza, być może skonsternowana, po czym kobieta się rozłączyła.

Odwróciłem się do Thomasa i Molly i powiedziałem:

– Chodźmy. Sith, proszę, za...

Najstarszy malk zniknął.

– ...czynaj – dokończyłem trochę niezręcznie.

Thomas poderwał się, wsunął pistolecik za pasek spodni na plecach i naciągnął na niego koszulę.

– Dokąd idziemy?

– Wyznaczony Teren Neutralny.

– Dobrze – powiedziała Molly. – Umieram z głodu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

W holu natrafiliśmy na portiera siedzącego na ziemi i krzywiącego się z bólu. Towarzyszył mu policjant z apteczką w rękę. Kiedy ich mijaliśmy, zobaczyłem kilka długich rozcięć na nodze portiera, biegnących od pięty do szczytu łydki. Spodnie i skarpetki również zostały elegancko rozcięte. Rany były bolesne i mocno krwawiły, ale nie zagrażały życiu.

Obaj mężczyźni byli zbyt zajęci, by zwrócić uwagę na naszą trójkę, kiedy spokojnie opuszczaliśmy budynek.

Mijając ich, skrzywiłem się lekko. Do diabła. Nie chciałem, by Kot Sith obdarzył choćby najmniejszym zainteresowaniem zwyczajnych mieszkańców Chicago, ale nie sformułowałem swojego polecenia wystarczająco ściśle. Oczywiście, była to równia pochyła, na którą nie chciałem wchodzić – doświadczenie nauczyło mnie, że z istotami nadnaturalnymi nie da się wygrać precyzją. Nie ma na to szans. Wołałem nawet nie myśleć, co mógłby zrobić Sith, gdybym nie zakazał mu używać brutalnej siły.

Może malk chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia, bym uważał na konsekwencje, jeśli zamierzam mu ciągle wydawać polecenia jak zwykłemu służącemu. A może to była jego wizja uprzejmości. W końcu nie pociął gliniarza i wszystkich przechodniów. Równie dobrze mógł się uważać za wzór dżentelmena.

Molly okryła się zasłoną i sprawdziła parking, a ja czekałem z Thomasem. Kiedy ogłosiła, że garaż jest wolny od łotrów, wsiedliśmy do wozu brata i pojechaliśmy.

* * *

W Chicago nie da się zamachnąć kotem, żeby nie trafić w irlandzki pub (oraz wkurzyć kota), ale lokal McAnally'ego wyróżnia się z tłumu. To ulubiony wodopój nadnaturalnych mieszkańców Chicago. Normalni zwykle do niego nie trafiają, choć od czasu do czasu pojawiają się turyści. Zwykle nie zostają długo.

Na ulicach panował poranny ruch i choć pub Maca nie znajdował się daleko, dotarcie do niego zajęło nam trochę czasu. Chmury, gęste i szare, pochłonęły blask

świtu. Padał słaby deszcz. Od czasu do czasu widziałem odległe błyskawice wśród chmur albo słyszałem ciche dudnienie grzmotów.

– A dziś miał być ładny dzień – mruknęła Molly.

Uśmiechnąłem się, ale nic nie powiedziałem.

Thomas wjechał na niewielki parking obok lokalu Maca i zaparkował hummera obok starego białego trans ama. Zatrzymał się i zmarszczył czoło.

– Wydawało mi się, że Mac zwykle otwiera w południe.

– O jedenastej – poprawiłem go. Moje dawne biuro znajdowało się niedaleko i często zaglądałem do Maca na lunch. – Pewnie dziś przyjechał wcześniej.

– To się dobrze składa – stwierdził Thomas.

– Skąd się wzięło to powiedzenie?

– Hmm, że coś się składa?

Zamrugąłem.

– No tak, to też, ale myślałem o wyrażeniu „nie można się zamachnąć kotem, żeby kogoś nie trafić”.

Thomas patrzył na mnie spokojnie.

– Nie masz w tej chwili ważniejszych rzeczy na głowie?

Wzruszyłem ramionami.

– Zastanawiam się nad takimi sprawami. Życie trwa dalej, stary. Jeśli przestanę myśleć o różnych kwestiach tylko dlatego, że jakiś psychol albo ekipa psycholi pragną mojej śmierci, nigdy nie będę miał szansy o niczym pomyśleć, nie sądzisz?

Thomas przechylił głowę, przyznając mi rację.

Molly zatrzymała się gwałtownie w odległości około trzydziestu stóp od drzwi.

– Harry.

Stanąłem i spojrzałem na nią.

Miała szeroko otwarte oczy.

– Wyczuwam...

Zmrużyłem oczy.

– Powiedz to. Wiesz, że chcesz to powiedzieć.

– To nie są zakłócenia w Mocy. – W jej głosie brzmiała lekka irytacja. – Tu jest... obecność. Coś potężnego. Czułam to w Chichén Itzá.

– Dobrze. – Pokiwałem głową. – On tu jest. Poważnie, żadne z was nie wie, skąd się wzięło to powiedzenie? Do diabła.

Nienawidzę czegoś nie wiedzieć. W takiej chwili właściwie żałuję, że nie mogę korzystać z internetu.

Pub Maca był prawie pusty. Ten lokal wydaje się całkiem przestronny, kiedy jest pusty, ale jednocześnie jest dość mały, by sprawiać wrażenie przytulnego, kiedy są w nim ludzie. Jego wnętrze to studium celowej asymetrii. Dookoła sali rozmieszczono trzynaście stołów różnej wielkości i wysokości. Trzynaście drewnianych kolumn, umieszczonych w równie przypadkowych miejscach, pokrywają rzeźbione sceny z bajek ze starego świata. Bar natomiast meandruje i stoi przy nim trzynaście nierówno rozmieszczonych stołków. Niemal wszystko powstało z drewna, łącznie z wyłożonymi boazerią ścianami, parkietem i podwieszanym sufitem. Z góry zwiesza się trzynaście wiatraków, bardzo starych, które Macowi jakimś sposobem udaje się utrzymać na chodzie mimo częstej obecności talentów magicznych.

Wystrój wnętrza to swego rodzaju feng shui albo coś w tym stylu. Cała ta nierównowaga ma rozpraszać przypadkowe wybuchy energii magicznej, które sprawiają problemy używającym magii. To musi działać. Elektryczne wentylatory i telefon bardzo rzadko się topią.

Za barem stał Mac, szczupły mężczyzna nieco więcej niż średniego wzrostu. Jego ogolona głowa błyszczała. Odwiedzałem jego przybytek przez większość dorosłego życia, a on wciąż wyglądał mniej więcej tak samo jak wtedy, gdy go poznałem – schludny, ubrany w ciemne spodnie, białą koszulę i idealnie czysty biały fartuch, który udowadniał swoją bezużyteczność poprzez fakt, że nigdy się nie brudził. Mac opierał się o bar i słuchał tego, co mówiła druga osoba obecna w pubie.

Drugi mężczyzna miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu, szerokie bary i szczupłą, ale muskularną sylwetkę, które kojarzyły mi się z pływakiem. Jego elegancki szary garnitur, europejski w kroju, był wyraźnie szyty na miarę. Włosy o barwie starej stali rozjaśniały siwe pasma, a starannie przystrzyżona srebrnobiała broda podkreślała ostry zarys brody i szczęki. Mężczyzna miał też czarną jedwabną opaskę na jednym oku, która sprawiała, że mimo eleganckiego garnituru kojarzył się z piratem.

Mężczyzna z opaską skończył mówić, a wtedy Mac odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się krótko, na całe gardło. Śmiech trwał jedynie sekundę, a kiedy zniknął, zastąpiła go zwyczajowa, spokojna i przyjazna mina Maca, jednak mężczyzna w garniturze siedział z wyrazem zadowolenia na twarzy.

– To on – powiedziała Molly. – Kto to?

– Donar Vadderung – wyjaśniłem jej.

– A niech mnie – westchnął Thomas.

Molly zmarszczyła czoło.

– Ten gość... z firmy ochroniarskiej?

Pokiwałem głową.

– Dyrektor Monoc Securities.

– Na pustkę nocy, Dresdenie. Przed chwilą zażądałeś, żeby on się z tobą zobaczył?

– Czy to źle? – spytała go Molly.

– To... uch. Wyobraź sobie zrobienie czegoś takiego z Donaldem Trumpem albo George'em Sorosem.

Na twarzy Molly pojawił się grymas.

– Hmm... nie jestem pewna, czy potrafię.

Uśmiechnąłem się.

Thomas spiorunował mnie wzrokiem.

– Nasłałeś ekipę inwigilującą Lary na jego gości?

Uśmiechnąłem się.

– Masz jaja. A ona mi za to urwie moje.

– Powiedz jej, że to nie twoja wina. Nie mogłeś mnie powstrzymać. Lara to zrozumie. Idźcie usiąść, weźcie sobie coś do jedzenia albo coś w tym rodzaju. To nie powinno potrwać długo.

Molly zamrugła, po czym spojrzała na Thomasa.

– Chwileczkę... Jesteśmy jego pacholkami.

– Może ty – rzucił szyderczo Thomas. – Ja jestem jego zbirem. To coś o wiele lepszego od pacholka.

– Chyba ci odbiło, jeśli myślisz, że będę przyjmowała polecenia od ciebie – odparła cierpko Molly.

Oboje poszli w stronę jednego ze stołów w głębi, cały czas przekomarzając się wesoło, i usiedli. Po drodze minęli prawdziwy powód, dla którego spotykaliśmy się tutaj – skromną drewnianą tabliczkę z wypalonymi prostymi literami: WYZNACZONY TEREN NEUTRALNY.

Przymierze Unseelie przez kilka ostatnich burzliwych dekad wspierało różne nadnaturalne grupy polityczne. Była to seria porozumień, które w ostatecznym rozliczeniu miały sprawić, by konflikty między różnymi nacjami przebiegały według pewnych ustalonych zasad. Definiowały prawa lordów na włościach, jak również wykroczenia, jakich mogli się dopuścić przeciwko tym lordom inni lordowie. Możecie je potraktować jako Konwencję Genewską świata niesamowitości. To niezłe

przybliżenie.

Mac jakimś sposobem sprawił, że jego lokal ogłoszono terenem neutralnym. To znaczyło, że kiedykolwiek znajdował się w nim jeden z sygnatariuszy Przymierza, był zobowiązany zachowywać się jak dobry gość, nie krzywdzić ani nie traktować brutalnie żadnego innego sygnatariusza, a gdyby miało dość do wybuchu przemocy, udać się z nią na zewnątrz. Było to miejsce spotkań, gdzie każdy gość miał sporą szansę dokończyć posiłek i nie zostać zamordowanym przez kogoś, kto w innej sytuacji mógł być śmiertelnym wrogiem.

Vadderung odprowadził Molly i Thomasa wzrokiem, a później znów skupił uwagę na mnie. Jego jedyne oko miało lodowaty odcień niebieskiego i było niepokojące. Kiedy do niego podchodziłem, miałem instynktowne wrażenie, że on widzi więcej mnie, niż ja jego.

– No, no, no. Pogłoski o twojej śmierci et cetera.

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem pewien, że coś takiego nie jest rzadkością wśród magów.

Coś błysnęło w jego oku, rozbawiona myśl, która zniknęła, zanim właściwie zdążyłem ją zobaczyć.

– Mniej liczni próbują, niż mógłbyś sądzić.

– Niczego nie próbowałem. Po prostu się stało.

Vadderung wyciągnął rękę i leniwym gestem podniósł filiżankę kawy. Pociągnął łyk i przyjrzał mi się uważnie. Później nachylił się lekko i powiedział powoli:

– Nic tak znaczącego nie dzieje się tak po prostu, Dresdenie.

Zmrużyłem oczy. Wzruszyłem ramionami.

– Mac, mogę dostać piwo?

Mac odszedł wcześniej na dyskretną odległość od baru. Teraz spojrział na mnie, a później na powoli tykający zegar na ścianie.

– Całe wieki nie miałem okazji się napić. Jeśli dostanę małego rozumu, możesz mnie zapisać do AA.

Mac prychnął. Później przyniósł mi butelkę jednego z tych swoich lokalnie warzonych ale. To nektar i ambrozja. Otworzył je i podał mi butelkę (bo wiedział, że rzadko piję piwo ze szkła), a ja uniosłem ją w jego stronę, zanim pociągnąłem łyk.

– Trochę na to wcześnie, nie sądzisz? – spytał Vadderung.

– Nawet z tej odległości wyczuwam whiskey w twojej filiżance. – Uniosłem butelkę.

Uśmiechnął się, uniosł filiżankę w moją stronę i pociągnął długi łyk, podczas gdy ja wlałem w siebie jeszcze trochę ale. Później obaj odstawiliśmy napitki.

– Czego potrzebujesz? – spytał Vadderung.
– Rady. Jeśli cena jest właściwa.
– A jaka twoim zdaniem byłaby wystarczająca cena?
– Lucy bierze pięciocentówkę.
– Ach. Ale Lucy jest psychiatrą. Rozumiesz oczywiście, że właśnie postawiłeś się w roli Charliego Browna.

– Auć.

Vadderung się uśmiechnął.

– Widzę, że tam, gdzie byłeś, czułeś się samotny.

– Dlaczego tak uważasz?

– Przekomarzanki. Rozmowa. Niepotrzebni towarzysze. Wielu powiedziało, że nadszedł czas na szybkie, zdecydowane działania. Ale ty poświęciłeś cenny czas na ponowne spotkanie z sojusznikami. – Lekko przechylił głowę. – Dlatego też, jeśli czujesz aż tak palące pragnienie, mogę logicznie założyć, że spędziłeś ostatnie dni z dala od takiego towarzystwa. Czy uznasz to za rozsądne?

– Arctis Tor raczej nie jest kurortem.

– Nie? A czym jest?

Zmrużyłem oczy.

– Chwileczkę. Czy ty próbujesz się bawić w mojego psychiatrę?

Pociągnął łyk kawy.

– Dlaczego zadałeś mi to pytanie?

– Ponieważ ciągle zadajesz pytania. Ale cały żart obrócił się przeciwko tobie, Lucy. Nie mam pięciocentówki. – Wpatrzyłem się w butelkę. – Mam czas na przekomarzanki. Ale nie na gierki.

Vadderung odstawił kawę i rozłożył szeroko ręce.

– Nie pracuję za darmo.

– Przez całe życie nie zarobiłem tyle, by stać mnie było na twoje stawki. Ale nie potrzebujesz więcej pieniędzy.

Czekał.

– Będę ci winien przysługę.

Wydawało się, że piekielnie go to rozbawiło. W kąciuku jego oka pojawiły się zmarszczki.

– Biorąc pod uwagę ogrom twego talentu do robienia sobie wrogów, mam nadzieję, że zrozumiesz, jeśli nie uznam tego, co mi proponujesz, za dobrą inwestycję długoterminową.

Uśmiechnąłem się i pociągnąłem łyk piwa.

– Ale warta jest kilku minut twojego czasu... bo inaczej w ogóle byś się tu nie pojawił.

Na jego twarzy zamigotał rozbawiony uśmiech.

– Przyjmę twoją propozycję jednej przysługi... i pięciocentówkę.

– Mówiłem ci. Nie mam pięciocentówki.

Poważnie pokiwał głową.

– Co masz?

Przejrzałem kieszenie i znalazłem zdobione klejnotami spinki do mankietów. Pokazałem mu je.

– To nie pięciocentówka – stwierdził trzeźwo. Znów się pochylił, jak przed chwilą, i spytał: – Co masz?

Wpatrywałem się w niego przez chwilę, po czym stwierdziłem:

– Przyjaciół.

Cofnął się, a jego niebieskie oko błyszczało tak bardzo, że prawie rzucało iskry.

– Thomasie! – zawołałem. – Potrzebuję pięciocentówki.

– Że co? W gotówce?

– Aha.

Thomas sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik plastikowych kart. Rozłożył je przed sobą i pokazał mi.

– A te?

– To nie pięciocentówka.

– Na litość. – Molly westchnęła, sięgnęła do kieszeni i wyjęła coś, co wyglądało jak portmonetka staruszki. Rzuciła mi pięciocentówkę.

Złapałem ją.

– Dzięki. Zostałaś awansowana na sługusa.

Przewróciła oczami.

– Chwała Mingowi.

Przesunąłem monetę po barze w stronę Vadderunga.

– Proszę.

Pokiwał głową.

– Mów.

– No tak. Hmm. Chodzi o czas.

– Nie, chodzi o twoją wyspę.

Popatrzyłem na niego z rezerwą.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli, że wiem o twojej wyspie. Wiem, skąd się wzięła. Wiem, co robi. Wiem, co się pod nią kryje.

– Uch. Och.

– Jestem świadom, jak ważne jest, by wyspa była dobrze zarządzana. Podobnie jak większość tych, którzy przyszli na twoją imprezę w Meksyku.

Chodziło mu o Szarą Radę, do której należał też Vadderung. Była to grupa gości, głównie magów z Białej Rady, którzy współpracowali, bo wydawało im się, że Biała Rada jest bliska rozpadu, a oni chcieli ją ocalić. Ale ponieważ ściany mają uszy, mogli to robić jedynie potajemnie, współpracując w komórkach. Nie byłem do końca pewien, kto do niej należy poza moim dziadkiem i Vadderungiem. Przybył razem z resztą w większości anonimowej Szarej Rady, kiedy wyruszyłem, by odebrać córkę Czerwonemu Dworowi, i wydawało się, że idealnie do nich pasuje.

Oczywiście byłem przekonany, że nie jest magiem. Byłem pewien, że jest kimś o wiele potężniejszym.

Dlatego wyłożyłem mu wszystko, mówiąc bardzo cicho. Powiedziałem o ataku wymierzonym w wyspę poprzez czas. Wtedy jego twarz stała się zacięta.

– Idioci. – Westchnął. – Nawet gdyby udało im się pokonać ogień zguby...

– Chwileczkę. Ogień zguby?

– Zabezpieczenie w razie uszkodzenia. Ogień, który pokazała ci wyspa.

– Racja. Zabije wszystkich przetrzymywanych, żeby nie pozwolić im na ucieczkę, zgadza się?

– To jedyny sposób. Gdyby komuś udało się uwolnić istoty w Studni...

– Paskudna sprawa, na to wygląda.

– Nie paskudna. To byłby koniec.

– Och. Dobrze wiedzieć. Wyspa nie wspomniała o tym aspekcie.

– Wyspa nie umie zaakceptować takiej możliwości – rzucił Vadderung w zamyśleniu.

– W takim razie powinna wreszcie wydorosnąć. Na ile umiem to ocenić, może już być za późno. W końcu równie dobrze ktoś mógł rzucić to zaklęcie sto lat temu. Albo za sto lat.

Vadderung machnął ręką.

– Nonsens. Istnieją prawa, które rządzą wpływem czasu w odniesieniu do przestrzeni, podobnie jak wszystkim innym.

– To znaczy?

– To znaczy, że echa wywoływane przez wydarzenie temporalne są proporcjonalnie dłuższe od czasu, który obejmuje. Gdyby atak przeprowadzono przed stuleciem albo za sto lat, echa zaczęłyby się na długo przed wydarzeniem... całe stulecia wcześniej. Te echa pojawiły się przed zaledwie kilkoma dniami. Z grubsza szacuję, że atak od faktycznego wydarzenia w czasie rzeczywistym może dzielić co najwyżej kilka godzin.

– A to odbędzie się jutro. Czyli wszystko wydarzy się w którymś momencie dzisiaj albo w którymś momencie jutro.

– Najpewniej nie jutro. Zmiana własnej przeszłości jest bardziej niż umiarkowanie trudna.

– Kwestia paradoksu? Na przykład, jeśli wrócę i zabiję dziadka, jak w ogóle się urodzę, żeby wrócić i zabić dziadka?

– Paradoks jest przereklamowany. Działa tu... coś całkiem podobnego do inercji. Kiedy dojdzie do jakiegoś wydarzenia, pojawia się niezmiernie silna tendencja, by do tego wydarzenia doszło. Im większe, bardziej znaczące lub bardziej dynamiczne wydarzenie, tym bardziej ma tendencję do pozostawania w pierwotnej wersji, mimo wszelkich ingerencji.

Zmarszczyłem czoło.

– Istnieje... prawo zachowania historii?

Vadderung uśmiechnął się szeroko.

– Nigdy nie słyszałem takiego sformułowania, ale jest dość celne. Tak czy inaczej, przewyciężenie tej inercji wymaga ogromnej energii, woli i odrobiny szczęścia. Jeśli ktoś pragnie zmienić przebieg historii, o wiele prościej jest spróbować nadać kształt przyszłości.

Chrząknąłem.

– Czyli, gdybym udał się w przeszłość i zabił dziadka, co by się stało?

– Pewnie pobiłby cię do nieprzytomności. – Vadderung patrzył prosto na mnie.

A niech to. Vadderung wiedział o Ebenezarze. Co znaczyło, że albo staruszek ufał mu znacznie bardziej niż mnie, albo miał dostęp do oszałamiająco przerażającego zasobu informacji.

– Wiesz, co miałem na myśli. Paradoks? Wszechświat robi puf?

– Jeśli to tak działa, nigdy tego nie widziałem, o czym świadczy fakt, że... – Rozłożył szeroko ręce. – Tak to jest. Podejrzewam, że dochodzi do innego rodzaju apokalipsy.

Zmarszczyłem czoło.

– To znaczy?

– Bliźniaczy wszechświat. Nowa rzeczywistość równoległa, identyczna poza tym wydarzeniem. Jedna, w której nigdy nie istniałeś, i jedna, w której nie udało ci się zabić dziadka.

Zacisnąłem wargi.

– To... tak naprawdę nie kończy się dla mnie dobrze w żadnym z tych przypadków.

– Doskonały powód, by nie wtrącać się w naturalny bieg czasu, nie sądzisz? Ingerowanie w czas jest irracjonalnie, oburzająco, katastrofalnie niebezpieczną i kosztowną rozrywką. Zachęcam cię, byś unikał tego za wszelką cenę.

– Ty i Biała Rada. Czyli to się wydarzy w jakimś momencie dzisiejszego dnia lub nocy.

Vadderung pokiwał głową.

– I w pobliżu.

– Dlaczego?

– Ponieważ wymaga astronomicznych ilości energii. Przekroczenie przepaści czasu dowolnej długości jest całkowicie poza zasięgiem działającego samodzielnie śmiertelnego użytkownika magii. Zrobienie czegoś takiego i jednocześnie próba rzucenia zaklęcia w przestrzeni? Trudność byłaby zaporowa. Nie zapominaj przy tym, jak wiele wody otacza wyspę, co osłabia energię rzucaną w jej stronę... był to jeden z powodów, dla którego Studnię wybudowano w tym miejscu.

Pokiwałem głową. Całość trzymała się kupy, opierała na wszystkim, co wiedziałem o magii. Ludzie zawsze zakładają, że magia jest za darmo – wcale nie. Nie da się wyciągnąć energii znikąd i istnieją prawa, które rządzą jej zachowaniem.

– Czyli to... bomba z opóźnionym zapłonem. Jak blisko muszą być?

– Jak podejrzewam, brzegi jeziora. Sama wyspa byłaby idealną lokalizacją, ale wątpię, by współpracowała przy takiej próbie.

– Bynajmniej. I nie można tak po prostu narysować kręgu kredą i wyciągnąć tego zaklęcia z kapelusza. Musi mieć źródło energii. Wielkie.

– Dokładnie tak.

– A tego rodzaju rzeczy zwykle rzucają się w oczy.

Uśmiechnął się.

– Owszem.

– A ktokolwiek próbuje odstawić ten numer, jeśli wie dosyć na temat bawienia się z czasem, żeby podjąć taką próbę, wie również, że echa ostrzegą innych, co nadchodzi. Będzie gotów sprzeciwić się każdemu, kto spróbuje pokrzyżować mu

plany.

– Z całą pewnością. – Dopił kawę.

Podjąłem dobrą decyzję. Rady Vadderunga zmieniły problem z czegoś ogromnego i niewytłumaczalnego w coś zaledwie bardzo trudnego, bardzo niebezpiecznego i grożącego mi śmiercią.

– Yyy. Nie zrozum mnie źle, ale... to gra o wysoką stawkę.

– Najwyższą, owszem – zgodził się.

– Pomyślałem sobie, że może powinien się tym zająć ktoś o odrobinę większym doświadczeniu i zasobach. Może ktoś taki jak ty.

Pokręcił głową.

– To niepraktyczne.

Zmarszczyłem czoło.

– Niepraktyczne?

– To musisz być ty.

– Dlaczego ja?

– To twoja wyspa.

– To nie ma sensu.

Przechylił głowę i spojrzał na mnie.

– Magu... umarłeś i powróciłeś. To cię naznaczyło. Otworzyło drzwi i ścieżki, o których istnieniu jeszcze nie wiesz, i zwróciło uwagę istot, które wcześniej nawet by nie zauważyły twojej nieistotnej osoby.

– To znaczy?

Na jego twarzy nie pozostał ślad rozbawienia.

– To znaczy, że teraz bardziej niż kiedykolwiek jesteś punktem podparcia. To znaczy, że twoje życie wkrótce stanie się bardzo, ale to bardzo interesujące.

– Nie rozumiem.

Pochylił się lekko do przodu.

– Napraw to. – Spojrzał na zegarek i wstał. – Obawiam się, że nie mam czasu.

Potrząsnąłem głową, podniosłem się razem z nim i stanąłem mu na drodze.

– Zaczekaj. I tak mam mnóstwo na głowie, a jeśli jeszcze nie zauważyłeś, to ledwie sobie radzę z utrzymaniem samego siebie przy życiu, nie mówiąc już o powstrzymaniu Azylu Arkham przed zamianą w kolejny meteoryt tunguski.

Vadderung spojrzał mi jednym okiem w oczy i warknął:

– Rusz się.

Ruszyłem się.

I odwróciłem wzrok. Zbyt wiele dostrzegałem za pomocą Wejrzenia. I miałem paskudne przeczucie, że spojrzenie w duszę Vadderunga nie poprawiłoby mojej wydajności w ciągu następnego dnia albo kilku.

– Gdzie są Hugin i Munin?

– Zostawiłem ich w biurze. Obawiam się, że cię nie lubią.

– Ptasie mózdzki – mruknąłem.

Uśmiechnąłem się, skinąłem Macowi i podszedłem do drzwi.

– Uda mi się to zrobić? – Zadałem to pytanie jego plecami.

– Uda ci się.

Prychnąłem z irytacją.

– Skąd wiesz?

Odyn odwrócił się, by spojrzeć na mnie swoim błyszczącym okiem, odsłonił zęby w wilczym uśmiechu, a blizna po obu stronach opaski wydawała się srebrna w świetle wpadającym przez drzwi.

– Być może – mruknąłem – już to zrobiłeś.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem.

Sporunowałem wzrokiem miejsce, gdzie stał przed chwilą, i usiadłem przygarbiony na stołku barowym. Złapałem butelkę, dopiłem zawartość i odstawiłem ją na bar nieco mocniej, niż musiałem.

Mac stał przy grillu i przygotowywał swoje słynne kanapki ze stekiem dla Thomasa i Molly. Pomachałem do niego, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, już położył kolejny stek obok dwóch pierwszych. Zaburczało mi w brzuchu, kiedy wstałem i ruszyłem do stolika Molly i Thomasa.

„Być może już to zrobiłeś”.

Co, do diabła, miał na myśli?

Rozdział dwudziesty drugi

Kiedy jedliśmy, przekazałem Molly i Thomasowi, czego się dowiedziałem od Vadderunga. Kanapki ze stekiem Maca są fantastyczne i szkoda by ich było nie zjeść, nawet jeśli pora była raczej śniadaniowa.

Kiedy skończyłem, Molly zamrugła.

– Uch. Kim jest ten facet?

Thomas patrzył na mnie spokojnie. Już się zorientował. Odrobinę przechylił głowę w stronę Molly.

– Przyjacielem, tak sędę. Kiedy się domyślisz, będziesz gotowa wiedzieć.

– Aha. – Molly zmarszczyła czoło i zaczęła się bawić okruchami, przesuwając je palcem wskazującym. Pokiwała głową. – W porządku.

– Co dalej? – spytał Thomas.

Pośpiesznie dokończyłem kanapkę. Rany, dobra była. Popiłem doskonałym piwem Maca. Zwykle parę butelek w połączeniu z posiłkiem sprawiało, że byłem gotów się zdrzemnąć. Teraz zadziałały mniej więcej tak nasennie, jak Red Bull.

– Molly, chcę, żebyś porozmawiała z Tootem. Gwardia ma się zebrać i być gotowa wyruszyć, kiedy dam znak.

– Zwiadowcy? – domyśliła się.

Pokiwałem głową.

– W tym czasie ja spróbuję się zorientować, jakie są potencjalne lokalizacje zaklęcia bomby z opóźnionym zapłonem, żeby wiedzieć, dokąd skierować gwardię. Zamów pizzę, to sprawi, że się zbiorą.

– W porządku. Yyy... pieniądze?

Spojrzałem na Thomasa.

– Ona już zrobiła coś dla mnie. Twoja kolej.

Thomas prychnął i wyciągnął z kieszeni białą plastikową kartę. Była pozbawiona wszelkich oznaczeń poza kilkoma wytłoczonymi liczbami i paskiem magnetycznym. Popchnął ją po blacie w stronę Molly.

– Kiedy będziesz kupować pizzę, niech ją przeciągną przez czytnik.

Molly obejrzała kartę z obu stron.

– To Diners Club czy coś w tym stylu?

– To awaryjna karta Raithów. Lara rozdaje je rodzinie. Od chwili gdy ściągną pierwszą kwotę, będzie ważna przez dwadzieścia cztery godziny.

– Jaki ma limit?

– Dwadzieścia cztery godziny – powtórzył Thomas.

Molly uniosła brwi.

Thomas uśmiechnął się lekko.

– Nie przejmuj się kwotami. Moja siostra nie jest wielbicielek ograniczeń. Zrób z nią, co tylko chcesz. Mnie to nie obchodzi.

Molly wzięła kartę i umieściła ją bardzo ostrożnie w swojej portmonetce z second handu.

– W porządku. – Popatrzyła na mnie. – Teraz?

Pokiwałem głową.

– Ruszaj.

Zatrzymała się, by wyciągnąć długopis z torebki. Nagryzmoliła coś na serwetce i przesunęła ją w moją stronę.

– Numer telefonu w moim mieszkaniu.

Spojrzałem na niego, przeczytałem i zapamiętałem. Później podałem serwetkę Thomasowi, który schował ją do kieszeni.

– Zamierzasz wysłać ją tam całkiem samą?

Molly popatrzyła obojętnie na Thomasa. I zniknęła.

– Och. Racja.

Wstałem i podszedłem do drzwi. Otworzyłem je i wyjrzałem na zewnątrz, jakbym rozglądał się podejrzliwie, czy ktoś się nie zbliża. Poczułem, że Molly prześlizguje się obok mnie. Wtedy znów je zamknąłem i wróciłem do środka. Nad jeziorem zadudnił grzmot, ale nie padał deszcz.

– Zauważyłem – powiedział powoli mój brat – że nie pozostawiłeś jej żadnej możliwości, by skontaktowała się z tobą.

– A ty?

Prychnął.

– Myślisz, że Fix zrobiłby jej krzywdę?

– Myślę, że nie da mu wielkiego wyboru. Daleko zaszła... ale Fix nie jest zagrożeniem, z którym powinna się mierzyć. Ma doświadczenie z urokami, umie się przed nimi bronić i jest bystry.

– Molly też nie jest najgorsza.

– Za Molly jestem odpowiedzialny ja.

Nie chciałem, żeby te słowa zabrzmiały tak zimno, tak twardo. Złość mnie zaskoczyła, ale wciąż czułem, jak we mnie kipi. Jakaś część mnie była wściekła na Thomasa, że kwestionuje moją decyzję dotyczącą mojej praktykantki. Molly była moja i niech mnie diabli, jeśli jakiś śliczny chłopaczek z Białego Dworu...

Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby. Duma. Zaborczość. Terytorializm. To nie byłem ja. To przemawiała przeze mnie opończa Zimy.

– Przepraszam – powiedziałem po chwili i otworzyłem oczy.

Thomas nie zareagował w żaden sposób, na moje warknięcie, złość czy przeprosiny. Po prostu się we mnie wpatrywał. Później odezwał się cicho:

– Chciałbym ci coś zasugerować. Nie próbuję cię do niczego zmuszać. Po prostu powinieneś to usłyszeć.

– Pewnie.

– Jestem drapieżnikiem, Harry. Obaj to wiemy.

– Jasne. I co z tego?

– I jeśli zobaczę to u kogoś innego, umiem to rozpoznać.

– I?

– I patrzysz na Molly, jakby była jedzeniem.

Zmarszczyłem czoło.

– Wcale nie.

Wzruszył ramionami.

– Nie przez cały czas. Jedynie chwilami. Patrzysz na nią, a ja widzę, jak kalkulujesz. Zauważasz, kiedy ziewa, za każdym razem.

Nie chciałem, by słowa Thomasa były prawdą.

– I co z tego?

– Kiedy ziewa, pokazuje nam, że jest zmęczona. Zauważamy to, bo zmęczona ofiara to łatwa ofiara. – Pochylił się i oparł rękę na stole. – Wiem, o czym mówię.

– Nie. – Mój głos znów stał się zimny. – Wcale nie.

– Próbowałem takiego zaprzeczania, kiedy miałem piętnaście lat. Skutki były żałosne.

– Co? Myślisz, że zaatakuję ją, kiedy pójdzie spać?

– Tak. Jeśli nie rozpoznasz tego, co cię motywuje, i nie zapanujesz nad tym, tak się stanie. Może nie dzisiaj, może nie jutro. Ale w końcu. Nie możesz ignorować tych instynktów, stary. Jeśli to zrobisz, pewnej nocy dopadną cię, kiedy nie będziesz się pilnował. I zrobisz jej krzywdę, w taki czy inny sposób.

Nie byłem pewien, jak zareagować na te słowa. Zmarszczyłem czoło, wpatrując się w pustą butelkę po ale.

– Ona ci ufa – stwierdził Thomas. – Myślę, że jakaś część ciebie to wie. Myślę, że ta część odesłała ją z diabelnie ważnego powodu. Potraktuj to poważnie, Harry.

– Jasne – powiedziałem cicho. – Ja... spróbuję. To coś ciągle mnie zaskakuje.

– Natura bestii. Zawsze dobrze sobie radziłeś z utrzymywaniem waszych kontaktów na odpowiedni dystans, nawet jeśli jej wzdychanie do ciebie słychać z drugiego końca miasta. Podziwiam cię za to. Nie chciałbym, żeby to się popsuło.

Przetarłem oczy. Mój brat miał rację. Przez cały ranek zmuszałem się, żeby nie patrzeć na Molly. Nigdy wcześniej nie miałem takich problemów. To również była część Zimy – głód i pożądanie, potrzeba ciepła w ciemności. Kierowała Lloydem Slate'em, jak również kilkoma innymi Rycerzami Zimy przez te lata.

Doprowadziła ich do szaleństwa.

Musiałem się nauczyć, jak rozpoznawać ten wpływ, zanim komuś stanie się krzywda.

– W porządku. Kiedy przestanę biegać od jednego pożaru lasu do drugiego... coś wymyślę. Aż do tej pory masz wszelkie prawo mi przyłożyć, jeśli uznasz, że tego potrzebuję.

Thomas bardzo poważnie pokiwał głową, ale oczy mu błyszczały.

– Jestem twoim bratem. Zawsze uważałem, że mam takie prawo.

– Ha. Chciałbym zobaczyć, jak...

Umilkłem i spojrzałem na Maca, który ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w drzwi pubu. Podążyłem za jego wzrokiem. Szkło w górnej części drzwi było szlifowane i częściowo matowe, ale pozwalało dostrzec niewyraźny zarys tego, kto znajdował się za drzwiami. A przynajmniej tak by było, gdyby zewnątrz nie wypełniała gęsta szara mgła.

Thomas zauważył mnie i też popatrzył.

– Hm. Czy mgła zwykle rankiem nie zanika?

– Dziś rano żadnej nie było.

– Czyli... to nie jest w porządku.

– Nie jest.

Nie istniało aż tak wiele powodów, by wypełnić okolicę mgłą – by ukryć swoje nadejście. Obaj wstaliśmy i odwróciliśmy się twarzą do drzwi.

Za naszymi plecami Mac sięgnął pod bar i wyciągnął czarną kompozytową strzelbę z uchwytem pistoletowym. Miała składane łożo, a długość lufy ledwie kwalifikowała ją

jako broń myśliwską.

– To szaleństwo – stwierdził Thomas. – Nikt nie atakuje Maca. To teren neutralny.

– A te Fomory, o których tyle słyszałem?

– Nawet oni. Za każdym razem, kiedy zbliżyli się do tego miejsca, TLP spadało na nich jak lawina. To właściwie jedyna, w czym się tak naprawdę zgadzają.

Przez chwilę patrzyłem na niego tępo.

– A, Towarzystwo Lepszej Przyszłości.

– To nie fae, prawda?

– Nazywa się je Przymierzem Unseelie. Zima równa się Unseelie. Każdy z Zimy, kto pogwałciłby traktat Mab, byłby uradowany, gdyby umarł, zanim ona z nim skończy.

– W takim razie Lato?

– Nie minęło jeszcze południe.

Dźwięki miasta na zewnątrz zniknęły. Zapadła nienaturalna cisza. Słyszałem trzech ludzi oddychających odrobinę ciężiej niż zwykle, skrzypiący wiatrak pod sufitem i tyle.

– Zdecydowanie magia. Ktoś nie chce, by ktokolwiek zobaczył albo usłyszał, co tu się dzieje.

Rozległ się głośny dźwięk, pojawił nagły ruch i przez jedną ze szlifowanych tafli szkła w drzwiach wpadł kamień. Thomas wyjął pistolet, a Mac uniósł strzelbę do ramienia. Odłamki szkła spadły z brzękiem na podłogę, a kamień potoczył się i odbił od mojej stopy, nim zatrzymał się na ziemi. Był to zaokrąglony kawałek szklatego czarnego obsydianu wielkości jajka.

Przez otwór w szkle do środka wpadły pasma mgły, a kamień na podłodze nagle zadrżał i zaczął brzęczeć. Obaj z Thomasem zrobiliśmy kilka ostrożnych kroków do tyłu, ale brzęczenie stawało się coraz głośniejsze i zmieniało się, aż stało się niesamowitym, drżącym głosem, przypominającym dźwięk wydobywający się ze starej, zużytej płyty winylowej.

– Wyśśślijcie maga – brzęczał. Każde słowo było powolne i rozciągnięte. – Wyśśślijcie go do nassss, a inni mogą zosssstać.

– Znam świetne miejsce, do którego możesz spierdalać, ty tchórzliwy sku... – zaczął uprzejmie Thomas.

Uniosłem dłoń.

– Nie – powiedziałem mu cicho. – Zaczekaj.

– Na co?

– To teren neutralny. – Mówiłem na tyle głośno, by było mnie słuchać na zewnątrz.
– Jeśli chcecie porozmawiać, wejdźcie. Nie zostaniecie zaatakowani.

– Wyśśślijcie go do nassss.

To wcale nie było niepokojące ani nic.

– Dziś mam dość dużo na głowie! – zawołałem. – Co powiecie na przyszły wtorek?

– Tszszszy razzzy pytamy i juźźźź – wysyczał głos. – Wyśśślijcie go do nassss.
Terazzzz!

Zrobiłem kilka powolnych, uspokajających oddechów, by powstrzymać strach i pomyśleć. Byłem przekonany, że cokolwiek się tam znajdowało, nie chciało rozmawiać. Byłem również pewien, że nie miałem ochoty wyjść niepewnym krokiem na te wąskie, pokryte mgłą schody, by zacząć walkę. Ale nie byłem sam w pomieszczeniu. Spojrzałem na Maca.

– Nie chcę sprowadzać problemów do twojego lokalu, Mac. Jesteś tu moim gospodarzem. Jeśli chcesz, zabiorę je na zewnątrz.

W odpowiedzi Mac warknął i przeładował strzelbę, wprowadzając ładunek do komory. Później sięgnął pod ladę, wyciągnął pistolet automatyczny dużego kalibru i położył go na barze w miejscu, do którego mógł łatwo sięgnąć.

Thomas odsłonił zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Od dziś zostawiam większe napiwki.

– Jasne.

Gestem kazałem Thomasowi cofnąć się o kilka kroków i upewniłem się, że żaden z nas nie stoi na linii strzału Maca. Skupiłem się na czarnym kamieniu. Z pewnością zacznie się od niego.

– Ej, paskudo! – Uniosłem lewą rękę. – Ssssłyszyszyszyszszszszaleś go. Pocałuj mnie w tyłek!

– Niech ssssię sssstanie! – wysyczał głos z kamienia.

I czarny kamień wybuchł.

Ja jednak byłem na to gotów. Już przygotowałem zakłęcie tarczy i wlałem wolę w grubą ścianę w powietrzu przede mną, gdy odłamki obsydianu fruwały po pomieszczeniu. Ze świstem odbiły się od mojej tarczy, zmiażdżyły jedną z pustych butelek po piwie na stole, wbijały się w drewniane kolumny i złościły rysy w boazerii. Żaden z nich nie trafił Thomasa, Maca ani mnie. Umieściłem tarczę między nami a czarnym kamieniem, kiedy napastnicy marnowali czas na negocjacje. Nie była to tak dobra tarcza, jaką mógłbym rzucić, gdybym odzyskał starą bransoletkę z tarcz, i nie mógłbym jej utrzymywać aż tak długo, ale też nie musiałem.

Kiedy wybuch się skończył, opuściłem tarczę i skupiłem wolę na drugiej ręce, zbierając w niej kulę armatnią czystej mocy, a gdy zobaczyłem ślad ruchu za szkłem w drzwiach, wypuściłem ją z warknięciem.

– *Forzare!*

Moc uderzyła w drzwi i zmieniła jakieś pięćdziesiąt funtów szkła ołowiowego w chmurę ostrych jak brzytwa odłamków. Schody prowadzące w dół do lokalu Maca znajdowały się poniżej poziomu ziemi i nie było możliwości, by szrapnele wyleciały na ulicę.

Po krótkiej chwili dolna połowa drzwi zmieniła się w latające drewniane sztylety. Moja tarcza powstrzymała te, które poleciały w stronę Maca, ale nie udało mi się złapać ich wszystkich. Jeden uderzył mnie tępą stroną w lewą kość policzkową – gdyby koziołkował jeszcze przez ułamek sekundy, ostra strona wbiłaby mi się prosto w mózg. A tak uderzył mnie jak kij baseballowy, oszołomił i rzucił na ziemię.

Świat zaczął się poruszać w zwolnionym tempie i wszystko wypełniły pogłosy, jak to się dzieje czasem przy urazach głowy, i zobaczyłem naszego napastnika.

Z początku nie umiałem przetłumaczyć tego, co widziałem, na coś, co miałoby sens – wyglądał jak jedna z tych ogromnych obracających się i wirujących rur pokrytych paskami miękkiego materiału w automatycznej myjni samochodowej, tych, które myją karoserię. Tyle tylko że to nie była rura, ale kula, i nie była w myjni – toczyła się przez drzwi wejściowe pubu Maca.

Strzelba Maca wystrzeliła, dźwięk uderzył mnie w plecy. W zamkniętej przestrzeni wystrzały brzmiały bardzo głośno. Z napastnika poleciały kawałki materiału i pył, ale on sam nie zwolnił. Wielka szmaciana kula pędziła w moją stronę, aż Thomas wpadł na nią z boku i uderzył ją z zamachu jednym z ciężkich dębowych stołów.

Krótką radą dotyczącą bójek w barze – w prawdziwym życiu, jeśli walniecie kogoś meblem, ten nie rozpada się na kawałki jak na filmach, tylko miążdży tego, kogo nim traficie. Rozległ się odgłos uderzenia i impet toczącego się kształtu błyskawicznie zmienił się w ruch prostopadły. Kula przeleciała przez salę jak obszarpana kometa, ciągnąc za sobą pasma szaro-brązowego materiału, który nienaturalnie falował i trzaskał, aż z solidnym hukiem uderzyła w ścianę.

Kolejna krótka rada – nie zostawajcie na ziemi. Jeśli nie wiecie, z kim dokładnie walczyacie, jeśli nie macie pewności, że ten facet, z którym się bijecie, nie ma idącego mu na odsiecz kumpla, nie możecie sobie pozwolić na pozostanie na ziemi i względnie bez ruchu. Moje ciało już się poruszało, choć nie byłem pewien, jak to robiło, i zaczynało mnie podnosić.

Mac oparł dłoń na barze i wskoczył nań, jakby miał mnóstwo praktyki. Napastnik odbił się od ściany, przetoczył po blacie stołu i spadł na ziemię. Mac zrobił kilka szybkich kroków, żeby móc lepiej wycelować, i strzelba znów zadudniła. Z napastnika poleciała kolejna chmura skrawków materiału i pyłu.

Wszystko zaczęło się znów dziać z normalną prędkością. Dziesiątki pasków ciemnej tkaniny workowej odpadły od stwora i błyskawicznie owinęły się wokół krzeseł i stołów. Jedno z krzeseł poleciało w stronę Thomasa, wyrwało mu stół z rąk i zmusiło go do uskoczenia w bok. Strzelba Maca zaryczała jeszcze trzy razy, a ja rzuciłem w stwora kolejną lancę mocy. Pociski Maca jedynie wzbijały chmury kurzu, a mój magiczny atak rozdzielił się i opłynął istotę, zmiażdżył krzesło i wbił do środka kawałek boazerii na ścianie.

Stwór się roześmiał.

Rzucone z nadludzką siłą meble poleciały na zewnątrz. Moja tarcza z trudem powstrzymała węższy koniec stołu, który został rzucony jak frisbee. Latający stółek barowy podciął Thomasa, a ten z sapnięciem uderzył o ziemię. Mac już skoczył za bar – ale kiedy uderzył weń kolejny stół, rozległ się ogłuszający trzask, a kilka kawałków drewna odłamało się pod wpływem uderzenia.

Wewnątrz wijącej się sterty popielatej tkaniny workowej poruszył się jakiś kształt. Podniósł się, a materiał zniekształcał, choć nie całkiem zasłaniał jego zarys. Istota była chuda i wysoka, musiała się pochylić, żeby uniknąć obracających się powoli skrzydeł wentylatorów pod sufitem. Miała mniej więcej ludzki kształt i nagle uderzyła mnie świadomość, że patrzyłem na humanoida ubranego w jakiś ogromny, niezgrabny strój z tych niespokojnych, szeleszczących pasków.

Stwór podniósł powoli głowę i skupił się na mnie.

Nie popatrzył na mnie – nie miał oczu, jedynie gładką skórę przeciętą bliznami w miejscu, gdzie się kiedyś znajdowały. Skórę miał perłowoszarą, z ciemniejszymi paskami, które kojarzyły mi się z rekinem. Usta szeroko otwarte w uśmiechu jeszcze podkreślały to skojarzenie. Nie miał zębów, jedynie gładką linię kości w miejscu, w którym miałby je człowiek. Jego wargi były czarne, wewnątrz ust częściowo też takie było. Z kącików ust płynęły dwie strużki śliny, pozostawiające czarne pasma sięgające poniżej brody. Nie widziałem ani jednego włosa na jego głowie.

– Magu. – Głos stwora brzmiał tak, jakby dochodził zza szklanej ściany. – Twoje życie nie musi się skończyć tego dnia. Poddaj się, a oszczędzę twoich towarzyszy.

Zza moich pleców dobiegł odgłos przeładowywania strzelby. Thomas trzymał pistolet w dłoni, za plecami, i krążył bezgłośnie po sali, zmuszając Rekinowatego,

żeby miał na niego oko.

Tyle tylko że on nie miał oczu. Czegokolwiek używał ten stwór, żeby nas śledzić, miałem przeczucie, że ustawienie się w niedogodnym miejscu nie mogło zapewnić nam większych korzyści.

– Poddac się – powiedziałem, jakbym próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio słyszałem to słowo. – No tak. Nie jestem pewien, czy poddawanie się mnie dziś interesuje. Tydzień temu mieli wyprzedaż poddawań, a ja ją przegapiłem, ale nie chcę od razu się rzucać, żeby natychmiast kupić jakieś w normalnej cenie. Martwię się, że w przyszłym tygodniu może być kolejna wyprzedaż, a wtedy... daj spokój, wtedy czułbym się bardzo głupio, nie?

– Dowcipkowanie nie zmieni przebiegu tego dnia. – Brzęczący, wypaczony głos Rekinowatego brzmiał wyraźnie nieprzyjemnie w moich uszach, był słuchowym odpowiednikiem smrodu gnijącego mięsa. Co było stosowne, bo cała jego reszta śmierdziała jak gnijące mięso. – Pójdiesz ze mną.

– Czy nie to powiedziała Mab? – rzucił Thomas.

Jedną rękę osłaniałem ciałem przed Rekinowatym – teraz pokazałem bratu środkowy palec.

– Posłuchaj, Spanky – zwróciłem się do Rekinowatego. – Jestem trochę zbyt zajęty, żeby szamotać się z każdym przypadkowym zakompleksionym dziwakiem. Inaczej z radością przywaliłbym ci butelką po piwie, kopnął w jaja, wyrzucił przez drzwi saloonu i tak dalej. Może twoi ludzie skontaktowaliby się z moimi ludźmi i zorganizujemy to na przykład w przyszłym tygodniu?

– W przyszłym tygodniu masz seminarium na temat oszukiwania samego siebie – stwierdził Thomas.

Pstryknąłem palcami.

– A w następnym?

– Szukasz mieszkania.

– A niech to. Nikt nie może powiedzieć, że nie próbowałem. Do zobaczenia później.

– Harry – usłyszałem dziwny głos. A raczej głos sam z siebie nie był dziwny, tylko dziwnie było go słyszeć. Mac nie jest rozmowny. – Nie gadaj. Zabij go.

Słowa Maca osiągnęły to, czego nie udało się mojej bzdurnej gadce – wkurzyły Rekinowatego. Obrócił się w stronę Maca, a dziesiątki tkaninowych pasków poleciały we wszystkie strony i złapały, co tylko miały na drodze. Jego obcy głos zabrzmiał jak ostry zgrzyt.

– Ty! – warknął Rekinowaty. – W tym wszystkim nie ma dla ciebie miejsca, obserwatorze. Myślisz, że ten gest ma znaczenie? Jest równie pusty, jak ty. Dawno temu wybrałeś swoją ścieżkę. Bądź na tyle uprzejmy, połów się i umrzyj obok niego.

Mam wrażenie, że moja szczęka przez chwilę wisiała całkiem luźno.

– Mac?

– Zabij go – powtórzył Mac ostrzej. – To jedynie pierwszy.

– Tak. – Rekinowaty przechylił głowę prawie prostopadle. – Zabij go. A przybędzie więcej. Zniszcz mnie, a się dowiedzą. Pozostaw mnie, a się dowiedzą. Twoje oddechy są policzone, magu.

Kiedy mówił, poczułem straszliwy, beznadziejny ciężar spadający mi na serce. Do diabła, czy nie przeżyłem dosyć? Więcej niż dosyć? Czy życie nie zapewniło mi już dość nieszczęść, smutku, bólu i samotności? A teraz miałem walczyć z czymś innym, czymś nowym i przerażającym, i do tego czymś, co galopowało w moją stronę całym legionem. Jaki to miało sens? Niezależnie od tego, co robiłem, na ile silniejszy, bystrzejszy i bardziej ustosunkowany się stawałem, źli goście robili się coraz więksi, silniejsi i liczniejsi.

Za moimi plecami Mac jęknął cicho. Strzelba musiała wypaść mu z rąk, bo uderzyła z brzękiem o ziemię. Po lewej widziałem, jak Thomas opuszcza ramiona i odwraca twarz. Oczy miał zamknięte, jakby cierpiał.

Ludzie, którzy znajdowali się blisko mnie, cierpieli i ginęli. A źli goście często uciekali, żeby kolejnego dnia psuć mi krew. Po co mi takie życie?

Dlaczego wciąż to sobie robiłem?

– Ponieważ – warknąłem pod nosem – jesteś Charliem Brownem, głupku. Musisz próbować trafić tę przeklętą piłkę, bo tym właśnie jesteś.

I wtedy właśnie psychiczny atak rozpacz, którym Rekinowaty uderzył w moją głowę, zniknął i znów mogłem myśleć jasno. Wcześniej nie czułem zbliżającej się do mnie mdlącej i w jakiś sposób oleistej mocy – ale z całą pewnością poczułem ją teraz, gdy wzdrygnęła się i wycofała. Zetknąłem się z nią już wcześniej – i nagle wiedziałem, z czym mam do czynienia.

Rekinowaty szarpnął głową w moją stronę, usta miał otwarte z zaskoczenia. Przez jedną nieruchomą chwilę patrzyliśmy na siebie z odległości około piętnastu stóp. Wydawało się, że trwa to wiele godzin. Thomas i Mac byli nieruchomi, wyciągali ręce do materialnych podpór, jakby byli pijani albo dźwigali wielki ciężar. W obecnym stanie nie wydostaliby się z budynku – ale nie miałem wyboru.

Rekinowaty i jego płaszcz rzucili we mnie pół tony mebli jakieś ćwierć sekundy po

tym, jak uniosłem prawą rękę i warknąłem:

– *Fuego!*

Z przyczyn oczywistych ostatnio nie używałem zbyt wiele magii ognia. W sercu Zimy nikt raczej nie przywołuje płomienia. Żyją tam istoty, które go nienawidzą. Ale magia ognia zawsze była moją najmocniejszą stroną. To zaklęcie opanowałem w pełni jako pierwsze i kiedy miałem dobry dzień, jeśli chodzi o magię ognia, dorównywałem najlepszym magom na świecie.

Do tego sięgnąłem do uśpionej energii, którą pewien wyjątkowo wścibski anioł obdarzył mnie, nie pytając mnie o zdanie – starożytnego źródła energii Stworzenia znanego jako ogień duszy. Ogień duszy nigdy nie miał służyć do walki – ale jego obecność dodawała moim zaklęciom bojowym znaczącej energii i impetu i sprawiała, że znacznie trudniej było się im przeciwstawić. Musiałem być ostrożny – gdybym spalił zbyt dużo w zbyt krótkim czasie, mogłoby mnie to zabić. Ale gdyby nie udało mi się wyjść żywym z pubu, nie miałyby znaczenia, ile ognia duszy zaoszczędziłem na czarnej godzinę.

Spodziewałem się ryku płomienia, błysku białego i złotego światła, naporu przegrzanego powietrza uderzającego prosto w paskudną mordę Rekinowatego.

Dostałem wycie arktycznego wichru i spiralny harpun niebiesko-białego ognia gorętszego niż cokolwiek poza gwiazdą.

Rekinowaty rzucał we mnie meblami, próbując się za nimi schronić, ale przywołany przeze mnie ogień zmieniał krzesła i stoły w chmurkę pary w chwili, kiedy ich dotknął. Rozpadały się na kawałki z ogromnym łoskotem, a każde uderzenie wydawało dźwięk, który pasowałby raczej do wyjątkowo wielkich i kiepsko prowadzonych machin budowlanych.

Rekinowaty założył przed sobą kościste szare przedramiona w rozpaczliwej próbie odbicia zaklęcia. Gdybym się na nim skupiał, koncentrował na przepchnięciu magii przez jego osłonę, może przepaliłoby Rekinowatego i jego głupi płaszcz. Ale nie taki był plan. Miast tego przebiegłem dzielącą nas odległość, przez paskudnie gorący ślad mojego własnego zaklęcia. Przypominało to bieg przez piekarnik. Zobaczyłem, jak moje zaklęcie uderza o skrzyżowane przedramiona Rekinowatego. Stworowi udało się odbić większość, ale nie całe. Ogień spalił jego policzek i spłynął na prawe ramię, podpalając wielką masę tkaniny workowej.

Istota wrzasnęła z bólu – dźwięk ten drażnił mi uszy – i zaczęła opuszczać ręce, by wziąć odwet.

Kiedy to zrobił, wbiłem prawą pięść prosto w jego głupią, niepokojącą twarz.

Rany, prymitywy, z którymi się biję, nigdy nie potrafią przewidzieć tej taktyki. Wszyscy zakładają, że skoro jestem magiem i tak dalej, będę stał z tyłu i rzucał w nich magicznymi pociskami albo coś w tym stylu, a później ucieknę z wrzaskiem, gdy zbliżą się dostatecznie, żebym zobaczył białka ich oczu.

Dobra, jasne, tak działa wielu magów. Ale z drugiej strony mogliby przecież pamiętać, że nie ma żadnego szczególnego powodu, dla którego mag miałby mieć problemy z walką większe niż przeciętny człowiek.

Wydarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze, kiedy moja pięść poleciała do przodu, pojawił się nagły dreszcz, który przepłynął z mojego ramienia do dłoni, rozkoszny i zaskakujący. Ledwie to przetworzyłem, a usłyszałem głośny trzask i zobaczyłem, że moją pięść gwałtownie pokrywa warstwa niebieskiego i zielonego lodu.

Po drugie, uderzyłem Rekinowatego jak rozpędzona ciężarówka, zaczynając od czubka jego brody i kierując się prosto w stronę Ameryki Południowej. Lód pokrywający moją pięść rozpadł się na malutkie odłamki, które cięły, ale ja prawie tego nie zauważyłem. Rekinowaty poleciał do tyłu, jakbym walnął go młotem kowalskim, i uderzył w ścianę z taką siłą, że popękała dębowa boazeria. Jego płaszcz gwałtownie łopotał – cholerstwo chroniło go przed uderzeniem, podobnie jak zatrzymywało pociski wystrzelone z bliska.

Rekinowaty odbił się od ściany i zatoczył, a ja uderzyłem go z lewej i znów z prawej, a później podciąłem go, najbrutalniej, jak potrafiłem.

Kiedy upadł, opuściłem but turystyczny na jego głowę, żeby go zabić – dupek zasłużył sobie na to, kiedy zdemolował mój ulubiony lokal – ale ten głupi płaszcz mi przeszkodził. Paski wyleciały na zewnątrz, żeby zapewnić podparcie, i wyciągnęły go spod mojego buta. Kiedy zareagowałem i ruszyłem za nim, kolejne materiałowe macki wyciągnęły z za baru kilkanaście butelek alkoholu – i rzuciły je w stronę niebiesko-białych ognisk, które wciąż płonęły na podłodze w miejscach, gdzie Rekinowaty odbił zakłęcie.

Wysiłkiem woli machnąłem w stronę koziołkujących butelek, ale przez ostatnie kilka sekund nie miałem w umyśle zakłęcia delikatnego dotyku. Moje niezgrabne wysiłki sprawiły, że jedynie przedwcześnie stłukłem jedną z butelek, a w miejscu, gdzie rozlał się trunek, pojawiły się płomienie.

Płonący alkohol to paskudztwo. Gorzała płonie znacznie szybciej i w wyższej temperaturze niż na przykład benzyna. W ciągu kilku sekund może podnieść temperaturę od mrozu do kilkuset stopni, co wystarczy, by zmienić ciało w brykiet.

Mac i Thomas byli nieprzytomni. Nie zdążyłbym wydostać ich obu na czas z pożaru – co znaczyło, że moją jedyną szansą było powstrzymanie go.

Rekinowaty wydał z siebie dziwaczny, wyzywający wrzask i nagle zniknął w kłębiącej się masie płaszcza, pozostały z niego jedynie łopocząca tkanina, pył i smród. Stwór wyskoczył w powietrze i wyleciał przez frontowe drzwi jak materiałowa kometa – a ja nic nie mogłem na to poradzić.

Dlatego odwróciłem się do płomieni. Butelki na podłodze właśnie zaczęły pękać, a rozgrzane do białości płomienie rosnąć. Popchnąłem wolę przez całe ciało, sięgając do lodowatej czystości Zimy, i zawołałem:

– *Infrigo!*

Wyjący wiatr i zimno otoczyły rodzące się płomienie. I podłogę wokół miejsca, w którym przed chwilą znajdowały się płomienie. I ściany. I, no, sufit.

Właściwie każdą nieożywioną powierzchnię w lokalu całkowicie pokrywała warstwa szronu gruba na pół cala.

Mac i Thomas zaczęli jęczeć. Dałem im minutę na wzięcie się w garść i pilnowałem drzwi. Rekinowaty nie pokazał się na dogrywkę. Może właśnie zmieniał bieliznę, bo tak bardzo go przestraszyłem. Jasne. Raczej właśnie kroczył dumnie jak na *Pierwszym kroku w kosmos* i zbierał kumpli.

Mgła rozproszyła się w ciągu pięciu minut i powróciły dźwięki miasta.

Atak się skończył. Mac rozglądał się zamroczony po pubie i potrząsał głową. Pokryty błyszczącym szronem i lodem lokal wyglądał jak miejsce, do którego udawały się elfy Świętego Mikołaja, kiedy skończyły zmianę w warsztacie z zabawkami.

Mac posłał mi spojrzenie, a później objął pub szerokim gestem, wyraźnie czekając na wyjaśnienia.

– Ej – powiedziałem z rozdrażnieniem. – Przynajmniej nie spalił się do gołej ziemi. Powinieneś się cieszyć, stary. To lepiej niż większość budynków w mojej okolicy.

Thomas usiadł po chwili, a ja pomogłem mu wstać.

– Co się stało? – spytał nieprzytomnie.

– Atak psychiczny. Paskudny. Jak się czujesz?

– Zdezorientowany. – Thomas rozglądał się, potrząsając głową. Pub wyglądał, jakby właśnie zaatakowała go banda kibiców Bearsów rozwścieczona wynikami Super Bowl. – Co to było?

Pomasowałem czoło dłonią.

– Intruz.

Thomas otworzył szeroko oczy.

– Co takiego?

– Intruz – powtórzyłem cicho. – Walczymy z Intruzami.

Rozdział dwudziesty trzeci

– Intruzi – powtórzył Thomas. – Pewien jesteś?

– Poczuleś to. Ten mentalny heks. Było zupełnie jak tamtej nocy w Czeluści Raithów.

Thomas zmarszczył czoło, ale pokiwał głową.

– A i owszem.

Mac minął nas bez słowa i podszedł do zniszczonych drzwi. Pochylił się i podniósł coś ze szczątków – znak „Wyznaczony Teren Neutralny”. Był nieco nadpalony w jednym rogu, ale Mac znów powiesił go na ścianie. Później oparł na nim dłonie i pochylił głowę.

Wiedziałem, jak się czuł. Brutalne wydarzenia zwykle są przerażające i wyczerpujące, nawet jeśli trwają tylko kilka sekund. Moje nerwy wciąż były napięte, nogi odrobinę drżały i marzyłem jedynie o tym, by paść na podłogę i przez chwilę oddychać. Nie zrobiłem tego. Magowie podchodzą do takich kwestii ze stoicyzmem. I brat by się ze mnie śmiał.

Thomas powoli wypuścił powietrze przez nos i zmrużył oczy.

– Niewiele o nich wiem.

– To mało zaskakujące. O Intruzach nie ma zbyt wiele informacji. Jak przypuszczamy, dlatego że większość tych, którzy na nich wpadli, nie miała możliwości nikomu o tym opowiedzieć.

– Na świecie jest dużo takich istot. To brzmi tak, jakby te stwory były jedynie trochę bardziej niepokojące od przeciętnego demonicznego paskudztwa.

– Chodzi o coś więcej. Istoty z Nigdynigdy są częścią naszej rzeczywistości, naszego wszechświata. Bywają naprawdę dziwaczne, ale mają kartę członkowską. Intruzi pochodzą z innego miejsca.

Thomas wzruszył ramionami.

– A co to za różnica?

– Są bystrzejsze. Twardsze. Trudniejsze do zabicia.

– Z tym tutaj poradziłeś sobie całkiem nieźle. Nie wydawał się taki twardy.

Prychnąłem.

– Przegapiłeś końcówkę. Walnąłem go wszystkim, co miałem, a on ledwie poczuł się niewygodnie. Nie odszedł dlatego, że zrobiłem mu krzywdę. Odszedł, bo nie spodziewał się, że poradzę sobie z jego heksem, i nie chciał ryzykować, że będę miał szczęście i uniemożliwię mu złożenie raportu zwierzchnikom.

– Mimo wszystko uciekł. Tak, ta psychomagia była koszmarna, ale sukinsyn nie był aż tak zły.

Westchnąłem.

– Ta mała kanalia Peabody zrzucił jednego Intruza na spotkanie Rady. Najlepsi magowie świata znajdowali się wszyscy w jednym pomieszczeniu i zaatakowali go razem, a stworowi i tak udało się zamordować kilkoro z nich. Trudno sprawić, by magia trzymała się Intruzów. Trudno zmusić ich do odejścia. Trudno zrobić im krzywdę. Trudno doprowadzić ich do śmierci. Są szaleńczo gwałtowni, szaleńczo potężni i po prostu szaleni. Ale nie to sprawia, że są niebezpieczni.

– Uch. Naprawdę? W takim razie co?

– Współpracują – powiedziałem cicho. – Na ile umiemy to ocenić, wszyscy ze sobą współpracują.

Thomas milczał przez chwilę, gdy rozważał implikacje tego stwierdzenia.

– Współpracują? W jakim celu?

Potrząsnąłem głową.

– Cokolwiek robią. Ich poczynania nie zawsze opierają się na racjonalnej podstawie... a w każdym razie tak sądzi Rada.

– Brzmisz sceptycznie.

– Biała Rada zawsze zakłada, że jest przynajmniej równie bystra, jak wszyscy inni razem wzięci. Ja wiem lepiej.

– Ponieważ jesteś o wiele bystrzejszy od nich – rzucił cierpko Thomas.

– Ponieważ spędzam znacznie więcej czasu na ulicach – poprawiłem go. – Rada myśli, że Intruzi to wielka banda świrów, która może wpaść w destrukcyjny szal w dowolnym kierunku.

– Ale ty sądzisz, że jest inaczej.

– Przychodzi mi na myśl fraza „w tym szaleństwie jest metoda”.

– W porządku. To co twoim zdaniem robią ci Intruzi?

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem całkiem pewien, że nie sprzedają lemoniady na ulicach. Ale nie cytuj mnie.

– Nie martw się, nie lubię robić wrażenia niezorientowanego. Jednak fakt, że

współpracują, sugeruje zamiar. Cel.

– Tak.

– No i? Czego chcą?

– Thomasie, to obcy. To znaczy są jak super-hiper-mega-obcy. Być może nawet nie myślą, a przynajmniej nie w taki sposób, w jaki my to pojmujemy. Jak, do diabła, mamy choćby snuć sensowne przypuszczenia na temat ich motywów... zakładając, że w ogóle je mają?

– Nieważne, jak dziwni są. Współdziałanie sugeruje zamiar. Zamiar sugeruje cel. Cele są uniwersalne.

– Oni nie są z tego uniwersum. I w tym cały sęk. Może masz rację, nie wiem. Ale dopóki nie będę miał lepszego pomysłu, rozsądniej przypominać sobie, że nie wiem, zamiast zakładać, że wiem, a później tłumaczyć wszystko tak, by pasowało do moich z góry przyjętych założeń.

– Oto fakt, który nie jest założeniem. Chcieli ciebie.

– Aha.

– Dlaczego?

– Mogę jedynie zgadywać.

– Zgaduj więc.

Westchnąłem.

– Instynkt podpowiada mi, że planują ucieczkę z więzienia.

Thomas chrząknął.

– Może byłoby rozsądniejszym posunięciem z ich strony, gdyby zostawili cię w spokoju. Teraz coś wiesz.

Prychnąłem z irytacją.

– Tak. Ci głupcy, próbując mnie zabić, odsłanili własne dusze. Mam ich teraz.

Thomas patrzył na mnie spokojnie.

– Od kiedy jesteś na usługach Mab, straszny z ciebie pesymista.

– Nie jestem pesymistą – powiedziałem wyniośle. – Choć to się może zmienić.

Te słowa sprawiły, że Thomas się uśmiechnął.

– Nieźle.

– Dziękuję.

Stojący przy drzwiach Mac nagle podniósł wzrok i powiedział:

– Dresdenie.

Thomas przechylił głowę i nasłuchiwał.

– Gliny – powiedział w końcu.

Westchnąłem.

– Biedacy. Założę się, że nocna zmiana nie została jeszcze zwolniona do domu. Będą zrzędlivi.

– Ten wybuch? – spytał Thomas.

– Ten wybuch.

Jeszcze tylko nam brakowało, żeby nas zatrzymali i przesłuchiwali przez cały dzień, nie chciałem też posprzeczać się z policją – brakuje jej poczucia humoru. Powiadają, że nie ma pokoju dla bezbożnych, ale jestem pewien, że gliniarze też się nie wysypiają. Popatrzyliśmy po sobie z Thomasem i ruszyliśmy w stronę drzwi.

Zatrzymałem się przy nich i spojrzałem na Maca.

– On cię znał.

Mac wpatrywał się w przestrzeń i nic nie powiedział.

– Mac, ten stwór był niebezpieczny. I może wrócić.

Mac chrząknął.

– Posłuchaj, jeśli się nie mylę, ten cymbał i jego kumple mogą zniszczyć spory kawał tego stanu. Albo stanów. Jeśli wiesz coś na ich temat, potrzebuję tego.

Mac nie podniósł wzroku. Po kilku sekundach powiedział:

– Nie mogę. Jestem poza.

– Popatrz na ten lokal. Nie jesteś poza. Nikt nie jest.

– Daj spokój. Teren neutralny.

– Teren neutralny, który spłonie z całą resztą. Nie obchodzi mnie, kim jesteś, stary. Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś. Nie obchodzi mnie, czy uważasz, że jesteś już na emeryturze od życia. Jeśli coś wiesz, potrzebuję tego. Już.

– Harry, musimy ruszać. – W głosie Thomasa brzmiał nacisk.

Sam również słyszałem syreny. Musieli być blisko. Mac odwrócił się i ruszył z powrotem do baru.

Do diabła. Pokręciłem głową i odwróciłem się do wyjścia.

– Dresdenie! – zawołał Mac.

Odwróciłem głowę w jego stronę. Mac stał za kontuarem. Na moich oczach wziął trzy butelki piwa spod baru i postawił je na blacie w linii prostej, jedną obok drugiej, stykające się ściankami. Wtedy spojrzał na mnie.

– Trzy – powiedziałem. – Trzy z tych stworów? – Na dzwony piekieł, jeden wystarczył.

Mac ani nie pokiwał głową, ani nią nie pokręcił. Jedynie uniósł brodę w moją stronę.

– Powodzenia.

– Porozmawiamy – powiedziałem do Maca.

Mac posłał mi spojrzenie, które było równie odległe i niedostępne jak góry Antarktydy.

– Nie.

Zamierzałem rzucić coś dowcipnego. Ale ta ponura mina sprawiła, że uznałem to za zły pomysł.

Miast tego ruszyłem za bratem po zasypanych gruzem schodach i wyszedłem na deszczowy poranek.

* * *

Minęliśmy pierwszy radiowóz, który dotarł na miejsce, jadąc ze stateczną prędkością uczciwych obywateli.

– Uwielbiam unikać przedstawicieli prawowitych władz. – Thomas obserwował samochód w lusterku wstecznym. – To jeden z tych drobiazgów, które mnie uszczęśliwiają.

Zastanowiłem się nad tym.

– Mnie też. Jasne, znam kilku z tych gości. Niektórzy są dobrymi ludźmi, inni dupkami, ale większość po prostu wykonuje swoją pracę. A posadzenie nas w pokoju i przepytywanie w żaden sposób nie sprawi, że ich dzień minie spokojniej.

– A tobie sprawia przyjemność doprowadzanie autorytetów do szaleństwa.

Wzruszyłem ramionami.

– W młodym wieku oglądałem *Diuków Hazzardu*. Oczywiście, że sprawia mi to przyjemność.

– Dokąd teraz? Mieszkanie Molly?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Uznałem, że nie byłoby dobrym pomysłem, gdybym tam przebywał, kiedy przybędzie Fix gotów do bójki. Ciemne elfy są dość drażliwe na punkcie terytorium i mogłyby wcale nie być zadowolone, gdybym rozwiązywał swój osobisty konflikt w ich domenie. Ale przed zapadnięciem nocy chciałem się skontaktować z kilkoma osobami, a do tego potrzebowałem telefonu i cichego miejsca do pracy.

– Letnia Panna zgodziła się na audiencję – powiedział Kot Sith z tylnego siedzenia.

Thomas niemal zjechał hummerem z ulicy na przystanek autobusowy. Serce podjechało mi do gardła, jakby miało bioniczne nogi i własne efekty dźwiękowe.

Thomas niemal natychmiast odzyskał panowanie nad kierownicą i jednocześnie warknął.

– Sith. – Mówiłem zbyt głośno. Serce biło mi dwa razy szybciej niż zwykle. Spiorunowałem go wzrokiem z przedniego siedzenia. – Do diabła.

Zbyt długi ogon malka poruszał się z wyraźnym samozadowoleniem.

– Czy mam to zinterpretować jako rozkaz, by coś spalić, panie Rycerzu? Jeśli masz przeżyć dłużej w Zimie, musisz nauczyć się wyrażać bardziej konkretnie.

– Nie, niczego nie pal – mruknąłem zrzędliwie.

Pomyślałem o wydaniu malkowi rozkazu, by więcej tak się do mnie nie podkładał, ale zmieniłem zdanie. To było dokładnie takie polecenie, z którego wypaczania Kot Sith czerpałby groteskową radość, a ja nie chciałem wprawiać go w rozrywkowy nastrój.

– Co Lily miała do powiedzenia?

– Że zapewni ci bezpieczeństwo przed krzywdą wyrządzoną przez nią samą, jej Dwór i wszystkich, których zatrudnia lub na których wywiera wpływ, pod warunkiem, że przyjdiesz sam i utrzymasz pokój.

Chrząknąłem z namysłem.

– Dlaczego chciałaby, żebyś był sam? – odezwał się Thomas. – O ile nie planuje nic ci zrobić?

– Ponieważ kiedy ostatnim razem widziała Rycerza Zimy, mordował poprzedniego Rycerza Lata? – Zgadywałem na głos. – Ponieważ kiedy ostatnio widziała trupa Letniej Panny, to ja do tego doprowadziłem? Ponieważ jestem znanym zbirzem, który niszczy rzeczy?

Thomas lekko przechylił głowę, uznając moje argumenty.

– W porządku. Przyjąłem.

– Sith, gdzie jest spotkanie?

– W miejscu publicznym. – Sith miał częściowo opuszczone powieki. – Chicagowski ogród botaniczny.

– Widzisz? – zwróciłem się do Thomasa. – To nie miejsce na zamach, dla żadnego z nas. Dookoła jest zbyt wielu ludzi. Mnóstwo dróg dla każdego, kto chciałby odejść. Można to uznać za neutralną lokalizację.

– Jeśli dobrze pamiętam – zauważył Thomas – kiedy Letnia Panna próbowała cię ostatnio dopaść, czy nie ożywiła sterty roślin, zmieniając je w ogromnego potwora, który próbował cię zabić w centrum ogrodnictwym Walmarta?

Przez kilka sekund jechałem w milczeniu.

– Tak, ale... było ciemno. Nie tak wielu ludzi w okolicy.

– Och. W porządku.

Uniosłem lewą pięść, grzbietem w jego stronę, a prawą zataczałem niewielkie kręgi, jednocześnie powoli podnosząc środkowy palec lewej dłoni, aż wyprostował się całkowicie. Później odwróciłem się do Sitha.

– A ty co sądzisz? Czy spotkanie w takim miejscu jest akceptowalnym ryzykiem?

– Byłbyś głupcem, gdybyś w ogóle się z nią spotkał. Jednak biorąc pod uwagę jej obietnicę i wybrane miejsce, oceniam, że jest przynajmniej możliwe, że rzeczywiście zamierza z tobą pertraktować.

– A jeśli kłamie? – wtrącił Thomas.

– Nie może. Żaden z sidhe ani większych mocy obu dworów nie może wypowiedzieć kłamstwa wprost. Prawda, Sith?

– Logicznie rzecz biorąc, mojej odpowiedzi na to pytanie nie można by uznać za prawdę.

Westchnąłem.

– Cóż, tak to jest między nimi. Żadnych kłamstw. Mogą bawić się słowami, mogą unikać odpowiedzi, mogą cię zmylić, skłaniając do wyciągnięcia błędnych wniosków, ale nie mogą wypowiedzieć ewidentnego kłamstwa.

Thomas potrząsnął głową, skręcił na autostradę I-94 i skierował się na północ.

– Nadal mi się to nie podoba. Ta banda nigdy nie daje tego, czego się spodziewasz.

– Pomyśl tylko, jakie by to było nudne, gdyby to robili.

Obaj rozważaliśmy to tęsknie przez uderzenie serca.

– Może i musisz iść sam – stwierdził Thomas. – Ale ja będę trzymał się blisko. Jeśli coś się posypie, narób hałasu, a wejdę do akcji.

– Nie posypie się. A jeśli do tego dojdzie, nie chcę, żeby komuś stała się krzywda. Lato jest dziwne, ale w sumie to dobrzy sąsiedzi. Nie mam do nich pretensji, że są nerwowi.

Sith mruknął coś z odrazą.

– Masz jakiś problem? – spytałem go.

– To... współczucie. Jeśli wolisz, panie Rycerzu, mogę ci teraz poderznąć gardło, a wampir przynajmniej oszczędzi na paliwie.

– Mam lepszy pomysł. Chcę, żebyś trzymał się Thomasa i ostrzegał go przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Jeśli dojdzie do walki, twoim celem jest udzielenie mu wsparcia i upewnienie się, że i on, i ja uciekniemy, nie robiąc przy tym krzywdy przypadkowym osobom i nie zabijając żadnych śmiertelników.

Sith zaczął wydawać z siebie dźwięk, który kojarzył mi się z moim kotem tuż przed zwróceniem klaczka.

– Ej – powiedział Thomas – to są ręcznie szyte skórzane obicia!

Sith wypluł kulkę wielkości niedużej śliwki, która jednak zamiast sierści zawierała odłamki kości. Z pogardą machnął ogonem, po czym wskoczył lekko na tylną kanapę hummera.

– Dupek – mruknął Thomas.

– Jedź – powiedziałem.

Skrzywił się i tak zrobił. Po kilku milach spytał:

– Myślisz, że to się uda? Ten szczyt pokojowy?

– Pewnie. – Po sekundzie dodałem: – Prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie?

– Może.

– Zeszliśmy już do może?

Wzruszyłem ramionami.

– Zobaczymy.

Rozdział dwudziesty czwarty

Chicagowski ogród botaniczny nie znajduje się w samym Chicago, co zawsze wydawało mi się odrobinę nie na miejscu. Badum-tss!

Padał przelotny deszcz uśredniony do łagodnej mżawki. Powietrze było chłodne, w granicach pięćdziesięciu stopni, co w połączeniu z deszczem oznaczało, że w ogrodzie raczej nie tłoczyli się zagorzali miłośnicy flory. Pogoda mi nie przeszkadzała. Mógłbym zdjąć kurtkę i czuć się dobrze – ale tego nie zrobiłem.

Dziadek nauczył mnie, że magii nie należy traktować nonszalancko, a jej nie uznawano za uwodzicielską, demoralizującą siłę w rodzaju czarnej magii czy opończy Rycerza Zimy. Instynkt podpowiadał mi, że im bardziej będę polegał na mocy Mab, tym większy będzie miała na mnie wpływ. Nie ma się co nią chęłpić.

Kiedy wszedłem do środka, znalazłem się w odosobnieniu, które trudno byłoby odtworzyć gdziekolwiek indziej tak blisko miasta. Ogród ma wielkość skromnej farmy, ponad trzysta akrów powierzchni. Dla mieszczuchów to niewiele znaczy, ale tłumacząc to na jednostki Chicago, oznacza kilkanaście kwartałów ogrodu. Dużo przestrzeni do spacerów. Można godzinami chodzić po różnych ścieżkach i nigdy nie trafić do tego samego miejsca.

Większość drózek była szara i pusta. W pobliżu wejścia minąłem emeryta, a później ogrodnika śpieszącego, by schronić się przed deszczem w czymś, co wyglądało jak zakamuflowana szopa na narzędzia, poza tym jednak odnosiłem wrażenie, że mam ogród dla siebie.

Tu i tam dostrzegałem świąteczne dekoracje – dużo dyń i kolb kukurydzy w miejscach, gdzie planowano halloweenowe zabawy. Najwyraźniej po południu w ogrodzie miała się odbyć impreza z gatunku „cukierek albo psikus”, ale jak na razie w okolicy nie kłębiły się poprzebierane dzieci i przemoczeni rodzice. Właściwie było to trochę niesamowite. Okolica wyglądała, jakby powinna być zatłoczona, sprawiała wrażenie, jakby jej przeznaczeniem były tłumy, ale panującą wokół ciszę zakłócały jedynie moje ciche kroki i szmer deszczu.

Mimo to nie czułem, że jestem sam. Ludzie ciągle powtarzają „czułem na sobie czyjeś spojrzenie”. I nie bez powodu – uczucie jest bardzo prawdziwe i nie ma nic

wspólnego z magią. Rozwinięcie instynktu ostrzegającego, kiedy jest się obserwowanym przez drapieżnika, ma fundamentalne znaczenie dla przetrwania. Jeśli kiedykolwiek znajdziecie się w niepokojącej sytuacji i będziecie mieli silne odczucie, że ktoś was obserwuje, śledzi albo na was poluje, radzę, byście nie ignorowali tego instynktu. Nie pojawia się bez powodu.

Po pięciu minutach spaceru instynkt zmienił się w pewność. Ktoś mnie śledził. Nie umiałem dostrzec, kto to robił, a w okolicy było mnóstwo roślin, które mogły ukryć dotrzymującą mi kroku osobę lub istotę.

Może obawy mojego braciszka nie były tak do końca nieuzasadnione.

Lily nie powiedziała, gdzie dokładnie zamierzała się ze mną spotkać – a raczej ja zbyt krótko zamęczałem Kota Sitha o szczegóły. Futrzasty dupek spokojnie odmówił mi tej dość ważnej informacji, po prostu o niej nie wspominając, a ja nie przepytałem go wystarczająco szczegółowo. Moja wina. Więcej niż parę razy w życiu zagrałem kartą złośliwego posłuszeństwa, ale po raz pierwszy ktoś zagrał nią przeciwko mnie.

A niech to. Nic dziwnego, że doprowadza ludzi do szału.

Dlatego zacząłem systematycznie przemierzać główne drogi. Ogród stworzono na wyspach na niewielkim jeziorze, połączonych mostkami i zgrupowanych tematycznie.

Lily czekała na mnie na zadaszonym mostku prowadzącym do ogrodu japońskiego.

Jej długie, miękkie włosy opadały łagodnymi falami na plecy i sięgały aż do krzyża. Były srebrzysto-białe. Pogoda wyraźnie nie przeszkadzała jej bardziej niż mnie. Lily miała na sobie prostą zieloną sukienkę na ramiączkach, długą do kolan, jakiej można by się spodziewać w lipcu. Dla pozorów przez jedno ramię przerzuciła złożony sweter w pastelowym odcieniu zieleni. Jej stopy otaczały brązowe skórzane sandały, ich paski krzyżowały się wokół kostek. Stała bardzo nieruchomo, a spojrzenie jej zielonych oczu skupiało się na zmarszczkach na jeziorze, wzbudzanych przez drobne krople wody.

I gdybym nie był pewien, gdybym nie znał rysów Lily tak dobrze, by wiedzieć, że to ona, mógłbym przysiąc, że patrzę na Aurorę, Letnią Pannę, którą zamordowałem na kamiennym stole.

Zanim wkroczyłem na most, zatrzymałem się na chwilę, by się rozejrzeć, naprawdę skupić zmysły. Tam, w krzakach – coś, co poruszało się z kocią zwinnością, śledziło mnie w całkowitym milczeniu. Inne obecności wypełniały wodę, wzbudzały więcej zmarszczek, niż mógłby sam deszcz. A po drugiej stronie mostu kryły się inne

obecności, zasłonięte magią, która nie pozwalała mi dowiedzieć się więcej na ich temat poza samym ich istnieniem.

Domyślałem się, że strażników było co najmniej dwa razy więcej, tych, których nie mogłem wyczuć bez naprawdę sporego wysiłku. Zakładałem, że byli najsprawniejszymi i najpotężniejszymi z eskorty Lily.

Gdyby Lily zamierzała zrobić mi krzywdę, wejście na ten mostek było doskonałym sposobem, bym wpakował się w pułapkę, i naprawdę fantastycznym miejscem, by mnie postrzelono. Balustrada po obu stronach powstała z lekkiego, delikatnego materiału i nie zapewniałaby żadnej osłony. Strzelec mógłby się ukryć w niemal nieograniczonej liczbie miejsc. Gdybym tam wszedł, a Lily zamierzała zrobić mi krzywdę, miałbym piekielny problem, by stawić jej opór.

Ale dała słowo, że tego nie robi. Spróbowałem spojrzeć na to z jej punktu widzenia – w końcu ja nie dałem słowa, a nawet gdybym to zrobił, zawsze mógłbym je złamać. Gdybym zamierzał zaatakować Lily, mostek pozwoliłby mi zablokować, spowolnić, by ona i jej towarzysze mieli szansę uciec.

Do diabła z tym. Nie miałem czasu na rozmyślanie.

Zgarbiłem się i wkroczyłem na mostek z nadzieją, że nikt nie postrzeli mnie po raz drugi.

Lily nie pokazała po sobie, że mnie dostrzega, aż znalazłem się w odległości około dziesięciu stóp. Wtedy po prostu podniosła wzrok znad wody, choć nie patrzyła na mnie.

To ja poprosiłem o to spotkanie. Zatrzymałem się, złożyłem jej ukłon i powiedziałem:

– Dziękuję za spotkanie, Letnia Panno.

Minimalnie pochyliła głowę.

– Panie Rycerzu.

– Minęło sporo czasu.

– Względem czego?

– Życia, tak sądzę.

– Wiele się wydarzyło – zgodziła się. – Wojny gorzały. Imperia upadały. – W końcu odwróciła głowę i spojrzała prosto na mnie. – Przyjaciele się zmienili.

Jako śmiertelniczka Lily była olśniewająca. Kiedy została Letnią Panną, jej uroda wzrosła tak bardzo, że zmieniła się w coś ledwie ludzkiego, coś tak namacalnego i intensywnego, że emanowała nim jak światłem płynącym ze skóry. Było to inne piękno niż to Mab czy Maeve. Ich urok był pustką. Patrzenie na nie tworzyło jedynie

pożądanie, potrzebę, która domagała się zaspokojenia.

Uroda Lily była natomiast ogniem, źródłem światła i ciepła, czymś, co rodziło poczucie głębokiej satysfakcji. Patrzenie na Lily sprawiało, że bóle mojego serca ustąpiły, i nagle poczułem, że po raz pierwszy od wielu miesięcy mogłem swobodnie oddychać.

A jakaś inna część mnie gwałtownie wypełniła mój umysł brutalnym i szczegółowym obrazem – moje palce zaplątane we włosach Lily, te miękkie, delikatne usta pod moimi, jej ciało wijące się pod moim ciężarem, gdy popychałem ją na ziemię. To nie była próżna myśl, sen na jawie ani fantazja. To był plan. Jeśli Lily była nieśmiertelna, nie mogłem jej zabić. Co nie znaczyło, że nie mogłem jej posiąść.

Na kilka sekund zapomniałem, jak się mówi, gdy z wysiłkiem wypychałem ten obraz z mózgu. Później zmusiłem się, by odwrócić od niej wzrok, spojrzeć na wodę na jeziorze. Oparłem się o balustradę i złapałem ją rękami. Nieco się martwiłem, że jeśli nie dam im nic do roboty, mogą spróbować czegoś głupiego. Odetchnąłem głęboko i znów włączyłem ośrodkę mowy.

– Nie jestem jedynym, który zmienił się od tamtego dnia.

Czułem na sobie jej spojrzenie, uważnie skupione na mojej twarzy. Miałem wrażenie, że wiedziała doskonale, co poczułem.

– Prawda – szepnęła. – Ale dokonaliśmy swoich wyborów, czyż nie? I teraz jesteśmy tym, kim jesteśmy. Przepraszam, jeśli przeze mnie poczułeś się niezręcznie, panie Rycerzu.

– Co takiego? Teraz?

Kątem oka zobaczyłem jej skinienie głową.

– Przed chwilą patrzyłeś na mnie. Już wcześniej widziałam dokładnie taki wyraz twarzy.

– Slate.

– Tak.

– Cóż – warknąłem – nie jestem Slate'em. Nie jestem potworem stworzonym przez Maeve, by się nim bawić.

– Nie. – Głos Lily brzmiał smutno. – Jesteś bronią stworzoną przez Mab, by prowadzić wojny. Biedaku. Zawsze miałeś takie dobre serce.

– Miałeś?

– Już nie jest twoje – powiedziała cicho Lily.

– Nie zgadzam się. Usilnie.

– A ta potrzeba, którą poczułeś przed chwilą? Czy to pragnienie pochodziło

z twojego serca, panie Rycerzu?

– Tak – odparłem po prostu.

Lily znieruchomiała na chwilę z lekko przechyloną głową.

– Każdy ma w swoim wnętrzu złe rzeczy. Nie obchodzi mnie, jak łagodny, święty, szczerzy albo oddany ktoś jest. Są tam złe rzeczy. Żądza. Chciwość. Brutalność. Nie potrzeba niegodziwej królowej, by do tego doprowadzić. To część każdego. Czasem większa, czasem mniejsza, ale zawsze tam jest.

– Mówisz, że od początku byłeś tak niegodziwy?

– Mówię, że mógłbym być. Wybrałem coś innego. I zamierzam przez cały czas wybierać coś innego.

Lily uśmiechnęła się i znów spojrzała na jezioro.

– Chciałeś rozmawiać ze mną o moim Rycerzu.

– O Fiksie, tak. Zasadniczo dał mi czas do południa na opuszczenie miasta albo dojdzie do strzelaniny w OK Corral. Jestem zajęty. Nie mam czasu na wagary z miasta. Ale nie chcę też, żeby któremuś z nas stała się krzywda.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Powiedz mu, żeby się wycofał. Choćby na kilka dni. To ważne.

Lily pochyliła głowę.

– Mówię to z żalem, panie Rycerzu. Ale nie. Nie zrobię tego.

Próbowałem nie zgrzytać zębami zbyt głośno.

– Dlaczego nie?

Znów wpatrzyła się we mnie, spojrzenie jej zielonych oczu było przenikliwe.

– Czy to możliwe? Czy to możliwe, że zaszedłeś tak daleko, zadawałeś się ze swoim obecnym towarzystwem, i nie uświadamiasz sobie, co się tutaj dzieje?

– Hmm. – Zmarszczyłem czoło. – To znaczy tutaj, dziś?

– To znaczy tutaj. W naszym świecie.

– No tak. Może nie słyszałaś, ale ostatnio rzadko przebywałem w naszym świecie.

Lily pokręciła głową.

– Wszystkie kawałki leżą przed tobą. Musisz je tylko zebrać.

– Może jeszcze mniej jasno? Dlaczego nie możesz mi tak po prostu powiedzieć, o czym, do diabła, mówisz?

– Jeśli wiesz, nie trzeba rozmawiać. Jeśli naprawdę nie wiesz, żadna przemowa cię nie przekona. Niektórych rzeczy trzeba się dowiedzieć samodzielnie.

Mruknąłem z obrzydzeniem i splunąłem do jeziora. Macie, ukryci strażnicy.

– Lily. Posłuchaj, to nie jest skomplikowane. Fix zaraz po mnie przyjdzie. Nie chcę

zrobić mu krzywdy. Przybywam tu w pokoju, żeby wyjaśnić sprawę. Co takiego dziś zrobiłem, co przekonało cię, że jestem psychotycznym maniakiem, któremu nie można ufać?

– Nie chodzi o to, co zrobiłeś. Nie chodzi o coś, nad czym panujesz. Nie wiedziałeś. Na te słowa machnąłem rękami.

– Nie wiedziałem czego?

Lily zmarszczyła czoło i wpatrzyła się we mnie, na jej twarzy malowała się troska.

– Ty... – Pokręciła głową. – Boże, Harry. Ty mówisz poważnie. Nie jesteś jej stworem?

– Nie. Jeszcze nie.

Lily pokiwała głową i przez chwilę wyglądała, jakby się zastanawiała. Później spytała:

– Czy zabolaloby cię, gdybym cię dotknęła?

– Dlaczego?

– Bo muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć, czy już cię dopadło.

– Co?

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę ryzykować odpowiedzi na pytania, dopóki się nie upewnię.

Chrząknąłem. Zastanowiłem się. Jasne, mogłem utrzymać wewnętrznego jaskiniowca na smyczy, jeśli oznaczało to uzyskanie odpowiedzi.

– W porządku. Nie krępuj się.

Lily pokiwała głową i podeszła do mnie. Wyciągnęła rękę i szczupłymi, ciepłymi palcami dotknęła mojego czoła, jak matka sprawdzająca gorączkę dziecka. Została tak przez długi czas, spojrzenie miała zamysłone.

A później nagle krzyknęła i objęła mnie ramionami.

– Och. Och, och, och. Myśleliśmy, że zostałeś zajęty.

Dobra, nawet pomijając wewnętrznego jaskiniowca, w objęciach tak ładnej dziewczyny trudno wymyślić dowcipny komentarz.

– Uch. Od dawna nie miałem dziewczyny.

Lily odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się. Ten dźwięk przypominał jedzenie jeszcze ciepłych ciasteczek, stanie pod gorącym prysznicem i przytulanie puchatego szczeniaczka – to wszystko jednocześnie.

– Dosyć – stwierdziła. – Dosyć, wychodźcie. On jest przyjacielem.

I wtedy, tak po prostu, z absolutnie wszystkiego, co nas otaczało, zaczęły wyłaniać się fae. Elfy, niewielkie humanoidalne istoty mające co najwyżej dwie stopy wzrostu,

podnosiły się z krzaków. Wąż długości słupa telegraficznego wyslizgnął się spomiędzy krokwi mostu. Siedem albo osiem elfich ogarów o srebrzystej sierści wyszło zza kępy starannie przyciętych tui. Dwa potężne centaury i pół tuzina sidhe z Letniego Dworu po prostu zrzuciło zasłony. Wszyscy byli uzbrojeni w łuki. Auć. Gdybym próbował zrobić krzywdę Lily, moje ciało przypominałoby pierzastego jeżozwierza. Woda poruszyła się i wybiegła z niej gromadka wydr, które były zbyt wielkie, by urodzić się po tej stronie epoki lodowcowej.

– Ija ija o. A niech mnie. I to wszystko dla mnie?

– Jedynie głupiec nie szanowałby twojej siły. Szczególnie teraz.

Osobiście uznałem, że wszystko powyżej jednego elfa z tym łukiem było przesadą, ale nie chciałem, żeby o tym wiedziała.

– W porządku. Wzruszyłaś mnie. A teraz poproszę o odpowiedzi.

– Z całą pewnością. – Poruszyła ręką i otwarte powietrze nagle zaczęło robić wrażenie ciasnego pomieszczenia. Kiedy mówiła, jej głos brzmiał dziwnie, jakby dochodził przez radio. Rzuciła zaklęcie prywatności, by nikt nas nie podsłuchiwał. – Co chciałbyś wiedzieć?

– No tak. Dlaczego dotknęłaś w taki sposób mojej głowy? Czego szukałaś?

– Choroby. Pasożyta. Trucizny.

– Mogłabyś powtórzyć odpowiedź, ale bez poezji?

Lily patrzyła mi prosto w oczy, na jej ślicznej twarzy malowało się skupienie.

– Panie Rycerzu, musiałeś to dostrzec. Widzieć rozprzestrzenianie się tej zarazy. Od lat miałeś to przed oczami.

– Nie widziałem... – Moja głowa zaczęła łączyć elementy układanki. – Ty... nie mówisz o fizycznej chorobie, prawda?

– Oczywiście, że nie. To rodzaj duchowej dolegliwości. Umysłowej plagi. Infekcji, która powoli rozprzestrzenia się po świecie.

– A... ta plaga. Co robi?

– Zmienia to, co nie powinno się zmienić. Niszczy miłość ojca do rodziny, zmieniając ją w maniacką ambicję. Zniekształca i wypacza dobre intencje stróżów śmiertelnego prawa, prowadząc do przemocy i śmierci. Przeżera rozsądny strach, który powstrzymuje miernego czarownika przed sięgnięciem po więcej mocy, niezależnie od ceny.

Poczułem, że moja głowa leci do tyłu, jakby Lily uderzyła w nią młotkiem do krokieta, a żołądek znów podjechał mi do gardła.

– Victor Sells, Człowiek-Cień – szepnąłem. – Agent Denton i Hexenwolf. Leonid

Kravos, Koszmar. Moje trzy pierwsze duże sprawy.

– Tak – odszepnęła Lily. – Każdy z nich został splugawiony przez zarazę. Zniszczyła ich.

Położyłem dłoń na balustradzie i oparłem się o nią.

– Czwarta sprawa. Aurora. Czempion pokoju i uzdrawiania, który postanowił wywołać chaos w świecie.

W oczach Lily błyszczały łzy.

– Widziałam, co to z nią zrobiło. Nie wiedziałam, co działo się z moją przyjaciółką, ale widziałam, jak ją zmienia. Z każdym dniem wypacza coraz bardziej. Kochałam Aurorę jak siostrę, panie Rycerzu. Ale w końcu nawet ja dostrzegłam, czym się stała. – Z oczu Lily płynęły łzy, a ona nie próbowała ich wycierać. – Widziałam. Wiedziałam. W ostatecznym rozliczeniu być może ją zabiłeś, Harry. Ale może też oddałeś jej przysługę.

Pokręciłem głową.

– Nie... nie rozumiem, dlaczego nie chciałaś mi o tym powiedzieć.

– Nikt, kto o tym wie, nie rozmawia na ten temat.

– Dlaczego?

– Nie rozumiesz? A gdybyś ty również był splugawiony? A ja wyjawiałabym ci, że umiem rozpoznać, co się dzieje?

Zmusiłem mózg do pracy i zastanowiłem się.

– Uch... no tak... – Zrobiło mi się niedobrze. – Byłabyś zagrożeniem. Musiałbym cię zabić, żeby cię uciszyć. Albo zrobić z ciebie kolejnego rekruta.

– Dokładnie tak.

– A dlaczego podejrzewasz mnie o bycie splugawionym...?

Usłyszałem, jak mój własny głos cichnie, kiedy uświadomiłem sobie jedyną rzecz, która mogła nastawić Lily tak bardzo przeciwko mnie.

– Spokojnie – powiedziała Lily i wyciągnęła rękę.

A wtedy na przeciwny koniec mostu wkroczyła przeklęta Maeve, Zimowa Panna, i ruszyła w naszą stronę. Miała na sobie ciemnofioletowe skórzane spodnie i niebieskofioletowy sweter, którego rękawy zasłaniały dłonie, a na jej wargach malował się złośliwy uśmiezek.

– Hej, mięśniaku. Lily sprzedała ci już niusa?

– Jeszcze nie. Maeve, to nie jest coś, co można komuś po prostu zrzucić na głowę.

– Oczywiście, że tak. – Maeve uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Maeve... – zaczęła mówić Lily.

Maeve zrobiła piruet, który skończył się tak, że palce jej stóp prawie dotykały moich, i uśmiechnęła się do mnie, a jej zbyt ostre zęby były bardzo białe.

– Masz aparat? Chciałabym, żeby ktoś zrobił zdjęcie.

– Ojej – westchnęła Lily.

Maeve pochyliła się i uśmiechnęła jeszcze szerzej.

– Mab – wydyszała – moja matka, Królowa Powietrza i Ciemności i twój suweren...

– Nachyliła się jeszcze bardziej i szepnęła: – Mab została splugawiona i całkowicie oszalała.

Mój kręgosłup zmienił się w kruchy lód.

– Co takiego?

Lily patrzyła na mnie ze smutną, poważną miną.

Maeve zachichotała dźwięcznie.

– To prawda. Zamierza zniszczyć świat śmiertelnych, magu, i zrobić to tej właśnie nocy, wywołać chaos i zamęt, jakich nie pamiętano od czasu upadku Atlantydy. I nie myśl, że jest inaczej, ona go zniszczy.

Lily pokiwała głową, spojrzenie miała zbolale.

– Chyba że – zaczęła mówić. – Chyba że...

Dokończyłem myśl, której Lily wyraźnie nie chciała kończyć.

– Chyba że – szepnąłem – ktoś wcześniej zniszczy ją.

Rozdział dwudziesty piąty

Ten dzień zaczął się tak prosto – prawie zostałem zabity na własnym przyjęciu urodzinowym, a Mab rozkazała mi zabić nieśmiertelną. Przeżyłem pierwsze, a gdybym miał dość rozsądku, by zamknąć się i zrobić drugie bez zadawania pytań, mógłbym teraz siedzieć i czytać dobrą książkę albo coś podobnego i czekać, aż nadejdzie pora zatłuczenia Maeve.

A w zamian miałem to.

– Uwielbiam patrzeć, jak on myśli. – Maeve zwróciła się do Lily. – Prawie słyhać tego biednego chomika, który biega w kółeczku.

– Walnęłaś go tym po głowie. Czego się spodziewałaś?

– Ależ tego. – Oczy Maeve błyszczały. – Magowie zawsze są tacy pewni siebie. Uwielbiam widzieć ich wytrąconych z równowagi. Szczególnie tego.

– Dlaczego mnie? – Właściwie nie uczestniczyłem w ich rozmowie.

– Zabiłaś moją kuzynkę, magu – stwierdziła Maeve. – Aurora była nadętym babsztyłem, ale należała do rodziny. Cieszy mnie, kiedy cierpisz.

Spiorunowałem Maeve wzrokiem.

– Któregoś dnia się ze sobą nie zgodzimy. – Odwróciłem się do Lily. – Mówisz, że Mab chce urządzić Armagedon-thon, świetnie. Jak zamierza to zrobić?

– Nie jesteśmy do końca pewni. – Lily patrzyła poważnie.

– To ma coś wspólnego z tą wyspą.

Auć.

Zepsucie czyjegoś potężnego i zabójczego rytuału nie było aż tak przerażającą koncepcją. Robiłem to już wcześniej, więcej niż raz. Ale jakimś sposobem świadomość, że to był rytuał Mab, pogarszała sytuację. Widziałem Mab wcześniej, nieskażoną percepcją mojego Wejrzenia, i z absolutną jasnością pamiętałem, jaką potęgą dysponowała. Moc kogoś w rodzaju Mab opisywało się z użyciem skali wykładniczej. Czułem się jak gość z łopata i paroma workami z piaskiem, któremu kazano powstrzymać tsunami.

I Mab znała to miejsce. Przez wiele miesięcy troszczyła się o mnie w tym miejscu. Znała mocne punkty Demonreach, jej obronę i potencjał. Do diabła, byłem jej biletem

do środka – właściwie jedynie dzięki mnie mogła się dostać na tę wyspę.

– Wiecie co? – powiedziałem. – Właściwie jest całkiem możliwe, że popełniłem błąd, dobijając targu z Mab.

Obie panny patrzyły na mnie spokojnie. Żadna z nich nie powiedziała „oczywiście”, ale słowo to wisiało w otoczonem zaklęciem powietrza.

I wtedy coś mi przyszło na myśl. Kot Sith całkiem niedawno bardzo skutecznie mnie oszukał, bo założyłem rozsądne rzeczy, a on pozwolił mi popędzić tą linią rozumowania. To nie była pora na popełnienie takiego błędu żółtodzioba.

– W porządku. Zrobię coś, czego, jak wiem, obie nienawidzicie. Będę bezpośredni. I uzyskam od was bezpośrednio odpowiedzi, odpowiedzi, które przekonają mnie, że nie próbujecie niczego przede mną ukryć ani wprowadzić mnie w błąd. Wiem, że obie musicie mówić prawdę. Udzielicie mi więc prostych, oznajmujących odpowiedzi albo założę, że spiskujecie, i sobie pójdę.

Na te słowa Lily zacisnęła wargi i założyła ręce na piersi. W jej spojrzeniu pojawił się wyrzut. Maeve przewróciła oczami, od niechcienia pokazała mi środkowy palec i stwierdziła:

– Magowie to straszne gnidy.

– Musisz się z tym pogodzić. Lily, jesteś pewna, że ta zaraza, o której mówisz, jest realna i działa w sposób, który opisałaś?

Lily wyglądała, jakby otworzenie ust wystawiało jej kubki smakowe na coś obrzydliwego, ale odpowiedziała:

– Absolutnie.

– Jesteś pewna, że Mab została... zakażona?

– Jestem niemal całkowicie pewna. Ale sama jej nie zbadałam.

– Ja to zrobiłam – powiedziała spokojnie Maeve. – Kiedy ty i moi ludzie zapewnialiście taką krzykliwą rozrywkę w czasie tego nudnego świętowania twoich urodzin, panie Rycerzu. – Przeciągnęła się i ziewnęła, upewniając się, że sweter opina jej pierś. – To był w końcu cel tego wszystkiego.

Skrzywiłem się.

– Zbadałaś Mab?

– Tak.

– I jesteś pewna, że została zakażona?

Na ułamek sekundy zadowolona z siebie mina Maeve się zmieniła, stała się poważniejsza, bardziej posępna. W tej chwili ona i Lily wyglądały jak bliźniaczki.

– Z absolutną pewnością.

– I jesteś pewna, że zamierza zaatakować świat śmiertelnych w sposób, jaki opisałaś?

Poważna wersja Maeve spojrzała mi w oczy.

– Tak. Zastanów się, magu. Przypomnij sobie swoją matkę chrzestną uwięzioną w lodzie w Arctis Tor. Wtedy moja matka ją pochwyciła i przekazała jej zarzę. Pomyśl o dzikich fae, które zachowywały się w sposób nietypowy i nieprzewidywalny. Pomyśl o dziwnym zachowaniu niektórych Domów Białego Dworu, które po stuleciach zastoju zmieniały dietę. Pomyśl o Fomorach, aktywnych i agresywnych po raz pierwszy od tysiąclecia. – Podeszła bliżej. – Żadna z tych rzeczy nie jest przypadkiem. Rozprzestrzenia się, ta siła, która chce zniszczyć świat, a nas wraz z nim. I cokolwiek stało się aż do tej pory, jest niczym w porównaniu z tym, co nadejdzie, jeśli Mab nie zostanie powstrzymana przed kolejnym wschodem słońca.

Maeve cofnęła się i patrzyła na mnie, jej egzotyczne oczy były nieprzejrzyste.

Wewnątrz zaklęcia prywatności zapadła cisza.

Cholera.

No i tak.

Żadna z panien nie mogła bezpośrednio skłamać. Nie pozostawiłem żadnej przestrzeni do omijania prawdy. Były poważne. Pewnie istniała szansa, że się myliły, ale z całą pewnością mówiły szczerze.

– Żadna z nas nie może jej powstrzymać. – Lily odezwała się pośród tej ciszy. – Nawet współpracując, nie mamy mocy koniecznej, by przebić się przez obronę Mab, a ona nie zmniejszy czujności w obecności żadnej z nas.

– Jedyne twojej – powiedziała Maeve.

– Jej Rycerza – dodała Lily. – Czempiona.

– Może nie być aż tak powściągliwa. – Oczy Maeve płonęły gorączkowo. – Masz dość mocy, by ją rozgromić, jeśli uderzysz, kiedy będzie nieprzygotowana.

– Co takiego? – wykrztusiłem.

– To, o co cię prosimy, nie jest uczciwe – powiedziała Lily. – Wiemy o ty... – Spojrzała na Maeve. – Cóż. Ja o tym wiem. Ale nie mamy wyboru.

– Ależ macie. A co z Tytanią? Królowa Lata jest dokładnym odpowiednikiem, czyż nie? Zwierciadłem Mab?

Panny popatrzyły po sobie ostrożnie.

– Mówcie. Skończyliśmy już z gierkami.

Lily pokiwała głową.

– Ona... odmawia działania. Nie wiem dlaczego.

– Bo jest przerażona, że również zostanie zakażona, to oczywiste – rzuciła Maeve.
– Posłuchajcie. Widziałem, czym jest Mab. Nawet jeśli uspię jej czujność, nie mam dość mocy, by pokonać kogoś jej klasy.

Lily zamrugła kilka razy.

– Ależ... ależ tak. Masz Zimę.

– Co ma znaczenie, ponieważ...?

– Ponieważ ona jest Zimą. Zima w twoim wnętrzu jest Mab i ona nią jest. Jedynym, przed czym nigdy nie możesz się obronić, jesteś ty sam. Ty szczególnie powinieneś o tym wiedzieć, magu.

Zadrżałem. Tak było.

– Rycerz Zimy jest użyteczną bronią – dodała Maeve. – Ale zawsze obusieczną. W walce z tobą Maeve nie jest potężniejsza od innych sidhe, panie Rycerzu.

Wpatrzyłem się zmrużonymi oczyma w Maeve.

– Chwileczkę. Do diabła, dlaczego miałbym uwierzyć, że próbujesz mi pomóc? Od kiedy to przejmujesz się światem śmiertelnych, Maeve?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Od kiedy uświadomiłam sobie, że jeśli moja matka upadnie, będę miała w Arctis Tor bardzo wielki i bardzo luksusowy fotel, magu. Nie myśl nawet przez chwilę, że robię to z dobroci serca. Chcę tronu.

To była przerażająca myśl. Mab była siłą natury, jasne, ale też często zachowywała się podobnie. Rzadko traktowała cokolwiek osobiście, nie miała faworytów i ogólnie rzecz biorąc, była równie niebezpieczna dla wszystkich. Maeve z kolei... Ta suka była nie w porządku. Myśl o opończy mocy Mab na jej ramionach przeraziłaby każdego obdarzonego choć odrobiną zdrowego rozsądku – a szczególnie faceta, który miał być jej osobistym czempionem.

– Nie podoba mi się pomysł, że miałbym ci służyć, Maeve.

Wtedy znów spojrzała na mnie wzrokiem seksownego kociaka.

– Jeszcze nie zaczęłam cię przekonywać, magu. Ale bądź pewien, że nigdy, przenigdy nie wyrzuciłabym narzędzia tak cennego jak ty, jeśli ci się uda.

– Nawet jeśli ty byłabyś następna w kolejce do pocięcia?

Maeve się roześmiała.

– Och, będę uwielbiać zabawy z tobą, panie Rycerzu. Ale wszystko po kolei. Nie masz wyboru, musisz działać. Jeśli tego nie zrobisz, zginą miliony śmiertelników. W ostatecznym rozliczeniu będziesz działał, by ich ochronić. Taki jesteś.

– Panna Maeve ma rację – powiedziała Lily z wyraźną niechęcią. – Pozostało

bardzo niewiele czasu. Rozumiem twój niepokój związany z konsekwencjami... odejścia... Mab, ale nie mamy wyboru. Ona po prostu jest zbyt niebezpieczna, by pozwolić jej trwać.

Warknąłem nisko.

– To szaleństwo.

– Niezła zabawa – Maeve zmarszczyła nos – nieprawdaż?

Spojrzałem na nie z ukosa.

– Co przede mną ukrywacie?

Lily zadrżała i wydawała się niezadowolona z pytania.

– Nikt nie może sobie uświadomić, że wiesz o zarazie. Nie wiesz, kto z twoich sojuszników i towarzyszy został już zajęty. Jeśli pokażesz po sobie, że wiesz, to ktoś z zarażonych albo cię usunie, albo zarazi.

– Coś jeszcze?

– Porozmawiam z Fixem. Poza tym nic.

Skinąłem jej głowę. Później spojrzałem na Maeve.

– A co z tobą? Coś ukrywasz?

– Chcę cię zabrać do swojego alkierza, magu. – Maeve oblizwała wargi. – Chcę robić z tobą rzeczy, które dadzą ci taką przyjemność, że mózg ci zacznie krwawić.

– Uch.

Jej lisi uśmiech stał się ostrzejszy.

– A poza tym moi poddani spróbują cię zabić.

Lily gwałtownie przeniosła wzrok na Maeve i otworzyła szerzej oczy.

– Ja mu niczego nie obiecywałam. – Maeve prychnęła. – A poza tym musimy dbać o pozory. Jestem pewna, że moja matka śledzi każde jego poruszenie. Jeśli nasze spotkanie przebiegnie pokojowo, wzbudzi to jej podejrzenia.

– Ach. – Lily skinęła głową. – Ojej.

Maeve pochyliła się w moją stronę i odezwała konfidencjonalnym tonem:

– Oni też nie wiedzą o zarazie, magu. Ich wysiłki będą więc całkiem poważne. Radzę ci stawiać opór. Usilny.

Zza rogu ogrodu po drugiej stronie mostka wyłoniło się siedem postaci, które ruszyły z determinacją w naszą stronę. Sidhe. Redcap kroczył na samym środku.

– Na dzwony piekieł – warknąłem i wbrew woli zrobiłem krok do tyłu. – Tutaj? Teraz? Mogłaś mi dać parę minut, żebym się zmył, do diabła.

– To by nie było zabawne. – Maeve wydeła dolną wargę. – Poza tym jestem, kim jestem. Kocham przemoc. Kocham zdradę. Kocham twój ból... a najlepsze, co podoba

mi się w tym najbardziej, to fakt, że robię to dla twojego własnego dobra. – Jej oczy błyszczały bielą wokół tęczy. – Oto jestem jedną z tych dobrych.

– Tak mi przykro, Harry – powiedziała Lily. – Nie chciałam tego. Sądzę, że powinieneś sobie pójść... – Odwróciła się do Maeve. – Żeby Zimowa Panna przedstawiła mnie swoim wasalom. Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

Maeve zamrugnęła i na jej twarzy pojawił się grymas.

– Och. Och, ty nadęty babsztylu.

Lily powiedziała z absolutną szczerością:

– Przykro mi, że psuję ci w ten sposób przyjemność, Panno, ale protokół jest bardzo jasny.

Maeve tupnęła jedną nogą w mostek, posłała mi ponure spojrzenie i złapała Lily za nadgarstek. Zaczęła ciągnąć Letnią Pannę w stronę swojego nadchodzącego orszaku.

Lily posłała mi mrugnięcie, przyjemne jak ciepło kubka z gorącą czekoladą, a ja zacząłem się cofać. Kiedy opuściłem mostek, ruszyłem biegiem. Nie wiedziałem, na jak długo taktyka Lily opóźni Redcapa i jego kumpli, i chciałem znaleźć się w aucie i zniknąć, zanim zostaną sobie przedstawieni.

Plan szedł całkiem niezłe do chwili, gdy mijalem wielką ścianę gęstych wiecznie zielonych roślin. Wtedy z krzaków jakieś pół kroku ode mnie wypadło coś małego i niewyraźnego. Dostrzegłem jeszcze Kapitana Haka w miniaturowym pancerzu, ciągnącego jakiś ciężki sznur, a później moje stopy zostały nim oplątane i upadłem.

Próbowałem zachować spokój, przetoczyć się i znów podnieść, ale to działa o wiele lepiej, kiedy nikt gwałtownie nie szarpie człowieka za nogę. Dlatego uderzyłem niezgrabnie o ziemię i przejechałem kilka stóp do przodu po mokrym betonie, a mój ciężar spoczywał głównie na piersi i policzku.

Auć.

Podniosłem się, poruszając się najszybciej, jak potrafiłem. Nie chciałem, żeby wbiły się we mnie kolejne stalowe gwoździe, dlatego, kiedy znów się ruszyłem, przeniosłem wzrok na niebo, rozglądając się za zbliżającym się wrogim Małym Ludkiem.

Nie byłem więc odpowiednio gotowy, kiedy z krzaków z boku wyłonił się mężczyzna w skórzanym stroju motocyklisty i uderzył kijem baseballowym w podstawę mojej czaszki. Nogi ugięły się pode mną i upadłem, uderzając brodą o ziemię.

Mimo oszołomienia przewaliłem się na plecy i uniosłem dłonie w roztargnionym, bezużytecznym geście obronnym. Dostałem czubkiem motocyklowego buta prosto

w jądra i cały mój świat wypełniły dezorientacja i ból.

– Tak – warknął mężczyzna. Był średniego wzrostu, miał kręcone ciemne włosy i krótką bródkę. – Tak, suko. Kto się teraz czołga po ziemi?

Zadanie tego pytania jakby go rozwścieczyło. Kopnął mnie w żebra, drugi raz prosto w brzuch, a ja zwinąłem się z sapnięciem.

Musiałem się poruszyć. Nadchodził Redcap. Nie wydałem żadnego dźwięku, który mógłby ostrzec Thomasa, że wpadłem w tarapaty – ale choć byłem tak solidnie podkręcony, nie potrafiłem przemóc oszałamiającego bólu tych ciosów. Tego rodzaju strzały robią zamieszanie w układzie nerwowym i zakłócają działanie maszynarii przesyłającej sygnały w ciele. Przez najbliższe kilka sekund nigdzie się nie wybierałem.

– Przebić go – warknął mężczyzna.

A wtedy te lodowate szpikulce czystej udręki, które czułem wcześniej, wypełniły moje ciało na wysokości prawego ramienia, lewej łydki i gdzieś w okolicach krzyża. Usłyszałem bzyczenie skrzydełek, kiedy napastnicy przelatywali obok mnie, wbijając gwoździe jak harpuny w osłabionego wieloryba. Bolało tak bardzo, że z trudem otworzyłem oczy i spojrzałem na napastnika.

Rozpoznałem go.

Ace, odmieniec, jedno z jego rodziców było śmiertelne, a drugie fae. Raz był ofiarą Lloyda Slate'a, a raz zdradził Fixa, Lily i dziewczynę imieniem Meryl. Patrzył na mnie oczyma pełnymi nienawiści i kilka razy odbił od dłoni aluminiowy kij do baseballa.

– Całe lata na to czekałem.

I zaczął walić mnie po głowie.

Rozdział dwudziesty szósty

Branie lania nie jest dla amatorów.

Należy zacząć wcześnie, może poprzez bycie często bitym jako dziecko w szkole. Następnie udoskonala się ten surowy talent przez znoszenie bicia w późniejszym wieku. Zwykle można znaleźć dowolną ekipę mięśniaków, a oni z chęcią wyświadczą tę przysługę, pod takim czy innym pretekstem. Prawdziwi mistrzowie rzemiosła wyszukują później utalentowane jednostki o szczególnych uzdolnieniach, by zapewnili najbardziej kompetentne i profesjonalne bicie.

Tak naprawdę w taki sposób człowiek uczy się walczyć. Przyjmuje bicie, staje się twardszy i jeśli nie przestaje unikać wszelkich bijatyk, znów dostaje lanie, aż uczy się, jak to się robi. Albo ginie.

Niektórzy goście są szczęściarzami, rodzą się z szalonym naturalnym talentem do walki i rzadko dostają łupnia – ale ja nigdy nie byłem jednym z nich. Musiałem uczyć się w bolesny sposób.

Jak każdy inny ból, bicie jest pouczające.

Ace zaczął machać aluminiowym kijem, a ja od razu dowiedziałem się dwóch rzeczy na jego temat. Po pierwsze, nie był silniejszy od innych gości jego postury – nie zrozumcie mnie źle, to oznaczało na tyle silnego, by mnie zabić. Ale nie mógł zadać mi ciosu łaski, zrzucając mi na głowę wózek widłowy. Po drugie, miał do sprawy podejście emocjonalne.

Widzicie, bicie może mieć jedynie parę celów. Albo chodzi o zniechęcenie kogoś do czegoś – flirtowania z dziewczyną, kradzieży portfela, duszenia, nieważne – i wtedy sensem bicia jest przekazanie bardzo prostej informacji: przestań. Drugim „powodem” bicia jest po prostu sprawienie bólu. Oczywiście tak naprawdę nie wiążą się z tym żadne przemyślenia, jedynie emocje, pragnienie sprawienia, by ktoś cierpiał. Czasami tego rodzaju pragnienie jest dobrze uzasadnione. Czasami to niewłaściwie skierowana wściekłość. A czasami, może częściej, niż chcielibyśmy wierzyć, ludzie po prostu lubią sprawiać innym ból.

Trzecią motywacją do bicia jest zabicie kogoś. Drugi i trzeci powód częściowo się przenikają.

Ace dostarczał mi bicie drugiego rodzaju. Nie myślał. Musiał sprawić, bym poczuł ból. A ja wyświadczałem mu tę przysługę.

Gwoździe były najgorsze, jak zamarzniete punkty czystego bólu w moim ciele. W porównaniu z tą udręką pierwsze kilka uderzeń kijem było tępym ćmieniem. Uniosłem ramiona między mózgownicę a kij, w miarę możliwości wystawiając na cios mięśnie ramion. Kości rąk są zdecydowanie mniej wytrzymałe niż kij od miotły i solidny cios pałką może je złamać. Jeśli jednak na drodze znajdują się mięśnie i tkanki miękkie, impet uderzenia się rozkłada, zarówno jeśli chodzi o powierzchnię, jak i czas. Siła się rozprasza – ale boli jak jasna cholera.

Zamachnął się kilka razy. Zablokowałem część ciosów. Jeden otarł się o moje czoło. Reszty unikałem, wijąc się, uderzenie kijem sprawiło, że z betonowego chodnika poleciały odłamki. Próbowałem kopnąć Ace'a w kolana, choć znajdowałem się w kiepskiej pozycji. Ta część konfliktu była ważna dla mnie.

W tym samym czasie dawałem Ace'owi to, co było ważne dla niego. Wrzeszczałem. Nie potrzebowałem do tego metody aktorskiej Stanisławskiego. Gwoździe bolały tak bardzo, że i tak zacząłbym krzyczeć. Dlatego darłem się wniebogłose, a on atakował mnie niemal z pianą na ustach, machał szybciej, mocniej – i bardziej chaotycznie.

Uderzanie kijem w szarpiący się cel jest trudniejsze, niż się wszystkim wydaje, a robienie tego i jednocześnie unikanie niezgrabnych kopniaków to rodzaj ćwiczeń, na które nie można liczyć w klubie fitness. Im dłużej to trwało, tym ciężiej oddychał i tym bardziej skupiał się na mnie.

Wrzeszczącym, wyjąłym, bardzo głośnym mnie.

Widzicie, tego rodzaju niespodzianki są powodem, dla którego należy zabierać wsparcie. Wiedziałem, że nie wytrzymam więcej niż kilku sekund ataku Ace'a. Wiedziałem również, jak szybko umie biegać mój brat.

Ale ktoś inny dotarł wcześniej.

Usłyszałem kroki, a później Ace sapnął. Popatrzyłem na niego przez odrętwiałe od ataku ramiona i zobaczyłem, że znów zadaje cios kijem, tym razem odwracając się w stronę stojącego celu.

Kij wystrzelił do przodu i nie zatrzymywał się, ale nagle do Ace'a podtoczyła się drobna postać, która podniosła się między jego piersią a kijem w wyciągniętej ręce. Wirowali, podążając za zataczającym łuk kijem, aż nagle pięty Ace'a wzniosły się w powietrze nad jego głową i mężczyzna wylądował na betonie, z pustymi rękami i jękiem bólu.

Nad nim stała kobieta. Miała pięć stóp wzrostu i szczupłą, ale silną sylwetkę, jakiej

można by się spodziewać po gimnastyczce klasy olimpijskiej, która w późniejszym wieku również zachowała sprawność. Jasne włosy miała obcięte krótko, na palec. Kiedy ostatnio ją widziałem, jej nos był zadarty. Od tego czasu został złamany, i choć się zagoił, dostrzegłem lekkie zgrubienie. Miała na sobie dżinsowe spodnie i kurtkę, a jej niebieskie oczy płonęły.

Ace zaczął wstawać, ale but motocyklowy znacznie mniejszy od jego własnego uderzył go w pierś.

Karrin Murphy spiorunowała go wzrokiem, wrzuciła kij w krzaki i powiedziała twardo:

– Nie podnoś się, łajzo. Jedyne ostrzeżenie.

Trudno zwerbalizować gorączkowe myśli przez ból wywoływany zimnym żelazem przebijającym moją skórę, ale udało mi się wydusić:

– Nadchodzą!

Murphy rozejrzała się, zerkając we wszystkie strony, w tym w górę, i zobaczyła opancerzony Mały Ludek nurkujący w jej stronę. Błyskawicznie wyciągnęła coś z kieszeni kurtki i krótkim gestem rozłożyła niewielką składaną pałkę. Mały Ludek opadł ją jak oddział wściekłych os.

Nie próbowała ich unikać. Stała na szeroko rozstawionych nogach i zadawała krótkie, precyzyjne ciosy pałką. Nie miała właściwie czasu, by celować, działała czysto odruchowo. Murphy od dziecka ćwiczyła sztuki walki, głównie aikido, ale inne też. Aikido obejmowało różne zabawne aspekty, a jednym z nich była nauka posługiwania się mieczem. Wiedziałem też, że wiele czasu poświęciła na treningi ze starożytnymi Einherjaren, postumarłymi nordyckimi wojownikami z Walhalli. Wątpiłem, by ktokolwiek z jej nauczycieli przygotował ją na tę sytuację.

Ale byli wystarczająco blisko.

Nieduża pałka rozmywała się w oczach, gdy zadała kilka szybkich, brutalnych ciosów, odrzucając na bok atakujące elfy, jednego po drugim. Rozległo się kilka odgłosów uderzenia, ostry brzęk, a później cichy stukot, kiedy Kapitan Hak został trafiony w powietrzu i poleciał na ziemię. Zabrzmiały wysokie okrzyki przerażenia i Mały Ludek zniknął.

Od początku do końca ta mała awantura trwała może z pięć sekund.

Sięgnąłem do gwoździ wystających z mojego ciała, ale Ace i jego kij baseballowy sprawili, że palce miałem zdrętwiałe i bezużyteczne. Za pomocą zębów udało mi się wyciągnąć ten z ramienia, co było nieprzyjemne w sposób, o którego istnieniu wcześniej właściwie nie wiedziałem. Wyplułem gwoździ i odkryłem, że wydają z siebie

krótkie, rozpaczliwe odgłosy bólu.

Murphy zrobiła kilka kroków do tyłu, aż jej pięta dotknęła mojego ramienia. Wtedy przestąpiła ostrożnie nad moim ciałem, nie odrywając przy tym spojrzenia od powalonego Ace'a.

– Bardzo źle?

Udało mi się wychrypieć:

– Gwoździe.

Rozległ się hałas w krzakah i wyłonił się z nich Thomas, w jednej dłoni trzymał pistolet, a w drugiej ten niewiarygodnie wielki nóż Gurków. Wycelował broń w Murphy, gwałtownie poderwał lufę do góry i skierował ją w stronę leżącego Ace'a.

– O, cześć, Karrin.

– Thomas – powiedziała krótko Murphy. Popatrzyła na mnie z góry. Próbowałem wskazać na gwoździe, które wciąż ze mnie wystawały, ale biorąc pod uwagę stan moich rąk, udało mi się jedynie słabo nimi zamachać. – Do diabła, Harry, nie ruszaj się.

Nie zajęło jej to długo. Dwa krótkie pociągnięcia i gwoździe zostały wyrwane. Poziom odczuwanego przeze mnie bólu zmniejszył się do jednej dziesiątej wcześniejszej wartości. Z ulgą opadłem na ziemię.

– Bardzo źle? – spytał Thomas.

– Jedna z ran krwawi, niezbyt mocno. Jezu, jego ręce.

– Musimy się stąd wydostać. – Mój własny głos wydawał mi się chrapliwy. – Nadchodzą kłopoty.

– Nie – usłyszałem piękny baryton Sidhe. – Kłopoty już tu są.

Wyłonili się zza zasłon, jedno po drugim, bardzo teatralnie, aż nieco mnie zaskoczyło, że nie przyjęli pozycji z kung-fu. Pośrodku grupy stał Redcap w czerwonym berecie. Pozostali otoczyli nas półokręgiem, przyciskając nas do żywopłotu za plecami. Wszyscy trzymali ostrza i pistolety. Wyglądali raczej jak grupa modeli w trakcie sesji zdjęciowej, ale wiedziałem, że to pozory. Sidhe lubią paradować, ale są zajadli.

Ace zaśmiał się chrapliwie.

– Widzisz? – zwrócił się do Redcapa. – Jednak potrzebowałeś mojej pomocy.

Redcap posłał Ace'owi spojrzenie i wzruszenie ramion, które chyba przyznawało mu rację.

– Cóż, wampir i upadła kobieta. Nie rozumiem, jak udaje ci się przekonać samego siebie, że jesteś bohaterem, Dresdenie, biorąc pod uwagę towarzystwo, w którym się

obracasz.

Te słowa wywołały śmiech pozostałych sidhe, którzy w ciągu ostatnich kilku lat najwyraźniej nie widzieli zbyt wiele zabawnych rzeczy.

Po kilku próbach udało mi się usiąść. Murphy odchyliła się do tyłu, schodząc mi z drogi. Zwróciła się do Thomasa:

– Kim jest ta banda klaunów?

– Rambo pośrodku to Redcap. Spora szycha w Faerie, jak sadzę. Pozostali to jego przydupasy.

– Och – powiedziałem. – Przydupasy. Ładnie.

– Dziękuję – odparł poważnie Thomas.

– I jak zakładam, mają problem z Dresdenem? – spytała Murphy.

– Chcą go zabić albo coś w tym rodzaju. Nie wiem. – Thomas pokiwał głową. – Dziś rano próbowali na skuterach wodnych.

– Łotry z Bonda z Rogerem Moore'em? – spytała Murphy pogardliwie. – Poważnie?

– Milcz, śmiertelna krowo – warknął jeden z sidhe.

Murphy spokojnie przeniosła na niego wzrok i pokiwała głową, jakby coś zapamiętywała.

– Jasne, w porządku. Ty.

Sidhe pomacał broń, a jego piękne rysy wykrzywił grymas.

Próbowałem się podnieść, ale kiedy w końcu udało mi się podeprzeć na kolanie, miałem ochotę wczłgać się do ciemnego pomieszczenia i rozplakać, jednocześnie wymiotując. Zatrzymałem się tam i walczyłem z zawrotami głowy, które próbowały znów mnie powalić. Czuję się silniejszy niż jeszcze przed chwilą. Gdybym miał pół godziny, chyba byłbym gotów do czegoś przypominającego magiczną przemoc. Ale nie miałem. Nie mogłem wyrwać się z tej sytuacji, a byłem całkiem pewien, że bez mojego wsparcia Karrin i Thomasowi też by się to nie udało. Potrzebowaliśmy innego rozwiązania.

– Posłuchaj, Red. Zrobiłeś swój ruch na mojej imprezie i nie wyszło ci to na dobre. Nic się nie stało. Nie mam do ciebie żalu. Próbowałeś zabić mnie i moich przyjaciół dziś rano na jeziorze Michigan, a ja rozumiem, dlaczego chciałeś to zrobić. To też nie poszło ci najlepiej. Dlaczego więc sądzisz, że tym razem ci się uda?

– Uważam, że mam sporą szansę. – Redcap się uśmiechnął.

– Nie ma powodu, żeby zrobiło się nieprzyjemnie.

Jego głos brzmiał wręcz żartobliwie, kiedy odparł:

– Naprawdę?

– Możemy to przerwać w tej chwili. Odwróć się i odejść. My zrobimy to samo. Wypuścimy tego tu Ace'a, kiedy dotrzemy do samochodów.

– Zabijcie go, jeśli chcecie – rzucił z roztargnieniem Redcap. – Ten mieszaniec jest dla mnie niczym.

Ace syknął i zapatrzył się na Redcapa.

– Nie liczysz się – powiedział spokojnie Redcap. – Wiele razy mówiłem ci to otwarcie.

– Ale ja... ja złapałem go dla ciebie. Spowolniłem go. Gdybym tego nie zrobił, nie dogonilibyście go.

Redcap wzruszył ramionami, ale nawet nie spojrzał na młodego mężczyznę.

– I uważam to za wyjątkowo dogodne. Ale nie prosiłem cię o pomoc. I z całą pewnością nie prosiłem cię, byś był niekompetentny i dał się złapać przez ofiarę.

Cieszyłem się, że Molly nie było w okolicy, bo nienawiść, którą nagle zapłonął Ace, była tak namacalna, że nawet ja ją poczułem. Słyszałem, jak zgrzyta zębami, a jego zaczerwieniona ze złości twarz wyglądała jak coś z komiksu. Ciało Ace'a naprężyło się, jakby przygotowywał się do poderwania się na równe nogi.

Wtedy Redcap odwrócił się, na jego twarzy malował się zbyt szeroki uśmiech sidhe, i pierwszy raz spojrzał na Ace'a.

– Ach tak. Może i nie masz talentu, ale przynajmniej masz charakter. Może jeśli przeżyjesz tę noc, omówimy twoją przyszłość.

Ace siedział tam i gotował się z wściekłości, piorunując Redcapa wzrokiem, a wszyscy skupiali się na nich dwóch.

I dlatego nikt poza mną nie zauważył, kiedy sytuacja w ciszy się zmieniła.

Redcap popatrzył znów na mnie i powiedział:

– Każ wampirowi zabić mieszańca, jeśli chcesz. Z radością wymienię życie syna na twoje, Dresdenie. Niektórzy sidhe traktują swoich potomków z sentymentem, ale ja nigdy do nich nie należałem. – Skupił się na mnie i wyjął z kieszeni niewielki nóż, zablokował ostrze. Było to narzędzie do zabijania na osobistą odległość. – Towarzysze – powiedział z nutą zadowolenia w głosie – od kogo zaczniemy?

Powietrze zatrzęszczało od nagłego napięcia. Sidhe patrzyli zbyt błyszczącymi oczyma, ich palce opadły na rękojeści i chwytły różnych broni. To się zapowiadało źle. Ja nie mogłem walczyć. Karrin nie mogła powstrzymać napastników, którzy nie tylko mieli przewagę liczebną, ale też działali z nadludzką szybkością i mogli stać się prawie niewidzialni. Sidhe mogli obronić się przed moją magią, chyba żeby udało mi się rzucić w jednego z nich absolutnie wszystkim, co miałem – a przy sześciu nie

miałem takiej szansy. Fizycznie byłem w tej chwili właściwie bezużyteczny.

Thomas może by sobie poradził, ale byłem pewien, że po przerwaniu tej chwili krystalicznego bezruchu Karrin i ja nie mieliśmy szans.

Chyba żeby ktoś przerwał ją we właściwy sposób.

– Hej – powiedziałem całkiem niewinnie. – Czy jeszcze minutę temu nie było was siedmioro?

Redcap przechylił głowę, a później spojrzał w prawo i w lewo. Pięcioro pozostałych sidhe spojrzało na niego, z wyjątkiem najdalszego końca ich szeregu, po mojej lewej. Stojący tam wojownik sidhe zniknął. Jedynym, co po nim pozostało, była jedna markowa tenisówka.

I wtedy właśnie, dokładnie w chwili gdy to sobie uświadomili, w krzaskach w odległości kilkunastu stóp rozległy się naprawdę udręczone wrzaski. Głos ten był krystalicznie czysty, niemal przypominał dzwon, a dźwięk przerażał, człowiek nie potrafiłby wydać z siebie czegoś takiego. Później rozległ się ohydny odgłos krztuszenia i krzyki ucichły.

Zapanowała cisza. Po chwili z krzaków wyleciał jakiś przedmiot, który wylądował u stóp sidhe najbliżej tego, który został zabrany. Była to paskudna zbieranina okrwawionych kości, długa na może półtorej stopy – kawałek kręgosłupa, wyrwany z ciała, wciąż z przyczepionymi kawałkami tkanki.

To wywołało reakcję wszystkich. Redcap przykucnął i uniósł dłonie w pozycji obronnej. Niektórzy sidhe zrobili kilka szybkich kroków do tyłu.

– Najświętsza Panienko – westchnęła Murphy.

Wszyscy skupiali spojrzenia na makabrycznym pocisku spoczywającym na chodniku, więc ich głowy nie były zwrócone w stronę przyszłości, nie umieli dostrzec, że sytuacja zaraz miała ponownie ulec zmianie.

– Hej – powiedziałem dokładnie tym samym tonem. – Czy jeszcze minutę temu nie było was sześcioro?

Spojrzenia przesunęły się na tyle szybko, że zobaczyły jeszcze zarośnięte kołyszące się w miejscu, gdzie coś wciągnęło w krzaki sidhe z drugiego końca linii, po mojej prawej stronie. Rozległy się kolejne krzyki, szarpiące wilgotne powietrze.

– Sith – syknęła jedna z kobiet sidhe, rozglądając się gorączkowo szeroko otwartymi oczyma i machając lufą kompozytowego pistoletu. – Kot Sith.

Nie zwracała na mnie uwagi, a ja wykorzystałem tę szansę. Popchnąłem wolę przez odrętwiałą prawą rękę i warknąłem:

– *Forzare!*

W tej samej chwili Thomas skierował broń na Redcapa i otworzył ogień.

Niewidzialna moc uderzyła w kobietę sidhe z mniej więcej taką samą energią, jak samochód jadący dwadzieścia pięć do trzydziestu mil na godzinę. Powinno być znacznie więcej i skupione na mniejszej przestrzeni, ale w moim obecnym stanie to było wszystko, co miałem, skoncentrowane w najlepszym ciosie, jaki mogłem zadać. Nie udało jej się powstrzymać zaklęcia, kiedy uderzyło, i poleciała daleko do tyłu. Odbiła się od rabatki z kwiatami, przeokoziółkowała i wpadła do jeziora.

Tymczasem Redcap i pozostali sidhe rozbiegli się we wszystkie strony i stali się niemal niewidzialni za zasłonami. Thomas mógł trafić jedno z nich. Trudno było usłyszeć odgłosy uderzenia w ciało albo krzyki bólu ponad dudnieniem absurdalnie wielkich pocisków jego desert eagle'a. Inne spluwy również strzelały.

Przepełniła mnie adrenalina, podniosłem się i krzyknąłem:

– Wycofujemy się!

Coś mignęło obok mnie i nagle z za własnej zasłony wyłonił się Kot Sith, skoczył z wyciągniętymi czterema łapami i odsłoniętymi pazurami. Wylądował na czymś, co wydawało się pustką, a jego łapy zadawały szarpiące, nadnaturalnie szybkie ciosy. Powietrze zaczęło krwawić, Sith odskoczył i znów zniknął, zaś w miejscu, w którym znajdował się jeszcze przed chwilą, pojawił się sidhe. Górna połowa jego ciała była zakrwawiona i rozszarpana, na jego twarzy malował się wstrząs. Osunął się powoli na ziemię, a oczy miał szeroko otwarte, jakby próbował zobaczyć coś w całkowitych ciemnościach. Jego dłonie zacisnęły się kilka razy, po czym znieruchomiał.

Spróbowałem zerwać się do biegu, ale zatoczyłem się niepewnie. Karrin to zobaczyła i podbiegła do mnie, powstrzymując mnie przed upadkiem. Nie dostrzegła, że za jej plecami Ace wyciąga niewielki pistolet i celuje w jej plecy.

Krzyknąłem i rzuciłem się na niego. Pistolet wystrzelił tylko raz, później przycisnąłem jego prawe ramię do ziemi swoimi obiema rękami i całym ciężarem ciała. Ace zaklął i zamachnął się pięścią w moją stronę. Ja kilka razy wbiłem czoło w jego nos. To odebrało mu wolę walki, a jego głowa zachwiała się niepewnie.

Rozległ się wysoki wrzask i malutka postać w pancerzu nabijanym haczykami wędkarskimi rzuciła się na moją twarz i szyję. Znów poczułem udrękę, kiedy te przekłute metalowe haczyki przebiły mi skórę. Dostrzegłem miniaturowy mieczyk kierujący się w stronę mojego oka. Przetoczyłem się, co sprawiło, że puściłem Ace'a, a moja głowa zatoczyła szeroki łuk – w ten sposób przeciwstawiłem siłę odśrodkową ruchowi mieczyka. Ostrze wbiło się w moją brew, ale minęło gałkę oczną, a połowę mojego pola widzenia zalał szkarłat.

Później wszystko było rozmazane. Uderzałem Kapitana Haka przedramieniem i za trzecim razem zadziory haczyków wyrwały się z mojej skóry. Ręka o sile żurawia hydraulicznego złapała za kurtkę i mnie podniosła, a później brat pomagał mi się ruszać. Wyczuwałem Karrin po swojej ślepej stronie, krzyczała coś do Thomasa, a później po tej samej stronie zaczął dudnić desert eagle.

Z krzaków wypadł sidhe, widoczny i ranny, Kot Sith deptał mu po piętach. Sidhe skoczył w powietrze, zamigotał i przeobraził się w jastrzębia o złocisto-brązowych piórach. Jego skrzydła uderzyły dwa razy, wzniósł się na jakieś dziesięć metrów – aż Kot Sith poszybował w powietrzu w spektakularnym susie, wylądował na grzbiecie jastrzębia i obaj polecili do jeziora.

Później było dużo ruchów, które bolały jak diabli, i upadłbym tuzin razy, gdyby brat mnie nie podpierał. Następnie zostałem na wpół rzucony na tylne siedzenie hummera, ciężko opadłem na skórzane obicia i byłem zbyt wyczerpany, by zrobić coś poza wciągnięciem nóg do środka, żeby mi ich nie przytrzasnęły drzwi. Przednie drzwi z obu stron otworzyły się i zamknęły, a silnik, wcześniej na jałowym biegu, zaryczał. Przyspieszenie na chwilę przycisnęło mnie do siedzenia.

Dopiero po kilku minutach jazdy zacząłem się podnosić. Kiedy w końcu usiadłem, zobaczyłem Thomasa za kierownicą, a Karrin na miejscu pasażera. W rękach trzymała należącego do Thomasa desert eagle'a i odwróciła się na siedzeniu, żeby obserwować drogę za nami.

Brat spojrzał na moje odbicie w lusterku wstecznym i skrzywił się.

– Wyglądasz koszmarnie.

Widziałem tylko jednym okiem. Sięgnąłem ręką do drugiego i odkryłem, że zalepiła je krew, która zaczynała już zasychać. Pochyliłem się, żeby obejrzeć się w lusterku wstecznym. Po tej stronie głowy miałem sporo krwi. Haczyki pozostawiły poszarpane, choć niezbyt wielkie otwory w skórze.

Karrin na ułamek sekundy przeniosła na mnie wzrok i może odrobinę poblądła, ale nie pozwoliła, by na jej twarzy pojawiły się inne uczucia.

– Chyba jest czysto. Za nami nikogo.

Thomas chrząknął.

– Mogą używać magii, a Harry pozostawił na ziemi sporo krwi. Jeśli będą chcieli nas śledzić, zrobią to.

– Do diabła – sapnęła Murphy. – Zamek?

– Żeby ludzie Marccone'a zmywali z niego krew? Pieprzyć to.

– Amen – zgodziłem się w zamroczeniu.

– Dokąd w takim razie? – spytała Karrin. – Twoje mieszkanie?

Thomas zdecydowanie pokręcił głową.

– Zbyt wiele ludzi zobaczy, jak go wnosimy. Zadzwońią na policję. A Lara ma w okolicy swoich szpiegów. Jeśli zabiorę tam rannego maga, pojawi się szybciej niż dostawa żarcia.

Chrząknął z bólu, kiedy wóz podskoczył na wyboju.

Karrin odwróciła się w jego stronę i pochyliła, żeby mu się przyjrzeć.

– Zostałeś ranny.

– Tylko raz – stwierdził spokojnie Thomas. – Gdyby to była paskudna rana, już bym się wykrwawił. Rana brzucha. Nie przejmuj się nią.

– Nie bądź idiotą. Wiesz, jak łatwo może dojść do zakażenia? Musisz się tym zająć.

– Jak tylko gdzieś się zatrzymamy.

– Chata Molly – zaproponowała Karrin. – Jest pod egidą Svartalfheimu. Ktokolwiek chciałby się tam dostać, musiałby poprowadzić solidny atak.

– Jasne – powiedziałem nieco bełkotliwie. – Tam.

– Do diabła, Dresdenie. – W głosie Karrin brzmiała irytacja. – Po prostu leż, aż się tobą zajmimy.

Zasalutowałem jej prawą ręką, zaraz jednak zatrzymałem się, bo poczułem, że jest dziwnie ciężka.

Spojrzałem. Wisiał na niej Kapitan Hak, kilka jego haczyków zaczepiło się o moją dzinsową kurtkę. Spojrzałem na malutką opancerzoną postać, a później trąciłem ją czubkiem palca. Kapitan wydał z siebie na wpół świadomy jęk, ale haczyki skutecznie go unieruchomiły.

– Hm. – Zacząłem chichotać. – Ha. Ha, ha, ha.

Thomas obejrzał się przez ramię i zamrugał kilka razy.

– Co to ma być, do diabła?

– Bezcenne źródło informacji – odparłem.

Thomas uniósł brwi.

– Zamierzasz przesłuchiwać to maleństwo?

– Jeśli Molly ma pipetę, możesz zafundować mu waterboarding – zasugerowała Murphy zjadliwym tonem.

– Rozluźnij się – powiedziałem. – I jedź. Musimy...

Zapomniałem, co tak naprawdę musieliśmy zrobić. Pewnie całe to chichotanie odebrało mi siły. Świat obrócił się na bok, a skóra na tylnym siedzeniu przycisnęła się do mojego pozbawionego ran policzka. Wydawała się chłodna i miła, co ostro

kontrastowało z falami czystego bólu i ciągłego pieczenia, które z każdym uderzeniem serca wypełniały moje ciało.

 Nie zatonąłem w czerni, ale raczej w ciemnej, niespokojnej czerwieni.

Rozdział dwudziesty siódmy

Obudziłem się, kiedy ktoś przycisnął mi do szyi rozżarzone żelazo.

Dobra, nic takiego się nie wydarzyło, ale kiedy wróciła mi przytomność, takie odniosłem wrażenie. Zakląłem i zacząłem machać rękami.

– Trzymajcie go, trzymajcie go! – powiedział ktoś z naciskiem w głosie.

Czyjeś ręce opadły na moje ramiona, przyciskały jej do gładkiej, sztywnej powierzchni.

– Harry – powiedział Thomas. – Harry, spokojnie, spokojnie. Jesteś bezpieczny.

Coś świeciło mi w oczy. Nieprzyjemnie. Zamrugalem, aż zobaczyłem unoszącą się nade mną odwróconą głowę Thomasa.

– Wreszcie – stwierdził Thomas. – Zaczynaliśmy się martwić. – Puścił moje ramiona i ni to poklepał, ni uderzył mnie w policzek. – Nie budziłeś się.

Rozejrzałem się. Leżałem na stole w mieszkaniu Molly, w tym samym miejscu, gdzie wcześniej zajmowaliśmy się obrażeniami Toota. Powietrze wypełniała ostra woń środka dezynfekującego. Czułem się koszmarnie, ale mniej niż w samochodzie.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem żylastego facecika z czarną czupryną, haczykowatym nosem i błyszczącymi, inteligentnymi oczyma. Jedną ręką uniósł metalową miskę, a drugą poruszył ostro zakończonymi szczypcami i upuścił do niej coś z brzękiem.

– A on tak po prostu się budzi? – spytał Waldo Butters, najlepiej znający się na polce patolog w Chicago. – Powiedzcie mi, że to nie jest ani trochę niepokojące.

– O czym ty mówisz? – spytałem.

Butters uniósł metalową miseczkę, przechylił ją w taki sposób, że mogłem zajrzeć do środka. Wewnątrz znajdowało się kilka malutkich, ostrych, błyszczących, zakrwawionych kawałków metalu.

– Zadziory z tych haczyków. Kilka z nich się odłamało i zostało pod skórą.

Chrząknąłem. Moje omdlenie w samochodzie nabrało sensu.

– No tak. Jeśli jakieś żelazo dostanie mi się pod skórę, chyba wchodzi w konflikt ze wszystkimi niesamowitościami Rycerza Zimy. Odbiera mi cały zapał.

Zacząłem się podnosić do pozycji siedzącej.

Butters bardzo spokojnie położył mi dłonie na piersi i popchnął mnie w dół. Mocno. Zamrugalem.

– Nie jestem szczególnie asertywny – mruknął przepaszająco. – I nie lubię zajmować się ludźmi, którzy wciąż żyją. Ale jeśli mam to zrobić, do diabła, zamierzam zrobić to dobrze. I dlatego będziesz tak leżał, aż powiem ci, że możesz wstać. Pojąłeś?

– Ja, no... Pewnie tak.

– Mądrze. Masz dwa wielkie sińce w miejscu, gdzie zwykle znajduje się dolna połowa twoich rąk. Pokrywają cię rany szarpane, kilka trzeba zszyć. W niektóre już wdał się stan zapalny. Muszę je wszystkie oczyścić. Nie uda mi się, jeśli nie będziesz leżał nieruchomo.

– Mogę to zrobić. Ale już czuję się znacznie lepiej, stary. Popatrz.

Uniosłem ręce i pomachałem palcami. Wydawały się trochę napięte. Spojrzałem na nie z góry. Były fioletowo nakrapiane i opuchnięte. Moje nadgarstki i przedramiona również pokrywały sińce i opuchlizna.

– Harry, kiedyś widziałem, jak narkoman walił pięścią w beton, aż połamał niemal wszystkie kości ręki. Nawet przy tym nie mrugnął.

– Nie jestem naćpany.

– Nie? Maszyna twojego ciała została uszkodzona. Fakt, że tego nie czujesz, nie oznacza, że wszystko jest w porządku – stwierdził stanowczo Butters. – Mam pewną teorię.

– Jaką teorię? – spytałem, gdy zajął się opatrywaniem ran.

– Cóż, powiedzmy, że jesteś królową elfów, która potrzebuje śmiertelnego cyngla. Chcesz, żeby był skuteczny, ale nie chcesz uczynić go zbyt silnym, by nad nim zapanować. Podwyższenie jego progu bólu wydaje mi się całkiem rozsądne. Gość nie jest wcale bardziej niezniszczalny, ale tak mu się wydaje. Zignoruje bolesne rzeczy w rodzaju... w rodzaju ran od noża albo...

– Postrzałów w brzuch? – podpowiedział Thomas.

– Albo postrzałów w brzuch, zgadza się. I przez większość czasu to pewnie duża przewaga. Może przebiec się po wrogach jak króliczek duracella... a później, kiedy będzie po wszystkim, oto i on. Czuje się wspaniale, ale w rzeczywistości jest okaleczony i jego ciało potrzebuje tygodni albo miesięcy na regenerację. Jeśli nie podoba ci się to, co zrobił, oto masz go, osłabionego i podatnego na cios. A jeśli ci się podoba, pozwalasz mu odpocząć i wykorzystujesz go innego dnia.

– A niech mnie, to cyniczne – stwierdziłem. – I wyrachowane.

– Dobrze się domyślam, prawda?

Westchnąłem.

– Tak, to brzmi... bardzo podobnie do Mab.

Szczególnie jeśli stwierdzenie Maeve, że jestem niebezpieczny dla Mab, było prawdą.

Butters pokiwał mądrze głową.

– Czyli nawet jeśli dzięki temu jesteś silny, szybki albo błyskawicznie zdrowiejesz, pamiętaj: jesteś tak samo wrażliwy na urazy jak wcześniej. Po prostu nie zauważasz, kiedy coś się dzieje... – Milczał przez chwilę, po czym dodał: – Nawet tego nie poczułeś, prawda?

– Czego? – Podniosłem głowę.

Położył dłoń na moim czole i znów popchnął ją w dół.

– Właśnie zaszyłem długą na trzy cale ranę nad jednym z twoich żeber. Bez znieczulenia.

– Hm. Nie. Ja nie... To znaczy... coś czułem, po prostu nie było to nieprzyjemne.

– Co potwierdza moją teorię. – Butters pokiwał głową. – Kiedy byłeś nieprzytomny, zaszyłem tę ranę nad twoim okiem. Coś pięknego. Aż do kości.

– Powinniśmy podziękować Kapitanowi Hakowi. Miał ten malutki mieczyk. – Spojrzałem na Thomasa. – Wciąż mamy Haka, prawda?

– Został uwięziony w piekarniku na blasze do pieczenia z powłoką ceramiczną. Uznałem, że z takiej ilości stali się nie wydostanie i damy mu trochę do myślenia, nim zaczniemy zadawać pytania.

– To coś strasznego dla jednego z Małego Ludku, stary.

– Zamierzam zacząć przygotowywać placek na jego oczach.

– Nieźle.

– Dziękuję.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Około godziny – odparł Thomas.

Butters prychnął.

– Dotarłbym tu szybciej, ale wczoraj w nocy ktoś się włamał do mojego mieszkania i musiałem posprzątać.

Skrzywiłem się.

– No tak. Racja. Przepraszam za to, stary.

Potrząsnął głową.

– Jeśli mam być szczery, nadal nie mieści mi się w głowie, że w ogóle tu jesteś.

Przecież urządziliśmy ci pogrzeb. Rozmawialiśmy z twoim duchem. Nie można dużo bardziej odejść.

– Przepraszam, że umieściłem leżącego policjanta na twoim mentalnym torze kolejowym.

– Ostatnio bardziej przypomina kolejkę górską, ale dobry umysł jest elastyczny. Jakoś sobie z tym poradzę, nie musisz się o mnie martwić. – Pracował przez chwilę, po czym dodał cichym szeptem: – W przeciwieństwie do niektórych.

– He? – spytałem.

Butters jedynie spojrział na drugą stronę mieszkania i wrócił do pracy.

Podążyłem za jego spojrzeniem.

Karrin siedziała zwinięta na fotelu obok kominka, po drugiej stronie dużego mieszkania, rękami obejmowała kolana, a głowę położyła na oparciu fotela. Miała zamknięte oczy i rozchylone usta. Wyraźnie spała. Ciche pochrapywanie potwierdzało tę teorię.

– Och. Aha. No tak. Nie wydawało się, że dobrze to znosiła, kiedy kręciłem się po okolicy jako duch...

– Niedopowiedzenie – szepnął Butters. – Dużo przeszła. I nic z tego nie sprawiło, że stała się mniej drażliwa.

Thomas mruknął coś, zgadzając się.

– Odpędziła większość przyjaciół – powiedział Butters. – Już nie rozmawia z gliniarzami. Nie odzywała się ostatnio do rodziny. Tylko ekipa Wikingów w TLP. Spędzam tam sporo czasu. Molly też. Chyba oboje wiemy, że Murphy jest w kiepskim stanie.

– A teraz oto jestem. A niech mnie.

– Co? – spytał Thomas.

Pokręciłem głową.

– Musiałbyś znać Karrin.

– Karrin, co? – powiedział Thomas.

Pokiwałem głową.

– Ona naprawdę poważnie traktuje porządek. Śmierć człowieka potrafi zrozumieć. Powrót człowieka z za grobu... to zupełnie inna kwestia.

– Czy ona nie jest katoliczką? A oni nie mają tego gościa?

Spojrzałem z ukosa na brata.

– Jasne. I dzięki temu jest jej o wiele łatwiej sobie z tym poradzić.

– Patrząc z punktu widzenia medycyny – wtrącił Butters – jestem pewien, że nie

byłeś martwy. A przynajmniej na tyle martwy, by uniemożliwić przywrócenie czynności życiowych.

– Co, byłeś tam?

– A ty? – odparował.

Chrząknąłem.

– Z mojego punktu widzenia wszystko wypełniła czerń, a później się obudziłem. Jako duch. Później wszystko wypełniła biel i się obudziłem. Obolały. A później potrzebowałem fizjoterapii, żeby wrócić do zdrowia.

– A niech mnie, fizjoterapia, poważnie? – spytał Butters. – Jak długo?

– Jedenaście tygodni.

– Tak, to naprawdę sprawia, że skłaniam się ku „śpiączce”.

– A ta cała historia z aniołami i duchami? Ku czemu się skłaniasz? Z punktu widzenia medycyny?

Butters zacisnął usta.

– Nikt nie lubi mądrali, Harry.

– Ja go nigdy nie lubiłem – zwierzył mu się Thomas.

– Dlaczego nie zrobisz czegoś użytecznego? – zaproponowałem. – Wyjdź na zewnątrz i zobacz, czy ktoś się tam nie czai, gotów zabić nas w chwili, kiedy wyjdziemy na zewnątrz.

– Ponieważ Molly musi za każdym razem wychodzić razem ze mną, bo inaczej nie wpuszczą mnie do środka, a teraz wyszła i zajmuje się twoimi zwiadowcami. Martwisz się, że ta ekipa elfów wykorzysta twoją krew, żeby cię wyśledzić?

– Nie jestem pewien. Wykorzystanie jej jest trudniejsze, niż się większości wydaje. Nie można dopuścić, żeby wyschła, i musi pozostać nierozcieńczona. Padało, więc gdyby ktoś chciał zdobyć moją krew, musiałby się tym zająć dosyć szybko... a Sith raczej rozprasza ich uwagę.

– Sith? – powtórzył Butters.

– Nie to, co myślisz – odparłem.

– Och. – Był wyraźnie rozczarowany.

– Poza tym – zwróciłem się do Thomasa – mniej się martwię, że wykorzystają ją, żeby mnie śledzić, a bardziej, że wykorzystają ją, by powstrzymać bicie mojego serca. Albo, no wiecie... sprawić, by wybuchło.

Thomas zamrugał.

– Mogą zrobić coś takiego?

– O mój Boże. – Butters zamrugał. – Czy to było właśnie to?

– Tak, mogą zrobić coś takiego, i najprawdopodobniej tak, jeśli masz na myśli te wszystkie morderstwa wokół rozbicia gangu narkotykowego TrójOko – odpowiedziałem im obu. – Butters, jak wygląda sytuacja? Skończyłeś?

– Na pustkę nocy. – Thomas nagle spowaźniał. – Harry... nie powinniśmy rysować kręgów albo coś w tym rodzaju?

– Nie ma sensu. Jeśli zdobędą krew, mają cię. Może gdybym uciekł i ukrył się gdzieś w Nigdyngdy, ale nawet wtedy nie ma pewności.

– Ile krwi potrzebują? – spytał Butters.

– Zależy. Zależy od tego, jak skuteczna jest ich magia... ich poziomu umiejętności. Zależy od świeżości krwi. Równie dobrze może też zależeć od dnia tygodnia i fazy księżyca. Nigdy z tym nie eksperymentowałem. Im więcej energii chcą przesłać, tym więcej krwi potrzebują.

– A to znaczy? – spytał Butters. – Usiądź, żebym mógł opatrzyć te.

Usiadłem i uniosłem ręce, żeby mu nie przeszkadzały, a jednocześnie wyjaśniałem.

– Zakłęcie śledzące to właściwie nic, jeśli chodzi o wymaganą energię. Do tego nie potrzebowaliby zbyt wiele.

Butters kilka razy owinął mój brzuch bandażem.

– Ale gdyby chcieli, żeby wybuchła ci głowa, potrzeba więcej?

– Zależy od tego, jak są dobrzy. Nie muszą przecież zmiażdżyć głowy na papkę, jak młotem kowalskim. Mogą wbić szpikulec do lodu przez nos. Mniejsza siła, ale skoncentrowana na mniejszej powierzchni, rozumiesz? – Zadrzałem lekko. – Jeśli mają moją krew i mogą jej użyć, jestem w czarnej dupie i koniec. Ale dopóki do tego nie dojdzie, zamierzam zakładać, że wciąż mam szansę, i zachowywać się odpowiednio.

Wtedy zapadła cisza, a ja uświadomiłem sobie, że Butters i Thomas gapią się na mnie.

– Niby co? Magia jest niebezpieczna, chłopaki.

– Tak, dla nas wszystkich – powiedział Butters – ale Harry, ty jesteś...

– Że co? Kuloodporny? – Potrząsnąłem głową. – Magia jest jak reszta życia. Nieważne, ile gość może wycisnąć na ławce albo czy gołymi rękami łamie drzewa. Jeśli wpakować mu kulkę w mózg, umrze. Ja całkiem dobrze sobie radzę ze znajdowaniem miejsca, w którym mogę uniknąć tej kulki, i potrafię odpowiedzieć ogniem dużo lepiej niż większość ludzi... ale jestem równie bezbronny, jak wszyscy inni.

Ta myśl sprawiła, że zmarszczyłem czoło. „Równie bezbronny, jak wszyscy inni”.

Coś mi dokuczalo pod powierzchnią świadomych kalkulacji, ale nie umiałem wyciągnąć tego na światło dzienne. Jeszcze nie.

– Chodzi o to – powiedziałem – że gdyby zamierzali mnie zabić za jej pomocą, mieliby czas, by to zrobić.

– Chyba że oszczędzają to na przyszłość – stwierdził Butters.

Postarałem się nie warknąć.

– Tak. Dziękuję. Skończyłeś?

Butters oderwał ostatni kawałek plastra, przykleił nim koniec bandaża i westchnął.

– Tak. Spróbuj tylko nie... no cóż, poruszać się, skakać, być aktywnym albo dotykać brudnych rzeczy i w ogóle robić tych wszystkich rzeczy, które z całą pewnością i tak zamierzasz zrobić w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

– Dwunastu godzin. – Przerzuciłem nogi przez krawędź blatu.

– Aj-waj. – Butters westchnął.

– Gdzie moja koszula? – spytałem, wstając.

Thomas wzruszył ramionami.

– Spaliłem ją. Chcesz moją?

– Po tym, jak ubrudziłem ją zawartością jelit? Fuj.

Butters zamrugnął i spojrzał na Thomasa.

– Mój Boże. Zostałeś postrzelony.

Thomas wskazał kciukiem na Buttersa.

– Popatrz no tylko na tego tutaj Marcusa Welby'ego, lekarza medycyny.

– Ja bym stawiał jednak na Doogiego Howsera.

– Może zgodzimy się na McCoya?

– Doskonale.

– Zostałeś postrzelony! – powtórzył Butters z rozpaczą w głosie.

Thomas wzruszył ramionami.

– Cóż. Trochę.

Butters westchnął. Następnie wziął butelkę środka odkażającego i rolkę papierowych ręczników i zaczął wycierać stół.

– Boże, nienawidzę tego skrzyżowania Frankensteina z wojną secesyjną. Daj mi chwilę. Później się połóż.

Zostawiłem ich i przeszedłem przez mieszkanie do swojego pokoju. Do pokoju gościnnego Molly. Otworzyłem drzwi jak najciszej, żeby nie obudzić Karrin, i sięgnąłem po kolejną używaną koszulkę.

Znalazłem jedną czarną z białym symbolem Spider-Mana. Czarny uniform. Ten,

przez który Spider-Man na jakiś czas zmienił drużyny, i który w końcu sprawił mu mnóstwo problemów. Wydawała się stosowna.

Włożyłem ją i niemal podskoczyłem pod sufit, kiedy Karrin cicho zamknęła drzwi pokoju.

Stałem tam przez dłuższą chwilę. Jedyne źródłem światła była samotna świeczka.

Karrin patrzyła na mnie z nieprzeniknioną miną.

– Nie dzwonisz. – Kącik jej ust wygiął się w grymasie, który nie był uśmiechem. – Nie piszesz.

– Tak. Śpiączka.

– Słyszałam. – Założyła ręce na piersi i oparła się o drzwi. – Thomas i Molly oboje mówią, że to naprawdę ty.

– Tak. Jak mnie odnalazłaś?

– Podśluchiwanie częstotliwości policyjnych. Kiedy ostatnio w tym mieście wybuchła bomba, nastąpiło to w twoim biurze. Usłyszałam o kolejnej, która wybuchła na ulicy, a później doniesienia o wybuchach i strzelaninie nad jeziorem tuż po świcie. Nietrudno było dodać dwa do dwóch.

– Jak mnie śledziłaś?

– Nie zrobiłam tego. Obserwowałam mieszkanie Thomasa i śledziłam faceta, który śledził ciebie. – Poruszyła w zamyśleniu stopą, uniosła ją do drugiej łydki, jakby coś ją zaswędziało. – Nazywał się Ace... coś tam, prawda?

Pokiwałem głową.

– Pamiętasz.

– Próbuję mieć na oku złych gości. A tak zupełnie na marginesie... słyszałam, że należysz teraz do Mab.

Słowa uderzyły mnie jak policzek. Karrin przez wiele lat była detektywem. Umiała manipulować podejrzanym.

W takim razie pewnie byłem podejrzanym.

– Nie jestem cocker-spanielem – powiedziałem cicho.

– Nie mówię, że jesteś. Ale tam są istoty, które mogą zrobić różne rzeczy z twoją głową, i oboje to wiemy.

– Myślisz, że to właśnie się stało? Że Mab nadała nowy kształt mojemu mózgowi?

Wyraz jej twarzy złagodniał.

– Myślę, że robi to wolniej. Jesteś... dość gwałtowną osobą. Zwykle rozwiązujesz problemy w sposób zdecydowany i szybko. Tak myślisz. Jestem skłonna uwierzyć, że

znalazłeś sposób, by powstrzymać ją przed... nie wiem. Nadpisaniem cię.

– Powiedziałem jej, że jeśli spróbuje, zacznę być kłótlivy.

– Boże. Jeszcze nie zacząłeś?

Na wpeł się uśmiejnęła. Przez sekundę było prawie w porządku.

Później jednak jej twarz znów spochmurniała.

– Sądę, że zrobi to wolniej. Po calu, kiedy nie będziesz uważał. Ale nawet jeśli nie...

– Co?

– Nie jestem na ciebie zła, Harry. Nie czuję do ciebie nienawiści. Nie uważam, że stałeś się zły. Wielu ludzi wpadło w tę samą pułapkę, co ty. Ludzi lepszych niż my dwoje.

– Uch. Pułapkę złej królowej Faerie?

– Chryste, Harry – powiedziała cicho Murphy. – Nikt nie zaczyna tak po prostu chichotać i ubierać się na czarno, i nie zgłasza się, by zostać nikczemnym potworem. Do diabła, jak myślisz, jak to się dzieje? – Pokręciła głową, spojrzenie miała pełne bólu. – Dzieje się to z ludźmi. Zwykłymi ludźmi. Dokonują wątpliwych wyborów, być może z bardzo dobrych powodów. Dokonują kolejnych wyborów i żaden z nich nie oznacza wymordowania całej sali pełnej świętych, zarżnięcia setek małych foczek ani nie jest tak szalony, by zaprowadzić ich do pokoju bez klamek. Ale to się kumuluje. A później pewnego dnia oglądają się za siebie i uświadamiają sobie, że za bardzo przekroczyli granicę i już nie pamiętają nawet, gdzie się znajdowała.

Odwróciłem wzrok. Coś zabolalo mnie w piersi. Nic nie mówiłem.

– Rozumiesz to? – spytała jeszcze ciszej. – Rozumiesz, jak niepewny stał się grunt, po którym krocysz?

– Doskonale.

Pokiwała kilka razy głową.

– To już chyba coś – powiedziała po chwili.

– I to wszystko? To znaczy... czy tylko dlatego tu przyszłaś?

– Nie do końca.

– Nie ufasz mi.

Nie spojrzala mi w oczy, ale też nie unikała mojego spojrzenia.

– To będzie bardzo zależeć od następnych kilku minut.

Odetchnąłem kilka razy przez nos, próbując zachować spokój, jasność umysłu, równowagę.

– W porządku. Czego ode mnie oczekujesz?

– Czaszka. Wiem, czym jest. Butters też. I... jest zbyt potężna, by pozostawić ją w niewłaściwych rękach.

– To znaczy w moich?

– Powiem ci, co wiem. Wiem, że włamałeś się do jego domu, kiedy był w pracy, i ją zabrałeś. Wiem, że pozostawiłeś Andi poranioną i posiniaczoną. I wiem, że po drodze trochę zdewastowałeś mu mieszkanie.

– I twoim zdaniem to znaczy, że stałem się zły?

Lekko przechyliła głowę, jakby się zastanawiała.

– Myślę, że pewnie miałeś jakieś zupełnie zwariowane pomysły w stylu samotnego bohatera. Powiedzmy... że martwię się, że masz już zbyt dużo na głowie.

Chciałem na nią warknąć, ale... miała trochę racji. Bob był zbyt potężny, by pozwolić mu wpaść w ręce kogoś, kto nie używałby go w sposób odpowiedzialny. A ja wykonywałem robotę Rycerza Zimy na pełen etat przez jakieś dwanaście godzin i już uświadomiłem sobie kilka niepokojących rzeczy na swój temat. Dwanaście godzin.

Jaki stałbym się za dwanaście dni? Dwanaście miesięcy? A jeśli Karrin miała rację i Mab zamierzała dopaść mnie powoli? Albo, co gorsza – co, jeśli byłem tylko człowiekiem? Władza deprawuje – a deprawowani ludzie nigdy nie dostrzegają, co się z nimi dzieje. Właśnie powiedziałem Buttersowi, że nie jestem magicznie kuloodporny. Musiałbym być aroganckim dupkiem, gdybym założył, że jestem moralnie nieomylny. Że byłbym mądry, bystry i na tyle łebski, by uniknąć niebezpieczeństw władzy, pułapek, które zmieniły ludzi lepszych ode mnie w coś koszmarnego.

Nie chciałem, żeby miała rację. Zupełnie nie podobał mi się ten pomysł.

Ale zaprzeczenie jest dla dzieci. Musiałem być dorosły.

– W porządku – powiedziałem przez ściśnięte gardło. – Bob jest w tamtej torbie w salonie. Oddaj go Buttersowi.

– Dziękuję. Odkryłam, gdzie zostawiłeś miecze.

Miała na myśli dwa Miecze Krzyża, dwa z trzech świętych ostrzy, które miały znaleźć się w dłoniach sprawiedliwych w bitwie przeciwko prawdziwemu złu. Skończyłem jako ich opiekun, kustosz. Przez większość czasu kurzyły się w moim mieszkaniu.

– Tak?

– Wiem, jak potężne są. I jak delikatne w niewłaściwych rękach. Nie powiem ci, gdzie są. Nie oddam ci ich. Nie negocjuję.

Powoli wypuściłem powietrze. Poczulem w brzuchu twardą kulę złości.

– Ja... byłem za nie odpowiedzialny.

– Tak. – W niebieskich oczach Murphy było coś absolutnie niewzruszonego. – Już nie.

W pokoju nagle zrobiło się za gorąco.

– Mógłbym się nie zgodzić.

– Mógłbyś. Co byś zrobił, gdybyś znalazł się w mojej sytuacji?

Nie pamiętam, żebym się poruszył. Pamiętam jedynie, że uderzyłem dłonią w drzwi sześć cali od głowy Karrin. Zabrzmiało to jak wystrzał. Stałem nad nią, dysząc ciężko, a różnica naszego wzrostu była niemal komiczna. Gdybym chciał, mógłbym niemal całkowicie objąć jej szyję palcami. Złamałbym jej kark, gdybym ścisnął.

Nie wzdrygnęła się. Nie poruszyła. Patrzyła na mnie z dołu i czekała.

I wtedy mnie to uderzyło, co myślałem, co podpowiadał mi instynkt, i nagle zapadłem się w sobie, zwiesiłem głowę. Oddychałem nierówno, chrapliwie. Zamknąłem oczy, próbując nad tym zapanować.

A ona mnie dotknęła.

Delikatnie położyła rękę na moim poobijanym przedramieniu. Poruszając się ostrożnie, jakbym był ze szkła, zsunęła palce do mojej dłoni. Ujęła ją łagodnie i opuściła, nie próbując mnie do niczego zmuszać. Wtedy ujęła moją prawą dłoń swoją lewą. Staliśmy tak przez chwilę, trzymając się za ręce, ze zwieszonymi głowami. Wydawało się, że rozumie, przez co przechodzę. Nie naciskała. Trzymała mnie za ręce i czekała, aż mój oddech się znów uspokoi.

– Harry – powiedziała wtedy cicho. – Chcesz mojego zaufania?

Pokiwałem głową, nie odważyłem się odezwać.

– W takim razie sam musisz mnie nim obdarzyć. Jestem po twojej stronie. Próbuję ci pomóc. Odpuść.

Zadrzałem.

– W porządku – powiedziałem.

Jej dłoń była malutka i ciepła.

– Ja... od tak dawna się przyjaźnimy. Od tego trolla na moście.

– Tak.

Moje oczy zamglily się od łez, głupie oczy, zamknąłem je.

– Wiem, że spieprzyłem sprawę. Będę musiał z tym żyć. Ale nie chcę cię stracić.

W odpowiedzi Murphy uniosła moją prawą dłoń i przycisnęła ją do swojego policzka. Nie otwierałem oczu. Nie słyszałem tego w jej głosie ani oddechu, ale

poczułem na ręce odrobinę wilgoci.

– Ja też nie chcę cię stracić – powiedziała. – To mnie przeraża.

Przez długi czas nie odważyłem się odezwać.

Powoli opuściła moje dłonie i bardzo łagodnie wypuściła. Później odwróciła się w stronę drzwi.

– Karrin. A jeśli masz rację? Jeśli się zmienię? To znaczy... stanę się bardzo zły?

Odwróciła się w moją stronę na tyle, że zobaczyłem jej profil i delikatny, smutny uśmiech.

– Ostatnio współpracuję z wieloma potworami.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wziąłem z szafy kolejną kurtkę, stary ciuch z demobilu, z wzorem kamuflażu w stylu lat osiemdziesiątych – nie potrzebowałem ochrony przed zimnem, ale uznałem, że dodatkowe kieszenie mogłyby się przydać, gdybym znalazł cokolwiek, co mógłbym w nich schować. Nie miałem pieniędzy ani dowodu. Nie miałem karty kredytowej. Do diabła, nie miałem nawet wizytówki.

Co bym na niej napisał? „Harry Dresden, Rycerz Zimy, likwidacja celów, żadnych przyjęć, zjeżdźalni wodnych ani pokazów fajerwerków”.

Mogłem sobie żartować ile chciałem, ale robiłbym to jedynie dlatego, że nie chciałem stawić czoła poważniejszemu pytaniu, naprawdę trudnemu: jak, do diabła, miałem zebrać swoje życie do kupy?

Zakładając, że w ogóle było to możliwe.

Całe szczęście w chwili obecnej musiałem walczyć z przerażającym złem, co znaczyło, że o tej całej sprawie z życiem mogłem pomyśleć później. Dzięki Bogu za nadchodzący dzień zagłady. Nie chciałem stawiać czoła naprawdę trudnym kwestiom tak szybko po powrocie do gry.

Usłyszałem odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych, a później cichą rozmowę. Wszedłem z pokoju i zobaczyłem, że Molly wróciła. Toot-toot siedział na jej ramieniu, a dla zachowania równowagi trzymał ją za czubek ucha. Nie wyglądał najgorzej.

– Harry. – Molly się uśmiechnęła. – Wyglądasz lepiej. Jak się czujesz?

– Przeżyję. Generale majorze, widzę, że znów stanąłeś na nogi. Kiedy ostatnio cię widziałem, spodziewałem się, że będziesz uziemiony na kilka tygodni.

Toot stanął na baczność i zasalutował.

– Nie, panie! W przeciwieństwie do was, dużych ludzi, Mały Ludek nie ma dość czasu, by marnować całe tygodnie na powrót do zdrowia.

To pewnie nie powinno mnie zaskoczyć. Widziałem, jak Toot zjadł pizzę ważącą dosłownie połowę tego, co on sam. A jego skrzydła były dość potężne, by mógł wznieść się w powietrze z poziomu ziemi. Cokolwiek, co potrafiło tak szybko jeść i wytwarzać tak ogromną siłę fizyczną w porównaniu z rozmiarami ciała, musiało

mieć absurdalnie szybki metabolizm. A po takim dniu ucieszyło mnie, że znów stanął na nogi.

Zwróciłem się do Molly.

– Jak wygląda sytuacja zwiadowców?

– Wpadli w śpiączkę po jedzeniu. Zamówiłam dwadzieścia pizz. Na parkingu musiało ich być z pięciuset. Będą gotowi wyruszyć, jak tylko powiesz mi, gdzie mają się rozglądać.

– Potrzebuję mapy.

Molly sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i wyjęła złożoną mapę.

– Myślę z wyprzedzeniem, szefie.

– Jak tylko skończą, rozłóż ją na stole.

– Jasne.

– Generale majorze, cieszę się, że tu jesteś. Musisz pozostać w pobliżu.

Toot znów zasalutował, a jego skrzydełka rozmyły się i wzniósł się w powietrze.

– Tak, panie! Na czym polega misja?

– Uniemożliwić jeńcowi ucieczkę. Pojmałem Kapitana Haka.

– W pewnym sensie – wtrąciła Karrin z rozbawieniem. Wróciła na swoje miejsce przy kominku.

Posłałem jej spojrzenie.

– Mamy go, więc został pojmany, to się liczy.

Toot położył dłoń na mieczu.

– Czy mam się go pozbyć, panie? – spytał z przejęciem. – Bo mogę to zrobić.

– Jeśli okaże się to konieczne – odparłem poważnie – upewnię się, że dokona tego twoja ręka. Ale najpierw dajmy mu szansę, żeby zaczął mówić.

– Jesteś pełen łaski i miłosierdzia, panie. – W głosie Toot-toota brzmiało wyraźne rozczarowanie.

– Możesz być tego pewien. Znajdź sobie dobre miejsce, żeby powstrzymać naszego gościa przed odejściem.

– Tak jest!

Toot zasalutował i przeleciał przez mieszkanie.

Molly pokręciła głową.

– Zawsze tak bardzo się starasz, by czuć się ważny.

– On jest ważny.

Ruszyłem z powrotem w stronę prowizorycznej kozetki Buttersa.

– Oczywiście, że boli – mówił Thomas. Butters zaszywał niewielki otwór w jego

podbrzuszu. – Ale nie tak bardzo jak wcześniej, zanim wyjąłeś kulę.

– I jesteś pewien, że tak prymitywna opieka ci wystarczy? – spytał Butters. – Bo gdybyś był zwykłą istotą ludzką, mógłbym zagwarantować, że w ciągu paru dni doszłoby do zakażenia, które by cię zabiło.

– Mikroorganizmy nie są problemem dla mojego gatunku. Jeśli się nie wykrwawię, nic mi nie będzie.

Ton głosu mojego brata był spokojny, ale barwa jego oczu się zmieniła, stała się jaśniejsza, jasnoszarna prawie bez śladu niebieskiego. Wampiry z Białego Dworu mają nadludzką siłę, prędkość i wytrzymałość, ale nie w nieskończoność. Oczy Thomasa zmieniały się, kiedy jego osobisty demon, jego Głód, zaczynał wywierać coraz większy wpływ na jego działania. W pewnym momencie będzie musiał żerować, żeby uzupełnić zapasy.

– Skończyłeś? – spytałem go. – Potrzebuję stołu.

– Co z wami nie tak? – jęknął Butters. – Na litość boską, to są prawdziwe rany.

– Będzie ich więcej, niż udałoby się połatać tysiącu niechętnych lekarzy, jeśli nie weźmiemy się do roboty. Dziś sprawa jest poważna, stary.

– Jak poważna?

– Nie umiem sobie przypomnieć, kiedy sytuacja była bardziej ponura. Przeklęte marnujące przestrzeń wampiry, leżące na stołach, które są potrzebne.

– Bezużyteczni magowie – rzekł Thomas – rzucający się na wrogie spluwy i przypadkiem raniący sojuszników.

– Och. To było wtedy, kiedy skoczyłem na Ace'a?

Prychnął.

– Aha.

Skrzywiłem się.

– Ach. Przepraszam za to.

– Pewnego dnia, Dresdenie – powiedział Thomas, przeciągając głoski – bum, prosto w buźkę.

– Gadanie nic nie kosztuje. Stół, stół, stół.

Butters skończył łątać Thomasa i owinął jego brzuch długim bandażem. Kiedy lekarz pracował, Thomas odchylił się do tyłu i oparł na łokciach. Dzięki tej pozycji pod jego bladą skórą wyraźnie zarysowały się mięśnie – ale też wydawało się, że większość póz tak na niego działa. Spojrzenie jego bladych oczu spoczęło na dłuższą chwilę na Molly. Praktykantka odwróciła się gwałtownie, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

– Ja, no. A niech mnie.

– Thomasie – powiedziałem.

– Przepraszam. – Nie brzmiał szczerze. Z leniwym wdziękiem zsunął się ze stołu. – Powiedz mi, Harry, masz tam może jakieś koszulki? Swoją całą zakrwawiłem, szlachetnie i ofiarnie.

– One należą do Molly.

Spojrzał na nią.

– Ach tak? Co mam zrobić, żeby jakąś dostać?

– Proszę. – Głos Molly nie był do końca piskiem. – Weź sobie.

– Jestem wdzięczny.

Thomas udał się nieśpiesznie do pokoju gościnnego.

Murphy otwarcie odprowadzała go wzrokiem, a później posłała mi dość wyzywające spojrzenie.

– No co? Jest ładny.

– Słyszałem to – rzucił Thomas z drugiego pokoju.

– Mapa – poleciłem, a Molly pośpieszyła do stołu.

Butters błyskawicznie zdjął z niego swoje rzeczy. Wyglądało na to, że przy okazji wydobywania pocisku z wnętrzości Thomasa nie narobił większego bałaganu. Kula nie mogła utkwąć głęboko. Spluwa Ace'a musiała być raczej mała, kaliber .25 albo .22. Może używał taniej amunicji i w naboju brakowało prochu. A może wspaniałe mięśnie brzucha Thomasa powstrzymały pocisk przed zagłębieniem się.

Po uprzątnięciu stołu Molly rozłożyła na nim mapę. Była to mapa jeziora Michigan i jego okolic, obejmująca Chicago i Milwaukee, i sięgająca aż do Green Bay. Molly podała mi pióro, a ja wziąłem je w spuchnięte palce i zacząłem stawiać znaki na mapie. Bolało, ale zignorowałem to. Karrin wstała i podeszła, żeby popatrzeć. Po chwili dołączył do nas Thomas, ubrany w prostą białą koszulkę, która wyglądała, jakby uszyto ją na niego. Taki z niego drań.

– Tym, co tu robię – wyjaśniłem – jest oznaczenie wszystkich węzłów, które pamiętam.

– Węzłów? – spytał Butters.

Niezgrabne palce trochę utrudniały mi stawianie znaków dokładnie tam, gdzie chciałem.

– Miejsce zetknięcia jednej lub więcej linii mocy. Kilka lat temu dowiedziałem się o nich wszystkiego.

– To jak magiczne linie energetyczne, tak? – spytała Karrin.

– Mniej więcej. Źródła mocy, z których można czerpać, żeby rzucać duże zaklęcia. A w rejonie Wielkich Jezior jest ich naprawdę sporo. Rysuję z pamięci, ale jestem pewien, że wszystko się zgadza.

– Owszem – potwierdziła cicho Molly. – Ciocia Lea uczyła mnie o nich przed paroma miesiącami.

Podniosłem na nią wzrok, spojrzałem na obolałe palce i stwierdziłem:

– To po co ja to wszystko robię?

Molly przewróciła oczami i wzięła pióro. Zaczęła zaznaczać węzły na mapie, szybko i precyzyjnie, łącznie ze Studnią na Demonreach (choć wyspa nie pojawiła się na mapie).

– Ktokolwiek spróbuje rzucić zaklęcie na Demonreach, musi zrobić to z miejsca gdzieś na brzegu. Z niemal całkowitą pewnością będą przy jednym z tych węzłów, im bliżej samego jeziora, tym lepiej. – Wskazałem na kilka węzłów niedaleko brzegu. – Musimy wysłać gwardię, żeby najpierw sprawdziła te sześć lokalizacji na skraju jeziora. Później odwiedzą kolejne najbliższe i tak dalej.

– Niektóre z nich są całkiem daleko – zauważyła Karrin. – Jak szybko poruszają się te maleństwa?

– Szybko. Szybciej, niż ktokolwiek sądzi. Umieją latać i mogą skracać sobie drogę przez Nigdynigdy. Dotrą na miejsce i wrócą przed zachodem słońca.

Zachód słońca. Kiedy duzi źli nieśmiertelni wyjdą się zabawić.

– Jakies pytania? – Spojrzałem na Murphy.

Wskazała brodą na mojego brata.

– Thomas już mnie wprowadził.

– Dobrze. Ekspozycje szybko robią się powtarzalne. Zaklęcie tego rodzaju wymaga poświęcenia trochę czasu na przygotowania, a oni ich nie ukryją, jeśli uda nam się wysłać na miejsce obserwatorów. Kiedy dowiemy się, w której lokalizacji widać ślady działalności, udamy się tam i powstrzymamy szaleńców, którzy ją wykorzystują.

– Wiemy już, kto to jest? – spytała Murphy.

– Odpowiedź jest niejasna.

– To muszą być Intruzi, nie? – spytał Thomas.

– Takie założenie wydaje się rozsądne. Ale prawdziwe pytanie brzmi: kto im pomaga?

W odpowiedzi wszyscy popatrzyli na mnie.

– Intruzi nie mogą się tak po prostu pojawić w naszej rzeczywistości. Dlatego właśnie nazywa się ich Intruzami. Ktoś musi otworzyć drzwi i ich wpuścić. –

Odetchnąłem głęboko. – I tu pojawia się kolejny zwrot akcji. Rozmawiałem z Lily i Maeve, a one powiedziały mi, że to Mab planuje majstrować przy wyspie.

Zapadła cisza.

– To... kłamstwo, prawda? – spytał Butters.

– One nie mogą kłamać. Są do tego fizycznie niezdolne. I tak, zmusiłem je, żeby mówiły bezpośrednio. Nie ma dezorientujących sygnałów ani miejsca na zasłonę dymną.

Thomas zagwizdał cicho.

– Tak – mruknąłem.

– Uch – odezwała się Molly. – Stoimy naprzeciwko Mab? Twojej szefowej?

– Niekoniecznie. Lily i Maeve nie kłamały, ale wciąż mogły się mylić. Lily nigdy nie była tytanem intelektu. A Maeve jest... „Szalona” to być może jedyne słowo, które naprawdę opisuje jej stan, w każdym razie z całą pewnością ma nie po kolei w głowie. Możliwe, że zostały oszukane.

– Albo – wtrącił Thomas – nie.

– Albo nie. – Pokiwałem głową.

– Co to by znaczyło? – spytała Molly.

– To by znaczyło – powiedziała cicho Karrin – że Mab posłała Harry’ego, żeby zabił Maeve, bo albo chce się pozbyć Maeve, albo chce się pozbyć Harry’ego. To dobrze, bo to znaczy, że obawia się, że ktoś mógłby ją powstrzymać.

– Racja. A może... – Zmarszczyłem czoło, rozważając nową myśl.

– Co? – spytał Thomas.

Rozejrzałem się powoli po pokoju. Jeśli Mab została opanowana przez zarazę, która naprawdę potrzebowała lepszej nazwy, to z pewnością znaczyło, że Lea również – a Lea uczyła Molly. Jeśli to coś rozprzestrzeniło się w Białym Dworze, mój brat mógł zostać zarażony. Murphy byłaby najbardziej podatna – izolowała się, a jej zachowanie zmieniło się drastycznie w ciągu ostatnich paru lat. Do diabła, ze wszystkich obecnych Butters miał najmniejszą szansę na zarażenie, opanowanie czy cokolwiek – co jednocześnie czyniło go idealnym kandydatem.

Paranoja – bo czemu jedynie miłośnicy teorii spiskowych mieliby się dobrze bawić?

Po prostu nie mogłem uwierzyć, by ktokolwiek z nich zwrócił się przeciwko mnie, niezależnie od wpływów z zewnątrz. Ale gdyby zdradę można było dostrzec tak łatwo, Juliusz Cezar dożyłby starości. Zawsze miałem lekkie skłonności do paranoi. Teraz ogarnęło mnie nieprzyjemne przeczucie, że powinienem zacząć rozwijać uśpiony talent.

Bardzo starannie dobieierałem słowa.

– Przez ostatnie lata miało miejsce kilka konfliktów między różnymi grupami interesów. Zdarzało się, że na przebieg wydarzeń wpływały wewnętrzne konflikty w jednej lub obu tych grupach interesów.

– Na przykład? – spytał Butters.

– Na przykład sprzeczne interesy wewnątrz Czerwonego Dworu. Jedni próbowali zapobiec konfliktowi z Białą Radą, a inni go podsycali. Kilka Domów Białego Dworu, które walczyły o władzę nad nim. Dwory Zimy i Lata przybierające agresywne pozy i wtrącające się w sprawy drugiej strony, kiedy Czerwony Dwór wtargnął na terytorium Zimy. – Nie chciałem mówić bardziej szczegółowo. – Rozumiecie, do czego zmierzam?

– Och! – wykrzyknął Butters. – To mroczne widmo!

– Ach! – powiedziała Molly.

Thomas chrząknął.

Karrin popatrzyła na nas.

– Niech ktoś to przetłumaczy z nerdyckiego na ludzki, proszę.

– Gdzieś tam jest ktoś – powiedziałem. – Ktoś, kto manipuluje wydarzeniami. Bawi się we władcę marionetek, wsadza kij w mrowisko, podgląda karty...

– Miesza metafory? – zaproponował Thomas.

– Spierdalaj. Mówię tylko, że ta sytuacja przypomina wcześniejsze. Mab i Maeve skaczą sobie do gardeł, Lato stoi z boku, mogąc się w każdej chwili wtrącić, a Intruzi zaczynają się panoszyć.

– Czarna Rada – szepnęła Molly.

– Dokładnie – powiedziałem, choć wcale tak nie było.

Aż do dzisiejszego dnia wiedziałem, że ktoś ukradkiem powoduje dużo problemów na świecie – a ze względu na jego powiązania z pewnymi ponurymi wydarzeniami wewnątrz Białej Rady zakładałem, że była to grupa magów, co było jednocześnie naturalnie aroganckie i bardzo krótkowzroczne z mojej strony. Ale jeśli się myliłem? Jeśli Czarna Rada była tylko kolejnym odgałęzieniem jednego ogromnego, nieuchwytnego wroga? Jeśli Lily właściwie opisała problem, był on o wiele większy niż sobie uświadamiałem.

A ja nie chciałem, żeby ten problem wiedział, że go zauważyłem.

– Czarna Rada. Grupa wykorzystująca czarną magię, by wpływać na różne wydarzenia na świecie. Są potężni, są niebezpieczni i jeśli mam rację, są tutaj. Jeśli są tutaj, możemy zakładać, że Rekinowaty i jego kumple pracują dla Czarnej Rady.

– Hipotetycznej Czarnej Rady – poprawiła mnie Karrin.

– Oni gdzieś tam są, zdecydowanie.

Karrin uśmiechnęła się lekko.

– Skoro tak mówisz, Mulder.

– Zignoruję to. Jedyne pytanie brzmi tylko: czy są teraz tutaj?

Molly poważnie pokiwała głową.

– Jeśli są? Jak ich odnajdziemy?

– Nie zrobimy tego. Nie ma dość czasu, żebyśmy zaczęli metodycznie węszyć. Wiemy, że ktoś zamierza majstrować przy wyspie. Tak naprawdę nieważne, kto naciśnie przycisk, który uzbroi bombę. Musimy jedynie nie dopuścić do jego naciśnięcia. Mały Ludek znajdzie nam miejsce rytuału, a my go zniszczymy.

– No tak – odezwał się Butters. – Nie żebym w was nie wierzył, ale nie powinniśmy wezwać kawalerii? Czy to by nie miało większego sensu?

– My jesteśmy kawalerią – powiedziałem głosem bez wyrazu. – Biała Rada nie pomoże. Nawet gdybym znał obecne protokoły nawiązywania kontaktu, wiele dni zajęłoby im potwierdzenie, że rzeczywiście żyję i wciąż jestem sobą, a my mamy tylko kilka godzin. Poza tym Molly jest na ich liście poszukiwanych.

Nie dodałem trzeciego powodu dla unikania kontaktu z Białą Radą – kiedy dowiedzą się o moim związku z Mab, monarchinią suwerennego i czasami wrogiego nadnaturalnego narodu, z niemal całkowitą pewnością spanikują i założą, że jestem ogromnym zagrożeniem. Co, z różnych powodów i w różnym stopniu, byłoby słusznym założeniem. A po chwili zastanowienia, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że moja, ach, inauguracja została mentalnie przekazana całemu Faerie, nie było szans, by Rada nie wiedziała. Dowiadywanie się rzeczy to ich robota.

Butters zmarszczył czoło.

– Paranet?

– Nie. Ostatnim, czego potrzebujemy, jest niewielka armia nowicjuszy płaczących się dookoła i wchodzących nam w drogę. To proszenie się o kłopoty na krótszą metę, na dłuższą metę i na każdą inną metę. Możemy wyłącznie zwracać się do nich po informacje. Nie wciągamy ich w całą sprawę.

Drobny patolog zdjął okulary i w zamyśleniu przetarł je rogami fartucha.

– A co z ekipą Lary? Albo Einherjaren?

Thomas wzruszył ramionami.

– Pewnie mógłbym przekonać Larę, żeby wysłała gdzieś ekipę.

– Ditto – dodała Karrin – ale z Wikingami.

– Dobrze. Możemy potrzebować więcej siły i może się okazać, że będziemy musieli obstawić kilka miejsc. Możecie się tym zająć, kiedy się rozdzielimy?

Pokiwali głowami.

– Molly. Zanieś mapę naszym małym zwiadowcom i powiedz im, gdzie mają szukać i czego. Mów prosto i obiecaj całą pizzę dla tego, kto znajdzie, czego szukamy.

Praktykantka wyszczerzyła zęby.

– Współzawodnictwo dla poprawienia ich wyników, co?

– Miliony rodziców z obsesją na punkcie sportu nie mogą się mylić. Butters, ty zwróć się do Paranetu i spytaj, czy ktokolwiek widział albo słyszał cokolwiek niezwykłego gdziekolwiek w okolicach jeziora Michigan. Nikt niczego nie bada. Jedyne donoszą. Zdobądź mi wszystkie możliwe informacje o wszelkich dziwnych działaniach w ciągu ostatniego tygodnia. Musimy zebrać dane najszybciej, jak się da.

– Jasne. Jeśli chcesz, już coś mam.

Zamrugalem. Owszem, wiedziałem, że internet jest szybkim sposobem przekazywania informacji, ale...

– Poważnie?

– Cóż – odezwał się ostrożnie Butters. – Tak jakby. Jeden z naszych gości ma, no, bujną wyobraźnię.

– To znaczy paranoję?

– Tak. Ma tę swoją podłączoną do internetu kryjówkę w piwnicy domu matki. Śledzi wszelkiego rodzaju rzeczy. Nazywa to obserwowaniem nadnaturalnego poprzez statystykę. Codziennie przesyła mi sprawozdanie, a mój filtr antyspamowy po prostu sobie z nim nie radzi.

– Hm – powiedziałem, jakbym wiedział, czym jest filtr antyspamowy. – Co ma do powiedzenia o dzisiejszym dniu?

– Wynajem łodzi tego ranka wzrósł o czterysta procent w porównaniu z medianą dla tej pory roku i z całą pewnością działają mroczne siły.

– Wynajem łodzi – mruknąłem.

– Jest trochę dziwny, Harry. Na przykład ma to drzewko ze zdjęciami wszystkich ludzi odpowiedzialnych za klątwę kozła rzuconą na Cubsów. Tego rodzaju dziwny. Wylatuje poza skalę.

– Powiedz mu, żeby zdjął drzewko. Klątwa kozła była dziełem samotnego strzelca. Ale paranoja nie oznacza jeszcze, że ktoś się myli. Łodzie...

Pochyliłem głowę i na chwilę zamknąłem oczy, żeby pomyśleć, ale jeśli paranoiczny dziwak z piwnicy miał rację, podany mi przez niego element układanki

był rozpaczliwie nieprzydatny. Potrzebowałem więcej.

– W porządku. Zdobądź więcej informacji. – Podniosłem wzrok, skinąłem głową na Thomasa i skierowałem się do kuchni. – Chodźmy porozmawiać z naszym gościem o jego szefie.

* * *

Pochyliłem się, żeby zajrzeć przez szklane drzwiczki do piekarnika. W środku nie było światła, ale widziałem opancerzoną postać Kapitana Haka skuloną smętnie na ceramicznej blasze. Zastukałem w szkło, a wtedy hełm Kapitana Haka zwrócił się w moją stronę.

– Chcę z tobą porozmawiać. Jesteś moim jeńcem. Nie próbuj ze mną walczyć albo uciekać, bo będę musiał cię powstrzymać. A wolałbym raczej miło porozmawiać. Rozumiesz mnie?

Hak niczego po sobie nie pokazał. Uznałem milczenie za zgodę.

– W porządku. Otworzę teraz drzwi. – Uchyliłem drzwi piekarnika i otworzyłem je powoli, bardzo starając się nie górować. Trudno to zrobić, kiedy jest się wielkości budynku w porównaniu z osobą, nad którą się stoi. – Teraz zachowaj spokój, a...

Zdażyłem otworzyć drzwi na jakieś sześć cali, kiedy Kapitan Hak rozmył się w powietrzu. Machnąłem ręką w jego stronę, jakieś półtorej sekundy za późno, ale nie czułem się z tym źle, bo Thomas próbował złapać tego małego szaleńca i też mu się nie udało.

Hak, który pracował dla naszych wrogów i był w kuchni przez ten cały czas, kiedy spiskowaliśmy, wystrzelił w stronę przewodu wentylacyjnego na jednej ze ścian i w mgnieniu oka przemierzył pokój, a żadne z nas nie zareagowało dość szybko, by go powstrzymać.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Żadne z nas poza generałem majorem.

Toot zeskoczył ze szczytu regału, gdzie kucał jeszcze przed chwilą, zderzył się z Hakiem i rzucił małego elfa na podłogę pośrodku salonu. Wylądowali z hukiem na dywanie i kłębili się na podłodze nieregularnymi zrywami – czasami przetaczali się kilka cali, a czasami podskakiwali i lądowali w odległości sześciu stóp – a ich skrzydła co chwila się rozmywały.

Toot zaplanował tę walkę. Rzucił Haka na dywan, przez co haczyki na pancerzu przeciwnika ciągle się zaczepiały, spowalniając go w ten sposób. Co więcej, Toot owinał ręce tak grubą warstwą materiału, że wyglądał, jakby miał na sobie rękawiczki z jednym palcem albo rękawice bokserskie, i udało mu się złapać Haka za haczyki na plecach pancerza. Zakręcił małym elfem i z okrzykiem rzucił nim o ścianę.

Kapitan Hak zsunął się po niej, pozostawiając rysy na świeżo pomalowanej płycie kartonowo-gipsowej, po czym zatoczył się do tyłu i padł na ziemię. Toot rzucił się gwałtownie naprzód i wyciągnął mieczyk, a opancerzona postać uniosła pięść.

– Powołuję się! – zawołał wysokim, wyraźnym głosem. – Jestem jeńcem! Powołuję się na Prawo Zimy!

Toot już zabierał się do zadania ciosu, ale na te dwa ostatnie słowa zatrzymał się gwałtownie i cofnął broń. Unosił się nad Hakiem ze stopami cal nad ziemią i zgrzytał zębami, ale po chwili odleciał z brzęczeniem i schował broń.

– Toot? – spytałem. – Co się wydarzyło?

Toot-toot wylądował na kuchennym blacie obok mnie i zaczął chodzić w kółko, wyraźnie wściekły.

– Otworzyłeś gębę! – wrzasnął. Po chwili dodał obrażonym tonem: – Panie.

Popatrzyłem ze zmarszczonym czołem na Toota, a później na Haka. Wrogi elf siedział na podłodze i nie próbował już uciec.

– W porządku. Wyjaśnij mi to.

– Zaproponowałeś, że wezmiesz go do niewoli. Zgodnie z Prawem Zimy, jeśli przyjmie twoją propozycję, nie wolno mu próbować ucieczki ani stawiać większego oporu, dopóki będziesz zaspokajał jego potrzeby. Teraz nie możesz go zabić, pobić

ani nic w tym rodzaju! A ja wygrywałem!

Zamrugalem.

– W porządku, jasne. W takim razie zacznijmy zadawać pytania.

– Nie możesz! – zawył Toot. – Nie możesz próbować zmusić go do zdradzenia wcześniejszych przymierzy, zastraszyć go ani nic w tym rodzaju!

Zmarszczyłem czoło.

– Chwileczkę. On jest gościem?

– Tak!

– Według Prawa Zimy?

– Tak! W pewnym sensie.

– Cóż. – Ruszyłem w stronę Haka. – Ja nie podpisywałem traktatu. Pieprzyć Prawo Zimy...

I nagle, jakby ktoś wbił mi w skórę rząd zszywek, opończa Rycerza Zimy całkowicie zniknęła. Cierpienie powróciło do mojego ciała, uszkodzone tkanki bolały, sińce ćmiły, skóra nieprzyjemnie opinała się na obrzękach. Zmęczenie uderzyło we mnie jak rozpędzona ciężarówka. Doznania były tak intensywne, że nawet nie poczułem, jak upadłem na podłogę – jedynie to zobaczyłem.

Moje ciało nagle stało się odrętwiałe i bezużyteczne od pasa w dół.

To mnie piekielnie przeraziło i potwierdziło jedną z najgorszych obaw. Kiedy zgodziłem się służyć Mab, miałem złamany kręgosłup i uszkodzony rdzeń kręgowy. Przyjęcie opończy zamaskowało paraliżujące i nieuleczalne obrażenia. Ale bez niej moje ciało było śmiertelne. Lepiej niż większość radziło sobie z powracaniem do zdrowia, ale wciąż było ludzkie. Bez opończy nie panowałbym nad nogami, pęcherzem ani jelitami – nie wspominając już o niezależności.

Wydawało mi się, że leżę tak przez cały tydzień, ale z pewnością minęło zaledwie kilka sekund, zanim dotarł do mnie Thomas, a zaraz po nim Murphy, Butters i Molly. Wiedziałem o ich obecności, bo ich widziałem, ale ich głosy docierały do mnie z wielkiej odległości wśród kakofonii upiornych doznań, które dręczyły mój układ nerwowy. Unieśli mnie do pozycji siedzącej – i wtedy nagle ból zniknął, a moje nogi znów zaczęły się poruszać, drgnęły w delikatnym skurczu.

Opończa została przywrócona.

– W porządku – powiedziałem drżącym głosem. – Może nie będziemy pieprzyć Prawa Zimy.

– Harry. – Thomas brzmiał, jakby już kilka razy wypowiedział moje imię. – Co się stało?

– Myślę, że to... efekt uboczny. Skutek rzucenia wyzwania porządkowi rzeczy.

– Co?

– Elfy. Są trochę szalone i złośliwe, i niebezpieczne jak diabli, ale wszystkie łączy jedna cecha... dotrzymują słowa. Przestrzegają tego, co uważają za prawo. Szczególnie Mab.

– To, co teraz mówisz, nie ma większego sensu – zauważył Thomas.

– Opończa mocy pochodzi od Mab. A teraz jest we mnie. Ale wciąż jest częścią jej. Jeśli złamię prawa jej królestwa, to prawdopodobnie opończa mnie nie poprze.

– A to znaczy co?

– A to znaczy, że lepiej, żebym jak najszybciej się dowiedział, jakie są te prawa. Pomóż mi wstać.

Thomas pomógł mi się podnieść, a ja spojrzałem na Toota.

– Znasz Prawo Zimy?

– Cóż – powiedział Toot, jakbym był idiotą – oczywiście.

– Jak mogę się go nauczyć?

Toot przechylił głowę.

– Czego?

– Prawa Zimy. Jak mogę się go nauczyć?

– Nie rozumiem. – Toot przechylił głowę w drugą stronę.

– Och, na miłość... – Ścisnąłem grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. – Toot. Umiesz czytać?

– Pewnie! Umiem przeczytać „pizza”, „wyjście” i „czekolada”!

– Wszystkie trzy, co?

– Absolutnie.

– Prawdziwy z ciebie uczony dżentelmen. Ale jak poznałeś Prawo Zimy?

Toot pokręcił głową, jakby był zaskoczony.

– Jego nikt się nie uczy, Harry. Je się po prostu... zna. Wszyscy je znają.

– Ja nie.

– Może jesteś za duży. Albo za głośny. Albo, no wiesz... zbyt ludzki.

Chrząknąłem. Później spojrzałem na Haka, który przez całą rozmowę siedział w tym samym miejscu.

– Czyli sprawiłem, że został moim gościem, tak?

– Cóż. Może bardziej wasalem.

Zmarszczyłem czoło.

– Że co?

– No przecież na tym polega poddanie się. Możesz dysponować jego życiem. I jak długo nie będziesz go głodził ani zmuszał do złamania przysięgi, możesz mu kazać robić, co tylko zechcesz. A jeśli jego senior chce go odzyskać, musi ci za niego zapłacić.

– Ach. Okup jak w średniowieczu.

Toot wydawał się zdezorientowany.

– W jakim średnim wieku? Przecież nie wiemy, w jakim on jest wieku.

Z tyłu dobiegło kilka podejrzanych odgłosów, najgłośniejszy w wykonaniu mojej praktykantki. Odwróciłem się, żeby spojrzeć w oczy wszystkim pozostałym. Albo zasłaniali uśmiechy, albo próbowali je powstrzymać – niezbyt skutecznie.

– Ej, łożo szyderców. To nie jest wcale tak łatwe, jak wam się wydaje.

– Doskonale sobie radzisz. – Oczy Karrin błyszczały.

Westchnąłem.

– Chodź, Toot.

Podszedłem do Haka.

Mały elf siedział tam i robił wrażenie, jakby mnie ignorował, co wymagało sporo zimnej krwi. Gdybym się na niego przewrócił albo go nadepnął, przypominałoby to drzewo spadające na drwa. Gdybym spróbował zrobić mu fizyczną krzywdę, mógłbym go powykręcać jak Stretcha Armstronga.

Z drugiej strony Hak był elfem. Pewnie nawet nie przyszło mu na myśl, że mógłbym pogwałcić prawa Mab.

– Jeniec ma wstać i stanąć naprzeciwko Pana Pi!

Hak podniósł się posłusznie i odwrócił w moją stronę.

– Przedstaw się, proszę. Nie chcę poznać twojego Imienia, ale chciałbym wiedzieć, jak się mam do ciebie zwracać.

– Niektórzy nazywają mnie Lacuna – odparł.

– Może być, Lacuno. Zdejmij hełm, proszę. Chciałbym wiedzieć, kogo utrzymuję.

Lacuna wyciągnął rękę i zdjął okrywający twarz hełm.

Była oszalamiająca.

Kiedy zdjęła hełm, na jej plecy opadł czarny warkocz długi na co najmniej stopę. Cerę miała białą jak papier, a wielkie oczy całkowicie czarne. Jej skórę znaczyły niewielkie ciemnofioletowe symbole czy tatuaże, które jednak nie pozostawały nieruchome, na moich oczach jedne znikwały, a inne się pojawiały. Do tego wydłużona, bardzo szczupła twarz – Lacuna emanowała elegancką, niebezpieczną urodą brzytwy.

Tootowi szczęka opadła prawie do podłogi.

– A niech mnie!

– Hm – odezwała się Karrin. – To ona pobiła cię wczoraj w nocy, prawda?

– A dziś rano jeszcze go przewróciła – przypomniał jej Thomas.

– A dziś rano mnie przewróciła – warknąłem.

Odwróciłem się do Lacuny i wpatrywałem się w nią przez chwilę. Patrzyła na mnie, nie mrugając. Właściwie w ogóle się nie poruszała – jedynie jej warkocz uniósł się powoli, jak pajęczyna nad wylotem wentylatora.

– Hm. Nie tego się spodziewałem.

Lacuna patrzyła na mnie oczyma bez wyrazu.

– Nie będę cię prosił, żebyś złamała słowo. I będę cię traktował z szacunkiem oraz zaspokajał twoje potrzeby w zamian za twoją służbę. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– A niech mnie! – powiedział Toot.

– Bez łamania przysięgi chciałbym wiedzieć, co możesz mi powiedzieć o osobie, której służyłaś do czasu, gdy zostałaś wzięta do niewoli.

Wpatrywała się we mnie.

Zrozumiałem swój błąd i przewróciłem oczami.

– Pozwól, że zapytam innymi słowami. Powiedz mi, cokolwiek możesz, o osobie, której służyłaś do czasu, gdy zostałaś wzięta do niewoli, nie łamiąc przy tym żadnej przysięgi, jaką jej złożyłaś.

Lacuna pokiwała głową i z namysłem zmarszczyła czoło. Później podniosła wzrok i odezwała się poważnym, konfidencjonalnym tonem:

– On cię za bardzo nie lubi.

Odetchnąłem powoli, głęboko. Z tyłu dobiegły kolejne chichoty.

– Też to zauważyłem. Powiedz mi, co wiesz o wydarzeniach dzisiejszego wieczora.

– Dzieci – powiedziała grobowym głosem, a jej twarzyczka wykrzywiła się z wściekłością. – I cukierki. Mnóstwo cukierków.

– A niech mnie! – Toot odleciał, łopocząc skrzydełkami.

– Nie łamiąc słowa, które dałaś, powiedz mi, co jeszcze wiesz o mężczyźnie imieniem Ace.

– Jest mi dłużny – odparła Lacuna – za usługi, które mu wyświadczyłam.

Westchnąłem.

– Pewnie nie zamierzasz mi sama z siebie udzielić bardziej użytecznych informacji?

Opancerzona elfka patrzyła na mnie, nie mrugając. Było to trochę niepokojące.

– Tak właśnie sądziłem. Jesteś głodna?

Wydawało się, że przez chwilę rozważyła to pytanie.

– Tak.

– Masz ochotę na pizzę?

Twarz Lacuny wykrzywiła się z obrzydzeniem.

– Fuj. Nie.

Uniosłem brwi. To naprawdę było coś wyjątkowego. Mały Ludek całkiem dosłownie poszedłby na wojnę za pizzę. Tak bardzo ją lubił.

– Aha. W takim razie na co miałabyś ochotę?

– Seler naciowy – odpowiedziała od razu. – Ser. Zieloną herbatę. Ale głównie seler naciowy.

– To trochę zaskakujące. – Obejrzałem się przez ramię. – Molly?

– Mam je. – I poszła do kuchni.

– W porządku, Lacuno. Mamy sporo spraw, którymi musimy się zająć. Chcę, żebyś zjadła, odpoczęła i znalazła sobie wygodne miejsce. Nie wolno ci opuszczać tego mieszkania. Zrozumiano?

Mała elfka poważnie pokiwała głową.

– Tak.

Jej skrzydełka rozmyły się i poleciała przez całe mieszkanie do kuchni, gdzie Molly przygotowywała talerz karmy dla Lacuny.

– Cóż. To było nieco frustrujące.

– W takim razie dlaczego wziąłeś ją do niewoli? – spytał Thomas.

Spiorunowałem go wzrokiem.

– A na ciebie nie czeka przypadkiem oddział najemników, których masz zgarnąć? Albo most, z którego masz zeskoczyć?

– Pewnie masz rację.

– W porządku. Dostaliście swoje zadania. Zabierajmy się do roboty. Molly, ty masz mieszkanie i telefon, więc kiedy już roześlesz drużyny poszukiwawcze, będziesz koordynatorem. Jeśli ktoś się czegoś dowie, niech zadzwoni z tym do Molly. Tak czy inaczej, spotykamy się tu o piątej.

Wszyscy pokiwali głowami i potwierdzili, po czym Butters, Thomas i Karrin ruszyli na miasto.

Kiedy odeszli, Molly spytała:

– Dlaczego się ich pozbyłeś?

Znów uniosłem brwi. Nowicjuska robiła się coraz bystrzejsza.

– Nie pozbyłem się ich.

Molly uniosła brew.

– Nie?

– Nie do końca. Te rzeczy też trzeba zrobić.

– Podczas gdy ty sam jeden udasz się w jakieś niebezpieczne miejsce. Mam rację?

Nie odpowiedziałem jej od razu, a ona skończyła przygotowywanie posiłku dla Lacuny. Postawiła talerz na blacie, a poważna mała elfka rzuciła się na niego jak wygłodzony wilk.

– Coś w tym rodzaju. Czy ty też nie masz swojej roboty?

Molly spojrzała na mnie z ukosa. Później podniosła mapę ze stołu, złożyła ją i podeszła do drzwi.

– Nie zamierzam się z tobą o to kłócić. Po prostu chciałam, żebyś wiedział, że ja wiem.

Wtedy właśnie Toot wpadł z powrotem do mieszkania. Zataczał gorączkowe, wywołujące zawroty głowy kręgi, poczynając od miejsca, gdzie ostatnio widział Lacunę, aż poszukiwania doprowadziły go do kuchni. Wtedy zanurkował w stronę elfki i wylądował gładko na blacie.

Patrzyłem na dwa elfy. Toot wyciągnął w stronę Lacuny rękę, w której trzymał zawinięty w papierek cukierek o smaku arbuзовym, jakby składał mirrę i kadzidło przed Dzieciątkiem Jezus.

– Cześć! – powiedział radośnie. – Jestem generał major Toot-toot.

Lacuna podniosła wzrok znad jedzenia i zobaczyła prezent Toota. Zmrużyła oczy.

A później walnęła Toota pięścią w twarz.

Mój mały ochroniarz poleciał parę stóp do tyłu i wylądował na tyłku. Uniósł ręce do nosa i zamrugął oszłomiony.

Wcześniej upuścił cukierek. Lacuna spokojnie posłała go kopniakiem do otworu młynka w zlewie. Później odwróciła się plecami do Toota, ignorując go, i wróciła do jedzenia.

Toot patrzył na Lacunę jeszcze szerzej otwartymi oczyma.

– A niech mnie! – powiedział.

Rozdział trzydziesty

Rezerwat ptaków Montrose Point ma też inną nazwę – Magiczny Żywopłot. To około piętnastu akrów drzew, krzewów i wijących się ścieżek. Od dziesięcioleci jest rezerwatem dla ptaków i ważnym przystankiem pośrednim dla ich stad migrujących na zimę na południe. Jeśli poczytać ulotki na temat tego miejsca, można się dowiedzieć, że Magiczny Żywopłot wprost przepelnia magia ptaków i natury.

Ale okoliczni mieszkańcy nazywają go Magicznym Żywopłotem również dlatego, że jest dość znanym miejscem spotkań mężczyzn, którzy liczą na nawiązanie kontaktów z innymi mężczyznami. Stosunek poszukiwaczy do ornitologów-amatorów (i nie myślcie, że nie wpadł mi do głowy ironiczny żart na temat lornetki i oglądania ptaszków) zmienia się zależnie od pory roku. Kiedy w okolicy jest mnóstwo ptaków i ich wielbicieli, oznacza to mnóstwo ludzi z lornetkami i aparatami. Coś takiego raczej nie wpływa dobrze na romantyczną otoczkę.

Rezerwat wystaje jak hak, niemal całkowicie otaczając port Montrose, w którym cumują głównie łodzie znacznie bardziej zadbane niż *Chrząszcz Wodny*. Jest tam jachtklub, a w pobliżu całkiem ruchliwa plaża. Dlatego czasami zdarza się, że po Magicznym Żywopłocie spacerują ludzie, którzy ani nie oglądają ptaków, ani nie szukają okazji.

Ludzie tacy jak ja.

Pod koniec października większość migrujących stad już odleciała, ale Żywopłot był wciąż miejscem spotkań dla stadek wróbli, które zbierają się przez kilka dni, po czym łączą i odlatują wielką chmurą. Po drodze dostrzegłem dwa tuziny różnych gatunków, i to bez lornetki. Znałem większość z nich, gdyby tylko chciało mi się wydobyć ich nazwy z pamięci. Nie chciało mi się. Ebenezar, kiedy mnie uczył, z wielką powagą traktował kwestię poznawania przeze mnie właściwych nazw rzeczy.

Tego dnia park był niemal całkowicie pusty, z szarego nieba padała mżawka. Po drodze do miejsca, na którym mi zależało, minąłem mężczyznę ubranego w całości w czerń, w czarnym kapeluszu i czarnych okularach przeciwsłonecznych – na litość boską, okularach przeciwsłonecznych – który odprowadzał mnie niepotrzebnie

chłodnym wzrokiem.

– Nie jestem tu w tym celu – wyjaśniłem. – Muszę wykonać rozmowę międzymiastową. Za pół godziny zniknę. W taki czy inny sposób.

Nic nie powiedział, a kiedy go minąłem, znów wtopił się w krzaki. Jest tu cała społeczność. Czujki, gońcy. Policja czasem urządza prowokacje. Uważam to za cholernie dużo zamieszania i roboty dla wszystkich zainteresowanych, szczególnie we współczesnym świecie.

W torbie nie miałem już Boba, ale zastąpiłem go niezbędnymi rzeczami. Pobliskie jezioro i padający deszcz zapewniały wodę. Ziemi było mnóstwo, za pomocą łopaty ogrodniczej wykopałem niewielką jamę. Zimny wiatr z północnego zachodu dostarczał powietrze, a kiedy już wyjąłem kilka funtów podpałki i ustawiłem w małą, pustą w środku piramidę, szybko rozpałem niewielki ogień, i to mimo deszczu.

Zaczekałem, aż zapłonie jasno, dokładałem, by płonął goręcej i szybciej. Nie musiałem niczego na nim gotować. Potrzebowałem jedynie kilku minut. Kuliłem się i jak najmniej poruszałem. Pieśń setek zebranych wróbli była entuzjastyczna i wszechogarniająca.

Kiedy ogień zapłonął, za pomocą rydla narysowałem krąg w miękkiej ziemi wokół siebie. Dotknąłem go palcem i napełniłem odrobiną woli, a wtedy magia kręgu zatrasnęła się wokół mnie. Była to bariera mistyczna, nie fizyczna, mogła powstrzymać i skupić magiczne moce i, ogólnie rzecz biorąc, ułatwić to, co planowałem. Nie dało się jej zobaczyć ani dotknąć, ale była bardzo prawdziwa.

Tak samo jest z wieloma ważnymi rzeczami.

Zebrałem wolę i zatonąłem w czystym skupieniu. Ludzie z jakiegoś powodu myślą, że magowie używają magicznych słów. Tak naprawdę nie ma żadnych magicznych słów. Nawet te, których używamy w zaklęciach, są jedynie symbolami, sposobem, by odizolować nasze umysły od przepływających przez nie energii. Słowa mają moc równie straszliwą i piękną, jak magia, i nie potrzebują do tego budżetu na efekty specjalnie.

Tym, co napędza magię, w ostatecznym rozliczeniu jest czysta wola. Uczucia mogą ją wspomóc, ale kiedy sięga się do emocji, by stanowiły paliwo dla magii, nawet to jest po prostu innym sposobem wyrażenia woli, innego rodzaju pragnieniem sprawienia, by coś się wydarzyło. Niektóre rzeczy, które robi się jako mag, wymagają odsunięcia na bok wszelkich emocji. One są dobre w kryzysie, ale w czasie metodycznego, zaplanowanego wysiłku mogą wprowadzić element chaosu do intencji. Dlatego zablokowałem całą dezorientację, wątpliwości i niepewność, razem z absolutnie

rozsądnym przerażeniem, aż pozostało moje racjonalne ja i potrzeba osiągnięcia jednego celu.

Dopiero wtedy uniosłem głowę i odezwałem się, napełniając każde słowo mocą mojej potrzeby, rzucając wezwanie w głąb wszechświata. Moc sprawiła, że mój głos brzmiał dziwnie – głośniejszy, głębiej, bardziej melodyjnie.

– Pani Światła i Życia, usłysz mnie. Ty, która jesteś Królową Wiecznej Zieleni, Pani Kwiatów, usłysz mnie. Pojawiły się złowrogie znaki. Usłysz mój głos. Usłysz moją potrzebę. Jestem Harry Dresden, Rycerz Zimy, i muszę z tobą porozmawiać. – Uniosłem złożone razem głos i wolę i zagrzałem: – Tytanio, Tytanio, Tytanio! Przywołuję cię!

Ostatnia sylaba odbijała się dudniącym echem od wszystkich pobliskich powierzchni. Wzbudziła panikę wróbli. Wzniosły się chmurą tysiący skrzydeł i ciałek, zebrały chmurą, która zataczała szalone kręgi nad łąką.

– No chodź – szepnąłem do siebie. – Chodź już.

Stałem w milczeniu przez bardzo długą minutę i już zaczynałem myśleć, że nic się nie wydarzy.

Wtedy dostrzegłem, że chmury zaczynają się obracać, i doskonale wiedziałem, co to oznacza.

Większość życia spędziłem na Środkowym Zachodzie. Tornada są tam smutną rzeczywistością, częścią życia. Ludzie uważają, że trąby powietrzne są przerażające, co jest prawdą, ale da się je przeżyć, pod warunkiem przestrzegania pewnych prostych zasad. Ostrzeżenie musi się pojawić odpowiednio wcześniej, a po usłyszeniu go należy skierować się do najbezpieczniejszego miejsca, do którego da się dotrzeć w krótkim czasie. Zwykle jest to piwnica pod budynkiem albo w ogrodzie. Czasem schowek pod schodami. Łazienka w środku domu. A czasami najlepszym, na co można liczyć, jest najgłębszy rów w okolicy.

Jednakże zwykle sprowadza się to do „uciekaj i kryj się”.

Wspomnienia lat spędzonych na Środkowym Zachodzie kazały mi tak postąpić. Puls mi przyśpieszył i zrobiło mi się sucho w ustach, gdy chmury nad moją głową – a kiedy mówię „nad moją głową”, mam na myśli bezpośrednio nad moją głową – obracały się coraz szybciej.

Ptaki z całego Magicznego Żywopłotu zerwały się do lotu, dołączając do krążących gorączkowo wróbli. Nagle zrobiło się duszno, a mżawka zniknęła, jakby ktoś zakręcił zawór. Dziwne błyskawice bez grzmotów migotały wśród chmur we wszelkich odcieniach bieli, niebieskiego i morskiego – tak para wodna rozszczepiała widzialne

światło.

I wtedy to poczułem – ciepło, jakim emanowała Lily, tyle tylko że sto razy gorętsze, jaśniejsze i bardziej intensywne. Chmury zaczęły opadać, a rozgorączkowane ptaki zacieśniły krąg, aż zmieniły się w otaczającą łąkę ścianę mieniących się piór i błyszczących oczu. Wtedy dostrzegłem błysk światła i usłyszałem grzmot, który brzmiał dziwnie melodyjnie, jak pogłos ogromnego gongu, a w powietrzu poleciała chmura ziemi i kawałków zwęglonej jesiennej trawy. Uniosłem rękę, żeby osłonić oczy – ale mocno stałem na nogach.

Kiedy ziemia opadła, a kurz i popiół się rozwiały, w odległości piętnastu stóp ode mnie stała Pani Światła i Życia, Królowa Dworu Lata.

Jej widok zapierał dech w piersi. Nie mam na myśli tego, że była piękna, bo to oczywiste. Było to jednak piękno o tak wielkim zasięgu, głębi i mocy, że czułem się przy nim skurczony, pozbawiony znaczenia i bardzo, ale to bardzo tymczasowy. Człowiek czuje się tak, kiedy po raz pierwszy widzi góry, morze, ogromny, ponury majestat Wielkiego Kanionu – i za każdym razem, kiedy patrzy na Tytanię, Królową Lata.

Chciałbym powiedzieć, że detale jej wyglądu były nieważne, jednak nie byłaby to prawda – szczególnie dla mnie.

Tytania miała na sobie strój bitewny.

Włożyła suknię-kolczugę ze srebrzystego metalu, o ogniach tak delikatnych, że z początku wyglądała jak tkanina. Zbroja otulała ją jak druga skóra, aż po szyję. Pancierz okrywała długa jedwabna szata, która powoli zmieniała odcienie od żółtego jak blask słońca po zielen sosnowych igieł. Srebrzysto-białe włosy Tytanii zostały zaplecione w warkocz i starannie upięte na karku. Na jej głowie spoczywała korona z czegoś, co wyglądem przypominało poskręcane pnącze o wciąż żywych liściach. Królowa Lata nie miała bronii ani tarczy, ale jej szeroko otwarte oczy sidhe patrzyły na mnie z absolutną pewnością kogoś, kto wie, że jest uzbrojony zbyt dobrze, by wróg mógł go powstrzymać.

Och, i gdybym nie był pewien, że jest inaczej, mógłbym przysiąc, że stoi przede mną Mab. Poważnie. Nie wyglądały jak siostry. Wyglądały jak klony.

Zacząłem od złożenia jej głębokiego ukłonu. Odczekałem chwilę, zanim znów się podniosłem.

Przez kilka sekund stała nieruchomo jak rzeźba. Nawet nie skinęła mi lekko głową, w żaden zauważalny sposób, lecz jakaś mikroskopijna zmiana w języku jej ciała wskazała, że przyjęła mój ukłon.

– Ty, który zabiłeś moją córkę – powiedziała cicho Tytania. – Śmiesz mnie przywoływać?

Ostatnie słowo przecięło powietrze, zawarta w nim wściekłość była wręcz namacalna. Uderzyło w krąg, który mnie otaczał, i rozpadło się w chmurze złotych i zielonych iskier, które niemal natychmiast zniknęły.

Miałem pewne doświadczenie z królowymi elfów. Kiedy wpadają we wściekłość i zaczynają do kogoś mówić, słysząc je cholernie dobrze. A jeśli się to przeżyje, można mieć tylko nadzieję, że dotrze się na czas na ostry dyżur. Nie umiałem sobie wyobrazić żadnego scenariusza, w którym moja rozmowa z Tytanią nie wywołałaby w niej furii – dlatego na wszelki wypadek nakreśliłem krąg.

Czasami używam mózgu.

– Szaleństwo, nie? Ale musiałem z tobą porozmawiać, o, królowo.

Zmrużyła oczy. Zasłona ptaków wciąż krążyła wokół nas, choć była dziwnie cicha. Chmury nadal wirowały nad moją głową. Zostaliśmy odcięci od reszty świata niczym w prywatnym ogrodzie.

– Mów więc.

Rozważyłem swoje słowa i starannie je dobrałem.

– Dzieją się rzeczy. Bardzo istotne rzeczy, mogące mieć poważne konsekwencje zasadniczo dla całego świata. Sądziłem, że wojna Białej Rady z Czerwonym Dworem była wielką sprawą... ale teraz wydaje mi się, że to jedynie support przed gwiazdą wieczoru.

Zmrużyła oczy. Niemal niezauważalnie skinęła głową.

– Coś się wydarzy dziś wieczorem. Studnia zostanie zaatakowana. Wiesz, co mogłoby się zdarzyć, gdyby została otwarta. Na krótką metę wielu ludziom stałaby się krzywda. A na dłuższą metę... cóż, nie jestem pewien, co by się stało, ale z całą pewnością nic dobrego.

Tytania lekko przechyliła głowę. Kojarzyło mi się to z orłem, który przyglądał się zdobyczy i rozważał, czy opłaca się spaść na nią znikąd, czy może nie.

– Próbuję dopilnować, by do tego nie doszło. A ze względu na naturę tego... problemu... nie mogę wierzyć żadnym informacjom, jakie otrzymuję od osób, dla których pracuję.

– Ach. Chcesz, żebym wyraziła swój osąd na temat siostry.

– Potrzebuję kogoś, kto zna Mab. Kogoś, kto wie, co się dzieje. Kogoś, kto wiedziałby, czy ona... no... zmieniła się.

– A dlaczego sądzisz, że mam wiedzę, której potrzebujesz?

– Ponieważ przed laty widziałem poprzez Wejrzenie, jak przygotowujesz się do bitwy przy kamiennym stole. Jesteś równa Mab. Widziałem twoją moc. Nie można mieć takiej mocy bez wiedzy.

– To prawda.

– Muszę wiedzieć. Czy Mab jest zdrowa na umyśle? Czy wciąż... jest Mab?

Tytania przez długą chwilę udawała rzeźbę. Później przechyliła głowę i wpatrzyła się w jezioro.

– Nie wiem. – Spojrzała na mnie z ukosa. – Ostatni raz rozmawiałam z siostrą przed Hastings.

Prawie tysiąc lat izolacji. Dysfunkcja na epicką skalę. Dokładnie tego rodzaju napięcia rodzinne, w jakie zdrowi na umyśle ludzie starają się nie wtrącać.

– Zamierzam wtrącić się w wasze sprawy rodzinne. Ponieważ jestem śmiertelnie przerażony tym, co mogłoby się wydarzyć, gdybym tego nie zrobił, i ponieważ należy to zrobić. Rozumiem, że jesteś wrogiem Mab. Rozumiem, że jeśli ona mówi „czarne”, ty mówisz „białe” i tak już jest. Ale wszyscy razem znajdujemy się na najlepszej drodze do katastrofy. A ja potrzebuję twojej pomocy.

Tytania przechyliła głowę w drugą stronę i zrobiła krok ku mnie. Prawie się cofnąłem i opuściłem krąg. Nie chciałem tego zrobić. Wątpiłem, by zapewnił mi bezpieczeństwo na dłużej, gdyby uznała, że chce mnie dopaść, ale póki tam był, musiałyby poświęcić trochę czasu, by go zniszczyć – a w tym czasie mógłbym ją zaatakować. Oznaczało to również, że gdybym jako pierwszy zadał cios, zrezygnowałbym z ochrony zapewnianej przez krąg, obecnie mojej jedynej przewagi. Spojrzała na moje stopy, a później znów na mnie, z wyczekiwaniem.

– No tak. Czy mogłabyś mi pomóc?

Kiedy wypowiedziałem te słowa, coś pojawiło się na jej twarzy, uczucie, którego nie umiałem nazwać. Może nie było ludzkie. Odwróciła się gwałtownie i wyglądała, jakby po raz pierwszy zwróciła uwagę na otoczenie.

– Zobaczymy. – Znów zwróciła się do mnie, spojrzenie miała skupione. – Dlaczego przybyłeś tutaj, by mnie przywołać?

– To rezerwat ptaków. Naturalne miejsce, które ma chronić życie i piękno. A ptaki kojarzą mi się z Latem. Przed nadejściem zimy podążają za latem na południe, a później wracają. Pomyślałem, że może leżeć blisko niektórych ziem Lata w Faerie. Że łatwiej mnie usłyszysz.

Powoli odwróciła głowę, jakby nasłuchiwała. Otaczał nas jedynie bezustanny, stłumiony szum łopotu tysięcy skrzydeł.

– Ale to miejsce jest czymś więcej. Dochodzi tu do... nieakceptowanych związków. Wzruszyłem ramionami.

– Jesteśmy tu tylko ty i ja. Uznałem, że gdybyś zechciała mnie zabić, mogłabyś zrobić to tutaj, nie krzywdząc przy tym nikogo innego.

Tytania pokiwała głową, na jej twarzy pojawiło się zamyślenie.

– Co sądzisz o mężczyznach, którzy przychodzą tutaj, żeby spotkać się ze sobą?

– Hmm. – Poczułem się nieco wytrącony z równowagi. – Co sądzę o gejach?

– Tak.

– Bzykaj i daj bzykać innym, mniej więcej.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie ma to zbyt wiele wspólnego ze mną. To, co robią, mnie nie dotyczy. Nie wchodzę im do salonu, żeby przespać się z kobietą. Oni nie przychodzą do mnie, by robić to, cokolwiek robią z innymi facetami.

– Nie uważasz, że ich postępowanie jest moralnie niewłaściwe?

– Nie mam pojęcia, czy jest właściwe, czy też nie. Nie ma to dla mnie większego znaczenia.

– A dlaczego nie?

– Bo nawet jeśli postępują niemoralnie, byłbym idiotą, gdybym zaczął ich za to krytykować, jeśli sam nie jestem doskonały. Palenie jest szkodliwe. Picie jest szkodliwe. Tracenie panowania nad sobą i wrzeszczenie na ludzi jest niewłaściwe. Kłamanie jest niewłaściwe. Oszukiwanie jest niewłaściwe. Kradzież jest niewłaściwa. Ale ludzie robią to przez cały czas. Jak tylko się dowiem, jak być doskonałą istotą ludzką, będę miał wystarczające kwalifikacje, by tłumaczyć innym ludziom, jak mają żyć.

– Osobliwe podejście. Czy nie jesteś „tylko człowiekiem”? Czy nie będziesz zawsze niedoskonały?

– Zaczynasz łapać.

– Nie postrzegasz tego jako grzechu?

Wzruszyłem ramionami.

– Myślę, że ten świat jest okrutny. I trudno znaleźć miłość. Sądzę, że wszyscy powinniśmy się cieszyć, jeśli komuś się to uda.

– Miłość. – Wydawało się, że Tytania skupiła się na tym słowie. – Czy o to tu chodzi?

– Faceci, którzy przychodzą, żeby uprawiać seks z przypadkowymi partnerami? – Westchnąłem. – Nie bardzo. Myślę, że to trochę smutne. Zawsze kiedy seks staje się

tak... piekielnie bezosobowy, to wielka szkoda. I wątpię, by to było dla nich dobre. Ale nie mnie robią krzywdę.

– Dlaczego to ważne?

Przez chwilę po prostu patrzyłem na Tytanię.

– Ponieważ ludzie powinni być wolni. A dopóki coś, co mają ochotę zrobić, nikogo nie krzywdzi, powinni mieć do tego prawo. To oczywiste.

– Naprawdę? Wydaje się, że jest inaczej, jeśli stan świata śmiertelnych miałby być wskazówką.

– Jasne. Wiele ludzi tego nie rozumie. Mają obsesję na punkcie tego, co właściwe lub niewłaściwe. Albo prawe lub lewe. Ale wszystko to pozostaje bez znaczenia, jeśli ludzie nie są wolni.

Tytania wpatrywała się we mnie uważnie.

– Dlaczego pytasz mnie właśnie o to?

– Bo miałam wrażenie, że to stosowne. Instynkt podpowiadał mi, że dzięki twojej odpowiedzi dowiem się o tobie czegoś, co musiałam wiedzieć. – Tytania odetchnęła głęboko. – Co sądzisz o mojej siostrze?

Rozważałem to przez chwilę – odpowiedź uprzejma czy szczerą?

Szczerą. Zawsze warto wybrać szczerą. Oznacza, że nie trzeba się martwić zapamiętywaniem szczegółów wymyślonej historyjki.

– Uważałem, że gniew Mab jest dość przerażający, aż do chwili gdy dowiedziałem się, jak wygląda jej sympatia.

Na te słowa Tytania prawie się uśmiechnęła.

– Ach tak?

– Pomogła mi wrócić do zdrowia, próbując mnie zabić każdego dnia przez jedenaście tygodni. Piekielnie mnie przeraża.

– Nie kochasz jej?

– Nie według jakiegokolwiek definicji tego słowa, jaką słyszałem.

– A dlaczego jej służysz?

– Potrzebowałem jej pomocy. Taka była jej cena. Z całą pewnością nie dlatego, że podoba mi się wystrój Arctis Tor.

Tytania pokiwała głową.

– Nie jesteś podobny do innych potworów, które kształtowała dla siebie przez stulecia.

– Dziękuję?

Pokręciła głową.

– Nic dla ciebie nie zrobiłam, Harry Dresdenie. – Wyduła wargi. – W wielu kwestiach jesteśmy do siebie podobne. W wielu innych kwestiach jesteśmy zupełnie inne. Wiesz, w co wierzy moja siostra?

– W efekciarskie wejścia.

Wargi Tytania zadrżały.

– W rozum.

– Rozum?

– Rozum. Logikę. Kalkulację. Zimne liczby. Wyższość umysłu. – Spojrzenie Tytania się zamgliło. – To kolejna kwestia, w której się różnimy. Ja wolę kierować się mądrością serca.

– To znaczy?

Tytania uniosła dłoń i wypowiedziała jedno słowo, a powietrze zadźwięczało mocą. Ziemia odkształciła się, rozrywając mój krąg i rzucając mnie na plecy.

– To znaczy – w jej głosie brzmiała wściekłość – że zamordowałeś moją córkę.

Ptaki poleciały z wrzaskiem we wszystkie strony, jakby wypuszczone z wirówki. Tytania uniosła dłoń, a wtedy z burzowego nieba wyleciała błyskawica i wybiła dymiący krater wielkości mojej głowy w ziemi w odległości trzech stóp ode mnie.

– Śmiesz przychodzić tutaj! Prosić mnie, żebym wtrąciła się w sprawy mojej siostry! Ty, który dałeś mojej Aurorze żelazną śmierć!

Próbowałem wstać, ale Tytania złapała mnie za kurtkę i podniosła nad ziemię. Jedną ręką. Trzymała mnie nad głową, w taki sposób, że jej pięść wciskała się w mój tors.

– Mogłabym zabić cię na tysiące sposobów – warknęła, a w jej opalizujących oczach kłębiły się barwy. – Mogłabym rozrzucić twoje kości na najdalsze krańce świata. Mogłabym nakarmić tobą swój ogród i zmusić cię, żebyś przez cały czas krzyczał. Mogłabym cię dręczyć w taki sposób, że los Lloyda Slate'a wydawałby ci się łaską. Chcę pożreć twoje serce.

Wisiałem nad rozwścieczoną Królową Lata i wiedziałem, że nie mogę zrobić nic, by ocalić swoje życie. Owszem, umiem wiele rzeczy – zadziwiających rzeczy. Ale Tytania nie musiała się mnie bać bardziej niż niedźwiedź polarny polnej myszy. Bicie mojego serca stało się wręcz jednym tonem i z trudem powstrzymałem się przed popuszczeniem.

I wtedy wydarzyło się coś naprawdę niepokojącego.

Jej oczy wypełniły łzy, które po chwili załały policzki. Wydawało się, że Tytania obwiła. Opuściła mnie na ziemię i uwolniła.

– Mogłabym zrobić te rzeczy. Ale żadna z nich – szepnęła – nie oddałaby mi córki. Żadna z nich nie wypełniłaby mojej wewnętrznej pustki. Minęło wiele czasu, ale mądre rady Najstarszego Spryciołka pomogły mi dostrzec tę prawdę.

Na dzwony Piekieł. Najstarszy Spryciołek przemówił za mną? Byłem mu winien piwo.

– Nie jestem głupia, magu. Wiem, czym ona się stała. Wiem, co trzeba było zrobić.
– Popłynęły kolejne łzy, błyszczące jak diamenty. – Ale ona była moja. Nie mogę zapomnieć, że mi ją odebrano. Nie umiem ci tego wybaczyć. Zabierz życie i opuść to miejsce.

Nawet w moich własnych uszach brzmiałem trochę niepewnie, kiedy się odezwałem.

– Jeśli Studnia zostanie naruszona, twoja kraina może utracić równie wiele co świat śmiertelnych.

– Mądrość serca każe mi cię nienawidzić, śmiertelniku, niezależnie od tego, co mógłby podpowiedzieć rozum. Nie pomogę ci.

– Nie? Jak podpowiada ci serce, co się stanie, jeśli te stwory ze Studni zostaną uwolnione? To nieśmiertelni. Ogień zabezpieczeń może powstrzymać ich na chwilę, ale wrócą.

Tytania nie odwróciła się w moją stronę. W jej głosie brzmiało zmęczenie.

– Serce mówi mi, że wszystko się kończy... Ale to jedno powiem Rycerzowi Zimy, który wierzy w wolność: musisz nauczyć się większej dyskrecji. Moc, którą poznałeś i której się boisz, ma nazwę. Należy znać właściwe nazwy rzeczy.

Odwróciła się i ruszyła w moją stronę. Ciało radziło mi uciekać ze wszystkich sił, ale kazałem mu się zamknąć, bo nogi i tak za bardzo mi drżały. Tytania stanęła na palcach i wyszeptała bardzo blisko mojego ucha:

– Nemezis. Wypowiadaj je ostrożnie... bo jeszcze cię usłyszysz.

Zamrugalem.

– Ono... co?

Z tymi słowami odwróciła się i zaczęła odchodzić.

– Żegnaj, magu. Mówisz, że ludzie powinni być wolni. Zgadzam się. Nie spętam cię swoją mądrością. Dokonaj wyborów. Wybierz, czym ma stać się świat. Mnie to nie obchodzi. Dla mnie pozostało w nim niewiele światła, dzięki tobie.

Niewielkie stadko ptaków, ledwie parę setek, wleciało między mnie a Tytanię. Kiedy przeleciały, jej już nie było.

Stałem tam, czekając, aż puls mi zwolni, podobnie jak wirujące chmury. Czujęm

się koszmarne. Kiedy zabiłem Aurorę, nie miałem zbyt wielkiego wyboru – ale i tak odebrałem jej córeczkę. Czułem się jak wiosłarz z jednym wiosłem – niezależnie od tego, jak bardzo się wysilałem, tkwiłem w miejscu.

Ale przynajmniej miałem teraz nazwę na siłę, o której powiedziały mi Panny.

Nemesis.

I było to świadome.

Powstrzymywany dotąd deszcz zaczął nagle padać strumieniami, a ja kwaśno pomyślałem, że Tytania dopilnowała, bym przemókł. Nie zabiła mnie, przynajmniej jeszcze nie. Ale wiedziałem, że mnie nie lubiła.

Zbliżała się noc, a po jej nadejściu miało się rozpętać piekło. I to był najlepszy scenariusz.

Pochyliłem głowę i ramiona dla ochrony przed deszczem i wyszedłem z Magicznego Żywopłotu.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Zatrzymałem taksówkę i pojechałem do kolejnego celu – na cmentarz Graceland.

Panował tam całkiem spory ruch, w końcu było Halloween i tak dalej. Graceland to jeden z wielkich cmentarzy narodu, Atlantic City wśród miejsc pochówku. Wypełniają go pomniki mężczyzn i kobiet, którzy za życia wyraźnie mieli za dużo pieniędzy. Wszędzie są rzeźby i mauzolea, z granitu i bogato zdobionego marmuru, niektóre w stylu starożytnej Grecji, inne bardziej pod wpływem starożytnego Egiptu. Jeden wyglądał wręcz jak świątynia w skali jeden do jednego. Styl poszczególnych pomników waha się od niewiarygodnego piękna do absolutnie skandalicznej ekstrawagancji, a artyści, biznesmeni, architekci i inwestorzy spoczywają teraz razem w ciszy.

Wybrawszy się na spacer do Graceland, można się zagubić w labiryncie wspomnień, chmurze nazwisk, których nikt z żyjących nie mógłby przypisać do twarzy. Mijając niektóre ze starszych nagrobków zastanawiałem się, czy ktokolwiek je teraz odwiedzał. Jeśli ktoś zmarł w roku 1876, znaczyło to, że obecnie żyły jego praprawnuki albo nawet prapraprawnuki. Czy ludzie odwiedzali groby tych, którzy odeszli tak dawno?

Nie. Nie z powodów osobistych. Ale to nic złego. Groby nie są dla umarłych. Są dla bliskich, których pozostawiają umarli. Kiedy ci bliscy odejdą, kiedy zakończą się wszystkie żywoty powiązane z zajmującym ten czy inny grób, wówczas cel grobu zostaje wypełniony.

Patrząc z tego punktu widzenia, równie dobrze można ozdobić swój grób olbrzymią rzeźbą albo gigantyczną świątynią. Przynajmniej ludzie mają wtedy o czym gadać. Choć, kierując się tą logiką, ja musiałbym umieścić na swoim grobie kolejkę górską albo może karuzelę. Wtedy nawet po odejściu moich bliskich ludzie mogliby przez całe lata dobrze się bawić.

Oczywiście potrzebowałbym trochę większej parceli.

Mój grób wciąż był otwarty, głęboka na sześć stóp jama w ziemi. Stary wróg kupił go dla mnie jako element swego rodzaju morderczej gry wstępnej. Nie wyszło tak, jak się spodziewała. Ale cokolwiek zrobiła, żeby kupić grób i pozostawić go (nielegalnie)

otwartym, najwyraźniej wciąż działało, bo kiedy dotarłem na miejsce, był tak samo jak wcześniej zięjący i groźny. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy przeczytałem napis na nagrobku.

Był całkiem ładny, biały marmur ze złotym napisem i złotym pentagramem:

TU SPOCZYWA HARRY DRESDEN

ZGINAŁ, ROBIĄC TO, CO SŁUSZNE.

– Cóż – mruknąłem – kiedyś pewnie tak. Ale pewnie będzie mi musiało wystarczyć dwa z trzech.

Rozejrzałem się. Minąłem kilka grup, które wyglądały na halloweenowe wycieczki po nawiedzonych miejscach, i gromadkę dzieciaków w drogich czarnych ciuchach. Miały ponure makijaże, paliły papierosy i bardzo starały się robić wrażenie wyrobionych życiowo. Kilkoro starszych ludzi rzeczywiście odwiedzało groby i kładło świeże kwiaty.

Zatrzymałem się z namysłem przed własnym grobem i zacząłem, aż nikt nie będzie patrzył. Wtedy do niego wskoczyłem. Moje stopy rozchlapały cal wody i kolejne sześć cali błota, a wszystko przez ciągły deszcz.

Przykucnąłem jeszcze bardziej, żeby nikt mnie przypadkiem nie zobaczył, i znów sięgnąłem do torby.

Ręce drżały mi tak bardzo, że za pierwszym razem nie udało mi się jej otworzyć. Nie chodziło o zimno. Nie chodziło nawet o stanie we własnym grobie – do diabła, kiedy byłem duchem, mój własny grób był najbardziej uspokajającym miejscem na całym świecie i wciąż czułem ślad tego spokoju. Nie zrozumcie mnie źle – nadal nie pragnąłem umrzeć.

Przerażało mnie wyobrażenie sobie, co by się stało ze wszystkimi ludźmi, na których mi zależało, gdybym umarł w ciągu najbliższych kilku minut. Jeśli miałem rację, ta następna rozmowa mogła mi zapewnić wszystko, czego potrzebowałem. Jeśli nie... cóż, pewnie mogłem mieć nadzieję, że umrę. Ale podejrzewałem, że magowie, którzy wkurzają osoby na takim poziomie, nie mogą liczyć na nic tak przyjemnego i łagodnego.

Pośpiesznie skończyłem przygotowania. Ziemia i woda były wszędzie dookoła, żaden problem. Musiałem mieć nadzieję, że ta odrobina powietrza wystarczy do wezwania. Ogień byłby kłopotem, gdybym nie poczynił wcześniejszych przygotowań. Potrzebowałem przedstawienia jeszcze jednej pierwotnej siły, czegoś, co przywołałoby tę właśnie istotę, którą miałem na myśli:

Śmierć.

Jeśli rzucanie zaklęcia we własnym grobie w przekłete Halloween nie było wystarczająco śmiertelne, nie miałem pojęcia, co mogłoby takie być.

Stałem na jednej nodze i gestem oraz słowem zamroziłem większość wody w grobie. Opuściłem nogę na lód i wyciągnąłem drugą stopę z części, którą pozostawiłem jako lodową breję. Później ją również zamroziłem. Nie miałem problemów ze ślizganiem się na lodzie – albo raczej odrobinę się ślizgałem, ale moje ciało przystosowało się do tego tak naturalnie, jak do drobnych kamyków przesuwających się pod stopami na zwirowej ścieżce. Żaden problem.

Kiedy woda się zestaliła, wyjąłem inne rekwizyty. Butelka kuchennego oleju, nóż i zapalki.

Wyjąłem nóż i naciąłem lekko skórę lewej ręki, między kciukiem a palcem wskazującym, gdzie już wcześniej zostałem raniony na życzenie królowej elfów. Kiedy zaczęła się tam zbierać krew, wyciągnąłem rękę i tym samym nożem odciąłem kosmyk włosów. Wziąłem go i za pomocą świeżej krwi zlepiłem włosy razem, po czym rzuciłem je na lód. Więcej śmierci, tak na wszelki wypadek. Następnie wylałem olej w kręgu wokół włosów i krwi i szybko podpaliłem go zapalkami.

Ogień i woda syczały, a nad moim grobem wył wiatr. Położyłem dłonie płasko po obu stronach, zamknąłem oczy i wypowiedziałem inwokację, którą wybrałem, napełniając głos swoją wolą.

– Starucho, zwiastunko! – zacząłem, po czym podniosłem głos. – Najdłuższy cieniu! Najmroczniejszy śnie! Pani o niezaspokojonym głodzie, żelaznych zębach, bezlitosnych szczękach! – Wlałem więcej tchu i woli w swoje słowa i wnętrze mojego grobu wręcz dźwięczało. – Jestem Harry Dresden, Rycerz Zimy, i muszę z tobą porozmawiać! Atropos! Skuld! Matko Zimy, przywołuję cię!

Wypuściłem zgromadzoną moc wraz z głosem, a kiedy zadźwięczał, usłyszałem ptaki podrywające się z kryjówek na całym cmentarzu. Rozległy się też okrzyki zaskoczenia, turystów albo gotów, albo jednych i drugich. Zazgrzytałem zębami i miałem nadzieję, że nikt z nich nie ruszy w moją stronę. Śmierć z rąk Matki Zimy nie przypominała śmierci z rąk Tytanii. To drugie byłoby potężne i paskudne – może nie walka, ale przynajmniej porządna rzeź.

Gdyby Matka Zimy przybyła i chciała mnie zabić, pewnie po prostu rozpadłbym się w pył albo coś w tym rodzaju. Matka Zimy była dla Mab tym, czym Mab dla Maeve – moc o rząd wielkości potężniejsza od Królowej Zimy. Spotkałem ją raz, a ona dosłownie zrobiła na drutach najpotężniejszą magię, jaką widziałem w życiu, nie przerywając przy tym rozmowy.

Echa mojego przywołania kilka razy odbiły się wokół cmentarza, a później...

A później...

A później nic.

Siedziałem tam przez chwilę i czekałem, a płonący ogień syczał i trzaskał na lodzie. Strużka oleju sięgnęła do mojej krwi i włosów, a po chwili podążył za nią język ognia. Nie przeszkadzało mi to. I tak nie zamierzałem porzucić tak soczystego kąska, żeby ktoś mógł go ukraść.

Zaczekałem, aż ogień wypalił się do końca i nad grobem znów zapanuje cisza. Do diabła. Nie mogłem się domyślić, co miało się wydarzyć tego wieczoru, starannie przesiewając wszystkie fakty i analizując, jak do siebie pasują. Nie w czasie, który mi pozostał. Moją jedyną szansą było dorwać kogoś, kto wiedział, i zmusić do mówienia. Jasne, rozmowa z Matką Zimy była jedynie odrobinę mniej szalona od próby wezwania Lucyfera, a może nawet samej Śmierci (jeśli istniała taka istota – nikt nie był do końca pewny), ale jeśli potrzebne są informacje od świadków i ekspertów, rozmowa z nimi jest jedynym sposobem, by je uzyskać.

Może moje przywoływanie nie było dość śmiertelne, ale nie chciałem zabijać jakiegoś biednego zwierzaka, żeby zwrócić uwagę staruszki. Może jednak będę musiał. Stawka była zbyt wysoka, by się brzydzić.

Potrząsnąłem głową, odłożyłem narzędzia i wtedy właśnie lód pod moimi stopami popękał i wystrzeliła z niego długa, koścista ręka, pokryta zmarszczkami, brodawkami i plamami i należąca do ciała, które musiałyby mieć co najmniej dwadzieścia stóp wzrostu. Złapała mnie za głowę. Nie za twarz. Za moją całą głowę, jak piłkę do palanta. Albo jabłko. Poplamione czarne szpony na końcu guzowatych palców wbiły się we mnie, przebijając skórę, i nagle zostałem pociągnięty w dół, prosto na cholerny lód, z tak wielką siłą, że przez chwilę bałem się, że złamałem kark.

Byłem pewien, że się połamię, kiedy uderzę w lód, ale zostałem przeciągnięty przez jego taflę i w błoto, i przez nie, a później spadałem, krzycząc z nagłego, instynktownego, bezmyślnego przerażenia. Uderzyłem w coś twardego i to zabolowało, mimo mocy opończy. Odetchnąłem chrapliwie. Wisiałem tam, przez chwilę oszołomiony, a te zimne, okrutne, spiczaste szpony wbijały się w moje ciało. Z pewnej odległości dobiegał mnie odgłos powolnego kuśtykania i czułem, że moje stopy są wleczone po powierzchni.

Później zostałem wyrzucony w powietrze, obróciłem się dwa razy w płaszczyźnie poziomej i uderzyłem o ścianę. Odbiłem się od niej i padłem na coś, co robiło wrażenie klepiska. Leżałem tam niezdolny odetchnąć, ledwie zdolny się poruszyć,

i albo oślepiłem, albo otaczała mnie całkowita ciemność. Zaletą takiego obicia jest fakt, że otępiająca umysł groza na jakiś czas zostaje tak jakby odstawiona na boczny tor. I to właściwie jedyna zaleta. Kiedy w końcu udało mi się wciągnąć odrobinę powietrza, wykorzystałem je, żeby wydać z siebie jęk czystego bólu.

Z ciemności dobiegł mnie głos, dźwięk zakurzony, chrapliwy i pokryty pająkami.

– Mnie – powiedział, przeciągając to słowo. – Próbujesz przywołać. Mnie.

– Najserdeczniej przepraszam za tę konieczność – odpowiedziałem, a raczej próbowałem odpowiedzieć Matce Zimy. Sądzę, że w rzeczywistości zabrzmiało to jako: – Auć.

– Myślisz, że jestem służącą, na którą można zagwizdać? – Głos wypełniały nienawiść, zmęczenie i mroczne rozbawienie, wszystkie razem zmumifikowane. – Myślisz, że jestem pomniejszym duchem, któremu możesz wydawać rozkazy?

– Nnn-i, au – sapnąłem.

– Ośmieliłeś się narzucać? Ośmieliłeś się wypowiedzieć takie imiona, by przyciągnąć moją uwagę? Mam potrawkę do ugotowania i wypełnię ją twoim aroganckim śmiertelnym mięsem.

W ciemnościach rozległ się dźwięk. Stał przesuwana po kamieniu. Pojawiło się kilka iskier, oślepiających w mroku. Wypaliły na mojej siatkówce obraz potężnej skulonej postaci ściskającej tasak.

Iskry pojawiały się co kilka sekund, gdy Matka Zima powoli ostrzyła narzędzie. Udało mi się zapanować nad oddechem i zwalczyć ból.

– Mmm... – zacząłem. – M-matko Zimo. To wielka przyjemność znów cię spotkać.

Kolejne iskry odbijały się w żelaznej powierzchni – w zębach.

– M-muszę z tobą porozmawiać.

– Mów więc, człowieczku. Została ci odrobina czasu.

Tasak znów zazgrzytał o osełkę.

– Mab kazała mi zabić Maeve.

– Zawsze robi głupoty.

– Maeve mówi, że Mab oszalała. Lily się zgadza.

Rozległ się chrapliwy odgłos, który mógł być chichotem.

– Cóż za kochająca córka.

Musiałem wierzyć, że jakoś się z tego wydostanę. Dlatego ją naciskałem.

– Muszę wiedzieć, która z nich ma rację. Muszę wiedzieć, przeciwko komu powinienem się zwrócić, by zapobiec wielkiej tragedii.

– Tragedia – wymruczała Matka Zima głosem, który kojarzył mi się ze zgrzytem

skorpionów. – Ból? Groza? Smutek? Dlaczego miałabym zapobiec czemuś takiemu? To słodsze niż szpik niemowlęcia.

Dobrze, że jestem nieustraszonym i dzielnym magiem, bo inaczej to ostatnie zdanie wywołałoby we mnie tak potężną gęsią skórkę, że uniósłbym się nad podłogę.

W sumie już i tak byłem w głębokiej dupie, więc zaryzykowałem. W ciemnościach skrzyżowałem palce i powiedziałem:

– Bo stoi za tym Nemezis.

Zgrzyt tasaka gwałtownie ucichł.

Ciemność i cisza były przez chwilę absolutne.

Wyobraźnia przedstawiła mi obraz Matki Zimy skradającej się bezgłośnie w moją stronę w mroku, z uniesionym tasakiem, i stłumiłem pragnienie, by zacząć krzyczeć z przerażenia.

– Tak – szepnęła po chwili. – W końcu zobaczyłeś to, co przez cały czas miałeś przed sobą.

– Tak. Chyba. Przynajmniej wiem teraz, że coś tam jest.

– Jakie to bardzo śmiertelne z twojej strony. Uczysz się dopiero, kiedy jest za późno.

Zgrzyt. Iskry.

– Nie zabijesz mnie. Jestem twoim Rycerzem tak samo jak Mab.

Rozległo się niskie, ciche prychnięcie.

– Nie jesteś prawdziwym Rycerzem Zimy, człowieczku. Kiedy pożrę twoje ciało, a wraz z nim twoją opończę, obdarzę nią kogoś godniejszego tego miana. Nie powinnam oddawać jej Mab.

A niech mnie. Nie pomyślałem o takiej motywacji. Poczułem, że zaraz zapaskudzę bieliznę. Spróbowałem poruszyć kończynami i odkryłem, że są odrętwiałe i jedynie częściowo działają. Starłem się przewrócić na brzuch, żeby móc podciągnąć nogi.

– Nie? – spytałem przerażonym, łamiącym się głosem. – A właściwie dlaczego?

– Mab – w głosie Matki Zimy brzmiało czyste obrzydzenie – jest zbyt wielką romantyczką.

Oto wszystko, co trzeba wiedzieć o Matce Zimy, w jednym zdaniu.

– Spędza zbyt wiele czasu ze śmiertelnikami. – Wysuszone wargi Matki Zimy odsłaniały żelazne zęby, a iskry z jej tasaka wznosiły się coraz wyżej. – Ze śmiertelnikami w ich miękkim, kontrolowanym świetle. Ze śmiertelnikami, którzy nie mają nic do roboty poza walką między sobą, którzy zapomnieli, dlaczego powinni bać się kłów i szponów, zimna i ciemności.

– A... to coś złego?

– A jaką wartość ma życie, które tak łatwo zachować? – Matka Zimy wypluła ostatnie słowo. – Słabość Mab jest oczywista. Wystarczy spojrzeć na jej Rycerza.

Jej Rycerz próbował właśnie usiąść, ale jego nadgarstki i kostki były przymocowane do podłogi przez coś zimnego, twardego i niewidocznego. Sprawdziłem pęta, ale nie wyczuwałem krawędzi. Nie mogły być metalowe. I nie były z lodu. Nie wiedziałem, skąd to wiem, ale byłem absolutnie przekonany. Lód nie byłby przeszkodą. Jednakże było w tym coś znajomego, coś, co czułem wcześniej... w Chichén Itzá.

Wola.

Matka Zimy przytrzymywała mnie czystą, nagą wolą. Przywódcy Czerwonego Dworu byli starożytnymi istotami o podobnej mocy, ale tamto było niejasnym, duszącym kocem, który uniemożliwiał ruch i działanie, czysto umysłowym wysiłkiem.

To wydawało się podobne, ale o wiele bardziej skupione, rozwinięte, jakby myśl jakimś sposobem skryształizowała się i stała namacalna. Moje nadgarstki i kostki nie chciały się poruszyć, bo wola Matki Zimy mówiła, że tak działa rzeczywistość. Przypominało to magię – ale magia brała nasienie, jądro woli i budowała wokół tego nasienia konstrukcję z innych energii. Wymagało to dużej praktyki i skupienia, ale w ostatecznym rozliczeniu wola była jedynie częścią zaklęcia, stopioną z inną energią, by stworzyć coś innego.

Tym, co mnie teraz powstrzymywało, była czysta, nierozcieńczona wola – jak podejrzewam, podobna do tej, która stanowiła podstawę wydarzeń zapowiadanych frazami w rodzaju „Niech się stanie światło”. Było to coś nadludzkiego, coś wykraczającego poza czystą siłę fizyczną, i nawet gdybym był Niewiarygodnym Hulkiem, z pewnością nie udałoby mi się wyrwać.

– Ach. – Matka Zimy po raz ostatni przeciągnęła tasakiem po osełce. – Lubię starannie pokrojone mięso, człowieczku. Czas na obiad.

I usłyszałem zbliżające się powolne kuśtykanie.

Rozdział trzydziesty drugi

Na moich wargach pojawił się drapieżny uśmiech.

We wszelkich starciach z istotami nadnaturalnymi śmiertelnicy zwykle dostają łupnia. Nawet większość magów, mimo dostępu do przerażających mocy, musi ostrożnie podchodzić do konfliktów – względnie niewielu z nas ma talenty, które daje się wykorzystać w bijatyce. Ale śmiertelnicy mogą pokonać każdego w dokładnie jednej kwestii – wolności wyboru. Wolnej woli.

Minęło sporo czasu, nim zacząłem to pojmować, ale w końcu przebiło się do mojej tępej łepetyny. Nie mogłbym siłować się na rękę z ogrem, nawet z opończą. Pewnie nie wygrałbym magicznego pojedynku z Mab czy Tytanią – najprawdopodobniej również z Maeve i Lily. Każdy sidhe by mnie przegonił.

Ale mogłem stawić opór absolutnie każdemu.

Mogłem podnieść wolę przeciwko woli każdej istoty ze świadomością, że walka mogła być nierówna, ale nigdy beznadziejna. I, na grom, nie zamierzałem pozwolić, by wola kogokolwiek przyszpilała mnie do ziemi jak jagnię na rzeź.

Przestałem napierać na więzy kończynami i zacząłem używać umysłu. Nie próbowałem ich odepchnąć, przerwać ani się z nich wyślizgnąć. Po prostu chciałem, by ich nie było. Wyobrażałem sobie, co bym czuł, gdyby moje kończyny się uwolniły, i skoncentrowałem się na tej rzeczywistości, przywołałem całkowite skupienie na tym celu, tym ideale, tym fakcie.

A później skrzyżowałem palce i sięgnąłem w głąb siebie, do miejsca, gdzie działający skrycie archanioł dał mi dostęp do jednej z pierwotnych mocy wszechświata, energii zwanej ogniem duszy. Nie miałem pojęcia, jak będzie na dłuższą metę współpracować z opończą Rycerza Zimy. Owszem, raz się udało, ale to nie znaczyło, że wciąż będzie się udawać. Byłem przekonany, że to, co robię, przypomina łykanie buteleczek z nitrogliceryną i podskakiwanie, żeby zobaczyć, co się wydarzy, ale w tym momencie nie miałem już wiele do stracenia. Zebrałem ogień duszy, napełniłem nim surową wolę i rzuciłem powstały związek przeciwko więzom.

Zdaniem Boba ogień duszy jest jedną z podstawowych sił wszechświata, pierwotną mocą stworzenia. Nie jest przeznaczony dla śmiertelników. Uzyskujemy

go, odcinając odrobinę duszy, energii życiowej, i przekształcając ją w coś innego.

Bob jest błyskotliwy, ale niektórych rzeczy po prostu nie ogarnia. Jego definicja stanowiła dobry punkt wyjścia, ale była też nieco zbyt łatwo kwantyfikowalna. Dusza nie jest czymś, co można zmierzyć i zważyć. To więcej niż jedna określona rzecz. A ponieważ ogień duszy oddziałuje z duszami w sposób, którego chyba nikt nie rozumie, założenie, że ogień duszy też nie jest jedną określoną rzeczą, wydaje się rozsądne.

A w tym przypadku, w tej chwili, rozumiałem doskonale, co robił ogień duszy. Przeobrażał mnie, moją istotę, wszystko, co czyniło mnie tym, kim byłem, w energię, w światło. Kiedy zebrałem razem złączoną wolę i płonące sedno mojej tożsamości, nie dodawałem mocy zaklęciu. Nie próbowałem sprytnie znaleźć słabego punktu czaru. Nie używałem znajomości magii, by wykorzystać to, co robił przeciwnik.

Rzuciłem wszystko, co zrobiłem, wszystko, w co wierzyłem, wszystko, co wybrałem – wszystko, czym byłem – przeciwko woli starożytnej istoty ciemności, grozy i złośliwości, jednej z podstawowych mocy wszechświata.

I pęta woli Matki Zimy nie mogły mnie powstrzymać.

Usłyszałem ostry, drgający dźwięk, jakby naprężonego metalu, który zaczynał się poddawać, ale bardziej melodyjny, i pojawiło się białe światło, które odepchnęło mrok i mnie oślepiło. Rozległ się głośny trzask i z moich kostek i nadgarstków wystrzeliła przerażająca moc, wypełniając otaczającą mnie przestrzeń falą uderzeniową surowej energii kinetycznej – ledwie cień działających sił, efekt uboczny. W tej bieli dostrzegłem okrytą całunem, pochyloną postać, która została odepchnięta i uderzyła w coś twardego.

A po chwili byłem wolny i mogłem się podnieść.

Cofnąłem się z nadzieją, że w czasie błysku nie pomyliłem kierunków, i przepełniła mnie ulga, kiedy uderzyłem plecami w kamienną ścianę. Pomacałem po obu stronach i moja dłoń otarła się o coś twardego, może niewielką półkę z deski. Zrzuciłem ją z haka. Upadła na klepisko z brzękiem małych, ciężkich szklanych słoików.

Opierałem się o ścianę, oszołomiony i zdyszany, i wysapałem, najgłębszym i najbardziej chrapliwym głosem:

– Nikt nie uwięzi Hulka!

Wtedy usłyszałem w ciemności szelest materiału, ciche sapnięcie, ledwie słyszalny świst w powietrzu. Nie mogę przypisywać sobie zasługi, twierdzić, że byłem bystry albo opanowany. Jakiś instynkt podpowiedział mi, gdzie trafi tasak, więc gwałtownie szarpnąłem głowę w bok. Poleciały iskry, kiedy tasak uderzył w ścianę w miejscu,

gdzie przed chwilą znajdowała się moja czaszka, i wbił się w nią, jakby była ze zbutwiałej sośniny, nie kamienia. Pozostał tam, wibrując cicho.

Muszę się nauczyć trzymać przeklęty dziób na kłódkę. Zacisnąłem zęby i pozostałem nieruchomy, nie dając żadnej wskazówki, gdzie w ciemnościach się znajdowałem.

Przez długi czas panowała cisza, pomijając oddech, który bardzo starałem się spowolnić i uciszyć. A później w mroku rozległ się koszmarny odgłos, jakby coś się ślizgało. Utknął w starożytnym gardle Matki Zimy, trzaskał jak pancerzyki chmury padlinożernych żuków. Przesuwał się w powietrzu jak stado robaków ryjących w zgniłym mięsie. Otarł się o mnie, lekki i ohydny, niczym dotknięcie pióra zawszonego sępa, a ja zmusiłem się, by przycisnąć się jeszcze bardziej do kamienia.

Matka Zimy chichotała.

– No tak. Tak, tak i tak. Może jednak nie jesteś aż tak bezużyteczny, co, człowieczku?

Równie dobrze Matka Zimy mogła mieć tam komplet sztuców. Zebrałem wolę w zakłęcie tarczy, ale jej nie wypuściłem. Magia była dla fae jak powietrze i woda. Miałem przeczucie, że Matka Zimy umiałaby je zlokalizować.

– To była próba? – szepnąłem, zasłaniając usta dłonią, żeby miejsce, w którym stałem, nie było tak oczywiste.

– Albo posiłek – wychrypiała. – I jedno, i drugie by się nadało.

I wtedy pomieszczenie zalała jasność.

Pomyślałem, że jakaś ogromna moc wypełniła miejsce, w którym stałem, ale po chwili uświadomiłem sobie, że to drzwi. Światło było słonecznym blaskiem, nieco złotawym i kojarzącym mi się z jesienią. Musiałem osłonić przed nim oczy, ale po chwili uświadomiłem sobie, że stoję w niedużej chatce kojarzącej się ze średniowieczem – i to takiej, którą już kiedyś odwiedziłem. Wszystko w jej wnętrzu wykonano z drewna, skóry, gliny i ręcznie. Szkło w oknach było nierówne i półprzejryste. Chatka robiła wrażenie schludnej i zadbanej – pomijając jeden kąt z dużym, paskudnym, prymitywnym bujanym fotelem. A, i jeszcze zrzucone z półki gliniane garnuszki zapieczętowane woskiem.

– Czasami bywasz aż przesadnie dramatyczna. – W głosie starej kobiety było tyle łagodności i słodczy, co ostrości w głosie Matki Zimy.

Po chwili weszła do domu – stara matrona ubrana w prostą sukienkę i zielony fartuch. Długie włosy, srebrzysto-białe i dość rzadkie, upięta w niewielki, ciasny kok. Poruszała się z nieco sztywną energią aktywnego seniora, a jeśli nawet jej zielone

oczy otaczały zmarszczki, one same były błyszczące i przenikliwe. Matka Lata niosła w ręku koszyk wypełniony ziołami z jesiennego ogrodu. Na moich oczach weszła do środka i coś mruknęła, a wtedy tuzin niewielkich wirów usunął grube warstwy sadzy ze składających się z wielu szybek okien wokół chatki, którą wypełniło wówczas jeszcze więcej ciepłego światła.

– Będziemy potrzebować nowego tasaka.

Matka Zimy, w czarnym szalu i kapturze, odsłoniła żelazne zęby w bezgłośnym warknięciu. Wyciągnęła pokrzywiony i pokryty brodawkami palec w stronę najbliższego okna i znów poczerniła je sadzą. Później powlokła się do krzesła pod oknem i usadowiła w cieniu, jakby to był ciepły kocyk.

– Robię to, co należy zrobić.

– Naszym tasakiem. Zakładam, że jeden z naszych noży nie nadawał się do tego celu?

Matka Zimy znów odsłoniła zęby.

– Nie trzymałam noża.

Matka Lata cmoknęła z dezaprobatą i zaczęła rozkładać zawartość koszyka na drewnianym stole przy kominku.

– Mówiłam ci – powiedziała spokojnie.

Matka Zimy mruknęła coś i wyciągnęła palec. Z półki spadł duży kubek zdobiony delikatnymi kwiatowymi wzorami.

Matka Lata spokojnie złapała go i odstawiła z powrotem na półkę.

– Yyy, Matko Lata – odezwałem się po chwili ciszy. – Przepraszam za wtargnięcie do waszego domu.

– Ojej, jakie to urocze. Ale nie jesteś mi winien żadnych przeprosin. W końcu zostałeś tu sprowadzony wbrew własnej woli. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Niegrzecznie.

Matka Zimy znów mruknęła coś z niezadowoleniem.

Patrzyłem to na jedną, to na drugą. Ta rodzina od stuleci jest dysfunkcyjna, Harry, pomyślałem. Bądź ostrożny.

– No tak. Ja wołałbym to uznać za bardzo stanowcze zaproszenie.

– Ha – powiedziała Matka Zimy spod kaptura. Jej zęby błyszczwały. – Rycerz przynajmniej wie, wobec kogo ma być lojalny.

Matce Lata jakimś sposobem udało się wypełnić głos dużą dozą sceptycyzmu.

– Z pewnością jest niezmiernie uradowany, że jest ci winien lojalność. Dlaczego go tu sprowadziłaś? I to właśnie teraz?

Matka Zimy znów pokazała zęby.

– Przywołał mnie, kochanieńki.

Matka Lata upuściła zioła. Odwróciła głowę w moją stronę i popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma.

– Och. Ojej.

Bujany fotel Matki Zimy zatrzeszczał, choć nie wyglądał, jakby się poruszał.

– Znał pewne imiona. Ich wybór nie był całkowicie głupi, a wykorzystanie całkowicie niewłaściwe.

Matka Lata zmrużyła błyszczące zielone oczy.

– Czy on...?

– Nie – wychrypiała Matka Zimy. – Nie to. Ale widział adwersarza i poznał jedno z jego imion.

W zielonych oczach zamigły kalkulacja i namysł, tak szybko, że nie umiałem za nimi nadążyć.

– Ach tak. Rozumiem. Rozwija się tak wiele nowych przyszłości.

– Zbyt wiele jasnych – mruknęła ponuro Matka Zimy.

– Nawet ty powinnaś uważać je za lepsze od pustki nocy.

Matka Zimy splunęła w bok.

Jej plwocina zaczęła wyżerać otwór w klepisku kilka cali od jednej z moich stóp. Nie żartuję. Zrobiłem malutki krok w bok i próbowałem nie wdychać oparów.

– Myśle – stwierdziła Matka Zimy – że należy mu pokazać.

Matka Lata zmrużyła oczy.

– Czy jest gotów?

– Nie mamy czasu go hołubić – wychrypiała Zima. – Jest bronią. Niech stanie się silniejszy.

– Albo pęknie?

– Czas, czas! To nie jest twoja broń.

– To nie jest twój świat – odparowała Lato.

– Przepraszam – wtrąciłem cicho.

W moją stronę zwróciły się zielone oczy i czarny kaptur.

– Nie chciałbym być niegrzeczny, pani. – Podniosłem drewnianą półkę, którą zrzuciłem, i ponownie zawiesiłem ją na hakach. Później pochyliłem się i zacząłem ustawiać na niej zapieczętowane słoiki. – Wciąż jestem młody. Popelniam błędy. Ale nie jestem dzieckiem i nie pozwolę nikomu wybierać dróg, którymi będę kroczył.

Na te słowa Matka Zimy znów zachichotała.

– Słodka kaczuszką – wysapała. – On mówi poważnie.

– W rzeczy samej.

W głosie Matki Lata brzmiał namysł, kiedy patrzyła, jak porządkuję półkę.

Podnosiłem słoiki, ustawiałem je równo, a jednocześnie odezwałem się najłagodniej i najgrzeczniej, jak umiałem.

– Możecie wziąć moje ciało i kierować nim jak marionetką. Możecie mnie zabić. Możecie mnie przekląć, torturować i zmienić w zwierzę.

– Mogę – stwierdziła Matka Zimy – i być może to zrobię, jeśli wciąż będziesz tak bezczelny.

Przełknąłem ślinę i mówiłem dalej.

– Możecie mnie zniszczyć. Ale nie możecie sprawić, bym stał się kimś innym niż tym, czym sam postanowię być, pani. Nie wiem dokładnie, co miałybyście mi pokazać. Ale nie wepchniecie mi tego siłą do gardła ani nie ustawicie na półce poza moim zasięgiem. Sam podejmę decyzję albo wyjdę.

– Ach tak? – spytała Matka Zimy cichym, morderczym szeptem. Jej zbyt długie paznokcie drapały drewniane oparcia fotela. – Tak myślisz, owieczko?

Matka Lata uniosła brew i spojrzała z ukosa na Matkę Zimy.

– Sprawdzasz jego zdolność stawiania oporu, próbując mu odebrać życie, a kiedy przeszedł próbę, dziwisz się, że nie rzuca się wypełniać twoich poleceń? – Znów cmoknęła z dezaprobatą. – Jest dzielny. I uprzejmy. Pokażę mu to, o co prosisz... jeśli zechce.

Zima odsłoniła zęby i znów splunęła, w ten sam otwór, a wtedy ziemia ponownie zasyczała. Zaczęła się kołysać, powoli, i zwróciła spojrzenie w inną stronę.

Podniosłem ostatni garnuszek i zamierzałem go odstawić, jednak zmarszczyłem czoło.

– Och. Przepraszam, ale ten jest pęknięty.

Nie usłyszałem ani nie zobaczyłem ruchu, ale nagle Matka Lata znalazła się obok mnie, a jej kościste, sprawne dłonie obejmowały moje, emanując ciepłem. Jej dotyk przypominał dotyk Lily, ale był... łagodniejszy i potężniejszy. Sprawiał, że pomyślałem o całych milach prairii pochłaniających gorąco słońca, magazynujących je w ciągu dnia i oddających w czasie długiego zmierzchu.

Łagodnie, jakby zajmowała się noworodkiem, zabrała gliniany garnuszek i przyjrzała mu się uważnie, obracając go nieśpiesznie w palcach. Później powoli wypuściła powietrze, zamknęła na chwilę oczy i z szacunkiem odstawiła go z powrotem na półkę.

Kiedy odsunęła dłonie od garnuszka, zobaczyłem litery ze srebrzystego światła, wypisane na nim i na sąsiednich słoikach, jakby ciepło jej dłoni obudziło pismo.

Na pękniętym garnuszku napisano po prostu „Piołun”.

Litery zaczęły przygasać, ale zobaczyłem jeszcze kilka innych. *Typhos. Pox. Atermors. Choleros. Malaros.*

Tyfus. Czarna ospa. Czarna Śmierć. Cholera. Malaria.

I Piołun.

A na półce stało mnóstwo innych słoików.

Dłonie zaczęły mi lekko drżeć.

– Nie nadszedł jeszcze czas wyznaczony, by ten się narodził – powiedziała cicho Matka Lata i spojrzała ostro na Matkę Zimy.

Tamta nie popatrzyła na nas, ale jej zęby zabłyśły spod kaptura.

Matka Lata wzięła mnie pod rękę. Podałem się temu właściwie odruchowo i przeszliśmy przez chatę. Podniosła koszyk i podeszła do drzwi. Otworzyłem je dla niej i znów podałem jej rękę, a później wyszliśmy razem na skromną polanę otoczoną starożytnymi drzewami rozmiarów sekwoi. Płonęły barwami jesieni, ich liście jak okiem sięgnąć spowijały dno lasu wspaniałym ognistym dywanem. Okolica wyglądała oszałamiająco, ale nie znajdowała się nigdzie na Ziemi.

– Ona chyba cię lubi, młodzieńcze.

– Tak, pani. Świadczył o tym tasak.

– Ona już taka jest. – Matka Lata się uśmiechnęła. – Rzadko opuszcza naszą chatę. Zgubiła laskę. Choć twoje wezwanie było bezczelne, było też konieczne i miałeś do niego prawo. Ale podróżowanie, nawet na niewielki dystans, sprawia jej ogromny ból. Ty, śmiertelniku, sprawiłeś jej ból.

Słowa Matki Lata sprawiły, że cała ta historia z porąbaniem na mięso do potrawki nabrała sensu. Istoty takie jak Matka Zimy torturują śmiertelników – nie na odwrót. Uraziłem jej dumę i całą resztę jej osoby, a w świecie nadnaturalnym takie obelgi rzadko się wybacza i nigdy się ich nie zapomina.

– Przywracała równowagę – powiedziałem cicho. – To chciałaś powiedzieć?

Matka Lata pokiwała głową.

– Wyrażasz się prosto, co nie znaczy, że błędnie. – Zatrzymała się i odwróciła, żeby na mnie spojrzeć. – Ona nie może zabrać cię do miejsc, przez które musimy przejść, jeśli masz zrozumieć.

– Zrozumieć co?

Jej zielone oczy odbijały barwy jesiennego lasu.

– Jaka jest stawka. Jeśli zdecydujesz się pójść ze mną, tego, co zobaczysz, nie da się odzobaczyć, a tego, czego się dowiesz, nie da się zapomnieć. Może zrobić ci to krzywdę.

– W jaki sposób?

– Być może już nigdy nie zaśniesz spokojnie. Wiedza to potęga, młodzieńcze. Potęga pozwalająca uczynić wiele dobra i potęga pozwalająca uczynić wiele zła. Pewne rodzaje wiedzy mogą zrobić krzywdę. Inne nawet zabić.

– Co się stanie, jeśli jej nie uzyskam?

Matka Lata się uśmiechnęła, ale w oczach miała łagodny smutek.

– Pozostaniesz w błogiej niewiedzy... i powierzysz nasz los kapryśnemu przypadkowi. Nie dokonuj tego wyboru niefrasobliwie.

Rozważałem go przez, no wiecie, całe dziesięć sekund.

Pomyślcie tylko.

Ludzie, jestem pieprzonym magiem.

– Lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć – szepnąłem.

– Dlaczego? – W głosie Matki Lata brzmiało wyzwanie.

– Ponieważ bez wiedzy nie można tak naprawdę dokonać wyboru, pani.

– Nawet jeśli będzie cię to dręczyć? Zaszkozi ci? Wyalienuje cię?

Pomyślałem o tym jeszcze przez chwilę.

– Szczególnie wtedy. Pokaż mi.

Przez twarz Matki Lata przemknęło uczucie – łagodny ból i żal.

– Niech więc tak się stanie – powiedziała cicho. – Chodź ze mną.

Rozdział trzydziesty trzeci

Wkroczyłem do starożytnego lasu z Matką Lata wspartą na moim ramieniu. Ruszyliśmy szeroką, wijącą się ścieżką.

– Miałbyś coś przeciwko, gdybym zadała ci pytanie, kiedy będziemy szli?

– Absolutnie nie.

– Co się z tobą stanie, jeśli nie wypełnisz rozkazu Mab?

– Rozkazu?

– Nie udawaj. – Matka Lata prychnęła. – Co wie moja odpowiedniczka, wiem ja. Mab rozkazała ci zabić Maeve. Jak myślisz, co się stanie, jeśli się jej sprzeciwisz?

Odpowiedziałem dopiero po chwili marszu.

– Pewnie zależy od tego, czy Mab wciąż będzie w okolicy, kiedy opadnie pył. Jeśli tak... będzie zła. Skończę jak Lloyd Slate. Jeśli nie...

– Tak?

– Maeve przyjmie opończę Mab i zostanie nową Królową Zimy.

– Zgadza się. W swoim czasie prawie nie będzie widać różnicy. Ale w najbliższej przyszłości... Jak myślisz, jak Maeve będzie cię traktować?

Otworzyłem usta i znów je zamknąłem. Bez problemu wyobraziłem to sobie z barwnymi szczegółami – Maeve upojona nową władzą, chichocząca, torturująca i zabijająca na prawo i na lewo po prostu dlatego, że mogła. Maeve była kimś, kto żył, żeby wrywać muchom skrzydła.

A ja dobrze wiedziałem, czyje skrzydła jako pierwsze przyciągną jej uwagę.

– Cholera.

– Zgadza się. A jeśli wypełnisz rozkaz Mab?

– Opończa Maeve przejdzie na kogoś innego. A jeśli... adwersarz? Mogę tak bezpiecznie powiedzieć?

Matka Lata się uśmiechnęła.

– Dlatego właśnie używamy tego określenia zamiast nazwy, panie Rycerzu. Tak.

– Jeśli adwersarz opanował Mab, to sam wybierze agenta, by przyjął opończę Zimowej Panny. Dwie trzecie Zimowego Dworu będą pod jego wpływem. – Spojrzałem z powrotem w stronę chaty. – A to może zaszkodzić Matce Zimy.

– W rzeczy samej. Wszystkie jesteśmy bezbronni wobec tych, którzy są blisko nas.

– Nie myślałem, że Babcia Tasak jest blisko z kimkolwiek.

Zmarszczki w kącikach oczu Matki Lata się pogłębiły.

– Och, ona... Jak to się mówi? Ma niezłą gadkę. Ale na swój sposób się troszczy.

Musiałem sceptycznie unieść brew.

– Trochę tak, jak na swój sposób mnie lubi?

Matka Lata nie odpowiedziała na te słowa, a tymczasem dotarliśmy do części lasu, którą spowijały głębsze cienie.

– Czasami tak bliskie splecenie ze śmiertelnikami jest bardzo trudne – powiedziała.

– Dla ciebie?

– Dla wszystkich fae.

– Co masz na myśli?

Wskazała na siebie.

– Wyglądamy prawie jak ludzie, czyż nie? Podobnie jak większość naszego ludu... A pozostali przypominają inne istoty ze świata śmiertelników. Ogary, ptaki, jelenie i tak dalej.

– Jasne.

– Jesteście nieskończenie fascynujący. Płodzimy dzieci ze śmiertelnikami. Podejmujemy działania i zmieniamy sfery wpływów w rytm pór roku śmiertelników. Tańczymy do muzyki śmiertelników, budujemy nasze domy jak domostwa śmiertelników, na ucztach spożywamy jedzenie śmiertelników. Odkrywamy, że częściowo się do nich upodabniamy, a jednak nie jesteśmy do nich podobni. Wiele z tego, co oni myślą i czują, i bardzo wiele z ich działań, jest dla nas niewytłumaczalne.

– Tak naprawdę my niezbyt dobrze rozumiemy samych siebie. Myślę, że dla was byłoby to bardzo trudne.

Matka Lata uśmiechnęła się do mnie, co przypominało pierwszy dzień wiosny.

– To prawda, czyż nie?

– Ale chciałaś przez to coś powiedzieć, pani. Inaczej nie podniosłabyś tego tematu.

– Owszem. Zima jest zimna, panie Rycerzu, ale nigdy tak zimna, by całkiem zmrozić serce.

– Trzeba najpierw mieć serce, żeby mogło zamarznąć, pani.

– Ty je masz.

Szedłem przez chwilę, rozważając te słowa.

– Mówisz, że mam szansę pozostać sobą.

– Mówię wiele rzeczy. Czy masz szansę pozostać sobą, mimo że opończa ma skłonność do nadawania kształtu twoim myślom i pragnieniom? Wszyscy Rycerze, Zimy i Lata, mają tę szansę. Większości się nie udaje.

– Ale to możliwe.

Popatrzyła na mnie, a jej oczy były głębsze niż czas.

– Wszystko jest możliwe.

– Ach. – Zrozumiałem. – Nie mówimy tak naprawdę o mnie.

– Mówimy – powiedziała z ogromnym spokojem i odwróciła wzrok. – I nie mówimy.

– Uch. Robię się trochę zdezorientowany. O czym tak właściwie rozmawiamy?

Matka Lata uśmiechnęła się do mnie.

A później po prostu przestała się odzywać.

Mówimy? Nie mówimy?

Zachowywałem obojętną minę, podczas gdy mój wewnętrzny Neandertalczyk zagotował się ze złości, a później udał się na umysłową demolkę w hipotetycznym dziale owocowo-warzywnym, z czystej frustracji przewracał półki i miażdżył owoce, wrzeszcząc: „POWIEDZ MI PO PROSTU, CZYJĄ CZASZKĘ MAM ZMIAŹDZIĆ SWOJĄ MACZUGĄ, DO DIABŁA!”.

Cholerne elfy. Kiedyś wpędzą mnie do grobu.

– W duchu przywracania równowagi, czy nie miałabyś nic przeciwko, gdybym zadał ci pytanie, pani?

– Zgadzam się na pytanie. Nie obiecuję odpowiedzi.

Pokiwałem głową.

– Kim naprawdę jesteś?

Matka Lata zatrzymała się i odwróciła, żeby na mnie spojrzeć. Powoli uniosła brwi.

– To bardzo znaczące pytanie.

– Wiem. Możesz rzucić winę na Halloween.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

Wzruszyłem ramionami i znów ruszyliśmy.

– Po prostu sprawiło, że zacząłem się zastanawiać. Maski. Znam jedną postać ze starożytnych legend, która żyje, ma się dobrze i porusza się incognito. Dlaczego nie miałoby ich być więcej?

Matka Lata pochyliła lekko głowę, bardziej w geście potwierdzenia, że usłyszała moje słowa, niż zgody.

– Wszystko się zmienia. Nieśmiertelni mają problem ze zmianami. Ale one dotyczą wszystkich.

– Wezwałem Matkę Zimy imionami Atropos i Skuld, bo uznałem, że do niej pasują. W końcu lubi ostre narzędzia.

Na twarzy Matki Lata pojawił się na chwilę uśmiech, oślepiając mnie, a później znów zniknął.

– To nie był idiotyczny domysł. I owszem, w przeszłości znano ją pod tymi imionami. Ale zgadłeś jedynie imię jednej z jej masek... nie nasze najpotężniejsze imię.

– Wasze? Chwileczkę. Jestem zdezorientowany.

– Wiem. Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymaliśmy się pośrodku leśnej ścieżki, w miejscu, które na pierwszy rzut oka wcale nie różniło się od otoczenia. Matka Lata spojrzała na mnie i zmarszczyła czoło.

– Nie jesteś ubrany odpowiednio do pogody.

– Nie przejmuj się tym. Dobrze znoszę zimno.

Puściła moją rękę, obejrzała mnie od góry do dołu, po czym położyła dłoń na rączce swojego koszyka i stwierdziła:

– Odpowiednie byłoby coś odrobinę mniej... nieformalnego, tak sądzę.

Już wcześniej bawiłem się w Kena dla elfiej wizażystki, więc nie byłem aż tak wstrząśnięty, kiedy moje ubranie zaczęło się poruszać i po prostu zmieniać. Kiedy robiła to Leanansidhe, przez pół godziny siedziałem w samochodzie i znosiłem jeden wyszukany i pozbawiony godności strój po drugim. Nie tym razem.

Moje ubranie przeobraziło się z tkaniny w starannie dopasowaną stal. Cóż, pewnie nie stal, ale jej odpowiednik, używany przez sidhe do tworzenia zbroi. Pancierz był prosty i funkcjonalny, pozbawiony ozdób – napierśnik, zarękawia i duże naramienniki. Ciężkie taszki zamocowane do dolnej części napierśnika chroniły moje uda. Dolną część nóg, z przodu i z tyłu, osłaniały nagolenniki. Pancierz był czarny i błyszczący, a w miejscach, gdzie padało na niego światło, opalizował odcieniami ciemnego fioletu i granatu.

Uświadomiłem sobie, że pod lewą pachą trzymam hełm, wziąłem go więc obiema rękami, żeby się mu przyjrzeć. Był to hełm koryncki, jak na tym filmie o Spartanach, ale bez fantazyjnego grzebienia. Wewnątrz był wyściełany. Włożyłem go – pasował idealnie.

– O wiele lepiej – stwierdziła Matka Lata. – Nie oddalaj się ode mnie.

Rozejrzałem się po idealnie spokojnym lesie. Był to spory wysiłek, bo hełm

uniemożliwiał mi swobodę ruchów. Podniosłem wzrok. Jestem pewien, że w zbroi wyglądałem głupio.

– W porządku.

Matka Lata uśmiechnęła się, znów wzięła mnie pod rękę i wyciągnęła nogę. Stopą zmiotła warstwę ziemi i opadłych liści z dziobatej powierzchni płaskiego kamienia, przypominającego nieco kamień brukowy, o boku długości może trzech stóp. Trzy razy stuknęła w niego stopą, wyszeptała słowo i pociągnęła mnie za sobą, kiedy na niego weszła.

Nie wydarzyło się nic dramatycznego. Krajobraz po prostu się zmienił, równie błyskawicznie i gwałtownie jak po włączeniu światła w ciemnym pokoju. Jeszcze przed chwilą staliśmy w jesiennej puszczy. A teraz...

Zdarzało mi się oglądać filmy i kroniki filmowe poświęcone pierwszej wojnie światowej. W szkole nie omawiali jej zbyt szczegółowo, bo Ameryka nie odgrywała w niej głównej roli i ponieważ cały ten bezsensowny i możliwy do uniknięcia bajzel był europejskim pierdolnikiem, w którym zginęły miliony, a jedynym, co ustalono, były sojusze podczas następnej wojny światowej. Ale to, co mi pokazano, zapamiętałem. Całe mile okopów. Spowita dymem ziemia niczyja, przecinana zabłoconym, porzewiałym drutem kolczastym i obstawiona po obu stronach karabinami i strzelcami wyborowymi. Całun dymu sprawiał, że słońce zmieniło się w świecącą słabo kulę.

Filmy nie poruszały jednak wszystkich zmysłów. Na niebie rozlegało się ciągle dudnienie, grzmoty zrodzone z przemocy, i wszędzie unosił się odór odchodów i śmierci.

Staliśmy na szczycie niewielkiej, jałowej góry i patrzyliśmy w dół. Niedaleko, w odległości może ćwierci mili, wznosił się ogromny mur, jaki można by wybudować dla powstrzymania Mongołów, gdyby mieli rozmiary King Konga. Składał się w całości z lodu albo jakiegoś przezroczystego kryształu. Nawet z tego miejsca widziałem, że wewnątrz były sale i pokoje, w których znajdowały się koszary, szpitale, kuchnie, co tylko zechcecie. Między nimi poruszały się niewyraźne sylwetki.

Na murach stały dziesiątki tysięcy, może nawet setki tysięcy żołnierzy. Zmrużyłem oczy, żeby lepiej im się przyjrzeć, i wtedy uświadomiłem sobie, że wszyscy są opancerzonymi sidhe.

Co do jednego.

Nosili zbroje podobne do mojej, światło sprawiało, że emanowały chłodnymi, stłumionymi odcieniami Zimy.

Za murem leżała kraina składająca się z pyłu, błota i luźnych łupków. Wypełniały ją pagórki i wąwozy o stromych zboczach, a jedyne rośliny, które tam rosły, wyglądały, jakby były gotowe szturchać, drapać albo żądlić. Choć na ziemi nie panowała całkowita ciemność, niebo było równie czarne jak sumienie Kota Sitha, bez choćby jednej gwiazdy czy plamki światła – a było to przytłaczające niebo, ogromne, jak szerokie, falujące tereny Montany i Wyoming.

Na tym terenie poruszały się kolejne wojska. Niektóre składały się z olbrzymów, a może trolli. Mniejsze istoty zebrane w większych grupkach najpewniej były gnomami Zimy. Coś latało w powietrzu. Oddziały kawalerii jeździły we wszystkich kierunkach. Niektórzy z żołnierzy podejrzanie przypominali ożywione śnieżne bałwany.

Z tego punktu widziałem dwie główne potyczki, w każdej uczestniczyło około czterdziestu tysięcy żołnierzy Zimy. A walczyli...

Nie rozpoznawałem wrogów. Nie widziałem wśród nich żadnych podobieństw. Były to stwory – stwory, których pozbawiona wszelkiego porządku fizjologia nie miała sensu. Dostrzegałem elementy wyglądające jak macki, ogromne żuwaczki, szpony, kły, maczugowate kończyny i ogony. Istoty nie były dwunożne. Nie były czworonożne. W rzeczy samej, w ogóle nie przejmowały się czymś takim jak symetria dwuboczna.

Przyjrzałem się uważniej i nagle poczułem straszliwy nacisk wewnątrz czaszki. Przez sekundę kręciło mi się w głowie i było mi niedobrze, a jednocześnie coś w moim wnętrzu wołało, że muszę porzucić eskortę i pójść przyjrzeć się bliżej tym stworom, że tam coś było, coś, co chciałem zobaczyć, na co chciałem przez jakiś czas patrzeć. Zimna i jakimś sposobem tłusta macka energii wiła się we wnętrzu mojej głowy, coś takiego czułem już wcześniej, kiedy...

Z krótkim sapnięciem wysiłku oderwałem wzrok, zamknąłem oczy i przez chwilę ich nie otwierałem.

– Cholera... Intruzi? Mab walczy przeciwko Intruzom?

Matka Lata nic nie mówiła.

– Ja nie... nie rozumiem – powiedziałem w końcu. – Wywiad Białej Rady zawsze oceniał liczebność wojska Mab na jakieś pięćdziesiąt tysięcy. Tam są cholerne pojedyncze oddziały, które liczą więcej żołnierzy.

Matka Lata nic nie mówiła. Ale uniosła palec i wskazała na lewo. Spojrzałem i zobaczyłem wznoszące się nad murem dwie wieże rozmiarów Chrysler Building, a między nimi bramę.

Wrota wyglądały zadziwiająco. Były wielkie, potężniejsze od większości apartamentowców w Chicago. Powstały z tego samego lodu lub kryształu co mur, ale w ciemniejszym odcieniu, i wykuto w nich wzory i symbole, warstwa po warstwie po warstwie. Rozpoznałem parę z tych, które widziałem wyraźnie. To były osłony, czary ochronne.

Nagle rozległ się dźwięk, wznoszący się jęk, przypominający wiatr potrząsający drzewami albo przybój uderzający o klif – i na horyzoncie za murem pojawiły się nagle ciemne, groteskowe sylwetki, wszystkie nacierające w stronę oddziałów Zimy.

Rozległy się ciche rogi, wyraźne i dzielne. Oddziały Zimy zaczęły się wycofywać w stronę bramy, zebrały się w wielkim półkolu na ziemi przed nią i zwały szyki, podczas gdy kawaleria nękała zbliżających się Intruzów, spowalniając ich natarcie. Później kawaleria wycofała się, przejechała bezpiecznie między szeregami piechoty i wróciła przez wrota.

Intruzi uderzyli w szyk Zimy. Zaczęła się bitwa. Z tej odległości wyglądała jak wielkie, dezorientujące zamieszanie, wszyscy przepychali się, szukając lepszego miejsca, ale parę rzeczy dostrzegłem. Widziałem ogra, który padł na ziemię, kiedy Intruz plunął kwasem, który zaczął przeżerać jego oczy i czaszkę. Widziałem, jak szeregi Zimy słabną, a Intruzi wysyłają posiłki w stronę słabego punktu.

I wtedy ze sterty łupku wyskoczyła niewielka ekipa goblinów, dokładnie w chwili gdy Intruzi byli niemal wciśnięci w szeregi Zimy, ale zanim dotarły posiłki. Atak z zaskoczenia popchnął Intruzów do przodu, a wtedy zorientowałem się, że „słaby” regiment podpuścił Intruzów i co prawda wycofał się, ale w szyku. Intruzi przeliczyli się z siłami i teraz ze wszystkich czterech stron otaczały ich zajadłe wojska Zimy.

Niedoszłym najeźdźcom nie wyszło.

A był to jedynie niewielki ułamek bitwy. Moje zmysły i umysł nie mogły przetworzyć wszystkiego, co widziałem. Ale serce mi biło bardzo szybko, a lodowaty strach dotknął mojego kręgosłupa jak palce Mab.

Intruzi chcieli dostać się do środka.

– Kiedy? Kiedy to się zaczęło?

– Och, Harry – powiedziała łagodnie Matka Lata.

– O co chodzi?

I wtedy właśnie coś zauważyłem. Te warstwy i sterty łupków? To nie były łupki.

Tylko kości.

Miliony, całe miliony pierdolonych ton kości.

– Co tu się dzieje, do diabła? – sapnąłem. – Gdzie jesteśmy?

– Na skraju Faerie. Na naszych zewnętrznych granicach. Nauczenie się, jak dotrzeć tak daleko, zajęłoby ci dziesięciolecie.

– Och. I... tak tu jest?

– Zasadniczo. – Matka Lata patrzyła ze smutkiem na równinę. – Myślałeś, że Mab spędza całe dni, siedząc na tronie i przywołując do porządku zdradzieckich dworzaków? Nie, panie Rycerzu. Moc ma cel.

– Co się stanie, jeśli dostaną się do środka?

Zacisnęła wargi.

– Wszystko się skończy. Wszystko.

– Cholera jasna – mruknąłem. – Czy Lato również ma takie miejsce?

Pokręciła głową.

– To nigdy nie było jego zadanie. Szacunki twojej Rady są dość precyzyjne, jeśli liczyć jedynie oddziały broniące serca Zimy i Lata. Mab ma więcej. Potrzebuje ich... do tego.

Miałem wrażenie, jakby ktoś raz za razem walił mnie w głowę gumowym młotkiem.

– Czyli... oddziały Mab przewyższają wasze o jakiś gazylion.

– Owszem.

– Czyli w każdej chwili mogłaby was rozjechać.

– Mogłaby, gdyby była gotowa utracić rzeczywistość.

Popatrzyłem wzdłuż muru. Wydawało się, że ciągnie się w nieskończoność – i na całej jego długości trwały walki.

– Mówisz mi, że właśnie dlatego Mab ma swoją moc? Żeby... żeby chronić granice?

– Żeby chronić was wszystkich przed Intruzami, śmiertelniku.

– W takim razie po co Tytania ma swoją?

– Żeby chronić was wszystkich przed Mab.

Przełknąłem ślinę.

– Tytania nie może dorównać Mab liczbą wojska, ale może osobiście pociągnąć Mab za sobą w unicestwienie... i Mab o tym wie. Tytania jest mechanizmem umożliwiającym zachowanie równowagi sił.

– Jeśli Mab umrze... – zacząłem.

Przesunęła ręką wzdłuż muru.

– Nad tym wszystkim zapanuje rozpieszczone, sadystyczne, zbrodnicze i niedoświadczone dziecko.

Na wszystkie dzwony piekieł. Przetarłem oczy, a kiedy to zrobiłem, połączyłem

kilka elementów i uświadomiłem sobie coś jeszcze.

– To oblężenie. Ci goście tam nacierają na mury. Ale są inni, którzy próbują dostać się do środka, żeby móc otworzyć bramy dla swoich kumpli. Tym właśnie jest adwersarz. Prawda? To saper, szpieg.

– Widzisz? Masz potencjał, by być całkiem inteligentnym. Trzymaj się mnie, dobrze, kochanie?

I ruszyła stanowczym krokiem w stronę potężnych wrót.

Dotarcie tam nie trwało długo, ale kiedy znaleźliśmy się u podstawy muru i ruszyliśmy wzdłuż niego, zaczęliśmy przyciągać spojrzenia obrońców. Czulem narastające napięcie, kiedy kolumna marszowa opancerzonych sidhe ruszyła lekkim krokiem za nami i wkrótce nas dogoniła.

Matka Lata odsunęła mnie lekko na bok, żebyśmy nie stali im na drodze, a oni zaczęli nas mijać. Nie myślałem o tym zbyt wiele do chwili, gdy ktoś z przodu kolumny zawołał czystym głosem i sidhe zatrzymali się jak jeden mąż, z głośnym, jednoczesnym tupnięciem paru setek par butów. Głos wykrzyknął kolejny rozkaz i sidhe odwrócili się w naszą stronę.

– Oho – mruknąłem.

Matka Lata dotknęła mojej dłoni i otucha załała mnie jak blask czerwcowego słońca.

– Sza.

Usłyszałem kolejny rozkaz i sidhe jak jeden mąż przyklęknęli na jedno kolano i pochyłili głowy.

– Dzień dobry, krewniacy – powiedziała Matka Lata poważnym głosem. Zdjęła dłoń z mojego ramienia i przeciągnęła nią szerokim ruchem nad klęczącymi żołnierzami. W powietrzu zabrzęczała bardzo subtelna moc. – Idźcie z moim błogosławieństwem.

Jeden z żołnierzy z przodu kolumny podniósł się i złożył jej ukłon, jakimś sposobem przekazując wdzięczność. Później wydał kolejny głośny rozkaz, a wtedy kolumna podniosła się, odwróciła i ruszyła dalej szybkim marszem.

– Hm – mruknąłem.

– Tak?

– Trochę się spodziewałem... czegoś innego.

– Zima i Lato to przeciwstawne siły naszego świata. Ale pochodzimy z naszego świata. Tutaj to jedyne, co się liczy. A okazywanie szacunku starszym nigdy nie jest niemądre.

– Tak, pani.

Matka Lata posłała mi przebiegły uśmiezek.

Szliśmy dalej za nimi i wkrótce dotarliśmy do wrót. Tam zobaczyłem mniejsze bramy – wypadowe – wbudowane w główne wrota. Miały rozmiar bramy garażu w remizie strażackiej. Na moich oczach ktoś wykrzyknął rozkaz i para opancerzonych ogrów chwyciła za skrzydła bramy wypadowej, po czym je otworzyła. Kolumna, która nas mijiała, czekała gotowa do wymarszu, ale nie ruszyli od razu. Do środka wjechała kolumna wozów i noszy, na których spoczywali jęczący ranni. Doglądało ich kilkudziesięciu sidhe w idealnie białych pancerzach z zielonymi i szkarłatnymi ozdobami – Rycerze sidhe Lata. Medycy. Mimo ogromnej liczby oddziałów, które widziałem, przez bramę przeszła niecała setka rannych. Najwyraźniej Intruzi nie lubili pozostawiać wrogów przy życiu.

Po schodach wybudowanych wewnątrz muru zeszła szczupła postać, z początku jedynie ciemna plama widoczna przez warstwy kryształu.

Był parę cali wyższy ode mnie, co oznaczało prawie siedem stóp wzrostu, ale poruszał się żwawo, energicznie i z determinacją. Miał na sobie ciemną szatę, która z początku wydawała się czarna, ale kiedy wyszedł na światło, okazała się ciemnofioletowa. W ogorzalej ręce trzymał długą bladą laskę maga, a kaptur zasłaniał większość jego twarzy, poza częścią orlego nosa i długą brodą pokrytą siwiejącym zarostem.

Rozmawiał z sidhe Lata i Zimy w języku, którego nie rozumiałem, ale oni najwyraźniej tak, i wydawał polecenia medykom Lata. Przyjmowali jego rozkazy ze swego rodzaju sztywnym, oficjalnym szacunkiem. Pochylał się i z uwagą przyglądał po kolei każdemu wnoszonemu, kiwał głową medykom, a oni natychmiast zanosili rannego za mur, do miejsca, które wyglądało na starannie zorganizowany punkt triażu.

– Rashid – mruknąłem, rozpoznając mężczyznę. – Co on tu robi...

Zamarłem i wpatrzyłem się w potężne wrota wznoszące się nad nami.

Rashid, członek Rady Starszych Białej Rady Magów, miał inny tytuł, którym posługiwał się najczęściej.

Odźwierny.

Skończył z ostatnim z rannych, po czym odwrócił się i zbliżył się do nas długimi, zdecydowanymi krokami. Zatrzymał się w niewielkiej odległości i uklonił Matce Lata, która odpowiedziała na to oficjalnym skinieniem głowy. Później podszedł do mnie i widziałem błysk jego ciemnego oka pod kapturem. Uśmiechał się szeroko i ciepło.

Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją, ale czułem się nieco przytłoczony.

– No, no. – Jego głos był głęboki i ciepły, a akcent kojarzył się z brytyjskim, choć przyprawionym bardziej egzotycznymi korzeniami. – Miałem nadzieję, że znów zobaczymy twoją twarz, Strażniku.

– Rashidzie... my... oni...

W uśmiechu Odźwiernego pojawił się ślad smutku.

– Ach tak. Za pierwszym razem pewnie robią wrażenie. Witaj, Strażniku Dresdenie, w Bramach Zewnętrzza.

Rozdział trzydziesty czwarty

– Bramy Zewnątrza nie są prawdziwe – powiedział tępo. – One są... mają być metaforą.

Matka Lata uśmiechnęła się.

– Zostawię sprawy śmiertelników śmiertelnikom. Będę w pobliżu, młody magu.

– Dziękuję.

Skinęła głową i podeszła do rannych sidhe.

– Cóż – odezwał się do mnie Odźwierny. Wydawał się... jeśli nie do końca radosny, to z pewnością coś w pobliżu: nastawiony pozytywnie, pewny siebie i silny. – Udało ci się dotrzeć daleko od domu.

– Matka Lata prowadziła.

– Ach. Mimo wszystko nie przypominam sobie, kiedy ostatnio magowi w twoim wieku udała się taka wycieczka, niezależnie od sposobu jej organizacji. Jesteś podobny do swojej matki.

Zamrugalem.

– Znales ją?

– Wśród tych z nas, którzy spędzają trochę czasu, krocząc po Ścieżkach, zwykle rodzi się pewne koleżeństwo. Od czasu do czasu idziemy na kolację, porównujemy notatki ze spacerów. A kilkoro z nas, przyjaciół Ebenazara... wzięło na siebie zadanie czuwania nad nią.

Pokiwałem głową, starając się zachować beznamiętny wyraz twarzy. Mało kto wiedział, że Maggie LeFay była córką Ebenazara. Jeśli Rashid wiedział, to dlatego, że dziadek mu ufał.

Świeża kolumna zbrojnych sidhe zaczęła wychodzić, a potem na terenie za murem zagrały rogi. Rashid odwrócił się w ich stronę, nasłuchując, jakby to był język, i uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Znów się zbierają. Mam mało czasu.

Uniósł rękę i zrobił coś, co widziałem wcześniej tylko raz.

Odźwierny zdjął kaptur.

Miał krótkie włosy, wciąż gęste i srebrne, i był ogorzały, jakby przeżył wiele lat

w ostrych promieniach słońca. Jego skóra trochę zbladła, ale wciąż dostrzegałem na niej ślady pustyni. Twarz miał pociągłą, brwi wciąż ciemne i gęste. Jego lewą brew i policzek przecinała podwójna blizna, dwie długie linie biegnące prosto w dół, podobne trochę do moich, ale głębsze, grubsze i sięgające aż do szczęki, i znacznie mniej wyraźne po długich latach zdrowienia. Może nie umiał się tak dobrze wzdrygać jak ja, bo pod blizną stracił oko. Jedno z jego oczu było tak ciemne, że prawie czarne. Drugie zastąpiono...

Rozejrzałem się dookoła. Tak, zdecydowanie. Drugie oko zastąpiono krystalicznym materiałem, identycznym z tym, z którego stworzono wrota i mur po obu stronach.

– Stal – stwierdziłem.

– Słucham?

– Twoje, no, drugie oko. Wcześniej było ze stali.

– Z pewnością wyglądało jak stal. Takie przebranie jest niezbędne, kiedy nie jestem tutaj.

– Twoja robota jest tak tajna, że twoje sztuczne oko ma przebranie? Pewnie już rozumiem, dlaczego nie przychodzisz na spotkania Rady.

Pochylił głowę i przecesał palcami zmierzwiłone pod kapturem włosy.

– Czasami przez lata panuje tu spokój. A czasami... – Rozłożył szeroko ręce. – Ale potrzebują tu dobrego oka, żeby się upewnić, że istoty, które muszą pozostać na zewnątrz, nie wślizgną się niezauważone do środka.

– Wewnątrz rannych – domyśliłem się. – Powracających oddziałów. Albo medyków.

– Jesteś świadom istnienia adwersarza. – W jego głosie brzmiała stanowcza aprobata. – Doskonale. Byłem pewien, że pewne twoje szczególne zainteresowania doprowadzą cię do śmierci na długo, nim dostaniesz szansę, by się dowiedzieć.

– Jak mogę pomóc?

Odchylił głowę do tyłu i na jego twarz powrócił uśmiech.

– Wiem coś o obowiązkach, które na siebie przyjąłeś, nie wspominając już o problemach, jakie na siebie ściągnąłeś, a o których jeszcze się nie dowiedziałeś. A jednak, kiedy odkryłeś, że dni naszego świata mijają w oblężeniu, proponujesz mi pomoc? Chyba moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

– Chwileczkę. Jakie problemy? Nie próbowałem ściągać na siebie problemów.

– Och. – Machnął ręką. – Zatańczyłeś w cieniach na skraju życia, młodzieńcze. To nie jest małe osiągnięcie, wejść w te cienie i powrócić... nie masz pojęcia, jaką uwagę

na siebie zwróciłeś.

– Och. Dobrze. Bo wszystko spowolniło tak bardzo, że zaczynałem się nudzić.

Na te słowa Rashid odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

– Obraziłbyś się, gdybym zwracał się do ciebie per Harry?

– Nie. Bo to moje imię.

– Dokładnie. Harry, wiem, że masz pytania. Mogę odpowiedzieć na bardzo niewiele, zanim będę musiał odejść.

Pokiwałem głową i zastanowiłem się.

– W porządku. Po pierwsze, skąd wiesz, że adwersarz... kogoś zaraził?

– Doświadczenie. Całe dziesięciolecie. Wejrzenie może pomóc, ale...

Rashid się zawahał. Rozpoznałem to od razu, czkawka myśli, kiedy ktoś potknął się o prawdziwie ohydne wspomnienie zdobyte Wejrzeniem, jak ja z...

Uch.

...naagloshii.

– Nie radzę praktykować tego regularnie – mówił dalej. – To sztuka, nie umiejętność, i wymaga czasu. Czasu albo odrobiny wątpliwego zainteresowania ze strony fatum i absurdalnie wielkiego narzędzia. – Postukał palcem w sztuczne oko.

Zamrugalem, choć on tego nie zrobił, i podniosłem wzrok na potężną bramę rozciągającą się nad nami.

– Na dzwony piekieł. Wrota... one są... swego rodzaju tomografem komputerowym?

– Między innymi. Ale owszem, to jedna z ich funkcji. Przez większość czasu oznacza to, że adwersarz nie może skutecznie wykorzystać takiej taktyki. Póki Odźwierny jest czujny, rzadko próbuje. – Znów zabrzmiały rogi, a on się napiął. – Następne pytanie.

Nie znoszę, kiedy muszę być błyskotliwy pod presją czasu.

– To. – Wskazałem na wrota. – Co, do diabła? Od jak dawna trwa atak?

– Od zawsze. Zawsze są Intruzi, którzy próbują przebić się do środka. Zawsze są siły, które ich powstrzymują. W naszej epoce obrona tych granic jest zadaniem Zimy, z pomocą pewnych innych. Myśl o nich jak o... systemie odpornościowym naszego świata.

Poczułem, że otwieram szerzej oczy.

– System odpornościowy... A co by się stało, gdyby... no wiesz, na trochę się zepsuł?

– Słucham?

– Gdyby pojawiła się usterka. Na przykład, gdyby ktoś nowy przejął jedną z funkcji

czy coś w tym rodzaju i trzeba by to wszystko trochę zreorganizować...

– Przez większość lat nie stanowiłoby to większej trudności.

– A co z tym rokiem?

– Ten rok mógłby być problematyczny.

– Problematyczny.

– I to dość poważnie. – Rashid spojrzał mi w twarz i pokiwał głową. – Rozumiem. W Zimie coś się dzieje. Dlatego Matka Lata zabrała cię tutaj. Żeby pokazać ci, jaka jest stawka.

Przełknąłem ślinę i pokiwałem głową.

– Bez nacisku i w ogóle.

Twarz Rashida zareagowała na te słowa. Nie umiałem ocenić, jaka dokładnie była to mieszanka uczuć, choć jednym z nich było pewne szczególne współczucie. Odstawił laskę na bok i chwycił mnie za ramiona.

– Posłuchaj mnie, bo to ważne.

– W porządku.

– Przyzwyczaisz się.

Zamrugalem.

– Co? I to wszystko?

Przechylił głowę, by spojrzeć na mnie z ukosa zdrowym okiem.

– Przyzwyczaję się? To jest ta ważna gadka motywacyjna? Przyzwyczaję się?

Jego wargi zadrżały. Jeszcze raz uścisnął moje ramiona, być może z sympatią, i puścił je.

– Motywacja? Strażnik potrzebuje o wiele więcej niż motywacja, Harry.

– W takim razie czego?

Wziął laskę i lekko trącił mnie w pierś.

– Ciebie, na to wygląda.

– Że co?

– Ciebie – powtórzył stanowczo. – Potrzebujemy ciebie. Nie bez powodu masz to, co masz. Świadomie czy nie, właściwie każde twoje działanie w ciągu ostatnich kilku lat doprowadziło do serii dobrze wycelowanych palców w oko adwersarza. Chcesz wiedzieć, jak możesz mi pomóc, Harry?

– Uch – mruknąłem z frustracją. – Tak.

– Wracaj do Chicago – odwrócił się – i wciąż bądź sobą.

– Zaczekaj. Potrzebuję pomocy.

Na te słowa się zatrzymał. Odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

– Wiem dokładnie, jak się czujesz w tej sytuacji. – Wskazał na pole bitwy. – Dokładnie. – Wyglądał, jakby przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym pokiwał głową. – Zrobię, co będę mógł. Jeśli obaj przeżyjemy kolejne kilka godzin, załatwię sprawy między tobą a Radą, która wie o naszych rolach tylko tyle, ile musi... czyli niewiele. Potwierdzę twój powrót i to, że rzeczywiście jesteś sobą, i dopilnuję, żeby zostało ci przekazane twoje zaległe stypendium Strażnika. Trzeba załatwić dużo papierkowej roboty, żeby biura Rady potwierdziły twoją oficjalną tożsamość z władzami, ale dopilnuję, by do tego doszło. Chyba pamiętam wszystkie konieczne formularze.

Wpatrywałem się w niego przez sekundę.

– Ty... ty pomożesz mi z papierkową robotą wymaganą przez Białą Radę.

Uniósł palec.

– Nie należy nie doceniać ogromu tej przysługi – powiedział poważnie, ale jego oko błyszczało. – I, skoro już przy tym jesteśmy, nie powinieneś nie doceniać samego siebie. Nie dostałeś mocy, wiedzy, sojuszników i zasobów, które posiadasz, bez powodu, Harry. Nic, co powiem, nie ułatwi ci tego zadania. Jedynym sposobem, by je wykonać, jest je wykonać. – Uniósł brodę. – Ty nie potrzebujesz pomocy, Harry. Ty jesteś pomocą.

– Mamy kłopoty.

Mrugnął do mnie i znów założył kaptur.

– Zawsze je mamy. Jedyna różnica polega na tym, że teraz o tym wiesz. Niech Bóg będzie z tobą, przyjacielu. Ja zatroszczę się o tę stronę. Ty zatroszcz się o swoją.

Zrobiwszy kilka szybkich kroków, wyszedł spod potężnych wrót i zrobił gest. Po chwili, i nie żartuję, z nieba opadł spokojnie pieprzony tkany dywan, o rozmiarach dziesięć na dwadzieścia stóp, i zatrzymał się przed nim, unosząc się na wysokości około sześciu cali. Rashid stanął na dywanie, zaczepił buty o swego rodzaju pasy mocujące i uniósł laskę. Dywan i Odźwierny wznieśli się spokojnie, a chwilę później przy akompaniamencie wycia wiatru pędzili nad polem bitwy.

I wtedy właśnie to do mnie dotarło. To znaczy naprawdę, ale to naprawdę do mnie dotarło.

Wszystko zależało ode mnie.

Nie było planu B. Nie było drugiego rozwiązania. Żadnej kawalerii wyjeżdżającej zza wzgórze. Biała Rada właściwie nie miała pojęcia o tym, co się działo, i nawet za gazyllion lat by się do tego nie przyznała.

Tej nocy miała się wydarzyć katastrofa, która mogła zabić miliony ludzi, w tym

moją córkę, o ile tego nie powstrzymam. Dodatkowo w Zimowym Dworze trwał śmiertelnie niebezpieczny zamęt i zależnie od tego, po której stronie się opowiem, mogłem ocalić lub zniszczyć świat, jaki znamy. Nie mogłem tak po prostu odejść.

Żadnych uników, zwlekania, usprawiedliwień. Wydarzy się albo nie, zależnie ode mnie.

Spojrzałem z góry na posiniaczone dłonie. Powoli zacisnąłem je w pięści i znów otworzyłem. Były to poobijane dłonie i brakowało im umiejętności, których mógłbym sobie życzyć – ale miałem właśnie je. Zdobyłem te blizny. Były moje.

Robiłem to już wcześniej. Może nigdy na tę skalę, ale robiłem to już wcześniej. Uratowałem sytuację, przeważnie, mniej lub bardziej, przy kilku różnych okazjach. Robiłem to już wcześniej i mogłem znów zrobić.

Nie było innej możliwości, by do tego doszło.

Bycie przypartym do muru ma tylko jedną zaletę – naprawdę łatwo jest wybrać, w którą stronę chce się pójść.

Miałem ochotę wymiotować. Ale wyprostowałem plecy i ramiona, i podszedłem szybkim krokiem do Matki Lata, która właśnie podnosiła się znad ostatniego z rannych sidhe, którymi się zajmowała.

– Pani – powiedziałem cicho. – Byłbym wdzięczny, gdybyś zabrała mnie do domu. Mam dużo pracy.

Rozdział trzydziesty piąty

Ze względu na jej dobroć trochę zapomniałem, że Matka Lata nie była człowiekiem. W milczeniu odprowadziła mnie do wrót do swojej chatki, uśmiechnęła się, dotknęła dłonią mojej głowy – i odesłała mnie do mojego pieprzonego grobu.

Wylądowałem na tyłku na błotnistym, popękanyim lodzie – i wciąż słyszałem echo głośniego trzasku, kiedy paskudna łapa Matki Zimy przebiła się przez niego i złapała mnie za łeb. Wciąż słyszałem głośnie krakanie zaskoczonych wron. Czas właściwie się zatrzymał, kiedy mnie nie było – albo też, dokładniej mówiąc, czas płynął wyjątkowo szybko tam, gdzie przebywałem, w Nigdynigdy, względem Chicago. W swoich wcześniejszych kontaktach z elfami zwykle znajdowałem się po drugiej stronie tego rodzaju dylatacji czasu, ale po raz pierwszy rzeczywiście przyniosła mi korzyść, pomogła mi zyskać czas, zamiast go utracić.

O czym aż do tej pory nawet nie pomyślałem. Gdyby wszystko poszło tak, jak zazwyczaj, kiedy ktoś zostawał wciągnięty w sprawy fae, mógłbym być nieobecny przez godzinę i powrócić po roku, najpewniej na zniszczone pustkowia. Na tę myśl poczułem ściskanie w żołądku z niepokoju.

Ale z drugiej strony nie odbyłem tej podróży na ochotnika. Nie podejmowałem ogromnego ryzyka w tej kwestii – było to całkowicie poza moją kontrolą.

Co też mnie przerażało.

Kiedy tam siedziałem i zastanawiałem się, czy mam obsesję na punkcie kontroli, czy po prostu jestem zdrowy na umyśle, nad moim grobem pojawiła się młodociana gotka i spojrzała na mnie z góry. Wyjęła z ust długą cygarniczkę, wypuściła dym nosem i powiedziała:

– Stary, tam na dole jest hardcorowo. Zamierzasz się pociąć czy coś?

– Nie. – Z zażenowaniem schowałem dłoń za plecami. Spojrzałem na siebie z góry i dopiero wtedy zorientowałem się, że mój strój zmienił się z pancerza sidhe w ciuchy ze szmateksu, które miałem na sobie wcześniej. – Wpadłem do tego dołu.

Pojawili się inni młodociani goci. Dziewczyna powtórzyła swoje słowa i wszyscy stwierdzili, że mój pobyt na dole był hardcorowy.

Westchnąłem. Zebrałem swoje rzeczy i wydostałem się z grobu z ich dość

niechętnie zaproponowaną pomocą. Nie potrzebowalem jej, ale pomyślałem, że może dobrze zrobić tym dzieciakom w kwestii poczucia własnej wartości. Później popatrzyłem na wszystkich ludzi, którzy się na mnie gapili, przygarbiłem się i wyszedłem pośpiesznie z cmentarza, zanim ktoś inny postanowił być pomocny.

* * *

Kiedy wróciłem do mieszkania Molly, spytała:

- Czemu pachniesz goździkami?
- Ta dzisiejsza młodzież. Cieszę się tylko, że to nie marihuana.
- Ach. Goci. Pewnie więc masz na sobie ziemię z grobu?
- Przestań robić z siebie Sherlocka. I tak, zgadza się, idę pod prysznic. Jakies wieści?
- Jeszcze nie. Toot czeka na zewnątrz na powrót swojej ekipy. Musiałam mu obiecać dodatkową pizzę, żeby sam nie wyruszył na poszukiwania. Uznałam, że potrzebujemy go do kierowania gwardią.

– Rozsądnie. Daj mi sekundę.

Udałem się do swojego tymczasowego lokalu i oczyściłem. Nie chodziło jedynie o to, że miałem na sobie blocko z liczącego sto lat cmentarza, jak również otwartą ranę na dłoni, i obawiałem się miliona straszliwych rzeczy, jakie mogą powstać z tych składników. Ta cała sprawa z metabolizmem magów oznacza, że nasze systemy odpornościowe są z najwyższej półki. Wątpiłem też, by opończa Rycerza Zimy miała problemy ze zwalczaniem tak przyziemnych zagrożeń.

Chodziło głównie o to, że znajdowałem się bardzo blisko niezmiernie potężnych istot, a takie jednostki emanują magią jak ludzie ciepłem ciała. Jeśli nie zachowa się ostrożności, coś takiego może się przyczepić, może odrobinę rzutować na sposób myślenia i z całą pewnością ma potencjał wpłynąć na wszystko, co się robi z magią. (Dzieje się to również z ludźmi, ale w przypadku ludzi, nawet magów, ich aura jest o tyle mniej potężna, że jej wpływ można uznać za zaniedbywany). Płynąca woda zmywa ślady tego rodzaju kontaktu, a ja chciałem mieć pewność, że cokolwiek wydarzy się tej nocy, nie będę niósł dodatkowego mistycznego obciążenia po dzisiejszych wizytach.

Wszedłem pod prysznic, pochyliłem głowę pod gorącą wodą i rozmyślałem. Matki próbowały mi powiedzieć coś, czego nie wypowiedziały bezpośrednio. Może po prostu nie chciały mi dać tego, czego chciałem – ale bardziej prawdopodobne, że nie

były do tego zdolne.

Zmusiłem Maeve i Lily do mówienia bezpośrednio, na ile to możliwe, i dla obu było to nieprzyjemne. Nigdy nie spróbowałbym czegoś podobnego z Tytanią albo Mab. Niezależnie od przyczyny miałem wrażenie, że w naturze Królowych Faerie leży mówienie w sposób tak niejasny i zawoalowany, jak to tylko możliwe. Było to w nie wbudowane, podobnie jak niezdolność do wypowiedzenia otwartego kłamstwa. Takie po prostu były. A im dalej się sięgnęło, tym bardziej Królowe przesiąkały tą kwintesencją. Może Tytania i Mab od czasu do czasu bywały odrobinę bezpośrednio, ale przypuszczam, że wypowiedzenie prostego stwierdzenia na temat obecnych wydarzeń wymagałoby od nich dużego wysiłku. A jeśli to prawda, może Matki nie mogłyby tego zrobić, nawet gdyby chciały.

We wszystkim, co mówiły, szczególnie Matka Lata, krył się przekaz. Ale co to było, do diabła?

A może to wcale nie był problem w tłumaczeniu z elfiego na ludzki. Może był to problem w tłumaczeniu z kobiecego na męski. Kiedyś wyczytałem w pewnym artykule, że kiedy kobiety prowadzą rozmowę, komunikują się na pięciu poziomach. Śledzą rozmowę, którą rzeczywiście odbywają, rozmowę, której wyraźnie unikają, ton jawnej rozmowy, ukrytą rozmowę prowadzoną jedynie w podtekście i jeszcze mowę ciała drugiej osoby.

Dla mnie to zdumiewające, na wielu różnych poziomach. To przecież jak cholerna supermoc. Kiedy ja – i większość ludzi z chromosomem Y – prowadzę rozmowę, prowadzimy rozmowę. Jedną. Zwracam uwagę na to, co zostaje powiedziane, rozważam to i odpowiadam. A te wszystkie inne rozmowy, które ponoć odbywały się przez ostatnie kilkanaście tysięcy lat? Dopóki nie przeczytałem tego głupiego artykułu, nie wiedziałem nawet o ich istnieniu i mam pewność, że nie jestem jedyny.

Nie do końca byłem przekonany co do założeń artykułu. Istniało pewnie wiele kobiet, które nie komunikowały się na wielu różnych długościach fal jednocześnie. Istnieli pewnie mężczyźni, którzy świetnie radzili sobie z nimi wszystkimi. Po prostu nie byłem jednym z nich.

Dlatego, drogie panie, jeśli kiedyś będziecie rozmawiać ze swoim chłopakiem, mężem, bratem albo kolegą, i powiecie mu coś absolutnie oczywistego, to on po wszystkim wciąż może sprawiać wrażenie tępego. Wiem, że kusi was, żeby pomyśleć „Ten facet nie może być aż tak głupi!”.

Ale tak właśnie jest. Tak, może.

Nasze wewnętrzne mocne punkty po prostu się od siebie różnią. My jesteśmy

potężnymi łowcami, którzy świetnie skupiają się na jednej rzeczy. Na litość, musimy przyciszyć radio w samochodzie, jeśli podejrzewamy, że się zgubiliśmy, i musimy się zorientować, jak dotrzeć do celu. Tak ograniczeni jesteśmy. Mówię wam, prowadzimy tylko jedną rozmowę. Może taki weteran związków jak Michael Carpenter umie prowadzić dwie, ale to już granice możliwości. Pięć jednoczesnych rozmów? Pięć?

Nie. Do tego nie dojdzie. A przynajmniej w moim przypadku.

Czyli może było to coś absolutnie oczywistego, a ja byłem za głupi, żeby to do mnie dotarło. Może rada kogoś mniej ograniczonego ode mnie by pomogła. Wróciłem do głowy i upewniłem się, że pamiętam szczegóły ostatnich rozmów, i ułożyłem je w kolejności, żeby się skonsultować.

Kiedy mój mózg załatwił tę kwestię, ruszył prosto drogą, którą usiłowałem ominąć objazdem.

Jeśli tej nocy spieprzę sprawę, zginą ludzie, których kocham. Ludzie, którzy nie brali udziału w walce. Ludzie tacy jak Michael, jego rodzina i...

I moja córka Maggie.

Powinienem im powiedzieć? Kazać ruszyć w drogę i nie zatrzymywać się? Czy mam prawo to zrobić, kiedy bliscy tak wielu innych ludzi również są w niebezpieczeństwie i nie ma żadnych szans, by znaleźli się poza zasięgiem zagrożenia? Czy to miało znaczenie?

Czy miałem być odpowiedzialny za śmierć córki, jak byłem odpowiedzialny za śmierć jej matki?

Żarówki nie przygasły, ale pod tym prysznicem na chwilę zrobiło się naprawdę bardzo ciemno.

A później się otrząsałem. Nie mogłem marnować czasu na wzdychanie nad moją biedną córką, moim żalonym życiem i, ojej, jak paskudnie się czułem ze strasliwymi rzeczami, które zrobiłem. Mogłem sobie pozwolić na użalanie się nad sobą, kiedy zajmę się interesami. Nie, cofam to, interesikami.

Wyłączyłem wodę tak mocno, że aż rozległ się trzask, wyszedłem spod prysznica, wytarłem się i zacząłem wkładać świeże ubrania z drugiej ręki.

– Dlaczego je nosisz? – spytała Lacuna.

Podskoczyłem, potknąłem się i wykrzyknąłem pół zaklęcia, ale ponieważ byłem właśnie w trakcie wkładania bielizny, głównie upadłem na goły tyłek.

– Uch! Nie rób tego!

Mój miniaturowy jeniec zatrzymał się na skraju szafy i patrzył na mnie z góry.

– Mam nie zadawać pytań?
– Nie przychodź tutaj tak po cichu i ukradkiem, i nie strasz mnie!
– Jesteś ode mnie sześć razy wyższy i pięćdziesiąt razy cięższy – stwierdziła poważnie Lacuna. – A ja zgodziłam się zostać twoim jeńcem. Nie masz powodów się bać.

– Nie boję się! – odwarknąłem. – Zaskoczyłaś mnie. Lepiej nie zaskakiwać czarodziejów!

– Dlaczego nie?

– Ze względu na to, co może się wydarzyć!

– Mogą upaść na podłogę?

– Nie! – warknąłem.

Lacuna zmarszczyła czoło.

– Nie umiesz za dobrze odpowiadać na pytania.

Pośpiesznie wciągałem na siebie ubrania.

– Zaczynam się z tobą zgadzać.

– Dlaczego więc je nosisz?

Zamrugąłem.

– Ubrania?

– Tak. Nie potrzebujesz ich, chyba że jest zimno lub pada.

– Ty nosisz ubrania.

– Noszę pancerz. Kiedy pada deszcz strzał. Twoja koszulka nie zatrzyma strzał.

– Nie. – Westchnąłem.

Lacuna wpatrzyła się w moją koszulkę.

– Aer-O-Smith. Arrowsmith. Wytwórca strzał. Czy ta koszulka należy do twojego dostawcy broni?

– Nie.

– W takim razie dlaczego nosisz koszulkę dostawcy broni dla kogoś innego?

To było frustrujące na tak wiele różnych sposobów, że jeśli miałem uniknąć apopleksji, musiałem się wycofać.

– Lacuno, ludzie noszą ubrania. To jedna z tych rzeczy, które robimy. I jak długo będziesz mi służyła, oczekuję, że również będziesz to robić.

– Dlaczego?

– Bo jeśli nie, ja... ja... mogę ci wyrwać ramiona ze stawów.

Zmarszczyła czoło.

– Dlaczego?

– Bo muszę pilnować dyscypliny, prawda?

– Prawda – odparła poważnie. – Ale ja nie mam ubrań.

W myślach doliczyłem do dziesięciu.

– Coś... coś ci znajdę. Do tego czasu nie będzie wyrywania rąk ze stawów. Po prostu noś pancerz. W porządku?

Lacuna ukloniła się lekko.

– Rozumiem, panie.

– Dobrze. – Westchnąłem. Przeczesałem mokre włosy grzebieniem, choć wiedziałem, że niewiele to da. – Jak wyglądam?

– Właściwie jak człowiek.

– O to mi chodziło.

– Masz gościa, panie.

Zmarszczyłem czoło.

– Po to tu przybyłam. Czeka na ciebie gość.

Wstałem. Poczułem, że przepełnia mnie irytacja.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

Lacuna wydawała się zdezorientowana.

– Zrobiłam to. Przed chwilą. Byłeś tutaj. – Zmarszczyła z namysłem czoło. – Może masz uszkodzony mózg?

– Wcale by mnie to nie zaskoczyło.

– Chciałbyś, żebym otworzyła ci czaszkę i sprawdziła, panie?

Ktoś tak mały nie powinien być tak niepokojący.

– Nie... Nie, ale dziękuję za propozycję.

– Moim obowiązkiem jest ci służyć – zaintonowała Lacuna.

Moje życie, na dzwony piekiel. Przywołałem Lacunę, by podążyła za mną, głównie dlatego, że chciałem wiedzieć, gdzie się podziewa, i wróciłem do głównego pokoju.

Była tam Sarissa.

Siedziała przy kuchennym stole, drobne dłonie zaciskała na jednym z kubków Molly i wyglądała, jakby przeszła piekło. Na lewej kości policzkowej miała ciemnoczerwony ślad od uderzenia, który zaczynał już puchnąć i fioletowieć. Jej dłonie i przedramiona znaczyły zadrapania i siniaki – obrażenia powstałe w czasie obrony. Miała na sobie bladoniebieską koszulkę i granatowe bawełniane spodnie od pizamy. Oba elementy ubioru były przemoczone od deszczu i opinały ją w sposób, który sprawiał, że miałem ochotę się gapić. Ciemne włosy miała rozczochrane, a spojrzenie absolutnie udręczone. Kiedy się pojawiłem, spojrzała na mnie niepewnie

i lekko opuściła ramiona.

Molly szepnęła coś do niej, wstała z za stołu i podeszła do mnie.

– Powiedziała, że ją znasz.

– Znam. Nic jej nie jest?

– Jest w koszmarnym stanie. Przyszła i błagała, żeby ochrona najpierw zadzwoniła do mnie, nim zadzwonią po gliny. I to nie pierwszy raz, kiedy jej się to przytrafiło. Jest przerażona, że tu musi być... sędzę, że boi się ciebie osobiście.

Zmarszczyłem czoło.

Molly wzruszyła ramionami.

– Jej uczucia są naprawdę głośne. Nawet nie staram się niczego wyłapać.

– Jasne.

– Jest godna zaufania?

Zastanowiłem się nad tym, zanim odpowiedziałem.

– Jest najlepszą psiapsiółką Mab.

– Czyli odpowiedź pewnie brzmi: nie.

– Tak sędzę. Gdzieś tu musi być jakaś korzyść, nawet jeśli ona nie jest tego świadoma. To pionek Zimy. Ktoś musi nią poruszać.

Molly skrzywiła się.

– Jednak umiała przetrwać w Zimie, więc nie rozluźniaj się zbyt w jej obecności. Ostatni, który to zrobił, skończył jako mrożona karma dla zwierzaków. – Wskazałem w stronę wyjścia. – Jakieś wieści od zwiadowców?

Pokręciła głową.

– W porządku. Porozmawiam z nią. Trzymaj się blisko. Później może będę musiał się z tobą skonsultować.

– Jasne.

Molly zamrugnęła, po czym poszła za mną z powrotem do Sarissy.

Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie nerwowo i kilka razy zmieniła położenie palców na kubku.

– Harry.

– Nie wiedziałem, że przychodzisz na wizyty domowe również w Chicago.

– Chciałabym, żeby o to chodziło.

Pokiwałem głową.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

– Dostałam wskazówki.

– Od kogo?

Przełknęła ślinę i spuściła wzrok na blat.

– Redcapa.

Powoli opadłem na krzesło.

– Może lepiej powiedz mi, co się wydarzyło.

– Przyszedł po mnie. – Mówiła cicho i nie patrzyła mi w oczy. – Przyszedł dziś rano. Założył mi worek na głowę, związał mnie i gdzieś zabrał. Nie wiem dokąd. Spędziłam tam kilka godzin. Później wrócił, zdjął worek i posłał tutaj. Z tym.

Sięgnęła ręką w stronę kolan i położyła na stole białą kopertę. Popchnęła ją w moją stronę.

Nie była zaklejona. Otworzyłem ją, zmarszczyłem czoło, a później odwróciłem do góry nogami nad stołem.

Wypadło z niej kilka kosmyków włosów związanych kawałkami sznurka, jak również niewielki metalowy przedmiot.

Molly sapnęła.

– Kazał ci przekazać, że zabrał twoich przyjaciół – powiedziała cicho Sarissa.

Podnosiłem kosmyki jeden po drugim. Czarne, grube, lekko skręcone i przetykane siwymi. Butters. Rude, błyszczące i skręcone. Andi. I długi, miękki, falujący lok w odcieniu czystej bieli. Uniosłem go do nosa i pociągnąłem. Truskawki. Zakląłem cicho.

– Kto? – W głosie Molly brzmiało zmartwienie.

– Justine.

– Boże.

Podniosłem metalowy przedmiot. Prosty kapsel, lekko wgięty w miejscu, gdzie nacisnął otwieracz.

– I Mac. Ktoś śledził mnie, dokądkolwiek się udałem. Zabrał kogoś z każdego miejsca.

– Kazał mi powiedzieć, że wymieni ich wszystkich na ciebie, jeśli poddasz mu się przed zachodem słońca.

– A jeśli nie?

– Odda ich kości trupiogłowemu – szepnęła Sarissa.

Rozdział trzydziesty szósty

Zapadła cisza.

Przerwałem ją.

– W porządku. Mam już dość tego błazna.

Molly popatrzyła na mnie z troską w oczach.

– Pewien jesteś?

– Gościa kręci moczenie kapelusza w ludzkiej krwi.

– Z sidhe czasami można się targować – zauważyła Molly.

– Ale nie tym razem – powiedziałem twardo. – Jeśli to zrobimy, dotrzyma obietnicy w sensie dosłownym, ale i tak dopilnuje, żeby nie uszli z życiem. Żeby odzyskać przyjaciół, musimy wyrwać ich z jego łap.

Molly skrzywiła się, ale po chwili pokiwała głową.

Podniosłem kosmyki włosów i ułożyłem je równo na stole.

– Molly.

– Już. – Wzięła je.

Sarissa patrzyła szeroko otwartymi oczyma.

– Co robisz?

– Dupek był na tyle uprzejmy, że dostarczył mi świeżo obcięte włosy moich przyjaciół. Wykorzystam je, żeby go wyśledzić i pokrzyżować mu szyki.

– Pokrzyżować szyki? – spytała Sarissa.

– Pokrzyżować szyki. Uniemożliwić komuś osiągnięcie czegoś poprzez akt niepotrzebnej przemocy wobec jego śliskiej osoby.

– Jestem pewna, że definicja brzmi inaczej – stwierdziła dziewczyna.

– Dziś brzmi tak. – Podniosłem głos. – Kocie Sith. Potrzebuję twojej pomocy, proszę.

Sarissa znieruchomiała, jak królik, który wyczuł w pobliżu drapieżnika. Otworzyła szerzej oczy, a później rozejrzała się po pokoju, jakby szukała drogi ucieczki.

– Nie martw się. Dobrze się z nim dogaduję.

– Jesteś magiem i Rycerzem Zimy – syknęła Sarissa. – Nie masz pojęcia, jak bezwzględny jest ten stwór, a mnie nie chroni egida Królowej.

– Masz moją. – Podniosłem z irytacją głos. – Kocie Sith! Kici-kici-kici!

– Oszalałeś? – syknęła Sarissa.

– Może nie dostać się do środka, Harry – zauważyła Molly. – Nie chodzi jedynie o próg. Ciemne elfy otoczyły budynek osłonami.

– To ma sens. Zaraz wracam.

Wyszedłem i rozejrzałem się, ale Sith się nie pojawił. Wezwałem go po raz trzeci, bo, jak wszyscy wiemy, do trzech razy sztuka. W przypadku istot z Nigdynigdy to święta prawda. Jasne, nie jest to nieodparta siła w rodzaju ciężenia – bardziej przypomina zaburzenie obsesyjno-kompulsywne, na które cierpi większość z nich, choć w różnym stopniu. Reagują silnie na rzeczy, które dzieją się trzy razy, czy to prośby, obelgi czy rozkazy. W pewnym sensie więc trzy to naprawdę magiczna liczba.

Do diabła. Spytajcie tylko *ménage-à-Thomas*. Dupek.

Czekałem przez chwilę, nawet odwróciłem się i zrobiłem kilka kroków tyłem, zanim znów odwróciłem się przodem, żeby zapewnić Sithowi mnóstwo okazji, by mógł pojawić się niespodziewanie i mnie zaskoczyć.

Tyle tylko że on tego nie zrobił.

Poczułem, że w żołądku przelewa mi się coś śliskiego. Deszcz wciąż siąpił, ale chmury zaczęły nabierać odcienia jesiennego zachodu słońca. Wcześniej Sith pojawiał się niemal natychmiast.

Czyżby Mab mnie wystawiła? Zapewniła mi pomoc najstarszego malka, żeby móc wyciągnąć mi dywan spod nóg w chwili, kiedy najbardziej potrzebowałem Sitha? Czy opanowała ją zgnilizna mózgu Nemezis?

Nie widziałem Sitha od czasu konfrontacji w ogrodzie. Czyżby wrodzy *sidhe* go dopadli?

Albo, co gorsza, adwersarz?

Zrobiło mi się niedobrze. Jeśli Kot Sith został opanowany, trudno przewidzieć, jak bardzo mógł zaszkodzić. Zwłaszcza mnie.

Poczułem się trochę głupio z powodu tego kici-kici-kici. Miałem nadzieję, że nie słuchał.

Wróciłem zamysłony do mieszkania.

Molly popatrzyła na mnie pytająco.

Pokręciłem głową.

Molly zmarszczyła czoło – widziałem, jak obracają się trybiki w jej mózgu.

– W porządku – stwierdziłem. – Plan B. Lacuno, czy zechciałabyś tu przyjść?

Po chwili od strony mojego pokoju dobiegł cichy głos:

– A jeśli nie zechciałabym?

– I tak masz przyjść – stwierdziłem. – Tak się mówi wśród ludzi.

Prychnęła z obrzydzeniem i wypadła z pokoju, jej skrzydełka aż się rozmywały.

– Co mam dla ciebie zrobić?

– Umiesz czytać. Czy umiesz też czytać mapy? Pisać?

– Tak.

– W takim razie zostajesz w domu. Jeśli ktoś z Małego Ludku wróci z lokalizacją rytuału, chcę, żebyś zanotowała ich opis i zaznaczyła lokalizację na mapie. Uda ci się to zrobić?

Lacuna popatrzyła z powątpiewaniem na mapy rozłożone na stole.

– Tak sędzę. Najpewniej. Może.

– I żadnych walk ani pojedynków.

– A kiedy już skończę pisać?

– Nie.

Lacuna założyła rączki na piersi i spiorunowała mnie wzrokiem.

– Nie jesteś zabawny.

– Czuć od ciebie seler. Molly, jak zaklęcia?

– Wydaje mi się, że ukrywa ich jakieś kontrzaklęcie. Nie jest łatwo, więc przestań mi przeszkadzać. Próbuję się skupić.

Sapnąłem z niecierpliwością i zwalczyłem przyływ złości. Ona była praktykantką, a ja magiem. Niektórzy magowie pobiliby do nieprzytomności każdego praktykanta, który odezwałby się do nich w ten sposób. Zawsze byłem dla niej dobry – może za dobry – a w zamian dostawałem taki brak szacunku? Powinienem nauczyć ją, jak szanować mądrzejszych od siebie.

Warknąłem z głębi piersi i zacisnąłem pięści. Ten impuls nie pochodził ode mnie, lecz od Zimy. To, co łączyło mnie i Molly, opierało się na zasadach, zaufaniu i szacunku – nie strachu. Zawsze się tak przekomarzaliśmy.

Ale coś we mnie chciało... nie wiem. Pokazać jej, gdzie jest jej miejsce. Wyładować na niej swoją frustrację. Udowodnić, kto z nas jest najsilniejszy. I miało bardzo prymitywną wizję tego, jak do tego doprowadzić.

Ale to było nie do pomyślenia. To odzywała się opończa. Głośno.

Na wszystkie dzwony piekieł. Jakbym nie miał już dość problemów z tym, jak utrudniały mi myślenie moje własne gruczoły.

Usłyszałem cichy dźwięk za plecami, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, jak Sarissa znika w łazience. Poruszała się całkowicie bezgłośnie. Królik przestał udawać

figurkę i zwał.

Sarissa miała dobry instynkt, jeśli chodziło o drapieżniki.

Odwróciłem się do Molly i odkryłem, że patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma. Była wrażliwa. Wyczuwała emocje tak, jak większość z nas wyczuwa temperaturę pomieszczenia. Czasami słyszała nawet cudze myśli.

Doskonale wiedziała, co czułem. Od początku.

I nie uciekła.

– Wszystko w porządku? – spytała cicho.

– To nic takiego. – Zmusiłem się, by skupić myśli mimo wpływu opończy. – Znajdź stalową igłę i użyj jej jako punktu skupienia. To powinno zapewnić ci przewagę nad magią sidhe.

– Powinnam sama o tym pomyśleć.

– To dlatego mnie płacą kupę kasy.

Odwróciłem się i zostawiłem praktykantkę, by pozwolić jej pracować i nie rozpraszać kłębówiskiem pragnień Zimy, które rozlegały się echem w jej czaszce jak syrena przeciwmgielna.

Zajrzałem do lodówki i zrobiłem sobie kanapkę z bajgla, który przeciąłem w połowie, i niewielkiej góry dwóch rodzajów wędliny. Pożarłem je. Niecałe pięć minut później Molly przywiązała igłę do kawałka drewna razem z jednym z każdego rodzaju ludzkich włosów. Potem umieściła ją delikatnie w misce wody i bez najmniejszego problemu rzuciła zakłęcie śledzące.

Igła kręciła się powoli, aż wskazała prosto na wschód, w stronę moich porwanych przyjaciół. Najpewniej. Istniały sposoby, żeby zakłócić zakłęcia śledzące, ale najwyraźniej dodatek stali do naszego czaru przemógł to, co upichcił Redcap. Sięgnąłem zmysłami i sprawdziłem zakłęcie śledzące. Było równie porządne jak jedno z moich własnych.

– Dobra robota. – Podeszedłem do drzwi łazienki i zapukałem lekko. – Sarisso, słyszysz mnie?

– Tak.

– Wychodzimy. Mam nadzieję, że niedługo wrócimy. Powinnaś być tu bezpieczna, ale jeśli chcesz, możesz sobie pójść. Jeśli to zrobisz, pewnie ktoś cię będzie śledził, ale nie jesteś tu więźniem ani nic w tym rodzaju. Jasne?

Po chwili milczenia odpowiedziała:

– Rozumiem.

– W lodówce jest jedzenie! – zawołała Molly. – Jeśli jesteś zmęczona, możesz

położyć się w moim pokoju. W drzwiach jest zamek.

Żadnej odpowiedzi.

– Ruszajmy – powiedziałem do Molly. – Chcę jeszcze gdzieś się zatrzymać, zanim ich wyśledzimy.

* * *

Ochroniarz ciemnych elfów zatrzymał nas, zanim wyszliśmy, i poinformował, że mój samochód został naprawiony i dostarczony, i że mi go podstawią. Popatrzyliśmy po sobie z Molly.

– Jesteście pewni, że pojazd jest bezpieczny? – spytała Molly.

– Pan Etri osobiście poprosił, żeby przeprowadzono kontrolę bezpieczeństwa – odparł strażnik. – Został już sprawdzony pod kątem broni, materiałów wybuchowych, trucizn i wszelkiego rodzaju czarów, panno Carpenter. W tej chwili przejeżdżają nim pod wodospadem, żeby zmyć wszelkie zaklęcia śledzące, jakie mogły się na nim znajdować. Pan Etri stosuje tę samą procedurę dla zabezpieczenia własnych samochodów.

– Kto go przyprowadził? – spytała Molly.

Strażnik wyjął nieduży notes z kieszeni i sprawdził.

– Miejskowy mechanik, niejaki Mike Atagi. Chyba mam zdjęcie... – Przerzucił kartki, a później uniósł kolorowy wydruk, który został złożony i wciśnięty do notatnika. – To on.

Pochyliłem się, żeby spojrzeć na zdjęcie. A niech mnie. To był mój stary mechanik, Mike. Mike był cudotwórcą, jeśli chodziło o naprawianie Niebieskiego Chrabąszcza, człowiekiem obdarzonym talentem tak wielkim, że ustępował jedynie czarom, jeśli chodziło o przywracanie auta do życia, raz za razem.

– Powiedział, kto mu dostarczył samochód? – spytałem.

Strażnik sprawdził notatki.

– Proszę. Twierdził, że auto czekało na niego w warsztacie, kiedy do niego przyszedł, razem z zaliczką i pilnym zamówieniem o treści „Napraw go dla Harry’ego Dresdena i dostarcz pod podany adres albo pożałujesz, śmiertelny kowalu”.

– Kot Sith – stwierdziłem. – Przynajmniej czymś się zajął, kiedy byliśmy na wyspie.

Rozległo się niskie warczenie i z garażu wyjechał Munstermobil. Z jego błyszczącej powierzchni spływała woda, jakby był wielkookim lewiatanem wyłaniającym się z głębin. Wciąż pozostało kilka wgnieceń i zadrapań, ale popękane szyby zostały

wymienione, a silnik brzmiał dobrze.

Dobra, nie jestem fanem samochodów ani nic w tym rodzaju – ale w mojej głowie rozległ się riff gitarowy z „Bad to the Bone”.

– Koła – powiedziałem. – Doskonale.

Munstermobil podjechał do nas i zatrzymał się, wciąż ociekając wodą. Wysiadł z niego kolejny ochroniarz, zostawił otwarte drzwi po stronie kierowcy i obszedł auto, żeby otworzyć przed Molly drzwi od strony pasażera.

Dotknąłem ramienia Molly, by powstrzymać ją przed wejściem do środka, i odezwałem się do niej bardzo cicho:

– Na ile ufasz swojemu przyjacielowi panu Etri?

– Etri mógłby ci się przeciwstawić. Mógłby połamać ci kości. Mógłby poderżnąć ci gardło w czasie snu albo sprawić, by pochłonęła cię ziemia. Ale nigdy, przenigdy nie kłamie, jeśli mówi o swoich zamiarach. Nie jest przyjacielem, Harry. Ale jest moim sojusznikiem. I jest w tym dobry.

Chciałem powiedzieć coś błyskotliwego na temat nieufania nikomu, kto mieszka w pobliżu krain Faerie, ale się powstrzymałem. Po pierwsze, ciemne elfy podniosły paranoję do rangi sztuki i nie wątpiłem, że słuchały wszystkiego, co ktokolwiek powiedział na terenie ich nieruchomości, jeśli nie znajdował się w prywatnym mieszkaniu. Po drugie, miały absolutnie niewzruszoną reputację uczciwych i neutralnych. Nikt pochopnie nie wchodził w drogę ciemnym elfom – ale też z drugiej strony ciemne elfy rzadko dawały komukolwiek dobry powód, by wchodzić im w drogę. Dzięki temu zyskały ogromny szacunek.

Słyszeły też z tego, że sztywno trzymały się obietnic, umów i praw, przynajmniej ich litery.

– Jakie są warunki waszego sojuszu? – Ruszyłem w stronę miejsca kierowcy.

– Dostałam mieszkanie. Chcę przez to powiedzieć, że jest moje. Należy do mnie. Zajmują się jego utrzymaniem przez pięćdziesiąt lat i dopóki przebywam na terenie ich nieruchomości, uważają mnie za obywatelkę ich nacji, ze wszystkimi prawami i przywilejami.

Wsiadliśmy do wozu i zamknęliśmy drzwi, a ja zagwizdałem.

– Co im dałaś w zamian za coś takiego?

– Ich honor. I być może była jeszcze ta sprawa z ładunkiem wybuchowym, którą dla nich rozwiązałam.

– Na dzwony piekieł. Patrzcie no, jesteście całkiem dorosła.

– Ty to robiłaś. Przez cały dzień.

Próbowałem nie posłać jej zawstydzonego spojrzenia, kiedy ruszaliśmy.

– No tak.

– Wiesz, ja to czuję. Nacisk w twoim wnętrzu.

– Panuję nad tym. Nie martw się. Nie pozwolę, żeby zmusiło mnie do... odebrania ci czegośkolwiek.

Molly złożyła ręce na kolanach, spojrzała na nie i odezwała się cichutko.

– Jeśli to jest dane, ofiarowane z własnej woli, nie możesz tego tak naprawdę odebrać. Jedynie przyjmujesz dar.

Z jednej strony czułem, jakby coś wyrwano mi z piersi, tak głęboki był ból, jaki wzbudziły nadzieja i niepewność w głosie nowicjuszek.

A inna część mnie chciała zawyć i rzucić się na nią. Posiąść ją. Teraz. Nie chciała nawet czekać, aż samochód się zatrzyma. Gdybym potraktował to powierzchownie, nie było żadnego powodu, bym nie poddał się tej żądzy – to znaczy, pomijając wypadek samochodowy. Molly była teraz dorosła. I wyjątkowo atrakcyjna. Raz widziałem ją nagą i była w tym naprawdę dobra. Miała na to ochotę – wręcz nie mogła się doczekać. A ja jej ufałem. Przez te lata wiele ją nauczyłem, a niektóre z tych rzeczy miały wyjątkowo intymny charakter. Związki mistrzów z praktykantami nie były rzadkością w magicznych kręgach. Niektórzy magowie nawet je preferowali, ponieważ po tej bardziej niesamowitej stronie seks częściej bywa piekielnie niebezpieczny niż rozrywkowy. Uważali naukę fizycznej bliskości za coś związanego z magią w sposób równie nierozzerwalny jak z życiem.

Możliwe nawet, że z punktu widzenia czystego zdrowego rozsądku mieli trochę racji.

Ale w tej kwestii nie chodziło wyłącznie o rozsądek. Poznałem Molly, kiedy nosiła dwa kucyki. Siedziałem z nią w jej domku na drzewie, kiedy wracała do domu po lekcjach w szkole średniej. Była córką mężczyzny, którego szanowałem najbardziej na całym świecie, i kobiety, którą najmniej chciałem rozgniewać. Wierzyłem, że ludzie obdarzeni autorytetem i wpływami, szczególnie ci pełniący rolę mentora i nauczyciela, musieli zachować ogromną odpowiedzialność, by zrównoważyć ten wpływ na mniej doświadczone jednostki.

Przede wszystkim jednak nie mogłem tego zrobić, bo Molly zadurzyła się we mnie, kiedy miała czternaście lat. Zakochała się we mnie, a przynajmniej tak sądziła – a ja nie odwzajemniałem uczucia. Byłoby niesprawiedliwe, gdybym wyrwał jej w ten sposób serce. I nigdy, przenigdy nie wybaczyłbym sobie, że ją skrzywdziłem.

– Już dobrze – powiedziała prawie szeptem. – Naprawdę.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Dlatego wyciągnąłem rękę i delikatnie ścisnąłem jej dłoń. Odezwałem się po chwili.

– Molly, wątpię, by kiedyś do tego doszło. Ale jeśli tak się stanie, pierwszy raz z całą pewnością nie będzie wyglądał w taki sposób. Zaslugujesz na coś lepszego. I ja też.

Później położyłem obie dłonie na kierownicy i skupiłem się na jeździe. Musiałem zabrać kogoś jeszcze, zanim pokażę Redcapowi, jak wygląda moja wersja kryzysu zakładników.

* * *

Dotarliśmy do Carpenterów około piątej, zaparkowałem Munstermobil na ulicy. Był to najbardziej jarmarczny obiekt w promieniu pięciu mil w każdą stronę i wtapiał się w osiedle mieszkaniowe niemal równie dobrze jak gęś w stado najeżek. Wyłączyłem silnik i słuchałem jego odgłosów. Nie patrzyłem na dom.

Wysiadłem z samochodu, zamknąłem drzwi i oparłem się o nie plecami, nadal nie patrząc na dom. Nie musiałem. Widywałem go wystarczająco często. Był to zachwycający budynek w stylu kolonialnym, z zadbanym ogrodem, ładnym zielonym trawnikiem i białym parkanem.

– Tato jest w pracy. Piaskoczołg odjechał. – Molly wskazała na podjazd, gdzie zawsze parkował minivan ich matki. – Wydaje mi się, że mama zamierzała po południu zabrać Jawów na zabawę w ogrodzie botanicznym. Najmłodszych nie ma w domu.

W ten sposób Molly mówiła mi, że nie musiałem teraz stawiać czoła mojej córce i mogłem przestać być tchórzem.

– Idź po niego – powiedziałem. – Zaczekam tutaj.

– Jasne.

Molly podeszła do frontowego wejścia i zapukała. Jakies dwie sekundy później coś wielkiego uderzyło w drzwi po drugiej stronie. Ciężkie skrzydło aż podskoczyło. Z dachu nad gankiem posypał się poruszony tym wstrząsem kurz. Molly zeszytniała i się cofnęła. Sekundę później rozległo się kolejne lupnięcie i jeszcze jedno, a później odgłos gorączkowego drapania pazurami w drzwi. I znów uderzenia.

Pośpiesznie przeszedłem na drugą stronę ulicy i stanąłem obok Molly na trawniku, zwrócony twarzą do drzwi.

Skrzydło zakołysało się i uchyliło niepewnie, jakby na klamkę naciskał ktoś, kto miał zajęte ręce. A później drzwi zewnętrzne otworzyły się gwałtownie i na ganek

wypadło coś szarego, kudłatego i ogromnego. Jednym susem przeskoczyło nad balustradą, przebiegło po trawniku i nad płotkiem, po czym uderzyło mnie w pierś jak taran.

Mój pies, Myszek, jest tybetańskim psem świątynnym, psem fo pochodzącym z potężnego nadnaturalnego rodu, choć mógłby udawać wyjątkowo dużego mastifa tybetańskiego. Myszek bez mrugnięcia okiem atakuje demony i potwory, a do tego waży swoje. Przewrócił mnie równie łatwo jak kula pierwszy kręgiel. I choć może jest Superpsem, wciąż pozostaje psem. Kiedy znalazłem się już na ziemi, postawił przednie łapy po obu stronach mojej głowy, a następnie zaczął lizać mnie po twarzy, szyi i brodzie, przez ten cały czas wydając ciche piski radości.

– Fuj! – zawołałem jak zawsze. – Moje usta dotknęły ust psa! Dajcie mi płyn do płukania! Dajcie mi jodynę!

Z szerokim uśmiechem popchnąłem jego pierś i udało mi się wydobyć spod niego i wstać.

To bynajmniej nie zmniejszyło entuzjazmu Myszka. Odbiegł z radosnym szczekaniem, tak głośnym, że uruchomiło alarm samochodu oddalonego o sto stóp. Później zatoczył krąg, wrócił do mnie i znów zaczął szczekać. Powtarzał to przez około minuty i merdał przy tym ogonem tak gwałtownie, że przypominało to odgłos przelatującego w pewnej odległości śmigłowca.

– Dobra. Wystarczy. Daj spokój, przecież nie umarłem ani nic, stary.

Uciszył się, otworzył pysk w psim uśmiechu i wciąż tak bardzo merdał ogonem, że wraz z nim poruszał całym tyłem ciała. Ukląknęłam i objąłem go. Gdybym był cał albo dwa niższy, wątpię, żebym mógł to zrobić. Cholerny pies jest wielki i potężny. Oparł brodę na moim ramieniu i dyszał radośnie, kiedy go obejmowałem.

– Tak – powiedziałem cicho. – Ja też za tobą tęskniłem. – Skinąłem na dom. – Ktoś tam jest?

Przechylił głowę, a jedno ucho uniósł pod nieco innym kątem niż drugie.

– Mówi, że nie – stwierdziła Molly.

Zamrugalem.

– Najpierw Sherlock, a teraz Dolittle?

Zarumieniła się lekko i wydawała się zażenowana.

– To coś, co podłapałam. Psie myśli i uczucia są o wiele bardziej bezpośrednie i mniej wewnętrznie sprzeczne niż ludzkie. Łatwiej ich słuchać. To nic wielkiego.

Myszek podszedł, żeby przywitać się z Molly, ocierając się o jej nogi i prawie ją przy tym przewracając. Zatrzymał się i spojrzał na nią z sympatią i merdaniem ogona

i cicho szczechnął.

– Nie ma za co. – Molly podrapała go za uchem.

– Potrzebuję twojej pomocy, chłopie. Źli goście zabrali Buttersa, Andi i Justine.

Myszek gwałtownie potrząsnął głową i na wpeł kichnął.

– Myszek uważa, że Andi powinna być zamykana na noc w garażu, aż nauczy się, jak nie dać się porwać.

– Kiedy wrócimy, zaczniemy ją nazywać „wpadającą w tarapaty Daphne” – obiecałem mu. – Ma nawet odpowiednie włosy. Wchodzisz, Scoob?

W odpowiedzi Myszek podbiegł do ulicy, popatrzył w obie strony, po czym przeszedł przez nią i usiadł przy tylnych drzwiach Munstermobilu. Później spojrział na mnie, jakby chciał spytać, dlaczego ich dla niego nie otworzyłem.

– Oczywiście, że wchodzi – przetłumaczyła z uśmiechem Molly.

– Dobrze, że tu jesteś. Niełatwo go zrozumieć.

Rozdział trzydziesty siódmy

Używaliśmy wirującej igły w misce z wodą jak kompasu i z początku pojechaliśmy z północy na południe, żeby określić lokalizację naszych przyjaciół za pomocą triangulacji. Jak na zakłęcia śledzące, to było nieco bardziej niezgrabne od innych. Musieliśmy co jakiś czas zatrzymywać Munstermobil i czekać, aż woda się uspokoi, żeby go użyć – ale nic nie jest doskonałe.

Odnaleźliśmy naszych przyjaciół – i najpewniej Redcapa wraz z ekipą – na nabrzeżu. Słońce zachodziło za naszymi plecami i na chwilę wyłoniło się zza chmur. Wieżowce miasta rzucały na nas długie, zimne cienie.

– Harry – odezwała się Molly. – Wiesz, że to...

– Pułapka. Tak. Redcap doskonale wiedział, co zrobię z tymi kosmykami włosów. Molly wyraźnie ulżyło.

– W porządku. W takim razie jaki masz plan?

– Kiedy się upewnimy, gdzie są, ja pójdę od frontu.

– I to ma być plan?

– Będę bardzo, ale to bardzo głośny. Tymczasem ty i Superpies wślizgniecie się od tyłu, bardzo podstępnie, zneutralizujecie strażników, którzy nie będą w tym czasie zajęci mną, i wydostaniecie ekipę.

– Och. Na pewno nie chcesz, żebym ja odwracała uwagę?

Było to uczciwe pytanie. Zakłęcie Jednoosobowej Dyskoteki w wykonaniu Molly wywoływało większe zainteresowanie niż katastrofa na pikniku lotniczym.

– Sidhe znają się na zasłonach. Moje nie są dość dobre, bym się do nich zbliżył. Twoje tak. I tyle.

– Jasne. – Przełknęła ślinę. – Czyli... polegamy na mnie, jeśli chodzi o tę ważniejszą część. Ratowanie ludzi.

– Od dłuższego czasu grasz rolę Batmana, dzieciaku. Powinnaś sobie poradzić.

– Przez większość czasu, gdybym coś schrzaniła, niebezpieczeństwo groziło tylko mnie. Jesteś pewien, że to dobry plan?

– Jeśli sądzisz, że sobie poradzisz. Albo nie.

– Och.

Położyłem dłoń na jej ramieniu.

– Tym razem nie mamy czasu na owijanie w bawełnę, więc będę mówił prosto. Kiedy się zacznie, jeśli ktoś wejdzie ci w drogę, chcę, żebyś walnęła go ze wszystkich sił, prosto w twarz. Myszek będzie z tobą jako mięśniak.

– Nie powinien być z tobą? Skoro zamierzasz walczyć...

– Nie zamierzam walczyć. Nie mam czasu na przygotowania, nie mam planów, przegrałbym walkę. Będę jednym wielkim i głośnym odwracaniem uwagi.

– A jeśli wpakujesz się w tarapaty?

– To moja sprawa. Ty rób swoje. Skup się na swoim celu. Wejdź do środka, znajdź ich, wyjdź, sygnał. Wtedy wszyscy uciekamy. Kapujesz?

Skinęła głową.

– Kapuję.

– Hau – powiedział Myszek.

* * *

– Hm – powiedziałem po kilku chwilach. Przeprowadziliśmy triangulację zakłębieniem śledzącym i zawęziliśmy lokalizację do jednego budynku, a teraz kryliśmy się w pasażu po drugiej stronie ulicy. – Byłem tu wcześniej.

– Naprawdę?

– Tak. Dzieciaka klientki czy coś w tym rodzaju porwał niedorobiony czarnoksiężnik. Miał wszystko, łącznie z tandetną przemową, i zamierzał złożyć dzieciaka w ofierze takim wielkim tanim nożem z ząbkami.

– Jak wyszło?

– Jeśli dobrze pamiętam, zostałem pobity. I niewiele zarobiłem. Zły gość uciekł, a klientka wyszła, grożąc pozwem. Tyle tylko że zostawiła dzieciaka. Okazało się, że nie była nawet jego matką, a prawdziwi rodzice chcieli, żeby mnie aresztowano. Nigdy więcej się do mnie nie odezwała. Nie mam pojęcia, o co w tym chodziło. Kreda.

Molly sięgnęła do torby i podała mi kredę. Kucnąłem i szybko naszkicowałem plan prostokątnego magazynu.

– Tu jest wejście frontowe. Wejście do biura. Tylne wejście. Na górze są okna, ale musiałabyś być ptakiem, żeby do nich dotrzeć. Magazyn częściowo wystaje nad wodę, ale na tyłach jest drewniany pomost. Wejdiesz tamtędy, przez tylne drzwi. Uważaj na druty potykacze. Myszek może ci z tym pomóc. Zaufaj mu. W porównaniu z nim jesteśmy zasadniczo ślepi i głusi.

– W porządku. – Molly pokiwała głową. – Dobra.

– Nie zawieszaj się na tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby coś poszło nie tak. Skup się, tak jak to robimy przed rzuceniem zaklęcia. Wejdz do środka. Znajdź ich. Wyjdz.

– Zrobmy to, zanim zwymiotuję.

– Dam ci pięć minut, żebyś znalazła się na miejscu. Nie wchodź, dopóki nie zacznę robić hałasu.

– Jasne. Chodź, Myszek.

Wielki pies podszedł do Molly, a ona nawet nie musiała się pochylić, żeby wsunąć palce pod jego obrozę.

– Trzymaj się blisko mnie, dobrze? – powiedziała do Myszka.

Popatrzył na nią i zamerdał ogonem.

Posłała mu niepewny uśmiech, skinęła mi głową, wypowiedziała słowo i zniknęła.

Zacząłem liczyć do trzystu i przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego ciągle trafiam do tych samych miejsc w mieście. To nie był pierwszy raz, kiedy źli goście postanowili ponownie wykorzystać lokal, którego używali przed nimi inni źli goście. Może istniało Stowarzyszenie Łotrów-Współwłaścicieli. Może moje życie było tanim serialem w kablówce i nie mogli marnować pieniędzy na nowe dekoracje.

Albo – i to wydawało się bardziej prawdopodobne – może istniał jakiś powód. Może szczególna atmosfera pewnych miejsc po prostu bardziej odpowiadała drapieżcom. Drapieżniki lubią, kiedy ich leże ma wiele różnych wejść i wyjść, raczej nie można się na nie przypadkiem natknąć i znajduje się w pobliżu źródła tego, co najchętniej zjadają. A nadnaturalni drapieżcy najpewniej mieli również pojęcie na temat charakteru części Nigdynigdy przylegającej do określonego fragmentu naszej rzeczywistości, choćby instynktowne. Nic dziwnego, że miejsca połączone z obszarami Nigdynigdy, w których czuliby się swobodnie, były dla nich bardziej komfortowe. Przecież każdy z nas lubi wybrać się na obiad do miejsca, które przypomina mu dom.

Jeśli przeżyję kolejny dzień, powinienem zacząć notować, gdzie te błazny lubiły popuszczać wodze żądz krwi. Któregoś dnia może dać mi to przewagę. Albo przynajmniej listę miejsc, którym nie zaszkodziłoby spalenie. Od dawna nie podpaliłem jakiegoś budynku.

Dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć. Trzysta.

– Gotowi czy nie – mruknąłem – oto nadchodzi.

Wyszedłem z pasażu naprzeciwko magazynu, zebrałem wolę w postaci tarczy

wokół lewej ręki i przygotowałem lancę mocy w prawej. Na dzwony piekieł, brakowało mi sprzętu. Mab zmusiła mnie, bym nauczył się radzić sobie bez niego, ale nie znaczyło to, że szło mi równie dobrze. Brakowało mi bransoletki z tarcz. Brakowało mi bojowej różdżki. Brakowało mi wzmocnionego zaklęciami płaszcz. Z tym wyposażeniem całość byłaby prosta. Mógłbym się lepiej chronić z każdej strony, a moje zaklęcia miałyby większy zasięg, powstrzymując złych gości przed wystawianiem głów. Ale stworzenie nowych zajęłoby mi całe tygodnie i musiałem sobie radzić z tym, co miałem – czyli właściwie z samym sobą.

Moja tarcza była równie silna jak wcześniej, ale nie mogłem jej utrzymywać aż tak długo i nie wszędzie dookoła – nie mogłem więc iść otoczony bezpieczną bańką mocy. Bez bransoletki lub podobnego narzędzia mogłem się osłaniać jedynie z przodu i tylko przez kilka sekund naraz. Moje zaklęcia ofensywne uderzały równie mocno, ale miały mniejszy zasięg i wymagały kilku kluczowych ułamków sekundy więcej do rzucenia.

Rany, brakowało mi moich zabawek.

Magazyn otaczał niewielki płot pokryty plastikową osłoną i zwieńczony drutem kolczastym. Drogę do głównego wejścia zamykała kiedyś brama, ale została zerwana z zawiasów przez jakiegoś obłąkanego zbira, który wcale nie wyglądał jak ja, niezależnie od tego, co mówili świadkowie, i najwyraźniej nikt jej od tego czasu nie naprawił.

Piekielnie dużo otwartej przestrzeni. Byłbym naprawdę kuszącym celem. O to właściwie chodziło – miałem być tak atrakcyjnie odsłonięty, by nikt nie pilnował tylnego wejścia. Wkroczenie w taki sposób nie było najlepszym pomysłem na świecie, ale od Halloween dzieliła nas może godzina i brakowało mi czasu na myślenie.

Mimo wszystko istnieje różnica między brawurą a szaleństwem. Nie podobała mi się zbyt wiza, że potknę się o drut połączony, powiedzmy, z miną przeciwpiechotną, więc zanim wszedłem do środka, wyrzuciłem przed siebie prawą rękę i zrobiłem nią szeroki gest, jakbym próbował trafić kulą w kręgle dwa tory dalej.

– *Forzare!* – mruknąłem i rzuciłem zaklęcie, skupiając się na nadaniu potrzebnego kształtu mocy, którą wypuściłem.

Fala uderzeniowa energii poderwała pył, żwir i nieregularne kawałki połamanego asfaltu. Przepłynęła po ziemi do magazynu i z głośnym, głuchym dudnieniem uderzyła we frontowe drzwi.

– Powiedz „Kto tam?!“ – krzyknąłem w stronę magazynu.

Szedłem szybkim krokiem, póki pył wciąż wisiał w powietrzu, dzięki czemu

mógłbym – choć nadal nie było to prawdopodobne – dostrzec jednego z kumpli Redcapa, którzy mogli kryć się pod zasłoną.

– Spróbuj! No tylko spróbuj, śmiało!

Rzuciłem kolejną falę mocy w wielkie drzwi załadunkowe magazynu, co miało wywołać wielki hałas, ale ich nie wyrwać. Udało mi się. Drugi ogromny wstrząs sprawił, że stalowe dźwigary i metalowe ściany budynku zadudniły jak wielki, mroczny dzwon.

– Wściekły mag, oto kto! – krzyknąłem. – Masz dziesięć sekund, żeby uwolnić moich przyjaciół, całych i zdrowych, albo rozpierdolę wszystkich was synów!

Miałem może pół sekundy, a później z góry zanurkowała w moją stronę czarna smuga i próbowała wbić mi szpony w oczy. Gwałtownie cofnąłem głowę i zobaczyłem jastrzębia, który zamachał skrzydłami, by się podnieść. Przekoziółkował w powietrzu, a jednocześnie zamigotał i w ułamku sekundy na miejscu jastrzębia pojawił się jeden z sidhe, który opadał swobodnie łukiem w stronę ziemi, a w rękach trzymał łuk i strzałę. Naciągnął cięciwę i wystrzelił właściwie w chwili przeobrażenia, a ja z trudem zatrzymałem pocisk tarczą. Zanim spadł, znów przekoziółkował i się przeobraził, powrócił do postaci jastrzębia, uderzył skrzydłami i wzniósł się w niebo.

Na wszystkie dzwony piekieł. To wyglądało niesamowicie. Trzeba mistrza zmiennokształtności, by przy zmianie postaci zabrać ze sobą sprzęt i ubrania, ale w wykonaniu tego gościa wyglądało to na równie łatwe jak oddychanie.

Cokolwiek mówić o elfach, mają styl. Nie aż taki, żebym nie rzucił kolejnego pocisku mocy w stronę lecącego łucznika, choć nie trafiłem go, a on odleciał z szyderczym krzykiem.

I wtedy poczułem niewielki, ostry ból w lewej nodze.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem małą drewnianą strzałkę wystającą z tyłu łydki. Była rzeźbiona, idealnie gładka i okrągła, z pierzyskiem z kilku malutkich szkarłatnych piórek. Obejrzałem się i dostrzegłem Redcapa przykucniętego na szczycie płotu otaczającego magazyn, balansującego wyraźnie bez trudu na drucie kolczastym, który miał może jedną szesnastą cala szerokości.

Uśmiechał się szeroko, szaleńczo. W ręku trzymał krótką srebrzystą rurkę, a kiedy moje spojrzenie odnalazło jego twarz, dotknął warg dwoma palcami drugiej dłoni, posłał mi buziaka, zeskoczył z płotu i zniknął.

Odwróciłem się w jego stronę i uniosłem tarczę, później obróciłem się i skierowałem ją w drugą stronę, a w końcu zacząłem się kręcić, rozglądając się. Nic nie wykryłem. Zakładając, że sidhe nie byli po prostu niewyczuwalni dla moich

zmysłów, zniknęli.

Poczułem pieczenie w miejscu rany na łydce.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Wyrwałem strzałkę z łydki. Uszkodzenia nie były wielkie – wąska drewniana włócznia wbiła się może na ćwierć cala w skórę – ale kiedy podwinąłem nogawkę spodni, odkryłem nieproporcjonalnie szeroką stróżkę krwi płynącą z malutkiej ranki.

A to palenie z każdym uderzeniem serca stawało się niemal niedostrzegalnie silniejsze.

To wcale nie był kryzys zakładników.

To był zamach na moje życie. Albo... albo coś.

– Do diabła! – warknąłem. – Znów się ze mną zabawili! Mam już serdecznie dosyć tego wbijania noża w plecy!

Właściwie wpadłem do magazynu, gwałtownym ruchem otworzyłem drzwi biura i wyszedłem do hali. Było w niej równie pusto jak w moich wspomnieniach, jeśli pominąć pozostałości kilku bezdomnych koczujących między chwilą obecną a przeszłością. Molly znajdowała się na samym końcu magazynu, w pobliżu tylnych drzwi. Pomagała Justine usiąść. Mac też tam był, on i Butters podpierali chwiejącą się Andi. Myszek pełnił straż między grupką a przodem magazynu, na mój widok zaczął merdać ogonem.

– Jest czysto! – zawołałem i podbiegłem do nich. – Albo przynajmniej czystawo. Co się stało?

– Rzucili na nich czar usypiający – wyjaśniła Molly. – Dość standardowy. Obudziłam ich.

– Wszyscy zdrowi?

– Andi dostała w głowę, kiedy ją zabierali. Poza tym chyba nic nam nie jest.

Kiedy Molly mówiła, jej głos nie drżał, ale wzrok uciekał niepewnie w stronę Maca. Przyjrzałem się wszystkim uważnie. Andi, Butters i Justine zostali związani. Justine dopiero teraz pozbywała się więzów na rękach, a kiedy Molly piłowała je scyzorykiem, widziałem głębokie czerwone ślady, które pozostały na szczupłych nadgarstkach Justine. Butters i Andi też je mieli, widoczne nawet w półmroku magazynu.

Mac nie.

Interesujące. Dlaczego Mac nie został związany? A jeśli został, dlaczego nie było żadnych śladów? Tak czy inaczej, to było dziwne.

Instynkt kazał mi złapać go i zażądać odpowiedzi – ale bezpośrednie podejście sprawiało jedynie, że w miarę upływu tego głupiego dnia byłem coraz bardziej

zdezorientowany. Mogłem być lepszym zbirem niż kiedykolwiek w życiu, ale to się nie liczyło, jeśli nie umiałem ocenić, kiedy posłużyć się mięśniami. I miałem już cholernie dość, że inni dopadali mnie podstępem. Czas samemu być przebiegłym.

Zacisnąłem zęby i udałem, że Molly nie dała mi żadnej wskazówki.

– Dobra, ruszajmy. Chyba się wynieśli, ale mogą wrócić.

– I to już wszystko? Spodziewałam się więcej kłopotów niż... – Molly urwała i wpatrzyła się w podłogę za moimi plecami.

Moja noga pulsowała i piekła odrobinę bardziej, spojrzałem na nią z irytacją. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyłem długą linię śladów krwi na płytkach podłogi. Ranka cały czas krwawiła, krew przemoczyła skarpetkę i but i spływała teraz po obcasie.

– Co się stało? – spytała Molly.

– Kolejna głupia sztuczka. Nie chodziło o to, żeby zażądać za nich okupu. Chodziło o to, żeby ściągnąć mnie tutaj, pod presją i zbyt spiętego, żebym bronił się przed atakiem z każdej strony. – Uniosłem strzałkę. – Lepiej się dowiedzmy, co to jest i jaka to trucizna.

– Boże – jęknęła Molly.

– Przyjmę każdą pomoc. Chodź...

Zanim dokończyłem zdanie, rozległ się głośny zgrzyt i cały magazyn się zatrząsł. Ledwie zdążyłem pomyśleć „ładunki burzące”, kiedy zabrzmiał ogłuszający trzask i podłoga się przechyliła.

I wtedy tylne dwadzieścia stóp magazynu, włączając w to nas wszystkich, zsunęło się z ulicy w zimną, ciemną wodę jeziora Michigan.

Rozdział trzydziesty ósmy

Nie spadliśmy prosto w dół. Przy akompaniamencie zgrzytu rozrywanych sworzni nasza część budynku zachwiała się jak pijak i wpadła do wody pod kątem.

Najgorszy był chaos. Hałas, dezorientacja nieodłącznie związana z szarpiącym ruchem, a później nagły przypyływ przerażenia, kiedy ciężenie zwyciężyło – wszystko to wywołało u mnie atak paniki, a nie jestem facetem, który łatwo panikuje.

I tego właśnie większość nie rozumie, jeśli chodzi o takie sytuacje. Ludzie po prostu z natury dostają świra, kiedy wydarzy się coś złego. Nieważne, czy ktoś jest przedszkolanką, czy agentem jednostek specjalnych – kiedy dzieje się coś, co zagraża życiu, ludzie są przerażeni. Świrują. Kiedy człowiek budzi się i odkrywa, że w jego obozowisku pojawił się głodny niedźwiedź, to zazwyczaj korzystny mechanizm.

Jednakże spadanie do czarnej wody w zamkniętym pomieszczeniu to nie okoliczności, w których nagły przypyływ paniki i adrenaliny mogą pomóc. Wtedy trzeba odsunąć ten strach na bok i zmusić się do wykorzystania racjonalnego umysłu, żeby znaleźć drogę wyjścia z sytuacji. Istnieją dwa sposoby, by osiągnąć stan umysłu „przerażony, ale racjonalny”. Pierwszym jest szkolenie, kiedy człowiek powtarza określoną reakcję z takim uporem i tyle razy, że staje się ona rodzajem odruchu, który można przywołać bez zastanowienia. Drugim jest zdobycie tak wielkiego doświadczenia, by nauczyć się, co należy robić.

Dlatego kiedy pochłonęła mnie zimna woda, zamknąłem na chwilę oczy i skupiłem się, zupełnie jakbym przygotowywał się do rzucenia czaru, rozluźniłem kończyny i pozwoliłem, by unosiły się swobodnie w wodzie. Zebrałem myśli i rozważyłem możliwości.

Po pierwsze, miałem czas, choć nie za dużo. Zaczerpnąłem tchu, nim się zanurzyłem. Inni mogli postąpić podobnie, ale nie musieli. Miałem więc jakieś dwie minuty na działanie, zanim pozostali spróbują oddychać jeziorem Michigan. Dwie minuty nie wydają się długim czasem, ale było go dość, bym poświęcił kilka sekund na zastanowienie.

Po drugie, otaczały nas stalowe ściany. Mógłbym się przez nie przebić jedynie solidnym pchnięciem mocy, co było niemożliwe, dopóki otaczała mnie woda. Woda

przez samą swoją obecność z zasady rozprasza i uziemia magiczne energie. Kiedy maga otacza woda, właściwie każda energia, jaką wypuszcza on ze swojego ciała, zostaje tak rozproszona i rozcieńczona, że staje się bezużyteczna.

Krawędzie budynku być może oparły się o muł na dnie jeziora, więżąc nas jak robaki pod pokrywką pudełka do butów – a być może nie. Nie było dość czasu, by sprawdzić je wszystkie systematycznie, nim pozostali zaczyną się topić. To znaczyło, że musieliśmy wyjść jedyną dostępną drogą – tylnym wyjściem.

Tyle tylko że wszyscy rozproszyli się w czerni, a przynajmniej jedna osoba, Andi, już była zdezorientowana po uderzeniu w głowę. Istniała możliwość, że komuś jeszcze coś się stało w czasie upadku lub coś się stanie podczas prób wydostania się. Było bardzo mało prawdopodobne, że uda mi się odnaleźć drzwi, później całą resztę towarzystwa, a następnie wskazać im drogę na zewnątrz. Wydawało się równie nieprawdopodobne, że wszyscy pozostali poświęcili chwilę na zastanowienie i doszli do tego samego wniosku. Istniała bardzo spora szansa, że jedno lub więcej z moich przyjaciół pozostałoby w wodzie.

Ale jakie inne możliwości miałem? Przecież nie mogłem podnieść całego budynku nad wodę...

Nie. Ja nie mogłem.

Ale Zima mogła.

Otworzyłem oczy w ciemności, próbowałem się domyślić, gdzie jest dno, i popłynąłem w tamtą stronę. Po kilku stopach trafiłem na muł. Wbiłem weń prawą rękę, szarpiąc się przy tym dość niezgrabnie. Wtedy znów się rozluźniłem i unosiłem się dość dziwnie, zakotwiczony jedną ręką w mule, a jednocześnie skupiłem umysł.

Nie zamierzałem podjąć próby uniesienia przeklętego budynku. To by było szaleństwo. Znałem istoty, które byłyby zdolne do dokonania czegoś takiego, ale ja sam z całą pewnością do nich nie należałem, nawet z mocą opończy Rycerza Zimy.

Poza tym, czemu miałbym wybrać bezsensowny sposób?

Poczułem, że na mojej twarzy pojawił się uśmiech, być może zbyt szeroki, i przez prawą rękę wypuściłem chłód zimy prosto w ziemię pod sobą. Wylewałem go, niczego nie zatrzymując, sięgałem daleko w głąb siebie, do źródła zimnej mocy w moim wnętrzu, i wysyłałem ją w błądź na dnie jeziora.

Jezioro Michigan jest głębokie i jedynie jego górne warstwy tak naprawdę się nagrzewają. Ale kilka stóp pod powierzchnią zimno jest stałe, bezwzględne, zaś muł znajdujący się na głębokości – jak oceniałem – co najwyżej piętnastu albo dwudziestu

stóp, był oślizgły. Kiedy moc wylewała się ze mnie, woda zrobiła z nią to, co z każdą magią – zaczęła ją rozpraszać.

A mnie o to właśnie chodziło.

Wokół mojej dłoni pojawił się lód, który rozrastał się w kręgu, na początku szerokim na kilkanaście stóp – muł był lepszym przewodnikiem niż woda. Kiedy włożyłem trochę więcej wysiłku, krąg rozszerzył się i cały czas powstawały nowe kryształki lodu. Wciąż wylewałem zimno, a wtedy woda dotykająca dna też zaczęła zamarzać.

Moje serce biło z coraz większym wysiłkiem i zaszumiało mi w uszach. Nie poddawałem się, wypuszczałem coraz więcej mrozu do otaczającego mnie jeziora, tworząc kolejne warstwy lodu na dnie pod zawalonym budynkiem. Po sześćdziesięciu sekundach lód miał trzy stopy głębokości i otaczał również moje ramię i bark. Po dziewięćdziesięciu otoczył moją głowę i górną połowę ciała, musiał mieć pięć albo sześć stóp grubości. A kiedy doliczyłem do stu dziesięciu, cała masa lodu oderwała się z jękiem od dna jeziora i zaczęła się wznosić.

Nie ustawałem w wysiłkach, stworzyłem z niego miniaturową górę lodową, a stalowe dźwigary i ściany magazynu zgrzytały i piszczwały, kiedy lód je unosił. Poczulem, kiedy moje stopy wydostały się z wody, choć większość ciała wciąż tkwiła w lodzie. Szarpnąłem się i przekręciłem, i choć nikt mi nigdy tego nie powiedział, wiedziałem doskonale, gdzie przyłożyć nacisk i moment obrotowy. Lód popękał i bez większego trudu wydostałem się z niego. Kiedy w końcu wyjąłem głowę (dalej, możecie sobie żartować), siedziałem w półmroku na lodowej krze wznoszącej się kilka cali nad powierzchnią jeziora.

Wciąż znajdowałem się w tylnej części magazynu. Tylne wejście było otwarte, znajdowało się bezpośrednio nad moją głową i wpuszczało większość światła. Podłoga i dwie ściany uszkodzonego pomieszczenia tkwiły w lodzie, ale pod kątem. Poszarpany skraj sufitu wznosił się parę stóp nad wodą.

Na lodzie drżało kilkoro bardzo zaskoczonych ludzi i jeden przemoczony pies. Szybko ich przeliczyłem. Wszyscy byli na miejscu.

Pełen ulgi opadłem na lód, wyczerpanie sprawiło, że miałem wrażenie, że moje ciało waży tonę, i przez chwilę po prostu tam leżałem, podczas gdy resztki zrujnowanego magazynu kołysały się łagodnie na wodzie. Po kilku sekundach poczułem na sobie spojrzenia i podniosłem wzrok.

Moi przyjaciele siedzieli lub klęczeli na lodzie, przemoczeni i drżący, i patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami. Oczy Molly były błyszczące i skupione, a wyraz jej

twarży nieprzenikniony. Justine miała niedomknięte usta, a w jej wielkich ciemnych oczach malował się strach. Butters popatrzył najpierw na mnie, a później na lód, przesuwał wzrokiem, a w jego głowie z całą pewnością obracały się trybiki, kiedy kalkulował, ile wokół było lodu i ile energii wymagało zamrożenie takiej ilości wody. Mac patrzył na mnie beznamietnie i wciąż podpierał oszołomioną Andi.

Słodko zaokrąglona Andi była najbardziej odsłonięta. Gdyby udało mi się oderwać ją od stada, mogłoby się zrobić interesująco. W końcu właśnie uratowałem jej życie. Była mi coś winna. Umiałem sobie wyobrazić kilka różnych sposobów wyrażenia tej wdzięczności.

Wypchnąłem drapieznika ze swojego umysłu i odetchnąłem głęboko. Kiedy wypuściłem powietrze, moje usta otoczyła chmurka pary, gęstsza, niż mogła powstać naturalnie, nawet w najzimniejszy dzień. Spojrzałem na dłonie – pokrywał je szron, a czubki moich palców i paznokcie siniały. Uniosłem dłoń do twarzy i wytarłem cienką warstwę szronu.

Na wszystkie dzwony piekieł. Jak wyglądałem, że przyjaciele tak się na mnie gapili?

Na lustra będzie czas później.

Wstałem, bez najmniejszych problemów utrzymując równowagę nawet na mokrym lodzie, i zorientowałem się, gdzie jest najbliższy punkt na brzegu.

– *Infriga* – mruknąłem i zamroziłem długi na dziesięć stóp most prowadzący z zaimprovizowanej góry lodowej na ląd.

– Chodźcie. – Ruszyłem w stronę brzegu. Mój głos brzmiał dziwnie, szorstko. – Nie mamy wiele czasu.

* * *

Kiedy dotarliśmy do mieszkania Molly, słońce wyslizgnęło się spod chmur i niebo było pełne rozżarzonych węgli, które powoli wypalały się do gasnącego żaru i popiołu.

Na zewnątrz czekali Thomas i Karrin. Opierali się o ścianę w pobliżu stanowiska ochrony. Thomas trzymał w jednym ręku duży kubek z kawą, a w drugim bajglą. Karrin wpatrywała się w ekran smartfona i przesuwała po nim kciukiem.

Thomas dostrzegł zbliżający się samochód i trącił Karrin. Podniosła wzrok i zagapiła się na Munstermobil. Przewróciła oczami, a później wyłączyła telefon i wsunęła go do futerału na pasku.

Zatrzymałem samochód i opuściłem szybę.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz. – Karrin spojrzała na auto. – To?

– Sądzę, że to samochód służbowy.

Karrin pochyliła się i spojrzała na wszystkich siedzących z tyłu.

– Co się stało?

– Wsiadaj. Wyjaśnię za chwilę.

Zaparkowaliśmy i wszyscy ruszyli do mieszkania Molly, niektórzy wolniej niż pozostali.

– Kuśtykasz – zauważył idący obok mnie Thomas. – I krwawisz.

– Wcale nie... – Westchnąłem. – Tak, Redcap postrzelił mnie taką malutką strzałką. Może zatrutą. Albo coś w tym rodzaju.

Thomas wydał z siebie głębokie warknięcie.

– Mam już dość tego błazna.

– Mów do mnie jeszcze.

Molly otworzyła drzwi, a kiedy wszedłem do środka, podleciała do mnie Lacuna. Mała opancerzona elfka unosiła się w powietrzu przy mojej twarzy, a jej ciemne włosy falowały gwałtownie w podmuchach wzbudzanych przez jej własne skrzydełka.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknęła. – Nie możesz tak po prostu dać im wszystkim pizzy! Czy masz pojęcie, jak wielką krzywdę wyrządzasz? Mogłabym teraz walczyć? Proszę!

– Prr. – Odchyliłem się do tyłu i uniosłem rękę.

– Ej, ciasteczko – warknął mój brat. – Cofnij się.

– Ty nie jesteś ważny – powiedziała Lacuna do Thomasa i odwróciła się do mnie, całkowicie go ignorując. – Zapisałam wszystko tak, jak powiedziałeś, a teraz oni cali umażą się tą pizzą i w ogóle nie będą się przejmować właściwą ochroną, a ja zamierzam walczyć z nimi o pizzę.

– Po pierwsze, tej walki byś nie wygrała, a po drugie, czy coś znaleźli?

– Zapisałam to tak, jak powiedziałeś, a teraz chcę się z nimi pojedynkować.

– Żadnych pojedynków!

Skierowałem się w stronę stołu. I rzeczywiście, Lacuna narysowała staranne krzyżyki we wszystkich miejscach oznaczonych na mapie. Większość była zielona, ale dwie lokalizacje zaznaczono na czerwono. Jeden krzyżyk znajdował się obok jednego z podstawowych miejsc, które zaznaczyłem wcześniej, po tej stronie jeziora, na północ od miasta. Drugi nakreślono obok jednej z lokalizacji dodatkowych, trochę bardziej w głębi lądu i po drugiej stronie jeziora.

– Lacuno, czy byli pewni, że przygotowania do rytuału trwają w obu tych

miejskach?

– A pozostałe były czyste – odparła niecierpliwie mała elfka. – Tak, tak, tak.

– Cholera. Molly, jak stoimy z czasem?

– Mniej więcej dwadzieścia pięć minut do zachodu słońca. – Podeszła do stołu z apteczką w rękach. – Waldo, mógłbyś to obejrzeć?

– Jak tylko się upewnię, że Andi nie ma krwotoku wewnątrzczaszkowego – warknął Butters.

– Już zadzwoniłam po karetkę – odpowiedziała Molly spokojnym, twardym tonem, który niepokojąco przypominał jej matkę. – Andi umrze razem z nami wszystkimi, jeśli Harry nie powstrzyma wielkiego bum, więc podejdź tu i obejrzyj go.

Butters spojrzał na Molly z mordem w oczach. Ale później popatrzył na mnie i znów na oszołomioną Andi na fotelu. Mac ją podtrzymywał. Barman podniósł wzrok na Buttersa i skinął głową.

– Nienawidzę tego. – W głosie Buttersa brzmiała złość. Mimo wszystko podszedł do stołu, wziął apteczkę i polecił: – Spróbuj się nie ruszać, Harry.

Postawiłem stopę mocno na ziemi i stałem nieruchomo, kiedy zaczął odcinać nogawkę moich dżinsów na wysokości kolana.

– W porządku. – Karrin stała już obok mnie, a Thomas dołączył do nas po drugiej stronie stołu. – Jakies wieści od Wikingów Marcone'a?

– Ekipa uderzeniowa w gotowości – odparła Murphy – czeka na mój sygnał.

Chrząknąłem.

– Thomas?

– Oddział Lary również jest gotów.

– Butters, co mamy od Paranetu?

– Do diabła, Dresdenie. Jestem patomorfologiem, nie analitykiem wywiadu.

Trącił czymś małą ranę, a wtedy moją nogę aż do biodra przeszły rozgrzana do białości igła bólu.

– Uch. Nic?

Zaczął oczyszczać brzegi rany i to też nie było miłe.

– Kilka osób widziało Mały Ludek, w całej okolicy.

– To nie byli twoi? – spytała Murphy.

– Niektórzy pewnie tak. Ale myślę, że to reszta ekipy Ace'a.

Murphy chrząknęła.

– Myślałam, że jeniec nic ci nie chciał o nim powiedzieć.

Wzruszyłem ramionami.

– Zakładam, że wczoraj wieczorem to Ace obrzucił Munstermobil materiałami wybuchowymi, kiedy później zaatakował mnie Mały Ludek. Pojawił się zaraz po tym, jak Lacuna dopadła mnie w ogrodzie botanicznym. Później, kiedy postanowiłem odebrać jego tacie moich przyjaciół, wybuchło coś innego.

– Nauczył się bawić materiałami wybuchowymi – zauważyła Karrin.

– Tak, ale samego gościa prawie nie widziałeś – sprzeciwił się Thomas.

– To ma sens. Szczególnie jeśli jest sprytny... a jest, skoro udało mu się zebrać grupkę Małego Ludku jako sojuszników. Wie, że w uczciwej walce nie ma szans, więc trzyma się na dystans. Prawie go nie widzieliśmy, a w ciągu ostatnich szesnastu godzin trzy razy prawie udało mu się mnie zabić.

– Hm – mruknął Thomas.

– Co on ma przeciwko tobie? – spytała Molly.

– Był częścią ekipy Lily i Fixa, w czasach, kiedy byli jeszcze ludźmi. Przyjaźnili się z Aurorą i poprzednim Rycerzem Lata. Kiedy Mab wynajęła mnie, żebym odnalazł zabójcę Ronalda Reuela, Ace spiknął się z tą ghoulicą zabójczynią i Rycerzem Zimy, żeby mnie powstrzymać. Zdradził przyjaciół. Billy i jego ekipa prawie go zabili, ale pozwoliłem mu się zmyć.

– A on cię za to nienawidzi? – spytała Molly.

– Zabiłem Aurorę. Jego przyjaciółka Meryl zginęła w tej samej walce. I możecie być cholernie pewni, że od tego czasu Lily i Fix nie chcieli mieć z nim nic do czynienia. Z jego punktu widzenia zabiłem jedną z jego przyjaciółek, doprowadziłem do śmierci drugiej w bitwie i odebrałem mu tych, którzy pozostali przy życiu. A później pobiłem go na oczach taty. Gość ma ze mną na pieńku, a właściwie na całej porębie.

– Uroczy obraz – wtrącił Thomas.

Chrząknąłem.

– A co z tym twoim świrem, Butters? Jak on się tam nazywał?

– Gary.

– Gary coś jeszcze podrzucił?

– Jakies dwadzieścia kolejnych raportów, wielkimi literami, a wszystkie o łodziach, łodziach, łodziach.

Zastanowiłem się nad tym.

– Ha – powiedziałem w końcu.

– Musimy ruszać, Harry – stwierdziła Karrin.

Chrząknąłem.

– Gard wciąż ma ten śmigłowiec?

– Tak.

– W porządku. – Pokazałem palcem na lokalizację po drugiej stronie jeziora Michigan. – Lacuna, co mówili o tym?

Mała elfka wciąż krążyła w powietrzu wokół stołu, aż nosiło ją z niecierpliwości.

– Jest za dużymi kamiennymi murami na prywatnym terenie należącym do ludzi, dokładnie tam, gdzie zaznaczyłam!

Pokiwałem głową.

– Niech się tym zajmą Wikingowie. Każ im ruszać.

– Jasne.

Murphy ruszyła w stronę drzwi, po drodze sięgając po telefon.

Thomas zmarszczył czoło.

– Będziemy liczyć, że oddział Lary zapewni nam wsparcie?

– Do diabła, nie. Nie obraż się, ale nie ufam twojej siostrze. Wyślij jej ekipę do drugiej lokalizacji.

– To cholernie dziwne – mruknął Butters.

Spojrzałem na niego z góry.

– Co?

– Krwawienie nie ustępuje. To nic szczególnie niebezpiecznego, bo rana jest bardzo mała, ale krew nie chce krzepnąć. Jakby wprowadzono jakiś antykoagulant. Masz tę strzałkę?

– Strzałka? – Pomacałem się po kieszeniach. – Chyba nie. Trzymałem ją w ręku, kiedy magazyn wpadł do wody.

– Aha. Stan zapalny skóry dookoła rany. To boli?

Trącił mnie. Zabolało. Powiedziałem mu.

– Hm. Nie mogę być pewien bez testów, ale... myślę, że to może być reakcja alergiczna.

– Jakim cudem? Nie jestem na nic uczulony.

– Mówię tylko, jak to wygląda na twojej skórze. Jednak ciągle krwawienie sugeruje jakąś toksynę. Potrzebujesz szpitala, badań.

– Później. Opatrz to, żeby krew nie płynęła mi po nodze.

Butters pokiwał głową.

– Czyli jeśli ekipa Lary obstawia jedno miejsce, a Marccone’a drugie, do którego z nich udajemy się my? – spytał Thomas.

– Do żadnego.

– Co takiego?

- Nie udajemy się do żadnego.
- Dlaczego?
- Bo przez cały dzień zachowywałem się logicznie i nie przyniosło mi to nic dobrego. – Wskazałem na miejsca oznaczone na mapach. – Widzicie? To całkowicie rozsądne miejsca, w których nasz zły gość mógłby czegoś dokonać.
- Thomas podrapał się po brodzie i zmrużył oczy.
- Mają odwracać uwagę?
- Tak myślą sidhe. Tak działają. Tacy są. Naciskają, skłaniają, żeby spojrzeć w tamtą stronę, i wtedy nagle bum. Cios z zaskoczenia.
- A jeśli się spodziewają, że ty się tego spodziewasz? – spytał Thomas.
- Zamachałem rękami po obu stronach głowy, jakbym odganiał osy.
- Przestań. Jeśli się mylę, zajmą się tym zawodowi twardziele. Ale się nie mylę.
- Nie wspominałeś, że potrzebują linii mocy, żeby przeprowadzić tak wielki rytuał?
- Butters przykleił wacik do ranki i teraz zabezpieczał go bandażem.
- Tak.
- A Mały Ludek stwierdził, że wszystkie poza tymi dwoma są czyste?
- Nie. Sprawdził, że prawie wszystkie z nich są czyste. Jednego miejsca Mały Ludek nie mógł sprawdzić.
- Thomas otworzył szerzej oczy, kiedy zrozumiał.
- Łodzie.
- Tak – powiedziałem. – Łodzie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Thomas wstał, rozejrzał się po pokoju i powiedział cicho:

– Muszę zatankować. I lepiej porozmawiam z Larą o drugiej lokalizacji.

Ale jego wzrok spoczął na Justine, która siedziała przy kominku i wygrzewała się po lodowatej kąpieli. Wpatrywała się w płomienie ze spokojem na swojej ślicznej twarzy.

– Ruszaj. – Ściszyłem głos. – Zabierasz ją ze sobą?

– Żartujesz? Przez cały dzień otaczali nas źli goście. Ta kreatura zabrała ją z ulicy przed moim mieszkaniem. Nie zamierzam spuścić jej z oczu.

– Posłuchaj, jeśli zostawisz ją tutaj, budynek ma ochronę, która...

– Mój też, a Kot Sith przespacerował się obok niej, kiedy wszedł do środka. Nie spuszczę jej z oczu do czasu, gdy wszystko zostanie załatwione.

Skrzywiłem się, ale pokiwałem głową.

– Jasne. Ruszaj. Będziemy tuż za tobą.

Mój brat uniósł brew.

– Wszyscy?

– To się jeszcze zobaczy.

– Rozmawiałeś z nią?

Popatrzyłem na niego spokojnie.

– Nie. Maggie wyszła na halloweenową zabawę.

– Jasne. Ile ona ma lat? Dziewięć? Równie dobrze mogła zniknąć w Trójkącie Bermudzkim. Jak mógłbyś ją odnaleźć? Magią? – Posłał mi cierpkie spojrzenie. – A co z tą drugą?

Miał na myśli Karrin.

– Oboje byliśmy trochę zajęci. Może później.

– Później. Paskudny nawyk. Życie jest za krótkie.

– Brzmiało to prawie tak, jakbyś to ty próbował oświecić mnie w kwestii paskudnych nawyków.

– Ścieżka przesady wiedzie do pałacu mądrości. – Odwrócił się do drzwi.

Dokładnie w chwili gdy się poruszył, Justine podniosła się z fotela przy kominku

i skierowała w stronę wyjścia – mimo że nie patrzyła na niego, a on nic do niej nie powiedział. Spotkali się w połowie drogi, a ona wsunęła się pod jego ramię ruchem świadczącym o bliskości i intymności. Wyszli razem.

Mój brat, którego pocałunek był odroczonym wyrokiem śmierci, żył w stabilnym i pełnym miłości związku z dziewczyną, która szalała na jego punkcie. Natomiast ja miałem problem, by porozmawiać z kobietą, przynajmniej jeśli chodziło o cokolwiek dotyczącego związku. Biorąc pod uwagę to, że jedyne kobiety, z którymi byłem poważniej związany, odpowiednio: sfingowały własną śmierć, umarły i wyrwały się z niewolących zaklęć, by zakończyć związek, dowody empiryczne najwyraźniej wskazywały, że on wiedział coś, o czym ja nie miałem pojęcia.

Tej nocy zachowaj życie, Harry, pomyślałem. Skomplikujesz je sobie jutro.

Murphy wróciła z dwoma ratownikami medycznymi, których rozpoznawałem, Lamarem i Simmonsem. Położyli Andi na noszach, a Lamar zamrugnął na mój widok. Nie wyglądał tak młodo, jak kiedy widziałem go ostatnio – kilka pasm srebra w jego włosach wyraźnie rzucało się w oczy na tle ciemnych włosów i skóry.

– Dresden. To ty?

– Przeważnie.

– Słyszałem, że umarłeś.

– Było blisko. Nie chwyciło.

Pokręcił głową i pomógł koledze zabezpieczyć Andi na noszach. Podnieśli je i wyszli na zewnątrz, Butters truchtał obok, trzymając dłoń na ramieniu rannej.

Kiedy wyszli, zostałem w pokoju z nowicjuską, Karrin i Makiem. Myszek drzemał na podłodze przy drzwiach, ale od czasu do czasu strzygł uszami i wątpiłem, by cokolwiek przegapił.

– Molly. Czy mogłabyś poprosić Sarisnę, żeby do nas dołączyła?

Poszła do swojego pokoju i po chwili wróciła z Sarisną. Szczupła, piękna kobieta weszła do środka w milczeniu i nie patrzyła nikomu w oczy. Wzrok skupiła w pewnej odległości, jakby próbowała śledzić wszystkich obecnych widzeniem peryferyjnym.

– W porządku. Wkrótce wybije szambo. Sytuacja jest piekielnie dezorientująca, a ja mam już dość wrażenia, że nie mam pojęcia, co się dzieje. Istnieją pewne niewiadome i niektórzy z was nie mówią mi wszystkiego, ale nie zostało dość czasu, by wyciągać to z was po kolei. – Wycelowałem palec w Sarisnę. – Może rzeczywiście wszystko, co mówisz o sobie, jest całą prawdą. Może nie. Ale doszedłem do wniosku, że z dużym prawdopodobieństwem grasz ze mną w jakąś grę i nie zaryzykuję odwrócenia się do ciebie plecami, żebyś mnie w nie nie dźgnęła.

– Wszystko, co ci powiedziałam... – zaczęła Sarissa.

Machnąłem ręką.

– Nie mów. To nie przesłuchanie. To ogłoszenie publiczne. Mówię ci, jak będzie wyglądać sytuacja.

Zacisnęła wargi i odwróciła wzrok.

– Mac. Choć bardzo mnie boli, że muszę rzucać podejrzenia na mistrzowskiego twórcę najlepszego piwa w mieście... coś ukrywasz. Tamten Intruz zwrócił się do ciebie, jakby cię znał. I nie sądzę, że był fanem twojego ale. Zechcesz mi powiedzieć, kim naprawdę jesteś?

Mac milczał przez chwilę.

– Nie. To moje.

Chrząknąłem.

– Tak myślałem. Uważam za bardziej prawdopodobne, że jesteś sojusznikiem albo przynajmniej zachowujesz neutralność, niż że jesteś czyjąś wtyczką. Ale co do ciebie też nie jestem do końca pewien.

Popatrzyłem na nich oboje.

– Nie jestem pewien, czy jesteście moimi przyjaciółmi, czy wrogami, ale ktoś kiedyś wspomniał coś o tym, że trzeba trzymać ich blisko i bliżej. Dlatego, dopóki sprawy się nie ułożą, oboje macie zostać w pobliżu, żebym miał na was oko. I powinniście wiedzieć, że będę gotów wam przyłożyć, jeśli wyłapię choćby najmniejszą sugestię zdrady.

– Nie jestem... – znowu zaczęła Sarissa.

Wpatrzyłem się w nią.

Zagryzła wargi i odwróciła wzrok.

Przeniosłem spojrzenie na Maca. Nie wyglądał na zachwyconego, ale pokiwał głową.

– W porządku. Wypłyniemy na jezioro. W szafie w pokoju gościnnym jest jeszcze parę płaszczy. Lepiej weźcie sobie po jednym.

Mac przytaknął i skinieniem głowy wezwał Sarissę.

– Panienko.

Poszli do pokoju gościnnego, co oznaczało, że zostałem sam na sam z Murphy, z nowicjuską gdzieś z tyłu. Cmoknąłem, a wtedy Myszek podniósł łeb znad ziemi.

– Wyczułeś w tej dwójce coś dziwnego?

Myszek kichnął, potrząsnął łbem i znów położył go na ziemi.

Chrząknąłem.

– Pewnie nie. – Odetchnąłem głęboko. – Nowicjuszko, pora zabrać Myszka na S-P-A-C-E-R, nie sądzisz?

Myszek poderwał gwałtownie łeb.

Molly popatrzyła na mnie i Karrin i westchnęła.

– W porządku.

– Może weź też ze sobą tę dwójkę? I niech ochrona przyprowadzi samochód. Wkrótce ruszamy.

– Jasne.

Molly zabrała Maca i Sarisę, obecnie okrytych kiepsko dopasowanymi płaszczami ze sklepu z używaną odzieżą, i wyszli.

Zostałem z Karrin.

Ogień trzaskał.

– Zabrałeś Myszka – zaczęła Karrin. – Widziałeś Maggie?

– Chryste, wszyscy chcą wiedzieć o... – Pokręciłem głową. – Wyszła.

Ona pokiwała głową.

– Wysiadłeś z samochodu? A może czekałeś przy krawężniku?

Popatrzyłem na nią beznamietnie. Odpowiedziała mi miną gliniarza. Nie udało mi się jej odstraszyć od poruszania tego tematu.

– Krawężnik.

Uśmiechnęła się lekko.

– Widziałam, jak wchodzisz w miejsca, w których powinieneś zginać, ile, siedem, osiem razy? Nie wzdrygnąłeś się. A teraz kamieniejesz ze strachu?

– Nie ze strachu – odpowiedziałem tak szybko i gwałtownie, że natychmiast stało się dla mnie jasne, że to właśnie strach czułem na myśl o zbliżeniu się do Maggie.

– Pewnie.

– Posłuchaj, nie mamy czasu na...

– Mój tato często to powtarzał. „Teraz nie mogę. Zrobimy to później”. On też był zajęty. A później odszedł.

– Nie będę się teraz zajmował tą kwestią.

Karrin pokiwała głową.

– Racja. Nie teraz. Później.

– Chryste.

Spuściła wzrok na podłogę i uśmiechnęła się lekko, po czym spojrzała znów na mnie.

– Nigdy nie lubiłam wizyt u psychologa. Parę razy mnie na nie wysłali. Po tym, jak

zastrzeliłam Dentona. I tak dalej.

– I co z tego?

– Niektóre rzeczy nie mogą przez cały czas tkwić w środku. Nie, kiedy... – Rozłożyła szeroko ręce. – Harry, działasz pod wielką presją. To coś, co może... zmienić, kim jesteś. Nie mam do ciebie pretensji, że się boisz.

– Panuję nad tym całym Rycerzem Zimy.

– Rycerz Zimy, Mab, nieważne – powiedziała takim tonem, jakby to było jedno z banalnych codziennych utrapień. – Magia, z nią poradzisz sobie świetnie. Mówię o czymś realnym. Mówię o Maggie.

– Och.

– Oceniam, że zatankowanie łodzi zajmie Thomasowi co najmniej dziesięć minut. Minęło pięć od jego wyjścia. Co daje ci pięć minut bez miasta do uratowania, złych królowych i potworów. Nie masz przed sobą nikogo, kogo musisz ratować, ani żadnych praktykantów, przed którymi musisz udawać silnych.

Popatrzyłem na nią w osłupieniu i poczułem, że opadają mi ramiona. Od zbyt dawna nie spałem. Chciałem znaleźć sobie wygodne łóżko i naciągnąć koc na głowę.

– Ja nie... Czego tu właściwie szukasz? Czego ode mnie oczekujesz?

Podeszła bliżej i wzięła mnie za rękę.

– Porozmawiaj ze mną. Dlaczego nie poszedłeś zobaczyć Maggie?

Zwiesiłem głowę i pozwoliłem, by moje palce pozostały bezwładne.

– Nie mogę. Po prostu nie mogę.

– Dlaczego nie?

Próbowałem się odezwać, ale nie mogłem. Potrząsnąłem głową.

Karrin podeszła bliżej i wzięła mnie również za drugą rękę.

– Jestem tutaj.

– A co... – szepnąłem. – A co... jeśli pamięta?

– Pamięta co?

– Była tam. Była tam, kiedy poderżnąłem gardło jej matce. Nie wiem, czy była przytomna, czy widziała... ale co, jeśli tak? W mojej głowie przeżywałem to tysiące razy i gdyby na mój widok zaczęła krzyczeć albo płakać... – Wzruszyłem ramionami. – To by było... trudne.

– Wiesz, co będzie trudniejsze? – spytała cicho Karrin.

– Co?

– Niewiedza. – Łagodnie ścisnęła moje dłonie. – Pozostawienie luki w życiu tej dziewczynki. Ona jest twoją córką, Harry. Jesteś jej jedynym tatą.

– Tak, ale jeśli się pojawię i sobie mnie przypomni, nie będę jej ojcem. Będę jej ojcem potworem. Będę Darthem Dresdenem.

– Dowie się, że jest inaczej. Prędszej czy później. Jeśli spróbujesz.

– Nie rozumiesz. Nie mogę... nie mogę zrobić niczego, co by ją zraniło. Po prostu nie mogę. Ledwie znam tę dziewczynkę, ale jest moja. I wolałbym sobie połamać oba kolana patelnią niż sprawić jej odrobinę bólu.

– Ból mija. Jeśli się nad tym zastanowisz...

– Nie rozumiesz. – Prawie warczałem. – To moja krew, Karrin. Jest moja. Tu nie ma miejsca na myślenie. Jest moją córeczką. Nie zniosę widoku jej cierpienia...

Nagle przerwałem z otwartymi ustami.

Na dzwony piekieł, jak mogłem nie dostrzec tego, co próbowały mi powiedzieć Matki?

Nie mogłem znieść cierpienia swojego dziecka.

I może nie byłem jedyny.

– Na gwiazdy i kamienie. O to tu chodzi.

Karrin zamrugła kilka razy.

– Przepraszam?

Wciąż się nad tym zastanawiałem, kierując się logiką.

– Dlatego Mab wysłała mnie, żebym zabił Maeve. Nie różni się od Tytanii. Wiedziała, że trzeba to zrobić, ale...

– Ale co?

– Maeve wciąż pozostaje jej córeczką – powiedziałem cicho. – Mab nie jest człowiekiem, ale we wszystkich sidhe kryją się... pozostałości. Matka Zimy nazwała Mab romantyczką. Myślę, że właśnie dlatego. Matka Lata długo się rozwodziła nad wpływem, jaki ludzie wywarli na sidhe. O to w tym wszystkim chodzi.

– Nie rozumiem.

– Mab kocha córkę. Nie zabije Maeve, bo ją kocha. – Zaśmiałem się z goryczą. – I jest w tym pewna symetria, za którą tak szaleją fae. Zabiłem poprzednią Letnią Pannę. To stosowne, by ta sama ręka poradziła sobie z Zimową Panną.

Mój mózg poruszał się razem z ustami, na chwilę przestałem mówić, by móc sprawdzić logikę teorii, która według mojego instynktu – a może serca – była w sposób absolutnie oczywisty prawdziwa. Jeśli Mab nie zamierzała zniszczyć świata, jeśli nie została opanowana przez adwersarza, to ktoś inny mnie okłamywał. Ktoś, kto nie powinien być zdolny do kłamstwa.

– W porządku. Jeśli nie Mab, to kto zamierza przeprowadzić cały ten

apokaliptyczny magiczny rytuał?

Podążyłem tam, dokąd zaprowadziła mnie logika, i nagle zrobiło mi się zimno.

– Och. O Boże. Przez ten cały czas. – Odwróciłem się i ruszyłem w stronę drzwi. – Intruzi. W ostatecznym rozliczeniu chodzi o Intruzów. Musimy ruszać. Natychmiast.

– Harry.

Odwróciłem się w jej stronę.

– Dlaczego nie wyjaśnisz...? – Zmarszczyła czoło. – Nie ufasz mi. I dlatego zamierzasz trzymać mnie blisko jak pozostałych.

Wbiłem wzrok w podłogę.

– Nie traktuj tego osobiście. W tej chwili nie ufam sam sobie.

Pokręciła głową.

– Tak mi dziękujesz.

– Jest Halloween. Noc, kiedy wszyscy wyglądają jak ktoś, kim nie są. – Ruszyłem w stronę drzwi. – Ale ja zamierzam zacząć zrywać maski. I oboje zobaczymy, kto jest kim. Chodź.

Rozdział czterdziesty

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, porozmawiałem z Toot-tootem i zanim Munstermobil wytoczył się z parkingu, otaczała nas malutka, prawie niewidoczna eskorta. Ich zadaniem było pozbycie się wrogich malutkich obserwatorów, których mógł wysłać nasz przeciwnik, żeby mieć nas na oku. Nie sądziłem, że w ten sposób w ogóle unikniemy zainteresowania wrogiego Małego Ludku, ale każdy drobiazg, który udałoby mi się ukryć przed naszymi przeciwnikami, mógł się okazać krytyczną przewagą.

Karrin znów zobaczyła malunek na aucie, przewróciła oczami i odrzuciła moją propozycję podwiezienia. Jechała za nami na swoim harleyu. Molly zajęła miejsce pasażera i położyła plecak na kolanach. Praktykantka szczerze wierzyła w kształtowanie przyszłości poprzez noszenie wszystkich przydatnych rzeczy w plecaku. Tej nocy wyglądał na wyjątkowo wypchany.

W czasie jazdy czułem pieczenie w łydce za każdym razem, kiedy naciskałem sprzęgło albo hamulec. Stopniowo robiło się coraz bardziej dokuczliwe mimo warstw gazy, którymi Butters owinął ranę. Reszta mojej nogi też mrowiła i swędziała, ale przynajmniej krew nie przesączyła się przez bandaż.

Czym, do diabła, była ta strzałka? Dlaczego Redcap miałby ją we mnie wbić, jeśli nie wierzył, że mnie zabije?

– Ja, no... – zaczęła Molly, kiedy wjechałem cadillakiem na parking mariny. – Mam coś dla ciebie.

– Hę?

– Dziś rano kazałam im się pośpieszyć i dostawa przyszła po południu. No wiesz. I tak używałam karty Thomasa.

Zamrugalem.

– Zdefraudowałaś fundusze Białego Dworu, żeby kupić mi prezent?

– Nie nazwałabym tego defraudacją, a raczej przymusową darowizną na szlachetny cel.

– Ostrożnie. Nie chciałybyś wplątać się w sprawy Lary i jej ekipy. Nawet pożyczanie od nich pieniędzy nie jest bezpieczne.

– Nie pożyczyłam ich, szefie. Ukradłam je. Jeśli nie byli dość ostrożni, by mnie powstrzymać, to nie mój problem. Powinni bardziej uważać na to, komu wydają te karty. Poza tym mogą sobie na to pozwolić.

– A niech mnie, to roszczeniowe młode pokolenie. Dobra robota. – Znalazłem miejsce parkingowe dość duże, by zmieścić się na nim Munstermobil, zaparkowałem, zaciągnąłem ręczny i wyłączyłem silnik. – Co to?

Molly wysiadła.

– Chodź i zobacz.

Zamierzałem to zrobić, ale ona niecierpliwie obeszła auto, wychodząc mi na spotkanie, i sięgnęła do plecaka. Zamknąłem za sobą drzwi, a ona wręczyła mi owiniętą papierem i przewiązaną sznurkiem paczkę.

Otworzyłem ją – to znaczy rozszarpałem papier i zerwałem sznurek – i ujrzałem skórę.

– Du nu na na nu. – Molly zanuciła początkowy riff „Bad to the Bone”.

Z uśmiechem uniosłem długi płaszcz z ciężkiej czarnej skóry, przypominający stare płaszcze kowbojskie, jeśli pominąć pelerynę wiszącą na ramionach. Pachniał świeżą skórą i błyszczał bez żadnego otarcia.

– Gdzie, do diabła, znalazłaś płaszcz Inverness?

– W internecie. Ochroniarz Guy pomógł mi go kupić.

– Ochroniarz Guy?

– Ma na imię Guy i pracuje w ochronie budynku. Ochroniarz Guy.

– A dlaczego niby miałby to dla ciebie zrobić?

– Bo jestem ładna i być może dostał też kupon prezentowy dla siebie.

– Przypomnij mi, żebym nigdy ci nie dawał jednej z moich kart kredytowych. – Włożyłem płaszcz.

Ciężar skóry był znajomy i uspokajający, ale ten płaszcz różnił się od mojego starego. Rękawy były odrobinę dłuższe i lepiej pasowały. Był też trochę węższy w ramionach, dzięki czemu dobrze na mnie leżał. Peleryna sięgała nieco niżej. Kieszenie znajdowały się w trochę innym miejscu. Co najważniejsze, nie miał na sobie wielu warstw zakłęk ochronnych, których nałożenie zajęło mi pół tygodnia roboczego.

Ale...

Tak, uznałem. Mógłbym się do niego przyzwyczaić.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem szeroki uśmiech na twarzy mojej praktykantki.

Położyłem dłoń na jej ramieniu, uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Dzięki, Molls.

Jej oczy błyszczały.

Myszek wy dostał się z samochodu i podbiegł, żeby obwąchać płaszcz, merdał przy tym ogonem.

– Co sądzisz? – spytałem go.

– Hau – odparł poważnie.

– Uważa, że ci pasuje. – Molly się uśmiechała.

– Śmieszny kowboj na motocyklu skrzyżowany ze Scotland Yardem?

Myszek zamerdzał ogonem.

Chrząknąłem, kiedy Karrin podjechała i zaparkowała harleya spory kawał od Munstermobila, na parkingu dla motocykli. Podchodząc, obrzuciła spojrzeniem mnie, a później Molly, i skinęła dziewczynie z aprobatą.

– Wygląda znacznie lepiej.

– Czuję się w nim dobrze.

Skinąłem w stronę wody, gdzie *Chrząszcz Wodny* zbliżał się powoli do przystani. Thomas stał przy sterze i zręcznie manewrował łajbą. Pomachałem mu, a on odpowiedział uniesionym kciukiem. Łódź była gotowa.

Odwrociłem się, żeby odezwać się do pozostałych, ale zanim zdążyłem to zrobić, poczułem, że coś mnie rozprasza. Niesamowity chłodny dreszcz przebiegł mi po plecach, przez całe ciało aż do nóg. Poczulem drgnienie i chłód w rance, a ból nieco osłabł. W tej samej chwili wyczułem, że powietrze robi się o ułamek słońca chłodniejsze, czego sam z siebie nigdy bym nie zauważył.

Zachód słońca.

– To już – powiedziałem po sekundzie. – Słońce zaszło. Zaczęło się.

– A jeśli się spóźniłeś? – spytała Sarissa. – Jeśli zaczynają w tej właśnie chwili?

– W takim razie marnujemy czas na gadanie – stwierdziła Molly. – Chodźmy na łódź. – Przywołała gestem Maca i Sarissę. – Tędy, proszę.

Spojrzałem na Myszkę i wskazałem brodą na Molly. Podniósł się i poszedł za nią, tuż za naszymi dwiema niewiadomymi.

Karrin otworzyła bagażnik harleya. Zrzuciła kurtkę, założyła uprząż taktyczną i ją zatrzasnęła. Dodała do niej kilka nylonowych torebek, po czym wydobyła sportową torbę, wrzuciła do niej kilka ciężkich rzeczy, zatrzasnęła bagażnik i zamknęła go na klucz. Popatrzyła na mnie i pokiwała głową.

– Gotów?

– Brakuje mi sprzętu. Masz tam P-90?

– Nazwałam go George. Chcesz moją zapasową spluwę?
– Nie, na łodzi mam już najdoskonalszy sprzęt do zabijania, jaki mógł zaoferować rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty szósty. Cieszę się, że nie nazwałam go George. To by było dość krępujące.

– George’owi nie brakuje wiary w siebie.

– A co z... ach...?

– Mieczami?

– Mieczami.

– Nie.

– Dlaczego nie?

Karrin zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

– To... nie jest ich walka.

– To nie ma sensu.

– Trzymałam jeden w ręku. I dla mnie to ma mnóstwo sensu. Gdybyśmy użyli ich tej nocy, byłyby narażone na niebezpieczeństwo. Nie.

– Ale... – zacząłem.

– Harry. Pamiętasz, kiedy ostatnio Miecze trafiły na wyspę? Kiedy byli tam ich rzeczywiści przeciwnicy? Pamiętasz, jak się to skończyło?

Mój najlepszy przyjaciel, ojciec Molly, został posiekany kulami jak znak ograniczenia prędkości w Tennessee. Miecze miały cel i dopóki się go trzymały, były niezniszczalne, a dzierżący je mężczyźni i kobiety byli aniołami zemsty. Ale jeśli odeszły od swojej misji, zwykle działy się złe rzeczy.

– Zaufaj mi – powiedziała cicho Karrin. – Wiem, że to nie ma sensu. Wiara czasem taka jest. To nie jest ich walka. Jest nasza.

Warknąłem.

– W porządku. Ale powiedz Wszechmocnemu, że przegapił szansę, żeby zaangażować się w coś wielkiego na samym początku.

Murphy uderzyła mnie w pierś, ale delikatnie i z uśmiechem. Odwróciliśmy się w stronę nabrzeża i ruszyliśmy za Molly i pozostałymi. Miałem właśnie wejść na pomost, kiedy coś usłyszałem. Zatrzymałem się i odwróciłem.

Na początku było ciche i odległe, melodyjne wezwanie dobiegające z daleka. Przez chwilę wisiało wśród zmierzchu jak padlinożerny ptak nad umierającą ofiarą, a później przycichło.

Wiatr zaczął przybierać na sile.

Dźwięk znów się rozległ, bliżej, a mnie włosy stanęły dęba. Nad nami zadudnił

grom. Deszcz, przez większość dnia słaba mżawka, zaczął padać na poważnie.

I znów zabrzmiał róg myśliwski.

Moje serce przyśpieszyło, przełknąłem ślinę. Usłyszałem kroki i po chwili stanął obok mnie Thomas. Patrzył w tę samą stronę, co ja. Bez słowa podał mi winchester i pas z amunicją.

– Czy to...?

– Aha – odparł chrapliwie.

– Do diabła. Jak szybko?

– Szybko? Przejedzie przez samo centrum.

– Kurwa – zakląłem.

Karrin uniosła obie dłonie.

– Zaraz, zaraz, panowie. Co się, do diabła, dzieje?

– Nadchodzi Dzikie Gon. – Zaschło mi w gardle. – Ja, no... jakiś czas temu tak jakby wkurzyłem Króla Goblinów. A on nie jest z tych, którzy zapominają takie rzeczy.

– Król Goblinów? – powtórzyła Karrin. – A kto tu wcześniej narzekał na brak sensu?

– To potężny elfi lord – wyjaśnił Thomas. – Jeden z przywódców Dzikiego Gonu. Kiedy Gon przybywa do prawdziwego świata, zaczyna polować i nie przestaje. Można do niego dołączyć, ukryć się przed nim albo zginąć.

– Chwileczkę. Harry, oni polują na ciebie?

Moje serce biło coraz szybciej, wpychając krew do mięśni, przygotowując ciało do biegu. Utrudniało mi to myślenie i odpowiedzenie na jej pytanie.

– Mhm. Ja chyba... chyba wyczuwam ich nadejście. – Spojrzałem na Thomasa. – Woda?

– Przebiegną po niej, jakby była twardym gruntem.

– Skąd to wiesz? – spytała Karrin.

– Ja dołączyłem. Harry, Justine.

Zacisnąłem palce na ciężkim karabinie.

– Wsiadaj na łódź i płyncie.

– Nie zostawię cię.

– Ależ tak właśnie zrobisz. Raith i Marccone zajęli się pozostałymi dwiema lokalizacjami, ale my jako jedyni możemy dotrzeć na Demonreach. Jeśli spierdolimy robotę i rytuał się odbędzie, wszyscy jesteśmy w czarnej dupie. Jeśli popłynę z wami, Gon podąży za mną, a później wszystkimi w pobliżu. Nie uda nam się przeprowadzić ataku, jeśli będą nam deptać po piętach.

Mój brat zazgrzytał zębami i potrząsnął głową.

– Chodźmy, Harry – powiedziała Karrin. – Jeśli podążą za nami nad jeziorem, zaatakujemy ich.

– Nie można ich zaatakować – odparłem cicho. – Gon to nie potwór, którego można zastrzelić. To nie istota, z którą można się zewrzeć, albo najemnik, którego da się przekupić. To siła natury, o czerwonych kłach i szponach. Zabija. To właśnie robi.

– Ale... – zaczęła mówić Karrin.

– On ma rację. – Głos Thomasa brzmiał chrapliwie. – Do diabła. On ma rację.

– To szachy – stwierdziłem. – Przez ten rytuał na wyspie zostaliśmy zaszachowani. Nie mamy wyboru, jak tylko powstrzymać go wszystkim, czym dysponujemy. Jeśli oznacza to poświęcenie piona, tak się musi stać.

Położyłem dłoń na ramieniu brata.

– Ruszaj. Zrób to.

Na chwilę położył swoją chłodną, silną dłoń na mojej. Później odwrócił się i pobiegł do łodzi.

Karrin wpatrywała się we mnie przez chwilę, deszcz przylepiał jej włosy do głowy. Twarz miała wykrzywioną z bólu.

– Harry, proszę. – Przełknęła ślinę. – Nie mogę cię zostawić. Nie po raz drugi.

– W tym mieście jest osiem milionów ludzi. I jeśli nie powstrzymamy rytuału, ci ludzie umrą.

Wyraz twarzy Karrin się zmienił – z bólu przeszedł we wstrząs, ze wstrząsu w przerażenie, a z przerażenia w świadomość. Wydała z siebie zduszony odgłos i pochyliła głowę, odwracając twarz ode mnie. Później odwróciła się w stronę łodzi.

Patrzyłem na nią jeszcze przez sekundę. Następnie, gdy róg Dzikiego Gonu rozległ się bliżej, pobiegłem do Munstermobila. Wepchnąłem kluczyk do zamka w drzwiach i...

I nie pasował.

Znów spróbowałem. To samo. Na wpół spanikowany sprawdziłem wszystkie pozostałe, ale każdy był popsuty. Zamierzałem wybić okno, ale najpierw zajrzałem przez nie i przyjrzałem się stacyjce. Zapchana czymś, co wyglądało jak guma do żucia. Munstermobil...

Padł ofiarą sabotażu. Z wykorzystaniem gumy i kleju. Toot i jego kumple więcej niż raz zastosowali tę sztuczkę wobec innych. A teraz zrobiono mi to w najgorszym możliwym momencie.

– Auuu! – wrzasnąłem. – Nienawidzę ironicznego odwrócenia sytuacji!

Gwardia Pana Pi eskortowała nas po drodze, ale nie wspomniałem, że mają

pozostać na stanowisku, kiedy dotrzemy do celu. Biorąc pod uwagę odległość, jaką kazałem im dziś przebyć, pewnie padli wyczerpani w chwili, kiedy zaciągnąłem ręczny.

Grzmot zadudnił bliżej, przepęłniła mnie panika, a ranna noga piekła tak, jakby zaraz miała stanąć w płomieniach.

Moja noga.

Przerażony otworzyłem szerzej oczy. Redcap zabił mnie w tej zasadzce, co jednak uświadomiłem sobie dopiero teraz. Strużka krwi płynąca miarowo z tej ranki pozostawi za mną silny ślad zapachowy i psychiczny. Wyśledzenie mnie będzie łatwiejsze niż gwizdnięcie.

Mogłem uciekać, ale nie mogłem się ukryć.

Zadudnił grom i zobaczyłem skupisko niewyraźnych postaci opadające zza chmur w światła Chicago. Mogłem uciec, ale Gon poruszał się szybko jak samochody na autostradzie. Nie udało mi się nawet znacząco opóźnić nieuniknionego. Cieniste ogary biegły w moją stronę z północy wzdłuż brzegu jeziora, a za nimi podążała niewyraźna gromada konnych, niosących łuki, włócznie i wszelkiego rodzaju długie ostrza.

Nie mogłem pokonać Gonu. Nawet ze sterydami Mab w żyłach...

Ale może...

I wtedy rozległ się inny ryk – tym razem nie gromu, ale stu czterdziestu koni amerykańskiej produkcji.

Motocykl Karrin Murphy zatrzymał się na tyle blisko mnie, że żwir obsypał mi buty, a kiedy się odwróciłem, Murphy przygazowała silnik.

– Karrin, co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Wskakuj na moto, suczko! – zawołała ponad kolejnym rykiem rogu. – Zmusimy ich, żeby się napracowali!

Uśmiechnęła się szeroko, zajadle, a ja odkryłem, że moja własna twarz bierze z niej przykład.

– Sie wie!

I wskoczyłem na harleya, a moje miasto otaczały ciemność, śmierć i ogień.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Przerzuciłem pas z nabojami przez ramię i pośpiesznie zagarnąłem połę płaszcza, by nie wkręciła się w tylne koło motocykla, doprowadzając mnie do nagłej śmierci. Prawie spadłem, kiedy Karrin dodała gazu, ale udało mi się objąć ją w pasie ręką, którą trzymałem broń.

Karrin spiorunowała mnie wzrokiem, wyrwała mi karabin i wsunęła go do małego uchwytu z boku harleya, do którego podejrzenie dobrze pasował. Wolną ręką trzymałem się Murphy, a drugą pilnowałem, żeby płaszcz mnie nie zabił.

– Dokąd?! – krzyknęła do mnie.

– Na południe! Jak najszybciej!

Gwałtownie opuściła jedną nogę na coś i przekręciła nadgarstek, a wtedy harley, który do tej pory jechał pięćdziesiątką, wyskoczył do przodu, jakby wcześniej wcale się nie poruszał.

Obejrzałem się przez ramię i odkryłem, że najbliższe fragmenty Gonu zaczynają powoli się oddalać. Pewnie Dziki Gon nawet nie słyszał o Harleyu-Davidsonie.

Ale nie mogła utrzymać takiej prędkości, nawet na szerokiej chicagowskiej ulicy w chłodny deszczowy dzień. W okolicy znajdowało się po prostu zbyt wiele ludzi, co zmuszało ją do lawirowania między samochodami, i musiała zwolnić, żebyśmy nie rozpłaszczyli się na rodzinnym sedanie. Kiedy prześlizgiwała się z pasa na pas, zabrzmiało oburzone trąbienie, stanowiące nieprzyjemny kontrast dla rogów Dzikiego Gonu.

– Jak nam idzie?! – zawołała.

Obejrzałem się za siebie. Dziki Gon znajdował się w odległości niecałych stu jardów – a oni nie musieli się borykać z ruchem ulicznym. Dranie pędzili pięćdziesiąt stóp nad przekłętą ziemią, w ciemności i deszczu, niewidzialni dla przeważającej większości ludzi zajmujących się swoimi codziennymi sprawami.

– Oszukują! Jedź szybciej! Kieruj się w stronę dzielnicy Bush!

Karrin odwróciła głowę na tyle, że mogła mnie zobaczyć kątem oka.

– Masz jakiś plan?

– To nie jest zbyt dobry plan! – odkrzyknąłem. – Ale potrzebuję do niego otwartej

przestrzeni, z dala od ludzi!

– W Chicago? – Otworzyła szerzej oczy. – Stalownie?

– Jedź!

Karrin przeskoczyła na czerwonym, ledwie mijając skręcające w lewo auto, i dalej pędziła Lake Shore Drive.

Chicago to miasto o ogromnych potrzebach. We wczesnym okresie istnienia kolonii konieczność rozlokowania wojska sprawiła, że wybudowano forty, które z kolei zapewniły bezpieczeństwo osadnikom, kupcom i misjonarzom. Ci budowali domy, kościoły i warsztaty, które w swoim czasie stworzyły miasteczko, a później miasto. Umieszczenie Chicago na wielkim skrzyżowaniu dróg rodzącego się amerykańskiego narodu oznaczało, że przybywali kolejni ludzie, którzy budowali kolejne domy, warsztaty, a w końcu przemysł ciężki.

Pod koniec dziewiętnastego wieku Chicago było kwitnącym miastem przemysłowym – a jego stalownie stały się wręcz legendarne. U.S. Steel, Youngstown Steel, Wisconsin Steel, Republic Steel, wszystkie rozkwitały i wyrastały na brzegach jeziora Michigan, w pobliżu Calumet City. Nabrzeże w całej okolicy ukształtowano na potrzeby stalowni, a wiele stali, która wspomagała wysiłek wojenny aliantów w czasie dwóch wojen światowych, wyprodukowano w tej względnie niewielkiej części miasta.

Ale wszystko w końcu zanika. Amerykański przemysł stalowy podupadł i zaczął się kurczyć, aż pod koniec dwudziestego wieku tym, co pozostało z centrum produkcji wyrobów żelaznych, były walące się budynki na brzegu jeziora Michigan i spora przestrzeń industrialnego pustkowia. Dziesięć lat później miasto podjęło próbę oczyszczenia okolicy, większość budynków i konstrukcji została wyburzona – ale gdzieś tam pozostały kamienne i betonowe ruiny, jak kości wielkiej bestii, ogryzione do czysta przez padlinożerców. Podczas, gdy otaczające je miasto rozkwitało, w tej okolicy rosło niewiele – jedynie chwasty i wartość nieruchomości.

Ta część nabrzeża miała zostać zrewitalizowana, ale jeszcze do tego nie doszło i obecnie było to zrujnowane pustkowie, płaska, ciemna, pusta i wymarła połać równej ziemi, upstrzona samotnymi pamiątkami dawnej wielkości. Nie było tam schronienia przed deszczem i zimnem, więc w tak paskudną noc nikt nie powinien się kręcić w okolicy.

Muzeum Nauki i Przemysłu mignęło po prawej, później przeskoczyliśmy mostem nad przystanią jachtów przy Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy i wjechaliśmy na odcinek drogi oddalony nieco od najbliższych budynków – a zimny jesienny wieczór nie zachęcał pieszych do spacerów.

Dziki Gon jakby czekał na szansę oddalenia się od zbyt wielu wścibskich spojrzeń, bo opadł na nas jak sokół nurkujący w stronę królika.

Ale nie atakowali królika. Atakowali kłólika. Stłasnego kłólika. Stłasnego kłólika z winchesterem.

Coś, co wyglądało jak wielki, wychudzony ogar stworzony z dymu i popiołu, ze świecącymi węgielkami zamiast oczu, uderzyło w ziemię tuż za harleyem i zaczęło biec, dotrzymując nam kroku. Stwór skoczył, otwierając szeroko ciemną paszczę, by złapać za tylną oponę – tym samym ruchem, jakim mógłby próbować przeciąć ścięgna uciekającemu jeleniowi. Moją głowę wypełniało bezmyślne zwierzęce przerażenie, ale utrzymywałem je z dala od jądra swoich myśli i zmuszałem się do skupienia, myślenia, działania.

Kiedy stwór się zbliżył, widziałem, jak Karrin przenosi wzrok na lusterko wsteczne, a jej ciało naprężyło się, gdy przygotowała się do nagłego uniku w lewo. Zebrałem wolę, ale zczekałem z jej wyzwoleniem, a kiedy popielny ogar znalazł się w odległości kilku cali od opony, Karrin pochyliła się i skręciła w lewo. Zęby stwora zacisnęły się na spalinach, a ja wypuściłem wolę z wyciągniętej prawej ręki i warknąłem:

– *Forzare!*

Moc trzasnęła popielnego ogara nisko w przednie łapy i głowa bestii uderzyła w beton z morderczą szybkością – dosłownie. Rozległ się koszmarny trzask i bezwładne ciało popielnego ogara przekoziółkowało kilkadziesiąt stóp w powietrzu, zanim wylądowało, a przez cały czas wypływały z niego ciemne smużki.

To, co opadło bezwładnie na drogę, nie było psem ani innym psowatym. Był to młody mężczyzna – człowiek w czarnej koszulce i podartych dżinsach. Ledwie to do mnie dotarło, zanim ciało przekoziółkowało i zniknęło mi z oczu.

– Dobra robota!

Karrin uśmiechała się z satysfakcją. Kierowała. Nie widziała, co znajdowało się pod powłoką ogara.

Czyli tak można było dołączyć do Dzikiego Gonu. To była maska – potężna, mroczna, przerażająca maskarada.

A ja właśnie zabiłem człowieka.

Nie miałem czasu się tym zadrećzać. Karrin dodała gazu i harley skoczył do przodu, pędząc pasem lądu dzielącym przystań Jackson Harbor na dwie części. Po obu stronach drogi opadło dwóch jeźdźców, kopyta ich rumaków uderzały w powietrze na wysokości pięciu stóp. Podobnie jak popielnego ogara, konie

i jeźdźców otaczała dymna ciemność, wśród której płonął bursztynowy ogień ich oczu.

Karrin zobaczyła tego po prawej i próbowała znów skrócić w lewo – ale drugi jeździec przybliżył się, kopyta ciemnego konia niemal uderzyły nas w głowy, a wtedy Karrin zachwiała się i dodała gazu.

Zrozumiałem taktykę drugiego łowcy. Pierwszy zmusił nas, żebyśmy zbliżyli się do drugiego. Prowadzili nas między sobą, próbowali sprawić, byśmy wpadli w panikę i nie myśleli o niczym poza jazdą prosto przed siebie – równo, gładko i przewidywalnie.

Drugi jeździec uniósł rękę, trzymał w niej mroczny kształt włóczni. Rzucił nią przed siebie, idealnie celując. Wyciągnąłem lewą rękę, stawiając tarczę. Skutki były różne. Włócznia uderzyła w tarczę i przeleciała przez nią, po drodze niszcząc moją magię – ale zamiast trafić mnie w twarz, została odchylona na tyle, że grot prześlizgnął się po moim karku, pozostawiając za sobą piekącą linię.

Adrenalina płynęła i ból nie miał znaczenia. Do diabła, nie miałyby nawet znaczenia, gdyby grot przeciął mi tętnicę – gdyby tak się stało, i tak nie mógłbym się zatrzymać, żeby opatrzyć rany. Przekręciłem się, żeby rzucić kolejny pocisk mocy w jeźdźca, ale on uniósł rękę i wydał z siebie niepokojący wrzask, a mój atak został rozproszony, był co najwyżej pewną drobną niedogodnością. Koń trochę zwolnił, ale jeździec wbił czarne ostrogi w jego boki i zwierzę natychmiast przyśpieszyło.

Co za zaskoczenie, magia nie była wielkim zagrożeniem dla Łowców.

Rozwiązanie: winchester.

Wyciągnąłem karabin z uchwytu na harleyu. Trzymając go jedną ręką, kciukiem odwiodłem kurek, a kiedy obróciłem się w pasie, żeby wycelować w jeźdźca, lewą ręką złapałem za drewnianą okładzinę kolby. Nie miałem czasu wycelować i może przyniosłoby to efekt odwrotny do zamierzonego, biorąc pod uwagę naszą prędkość, niezwykłość pogoni, ciemność i deszcz. Poza tym żadna ze mnie Annie Oakley. Dlatego po prostu wystrzeliłem.

Karabin zadudnił, a z ramienia, szyi i brody jeźdźca poleciała chmura zdezintegrowanego cienia. Dostrzegłem pancierz pod maską i część twarzy i z przerażeniem zorientowałem się, że właśnie wpakowałem kulkę w Króla Goblinów.

Chwilę później uświadomiłem sobie z nagłym przypiływem żarliwej nadziei, że właśnie wpakowałem kulkę w Króla Goblinów w Halloween.

Król Goblinów zakołysał się w siodle, a jego koń zwolnił, skręcił w bok i znów nabrał wysokości. Przeładowałem, złapałem broń jak pistolet i przekręciłem ją nad

pochyloną głową Karrin, by wycelować jedną ręką w jeźdźca po prawej, który właśnie w tej chwili zbliżał się z uniesioną włócznią.

Znów wystrzeliłem bez większego celowania. Nie trafiłem go, ale dudnienie broni zabrzmiało w chwili gdy rzucał włócznią. Jeźdźcem nie wstrząsnąłem, jednak ognistooki koń wzdrygnął się i włócznia poleciała w bok. Jeźdźca to nie zniechęciło. Najpierw zapanował nad wierzchowcem, a później wydał z siebie dziwny, bełkotliwy wrzask, i z pochwy u boku wyciągnął długi miecz o ciemnym ostrzu. Znów zaczął się przybliżać.

Siedząc za plecami Karrin, nie mogłem szybko przeładować karabinu. Ten numer Johna Wayne'a, kręcenie strzelbą, żeby odwieść kurek? Pomaga, jeśli ma się jedną z tych powiększonych, zaokrąglonych dźwigni, a mój miał ten mniejszy, tradycyjny prostokąt. Pomaga też, jeśli jest się Johnem Wayne'em. Musiałem unieść broń do piersi i przytrzymać ją lewą ręką, żeby mi się udało. Jeździec skierował się w naszą stronę, a ja znów strzeliłem – i spudłowałem, kiedy jego wierzchowiec zrobił zwód i gwałtownie zmienił prędkość. Przez krótką chwilę pozostał z tyłu, po czym znów się przybliżył.

Powtórzyłem ten cykl trzy razy, zanim się zorientowałem, że jeździec mnie podpuszcza. Szanował karabin, ale znał jego słabość – mnie. Nie unikał kul – unikał mnie, podpuszczał, żebym oddawał strzały, które nie miały wielkiej szansy na trafienie, by skłonić mnie do zużycia amunicji.

A przez ten cały czas reszta Gonu dotrzymywała nam kroku – dziesiątki jeźdźców takich jak on, do tego może dwa razy więcej cienistych ogarów, wszyscy trzymali się w odległości około stu pięćdziesięciu stóp i na pewnej wysokości – dwaj pierwsi myśliwi mieli zaszczyt podjąć pierwszą próbę, gdy oni się powstrzymywali.

– Jego koń! – krzyknęła Karrin. – Strzel do konia!

Zazgrzytałem zębami. Nie chciałem tego zrobić. Równie dobrze mógł to być jedynie kostium konia – pod tą cienistą zewnętrzną skorupą mogła się ukrywać inna istota ludzka.

Jeździec znów wrzasnął, dźwięk był dziwnie znajomy i absolutnie wywołujący dreszcze. Zbliżał się do nas raz za razem, a ja wciąż go powstrzymywałem, kiedy pędziliśmy szaleńczo przez deszczową noc, wymieniając kule na czas.

– Tam! – krzyknąłem nagle, wskazując na lewo. – Tam! Ściany!

Dotarliśmy na teren dawnych stalowni.

Karrin dodała gazu i wyjechała harleyem na otwartą przestrzeń, pędząc gorączkowo w stronę jednej z nielicznych pozostałych budowli – trzech betonowych

ścian wysokich na jakieś trzydzieści, może czterdzieści stóp, biegnących równoległe do siebie przez dobre ćwierć mili – ostatnie pozostałości U.S. Steel.

Kiedy kopyta koni zaczęły uderzać w ziemię, z każdym krokiem otaczały je chmury srebrnych iskier. Ciemny koń zawył z bólu, a ja wydałem z siebie wyzywający okrzyk – po stu latach działania stalowni, w ziemi, na której stały, musiały się znajdować całkiem poważne pozostałości stali i żelaza – a mocy, która wypełniała Dziki Gon, nie odpowiadało to tak samo jak innym istotom z Faerie.

– Między ściany! – krzyknąłem. – Ruchy!

– To szaleństwo!

– Wiem!

Ominęła harleyem stertę gruzu i wjechała w gęste cienie między dwiema ze ścian, a jeździec był tuż za nami.

– Bliżej! – wrzasnąłem. – Przyprzyj go do ściany!

– Dlaczego!

Ćwierć mili mija szybko, kiedy pędzi się na ryczącym harleyu – a przed nami była jedynie zimna woda jeziora Michigan.

– Pośpiesz się!

Harley gwałtownie zwolnił i skręcił w lewo.

Nagle znaleźliśmy się na wysokości jeźdźca. Choć ciemność otaczająca jego twarz ukrywała jej wyraz, jego mowa ciała świadczyła o wstrząsie.

A teraz zaczyna się niebezpieczna część, pomyślałem. Co sprawiło, że zacząłem chichotać. Teraz robiło się niebezpiecznie.

Zanim jeździec zdążył zmienić prędkość lub wznieść się wyżej, i póki harley wciąż był przechylony w jego stronę, podniosłem lewą stopę na siedzenie i skoczyłem na jeźdźca, wciąż trzymając jedną ręką rozładowany winchester.

Uderzyłem w niego, ale kimkolwiek był, był silny. Miałem do dyspozycji moc Rycerza Zimy, jednak w porównaniu z siłą jeźdźca moja była siłą dziecka. Pchnąłem mnie wyprostowanym ramieniem i niemal przekoziółkowałem – ale złapałem go za rękaw i kiedy upadł, po prostu się trzymałem. To wszystko zmieniło. Nie była to już kwestia siły przeciwko sile, lecz masy i punktu podparcia przeciwko mięśniom – i mięśnie przegrały. Ściągnąłem jeźdźca z siodła i obaj z dużą prędkością uderzyliśmy w ziemię.

Impet sprawił, że moja ręka oderwała się od jego ramienia i pamiętam, że próbowałem osłonić głowę. Winchester też gdzieś poleciał. Widziałem, jak jeździec koziółkuje, otaczająca go cienista maska emanowała srebrnym płomieniem.

Przestałem koziołkować wiele stóp dalej i podniosłem się gorączkowo. Dostrzegłem winchester leżący w odległości kilkanastu stóp i skoczyłem w jego stronę.

Chwyciłem broń, ale nim zdążyłem ją załadować, usłyszałem kroki i obróciłem się, unosząc karabin nad głowę, równoległe do ziemi. Najwyższa pora. Poczułem moc potężnego ciosu, a miecz zadźwiewał o stal ośmiokątnej lufy winchestera.

Kringle szybko wrócił do siebie. Wciąż otaczały go resztki cienistej maski, ale nadal miał na sobie pancerz, krwistoczerwony płaszcz i kaptur lamowany białym futrem. Jego miecz był srebrzysty i pozbawiony ozdób, zadał nim serię szybkich ciosów. Parowałem je gorączkowo winchesterem, ale wiedziałem dość o walce, by zrozumieć, że mnie przewyższa. Mogłem się spodziewać, że w ciągu kilku sekund wbije we mnie ten miecz.

Dlatego uchyliłem się, odskoczyłem przed cięciem zza głowy i uniosłem karabin do ramienia, jakbym zamierzał strzelić.

To go powstrzymało, zmusiło do ustawienia się bokiem, żeby uniknąć hipotetycznej kuli – a kiedy to zrobił, wypełniłem całą swoją wolą pocisk magicznej energii.

– *Forzare!*

Kringle odsunął się na bok, niezwykle zwinnie jak na kogoś o takich rozmiarach, i cios całkowicie go ominął.

Nie ominął jednak podstawy zrujnowanej ściany za jego plecami.

Co najmniej parę ton starego betonu zawałiło się z rykiem. Kringle był szybki i zręczny, ale nie doskonały. Nie dał się zmiażdżyć, lecz kilka dużych odłamków otarło się o niego i sprawiło, że się zatoczył.

Wydałem z siebie pierwotny ryk i rzuciłem się na niego. Uderzyłem go w ramiona, a on był zbyt wytracony z równowagi, żeby wykorzystać miecz. Obaj przewróciliśmy się na ziemię, ale ja wylądowałem na górze, klęcząc na nim, i ścisnąłem stalową lufę winchestera obiema rękami jak maczugę.

Kringle znieruchomiał, patrząc na mnie, a ja nagle uświadomiłem sobie, że zapanowała całkowita cisza. Rozejrzałem się dookoła. Otoczył nas Dziki Gon, konie się zatrzymały, a jeźdźcy wpatrywali w nas z uwagą. Ogary kręciły się nerwowo wokół końskich nóg, ale nie podchodziły bliżej. Król Goblinów też tam był, jego cienista maska była poszarpana, a widoczny pancerz na jego ramieniu plamiła zielonkawa krew. Jego prawa ręka wisiała bezwładnie. Odwróciłem się do Kringle'a.

– Dołącz, ukryj się albo zgiń – warknąłem. – Takie są możliwości, kiedy przychodzi po kogoś Dziki Gon.

Kringle zmrużył oczy.

– Wszyscy wiedzą, że to prawda.

– Nie, już nie. – Podniosłem się powoli i równie powoli opuściłem karabin. Wyciągnąłem rękę do Kringle'a. – Tej nocy Dziki Gon dołącza do mnie. – Przesunąłem wzrokiem po milczącym zgromadzeniu, wypełniając go całą stałą i zdecydowaniem, jakie miałem do dyspozycji. – Właśnie posłałem Króla Goblinów na ławkę i znokautowałem cholernego Świętego Mikołaja. Powiedzcie mi więc, kto następny? Kto przyniesie koniec Rycerzowi Zimy, członkowi Zimowego Dworu i wybrańcowi Mab? Kto jest na szczycie tego łańcucha pokarmowego? Bo dziś w nocy jest Halloween i nie boję się żadnego z was.

Ogniste oczy patrzyły na mnie ze wszystkich stron i nic się nie poruszało.

I wtedy z gardła Kringle'a dobył się dudniący śmiech, pulsujący odgłos głębokiej i serdecznej wesołości. Jedna z jego potężnych dłoni zacisnęła się na mojej i pomogłem mu się podnieść. Obejrzałem się przez ramię na Króla Goblinów. Nie widziałem jego twarzy, ale pochylił głowę w moją stronę, bardzo lekko. W sposobie, w jaki to zrobił, było coś ironicznego i wyczuwałem swego rodzaju ciche rozbawienie.

Rozległo się niskie dudnienie, kiedy harley zbliżał się powoli w naszą stronę. Karrin wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w scenę i zatrzymała motocykl obok mnie.

– Harry? Co tu się wydarzyło?

– Zmiana przywództwa.

Przerzuciłem nogę przez harleya, żeby usiąść za nią. W chwili gdy to robiłem, cienie zaczęły kłębić się i wirować. Wspięły się po nogach Kringle'a, odtwarzając maskę – a jednocześnie powoli wpełzały na motocykl i dwoje ludzi, którzy na nim siedzieli.

Wrażenie było dziwaczne. Cała moja fizyczna percepcja nagle się wyostrzyła i postrzegałem świat wokół siebie z doskonałą klarownością. Wyczuwałem innych członków Gonu, wiedziałem doskonale, gdzie się znajdowali i co robili, dzięki czystemu instynktowi – instynktowi, który kierował również nimi. Noc się rozjaśniła i przypominała srebrzystą krainę czarów, która pozostawała nocą, choć jednocześnie było jasno jak w samo południe w słoneczny dzień. Cieniste maski stały się lekko przezroczyste i wiedziałem, że gdybym przyjrzał się uważniej, mógłbym zobaczyć, co się za nimi kryje. Nie przyglądałem się. Miałem przeczucie, że nie chcę wiedzieć, co znajduje się za tymi cieniami.

Karrin nerwowo przygazowała – ale zamiast ryku harley wydał z siebie pierwotny

wrzask. Okrzyk ten został w jednej chwili podjęty przez wszystkich członków Gonu. Kringle, który odzyskał już cienistą maskę, wrócił na grzbiet wierzchowca i zwrócił go w moją stronę.

– Panie Rycerzu – Kringle lekko pochylił głowę w moją stronę – jaka zdobycz sprawi ci przyjemność w ten piękny burzowy wieczór?

Naładowałem winchester nabojami z pasa z amunicją. Potem wprowadziłem nabój do lufy, załadowałem kolejny do magazynka rurowego i z trzaskiem zamknąłem okno ładowania. Poczułem, że na moich wargach pojawia się wilczy uśmiech.

– Dziś w nocy? – Podniosłem głos, by zwrócić się do nich wszystkich. – Dziś w nocy polujemy na Intruzów!

Krwiożerczy wrzask, który wzniósł się nad Dzikim Gonem, był ogłuszający.

Rozdział czterdziesty drugi

– Ciszej! – krzyknąłem. – Będziemy cicho, dopóki nie dotrzemy do celu.

Gon uciszył się, choć nie od razu. Karrin dodała gazu, a harley nie wydał przy tym absolutnie żadnego odgłosu. Czułem wibracje zwiększonych obrotów, ale nie przekładały się na dźwięk. Cienie wokół motocykla poruszyły się i zafalowały, a po sekundzie uświadomiłem sobie, że przybrały kształt – olbrzymiego czarnego kota, muskularnego i masywnego, jak jaguar. To mnie oszołomiło. Magia nie była jakąś na wpół świadomą mocą, która robiła rzeczy z własnej woli. Nie była bardziej twórcza od elektryczności.

– W porządku – zwróciłem się do Karrin. – Ruszajmy.

– Uch – odezwała się, nie odwracając głowy w moją stronę – dokąd?

– Na wyspę.

– Harry, to motocykl.

– Zadziała. Popatrz na niego.

Karrin wzdrygnęła się, kiedy zauważyła wygląd harleya.

– Chcesz, żebym wjechała do jeziora.

– Musisz przyznać, że nie jest to najbardziej szalona rzecz, o jaką cię poprosiłem.

Nie jest nawet najbardziej szaloną rzeczą, o jaką poprosiłem cię dziś wieczorem.

Rozważała to przez sekundę, po czym stwierdziła:

– Masz rację. Ruszajmy.

Wrzuciła bieg i popędziliśmy w stronę jeziora, pozostawiając za sobą ślad, pióropusz ziemi i żwiru. Stalownie w swoim czasie wysyłały część produkcji drogą wodną i równy teren pozostały po zabudowaniach sięgał aż do brzegu jeziora, gdzie urywał się gwałtownie. Powierzchnia wody znajdowała się jakieś cztery albo pięć stóp niżej.

Karrin dodała gazu i błyskawicznie przejechała ostatnie dwieście jardów. Moment obrotowy silnika tego harleya był niesamowity, a jego ryk zbyt głośny, by powstrzymała go w całości maska cienia, więc wydobywał się z pyska cienistego tygrysa jako głębokie warczenie. Karrin wydała z siebie okrzyk, składający się w dwóch trzecich z ekscytacji, a w jednej trzeciej z przerażenia, i przelecieliśmy

dwadzieścia stóp, zanim koła uderzyły o powierzchnię jeziora – i utrzymały się na niej.

Motocykl podskoczył parę razy, ale mocno trzymałem Karrin i nie zleciałem. Było to jednak interesujące pytanie – czy gdyby tak się stało, woda by mnie podtrzymała, jak niekończące się pole asfaltu? Czy też zachowałaby się zwyczajnie?

Cały Gon podążał za nami, milczący poza niskim dudnieniem kopyt i dyszeniem ogarów – kiedy nagle srebrzyste światło gwiazd zmieniło odcień na jaskrawo lazuruowy.

– A niech mnie! – powiedziała Karrin. – Ty to zrobiłeś?

– Nie sądzę.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem jadących za mną Kringle'a i Króla Goblinów. Skinąłem głową, przywołując ich do siebie, a oni uprzejmie podjechali z obu stron do harleyotygrysa.

– Co to? – Wskazałem na niebo.

– Temporalna fala ciśnienia. – Król Goblinów zmrużył płonące oczy.

– Że co?

Król Goblinów spojrzał na Kringle'a.

– To twoja działka. Wyjaśnij.

– Ktoś zagina czas przeciwko nam – stwierdził Kringle.

Patrzyłem na niego przez sekundę, a wtedy wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

– Popychają nas do przodu, żebyśmy dotarli tam za późno. Patrzymy na efekt Dopplera.

– Czy to, co powiedział, jest poprawne? – Król Olch zwrócił się z zainteresowaniem do Kringle'a.

– Zasadniczo tak. Wedle moich obliczeń straciliśmy już pół godziny.

– Kto mógłby to zrobić?

– Już się z tym kiedyś zetknąłeś, magu – stwierdził Kringle. – Nie potrafisz się domyślić?

– Jedna z Królowych. Albo ktoś działający na ich poziomie. Czy możemy się wydostać z tej fali?

Król Goblinów i Kringle popatrzyli po sobie.

– Jesteś przywódcą Gonu – stwierdził Kringle. – Co uczynisz swoją mocą, zaszczyci każdego z nas. Czy chciałbyś to zrobić?

Żartował sobie ze mnie? Miałem mniej więcej tyle samo pojęcia o majstrowaniu przy materii czasu jak o tym, które z moich ubrań mógłbym bezpiecznie uprać

w gorącej wodzie.

– Sądzę, że powinienem oszczędzać siły na to, co nas czeka.

Kringle pokiwał głową.

– Jeśli taka jest twa wola – powiedział ostrożnie – możemy wziąć tę sprawę w swoje ręce.

– Zróbcie to.

Obaj skinęli mi głowami, a później ich rumaki wybiegły przed stado. Kopyta krzesaly iskry, z początku niebieskie, później ciemniejące gwałtownie, aż do szkarłatu. Powietrze zadrżało i otoczyły nas dziwne, wypaczone odgłosy. Później rozległ się odbijający się echem trzask, który brzmiał jak coś pośredniego między grzmotem a wystrzałem z miotacza. Powietrze między dwoma jeźdźcami rozsunęło się jak zasłona, a kiedy Gon przejechał między nimi, gwiazdy powróciły do normalnego srebrnego odcienia.

– Dobra robota, tak sądzą! – krzyknąłem... i zorientowałem się, że nie widzę Kringle'a, choć Król Goblinów wciąż pędził. Po kilku chwilach zwolnił na tyle, by dorównać Karrin i mnie. – Hej, gdzie się podział Misa Galaretki?

– Kringle był naszym kamieniem umożliwiającym wydostanie się z bystrzyn strumienia. Aby nas wydobyć, sam musiał tam pozostać. Dołączy do nas dalej, na brzegu.

– Harry – odezwała się Karrin.

– Ile jeszcze do brzegu?

Król Goblinów wzruszył zdrowym ramieniem.

– Nas, nieśmiertelnych, czas nie przeraża, ale to wciąż potężna moc, niemal wykraczająca poza nasze możliwości kontroli. Potrwa to tak długo, jak musi.

– Harry! – warknęła Karrin.

Spojrzałem przed siebie i otworzyłem szerzej oczy.

Dotarliśmy na Demonreach – a wyspa była atakowana.

Pierwsze, co zobaczyłem, to mur obronny wokół brzegów wyspy. Składał się z opalizującego światła, przypominającego gęstą zorzę polarną, wznoszącego się z powierzchni wody w październikowe niebo. Mur rzucał niesamowity blask na drzewa na wyspie, spowijając je groźnym czarnym cieniem, a jego odbicie w wodach jeziora było trzy czy cztery razy większe i bardziej kolorowe, niż powinno.

Kiedy Gon się zbliżył, dostrzegłem też inne szczegóły. Wyspę otaczała niewielka flotylla łodzi – przypominało to trochę drugą wojnę światową na Pacyfiku. Niektóre były niedużymi modelami rekreacyjnymi, inne miały rozmiar *Chrząszcza Wodnego*,

a trzy dorównywały wielkością holownikom, i to takim, które mogłyby przewieźć przez jezioro dwadzieścia załadowanych kontenerów kolejowych.

Widziałem poruszenie w wodach otaczających brzeg. Z jeziora wypelzały istoty, ohydne i fascynujące – całe setki. Uderzały w mur obronny Demonreach. W miejscach, gdzie go dotykały, światło pulsowało we współśrodkowych okręgach, a powietrze wypełniały wrzaski obcej udręki. Woda w promieniu dwudziestu stóp od brzegu bulgotała i wrzała od gorączkowej aktywności.

Wyczułem w powietrzu impuls mocy i ponad wodą przeleciał pocisk chorobliwie zielonej energii, który uderzył w mur. Cała ściana pociemniała na chwilę, ale zaraz odzyskała blask, gdy wyspa oparła się atakowi. Podążyłem śladem pocisku do jego źródła na barce i ujrzałem stojącą na pokładzie postać w dziwnym, wijącym się płaszczu – Rekinowaty.

Na moich oczach do brzegu podpłynął ponton z ośmioma ubranymi w ciemne stroje ludźmi na pokładzie. Mężczyzna na przodzie łodzi uniósł coś do ramienia, rozległ się głośny szum i poszycie stanęło w ogniu, płonącym z oślepiającą chemiczną jasnością. Ponton zawrócił i odpłynął, jakby chciał uniknąć kontrataku – a może załoga nie chciała przebywać zbyt długo na gumowej łodzi na wodach pełnych piraniowatych, rozgorączkowanych Intruzów. Pół tuzina innych pontonów robiło to samo, a kilkanaście kolejnych stało nieruchomo. Wypełniający je uzbrojeni ludzie czekali w milczeniu na szansę przybicia do brzegu.

Gapilem się na to wstrząśnięty. Niedawny deszcz oznaczał, że wyspa raczej nie stanie w najbliższym czasie w ogniu, ale, na litość, absolutnie nie doceniłem skali dzisiejszego konfliktu. To nie był jedynie rytuał.

To był pełnowymiarowy atak wodno-łądowy, moja własna miniaturowa wojna.

– Królu Goblinów, czy mógłbyś okryć Gon zasłoną?

Król Goblinów spojrzał na mnie, a później znów na Gon, i nagle, niczym chmura, otoczył nas chłodny, dziwnie płasko brzmiący półmrok zasłony wzrokowej i dźwiękowej.

– To nie ma sensu. Rytuał nadal potrzebuje platformy, a jej stworzenie wymaga czasu i wysiłku, co najmniej dnia. Widzielibyśmy ją. Nawet jeszcze nie dotarli na wyspę... – Nagle zrozumiałem. – Barki. Umieścili platformę na jednej z barek. To jedyne, co ma sens.

– Wody jeziora zmniejszyłyby moc, której mogliby zaczerpnąć z linii mocy biegnących pod jego dnem – zauważył Król Goblinów.

– Tak. Dlatego atakują brzeg. Zamierzają stworzyć wylom, a później umieścić

barkę na brzegu. W ten sposób znajdą się w bezpośrednim kontakcie z linią mocy.

– Tu jest wielu Intruzów, panie Rycerzu. Więcej niż dość, by walczyć z Gonem, jeśli przytłoczą nas liczbą. Zareagują na nas jak jedna bestia, wiedzą bowiem, jakie zagrożenie dla nich stanowią. Rozważ to, nim pošlesz nas do walki.

– Lepiej, żeby nasz pierwszy cios się liczył. Trzy barki. Na której jest platforma?

– A czemu zakładasz, że jest tylko jedna? – spytała Karrin. – Gdybym to ja się tym zajmowała, przygotowałabym zaklęcia na wszystkich trzech, jako zabezpieczenie.

– Mogli przygotować zaklęcie na wszystkich trzech, dla bezpieczeństwa – stwierdziłem.

Wbiła mi łokieć w żołądek, lekko.

– Zaczniemy od zatopienia barki – uznałem. Później zamrugałem i spojrzałem na Króla Goblinów. – Możemy zatopić barkę?

Oślonięty cieniem Król Goblinów przechylił głowę i zmrużył płonące oczy.

– Magu, proszę cię.

– Jasne. Przepraszam. Entliczek, pentliczek, rekini magiczek, na kogo wypadnie, na tego bęc. – Wskazałem na barkę pośrodku, na której przed chwilą widziałem Intruza. – Tamta. A kiedy zatonie, podzielimy się na dwie grupy. Ty poprowadzisz połowę Gonu na barkę po przeciwnej stronie, a ja zabiorę swoją połowę na tę bliżej. Jeśli uda nam się uniemożliwić przeprowadzenie rytuału, może dadzą sobie spokój i wrócą do domów.

– To się wydaje mało prawdopodobne.

Król Goblinów powoli poruszył ramieniem, w które go postrzeliłem, i wyczułem, że choć wciąż czuł pewien dyskomfort, właściwie doszedł już do pełni sił.

– Nigdy nie wiadomo.

Spojrzałem na Gon i wskazałem w stronę środkowej barki. Powtórzyłem im swoje polecenia i czarne jak sadza ręce uniosły dziesiątki cienistych broni.

Pochyliłem się nieco do Karrin i szepnąłem jej do ucha:

– Gotowa?

– Tylko szalenięc byłby gotów na coś takiego.

Słyszałem jej uśmiech, kiedy mówiła. Później odwróciła głowę i zanim zdążyłem zareagować, pocałowała mnie prosto w usta.

Prawie spadłem z harleya.

Cofnęła głowę, posłała mi złośliwy uśmiezek i stwierdziła:

– Na szczęście. Jak w *Gwiezdnych Wojnach*.

– Ale z ciebie ostra sztuka.

Uniosłem winchester nad głowę, po czym opuściłem go i wycelowałem przed siebie, a Gon rzucił się naprzód z pełną, szaloną prędkością, milczący, niewidoczny i nieunikniony.

– Przejeźdź za jej tyłem – poleciłem Murphy.

– Masz na myśli rufę?

– Tak, zgadza się. – Przewróciłem oczami. I zacząłem gromadzić wolę.

Był to wielki, powolny wysięk, jak próba oddychania przez warstwy grubego materiału. Przypominał ściskanie w pięści piasku – każda odrobina energii, którą zaczerpnąłem, chciała ze mnie wypłynąć i im mocniej próbowałem ją ścisnąć, tym więcej przeciekało mi przez palce.

Dlatego zacisnąłem zęby, zaakceptowałem, że nie będę miał dużo energii do dyspozycji, i kiedy zbliżaliśmy się do barki, próbowałem trzymać ją luźno, łagodnie. Mijaliśmy ją jako pierwsi, a gdy to zrobiliśmy, wyciągnąłem rękę.

– *Forzare!* – krzyknąłem.

Czysta wola przeleciała przez powietrze, miażdżąc naszą zasłonę. Energia skupiła się i przybrała kształt stożka z końcem ostrym jak igła, rozszerzającego się do około sześciu cali – niewidzialna lanca. Przy ograniczonej energii, jaką miałem do dyspozycji, nie mogłem zrobić więcej. Uderzyła w kadłub barki z brzękiem i zgrzytem rozrywanego metalu, i już ją minęliśmy, a Karrin ostro skręcała harleya.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, jak Król Goblinów z mieczem w dłoni pochyła się w siodle i zadaje cios. Usłyszałem syczący odgłos i zgrzyt stali. Na kadłubie, poczynając od otworu, który wybiłem, pojawiła się prosta linia rozgrzanego do czerwoności metalu – jego miecz po prostu go przeciął. Za nim atakowali go kolejni jeźdźcy, ich broń cięła stal jak miękką sośninę, szarpała osłabiony fragment i coraz bardziej powiększała pierwotny otwór.

Usłyszałem wycie wściekłości, a kiedy podniosłem wzrok na pokład barki, dostrzegłem na nim Rekinowatego, który już zbierał energię, by rzucić nią w jeźdźców Gonu.

Nie wziął pod uwagę ogarów.

Zanim zdążył wypuścić moc, spadł na niego tuzin bestii, wszystkie razem, jedną psychotyczną psią falą. Ponieważ biegły tak szybko, że w większości stanu Illinois dostałyby mandat za nadmierną prędkość, uderzenie było potężne. Zarówno ogary, jak i Intruz wypadli za burtę i zniknęli w wodach jeziora Michigan – a ja jakimś sposobem wiedziałem, że walka trwała nadal pod falami.

Król Goblinów wydał okrzyk zachęty, który powtórzyli inni jeźdźcy, kiedy koniec

kolumny mijał barcę. Gdy uderzył ostatni z łowców, ze świecących krawędzi poszarpanego stalowego kadłuba podniosła się kolumna niesamowitego zielonego ognia. Przez otwór wybity przez Gon do środka wlała się woda, a barka przechyliła się mocno na prawo – na sterburtę, tak myślę – czemu towarzyszyły głośne protesty spawów.

Karrin już skręciła ostro harleya, dzięki czemu widziałem pokład statku, kiedy tonął. Sprytnie. Myślała bardziej perspektywicznie niż ja. Wyraźnie widziałem dziesiątki linii i figur, które wymalowano na pokładzie barki, jak również płonące świece, kadzidło i nieduże, nieruchome pozostałości zwierzęcych ofiar – głównie królików, kotów i psów, na to wyglądało.

Rytuały, niezależnie od formy, zawsze wymagają użycia okręgu, widocznego albo nie – pomijając wszystko inne, krąg jest niezbędny, by utrzymać energię, którą zgromadzili dzięki tym ofiarom. Ten został utworzony w sposób niewidzialny, może pierwotnie nakreślony kadzidłem czy coś w tym rodzaju – ale kiedy woda musnęła jego krawędź, natychmiast zaczął wypuszczać zgromadzoną energię, widoczną w postaci chmur migotliwych iskier, trochę jak elektryczność statyczna, które tańczyły na brzegu wody.

I na krótką chwilę cała noc ucichła.

Później pod wodą powstało zamieszanie i z dołu zaczęło się wylewać więcej paskudnego zielonego światła. Woda nagle poderwała się do góry, wypchnięta przez coś poruszającego się pod powierzchnią, a później z głębin wystrzelił Rekinowaty, a dziwaczny szmaciany płaszcz rozpościerał się wokół niego w olbrzymiej chmurze mackowatych wypustek. Zwrócił swoją bezoką twarz w moją stronę – dokładnie w moją, nie Karrin i nie Króla Goblinów – i wydał z siebie ryk wściekłości tak głośny, że woda w promieniu pięćdziesięciu stóp wibrowała i tańczyła w jego rytm.

A jezioro Michigan zalała fala czystego, gwałtownego, oślepiającego, mdlącego bólu.

Rozdział czterdziesty trzeci

Nagle nie znajdowałem się już na tyłach harleya Karrin. Wisiałem w powietrzu i cierpiałem.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się gorączkowo wokół siebie. Jałowa, zlodowaciała ziemia. Zimne szare niebo. Moje ręce i nogi zostały rozciągnięte na kształt litery X i otaczał je lód w kolorze głębokiego błękitu, który przyciskał je do czegoś, co sprawiało wrażenie starego, sękatego drzewa. Moje mięśnie i ścięgna drżały na granicy zerwania. Samo bicie serca było udręką. Twarz mnie paliła, wystawiona na zimno tak dojmujące, że bolało nawet mnie.

Próbowałem krzyknąć, ale nie mogłem. Z moich ust wydobył się powolny, charkotliwy jęk i wypłułem krew w mroźne powietrze.

– Wiedziałaś, co cię czeka. – Na ten głos wciąż reagowałem drzeniem, to było coś elementarnego, nad czym nie mogłem zapanować, dopóki mnie dręczyła. – Wiedziałaś, że ten dzień nadejdzie. Jestem, kim jestem. Ty też.

W moim polu widzenia z lewej strony pojawiła się Mab. Ledwie miałem dość siły, by skupić na niej wzrok.

– Widziałaś, co się stało z moim poprzednim Rycerzem.

Zaczęła kroczyć powoli w moją stronę. Nie chciałem dać jej tej satysfakcji, ale nic nie mogłem na to poradzić – usłyszałem, jak wydaję cichy dźwięk, i poczułem, że podejmuję nieudolną próbę ruchu lub ucieczki. Jej szeroko otwarte oczy zabłyśły.

– Dałam ci moc w określonym celu, a ten cel został wypełniony.

Powoli obróciła rękę i pokazała mi, co w niej trzymała – niewielki metalowy kolec, zbyt duży na igłę, zbyt mały na gwóźdź. Podeszła bliżej, obracając w palcach ostro zakończony rylec, i uśmiechnęła się.

Przesunęła palcami po mojej piersi i żebrach, a ja zadrżałem. Wyrzeźbiła na moim ciele słowo „słaby” w dziesiątkach alfabetów i setkach języków, ryjąc je w moim ciele, dłoniach, stopach, pozostawiając całe mile blizn.

Chciałem, żeby to się skończyło. Żeby mnie zabiła.

Pochyliła się nad moją twarzą.

– Dziś – szepnęła – zaczniemy rzeźbić twoje zęby.

Otoczyło mnie zimno i w moje usta wpłynęła woda, choć usiłowałem do tego nie dopuścić. Trochę przesączało się przez spękane wargi. Reszta zalała mi nozdrza i dotarła do środka okrężną drogą – a później zamarzła, powoli zmuszając mnie do otwarcia szczęk. Mab nachyliła się nade mną, unosząc rylec, a ja poczułem słabą woń oksydacji, kiedy narzędzie zaczęło drapać moje siekacze...

Oksydacja. Woń rdzy.

Rdza oznaczała żelazo – coś, czego nie mógł dotknąć nikt z fae, poza Matką Zimy.

Nic z tego nie działa się naprawdę. To nie było realne. Ból nie był realny. Drzewo nie było realne. Lód nie był realny.

Ale... i tak je czułem. Wyczuwałem coś kryjącego się za nimi, wołę, która nie należała do mnie, narzucając mi ideę bólu, wizję bezradności, lodowaty strach, gorzki kwas rozpaczy. To był atak psychiczny, jakiego nie znałem. Te, których doświadczyłem wcześniej, w porównaniu z nim były słabymi cieniami.

Nie, pomyślałem.

– Nnn... – jęknąłem.

I odetchnąłem głęboko. Moje życie nie miało się tak skończyć. To nie była rzeczywistość. Byłem Harrym Dresdenem, magiem z Białej Rady, Rycerzem Zimy. Stawiałem czoło demonom i potworom, odpierałem upadłe anioły i wilkołaki, mierzyłem się z czarnoksiężnikami, kultami i dziwacznymi stworami, które nie miały nazw. Walczyłem na lądzie i morzu, na niebie nad moim miastem, w starożytnych ruinach i w krainach ducha, o których istnieniu nie wiedziała większość ludzkości. Nosilem blizny, które zdobyłem w dziesiątkach bitew, narobiłem sobie wrogów wśród koszarów i z powodu jednej dziewczynki obaliłem mroczne imperium.

I byłbym przeklęty, gdybym miał przewrócić się na grzbiet i wystawić brzuch do góry z powodu jakiegoś Intruza i jego umysłowej kosiarki.

Najpierw słowa. Właściwie wszystko zaczynało się od słów.

– Jestem – szepnąłem i nagle lód zniknął z moich ust.

– Jestem Harry... – wydyszałem, a ból się podwoił.

A ja się roześmiałem. Jakby jakieś dziwadło, które nigdy nie kochało dosyć, by zaznać straty, wiedziało cokolwiek o bólu.

– JESTEM HARRY BLACKSTONE COPPERFIELD DRESDEN! – ryknąłem.

Lód i drewno rozpadły się na kawałki. Zamarznięty kamień pękł z odgłosem wystrzału armatniego, wokół mnie rozrastała się pajęczna sieć drobnych szczelin. Obraz Mab poleciał do tyłu i rozleciał się na tysiące krystalicznych odłamków, niczym zmiażdżone witrażowe okno. Zimno, ból i groza cofnęły się przede mną, jak

olbrzymia i głodna bestia, która nagle dostała po nosie.

Intruzi uwielbiali psychiczne ataki, a jeśli wziąć pod uwagę fakt, że ten wydarzył się jakieś dwie sekundy po tym, jak Rekinowaty wynurzył się z wody, było całkiem jasne, kto za nim stoi. Ale w porządku. Rekinowaty wybrał bitwę w umyśle. Niech mu będzie. Moja głowa, moje zasady.

Uniosłem prawą rękę do zamarzniętego nieba i wykrzyknąłem, bez słów i z wściekłością, a wtedy z kłębiącego się nieba wystrzelił pocisk szkarłatnej energii. Wbił się w moją dłoń, a później w grunt. Zamarznęta ziemia poleciała na wszystkie strony, a kiedy się rozviała, stałem trzymając dębową laskę rzeźbioną w runy i symbole, sięgającą mi do skroni i grubą jak mój połączony kciuk i palec wskazujący.

Później wyciągnąłem lewą rękę w dół do ziemi i znów krzyknąłem, unosząc ją do góry w przyzywającym geście. Wyrwałem metale z ziemi pod stopami, a one zakłębiły się jak mgła wokół mojego ciała, tworząc pancerz pokryty kolcami i wystającymi ostrzami.

– Dobra, wielki gościu – warknąłem w stronę mrocznej woli, która w tej właśnie chwili zbierała się do kolejnego ataku. – Teraz wiemy, kim ja jestem. Zobaczmy, kim jesteś ty. – Wziąłem laskę i uderzyłem jej końcem w ziemię. – Kim jesteś?! Bawisz się w mojej głowie, więc bawisz się na moich zasadach! Przedstaw się!

W odpowiedzi rozległ się jedynie potężny ryk, jak rozwścieczony arktyczny wicher zmieniający się w wicher.

– Nie ma mowy – mruknąłem. – Ty to zacząłeś, paskudo! Wolisz kontakt bliski i bezpośredni, więc zabawmy się! Kim jesteś?

Na niebie rozległ się potężny dźwięk, jaki można by usłyszeć w morskich głębinach.

– Po trzykroć ci rozkazuję! – krzyknąłem, skupiając wolę, wypełniając nią swój głos, który zadudnił nad okolicą. – Po trzykroć od ciebie żądam! Mocą swego imienia rozkazuję ci: powiedz mi, kim jesteś!

I wtedy z chmur wyłoniła się ogromna, kłębiąca się postać – twarz, ale jedynie w najszerszym, najbardziej ogólnym rozumieniu tego słowa, przypominająca coś, co dziecko mogłoby ulepić z gliny. W głębi jej oczu płonęły błyskawice, a mówiła głosem wichury.

JAM JEST TARAN, ZWIASTUN!

JAM JEST DAWCA STRACHU, ZABÓJCA NADZIEI!

JAM JEST TEN, KTÓRY KROCZY NA PRZEDZIE!

Przez sekundę po prostu tam stałem i gapiłem się wstrząśnięty na niebo.

Na dzwony piekieł.

Zadziałało.

Istota odezwała się, a kiedy to zrobiła, wiedziałem, naprawdę wiedziałem, czym była, jakby pokazano mi migawkę jej tożsamości, kwintesencji jej istoty.

Przez jedną sekundę, nie dłużej, rozumiałem ją, co robiła, czego pragnęła, co planowała i...

I ta chwila minęła, a wiedza zniknęła tą samą drogą, którą przybyła – z wyjątkiem jednego. Jakimś sposobem udało mi się utrzymać kilka rozpadających się fragmentów zrozumienia.

Pojąłem, że istota, która próbowała rozerwać mi głowę od środka, była Kroczącym. Nie wiedziałem zbyt wiele na ich temat poza tym, że wszyscy inni też niewiele o nich wiedzieli i że zwykle oznaczali coś bardzo złego.

A jeden z nich próbował mnie zabić, kiedy miałem szesnaście lat. Ten, Który Kroczył z Tyłu prawie dopiął celu. Tyle tylko... z obecnej perspektywy nie byłem do końca pewien, czy naprawdę próbował mnie zabić. Kształtował mnie. Nie wiem, do jakiego celu, ale próbował mnie sprowokować.

Zaś ten stwór w mojej głowie, stwór, którego nazwałem Rekinowatym, podobnie jak on był Kroczącym. Wielkim, potężnym i w pewnym sensie absolutnie innym od mocy, które napotkałem wcześniej. Ta istota nie była potężniejsza od Mab. Ale była od niej koszmarnie, nieznośnie głębsza, jak fotografia rzeźby w porównaniu z samą rzeźbą. Miała do dyspozycji moc wykraczającą poza wszystko, co widziałem, poza możliwość zmierzenia, poza pojmowanie – po prostu poza.

Stwór był potęgą z Zewnątrz, a ja byłem jak ziarenko piasku przed jego nadchodzącym przyływym.

Ale wiecie co?

To ziarenko piasku może być ostatnią pozostałością czegoś, co niegdyś było górą, ale jest tym, czym jest. Po przyływie nadchodzi odpływ. Niech uderza w ziarenko piasku tak długo, jak tylko zechce. Niech wysokie góry boją się powolnego, nieustannego natarcia wody. Niech doliny drżą pod bezlitosnym natarciem lodu. Niech kontynenty zatoną pod mrocznym przyływym.

A ziarenko piasku?

Na nim to nie robi wrażenia.

Niech nadejdzie przyływ. Po odpływie piasek wciąż tam będzie.

Dlatego spojrzałem z dołu na tę twarz i roześmiałem się. Śmiałem się szyderczo i wyzywająco w stronę tej ogromnej, kłębiącej się mocy i było to nie tylko przyjemne.

Było też właściwe.

– Dalej! – krzyknąłem. – Dalej, zjedz mnie. A później zobaczymy, czy masz dość siły, żeby mnie utrzymać!

Uniosłem laskę i z rzeźbionych run popłynął złocistobiały ogień, kiedy zgromadziłem w niej moc. Powietrze wypełnił chłód Zimy, na ostrzach wystających z mojego pancerza zebrał się szron. Mocno, pewnie postawiłem stopy na ziemi, a z pęknięć wokół mnie zaczął emanować ogień duszy. Odsloniłem zęby, patrząc w stronę głodnego nieba, wolną ręką pokazałem mu środkowy palec i krzyknąłem:

– Dawaj!

Powietrze wypełnił wściekły głos, dźwięk, który wstrząsnął ziemią i niebem, od którego grunt podskoczył, a kłębiące chmury się cofnęły.

* * *

I wróciłem na harleya, jedną ręką obejmowałem Karrin w pasie, a drugą ścisnąłem winchester. Motocykl wciąż był w ruchu, ale nie przyśpieszał. Miałem wrażenie, że jedziemy na luzie.

Karrin wydała z siebie niski, gulgoczący okrzyk i nagle osunęła się do przodu, dysząc ciężko. Pociągnąłem ją do siebie i pomogłem jej usiąść. Po paru sekundach potrząsnęła kilka razy głową i warknęła:

– Nienawidzę wolkańskiego zlania jaźni.

– Ciebie też trafiło?

– To... – Obejrzała się przez ramię, popatrzyła na mnie i zadrzała. – Tak.

– Jak się czujesz?

– Zaczynam się robić wściekła.

W powietrzu rozległ się ohydnie rozbawiony odgłos – śmiech Króla Goblinów. Jego wielki rumak zbliżył się do motocykla, a mężczyzna uniósł miecz w geście zajadłego wyzwania. Później popatrzył na mnie płonącymi oczyma i odezwał się morderczo wesołym głosem.

– Dobra robota, zrodzony pod gwiazdami!

– Yyy... dziękuję?

Władca goblinów znów się roześmiał. Był to dźwięk z rodzaju tych, które pozostają w pamięci – i budzą człowieka w środku nocy, aż zaczyna się zastanawiać, czy jego łóżka przypadkiem nie otoczyły jadowite węże, które właśnie zamierzają wślizgnąć się pod pościel.

Obejrzałem się za siebie. Gon rozproszył się znacznie w porównaniu z wcześniejszym skupieniem, ale widziałem, jak jeźdźcy i ogary wkładają dużo wysiłku, by znów ustawić się w szyku. Rozejrzałem się dookoła, ale nie widziałem śladu Rekinowatego.

Zobaczyłem za to coś innego – zbliżające się w naszą stronę zmarszczki na wodzie w kształcie litery V. Całe mnóstwo.

– Nadchodzą! – krzyknąłem do Króla Goblinów. – Udanych łowów!

– To jedno jest pewne! – odkrzyknął swym radośnie zjadliwym głosem i skręcił w prawo.

Połowa jeźdźców i ogarów podążyła za nim, a druga wciąż podążała za mną.

Wskazałem na nasz cel. Król Goblinów skierował się w stronę swojego.

– Tam! – zawołałem. – Zróbmy to!

Harleytygrys wydał z siebie kolejny ryk i Karrin popędziła w stronę drugiej barki. Rozległy się piekielne wrzaski wydawane przez obie grupy Gonu – a zbliżające się pod wodą istoty płynnie podzieliły się na dwie części. Ścigaliśmy się z wrogiem, kto pierwszy dotrze do barek.

Tym razem nie mieliśmy przewagi zaskoczenia. Od chwili, gdy Gon ogłosił swoje przybycie, mogła minąć minuta, najwyżej dwie, ale widziałem postacie kręcące się na pokładzie barki przed nami.

– Strzelcy! – krzyknęła Karrin.

Cholera.

Na powierzchni wody nie miałem dostępu do wystarczającej mocy, by ustawić tarczę – i nie mogłem też zbijać pojedynczych kul. Nim zobaczę błysk ognia, pocisk już do nas dotrze. Co znaczyło, że wszystko musiało się wydarzyć w zwyczajny sposób, jak to przez ostatnie kilka stuleci robili żołnierze na całym świecie. Nacierać, nacierać, nacierać i mieć nadzieję, że nie zostanie się trafionym.

Nagle Karrin wyrwała mi karabin z rąk i krzyknęła:

– Przejmuj moto!

Macałem przez chwilę, ale w końcu złapałem za kierownicę – musiałem przy tym sięgnąć rękami wokół Karrin. Dodałem gazu, a ona uniosła winchester do ramienia, na wpeł się podniosła i spojrzała przez celownik.

Na łodzi pojawiły się błyski, a obok mojego ucha przeleciało coś, co brzmiało jak rozwścieczony szerszeń. Zobaczyłem pianę unoszącą się z wody przed nami, gdzie strzelcy źle ocenili zasięg, i pędziłem naprzód.

Kiedy znaleźliśmy się w odległości trzystu stóp, Karrin zaczęła strzelać.

Stary karabin zadudnił i z kadłuba barki poleciały iskry. Przeładowała, nie opuszczając broni z ramienia, i znów wystrzeliła. Jedna z ciemnych sylwetek na pokładzie zniknęła, a dwie kolejne się cofnęły. Ci na łodzi znów zaczęli strzelać – w panice, wszędzie dookoła i przeważnie nigdzie blisko nas. Ktokolwiek tam był, podobnie jak my nie lubił być celem dla kul.

Kiedy przemierzaliśmy ostatnie kilkanaście stóp, Karrin wystrzeliła jeszcze trzy razy, szybko i pewnie. Nie widziałem, czy trafiła kogoś jeszcze, aż minęliśmy z rykiem barkę, w odległości nie większej niż dziesięć stóp, i w naszym polu widzenia pojawił się mężczyzna trzymający karabin. Kiedy się podniósł, Karrin omiatała winchesterem rufę barki. Stary karabin znów zagrzemiał, a strzelec przewrócił się i zniknął nam z oczu.

Przejechaliśmy nietknięci, ale wrogi ostrzał wykonał swoje zadanie. Jeźdźcy i ogary byli zbyt rozproszeni fruwającymi pociskami i nie uszkodzili barki tak bardzo jak podczas pierwszego ataku. Widziałem, jak na pokładzie pojawiały się kolejne postacie, które też zaczęły strzelać.

Spojrzałem na zbliżających się Intruzów.

Nie zdążymy zatopić barki przed ich przybyciem.

– ...jej zatopić! – krzyczała Karrin.

– Co?

– Nie musimy zatopić barki! – krzyknęła. – Nie może się poruszać samodzielnie! Musimy tylko zniszczyć łódź, która ją ciągnie.

– Racja!

Przechyliłem harleya, żeby skręcić z powrotem w stronę barki – tym razem jej przodu, dzioba, czy jak to się tam nazywało, gdzie dobudowano konstrukcję obejmującą holownik odrobinę większy od *Chrząszcza Wodnego*.

W ten sposób znaleźliśmy się również bliżej nadchodzących Intruzów i nie umiałem ocenić, kto z nas dotrze tam pierwszy. Kiedy przyśpieszyłem, Karrin sięgnęła do skrytki w harleyu i powiedziała:

– Trzymaj go równo!

Później wstała i nie widziałem zupełnie nic – za to zobaczyłem, jak wyciąga zawleczkę z przeklętego granatu ręcznego i pozwala, by dźwignia zabezpieczająca poleciała w mrok. Harley przejechał obok holownika jakieś dziesięć stóp przed Intruzami, a kiedy mijaliśmy łódź, Karrin jedynie lekko popchnęła granat. Usłyszałem, jak rozbija szkło, jakby ktoś rzucił kamieniem w szybę, i po chwili oddalaliśmy się już od barki. W powietrzu rozległo się głośne dudnienie, jakby

wszystkie regały w wielkiej bibliotece przewróciły się jednocześnie, zaś holownik otoczyło jarzące się białe światło.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że holownik stoi w płomieniach, otoczony chmurą czarnego dymu, i przechyliła się ostro na bok. Murphy też to zobaczyła i wydała z siebie długi okrzyk wojenny, po czym usiadła i zepchnęła moje dłonie z kierownicy, odzyskując kontrolę nad harleyem.

– Dwa załatwione! – powiedziała. – Jeszcze jeden!

Obejrzałem się za siebie. Intruzi zaczęli się tłoczyć wokół barki, a jeden z nich nawet wyłonił się z wody w pobliżu jednego z ostatnich jeźdźców Gonu – ta koszmarna istota składająca się z ropni i rozlicznych kończyn połączonych zbyt wielką liczbą stawów. Kiedy skoczyła, jeździec uniósł cienisty łuk i wypuścił mroczną strzałę. Uderzyła w Intruza i wybuchła czerwonopomarańczowym płomieniem w takim samym odcieniu, jak ogniste oczy Gonu. Intruz wydał z siebie nieziemskie zawodzenie i znów zanurzył się pod powierzchnią.

– Dalej – powiedziałem do Karrin. – Ruszaj w stronę drugiej łodzi.

– Myślisz, że powinniśmy? Ten Król Goblinów wygląda mi trochę na gościa, który... woli robić wszystko samodzielnie.

Miała rację. Podobnie jak inne naprawdę potężne istoty z Faerie, Król Goblinów był bardzo dumny – a każdy, kto uraził jego dumę, robił to na własne ryzyko. Gdybym się pojawił, a Król Goblinów uznałby, że w ten sposób chciałem dać mu do zrozumienia, że uważam go za niezdolnego do wypełnienia zadania, mogło to w przyszłości ugryźć mnie w tyłek. Z drugiej strony już raz mu ubliżyłem, a stawka była wysoka.

– Gdyby nie chciał, żebym robił takie rzeczy, nie powinien pozwolić, bym go postrzelił i przejął jego Gon. – Odwróciłem się, by przywołać jeźdźców i ogary, i krzyknąłem: – Dalej!

Mój głos zabrzmiał jak połączenie mojego własnego głosu i wrzasku Gonu, a reszta grupy dołączyła do krzyku i otoczyła harleya, kiedy pędziliśmy po wodzie w stronę trzeciej barki.

Gdzie walka nie szła najlepiej.

W miejscu, gdzie Król Goblinów i jego jeźdźcy uderzyli w kadłub barki, znajdowało się kilka długich, prostych linii stopionej stali, a na krawędziach tańczyły płomyki niesamowitego zielonego ognia, ale nie udało im się wybić otworu jak w pierwszej barce, a Intruzi dotarli do niej szybciej niż do mojej. Kiedy się zbliżaliśmy, widziałem, jak biegnący ogar Gonu znika w fontannie wody, gdy istoty, w liczbie mnogiej, zbyt

powykręcane i dezorientujące, by je policzyć, wypadły spod powierzchni i zaczęły ciągnąć ogara w dół.

Powietrze przeciął wrzask tak głośny, że wody jeziora aż się spieniły, i Król Goblinów we własnej osobie rzucił się w dół, a podążyła za nim trójka łowców. Ostrza i strzały uderzały w Intruzów w wybuchach ciemnego ognia. Król Goblinów złapał ogara za kark i wy dostał go z uścisku istot pod powierzchnią.

Król Goblinów i jego jeźdźcy ustawili się w szyku o kształcie wielkiego, przechylonego koła. Na drugim końcu jeźdźcy znajdowali się jakieś pięćdziesiąt stóp nad falami, wznosili się w powietrze, a później opadali w stronę powierzchni wody w miejscu, w którym stykał się z nią kadłub barki. Intruzi wyskakiwali z fal na spotkanie każdego jeźdźca. Ogary z kolei próbowały się rzucać na Intruzów, tłamsząc ich obronę, by jeździec mógł uderzyć w barkę.

Tymczasem postacie na pokładzie barki strzelały szaleńczo w mrok, choć pokład podskakiwał pod wpływem kłębiących się w wodzie Intruzów. Kimkolwiek byli, robili na mnie wrażenie amatorów – choć może dlatego, że wcześniej miałem kontakt z prawdziwymi żołnierzami, którzy byli śmiertelnym zagrożeniem nawet w nadnaturalnym konflikcie. Ci goście nie byli Einherjaren – ale w ostatecznym rozrachunku wciąż mieli zabójczą broń, i więcej niż jeden z łowców został trafiony kulą i krwawił płynnym światłem z ukrytego pod cieniem ciała. Odpowiedzią na przenikliwy wrzask Gonu było wycie Intruzów i trzask wystrzałów, a barka krwawiła po trochu rozgrzaną do czerwoności stałą.

Ale niewystarczająco szybko.

Holownik barki, ten umieszczony za nią, zaczął ją popychać przez wodę w stronę brzegu Demonreach.

– Nie powinienem nas rozdzielać. Nie zniszczyliśmy dwa razy więcej celów. Po prostu staliśmy się dwa razy bardziej do dupy.

Karrin prychnęła.

– Ty i matematyka nigdy nie byliście przyjaciółmi. Żałuj później. Teraz prowadź.

– Racja. – Barka nie ruszyła gwałtownie, ale kiedy w końcu ruszy, również nie zatrzyma się w jednej chwili. – Masz może jeszcze jakieś granaty?

– Zużyłam je parę tygodni temu.

– Z Kincaidem?

W tych słowach kryło się pewne napięcie. Kiedy ostatnio się tym interesowałem, ona i zabójca byli tak jakby parą.

– Harry, skup się.

Na wszystkie dzwony piekiel, miała rację. Ostatnim, czego potrzebowałem w tej chwili było to, by opończa Zimy zmieniła mnie w terytorialnego kutasa alfę. Patrzyłem na barkę przez długą sekundę, odepchnąłem od siebie ten instynkt i krzyknąłem do Gonu:

– Dołączcie do Króla Goblinów! Atakujcie barkę!

Ogary i jeźdźcy objechali nas z obu stron, dołączając do szalonego koła śmierci na niebie, a ja zniżyłem głos i zwróciłem się tylko do Karrin, jednocześnie przeładowując winchester:

– Zabierz mnie na holownik.

Posłała mi krótkie spojrzenie szeroko otwartymi oczyma, a później zrozumiała. Dodała gazu i przejechała tuż obok bardzo wielkiej, bardzo groźnej i bardzo odwracającej uwagę formacji Króla Goblinów, kierując się w stronę warczącego holownika.

Ustawiła się równolegle do niego, a ja znów skoczyłem z siedzenia harleya. Dość boleśnie uderzyłem w bok holownika, ale udało mi się zacisnąć palce lewej ręki na relingu i po kilku kopniakach rozhuśtałem się na tyle, że przerzuciłem się na pokład. Wylądowałem przykucnięty, ściskając strzelbę, rozejrzałem się i skierowałem w stronę schodów prowadzących na mostek.

Wszedłem po nich najciszej, jak umiałem, czyli piekielnie cicho jak na gościa moich rozmiarów, z winchesterem w gotowości. Mostek holownika był na tyle duży, że zasłużył na własne zamknięte pomieszczenie, a ja podkradłem się do drzwi, odetchnąłem i otworzyłem je gwałtownie, unosząc jednocześnie karabin.

Mostek był pusty, ster ustawiony w pozycji dwiema dużymi trytytkami. Do steru przyklejono duży kawałek papieru, na którym ktoś napisał czarnym flamastrem OBEJRZYJ SIĘ ZA SIEBIE.

Zacząłem się odwracać, ale wtedy między łopatki trafiła mnie kula armatnia. Poleciałem do przodu i uderzyłem głową w taflę pleksiglasu. Odsunąłem się w tył, oszołomiony, a wtedy coś uderzyło mnie z boku, wbijając mnie w gródź, co przypominało wbicie w stalową ścianę.

Skończyłem rozciągnięty na pokładzie, twarzą do dołu, i znów uderzył mnie duży ciężar, który wylądował mi na plecach.

I Kot Sith, który radził mi, żebym nie odwracał się plecami do nikogo, zamruczał:

– Rycerzu Zimy, ty głupcze. Jesteś zbyt wielkim ignorantem, żeby wiedzieć, jak właściwie umrzeć. – Jego wywołujący dreszcze głos brzmiał gardłowo tuż obok mojego ucha. – Pozwól, że cię nauczę.

Rozdział czterdziesty czwarty

Rozsądnym posunięciem byłoby jęknąć, wzdrygnąć się albo po prostu spanikować i zacząć szukać najbliższego wyjścia. Ale zamiast zrobić jedną z tych rzeczy, poczułem, jak na mój umysł opada chłód i bardzo zimna, spokojna część mnie obiektywnie rozważyła sytuację.

– Dołącz, ukryj się albo zgiń.

Słyszałem we własnym głosie słabe echo wrzasku Dzikiego Gonu.

– Przepraszam? – spytał Kot Sith.

– Masz doskonały słuch. Ale powtórzę. Dołącz. Ukryj się. Albo zgiń. Znasz prawa Gonu.

– Znam je, magu. A kiedy cię zabiję, będę miał Gon do dyspozycji.

– Wiesz, prawdziwy Kot Sith nie prowadziłby ze mną tej rozmowy. Już by mnie zabił.

Poczułem cios w tył głowy, ostry, bolesny, ale niepozabawiający sił.

– Jestem Kot Sith. Jedyny. I niepowtarzalny.

Odwróciłem lekko głowę.

– W takim razie dlaczego wciąż mam kręgosłup?

I dźgnąłem łokciem ciężar na plecach. Trafiłem w coś, z całej siły, i zrzuciłem to z siebie. Uderzyło w drugą ścianę mostka, a ja poderwałem się i zobaczyłem dużą, smukłą sylwetkę Kota Sitha. Machnął ogonem i skoczył na mnie.

Pochyliłem się, rzuciłem się do przodu i odwróciłem. Znajdowaliśmy się teraz po przeciwnych stronach mostka.

– Jesteś powolny. Widziałem, jak on się porusza. Kot Sith jest szybszy.

Malk wydał z siebie ohydny, warkotliwy odgłos.

– Jestem nim.

– Przynieś mi colę – warknąłem.

– Co takiego?

– Słyszałeś mnie, Mruczku. Przynieś mi przeklętą colę, i to już.

Sith pozostał w miejscu, jakby przykuty do podłogi, choć całe jego ciało drżało, a pazury chowały się i wysuwały w równym rytmie. Ale z drugiej strony nie rzucił się

na mnie, żeby mnie rozszarpać.

– Bo widzisz, Kot Sith jest istotą z Faerie i złożył królowej Mab przysięgę, że będzie posłuszny jej rozkazom. A ona wydała mu rozkaz, by był posłuszny moim poleceniom. Ja zaś właśnie wydałem ci rozkaz, kiciu. Czy Mab cię zwolniła? Czy zawiesiła obowiązki swojego wasala?

Sith znów warknął, jego oczy robiły się coraz większe i bardziej okrągłe, a ogon drgał gorączkowo.

– Dopadli cię, prawda? Zaatakowali cię w ogrodzie botanicznym, kiedy osłaniałeś moją ucieczkę. Przekłety Rekinowaty wszystko obserwował i cię dopadł.

Sith zaczął drzeć tak gwałtownie, że podskakiwał na podłodze, jego głowa szarpała się spazmatycznie, a futro jeżyło i znów opadało gładko wzdłuż ciała.

– Walcz z tym, Sith – zachęciłem go cicho. – To nie musi zwyciężyć. Walcz z tym.

Przez sekundę wydawało mi się, że widzę na twarzy malka coś z pogardliwej, zadowolonej pewności siebie Kota Sitha. A później zniknęła. Po prostu zniknęła. Wszystko odeszło i malk przez chwilę stał ze zwieszoną głową. Kiedy uniósł ją po chwili, w ruchu tym było coś delikatnie niewłaściwego – po prostu brakowało mu wdzięku, jaki widziałem wcześniej w starszym malku. Przez chwilę patrzył na mnie, a kiedy się odezwał, w jego głosie nie było nawet odrobiny osobowości.

– Szkoda. Byłbym dla nich bardziej użyteczny jako aktywny tajny agent.

Całkowita pustka w tym głosie sprawiła, że zadrżałem. Już nie rozmawiałem z Sithem.

Rozmawiałem z adwersarzem.

– I myślisz, że Mab by się nie domyśliła. Jak to zrobiła, kiedy zaraziłeś Leę.

– Dalsza rozmowa nie jest przydatna dla naszych celów – stwierdził Nie-Sith i malk rzucił się w moją stronę.

Było świadectwem mocy opończy Rycerza Zimy i energii Dzikiego Gonu, że w ogóle przeżyłem ten pierwszy atak. Sith rzucił mi się do gardła. Zasłoniłem je rękami. Cienista maska Gonu na moich ramionach i piersi rozpadła się na strzępy, rozpraszając część energii spektakularnego skoku malka, który zamiast wbić mnie w ścianę naprzeciwko, jedynie rzucił mnie na nią tak mocno, że poczułem to nawet w zębach.

Sith zeskoczył ze mnie, na co liczyłem. W swojej robocie musiałem sobie radzić z wieloma szybkimi stworami. Kiedy stoją na łapach, właściwie nie da się w nie trafić – ale kiedy są w powietrzu, jak wszyscy pozostali poruszają się z prędkością dyktowaną przez ciężenie i opór powietrza. Przez ten ułamek sekundy Sith był

przedmiotem poruszającym się w przestrzeni, nie oślepiającą szybką maszyną do zabijania. Ktoś, kto tego nie wiedział, nie wiedziałby, że ma być na to gotowy.

Ale ja wiedziałem. W obu punktach.

Wybuch surowej mocy, który przywołałem, nie był moim najmocniejszym ciosem – ale na jeziorze nie mogłem liczyć na nic więcej. Wbił się w istotę, która kiedyś była Kotem Sithem, i wypchnął ją przez pleksi. Plastik nie popękał, lecz został wyrwany w całości z ramy i malk wraz z kawałem pleksiglasu wielkości drzwi pofrunął w mrok szalonej nocy. Przeleciał nad dziobem holownika i wpadł do wody przez otwartą przestrzeń stalowej konstrukcji łączącej holownik z barką.

Przez kilka sekund patrzyłem za malkiem, żeby upewnić się, że jakimś cudem nie wyskoczy nagle z wody, by się na mnie rzucić. Jednocześnie w drugiej połowie okna mostka widziałem, jak cienista maska Gonu ponownie wpęła na moje ramiona i twarz. Doliczyłem do trzech, pokiwałem głową i pociągnąłem za ster holownika. Paroma szybkimi szarpnięciami zerwałem trytytki, po czym przekręciłem koło najdalej jak się dało na prawo. Obok zobaczyłem dużą dźwignię, która wyglądała na przepustnicę, i kiedy popchnąłem ją do przodu, silnik łodzi zaczął ryczeć z wysiłkiem.

Kiedy holownik zmienił kierunek nacisku, barka zajęczała, a jej końcowa część powoli obróciła się na zewnątrz i w lewo. To wywołało okrzyki konsternacji na pokładzie. Nie miałem ochoty zostać postrzelony w twarz, więc ukląknęłam, żeby zniknąć im z oczu, wyciągnąłem używany pasek z moich starych dżinsów i za jego pomocą zablokowałem ster. Później odnalazłem karabin i opuściłem mostek, oddalając się od niego szybko i cicho.

To, co zrobiłem, w najlepszym wypadku było grą na zwłokę. Nie mogłem zawrócić barki – ale mogłem sprawić, by obracała się w miejscu, i może zmusić przeciwników do zmarnowania czasu, by ją obrócić, jeśli znów odzyskają nad nią kontrolę. Ale tego właśnie potrzebował Gon, by ją zatopić – czasu. Im dłużej barka kręciła się w miejscu, tym lepiej. Dlatego znalazłem miły kawałek cienia, z którego widziałem schody prowadzące na mostek i w którym mogłem stanąć za grubą stalową rurą. Oparłem winchester na najwyższym zgięciu rury, wycelowałem w drzwi i czekałem.

Już po chwili pojawiło się pierwszych dwóch członków załogi. Nie byłem pewien, czy wyszli spod pokładu, czy jakimś sposobem przeleźli z barki, ale nagle na schody weszło pośpiesznie dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach, z pistoletami w dłoniach.

Nie jestem dobrym strzelcem. Ale kiedy opiera się broń na stabilnej podporze, która jest idealnie nieruchoma (przynajmniej względem innych stałych elementów

otoczenia), a zasięg nie przekracza czterdziestu stóp, nie trzeba być ekspertem. Wystarczy zaczerpnąć tchu, wypuścić powietrze i pociągnąć.

Winchester zagrział i pierwszy mężczyzna wygiął ciało w łuk dokładnie w chwili, gdy dotarł do szczytu schodów. To zadziało na moją korzyść. Postrzelony osunął się na swojego towarzysza w momencie, gdy ten obrócił się i uniósł pistolet. W efekcie drugi mężczyzna spudłował, a do tego niemal wyleciał za barierkę schodów. Nie mógł trzymać pistoletu obiema rękami, ale wciąż pośpiesznie naciskał na spust.

Z odległości czterdziestu stóp, w ciemności, niepewny dokładnej lokalizacji celu i przytłoczony ciężarem drugiego mężczyzny, który zwałił się na niego, biedny sukinsyn nie miał szans. Wystrzelił siedem czy osiem pocisków, a żaden z nich nawet się do mnie nie zbliżył. Przeładowałem winchester, zaczerpnąłem tchu, wypuściłem połowę powietrza i nacisnąłem na spust.

Dopiero kiedy błysk światła z lufy oświetlił jego twarz, rozpoznałem Ace'a. Na jego twarzy malowała się panika, a jego pistolet celował w punkt dziesięć stóp na lewo od moich stóp. Światło zabłysło i na chwilę wypaliło jego twarz na mojej siatkówce, po czym powróciła ciemność.

A na holowniku znów zapanowała cisza.

* * *

Dokończenie zadania nie zajęło Królowi Goblinów zbyt wiele czasu. Jakieś trzy minuty później na powierzchni jeziora rozległ się chór ohydnych wrzasków, a Gon zawył triumfalnie i wzniósł się w niebo z rykiem rogów i szczekaniem ogarów. Zobaczyłem zielony ogień płonący gwałtownie w otworze, który zaczął wybijać Gon, a później barka przechyliła się na bok, kiedy zaczęła się do niej wlewać woda. Barki to nie okręty wojenne ani nawet statki pełnomorskie. Jeśli w ogóle mają przestrzeń pod pokładem, zwykle nie wyposaża się jej w grodzie wodoszczelne. Z całą pewnością nie mają automatycznych systemów zabezpieczeń. Są jak miski na zupe. Jeśli wybije się otwór w dnie, miska nie utrzyma zupy.

Nie miałem ochoty skończyć jak pasażer *Titanica*, więc pośpieszyłem do miejsca, z którego dostałem się na pokład holownika. Cienista tygrysia maska otaczająca harleya wydała z siebie ryk i Murphy zbliżyła się do łodzi. Wskoczyłem jednym płynnym ruchem na siedzenie motocykla, co uznałem za super, i wylądowałem stanowczo zbyt wielkim ciężarem na genitaliach, co już tak super nie było.

– Ruchy – sapnąłem zbolalym falsetem, a wtedy Murphy oderwała się od skazanych

na zagładę statków.

Po krótkiej chwili Gon otoczył mnie w szyku. Król Goblinów śmiał się szaleńczo i wymachiwał mieczem nad głową. Cienista maska okrywająca jedną nogę i część jego żeber została zerwana, widziałem pod nią rany – ale cienie już zaczynały je znów zakrywać.

– Uwielbiam takie noce! – ryknął. – Uwielbiam Halloween!

– Tak, jest całkiem niezłe – odpowiedziałem niepewnym, łamiącym się głosem.

– Panie Rycerzu, poszło ci całkiem znośnie, ale wierzę, że dalsze przewodzenie Gonowi wymaga więcej doświadczenia i biegłości, niż posiadasz. Czy mam twoje pozwolenie, by przejąć dowodzenie i w bardziej stosowny sposób zapolować na to plugastwo z Zewnątrz?

– Uch – pisnąłem. – Nie zamierzasz zapolować razem z nimi na mnie, prawda?

Wybuchnął śmiechem, który słychać było w promieniu wielu mil. Uśmiechał się tak szeroko, że ten uśmiech przebijał się przez maskę cienia, a jego twarz wyglądała jak dziwny dyniowy lampion z sadzy i ognia.

– Nie tej nocy. Daję ci słowo. Czy mam pozwolenie?

Zamiast odpowiedzieć Królowi Goblinów głosem Myszki Miki, uniosłem kciuk.

Władca goblinów odrzucił do tyłu głowę i wydał z siebie kolejny wrzask, a jego rumak zaczął się wznosić. Reszta Gonu podążyła za nim.

– Harry? – odezwała się Karrin.

– Tak?

– To jest motocykl.

Dotarło to do mnie dopiero po sekundzie i wtedy zamrugałem. Jechaliśmy po powierzchni jeziora Michigan, wypełnionego po brzegi potworami – i właśnie opuściliśmy Dziki Gon.

– O cholera. Kieruj się w stronę wyspy! Ruchy!

Murphy ostro skręciła i dodała gazu. Obejrzałem się przez ramię na Króla Goblinów, krążącego na niebie nad jeziorem, wznoszącego się coraz wyżej, i podążający za nim Gon. Minęliśmy parę pontonów, tak szybko, że ich załogi nie miały czasu do nas strzelić.

I wtedy motocykl zwolnił.

– Co robisz?! – wrzasnąłem.

– Nie możemy wjechać z taką prędkością na plażę! – odkrzyknęła Karrin. – Rozpłaszczylibyśmy się na tych drzewach!

– Naprawdę nie mam ochoty dziś pływać!

– Nie bądź mięczakiem – warknęła.

Znów skręciła, kierując motocykl równoległe do brzegu, i zmniejszyła przyspieszenie.

Poczułem, że harley zwalnia, i przez sekundę miałem wrażenie, że zaczyna tonąć.

I wtedy Król Goblinów znów wrzasnął i zanurkował, jego koń pobiegł prosto w dół, a za jego kopytami ciągnął się ogień Gonu. Reszta ogarów i jeźdźców podążyła w szyku, a ich rogi i krzyki odbijały się echem w mroku.

Jakąś sekundę przed uderzeniem w wodę Gon się zmienił.

Nagle Król Goblinów nie dosiadał konia, ale pieprzoną orkę, jej niebezpieczne czarno-białe ubarwienie było wyraźnie widoczne w ciemności. Inne wierzchowce też się zmieniły, a jeźdźcy wrzasnęli z podnieceniem. Przeobrażeniu uległy również ogary. Ich psie ciała przybrały postać długich, smukłych, potężnych rekinów.

Później cała gromada uderzyła w wodę w fontannie piany, a harley natychmiast wpadł do jeziora...

...i wylądował na piasku tuż pod powierzchnią. Motocykl gwałtownie zwolnił, przez co wpadłem na Karrin i niemal wyrzuciłem ją przez kierownicę, ale ona zablokowała ręce i trzymała się mocno. Wyprowadziła harleya na brzeg. Naciskała na hamulec, aż się zatrzymaliśmy, jakieś pięć stóp od jednego z wielkich starych drzew na wyspie.

– Widzisz?

– Miałaś rację.

Popatrzyła na mnie, jej oczy błyszczały.

– Ale z ciebie ostra sztuka.

Wybuchnąłem gwałtownym śmiechem, który, jak miałem wrażenie, w każdej chwili mógł się stać maniackalny albo depresyjny, kiedy w końcu dotrą do mnie presja i groza całego tego głupiego, paskudnego dnia – ale tak się nie stało. W okolicy nie było wrogich statków i od rozpoczęcia ataku Dzikiego Gonu nikt nie rzucał granatami w wyspę. W wodzie mogli być Intruzi, ale Gon wyraźnie skupiał całą ich uwagę. W tym momencie byliśmy sami i Karrin też zaczęła się śmiać. Śmialiśmy się tak przez kilka chwil. Każde z nas próbowało się odezwać, powiedzieć coś o tym dniu, ale przerywał nam na wpół histeryczny śmiech.

– Granaty. Jakby na randce trzeba było mieć...

– ...mina Molly...

– ...wiem, że jest psem, ale przysięgam...

– Bijatyka ze Świętym Mikołajem – wykrztusiła w końcu Murphy.

Wtedy oboje zawyliśmy ze śmiechu, aż zabrakło nam tchu i już tylko siedzieliśmy w ciemności, a ona, drobna i ciepła, opierała się plecami o moją pierś.

Po chwili odwróciła głowę, powoli, i spojrzała na mnie. Oczy miała bardzo niebieskie. Jej usta były bardzo blisko.

I wtedy coś zauważyłem.

Druga barka, ta, której holownik Murphy podpaliła granatem, poruszała się.

Wstałem, zsiadłem z motocykla i otworzyłem szerzej oczy.

– O cholera.

Z tego miejsca widziałem Rekinowatego stojącego spokojnie na powierzchni jeziora na rufie barki. Wokół niego kłębił się i wirował jego płaszcz. Ręce wyciągnął przed siebie w wyraźnie rozkazującym geście. W wodzie za barką kłębili się Intruzi, większość z nich przynajmniej częściowo wystawała z wody, i już po chwili zorientowałem się, co się działo.

Udawali silnik zewnętrzny, napierali całym swoim połączonym ciężarem i nadnaturalną siłą na tył barki. Płonący holownik był wciąż potężną kolumną dymu i ognia z przodu, ale sama barka zdecydowanie się poruszała – i znajdowała się blisko brzegu.

W głębinach jeziora migotały niepokojące zielone i szkarłatne światła, bezdźwięczne i przypadkowe. Rekinowaty był sprytny. Kiedy Gon wszedł do wody, musiał posłać lwią część Intruzów przeciwko nim – a on sam wrócił z kilkoma pozostałymi na powierzchnię, by zrujnować moją potencjalnie romantyczną chwilę.

– Na gwiazdy i kamienie – jęknąłem. – Jeśli przybiją barką do brzegu...

– Nie dojedziemy tam na harleyu. Nie po takim terenie i przez poszycie.

– Nie dotrzymasz mi tu kroku.

Murphy zazgrzytała zębami na te słowa, ale pokiwała głową.

– Idź. Postaram się cię dogonić.

I wtedy pomyślałem sobie, że jeśli nadal będę czekał, aż wszystko się uspokoi i sytuacja będzie bardziej odpowiednia i bezpieczniejsza, zanim wezmę się do rzeczy, nigdy w życiu do niczego nie dojdę.

Dlatego objąłem dłonią tył jej głowy, pochyliłem się i pocałowałem ją w usta, mocno. Nie zeszywniała. Nie była zaskoczona. Odpowiedziała mi, a jej usta smakowały truskawkami.

Czekałem dwa uderzenia serca, trzy, cztery. Później oboje jednocześnie się cofnęliśmy. Oczy miała otwarte nieco szerzej, a policzki zaczerwienione.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedziałem.

Później odwróciłem się i pobiegłem w stronę kawałka plaży, do którego Rekinowaty kierował ostatnią barkę.

Rozdział czterdziesty piąty

Bieg przez wyspę nie był dla mnie wysiłkiem fizycznym, lecz umysłowym.

Przenikała mnie dogłębna świadomość tego miejsca, absolutna wiedza, która istniała jako pojedyncza, zamknięta całość w moim umyśle – rodzaj pojmowania, który niektórzy średniowieczni uczeni określali mianem intellectus. Docierał do mnie na poziomie odruchów i instynktu. Kiedy biegłem, wiedziałem, gdzie wystaje każda gałąź i gdzie leży każdy kamień gotowy przesunąć się pod moją stopą. Poruszanie się było równie naturalne jak oddychanie i wydawało się, że każdy krok popycha mnie do przodu odrobinę szybciej, jakbym biegł po elastycznej powierzchni jednego z kącików zabaw w pizzerii.

Nie musiałem biec przez wyspę. Musiałem jedynie o tym pomyśleć i pozwolić, by moje ciało podążyło bez wysiłku za umysłem.

Wyłoniłem się z lasu na plaży nad miejscem, do którego kierowała się barka, a które znajdowało się w odległości mniej więcej dwudziestu trzech jardów, jednej stopy oraz sześciu i pół cala od najbliższego skraju Whatsup Doc. Niemal dokładnie w tym punkcie przebiegała jedna z trzech głównych pulsujących linii mocy, które opuszczały wyspę, i gdyby barce udało się wbić w brzeg w miejscu przylegającym do linii, mieszkańcy Chicago mieliby następnego ranka utrudniony dojazd do pracy.

Teraz, gdy Gon i Intruzi walczyli głównie pod falami, zrobiło się na tyle cicho, że słyszałem zbliżającą się barkę. Ktoś już zaczął śpiew na jej pokładzie. Nie widziałem nikogo przez dymiące resztki holownika na przedzie, ale ich głosy z całą pewnością wznosiły się razem w miarowej inkantacji w języku, który brzmiał, jakby należało go wypowiadać, jednocześnie płuczac gardło olejem do smażenia.

– Gdzie się podziało *Ia, Ia, Cthulhu fhtagn?* – mruknąłem. – W dzisiejszych czasach wszystkim brakuje stylu.

Poza śpiewami słyszałem bulgoczącą i falującą wodę, kiedy Intruzi popychali barkę coraz bliżej.

Oparłem kolbę karabinu na ziemi obok mojej stopy, przykucnąłem i zmrużyłem oczy, przyglądając się statkowi. Miał dotrzeć do celu szybko, ale nie natychmiast, i byłem przekonany, że będę miał tylko jedną szansę, by go zatrzymać. Zacząłem

gromadzić w sobie moc, co powtarzałem tak wiele razy przez te wszystkie lata, że robiłem to właściwie odruchowo, i wpatrzyłem się w barwę.

Jeśli rytuał już trwał, istniała szansa, że po prostu go podtrzymywali, utrzymując szkielet zaklęcia za pomocą własnej ograniczonej energii, i czekali na właściwą chwilę. Kiedy dotrą na tyle blisko, by go użyć, przerwą swój krąg i zaczerpną energii z linii mocy, tworząc z niej mięśnie i narządy zaklęcia, wypełniając ramy, które dla nich przygotowali. Musiałem dopilnować, by nie mieli takiej okazji.

Dziura w kadłubie by zadziałała, ale kiedy barka znajdzie się w moim ograniczonym zasięgu, będzie za późno, by ją zatopić. Już raz próbowałem zniszczyć jej silnik, więc nieszczęśliwie radowała mnie perspektywa wyeliminowania istot, które ją popychały.

Musiałem ją zatrzymać.

– Równie dobry lód – powiedziałem na głos – jest, by niszczyć, i jest go w bród[2]. – Skinąłem głową i wstałem. – Dobra, Harry. Nie zepsuj tego.

Zszedłem na brzeg. Za pomocą kolby karabinu nakreśliłem krąg w błocie i zamknąłem go dotknięciem dłoni i szeptem woli. Kiedy poczułem, jak się zatraskuje, wziąłem zgromadzoną wolę, sięgnąłem do ziemi i zebrałem więcej, czerpiąc ją jak ze studni.

Czułem pod sobą kłębiącą się moc linii, czułem, jak blisko niej się znalazłem, próbując zgromadzić jak najwięcej energii przed atakiem. Ziemia drżała pod wpływem podziemnej rzeki mrocznej mocy, ducha przemocy, chaosu i śmierci wyrażonego w postaci energii, i gdybym do niej sięgnął, potencjalnie mógłbym skierować jej straszliwą potęgę w stronę wroga. Taki czyn miałby swoje konsekwencje, reakcje łańcuchowe i efekty uboczne, których nie umiałem przewidzieć, ale z całą pewnością pozwolilby mi osiągnąć cel.

I przez sekundę się wahałem. Stawka była taka wysoka! Ale nie można zmieniać swojej definicji tego co właściwe i niewłaściwe (albo mądre i głupie) tylko dlatego, że zrobienie czegoś niewłaściwego byłoby przypadkiem bardzo dogodne. Czasami nie jest łatwo być rozsądnym, mądrym i odpowiedzialnym. Czasami jest to do dupy. Wielkiej dupy. Wielkiej czarnej dupy. Ale to nie sprawia, że niewłaściwe staje się właściwe albo głupie mądre.

Można powiedzieć, że swego czasu dostałem lekcję pogładową.

Dlatego zostawiłem moc w spokoju.

Magia wciąż się we mnie wlewała, było jej więcej niż zwykle wykorzystywałem, tak dużo, że zaczynałem odczuwać dyskomfort. Po trzydziestu sekundach miałem

wrażenie, że włosy stoją mi dęba na głowie i przeskakują między nimi iskry. Zacisnąłem zęby, sięgnąłem po lodowatą moc Zimy i wciąż czerpałem. Zacząłem kierować ją w stronę prawej dłoni i moje palce nagle otoczył zimny niebieskobiły ogień, niczym płomień świeżo rozpalonego palnika gazowego.

Spalony holownik znajdował się w odległości około stu jardów, kiedy uniosłem rękę, wyszedłem z kręgu i wykrzyknąłem:

– *Rexus mundus!*

I w mrok nocy wyleciała kula oślepiającego jaskrawoniebieskiego światła wielkości futbolówki. Frunęła w ciemności jak umierająca kometa, a z każdego cala jej powierzchni sączyła się mgła. Wylądowała w wodzie dwadzieścia jardów przed poruszającą się powoli barką.

Rozległ się gwałtowny trzask, kiedy kula skondensowanego zimna w temperaturze absolutnego zera uderzyła w jezioro Michigan. Niemal natychmiast powstał lód, wielkie i ostre jak brzytwa kryształ strzelały we wszystkie strony, trochę jak Forteca Samotności Supermana. Barka płynęła sobie spokojnie i bez przeszkód, aż tu nagle w wodzie przed nią pojawił się zmutowany potomek góry lodowej i jeżozwierza, bariera lodu wielkości przyczepy TIR-a.

Mógłbym stworzyć większą, ale po prostu nie było czasu. To wszystko musiało się wydarzyć szybko, żeby cały ten ciężar znalazł się na swoim miejscu – ale nie byłem pełnym idiotą. Moja spiczasta góra lodowa była wielkości kontenera, ale na barce zmieściłoby się ich dwadzieścia. Musiałem tylko umieścić pierwszy element we właściwym miejscu.

Znów sięgnąłem do Zimy i znów uniosłem rękę.

– *Infriga!* – zawyłem.

Czyste zimno wystrzeliło z mojej dłoni w powietrze i rozpostarło się po powierzchni jeziora polem o kształcie wachlarza. Powierzchnia się skryształizowała i zamarzała, a ja nie przerywałem, pogrubiając lód i popychając go w stronę niewielkiej góry lodowej. Jako pierwsze w przeszkodę uderzyły resztki holownika, a lodowe włócznie przebiły się przez osłabiony drewniany kadłub, zaczepiając o niego górę lodową. Barka zwolniła, a kawałki konstrukcji, która łączyła z nią holownik, wygięły się z głośnym zgrzytem. Później, kiedy się zbliżyła, zaczęła uderzać w najcieńszy lód na brzegach wachlarza – ale w miarę, jak się przesuwiała, lód stawał się coraz grubszy i stawał jej coraz większy opór. Ugrzęzła.

Rozległ się głośny wrzask. Rekinowaty. Właśnie porządnie wkurzyłem Kroczącego. Pewnie nie świadczy to najlepiej o mojej dojrzałości, że na tę myśl

uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

Na moich oczach wyskoczył w powietrze – nie jak króliczek, ale w stylu kina kung-fu, i wzniósł się nad barcę. Kiedy ciężenie zmieniło jego wznoszenie się w nurkowanie, jego płaszcz z pasków materiału rozłożył się jak dziesiątki malutkich skrzydeł. Zaczynałem czuć zmęczenie wywołane użyciem tak dużej ilości czystej mocy w tak krótkim czasie, ale pozostało mi dosyć, żeby poradzić sobie z tym czymś. Przygotowałem uderzenie mocy, gotów odepchnąć go od bariery lodu i wypuścić je w chwili, kiedy znajdzie się w zasięgu.

Spudłowałem. Cóż, nie do końca spudłowałem. Ale tuż przed tym, jak pocisk trafił w cel, Rekinowaty podzielił się na dziesiątki identycznych kształtów, które poleciały na wszystkie strony. Czyli jeden z tych kształtów został trafiony uderzeniem mocy, które sprawiłoby, że samochód stanąłby na tylnych kołach, i ten kształt odfrunął.

Ale pozostałe czterdzieści czy pięćdziesiąt spadło na moje pole lodu jak kule armatnie i w większości miejsc je przebiło, choć w niektórych jedynie spowodowało powstanie szerokich pęknięć. Kiedy do tego doszło, kopie Rekinowatego zaczęły rozrywać go pazurami. Gruby lód to poważna przeszkoda – chyba że jest się Krocącym z Zewnątrz, bo te stwory rozszarpały go jak styropian.

Było ich tak piekielnie dużo! Zacząłem uderzać w kolejne, ale szło mi ciężko, a celów było po prostu zbyt wiele. Podczas gdy niektóre z nich rozszarpały pozostałości lodu, inne zaczęły rozrywać górę lodową i holownik, zmieniając go w złom nieubłaganą siłą i pazurami jak stalowe noże. Trafiłem siedmiu czy ośmiu, ale to nie miało znaczenia. Byłem niewłaściwym narzędziem do tego zadania, jeśli można tak to określić. To był o wiele większy problem, a ja nie miałem pojęcia, jak go rozwiązać.

Śpiewy na barce wzniosły się o oktawę i stały bardziej gorączkowe. Intruzi miotali się w wodzie, popychając barcę, lub wyskakiwali przed nią, by odepchnąć z drogi zmiażdżone odłamki lodu, a ich wycie, dziwne trzaski i zawodzenia tworzyły własną koszmarną muzykę. Inni Intruzi pędzili w moją stronę – i rozbijali się o świetlistą barierę muru Demonreach. Nie mogli mnie dopaść. Co wydawało się uczciwe, bo ja najwyraźniej nie mogłem dopaść ich. Spowolniłem ich, kosztowałem ich parę minut, nie więcej.

Woda w pobliżu mnie poruszyła się i wzniósł się z niej Rekinowaty, jakby jechał powoli windą. Na jego ustach malował się uśmiezek. Stał tak na wodzie pięć stóp ode mnie i odnosiłem wrażenie, że na jego bezokiej twarzy maluje się samozadowolenie.

– Strażniku – powiedział.

– Dupku.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bitwa się skończyła. Zawiodłeś. Ale nie musisz zostać dziś zniszczony.

– Żartujesz sobie? Chcesz mnie zwerbować?

– Złożono propozycję. Zawsze doceniamy talenty.

– Nie jestem niczyją marionetką.

Kroczący autentycznie się roześmiał.

– A kiedy byłeś czymkolwiek innym?

– Możesz zapomnieć. Nie będę dla ciebie pracował.

– W takim razie zawieszenie broni. Nie potrzebujemy cię, byś walczył w naszych bitwach. Ale jeśli odsuniesz się na bok, potraktujemy cię z szacunkiem i zostawimy w spokoju. Ciebie i tych, których kochasz. Zabierz ich do bezpiecznego, spokojnego miejsca. Zostań tam. Nikt nie będzie ci się naprzykrzał.

– Ten plan raczej nie spodobałby się mojej szefowej.

– Po tej nocy Mab nie będzie już problemem dla nikogo.

Zamierzałem powiedzieć coś nieprzyjemnego i zarazem świetnie brzmiącego, ale...

Zabrać gdzieś ludzi, których kocham. Zabrać Maggie. W jakieś bezpieczne miejsce. Gdzieś bez szalonych Królowych i obłąkanych sidhe. I po prostu rzucić cały ten niewdzięczny, bolesny, ohydny biznes. Bycie magiem wygląda zupełnie inaczej niż kiedyś. Jeszcze kilka lat temu uważałem tydzień za pracowity, jeśli ktoś poprosił mnie o odnalezienie zgubionego psa albo obrączki. To było strasznie nudne. Miałem całe mnóstwo wolnego czasu. Nie byłem bogaty, ale mogłem sobie pozwolić na kupowanie wielu książek do przeczytania i nigdy nie chodziłem głodny. I nikt nie próbował mnie zabić ani nie prosił mnie o dokonanie strasznego wyboru. Ani razu.

Człowiek nie docenia tego, co ma, dopóki tego nie straci.

Cisza, spokój i ludzie, których kocham. Czy nie tego pragnie każdy?

Do diabła.

Intruz pewnie się do tego nie nadawał. A ja miałem jeszcze jedną możliwość.

Ostrzegano mnie, bym nie wykorzystywał mocy Studni. Ale...

Cóż jeszcze mi zostało?

W tej właśnie chwili mógłbym zrobić coś wyjątkowo głupiego, gdyby nagle nie rozległ się potężny dźwięk. Dwa głośne, paskudne chrzęsty, a po nich pojedynczy, krótki, ostry trzask grzmotu. Ta sekwencja powtarzała się raz za razem. Chrzęst,

chrzęst, trzask. Chrzęst, chrzęst, trzask.

Nie, chwileczkę. Znałem tę piosenkę.

Brzmiała raczej: łup, łup, klask. Łup, łup, klask.

Cóż jeszcze mi zostało?

Przyjaciele.

Spojrzałem na Rekinowatego, który rozglądał się po powierzchni jeziora, a jego niepokojąca twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Tego się nie spodziewałeś, co nie?

ŁUP, ŁUP, KLASK!

ŁUP, ŁUP, KLASK!

To był czyjś miks, bo od razu przeszedł do chóru głosów, czystych, ludzkich głosów, wystarczająco donośnych, by zatrzęsała się od nich ziemia – a ja uniosłem ręce i zaśpiewałem razem z nimi.

– *Singin' we will, we will rock you!*

Na niebie pojawiły się stroboskopowe rozbłyski szkarłatnego i niebieskiego światła, wszędzie migotały białe i szmaragdowe lasery, tworzące przypadkowe, migoczące wrażenia przedmiotów i twarzy, wypełniające niebo blaskiem, który pulsował w rytm muzyki.

A jednocześnie *Chrząszcz Wodny*, cała przeklęta łódź, wyłonił się spod zasłony, która sprawiała, że sama łódź, poruszana przez nią woda i wszystkie wydawane przez nią odgłosy stały się niewykrywalne nie tylko dla mnie, ale i dla niewielkiej armii potworności z innego świata oraz ich wielkiego paskudnego generała Kroczącego.

Kroczący wydał z siebie kolejny wściekły wrzask, a światło gorączkowo pulsujące na niebie sprawiało, że jego ohydne rysy wydawały się jeszcze bardziej wypaczone. Na nic więcej nie miał czasu – *Chrząszcz Wodny* wbił się z pełną prędkością w barkę.

Różnica masy między obiema jednostkami była znacząca – ale różniło się to od sytuacji, kiedy barka uderzyła w moją górę lodową. Po pierwsze, była niemal całkowicie nieruchoma, bo dopiero zaczynała znów nabierać prędkości. Po drugie, *Chrząszcz Wodny* nie uderzył z przodu, lecz trafił ją z boku, tuż przy dziobie. I tak, choć brakowało zaledwie trzydziestu stóp, by dziób barki spoczął na brzegu Demonreach, *Chrząszcz Wodny* brutalnie uniemożliwił jej sięgnięcie po energię linii mocy.

Nie słyszałem zderzenia, gdyż zagłuszał je największy przebój *Queen*, ale impet sprawił, że na obu statkach różne przedmioty zaczęły latać w powietrzu – więcej na

Chrząszczu niż na barce. Większa łódź zakołysała się i zwróciła bokiem do wyspy, zaś *Chrząszcz Wodny* odbił się gwałtownie, chwiejnie, i zatrzymał ze zgrzytem na płyciźnie, przechylony mocno na bok.

Mac i Molly stali u steru. Moja praktykantka została niemal wyrzucona z łodzi, ale Mac chwycił ją w pasie i uniemożliwił lekcję latania. Nie jestem pewien, czy to zauważyła. Na jej twarzy malowało się skupienie tak głębokie, że graniczyło z otępieniem, jej wargi poruszały się gorączkowo, a do tego w każdej ręce trzymała różdżkę i poruszała nimi niezależnie od siebie, jakby dyrygowała dwiema różnymi orkiestrami grającymi dwie różne składanki największych przebojów speed-metalu.

Na moich oczach dwie inne sylwetki odbiły się z pokładu na reling *Chrząszcza Wodnego*, a później zwinnie przeskoczyły na barcę – w sam środek rytuału, który wciąż trwał w najlepsze.

Thomas ruszył do walki ze swoją ulubioną kombinacją broni – mieczem i pistoletem. Wpadł między postacie stłoczone na pokładzie, jego klinga wirowała, a krew płynęła szerokim łukiem. Poruszał się tak szybko, że ledwie nadążałem za nim wzrokiem, tu mignięcie stali, tam błysk zimnych szarych oczu. Jego pistolet strzelał w szybkim rytmie między ciosami falcaty, powalając śmiertelnych popleczników Intruzów niczym łany pszenicy.

Druga postać była szara, kudłata i przerażająca. Lwia kryza futra Myszka wydeła się jak prawdziwa grzywa, kiedy rzucił się na tych uczestników rytuału, których nie dopadł mój brat. Na moich oczach wyrwał karabin z rąk oszołomionego strażnika i machnięciem łba rzucił nim w głowę innego, po czym skoczył do przodu i swoim ciężarem powalił sześciu przerażonych ludzi na pokład – i przebił nimi krąg otaczający rytuał.

Ograniczona energia, którą wykorzystywał rytuał, rama, którą linia mocy wypełniłaby śmiertelnie niebezpieczną konstrukcją, zniknęła i wzniosła się w noc, gdzie muzyka rozwalila ją na kawałki. *We will, we will rock you.*

– Hej, Rekinowaty!

Zrobiłem krok do przodu, jednocześnie gromadząc Zimę i ogień duszy.

Wściekły Kroczący odwrócił się do mnie w chwili, kiedy ciężka, ośmiokątna lufa winchestera przebiła kostny fałd, który miał w miejscu zębów, i sięgnęła mu aż do gardła.

– Daj się rozhuścić! – Pociągnąłem za spust.

Razem z kulą kalibru .45 posłałem wzdłuż lufy kolumnę czystej energii i woli, prosto w czaszkę Kroczącego. Jego głowa wybuchnęła, dosłownie wybuchnęła,

rozrzucając na bok serpentyny i krople czarnej posoki. Szmaciany płaszcz oszalał, wznosił bezgłowe ciało w powietrze, a później spadł i szarpał się na płyciźnie jak na wpół zmiażdżony robal. Z gorączkowo drżącego ciała podnosił się ciemny opar, który nagle skupił się w jedną chmurę i odleciał pośpiesznie, wydając z siebie wściekły, udręczony i przerażony wrzask, obcy, ale całkowicie zrozumiały.

Później ciało opadło bezwładnie na wodę. Płaszcz jeszcze przez kilka sekund rzucał się i podskakiwał, aż i on znieruchomiał.

Nad jeziorem wznosił się jednogłosny wrzask przerażenia Intruzów, a na powierzchni pojawiły się zmarszczki w kształcie litery V, oddalające się we wszystkich kierunkach od wyspy. Gonili je migoczące włócznie światła i muzyki – a rogi Gonu zagrzmiały gorączkowo nad drżącą powierzchnią wody. Widziałem, jak potężna czarno-biała sylwetka łapie uciekającego Intruza i przetacza się, zaś okryty cieniem jeździec dźga raz za razem długą włócznią. W innym miejscu rekin wyskoczył spośród fal, na chwilę zawisł z otwartą paszczą na tle nieba, po czym spadł prosto na kolejnego Intruza. Wepchnął go pod wodę, a w tym miejscu natychmiast zebrał się tuzin paskudnych ostrych płetw.

Drzewa za moimi plecami poruszyły się i wyszła z nich zdyszana Murphy z P-90 wiszącym w kaburze. Stała u mojego boku i zapatrzyła się na chaos.

Nie mogłem mieć do niej pretensji. To było straszne. To było wyjątkowe. To było wspaniałe. To było...

Nagle poczułem, że serce przestaje mi bić.

To było odwracające naszą uwagę.

– Molly! – krzyknąłem. – Molly!

Mac usłyszał mnie w zamieszaniu i potrząsnął Molly. Kiedy nie zareagowała, skrzywił się, a później mocno ją spoliczkował.

Sapnęła i zamrugła, a wtedy pokaz na niebie i ścieżka dźwiękowa urwały się gwałtownie, dokładnie w połowie gitarowej solówki.

– Wychodźcie z wody! – wykrzyknąłem. – Na brzeg! Szybko!

Molly zamrugła kilka razy. Później chyba zrozumiała i pokiwała pośpiesznie głową. Ona i Mac zbiegli po przechylnym pokładzie *Chrząszcza*, do drzwi prowadzących pod pokład. Zawołała, a wtedy pokazały się Sarissa i Justine, obie wyraźnie przerażone. Molly wskazała im wyspę i wszystkie trzy wyskoczyły z łodzi do sięgającej do pasa wody i zaczęły brodzić w stronę brzegu.

Myszek zauważył, co się dzieje i szczeknął krótko. Myszek rzadko szczeka, ale kiedy to robi, umie sprawić, żeby z sufitu odpadł tynk. On i Thomas zeskoczyli

z zakrwawionego pokładu barki do wody i zaczęli szybko płynąć w stronę wyspy.

Krzyki Gonu i rozgorączkowanych Intruzów wypełniały okolicę, ja jednak zmusiłem się do uspokojenia, oddychania powoli i skupienia na swoim intellectusie wyspy. Nie wyczuwałem niczego szczególnego, ale instynkt sprawił, że przekręciłem głowę i wpatrzyłem się w stronę szczytu wyspy, gdzie wśród przypominających szkielety sylwetek bezlistnych drzew wznosiła się zniszczona latarnia.

I wtedy do mnie dotarło. Z tego miejsca nie powinienem móc dostrzec budynku i drzew, nie w pochmurną noc, ale ich sylwetki były wyraźnie widoczne.

Paliło się tam światło.

Kiedy przyjaciele dotarli na brzeg i pośpieszyli do mnie, uświadomiłem sobie, że w mojej świadomości wyspy było puste miejsce. Nie wyczułbym go, gdybym go nie poszukał. Nie czułem niczego ze szczytu wzgórza.

– Kroczący miał jedynie odwrócić naszą uwagę – sapnąłem. – Do diabła, tym razem ta sztuczka im się nie uda. – Odwróciłem się do nich. – Myślę, że ktoś jest na szczycie wzgórza, i cokolwiek robi, to nic dobrego. Trzymajcie się mnie. Chodźmy.

Byłem prawie pewien, że wiem, kto jest na górze, i nie zamierzałem zrobić tego sam.

Dlatego ruszyłem w stronę szczytu, idąc boleśnie powoli, żeby przyjaciele mogli za mną nadążyć.

2 Robert Frost „Fire and Ice”, tłum. Ludmiła Marjańska (przyp. tłum).

Rozdział czterdziesty szósty

Ktokolwiek znajdował się na szczycie wzgórza, przygotował różne rzeczy, żeby powstrzymać mnie przed dotarciem do celu. Nie wyszło.

Wiedziałem o potykaczach, które rozciągnięto między drzewami na wysokości kostek, i wiedziałem, gdzie były luki – jak się domyślałem, dalszy ciąg nękania przez wrogi Mały Ludek. Moi towarzysze nawet się nie zorientowali, że tam w ogóle są potykacze.

Później była trójka wyjątkowo zajadłych elfich ogarów, mniejszych krewniaków Czarnych Psów. W spokojniejszym okresie swojego życia walczyłem raz z Czarnym Psem i nie miałem ochoty na rewanż. Postrzeliłem jednego ogara z winchestera, kiedy krył się w krzakach przed nami, czekając, aż podejść kilka kroków bliżej, i podpaliłem zarośla, w których ukrywał się drugi, zanim zbliżyliśmy się na odległość trzydziestu stóp. Drapieżniki polujące z zasadzki niepokoją się, kiedy ich potencjalna ofiara je zauważa. Elfi ogar numer trzy wybiegł z pustego pnia, z którego zamierzał wyskoczyć i zaatakować z kumplami, i wycofał się z dwoma rannymi na drugi koniec wyspy.

– Jak one dotarły na wyspę? – spytała Molly w marszu. Dyszała ciężko, zarówno z powodu wysiłku na łodzi, jak i wspinaczki. – Myślałam, że trzymał wszystkich z dala.

Demonreach miał utrzymać różne istoty w środku, a nie na zewnątrz, ale nie chciałem o tym gadać w mieszanym towarzystwie.

– Zachęca wszystkich, żeby trzymali się z dala, i powoli zwiększa nacisk na tych, którzy tego nie robią. Ale tak się dzieje, kiedy nie atakuje go armia kultystów i horda wyjących dziwadł spoza rzeczywistości. Był zajęty pilnowaniem, by żaden z Intruzów nie wyszedł na brzeg... i żadnemu się to nie udało. Właśnie pokonał armię prowadzoną przez istotę, która mogłaby walczyć jeden na jednego z samą Mab. Wszystko ma swoje ograniczenia. – Sprawdziłem intellectus i zorientowałem się, że Mac i Sarissa zamykają stawkę. Tak nie mogło być. Wciąż nie znałem roli, jaką odgrywali w tej grze. – Myszek, przejdź na tyły, na wypadek gdyby te ogary nas okrążyły i próbowały się podkraść.

Wielka sterta futra wydała z siebie sapnięcie, coś pośredniego między oddechem a kichnięciem. I tak zamierzałem pilnować Maca i Sarissy, ale poczułem się lepiej, kiedy Myszek znalazł się na tyłach. Intellectus był dobrym podręcznym przewodnikiem, ale nie systemem wczesnego ostrzegania. Gdyby któreś z nich spróbowało zrobić coś podejrzanego, kudłaty tybetański pies strażniczy i tak pewnie zauważyłby to jako pierwszy. Równie dobrze mógł być w pobliżu.

– Kto tam jest? – W cichym głosie Karrin brzmiało napięcie.

– Królowe elfów, tak myślę. W liczbie mnogiej.

– A niech mnie – westchnął Thomas. – Dlaczego?

– To skomplikowane, nie ma czasu. Nikt nic nie robi, dopóki ja nie zacznę. Nawet się nie odzywajcie. Jeśli coś zacznie się dziać, zaatakujcie tego, kogo podpalę na początku. A później improwizujcie.

Ruszyłem dalej, nieco przyspieszając kroku. Drzewa w pobliżu szczytu wyspy były starsze, grubsze i wyższe. Ich szerokie korony zagłuszyły większość poszycia, dzięki czemu szło się łatwiej, bo na ziemi leżał głównie rozmiękły dywan zgromadzonych przez dziesięciolecia opadłych liści. Kiedy w nich brodziliśmy, wokół naszych nóg unosiła się mocna woń pleśni.

Wyłoniliśmy się na polanie na szczycie wzgórza, a ja zatrzymałem się gwałtownie sześć cali przed opuszczeniem cienia lasu. Thomas wpadł na mnie. Obejrzałem się przez ramię, wypuszczając trochę powietrza przez zęby. On dźgnął mnie łokciem w krzyż.

Szczyt wzgórza otaczał krąg gwiazdnego blasku.

Nie umiałem tego inaczej opisać. Nie wiedziałem, na co patrzę. Dwanaście stóp nad ziemią znajdowało się pasmo blasku, raczej jarzącego się niż oślepiającego, który wypełniał szczyt wzgórza łagodnym światłem, jak ogromny pierścień unoszący się nad ziemią. Był precyzyjny, jakby nakreślony cyrklem, i wiedziałem, że ma dokładnie stopę grubości – dwanaście cali. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej barwy, z każdą sekundą zmieniała się odrobinę, łącząc srebro, błękit i złoto, ale to nie był żaden z tych odcieni i... i brak mi słów. Ale był piękny, jak miłość, jak muzyka, jak prawda, coś, co przechodziło przez oczy i trafiało prosto w duszę. Delikatne jarzące się światło sphywało z zewnętrznej krawędzi kręgu jak tafla wody w eleganckiej fontannie, opadało na ziemię spowolnioną zasłoną czystego światła i ukrywało to, co znajdowało się za nim.

Poczułem, że nowicjuszka podchodzi do mnie, oczy miała szeroko otwarte.

– Szefie – szepnęła. – Na taki widok moja matka zaczęłaby mówić głosem jak

w kościele. Na co patrzymy?

– Dzieło Merlina, tak sądzę. Ten okrąg. Myślę, że to część architektury wyspy.

– A niech mnie.

– Ja... jest piękne – wyszeptała Sarissa. – Nigdy nie widziałam niczego podobnego.

A przez całe życie oglądałam niewiarygodne rzeczy.

W chwili gdy to pojąłem, wypowiedziałem słowa, o których wiedziałem, że musiały być prawdziwe.

– To musiało być piękne. Musiało zostać stworzone z piękna. Wewnątrz jest za dużo brzydkiego, by powstało z czegokolwiek innego.

– O co ci chodzi z tym „brzydkim”? – spytała Karrin przyciszonym głosem.

– Później. – Pokręciłem głową i zamrugałem kilka razy. – Miasto do uratowania.

Próbowałem dowiedzieć się czegoś o kręgu od swojego intellectusa, ale najwyraźniej już poznałem wszystkie informacje na jego temat, które mogłem zdobyć w ten sposób. Znałem jego dokładne wymiary, wiedziałem, że był częścią potężnego zaklęcia, które tworzyło Studnię. I tyle. Zupełnie jakby całość była... zastrzeżona, ściśle tajna, jedynie dla osób upoważnionych – a ja najwyraźniej nie byłem upoważniony.

Co pewnie miało sens. Chodziło w końcu o ogromny system zabezpieczeń.

Molly pochyliła się i podniosła kamień. Rzuciła go delikatnie od dołu w stronę ściany światła, a on przeszedł przez nią, nie wzbudzając nawet zmarszczki.

– Bezpieczny? – spytała.

– Wątpię. Daj mi coś, co nie jest częścią wyspy.

Usłyszałem, jak zsuwa plecak i otwiera suwak. Później dotknęła mojego ramienia i podała mi batonik musli w plastikowym opakowaniu. Rzuciłem nim w ścianę, a kiedy jej dotknął, został zniszczony. Nie odszedł w gwałtowny sposób. Po prostu zmienił się w błysk łagodnego blasku dokładnie w kształcie paczki „jedzenia”.

I zniknął.

– To też było ładne – zauważył Thomas. – W absolutnie zabójczy sposób.

– I kto to mówi – mruknęła Molly.

– Nie jest aż tak wysoki. Może mógłbym nad nim przeskoczyć.

– Molly – poprosiłem.

Podowała mi kolejny batonik musli, a ja przerzuciłem go nad ścianą.

Zniszczyła go w powietrzu.

– A może nie – stwierdził Thomas.

– W porządku – odezwała się Karrin. – W takim razie... Jak się przedostaniemy na

drugą stronę?

Zastanawiałem się przez chwilę. W końcu oblizałem wargi i powiedziałem:

– My nie. Ja tak.

– Sam? – spytał Thomas. – W takim razie przyprowadzenie nas trochę mija się z celem. Poza tym śmierć. Zły plan.

– Myślę, że mnie przepuści.

– Myślisz?

– Posłuchaj. Ja i wyspa jesteśmy... swego rodzaju partnerami.

– Faktycznie. – Thomas popatrzył na Karrin. – Harry jest geoseksualny.

Karrin uniosła brew i posłała mi spojrzenie.

– Nie możesz tam iść sam. – W głosie Molly wyczułem troskę.

– Wygląda na to, że to jedyna możliwość. Zrobimy to na Odyseusza. Wchodzę do środka, wymyślam sposób otwarcia bramy i plądrujemy Troję.

– Uda ci się to zrobić? – spytała Karrin.

Oblizałem wargi i spojrzałem na ścianę światła.

– Lepiej, żeby tak.

– Jesteś zmęczony – zauważyła Molly.

– Nic mi nie jest.

– Ręce ci drżą.

Naprawdę? Tak.

– Im też nic nie jest.

Nie czułem się zmęczony. Jeśli wziąć pod uwagę, jak wiele mocy przeszło przeze mnie tego dnia, już przed wieloma godzinami powinienem być nieprzytomny z wyczerpania, ale po prostu tego nie czułem. To nie był dobry znak. Może Butters miał rację – niezależnie od tego, ile energii dostawałem od oponczy Zimy, ciała mają swoje ograniczenia. Ja wystawiałem swoje na ciężką próbę.

Podąłem Thomasowi karabin i zdjąłem swój nowy płaszcz. Kiedy uniosł brew, wyjaśniłem:

– Nie są z wyspy. Przypilnuj ich dla mnie.

Wypuścił powietrze i wziął je.

– Żadnych powtórek, w porządku?

– Phi. To będzie jak wślizgiwanie się na film.

Karrin dotknęła mojego ramienia.

– Tylko nie mów, że zaraz wracasz. Zapeszysz.

– Jestem zawodowym magiem. Wiem wszystko o zapeszaniu.

Upewniłem się, że moja koszula nie jest czerwona. Nie była. Później uświadomiłem sobie, że zwlekam, bo gdybym się mylił, za chwilę mógłbym dołączyć do Yody i Obi-Wana w krainie niebieskiego światła. Dlatego odetchnąłem głęboko i wkroczyłem w piękną, zabójczą barierę.

Rozdział czterdziesty siódmy

Przeżyłem.

Na wypadek gdyby ktokolwiek się zastanawiał.

Przeszedłem na drugą stronę, a płynne światło oblało mnie jak ciepły syrop. Kiedy omywało powierzchnię mojego ciała, poczułem lekkie mrowienie, które jednak po chwili zniknęło.

Podobnie jak moje ubrania. W całości.

Miałem trochę nadziei, że zostanę – tak jak kostium Supermana przeważnie pozostaje nietknięty, bo jest naprawdę blisko jego skóry. Poza tym nie miałem ochoty rozbierać się przed wszystkimi z powodu tak trywialnego, jak zachowanie moich ciuchów z drugiej ręki. A co ważniejsze, wątpiłem, bym miał czas udawać pana Rogersa, kiedy ktoś majstrował przy mojej wyspie. Miasto do uratowania. Docenie moje skupienie.

Oczywiście... ruszenie do walki kompletnie nago mogło się wiązać z pewnymi problemami.

Z drugiej strony za każdym razem, kiedy Mab atakowała mnie w czasie mojej rekonwalescencji – za każdym razem – byłem dokładnie w takiej sytuacji, bez środków, poza tym, co miałem wewnątrz siebie. Nie wierzyłem w przypadki. Czy próbowała jedynie ogólnie mnie wzmocnić? A może przygotowywała mnie do takiej właśnie sytuacji?

Czy Mab mogła spoglądać aż tak daleko w przyszłość? A może była to jedna z tych sytuacji, kiedy doskonale przygotowanie potwierdza swoją wartość w działaniu? Co takiego usłyszałem kiedyś w szkole sztuk walki? Naucz się walczyć nago, a nikt cię nigdy nie rozbroi. Co jest dobrym pomysłem, pod warunkiem, że w okolicy nie ma komarów.

Przyczałem się, znieruchomiałem i otworzyłem zmysły.

Po pierwsze: znajdowałem się wewnątrz rytualnego kręgu, który obecnie działał i był wykorzystywany do zaklęcia. Domyślałem się, że nie należał do tych szybkich i tanich, do których byłem przyzwyczajony, bo moje przejście by go naruszyło. Może zachował integralność, ponieważ jako część wyspy już istniałem po obu stronach

kręgu. Pewne istoty mogły przekraczać tego rodzaju granice, w najmniejszym stopniu ich nie naruszając – przede wszystkim koty. Właśnie dlatego użytkownicy magii często trzymali w domach koty. Formalnie rzecz biorąc, są bardzo przyjazne magii. Może nie przerwałem go, ponieważ został ustawiony w taki sposób, by traktować Strażnika wyspy jako jedną z tych istot. A może chodziło o nieprzerwaną, falującą, płynną naturę samego kręgu.

Tak czy inaczej, stałem wewnątrz aktywnego kręgu. Najprawdopodobniej najbardziej aktywnego kręgu, jaki widziałem w życiu. Magia brzęczała w powietrzu i w ziemi, tak mocno, że włosy stanęły mi dęba, a jakiś prymitywny i instynktowny rodzaj świadomości pochodzący od opończy Rycerza Zimy, ten sam, który przez cały dzień sprawiał mi tyle problemów, zaczął mi radzić, bym wynosił się z wyspy, jak to już zrobiły wszystkie zwierzęta. Dlatego mój intellectus nie umiał mi powiedzieć, co się tu dzieje. Jako rodzaj magicznej świadomości aktywny krąg go blokował. Teraz działał doskonale, jeśli chodziło o wszystko, co znajdowało się wewnątrz kręgu – za to nie mógł już dotknąć niczego na zewnątrz.

Dowiedziałem się tego wszystkiego w tym samym czasie, w którym moje zwykłe pięć zmysłów zarejestrowało, co się działo – nie byłem sam. Na szczycie wzgórza tłoczyły się elfy.

W porządku, nie dosłownie. Była ich dwudziestka i jeden śmiertelnik.

I Demonreach.

Objawiony duch wyspy stał w ruinach latarni, w otworze w ścianie, który prowadził do wejścia na schody biegnące w dół do Studni. Potężna istota zapierała się jak człowiek stawiający czoło wichurze, zgarbiona i lekko pochylona, ale nie w pozycji bojowej. Duch nie istniał dla takich celów. Jak sobie uświadomiłem, robił to co zawsze – wytrzymywał. Widziałem jednak, że kawałki jego masy odlatują do tyłu, powoli, jakby obok ducha przepływał prąd gęstego syropu, który z wolna powodował jego erozję.

Duch stał na jednym z wierzchołków trójkąta równoramiennego.

Na jednym z pozostałych stała Lily, Letnia Panna. Wyciągała prawą rękę – tę, którą wysyła się energię. Miała na sobie tę samą prostą sukienkę, w której widziałem ją wcześniej. Tkanina przylegała do jej ciała, a srebrzysto-białe włosy unosiły się do tyłu, jakby na silnym wietrze. Poza tym nie było żadnych fizycznych oznak wypływu energii, ale ziemię między nią a Demonreachem porastała świeża zielona trawa i czułem, że Panna wylewa moc przeciwko duchowi.

Za nią stała para sidhe z Letniego Dworu, każde trzymało dłoń na jej ramieniu. Za

nimi było troje kolejnych, a za tamtymi jeszcze czworo, wszyscy trzymali dłonie na ramionach kogoś przed sobą, tworząc piramidę. I wszyscy kierowali moc do przodu, skupiając ją na Lily i czyniąc ją jeszcze silniejszą.

Maeve stała na trzecim wierzchołku trójkąta, w towarzystwie własnej piramidy wsparcia. Miała na sobie skórzane szorty, wojskowe buty i górę od bikini, wszystkie granatowe. Stała w tej samej pozycji co Lily, ta sama niewidzialna moc wypływała z jej wyciągniętej ręki, ale na jej twarzy malował się szeroki, szalony uśmiech, zaś ziemię między nią a Demonreachem pokrywała warstwa szronu.

Po jej prawej stał Redcap i trzymał dłoń na jej ramieniu. Był tam również potężny trupiołowy z moich urodzin, a jego kościane pazury, zalane świeżą krwią, opierały się na jej drugim ramieniu. Ośmioro innych sidhe Zimy stało za nimi, tworząc piramidę mocy.

Nagle usłyszałem kroki, a po chwili zza rogu mojej częściowo ukończonej chatki wyszedł Fix, Rycerz Lata, i podszedł do mnie. Miał na sobie elfią kolczugę, błyszczącą i otaczającą jego żylastą sylwetkę, a w dłoni trzymał miecz. Stanął między mną a kręgiem na szczycie wzgórza.

– Cześć, Harry – powiedział cicho.

– Cześć, Fix.

– Zimno ci?

– Nie bardzo. Wiesz, co tu się dzieje?

– To, co musi się stać.

– Czyim zdaniem?

– Mojej Panny.

– Ona się myli.

Fix stał tam przez chwilę w milczeniu, po czym stwierdził.

– To nieważne.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest moją Panną. Nie podniesiesz na nią ręki.

Wpatrywałem się w Fixa, który cierpiał za czasów Lloyda Slate'a, i na Lily, która często padała ofiarą Slate'a. Zastanawiałem się, ile razy w tamtych czasach Fix marzył, by móc ją ocalić, by mieć moc i stawić czoło Rycerzowi Zimy.

A teraz mógł.

Nadchodzi czas, kiedy żadna rozmowa nie może zmienić przebiegu wydarzeń – kiedy ludzie są zaangażowani, kiedy ich działaniami kieruje konieczność wynikająca z sytuacji stworzonej przez nich samych. Fix pokładał wiarę w Lily i walczyłby na

śmierć i życie, żeby ją obronić. Nic, co mogłem powiedzieć, nie zmieniłoby tego. Widziałem to w jego twarzy.

– Wracaj – powiedział.

– Nie mogę. Odsuń się?

– Nie mogę.

– Czyli tak musi być?

Fix wypuścił powietrze i pokiwał głową.

– Tak.

I po raz pierwszy od dziesięciolecia Rycerz Zimy i Rycerz Lata ruszyli na wojnę.

Fix wypuścił pocisk czystego ognia Lata, który palił ziemię pod sobą, kiedy leciał w moją stronę.

Nie miałem czasu myśleć, ale coś we mnie znało tę grę. Uchylenie się przed pociskiem nic by nie dało – fala rozgrzanego powietrza wydobywająca się z tego ognia spaliłaby mnie, gdyby się do mnie zbliżył. W tym pojedynku Fix miałby przewagę, gdyby zachował odległość i po prostu rzucał pocisk za pociskiem. Dlatego przywołałem Zimę, by schłodziła powietrze wokół mnie, i uskokczyłem w bok. Ogień i zimno się zetknęły, zderzyły i wypełniły powietrze mgłą – mgłą, która dałaby mi szansę zbliżyć się do wroga.

Część mnie, ta część, co do której byłem pewien, że to ja, z niepokojem przyglądała się tej taktyce. Do cholery, byłem nagi i nieuzbrojony. Fix miał opończę Rycerza Lata, a to czyniło go równie silnym, szybkim i twardym jak ja. Był opancerzony i trzymał w ręce przekłuty miecz, i przez dziesięć lat spędzonych w Letnim Dworze uczył się walczyć i korzystać z opończy. A do tego pewnie nie spędził całego dnia, wysilając się do granic możliwości.

Jednakże opończy Zimy to nie obchodziło. Widziała swojego wroga i chciała go zniszczyć. Najlepszym sposobem, by tego dokonać, było przybliżyć się i rozszarpać Fixowi gardło.

Tyle tylko że poprzedni Rycerz Zimy nie w taki sposób zabił poprzedniego Rycerza Lata. Lloyd Slate zamroził schody pod stopami tego drugiego i zepchnął go. Do tego Slate był młody i w dobrej kondycji, a tamten Rycerz Lata był starcem. Pomyślałem więc, że mądrze byłoby założyć, iż instynktowna wiedza opończy Zimy, choć przydatna, należała do zagłodzonego drapieżnika, wilka w zimie – chciała krwi, i to mnóstwa, natychmiast.

A gdyby rozegrał to w taki sposób, Fix by mnie wypatroszył.

Zamiast rzucić się do przodu, zrobiłem kilka kroków w bok i znieruchomiałem. Po

chwili kolejny ognisty pocisk rozpałił mgłę, dokładnie w miejscu, w którym bym się znajdował, gdybym kierował się instynktem opończy.

Oczywiście – tak musiało być. Rycerz Zimy był pumą, wilkiem. Rycerz Lata był jeleniem, bizonem. Zima skupiała się na tropieniu, polowaniu i zabijaniu zdobyczy. Lato na unikaniu konfrontacji aż do pojawienia się przewagi, a później maksymalnym wykorzystaniu tej przewagi. Gdybym zaatakował Fixa na sposób Zimy, miałby mnóstwo instynktownej wiedzy do wykorzystania i byłby wtedy najbardziej niebezpieczny, w podobny sposób jak na przykład adept czystego aikido. Wykorzystałby siłę ataku, by wzmocnić swoją obronę i zwrócić go przeciwko napastnikowi. Ale gdybym powstrzymał się od tego rodzaju agresywnego natarcia, pozbawiłbym go instynktownej przewagi.

Pieprzyć bycie Rycerzem Zimy. Przede wszystkim byłem magiem.

Dlatego poruszyłem nadgarstkiem i szepnąłem:

– *Obscurata*. – Zniknąłem za zasłoną.

Moje zasłony nie są zbyt dobre w porównaniu z tymi, które tworzy praktykantka – a tak naprawdę właściwie ktokolwiek – ale kiedy się stoi w wielkim kłębie mgły, nie muszą być bardzo dobre, by zapewnić niewidzialność, a ja umiem się poruszać bardzo cicho. Nie zaufałbym jej przeciwko sidhe, lecz Fix nie był jednym z nich. Był odmieńcem, jedno z jego rodziców było śmiertelnikiem, a drugie elfem, ale jeśli pominąć opończę Lata, był człowiekiem.

Skradałem się. Wyostrzyłem słuch do poziomu znacznie wykraczającego poza moje zwyczajne możliwości i zanim zrobiłem dziesięć kroków, usłyszałem spokojny oddech Fixa. Znieruchomiałem. Nie mogłem go dokładnie zlokalizować, ale...

Powstrzymałem się przed wydaniem odgłosu zniecierpliwienia i skonsultowałem się z intellectusem. Fix stał w odległości trzydziestu sześciu stóp i czterech cali, jakieś dwadzieścia dwa stopnie na lewo od miejsca, które miałem bezpośrednio przed sobą. Gdybym miał spluwę, mógłbym go zastrzelić.

Fix też znieruchomiał.

Phi. Jego opończa pewnie doradzała mu, żeby był cierpliwy, podobnie jak moja żądała ode mnie, żebym przestał czekać, wytropił go i skoczył. Wykorzystywałem to przez może minutę, poradziłem się intellectusa i przeszedłem pięćdziesiąt stóp w bok, gdzie podniosłem coś z ziemi. Później wróciłem i czekałem – ale on wciąż nie drgnął.

To się nie mogło udać, gdyby pozostał na miejscu. Musiałem go zmusić, żeby się ruszył.

Wycofałem się jeszcze kilka kroków we mgłę i odezwałem się w przeciwną stronę, niż był zwrócony, z nadzieją, że kiepska widoczność i zasłona zamaskują miejsce, z którego dobywał się mój głos.

– Wiesz, teraz trochę lepiej rozumiem Lloyd Slate’a. Opończa. Kierowała nim. Sprawiała, że pragnął różnych rzeczy.

Usłyszałem głos Fixa.

– Lloyd Slate był potworem.

Nie chciałem tego robić, ale... musiałem nadepnąć mu na odcisk.

– Był człowiekiem jak wszyscy. To po prostu... sprawiło, że jego pragnienia robiły się coraz głośniejsze. Nic nie mógł na to poradzić.

– Czy ty w ogóle słyszysz siebie, Harry? – Wyczuwałem napięcie w głosie Fixa. – Brzmisz jak ktoś, kto szuka usprawiedliwienia... albo uzasadnienia.

– Tak, ale ja nie jestem Slate’em! – odkrzyknąłem. – Slate był żalonym dręczycielem. Ja miałem moc setki Slate’ów, zanim jeszcze poderznąłem mu gardło.

Fix oddychał coraz szybciej. Panował nad sobą... ale się bał.

– Harry Dresden, którego znałem, nigdy by nie powiedział czegoś takiego.

– To było dziesięć lat, manię prześladowczą i wojnę temu, a ty wiesz, że nie masz prawa patrzeć na mnie z wyżyn swojej prawości. Wiem, że ty też czujesz różne rzeczy, podobnie jak ja. – Czas wbić odpowiednią szpilę, skłonić go do poruszenia, agresji. – Co widzisz, kiedy patrzysz na Lily, stary? Jest oszałamiająca. W jej obecności mam problem, by myśleć o czymkolwiek innym.

– Zamknij się – powiedział cicho.

– Poważnie. – Dialog przychodził mi łatwo... za łatwo. Opończa Zimy przemawiała do tej części mnie, która nie miała zbyt wiele zahamowań. – Ten seksowny tyłeczek? Naprawdę, sama myśl o nim... Gdybyś mógł zobaczyć mnie teraz, byłbym nieco zażenowany.

– Zamknij się – powtórzył.

– Daj spokój. Kumple przed laskami, stary. Ta opończa Lata ma instynkt stadny? Bo jeśli chodzi o coś tak słodziutkiego, chyba moglibyśmy...

Gdybym nie skupiał na nim swojego intellectusa, żeby zobaczyć, co się działo, splonąłbym żywcem. Rzuciłem się w bok, kiedy się odwrócił i cisnął we mnie kolejny pocisk ognia. Musiałem zebrać wokół siebie więcej Zimy, by ochronić wrażliwą skórę, zagęszczając w ten sposób mgłę – a Fix wyraźnie kierował się na przyływ zimna. Odwrócił się w moją stronę, zrobił dwa kroki i skoczył z mieczem w obu dłoniach.

Trzydzieści siedem stóp. Tak daleko skoczył i przyszło mu to bez trudu – mógłby

dolecieć dalej. Wiedziałem dokładnie, z jak dużą siłą naciskał na ziemię, kiedy ją opuszczał, i pod jakim dokładnie kątem skoczył. Mój intellectus mógł śledzić powietrze i mgłę, które odpychał, kiedy przez nie przeskakiwał.

Kiedy skoczył, zrobiłem dwa kroki w bok.

Zrobiło mi się niedobrze, bo miałem wrażenie, że walczę ze ślepcem.

Fix wylądował dokładnie dwie stopy przed miejscem, w którym znajdowałem się jeszcze przed chwilą, a jego miecz opadł przez przestrzeń, w której wtedy stałem. Gdybym wciąż tam był, rozrąbałbym mnie na dwie makabryczne połówki.

Ale mnie tam nie było. Stałem za nim, całe od jego pleców, i zanim zdążył się podnieść, uderzyłem. Przed chwilą wykorzystałem intellectus, by zlokalizować na ziemi stary gwóźdź, długi na cztery cale i częściowo zardzewiały. Thomas albo ja musieliśmy go upuścić, kiedy szliśmy do chatki albo ją opuszczaliśmy, w czasach, gdy zaczęliśmy remont i budowaliśmy Whatsup Dock. Gwóźdź przeleżał kilka lat na powietrzu, co mu jednak zbytnio nie zaszkodziło.

Położyłem kciuk na jego główce, wykorzystałem siłę opończy Zimy i wbiłem go prosto przez kolczugę, której nie zaprojektowano do zatrzymywania takich wąskich ostrzy, i dwa cale w głąb mięśni na łopatce Fixa.

Fix wydał z siebie okrzyk wstrząsu i bólu i zamachnął się mieczem – ale z zimną stałą przebijającą skórę i ograniczonym dostępem do opończy Lata mógł polegać jedynie na swoich odruchach, sile i umiejętnościach. Nie ćwiczył ich bez wsparcia mocy Rycerza Lata i nie uczył się w brutalnej szkole bolesnych ciosów, przez którą przepuściła mnie Mab. Cięcie było powolne i niezgrabne, a ja uderzyłem go dwa razy – raz w nadgarstek, który złamałem z trzaskiem, a miecz poleciał w bok, i raz w szczękę, nie tak mocno, rzucając Fixa na ziemię.

– Rycerz zbija Rycerza! – zawołałem we mgłę. – Szach.

Walka między Królowymi a Demonreachem była bezgłośna, ale teraz powietrze nagle znieruchomiło. Nie widziałem ich, ale wiedziałem, że Lily odwróciła się częściowo od Demonreacha w moją stronę i zerwała kontakt z jednym z dwojga sidhe, którzy ją wspierali. Demonreach z kolei odwrócił się prosto w stronę Maeve. Wyczuwałem, że niewielkie kawałki jego ciała, które wcześniej odpadły, zmieniły kierunek i znów przylepiały się do jego głównej masy.

– Fix?! – zawołała Letnia Panna z niejaką dezorientacją. Później w jej głosie zabrzmiał nagły strach. – Fix!

– Co ty wyprawiasz? – warknęła Maeve. – Głupia krowa! Sama nie pokonam strażnika!

Lily ją zignorowała. Poczulem, jak wyciąga rękę, niemal od niechcenia.

I nagły podmuch wiatru oczyścił wzgórze z mgły, którą stworzyłem z Fixem, z taką łatwością, z jaką młoda matka zrzuca rozsypane płatki śniadaniowe z tacy dziecka.

Cholera jasna.

Wiedziałem, że Panny były potężne, ale nie uświadamiałem sobie, co to oznacza w praktyce. Sprawienie, by tak wiele powietrza poruszyło się tak precyzyjnie i tak nagle, jest trudne i wymagałoby poważnego nakładu energii. Mógłbym tego dokonać, ale zużyłbym tyle siły, że później miałbym ochotę tylko usiąść i napić się zimnego piwa. Gdybym zrobił to dwa albo trzy razy z rzędu, byłbym zbyt zmęczony, by unieść kufel.

W porównaniu ze mną dla Lily było to pstryknięcie palcami.

I oto byłem, stałem nagi na szczycie wzgórza nad nieruchomym Fixem. Wciąż miałem zasłonę, ale coś tak podstawowego byłoby bezużyteczne przeciwko sidhe. W ogóle nie powinienem się nią przejmować, ale jakiś irracjonalny odruch kazał mi skondensować ją do postaci małego pola rozmytej energii wokół bioder.

– On żyje, Lily – powiedziałem szybko. – Musimy porozmawiać.

Wokół oczu Lily pokazały się białka.

– Co takiego? – spytała ostro, a w jej głosie brzmiała furia. – Co ty do mnie powiedziałeś?

A niech to. Nawet kiedy zachowywałem się najmniej dyplomatycznie, moje słowa nie powinny wzbudzić aż takiej reakcji.

– Lily, uspokój się. Fix żyje. Ale myślę, że tam wciąż stoisz ty, i wątpię, żebyś poznała całą prawdę. Porozmawiajmy, zanim wydarzą się rzeczy, których wszyscy będziemy żałować.

– Jak śmiesz?! – Jej wściekłość zapłonęła. Dosłownie. Ogień wybuchł z jej dłoni i otoczył przedramiona. – Jak śmiesz?!

Uniosłem przed sobą puste ręce. Byłem pewien, że wyglądam na zdezorientowanego.

– Na dzwony piekieł, Lily, co, do diabła? Ja nie chcę tu walczyć!

Lily wrzasnęła i otoczył ją ogień Lata, który sprawił, że jej dworzanie odskoczyli. Ogień tańczył wokół niej, złoty, zielony i srebrny jak blask gwiazd, hipnotyzujący – i narastający. Nagle dostrzegłem tę samą furie, którą widziałem w oczach Tytanii, ale tamto było żarzącymi się węgielkami, jakie pozostały po upływie lat, kiedy żaloba i smutek nieco ustąpiły. Moc, którą trzymała teraz Lily, pochodziła z tego samego rodzaju pasji – ale była świeża i rozpalona, i nie zamierzała wkrótce ostygnąć.

I wtedy zrozumiałem, co się działo. Maeve wyciągnęła drugą rękę w moją stronę, jej palce tańczyły wesoło. Posłała mi krótkie spojrzenie, w którym malowało się zjadliwe rozbawienie. Sięgnąłem w powietrze przed siebie i poczułem to, elegancki mały urok, na tyle prosty, że Maeve mogłaby rzucić go przez sen, i na tyle skomplikowany, że mogła nim oszukać każdego, kto nie wiedział o jego istnieniu, nawet sidhe. Mówiłem, ale to nie moje słowa docierały do Lily. Maeve wybierała słowa dla mnie.

Nie wiem, co powiedziała, ale wybrała coś idealnego, by doprowadzić swój Letni odpowiednik do furii. Łagodniejsza, bardziej współczująca natura Lily została wykorzystana przeciwko niej. Maeve rzuciła swój prosty urok z doskonałym wyczuciem czasu, w tej jednej chwili, w której względnie niedoświadczona Lily nie mogła się go spodziewać – kiedy zamartwiała się powalonym Fixem. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że uczuciowa młoda Letnia Panna nie była Tytanią. Miała w sobie ferwor, ale brakowało jej opanowania i równowagi, i nie było szans, by pomyślała, rozważyła, powstrzymała furie.

– Zniszczyć go! – wrzasnęła. Drzewa się chwiały, a skały pękały, kiedy mówiła. Dźwięk ten szarpnął moje uszy i poczułem w nich gorącą wilgoć. – Zniszczyć Harry’ego Dresdena!

Wyrzuciła ręce przed siebie i w moją stronę poleciała z rykiem ściana ognia wysoka na dwadzieścia stóp i szeroka jak boisko piłkarskie.

Rozdział czterdziesty ósmy

Przez ułamek sekundy mój umysł piszcział jak ostatnia mała świnka uciekająca do domu – była to reakcja na poziomie odruchów rdzenia kręgowego. Miałem raz doświadczenie z ogniem. Takich rzeczy nie zapomina się łatwo.

Przed ogniem trudno się obronić. Między innymi dlatego była to zawsze moja ulubiona forma ataku. Nawet jeśli cel nie da się podpalić, zawsze można go upiec poprzez rozgrzanie powietrza wokół niego – chyba że rzuci wszystko, żeby zejść z drogi, ale to z kolei oznacza, że nie ma czasu myśleć o kontrataku. Ogień jest bronią z najwyższej półki.

Ale.

Ogień jest niepewny i kapryśny. Bez skupienia to czysty chaos, przypadkowe uwolnienie zgromadzonej energii wiązań chemicznych. Nie wystarczy po prostu posiadanie ognia. Trzeba wiedzieć, kiedy, gdzie i jak go użyć, żeby osiągnąć najlepszy efekt – a Lily brakowało tej wiedzy.

Rzuciłem się na nieprzytomnego Fixa i skupiłem. Z rękami rozłożonymi szeroko na boki zakrzyknąłem:

– *Defendarius!*

Kiedy utworzyłem wokół nas tarczę w kształcie bańki, nawałnica ognia opadła z rykiem, zalewając nas jak przypyływ. Moja tarcza powstrzymała ogień, ale nie mogła całkowicie go zatrzymać i gorąco zaczęło się przez nią przebijać. Dlatego sięgnąłem po Zimę i wypełniłem otaczającą nas banieczkę chłodem. Ta fala ognia była zbyt potężna, bym ją pokonał – ale nie musiałem tego robić. Rozpościerała się na tak dużej przestrzeni, że musiałem przetrwać jedynie niewielką jej część, wytrzymać jak duży kamień na plaży. Nie miałem siły, by wygrać z ogniem – ale miałem jej dosyć, by utrzymać go z dala i nie dopuścić, by powietrze wewnątrz mojej tarczy zmieniło się w piekarnik.

Ogień przetoczył się nad nami, a ja trzymałem tarczę jeszcze przez kilka sekund, najdłużej, jak mogłem. Bez bransolety i laski, które pomagały mi w skupianiu energii, mogłem wytrzymać jedynie przez kilka sekund – ale to wystarczyło, bym przeżył. Po wszystkim opadłem na czworaki, dysząc ciężko, na niewielkim kręgu oszronionej

ziemi, ale udało mi się – i Fixowi też.

Brawo ja.

Nad szczytem wzgórza zabrzmiał szyderczy śmiech Maeve.

Boku mojej twarzy dotknęło gorące powietrze, temperatura rosła powoli wraz ze zbliżającym się światłem. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Lily idącą w moją stronę po spopielonej ziemi. Była teraz naga, jeśli pominąć płomienie otaczające jej ciało, gdyż jej ubranie spłonęło w nawałnicy ognia. Nie miała oczu. Ich miejsce zajmowały dwa palące płomienie, a kiedy podeszła bliżej, dostrzegłem wznoszące się z nich języki pomarańczowego i szkarłatnego ognia. Jedwabiste białe włosy wznosiły się falującą kolumną jak płomień, unoszone przez gorące powietrze i zabarwione na złocistą zieleń i pomarańcz przez blask jej ognistej aureoli.

Za jej plecami inni sidhe Lata byli cieniami, ogień tańczył w odbiciu srebrzystej broni i migotał w ich dłoniach i na ich czołach. Ich bronie i moc otaczały mnie, by uniemożliwić mi ucieczkę, ale kiedy Lily machnęła ręką, zatrzymali się i wycofali na pierwotne pozycje w pobliżu latarni.

Domyślałem się, że nie chciała spalić swoich kumpli z Lata razem ze mną. Zacząłem unosić rękę, by przygotować kolejną tarczę, ale moje drugie ramię nie utrzymało ciężaru ciała i opadłem.

I po wszystkim.

Skończyło mi się paliwo.

Udało mi się podnieść na kolana i usiąść na piętach, dysząc ciężko. Później wyciągnąłem gwóźdź z pleców Fixa, ścisnąłem go z ponurą determinacją i zwróciłem twarzą do Lily.

Zatrzymała się jakieś sześć stóp ode mnie, okryta żyjącym ogniem, i patrzyła z góry, a jej oczy były jak reflektory.

– Nic mu nie jest, Lily. Fixowi nic się nie stało. Boże, Lily, czy ty mnie w ogóle słyszysz?

Najwyraźniej nie. Lily uniosła dłoń, nad którą pojawiła się miniaturowa kula rozżarzonego do białości światła, malutka gwiazda.

Oto było skupienie. Nie umiałbym powstrzymać czegoś tak skoncentrowanego bez dłuższych przygotowań. Umiałem to docenić w sensie profesjonalnym, nawet jeśli to coś miało za chwilę sprowadzić na mnie koszmarną śmierć.

I nagle poczułem się bardzo głupio. Co ja sobie, do kurwy nędzy, myślałem? Królowe elfów, nawet najslabsze spośród nich, były mocami żywiołów, czymś, co po prostu deklasowało każdego śmiertelnika. Powinienem podjąć próbę kontaktu

z dziadkiem i Szarą Radą, powinienem przynajmniej odezwać się do Białej Rady, nawet jeśli pomoc z jej strony była mniej prawdopodobna.

I powinienem kazać Michaelowi i jego rodzinie – i Maggie – opuścić miasto w chwili, gdy zrozumiałem, jak wielkie jest niebezpieczeństwo. Ratowałem sytuację już wcześniej, może na tyle często, że stałem się zbyt pewny siebie. Szydłem z arogancji Białej Rady, ale sam wpadłem w dokładnie taką samą głupią pułapkę, prawda? Pewien zdolności poradzenia sobie ze wszystkim, na co natrafię, zebrałem swoją małą gromadkę pomocników i wpakowałem się prosto w tę katastrofę.

– Lily – powiedziałem ze zmęczeniem. – Posłuchaj mnie. Oboje zostaliśmy zrobieni przez Maeve.

Biały ogień patrzył na mnie.

– Adwersarz. On jest w niej. Był w niej od dawna. Pomyśl. Sprawia, że istoty, które opanował, działają sprzecznie ze swoją naturą. A wiesz, w jaki sposób zmienił Maeve?

– Pochyliłem się, unosząc zmęczone dłonie. – Pozwolił jej kłamać. Może kłamać aż do upojenia i nawet przy tym nie mrugnie. Pomyśl. Jak wiele z twojego do niej zaufania, wiedzy o tym, co dzieje się na świecie, opiera się na twojej pewności, że ona nie może powiedzieć nieprawdy?

Ogień patrzył – i nie pochłonał mnie. Dlatego mówiłem dalej.

– Nie wierz mi na słowo. Po prostu popatrz na to, co ona robi.

A wtedy Lily się odezwała, jej głos płonął powstrzymywaną mocą Lata.

– Współpracujemy. Niszczymy największe źródło mrocznej energii i zepsucia na tym świecie. Źródło, które ty tak rozpaczliwie pragniesz ochronić, że przywołałeś Intruzów do jego obrony!

Boże. Lily nie wiedziała, co jest w Studni. Rozumiała, że była źródłem mrocznej mocy, ale nie dlaczego.

Ciągle zapominałem, że objęła tę posadę względnie niedawno. Nim zabiłem Aurorę i zostawiłem biedną Lily z opończą Letniej Panny, była młodą kobietą, nie starszą od Molly, ale pozbawioną umiejętności i wyszkolenia mojej praktykantki. Składała swoje życie z powrotem do kupy, a jednocześnie radziła sobie z ogromną mocą opończy, odbywała przyśpieszony kurs elfiego przywództwa i usiłowała wszystkiego się nauczyć.

A jeśli kiedy poznawała podstawy nadnaturalnego świata, ktoś u jej boku karmił ją kłamstwami, ktoś, komu ufała, Bóg jeden wiedział, ile z jej wiedzy zostało wypaczone i podbarwione.

– Kto ci powiedział, że przywołałem Intruzów? Maeve?

– Taki arogancki. Śmierdzisz arogancją i oszustwem jak wszyscy magowie. Nawet słynny Merlin, który wybudował to plugastwo. – Zmrużyła oczy. – Ale choć jest skomplikowane, nadal powstało ze śmiertelnej magii. Ten krąg, który wykorzystaliśmy, by powstrzymać twoją ingerencję... to część tutejszej architektury. Musiałyśmy jedynie nakarmić go mocą, by zamknąć to miejsce dla twoich sojuszników, kiedy niszczyłyśmy je od środka.

– Jeśli nie przestaniesz, zniszczysz samą siebie, Lily, i wszystkich, których przyprowadziłaś ze sobą, a oprócz tego zginie mnóstwo niewinnych ludzi.

– Skończ to, Lily! – zawołała Maeve. – Mówiłam ci, że oni kłamią. Śmiertelnicy zawsze kłamią i dlatego musimy być razem. Nie możemy sobie pozwolić, by nas rozdzielono. Pozbądź się go, a wtedy skończymy to, co zaczęłyśmy.

– Lily, proszę. Nie musisz uwierzyć mi na słowo. Nie musisz mi ufać. Ale miej pewność. Sama sprawdź. Wtedy będziesz wiedzieć. Nie musisz tego robić.

Ogień Lata nagle zniknął.

Lily stała nade mną, włosy miała zmierzwiłone, a jej nagie ciało było tak piękne, że to aż bolało. Odezwała się cichym, boleśnie odrętwiałym głosem.

– Nie możesz mi tego mówić. Nie ty. Myślisz, że tego chciałam? Myślisz, że chciałam bólu i śmierci, strachu i wojny? Myślisz, że pragnęłam tej opończy, tej odpowiedzialności? – W jej oczach pojawiły się łzy, choć wyraz jej twarzy się nie zmienił. – Nie chciałam świata. Nie chciałam ogromnych bogactw, sławy ani mocy. Chciałam męża. Dzieci. Miłości. Naszego wspólnego domu. Do tego już nie dojdzie. – Łzy popłynęły, a kiedy do jej głosu powróciły ferwor i wściekłość, znów otoczył ją ogień. – Z twojego powodu. Ponieważ ty zabiłeś Aurorę. Ponieważ ty uczyniłeś mnie tym. Ty podniosłeś rękę na mojego czempiona, mojego przyjaciela, a kiedy zostałeś pokonany, śmiesz mi mówić, co muszę zrobić, a czego mi nie wolno?

– Lily, proszę. Masz wybór.

Maeve śmiała się w tle, a był to śmiech rodem z Azylu Arkham, który odbijał się echem od nagiej, spalonej ziemi.

– Teraz. – W głosie Lily brzmiała gorycz. – Teraz dajesz mi wybór. – Miniaturowa gwiazda znów zapłonęła w jej dłoni. – Oto wybieram, sukinsynu. Rycerzu Zimy, spłoń i zgiń.

Chyba to zrozumiałem. A w każdym razie większość. Lily ze względu na swoją promienną urodę przez całe życie była ofiarą. Lloyd Slate był ostatnim mężczyzną, który ją wykorzystywał, ale wątpię, by pierwszym. Całe życie odbierano jej możliwość dokonywania wyborów, ale ona wyraźnie nie chciała stać się częścią świata elfów.

Jako odmieniec mogła w każdej chwili Wybrać i stać się fae – ale tego nie zrobiła. Później, kiedy zabiłem Aurorę, odebrałem jej nawet wybór, by pozostać człowiekiem.

Nie chciałem tego, kiedy zabiłem Aurorę, ale fakt ten nie zmienił skutków. Tamtej nocy nie zabiłem jedynie Aurory. W pewnym sensie zabiłem również Lily. Wrzuciłem ją do świata, w którym była zagubiona i przerażona. Zasmucona i wściekła Tytania bez wątpienia nie była wspierającą mentorką, której potrzebowała Lily. A nawet jeśli była świeżo narodzoną nieśmiertelną, musiała być ogromnie wściekła, smutna, przerażona – i samotna.

Łatwy łup dla Maeve. Łatwy łup dla Nemezis. Nie byłem pewien, czy mogłem zmienić cokolwiek w tej całej sytuacji, nawet gdybym wiedział, że wymagała zmiany, ale i tak czułem się winny. Może i tak było. To mój wybór wszystko zmienił.

Może to stosowne, że teraz z kolei Lily miała zabić mnie.

Jej płonące oczy wpatrzyły się we mnie, kiedy rzuciła gwiazdkę prosto w moje serce.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Nagle pojawił się srebrny błysk i gwiazdka odbiła się od błyszczącego jak lustro płazu długiego miecza Fixa.

Przeleciała kilkadziesiąt stóp i uderzyła w ziemię z błyskiem i wyciem przegrzanego powietrza, tworząc kolumnę białego płomienia, która najprawdopodobniej miała zastąpić moją głowę i szyję.

Fix podpierał się na jednym łokciu i trzymał miecz lewą dłonią. Wyglądał koszmarnie, ale przetoczył się płynnie i stanął na równych nogach, jakby nic nie ważył.

Znalazł się między mną a Lily.

– Lily! – powiedział Fix. – Co z tobą nie tak?

Patrzyły na niego oczy z płomienia.

– Ty... ty jesteś cały?

– Jak już mówiłem. – Mój głos być może brzmiał nieco piskliwie. Puls mi przyśpieszył.

– Harry, zamknij się. Lily, popatrz na niego. Nie jest zagrożeniem dla nikogo.

Pewnie musiałem wyglądać dość kiepsko, ale i tak...

– Ej – powiedziałem.

Fix przekręcił biodra i kopnął mnie w pierś. Niezbyt mocno, ale w moim stanie to wystarczyło. Przewróciłem się.

– Panie Rycerzu... – odezwała się Lily. – Ja... Fix, to parzy.

– Przestań – powiedział cicho, lecz z naciskiem. – Zabierzmy się stąd, znajdziemy jakieś ciche miejsce, w którym będziesz mogła pomedytować, aż znów nad tym zapanujesz.

– Ja muszę... On próbował cię skrzywdzić.

Głos Fixa stwardniał.

– Ziemia jest czarna i wypalona, Lily. A ja mam szron na pancerzu. On ma poparzone ramiona i barki, a ja obudziłem się cały i zdrowy, leżąc na jedynym skrawku trawy, który pozostał na wzgórzu. – Uniósł miecz. Ostatnie sześć cali ostrza po prostu zniknęło, klinga była na końcu stopiona. Sztych musiał się znajdować poza

zasięgiem mojej tarczy. – Ale było dość gorąco, by stało się to. Zapomnij, co ktokolwiek powiedział. Kto mnie ochronił, Lily?

Wpatrywała się w Fixa, wściekły ogień wciąż ją otaczał, unosił włosy, płonął w jej oczach. Później zamknęła je z jękiem, a ognie zgasły. Gwałtownie odwróciła ode mnie głowę.

Usłyszałem jej szept.

– Tego jest zbyt wiele. Zaraz się rozpadnę.

– Pani? – spytał Fix.

Lily warknęła i zwróciła w moją stronę oczy, w których wciąż płonęły węgielki.

– Zostań, gdzie jesteś, panie Rycerzu. – Wypłuła ostatnie słowo. – Jeśli poruszysz się albo zwrócisz broń lub moc przeciwko naszej sprawie, nie okazę miłosierdzia po raz drugi.

Później odwróciła się i ruszyła w stronę piramidy sidhe atakującej Demonreacha. Jej stopy pozostawiały wyraźne odciski w sadzy i popiele na ziemi. Jej przejście znaczyły niewielkie ogniki, które zaraz gasły, gdy odeszła dalej. Nie powiedziała ani słowa, jedynie uniosła rękę, a wtedy coś przypominającego niewidzialną piaszczarkę zaczęło znów atakować Demonreacha.

Patrzyłem zbyt wyczerpany, by się poruszyć. Jak zauważyłem, rzeczywiście miałem poparzenia na ramionach. Nie czułem ich. Nie wyglądały szczególnie malowniczo, ale były.

– Fix. Dziękuję.

Popatrzył na mnie z rezerwą, ale lekko skinął głową.

– Najwyraźniej byłem twoim dłużnikiem, Zimo. – Jego oczy zamigotały, przez krótką chwilę. – Nie można na to pozwolić.

Zaśmiałem się słabo.

– Nie. Nie, coś by się mogło popsuć.

– Popsuł się mój przeklęty nadgarstek. – Prychnął. – Szczeka też nie jest w najlepszym stanie. Dobry cios.

– Oszukiwałem.

– W naszym biznesie nie ma czegoś takiego. Powinienem wiedzieć, że mnie podpuszczałeś, kiedy mówiłeś takie rzeczy. W większości walk, w jakich uczestniczyłem, nie było zbyt wiele szyderstw i obelg.

– Zadbaj o jakość. Zawsze jest miejsce na obelgę albo dwie.

Uśmiechnął się, choć wyraźnie z bólem. Na próbę poruszył palcami prawej ręki.

– Skończyłeś już?

Powoli wypuściłem powietrze i nie odpowiedziałem.

– Ile z tego, co jej powiedziałaś, jest prawdą?

– A co słyszałeś?

– Właściwie wszystko po tym, jak wyciągnąłeś ze mnie nóż.

– Gwóźdź – poprawiłem go i uniosłem szpikulec, by mógł zobaczyć. Wciąż była na nim jego krew.

Fix robił wrażenie nieco zbolatego.

– Harry, czy mógłbyś?

– Jasne.

Zdarłem krew z gwoździa, trąc nim o ziemię.

– Dzięki. – Fix wpatrzył się zmrużonymi oczyma w ścianę, a później we mnie. – Do diabła, jak się tu dostałeś?

– Tajemnica zawodowa. A jak wy się tu dostaliście? Wiem, że nie łodzia.

– Przylecieliśmy. Zmiennokształtni. Ja zeskoczyłem z paralotni nad jeziorem i opadłem na spadochronie.

– A niech mnie. To dość ekstremalne.

– Jeszcze do tego nie doszedłem.

– Czyli wyładowaliście tutaj i postawiliście krąg?

– Tajemnica zawodowa – odparł ostrożnie. – Wiesz oczywiście, że nie siedzimy w tym samym okopie, prawda? Możemy być zaprzyjaźnionymi wrogami. To w sumie tradycyjne. Ale nie stoimy po tej samej stronie.

– Nie. Ty stoisz po niewłaściwej stronie. Może więcej niż jednej.

– Tak wygląda każdy konflikt. Nie wszyscy mogą mieć rację w takim samym stopniu, Harry.

– Ale uwierz mi, każdy może się w takim samym stopniu mylić. Fix, tu chodzi o coś więcej niż Zima i Lato.

Zmarszczył czoło.

– Powiedz mi jedno. Nie proszę cię o żadne szczegóły, o nic, co mógłbym wykorzystać przeciwko tobie później. – Jakby Maeve zamierzała mi pozwolić na jakieś później. – Powiedz mi tylko jedno. Czy Maeve kiedykolwiek poprosiła cię, żebyś uwierzył jej na słowo? I po prostu powiedziała ci, że coś jest prawdą? Otwarcie?

Zmarszczki na czole Fixa się pogłębiły.

– A ty pomyślałeś sobie „Hej, to dziwne. Ona nigdy nikomu niczego nie mówi otwarcie”.

Rozchylił usta i wpatrzył się w Maeve.

– I pomyślałeś sobie, że gdyby powiedział to ktoś inny niż jedna z Panien, zastanawiałby się, czy przypadkiem nie kłamie. Ale ona nie miała żadnego pola do manewru, więc to musiała być prawda.

– I co z tego? – spytał bardzo cicho.

– Pozwól, że zadam ci pytanie. Gdybyś założył, że ona może skłamać, choćby tylko raz... w jaki sposób zmieniłoby to obraz sytuacji?

Fix może i miał skłonność do naiwnego idealizmu, ale nigdy nie był głupi.

– Och – sapnął. – No tak.

– Pamiętasz, jak Lily otworzyła nam drzwi do Arctis Tor?

– Pewnie.

– Gdy dotarliśmy do środka, zobaczyliśmy Leanansidhe zmienioną w lodową rzeźbę w ogrodzie Mab. Ponieważ coś w nią wniknęło i wpływało na jej działania. Mab była w połowie egzorcyzmu opartego na modelu epoki lodowcowej.

– I?

– A jeśli ten intruz dostał się do wody, zanim Mab go złapała? A jeśli dostał się do Maeve?

– To wariactwo. Przecież to Mab oszalała.

– Naprawdę? Czy to takie wariactwo? Pamiętasz tamto spotkanie u Maca? Pamiętasz, jak się dowiedzieliśmy, że Mab postradała zmysły?

– Maeve powiedziała... – Nagle umilkł.

– Tak. Minutę temu powiedziałeś Lily, żeby zignorowała słowa i patrzyła na czyny. Równie dobrze jak ja wiesz, co jest ważniejsze. Wiesz, kim jestem i co zrobiłem. Dlatego zadam jeszcze jedno pytanie. Czyim pomysłem było przybycie tu dzisiaj? Lily? Czy Maeve?

Krew odpłynęła mu z twarzy.

– O. Kurwa.

Pochyliłem głowę.

– Fix, ocaliłem cię, bo jesteś porządnym gościem, i nie obchodzi mnie, że gramy w różnych drużynach. Nie chcę twojej śmierci.

– Tak – powiedział cicho. – To... jest dość ważne. Ale może wiedziałeś, że tak pomyślę. Może zrobiłeś to, żeby móc mnie wykorzystać.

– Może przypisujesz mi większy spryt, niż na to zasługuję. Wiesz, jak działałam. Jak często wymyślam sprytne, eleganckie rozwiązanie, które doprowadza wszystkie wątki do końca? Możesz teraz na mnie spojrzeć i szczerze powiedzieć sobie: „Dresden, ten przebiegły geniusz! To musi być część jego przemyślnego planu”?

Rozłożyłem szeroko ręce i popatrzyłem na niego wyczekująco.

Fix patrzył na mnie, brudnego, nagiego, drżącego, poparzonego, posiniaczonego, pokrytego sadzą i popiołem.

– Kurwa – powtórzył i spojrzał na Panny.

– Nie sądzę, by Maeve zrobiła coś z głową Lily. Myślę, że nie musiała. Przypuszczam, że Lily była bardzo niepewna siebie i samotna, i wystarczyło, że Maeve zachowywała się w miarę jak człowiek. Dała Lily kogoś, kto jej zdaniem rozumiał to, przez co przechodziła. Kogoś, kto jej zdaniem mógł ją wspierać.

– Przyjaciela.

– Tak.

– Każdy chce mieć przyjaciół – powiedział cicho Fix. – Czy to coś złego?

– Thelma i Louise były przyjaciółkami. – Wskazałem na trójkąt. – Kanion.

Mięśnie na jego szczęcie zadrżały kilka razy.

– Nawet jeśli... nawet jeśli jesteś szczery i się nie mylisz... a nie mówię, że tak jest... to co z tego? Te koterie z nimi to ich wewnętrzny krąg. Będą posłuszni bez słowa wątpliwości. Tobie nie pozostała siła do walki. A ja z całą pewnością nie zaatakuję ich wszystkich.

Nie chciałem tego powiedzieć, zdradzić niczego potencjalnemu wrogowi. Nemezis mogło przecież opanować Fixa. Mogło w tej właśnie chwili przebywać w jego wnętrzu i uśmiechać się szyderczo na myśl o dobrych stosunkach, jakie właśnie układało sobie ze mną. Taki był paskudny fakt.

Ale czasami trzeba zignorować kalkulacje i...

I kierować się mądrością serca.

Serce podpowiadało mi, że Fix był porządnym gościem.

– Fix, znam wyspę. To właściwie moje terytorium. Tak się przedostałem. I wiem, że jeśli Maeve dopnie swego, ta wyspa zmieni się w Górę Świętej Heleny i zabierze ze sobą Chicago.

Patrzył na mnie w zamyśleniu i ze zmarszczonym czołem.

– Moja córka jest w mieście – szepnąłem. – Umrze.

Zamrugnął.

– Ty masz...? – Nagle odchylił się nieco do tyłu, gdy zorientował się, jak bardzo mu zaufałem. – Och. Jezu, Dresden.

Odetchnąłem głęboko i naciskałem dalej.

– Gon jest na zewnątrz i spuszcza łomot Intruzom. I zwycięża. A moja ekipa jest tutaj. Murphy, Molly, Thomas, Myszek. Jeśli uda mi się zlikwidować krąg, nie

będziemy sami.

– A od kiedy są jacyś „my”? – spytał twardym i beznamiętnym tonem.

Popatrzyłem na niego i zobaczyłem uśmiech w kącikach jego oczu.

Czasami mądrość serca nie jest niczym złym.

– Nie pozwolę, by cokolwiek skrzywdziło Lily – stwierdził. – Z żadnego powodu.
Kropka.

– Zgoda. To Maeve jest tym złym.

Sprawdził prawą rękę i poruszył nią nieco bardziej, zanim się skrzywił.

– Nie wiem, co ci to da, ale na ile umiem to ocenić, był to po prostu krąg rytualny, taki sam jak wszystkie inne.

– Jak to?

– Kiedy wylądowaliśmy, Maeve wysłała kilka ogarów i trochę Małego Ludku, żeby zajęli się tobą, a sama skierowała się prosto do latarni... i wtedy strażnik wyłonił się z ziemi, tam gdzie stoi teraz. Maeve zaatakowała ducha, dokładnie tak jak teraz. Zajmowała go, kiedy Lily szła dookoła szczytu i śpiewała. Widziałem tysiące razy, jak tworzyła takie kręgi. Ale kiedy doszła do końca, bum, powstała ściana.

Chrząknąłem.

– W takim razie... to przygotowana wcześniej obrona, która może zostać uruchomiona jak... na dzwony piekieł, nie jak osłona. To jest osłona. Wielka. Ale jeśli to, co pochodzi z wyspy, może przejść przez krąg, nie naruszając go, a to, co nie pochodzi z wyspy, zostaje zniszczone... – Doszedłem do logicznego wniosku i skłęsem.

– Co wtedy?

– Nie ma sposobu, by przerwać krąg – sapnąłem. – To jak sejf z zamkiem czasowym. Nie zniknie do wschodu słońca.

– Co znaczy?

Przełknąłem ślinę. Wschód słońca to zbyt późno. Dlatego zebrałem resztki siły, które mi pozostały, i powoli, ze zmęczeniem podniosłem się na nogi.

– To znaczy – powiedziałem – że jesteśmy sami.

Fix wpatrzył się w środek polany. Podał mi srebrzysty nóż, który wyjął zza pasa, i stwierdził:

– I znów zaczynasz z tym „my”.

Rozdział pięćdziesiąty

Ruszyłem. Pierwsze kilka kroków było niepewne, ale później załapałem, o co chodzi.

Fix dotrzymywał mi kroku.

– Masz jakiś plan?

– Maeve. Zabijam ją.

Co było od początku cholernym rozkazem Mab.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Wiesz, że ona jest nieśmiertelna, prawda?

– Tak.

Zmrużył oczy.

– Co mam robić?

– Przyszpiliły strażnika. Myślę, że jedna z tych ekip musi zostać na miejscu, żeby się nie uwolnił. Inaczej Maeve już by się na mnie rzuciła razem z Lily.

Fix pokiwał głową.

– Ona nigdy nie przepuści okazji, by wyrwać skrzydełka muchom. – Zmarszczył czoło. – Co się stanie, jeśli strażnik się uwolni?

Nie byłem pewien. Demonreacha cechowała ogromna moc, absolutne oddanie zadaniu i brak umiaru. Nie miałem większego pojęcia o jego umiejętnościach taktycznych. Nie wiedziałem, czy mógłby pomóc w walce. Właściwie miałem nadzieję, że tego nie zrobi... wyobraźcie sobie próbę zabicia określonych mrówek, w całym tłumie mrówek, za pomocą kija do baseballa. Byłem przekonany, że gdyby Demonreach zamachnął się na kogoś, wołałbym się znaleźć co najmniej za horyzontem.

Właściwie, jak sobie uświadomiłem, na tym pewnie polegał problem. Demonreach istniał na skalę epicką. Nie był ani stworzony, ani zdolny do skutecznego radzenia sobie z istotami o tak względnie małym znaczeniu. Stawienie czoła Kroczącemu i niewielkiej armii Intruzów nie było dla wyspy ogromnym problemem. Ale Maeve i Lily się prześlizgnęły. One i ich towarzysze były jak wróble atakujące orła. Orzeł był większy, silniejszy i zdolny do zabicia każdego z nich, co nie miało najmniejszego znaczenia.

A poza tym Demonreach był *genius loci*, duchem natury. Elfy były blisko związane z naturą na poziomie, którego nikomu nie udało się w pełni pojąć. Pewnie można by argumentować, że Demonreach był jednym z fae, a przynajmniej ich bliskim krewnym. Tak czy inaczej, opończe Letniej i Zimowej Panny nosły ze sobą pewną władzę i moc nad istotami w rodzaju Demonreacha. Najwyraźniej nie miały pełnej zwierzchności nad duchem strażniczym, bo opierał się im. Było równie oczywiste, że coś jednak miały, ponieważ nie próbował ich zmiążyć.

– Nie jestem pewien – odparłem. – Ale chodzi o to, że jeśli rzucimy się na Maeve, Lily będzie zbyt zajęta pilnowaniem strażnika, żeby się włączyć.

– My dwaj mamy zaatakować całą dziesiątkę?

– Nie. Ja zajmę się Maeve. Ty pozostałą dziewiątką.

– A jeśli nie będą współpracować?

– Zbesztaj ich.

Fix prychnął.

– To nie potrwa długo. Tak czy inaczej. I... to doprowadzi do wojny, jeśli Rycerz Lata zaatakuje arystokratów Zimowego Dworu.

– Wcale nie. Nie są arystokratami. Są banitami. Właśnie wyjąłem ich spod prawa, władzą, jaką mi nadano, i tak dalej. Niniejszym ogłaszam nas również wspólnymi siłami ekspedycyjnymi.

– Jesteśmy siłami ekspedycyjnymi?

– Od tej pory.

Fix przyjaźnie pokiwał głową.

– Jeśli zatańczymy dość szybko, może uda nam się kogoś przekonać. I co dalej?

– Jeśli obaj przeżyjemy, wymyślimy coś.

Zrobiliśmy jeszcze kilka kroków, zanim Fix stwierdził:

– Nie pokonasz Maeve, magu. Nie w obecnym stanie. Nawet gdyby była sama.

– Owszem. Ja tego nie zrobię.

Ale Rycerz Zimy to inna kwestia.

Od kiedy wstałem z łóżka w swoich pokojach w Arctis Tor, czułem w swoim wnętrzu moc opończy Rycerza Zimy i powstrzymywałem ją. Czułem pierwotne instynkty, które były jego mocą, potrzebę polowania, walki, obrony terytorium, zabijania. Naturą Zimy były piękna przemoc, brutalna jasność, najdziksze potrzeby, zwierzęce pożądania i instynkt zabójcy przeciwstawione porze zimna i śmierci – wola i pragnienie, by walczyć, by żyć, nawet kiedy nie było schronienia, ciepła, wytchnienia, nadziei i pomocy.

Walczyłem z tym popędem, tłumilem go, powstrzymywałem. Ta dzikość nie przynależała do świata sklepów spożywczych, koców elektrycznych i pokojowych zgromadzeń. Przynależała do takich chwil.

Dlatego wpuściłem Zimę do środka i wszystko się zmieniło.

Moje zmęczenie zniknęło. Nie dlatego, że moje ciało nie było już znużone, ale dlatego, że moje ciało przestało się liczyć – ważna była jedynie moja wola. Mój strach również zniknął. Strach jest dla zdobywcy. Strach jest dla istot, na które miałem zapolować.

Moje wątpliwości także zniknęły. Wątpliwości były dla istot, które nie znały swojego celu, a ja go znałem. To była sprawa Zimy, sprawa elfów i sprawa rodzinna, i było absolutnie stosowne, że jedynie istoty z Faerie mogły ją rozwiązać. Wiedziałem dokładnie, co musiałem zrobić.

Czekało na mnie gardło, które należało rozszarpać.

– Harry? – spytał Fix. – Nic ci nie jest?

Spojrzałem na niego z ukosa. Jako towarzysz w łowach Fix nie robił większego wrażenia, ale widziałem go już w akcji. Nie należało go nie doceniać. I potrzebowałem go. Kiedy przestanę, wszystko może się zmienić, bo przebywał na mojej wyspie, a czegoś takiego nie mogłem tolerować. Ale jak na razie mogłem wylądować gorzej niż z nim u boku.

– Jestem trochę głodny. – Uśmiechnąłem się. – Proszę. Nie potrzebuję go.

Rzuciłem mu nóż, ostrzem do przodu.

Złapał go zwinnie za rękojeść. Zobaczyłem drobne zmiany w cieniach na jego szyi, kiedy napiął ramiona.

– Pamiętaj. Masz żelazo.

Nie zaśmiałem się szyderczo, bo jaki by to miało sens? Ale przesunąłem gwóźdź między palcami i usłyszałem, jak zgrzyta o lód.

Popatrzyłem w dół i zorientowałem się, że para wodna w powietrzu skondensowała w lód, który otoczył czubki moich palców. Wziąłem gwóźdź w zęby, żeby przyjrzeć się dłoniom. Na moich oczach zaczęły powstawać sople lodu, pod wpływem czystego instynktu, wyrastające z czubków moich palców. Poruszyłem nimi kilka razy i zauważyłem powstające krawędzie, lód był twardy i ostry jak brzytwa. Nieźle.

Zastanawiałem się przez chwilę. Pancierz? Zbyt ciężki. To musiało się wydarzyć szybko. Poza tym nie chciałem, by pancierz wchodził mi w drogę w tym, co miało się wydarzyć później. To była ta przyjemna część.

– Czas się zabawić – powiedziałem z gwoździem w zębach.

Zrobiłem cztery kroki, rozpędzając się, i wyskoczyłem w powietrze w stronę Maeve. Pięćdziesiąt stóp. Żaden problem. To było wspaniałe, ta wolność, ta pewność, i nie umiałem sobie wyobrazić, dlaczego wcześniej nie chciałem przyjąć Zimy.

Przytrafiały mi się złe rzeczy. Najwyższa, kurwa, pora, żebym to ja zaczął przytrafiać się im.

Maeve musiała coś wyczuć w ostatniej chwili, mimo skupienia na Demonreachu. Znajdowałem się w odległości ułamka sekundy, kiedy poruszyła się z wężową szybkością sidhe i rzuciła się w bok. Moje szpony minęły jej gardło o cale. Odcięły jednak jeden z jej dredów, który zawisł w powietrzu, kiedy wylądowałem na ziemi. Moje nogi zaabsorbowały wstrząs, gdy stopy wbiły się w błotnistą ziemię w pobliżu latarni.

Koteria Maeve przez chwilę była całkowicie wstrząśnięta, a ja wykorzystałem to, żeby zadać cios oczom Redcapa, podczas gdy Fix wylądował na ramionach trupiogłowego i wytrącił stwora z równowagi, aż ten przewrócił się do przodu.

Poczułem, że moje pazury trafiły. Redcap wrzasnął i cofnął się. Odskoczył do tyłu, trącąc jednego z sidhe z ogrodu botanicznego, który stał za nim. Ten sidhe miał otępiłą, zdezorientowaną minę, kiedy próbował wyjść ze skupienia na pomocy Maeve w rzucaniu nagle przerwane zaklęcia. Nie ma czasu do namysłu. Szpony z zakrwawionego lodu błysnęły przed nim i rozciąłem mu gardło aż po tchawicę. Padł na ziemię ze zduszonym krzykiem, a ja stanąłem mu na piersi, żeby skoczyć na tych dwóch za nim – jeden był powykręcaną postacią ukrytą pod obszernym szarym płaszczem z kapturem, a drugi chudym, tykawatym czymś z głową dzika, pokrytym tatuażami i kościanymi paciorkami.

Postawiłem stopę na płaszczu i wbiłem szponiastą rękę w ciało za nim, wrywając coś żyłastego, gorącego i śliskiego. Dzikogłowy stwór szarpnął moje ciało kłami i poczułem jaskrawy, odległy ból w okolicy żeber. Wbiłem stopę między jego nogi w kopniaku, który uniósł go sześć cali nad ziemię, a szponami odciąłem mu ucho i pół twarzy.

Wyczułem Fixa za plecami i usłyszałem zduszone:

– Na ziemię!

Padłem na kolana i znów poderwałem się na równe nogi. Kiedy znajdowałem się niżej, miecz Fixa przeleciał nad moją głową, wbił się w pierś dzikowatego i wycofał ze świstem, ciągnąc za sobą świeżą krew.

Nagle rozległ się ryk, dźwięk, który brzmiał, jakby wydawało go coś naprawdę

ogromnego, i ktoś wbił pień drzewa w mój krzyż. Przewróciłem się i poczułem srebrny ból w całym ciele. Przetoczyłem się i podniosłem prawie na równe nogi, jedną ręką podtrzymywałem część swojego ciężaru, a drugą uniosłem w obronnym geście.

To był trupiogłowy.

Trupiogłowi są pasożytami, istotami, które tworzą swoje ciała z kości i krwi świeżo zabitych istot. Zdarzały się częściej, kiedy w każdym gospodarstwie i w każdej wiosce codziennie coś zarzynano, w czasach przed sklepami spożywczymi i fast-foodami. Jak zauważyłem wcześniej, ten był ogromny, większy niż para dużych jeleni, wysoki na dwanaście stóp i ważący co najmniej tonę. Utracił płaszcz i wyglądał teraz jak dziwaczna rzeźba z kości różnych istot zalanych świeżą krwią. Miał czaszkę czegoś dużego, może hipopotama albo nosorożca, a w jej pustych oczodołach tańczyły światełka. Wciągnął ze świstem powietrze i znów zaryczał.

Fix podniósł się z ziemi, podskoczył, jakby nic mu się nie stało – ale Redcap i czwórka innych sidhe szli w jego stronę z wyciągniętą bronią. Rycerz Lata odwrócił się do nich z klingą w dłoni, a na jego twarzy malował się lekki uśmieszek.

– No, no, no. – Maeve wyłoniła się zza nogi trupiogłowego i popatrzyła na mnie wyraźnie oceniająco. – Kto by powiedział, że po ubrudzeniu będziesz wyglądał tak dobrze, magu? Chodzi mi o te szpony, tę krew, te oczy. – Zadrzała. – Rusza mnie. Zawsze miałam słabość do złych chłopców.

Uśmiechnąłem się wokół gwoźdźcia.

– To zabawne. Bo ja też mam coś dla ciebie.

– Ach tak? – Oblizwała wargi. – W końcu zamierzasz mnie nabić, wielkoludzie? Byłeś taki nieskory.

– Koniec z podpuszczaniem.

Maeve założyła obie ręce za plecami i wygięła ciało, wypychając pierś w moją stronę. Nie była to szczególnie imponująca pierś, ale ładnie ukształtowana, blada i śliczna, i okryta stanowczo zbyt obszernym bikini jak na mój gust. Z mojego gardła wyrwało się warknięcie.

– Zgadza się. – Szeroko otwarte oczy Maeve nie mrugały. – Wiem, co czujesz. Potrzeba walki. Zabijania. Zdobywania. Rżnięcia. – Zrobiła kilka powolnych kroków w moją stronę, kołysząc biodrami. – Zgadza się. Dokładnie to powinieneś czuć.

Poruszyłem palcami wolnej ręki i przygotowałem się do ciosu. Musiała jedynie podejść odrobinę bliżej.

– Możesz sobie wyobrazić coś takiego przez cały czas, magu? – zamruczała Maeve. Z miejsca, gdzie znajdował się Fix, dobiegł dźwięk stali. Zignorowałem ją. Jeszcze

dwa kroki. – Możesz sobie wyobrazić, że przez cały czas będziesz się czuł tak silny? Możesz sobie wyobrazić taki głód? – Zrobiła kolejny krok i znów odetchnęła głęboko. – I karmienie tego głodu. Zaspokajanie go. Ciałem i krzykami.

Wysunęła lewą rękę zza pleców i przesunęła dłonią po brzuchu i boku.

– To ciało. Nie oddałabym ci go. Walczyłabym, rzucała ci wyzwanie, byś zrobił wszystko, co najgorsze. Mógłbyś uwolnić każdą ze swoich bolesnych potrzeb. A to byłby dopiero początek.

Oddychałem teraz ciężko, choć jeszcze przed chwilą było inaczej. Wpatrzyłem się w ruch mięśni i skóry na jej odsłoniętym brzuchu. Pazury tak łatwo rozszarpałyby jej wnętrzności. Albo mógłbym użyć zębów. Albo samego języka.

– Seks i przemoc – zamruczała Maeve. Zrobiła kilka kolejnych kroków w moją stronę, ale nie byłem pewien kiedy. Albo dlaczego to miało znaczenie. – Głód i potrzeba. Posiądź mnie, tutaj, na tej ziemi. Nie dawaj mi przyjemności, magu. Po prostu mnie posiądź. Wypuść ją, tę bestię w swoim wnętrzu. Pragnę tego. Wyzywam cię. – Jej palce rozpięły guzik króciutkich szortów. – Przestań sobie zaprzeczać. Przestań myśleć. Czujesz, że to jest właściwe.

Do diabła, tak. Maeve mogła być jedną z sidhe, i być szybka, i mieć do dyspozycji wszelkiego rodzaju magiczne moce, ale nie była silniejsza ode mnie. Gdybym popchnął ją na ziemię, mógłbym zrobić z nią, co tylko zechcę. Poczułem, że się ślinię. Trochę mogło popłynąć z kącika moich ust.

Maeve podeszła jeszcze bliżej i szepnęła:

– Przyszedłeś po gardło, prawda? – Przechyliła głowę i przesunęła dłoń w górę po smukłym ciele, by odsunąć włosy na bok, odsłaniając szyję. Jej biodra poruszały się przez cały czas, gdy przenosiła ciężar z jednej nogi na drugą, co ciągle odwracało moją uwagę. Jej szyja była szczupła i śliczna. – Oto jest. Chodź do mnie, mój Rycerzu. Już dobrze. Wypuść to, a ja sprawię, że będzie warto.

Jej gardło. Pragnąłem go z jakiegoś powodu, pomyślałem. Ale teraz tylko pragnąłem. Tak należało to zrobić. Zaciśnąć zęby na jej gardle, kiedy ją posiadę. Gdyby się broniła – albo nie broniła wystarczająco – mógłbym rozszarpać je aż do krwi.

– Tak powinno być – wymruczała Maeve. – Rycerz i Panna, razem. Różący się jak zwierzęta. Biorący, co tylko zechcemy. – Na jej wargach pojawił się uśmiech. – Myślałam, że nigdy tego nie wpuścisz. Nie wpuścisz głęboko, gdzie mogę sięgnąć. – Na jej twarzy pojawiła się udawana młodzieńcza niewinność. – Ale teraz mogę go dotknąć, prawda?

Zawarczałem. Zapomniałem, czym była ta druga rzecz. Mogłem myśleć jedynie o potrzebie. Potraktować ją jako swoją samicę. Wziąć od niej, co tylko chciałem. Uczynić ją swoją.

Tyle tylko...

Chwileczkę.

Przepęłniła mnie fala czystego przerażenia i ta energia wystarczyła, bym wyrwał Zimę ze swoich myśli, odepchnął ją. Nie chciała odejść. Walczyła ze mną o każdy cal, wyła, wypełniona prymitywnym pragnieniem ciała i krwi.

Nagle rozboleły mnie zębra. Trochę kręciło mi się w głowie. I potrzebowałem tej ręki na ziemi, żeby utrzymać równowagę.

Maeve w tej samej chwili zauważyła, że odzyskałem panowanie nad sobą. Niemal zamknęła powieki i odetchnęła.

– Ach. Tak blisko. Ale może wciąż jest czas. To twoja laska, magu, czy tylko tak się cieszysz na mój widok?

Odsłoniłem zęby.

– Maeve...

– Doskonale. W ciągu jednej nocy uwolnię Śpiących, zabiję zrodzonego pod gwiazdami, zakończę istnienie tego kłopotliwego ludzkiego miasta i rozpocznę wojnę między Zimą a Latem. Nim zacznie się prawdziwe natarcie na Bramę, Zima i Lato będą na siebie polować i będą tak zajęte wydrapywaniem sobie nawzajem oczu, że nie zauważą, co się szykuje... a to wszystko dzięki mnie. I oczywiście tobie. Bez ciebie bym tego nie dokonała.

Kiedy wypowiedziała te ostatnie słowa, nachyliła się odrobinę niżej, a ja próbowałem rozszarpać jej gardło pazurami.

Byłem wyczerpany i powolny, zupełnie brakowało mi skupionej mocy i precyzji, którą czułem pod wpływem Zimy. O ułamek cala odchyliła głowę od tyłu, a mój cios spudłował i poleciał na ziemię.

Maeve roześmiała się dźwięcznie i klasnęła w dłonie. Później od niechcienia machnęła palcami w moją stronę i powiedziała do trupiogłowego:

– Rozerwij go na strzępy.

Trupiogłowy zrobił dwa ciężkie kroki w moją stronę i sięgnął do mnie kościstymi, zakrwawionymi szponami.

Ale zanim zdążył mnie chwycić, rozległy się kroki i czworonożna postać składająca się w całości z czegoś, co wyglądało jak błoto, wbiła się w jego najbardziej tylną nogę.

Błotna istota mocno trafiła trupiogłowego. Siła jej uderzenia sprawiła, że kości

popękały i pod trupiogłowym ugięła się noga. Elfi olbrzym wydał z siebie potężny ryk. Poleciała tona zakrwawionych kości, a błotny stwór wciąż go atakował błyszczącymi białymi zębami.

Zawarczał.

Jego ubłoconą szczękę otoczyła aureola niebieskiego światła.

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem kolejne błotne istoty biegnące w górę wzgórza, choć pozostałe były dwunożne, różnych rozmiarów i kształtów. Pierwsza, która do mnie dotarła, wyciągnęła stalowy miecz z zabłoconej pochwy i również zaatakowała trupiogłowego. Falcata uderzała z brutalną siłą zwykle zarezerwowaną dla cholernego topora. Srebrne oczy błyszczały w niekształtnej, pokrytej błotem twarzy.

Thomas.

Maeve warknęła i ruszyła w moją stronę, wyciągając zza pleców prawą rękę. W palcach ścisnęła malutki pistolet automatyczny, choć Bóg jeden wie, gdzie go ukrywała. Zaczęła go unosić, ale zanim zdążyła nacisnąć spust, rozległy się strzały, ostre i wyraźne. Jeden z pocisków trafił w ziemię jakieś trzy stopy od Maeve, która odskoczyła w bok i zniknęła za zasłoną.

Najdrobniejsza błotna postać podeszła do mnie i opuściła zabłocone P-90. Chwyciła mnie drobną ręką pod ramię, jej niebieskie oczy były zaczerwienione i mrugały gwałtownie. Z zaskakującą siłą odciągnęła mnie od trupiogłowego, podczas gdy Thomas i Myszek z nim walczyli.

Pozostali rzucili się na pomoc Karrin i kiedy ona nas osłaniała, zabłocony Mac wsunął pode mnie ramię i z sapnięciem przerzucił mnie sobie przez plecy.

– Chodźcie – powiedziała Karrin. – Do chaty.

Trzymała P-90 w gotowości, Mac mnie targał, a dwie inne zabłocone postacie, Sarissa i Justine, truchtały obok nas. Po krótkiej chwili Mac opuścił mnie, względnie łagodnie, na podłogę chaty. Karrin wciąż celowała w drzwi.

– Karrin – sapnąłem.

Nie odwracała wzroku od wejścia.

– Mieliśmy dość czekania na ciebie. Jestem tutaj.

Wyplułem gwóźdź na rękę.

– Jak? – Spojrzałem na nich z ukosa. – Błoto. Pokryliście się błotem.

– Wszędzie – potwierdziła. – Nozdrza, oczy, uszy, wszystko, czego mogło dotknąć światło. Doszliśmy do wniosku, że jeśli coś całkiem się nim pokryje, będzie mogło przedostać się przez ścianę. Boże, zamierzam spędzić tydzień pod prysznicem.

To było sprytne. Mechanizm obronny nie był istotą myślącą, zdolną do oceny sytuacji. Był jedynie maszyną, choć stworzoną z magii, połączeniem wykrywacza i elektrycznej packi na muchy. Kiedy pokryli się błotem, przekonali go, że pochodzą z wyspy.

Na zewnątrz chaty zaryczał trupiogłowy i rozległo się wyzywające bojowe szczekanie Myszka.

– To szaleństwo – szepnęła Sarissa.

– Kamienie chaty pokrywają zaklęcia ochronne. Nie jestem pewien, jak dobrze zadziałają, ale powinny pomóc. – Spojrzałem znów na Karrin. – Gdzie Molly?

– Na zewnątrz, udaje Niewidzialną Dziewczynę.

Rozległo się głośne uderzenie i Myszek wydał z siebie przeraźliwe zbolełe skomlenie.

I zapanowała cisza.

Karrin oddychała coraz szybciej. Mocniej chwyciła broń.

– Boże – jęknęła Sarissa. – Boże, Boże, Boże.

Też byłbym przerażony, ale byłem zbyt zmęczony, by ten stan się utrzymał.

Nie było żadnego ostrzeżenia, niczego. Trupiogłowy wepchnął łapę do chaty, złapał za pistolet Karrin i wyciągnął ją na zewnątrz. Zabrzmiało kilka strzałów, kiedy zniknęła.

A później znów zapanowała cisza.

– Musimy uciekać – szepnęła Sarissa. – Harry, proszę, powinniśmy uciekać. Otwórz Ścieżkę do Nigdynigdy. Wydostań nas stąd.

– Mam przeczucie, że nie spodobałaby się nam część Nigdynigdy, z którą graniczy to miejsce.

– Panie Rycerzu! – zawołała Maeve. – Wyjdź, wyjdź, gdziekolwiek jesteś, ty i wszyscy z tobą. Albo zacznę się zabawiać z twoimi przyjaciółmi.

– A może sama tu przyjdiesz, Maeve?! – odkrzyknąłem. – Porozmawiamy o tym.

Zaczekałem na odpowiedź. Dostałem ją minutę później. Karrin wydała z siebie bolesny jęk.

– Do diabła. – Zacząłem znów się podnosić. – Chodźcie.

– Co takiego? – spytała Sarissa. – Nie, nie mogę stąd wyjść.

– Zaraz to zrobisz – powiedziałem cicho. – Mac.

– Jeśli wyjdziemy, zabije nas.

– Jeśli tego nie zrobimy, i tak nas zabije. Zaczynając od Karrin. Maeve lubi robić ludziom krzywdę. Może uda nam się podpuszczać ją wystarczająco długo...

– Aż co? – spytała Sarissa. – Wziedzie słońce? Zostało jeszcze wiele godzin.

Justine położyła dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Ale pozostaniemy żywi odrobinę dłużej. Póki życia, póty nadziei.

– Nie rozumiesz. Nie dla mnie.

Karrin wydała z siebie kolejny jęk bólu, a ja zazgrzytałem zębami.

– Sarisso, nie mamy wyboru. Lily w ataku złości prawie usmażyła czubek wzgórza. Maeve jest zdolna do gorszych rzeczy. Jeśli tu zostaniemy, zrobi to.

– Umrzeć teraz albo zostać zamęczonym na śmierć za kilka godzin – powiedziała Sarissa. – Taki jest nasz wybór?

– Gramy na czas. Gramy na czas, żebym mógł się zastanowić i może wymyślić jakiś sposób, żeby wydobyć nas z tego pierdolnika. A teraz wstawaj albo, Bóg mi świadkiem, wyniosę cię.

W oczach Sarissy pojawił się błysk złości. Ale wstała.

– W porządku, Maeve! – zawołałem. – Wygrałaś! Wychodzimy!

Uniosłem ręce i wyszedłem z mizernej, prowizorycznej osłony zrujnowanej chaty.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Maeve napawała się swoim zwycięstwem.

Stała na stercie kamieni, które spadły z latarni, obok Letniej Panny i jej koterii, która wciąż skupiała się na powstrzymaniu Demonreacha. Na ziemi przed nią leżeli Thomas, Karrin i Myszek. Myszek został związany jak baleron, a jego pysk otaczały grube pasma czegoś, co wyglądało jak czarny lód. Nie szarpał się, ale jego głębokie ciemne oczy śledziły wszystko, co się poruszało. Karrin siedziała z rękami związanymi za plecami, nachmurzona tak bardzo, że widziałem jej minę nawet przez błoto. A mój brat leżał na ziemi, związany jak Myszek, i nie wyglądał na przytomnego.

Trupiołowy górował nad nimi, minus jedna ręka. Brakujące ramię leżało na ziemi – sterta kruchych, popękanych kości połączonych zwietrzałymi pasmami czegoś, co wyglądało jak czerwone włókna. Stwór nie miał miny, którą mógłbym odczytać, ale odnosiłem wrażenie, że blask w jego oczach był jednocześnie ponury i pełen zadowolenia. Redcap stał nieco z boku. Połowa jego twarzy była krwawą raną i pozostało mu tylko jedno zdrowe oko. Od niechcienia unosił P-90 Karrin, z którego spadła większość błota. Obok niego dwaj sidhe przytrzymywali ramiona Fixa za jego plecami. Rycerz Lata miał siniec na całej lewej stronie twarzy, sięgający aż do linii włosów.

Ale Molly nigdzie nie było widać.

Może i dostałem kiepskie karty do ręki, ale wciąż gdzieś miałem asa w rękawie.

Maeve zeskoczyła z obalonych kamieni, wciąż z pistolecikiem w dłoni, i uśmiechnęła się szeroko.

– Dzięki tobie zrobiło się ciekawie, Dresdenie. Tyle muszę ci przyznać. Twoja wesola gromadka jest tak... – kopnęła Karrin w krzyż, wywołując jedynie sapnięcie – zadziorna. – Spojrzała na ludzi stojących ze mną. – Zobaczymy. Kogo my tu mamy?

Maeve zrobiła gest jedną dłonią i powietrze zgęstniało. Błoto zaczęło spadać ze wszystkich, których pokrywało, jakby znów zaczęło padać, a ono zrobiło się bardziej mokre i płynne.

– Popatrzmy, popatrzmy – mruknęła. – Ach, barman. Cóż za ironia. Postanowiłeś popatrzeć z bliska, co?

Mac bez słowa wbijał wzrok w Maeve.

– Pozwól, bym dopilnowała, żebyś się nie nudził. To sport z udziałem widzów.

I strzeliła mu w brzuch.

Mac chrząknął i zakołysał się na piętach. Wpatrywał się w Maeve z całkowicie obojętną miną. Później jęknął i opadł na kolano.

– Och. – Oczy Maeve błyszczały. – To się nigdy nie nudzi.

Justine jęknęła cicho i podeszła do Maca.

Maeve skupiła na niej wzrok.

– I dziwka wampira. Ależ z ciebie ponętne stworzonko. I tak blisko lady Raith. Po tym wszystkim długo sobie porozmawiamy, kochanie. Wiem, że wkrótce zaczniesz patrzeć na wszystko z mojej perspektywy.

Justine nie patrzyła na Maeve i nie odpowiedziała. Nie wyglądała na przerażoną – jedynie zmartwioną stanem Maca. Może dlatego, że Justine nie była najbardziej zrównoważoną i świadomą niebezpieczeństwa osobą, jaką znałem. A może po prostu miała lepszą pokerową twarz niż ja.

Spojrzenie Maeve padło na ostatnią towarzyszącą mi osobę i jej uśmiech stał się wręcz lisi.

– No, no, no. Słodka mała Sarissa. Czyż to nie urocze? Nie mam nic, czego ty nie chciałybyś zniszczyć, czyż nie?

– Maeve. – Sarissa nie robiła wrażenia przerażonej. Jedynie zmęczonej. – Maeve, na litość boską, ile razy musimy prowadzić tę rozmowę?

– A jednak ty ciągle wszystko mi psujesz!

Sarissa przewróciła oczami.

– Maeve, a co niby mogłabym ci zepsuć? Czy to, że w końcu wyprowadziłaś się z tamtej kawalerki, zniszczyło ci życie? Czy fakt, że zdobyłam dyplom pielęgniarki, w jakiś sposób umniejszył twoją moc? Czy ukradłam ci jakiegoś chłopaka, którego przez niedopatrzenie pozostawiłaś żywego po pierwszej nocy?

– Zawsze do tego wracamy, czyż nie? – Głos Maeve brzmiał kąśliwie. – Że uważasz mężczyzn za ważnych. I oto próbujesz zrobić wrażenie na matce, zaciągając do łóżka tego tutaj.

– To była praca, Maeve. Terapia.

– Widziałam, jak bardzo terapeutyczna była tamta sukienka na jego przyjęciu.

– Moja sukienka? Ty miałaś na sobie kryształy. I nic więcej!

Twarz Maeve wykrzywiła się z wściekłości.

– To. Były. Diamenty.

Karrin patrzyła to na jedną, to na drugą, a miała przy tym taką minę, jakby nagle sobie coś uświadomiła.

– Harry... – powiedziała cicho.

– Tak, łapię. – Odwróciłem się do Sarissy, która wyglądała na młodszą od Molly. – Najlepsza psiapsiółka Mab, co?

– Ty to powiedziałeś, nie ja – rzuciła szybko.

– Jasne. Jesteś po prostu młodą, samotną rehabilitantką.

– W tym dziesięcioleciu – zaszydziła Maeve. – A co było wcześniej? Matematyka? Zamierzałaś opisać wszechświat czy coś w tym rodzaju? A wcześniej, co to było? Ochrona środowiska? Ocaliłaś Ziemię, Sarisso? A jeszcze wcześniej aktorka? Sądziłaś, że będziesz tworzyć sztukę. Przypomnij mi, co to była za mydlana opera?

– Nieważne. – Sarissa zauważyła moje spojrzenie i dodała: – To było przed twoimi czasami.

Zamrugalem.

– Że co?

Wyglądała na zawstydzoną.

– Mówiłam ci, że jestem starsza, niż ci się wydaje.

– W końcu uświadomiłem sobie, kogo mi przypominasz. – Westchnąłem, patrząc to na jedną, to na drugą. – Pewnie to przez ten fartuch. Maeve zawsze ubiera się jak striptizerka i zawsze miała kolczyki, klubowe oświetlenie i szaloną fryzurę. – Popatrzyłem na nie. – Na wszystkie dzwony piekieł, jesteście identycznymi bliźniaczkami.

– Nie identycznymi bliźniaczkami – powiedziały obie w dokładnie tej samej chwili, tym samym oburzonym tonem. Przerwały, żeby spiorunować się wzrokiem.

– A jak to w ogóle działa?

Byłem ciekaw, ale próbowałem jednocześnie grać na czas. Jeszcze nie spotkałem megalomana, który nie uwielbiałby mówić o sobie, jeśli tylko dostał szansę. Szczególnie ci nieśmiertelni. Dla nich kilka minut rozmowy w ciągu paru stuleci życia jest niczym i pozwalają, by wszystko w nich narastało przez całe dziesięciolecia.

– Wy dwie... urodziłyście się jako odmieńcy, prawda? Co się stało?

– Ja Wybrałam, by stać się sidhe – rzuciła Maeve.

– A ty Wybrałaś ludzkość? – zwróciłem się do Sarissy.

Wzruszyła ramieniem i odwróciła wzrok.

– Ha – warknęła Maeve. – Nie. Nigdy nie Wybrała. Pozostała między światami. Nigdy nie stała się kimś, nigdy niczemu się nie poświęciła.

– Maeve – powiedziała cicho Sarissa. – Nie.

– Jedynie dryfowała, śliczna, pusta i znudzona – mówiła dalej Maeve słodkim, jadowitym tonem. – Niezauważana. Nijaka.

– Maeve – odezwała się Lily ostrym tonem, spoglądając z miejsca, w którym stała.

Letnia Panna wyciągała rękę w stronę Demonreacha, jej twarz zalewał pot i wydawało się, że opierała się o ręce sidhe z tyłu, żeby nie upaść.

– Sama nie utrzymam ducha przez całą noc. Musimy o tym porozmawiać, zanim jeszcze bardziej utracę nad nim kontrolę. Pośpiesz się i skończmy to.

Maeve obróciła się w stronę Lily i tupnęła.

– To moja noc! Nie poganiaj mnie, ty głupia krowo!

– Zawsze taka urocza – zauważyła Sarissa.

Zimowa Panna odwróciła się znów w jej stronę, a jej prawa ręka, ta z pistoletem, zadrżała kilka razy.

– Rób tak dalej, kochanie. Zobaczymy, co się wydarzy.

– I tak nie pozwolisz mi żyć. Nie jestem głupia.

– A ja nie jestem ślepa – odwarknęła Maeve. – Myślałaś, że nie wiedziałam o całym tym czasie, który ona z tobą spędzała? Tych intymnych rozmowach, wspólnych zajęciach. Myślisz, że nie wiem, co to znaczy? Robi z tobą to, co zawsze zamierzała z tobą zrobić... wykorzystuje cię jako część zamienną. Przygotowuje cię jako naczynie dla opończy. Przygotowuje się, żeby mnie wymienić. Jakbym była zepsutym elementem maszyny.

Sarissa pobladła i pokiwała głową.

– Maeve – odezwała się bardzo łagodnie. – Ty... jesteś chora. Musisz to wiedzieć.

Zimowa Panna zatrzymała się i przechyliła głowę, a włosy zasłoniły większość jej twarzy.

– Kiedyś musisz to sobie uświadomić. Ona chce ci pomóc. Ona się troszczy, na swój sposób.

Maeve poruszyła jedynie lewą ręką i wycelowała palec prosto we mnie.

– Tak. Widzę, jak bardzo się troszczyła.

– Nie jest za późno. Wiesz, jak ona tworzy swoje plany. Przygotowuje się na wszystko. Ale nie musi tak się stać. Leanansidhe była chora, a matka jej pomogła. Jednakże jej moc nie wystarczy, by cię uzdrowić. Musisz sama chcieć wyzdrowieć.

Maeve przez chwilę drżała jak smukłe drzewo pod wielkim naciskiem.

– Potrzebujemy teraz Zimowej Panny. Potrzebujemy ciebie, Maeve. Jesteś przeklętym bezwzględny szaleńcem i potrzebujemy cię z powrotem.

Zimowa Panna spytała bardzo cicho:

– Czy ona mówi o mnie?

Sarissa milczała. Przełknęła ślinę.

Maeve odezwała się ostrzejszym głosem.

– Czy ona mówi o mnie?

Sarissa pokręciła głową.

– Ona... nie wypowiada twojego imienia. Ale wiem, że martwi się o ciebie. Wiesz, że nigdy niczego po sobie nie pokazuje. Zawsze tak było.

Maeve zadrżała.

Później uniosła głowę i wpatrzyła się jadownicę w siostrę.

– Jestem silna, Sarisso. Silniejsza niż kiedykolwiek. Tutaj, teraz, silniejsza od niej. – Jej wargi zadrżały i odsłoniła zęby w ohydnej parodii uśmiechu. – Dlaczego miałabym chcieć wyzdrowieć? – Znów zaśmiała się szaleńczo. – Zamierzam właśnie zniszczyć każdą wartościową rzecz, którą ona ceniła bardziej od własnej krwi, własnych dzieci. A gdzie ona jest? – Maeve wyciągnęła ręce w górę i zrobiła piruet. Jej głos ociekał jadem. – Gdzie? Zamknęłam krąg tego miejsca i nie może wejść. Oczywiście te głupie naczelne wykombinowały sposób, jak się przedostać, ale ona, Królowa Powietrza i Ciemności, nigdy nie zniży się do czegoś takiego. Nawet jeśli będzie to kosztowało życie jej córki i śmiertelny świat.

– Och, Maeve. – W głosie Sarissy brzmiało współczucie i coś przypominającego rezygnację.

– Gdzie ona jest, Sarisso? – Po policzkach Maeve spływały łzy, zamarzające białymi pasmami, tworzące biały szron na jej rzęsach. – Gdzie jest jej miłość? Gdzie jest jej wściekłość? Gdzie jest jej cokolwiek?

Podczas gdy ta psychodrama trwała, ja zastanawiałem się gorączkowo. Myślałem o potężnym duchu, moim sojuszniku, który był teraz unieruchomiony i bezradny. Rozwazałem zdolności wszystkich swoich przyjaciół i jak mogłyby zmienić obecną sytuację, gdyby oni nie byli unieruchomieni. Molly jako jedyna była wolna, ale wyczerpała się nad jeziorem. Niewiele w niej pozostało – gdyby się teraz pojawiła, elfy bez trudu by ją pokonały. Sama nie mogła zmienić sytuacji. Ktoś musiał pchnąć sprawy w ruch, zapewnić jej chaos, który mogłaby wykorzystać.

Ale we mnie nie pozostało wiele chaosu. Byłem wyczerpany, a potrzebowaliśmy czegoś, co drastycznie zmieni sytuację. Opończa Rycerza Zimy oznaczała źródło mocy, jasne, ale kiedy dałem jej wolną rękę, Maeve prawie udało się przekonać mnie do przejścia na jej stronę. Nie mógłbym pomóc nikomu, gdybym się poddał swojemu

wewnętrzny psychotyczny drapieżnikowi.

Gdybyśmy nie byli wewnątrz tego głupiego kręgu, przynajmniej mógłbym wysłać wiadomość, psychiczne ostrzeżenie. Byłem pewien, że dotarłaby do mojego dziadka, Elaine i może Strażniczki Luccio. Ale choć wiedziałem, że okrycie błotem umożliwiłoby nam opuszczenie kręgu, elfy z całą pewnością nie dałyby nam dość czasu, byśmy zdążyli się nim pomazać i to zrobić. Zostaliśmy skutecznie uwięzieni w kręgu aż do wschodu słońca, jak istota przywołana z Nigdyni...

Chwileczkę.

Kręgi można wykorzystywać do kilku różnych celów. Można ich użyć do skupienia energii zaklęcia, osłonięcia jej przed innymi energiami. Można za ich pomocą odcinać przepływ energii, uwięzić albo pozbawić ciała istoty pochodzące z Nigdynigdy.

A jeśli było się śmiertelnikiem, rzeczywistym tubylcem naprawdę realnego świata, można je było wykorzystać do jeszcze jednego: przywołania.

Szczyt wzgórza był jednym ogromnym kręgiem – jednym ogromnym kręgiem przywołania.

– Nie ma jej tutaj! – krzyczała Maeve. – Wysła swoją prawą rękę, by zajęła się mną? Niech i tak się stanie. Ja wyślę jej odpowiedź!

Pistolecik zwrócił się w moją stronę.

Krzyczałem najszybciej, jak potrafiłem, wkładając resztki mocy w najkrótsze i najbardziej podstawowe przywołanie, jakie istnieje:

– Mab! Mab! Mab! Przywołuję cię!

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Nie można przewidzieć, w jaki sposób coś przybędzie, kiedy się je przywoła.

Czasem jest to coś ogromnego i dramatycznego, jak w przypadku Tytanii. Czasami wezwani ukazują się wśród błyskawic lub płomieni. Raz istota, którą przywołałem, przybyła w chmurze gnijącego mięsa, a pozbycie się tego smrodu ze starego laboratorium zajęło mi miesiąc. Rzadziej po prostu się pojawiają, jak obraz z rzutnika nagle wyświetlony na ścianie, zupełnie bez melodramatyzmu.

Mab przybyła z dźwięczeniem nagłej, straszliwej, absolutnej ciszy.

Pojawił się błysk – nie światła, ale niespodziewanego śniegu, szronu, który raptownie pokrył wszystko na szczycie wzgórza i zebrał się grubą warstwą na moich rękach. Uniosłem dłoń, by usunąć śnieżynki z oczu, a kiedy ją opuściłem, ujrzałem Mab, znów w kruczoczarnej sukni, z oczami jak nocne niebo i hebanowymi włosami, która unosiła się trzy stopy nad ziemią. Szron rozprzestrzenił się wokół niej, przykrywając wzgórze, a temperatura spadła o dwadzieścia stopni.

W tej samej chwili wszystko na szczycie przestało się ruszać. Nie było wiatru. Nie było kapiącego deszczu. Jedyne czysta, krucha, krystaliczna cisza i nagła ponura czarna obecność, która sprawiła, że miałem ochotę po cichutku się za czymś schować.

Ciemne, posępne spojrzenie Mab błyskawicznie objęło wzgórze i zatrzymało się na Lily i jej koterii. Lewe oko Mab drgnęło tylko raz. Odezwała się niskim, upiornie rzeczowym głosem.

– Skończcie. Tę. Nieuprzejmość. Natychmiast.

Lily wpatrzyła się w Mab szeroko otwartymi oczyma, jak nastolatka, którą ktoś zaskoczył, kiedy obściskowała się z chłopakiem w salonie. Zniknęła pewność siebie widoczna w jej postawie i Letnia Panna nagle opuściła rękę. Jej ekipa wydała z siebie westchnienie, jakby na znak zakończonej pracy. Sprawdziłem Demonreacha. Duch strażniczy nie wyglądał już, jakby stawiał czoło spowolnionej wichurze, i po prostu bez ruchu stał w wejściu do latarni.

Lily przez chwilę wpatrywała się w Mab. Później wyzywająco uniosła brodę i zrobiła kilka kroków, aż stanęła obok Maeve.

Mab wydała z siebie cichy odgłos obrzydzenia i odwróciła się w moją stronę.

– Usłyszałam twoje przywoływanie, jednak nie wejdę do tej krainy, jeśli nie zostanę wyraźnie zaproszona. Czy mam twoje pozwolenie, by to zrobić?

– Tak – odparłam.

Mab lekko skinęła głową i zstąpiła na ziemię. Odwróciła się w stronę Demonreacha.

– Dziękuję ci za cierpliwość i wsparcie w tej kwestii. Mogłeś zareagować inaczej, ale nie zrobiłeś tego. Zdaję sobie sprawę z tej decyzji. Nie zostanie to zapomniane.

Demonreach skłonił głowę, minimalnie, co było jedynie potwierdzeniem, że usłyszał jej słowa, nie oznaką współpracy czy podporządkowania.

Kiedy Mab to zobaczyła, wyglądała, jakby powoli opuściło ją napięcie. Trudno powiedzieć, dlaczego miałem takie wrażenie, jednak poczułem taką samą ulgę, jaką poczułbym, gdybym zobaczył, jak ktoś zdejmuje dłoń z rękojeści pistoletu.

Mab odwróciła się znów do mnie i obrzuciła mnie spojrzeniem. Uniosła brew, odrobinę, jakimś sposobem przekazując wielopoziomowy brak aprobaty dla różnorodnych aspektów mojego wyglądu, zachowania i sytuacji.

– W końcu – stwierdziła.

– Miałem dużo na głowie.

– Jest mało prawdopodobne, że twoje troski staną się mniejsze. Popracuj nad głową.

Zamierzałem powiedzieć coś dowcipnego, ale wzmiankowana głowa zasugerowała mi, że może powinienem poczekać, aż sytuacja całkowicie się uspokoi. Postanowiłem posłuchać głowy i jedynie ukloniłem się Mab. Poczułem, że już jestem odrobinę bystrzejszy. Metoda drobnych kroków.

Wtedy Mab odwróciła się do Maeve.

Zimowa Panna stała naprzeciwko Królowej Powietrza i Ciemności z zimną furią w oczach i uśmiechem na wargach.

– I tak oto przybywasz w czerni. Przybywasz jako sędzia. Z drugiej strony ze mną zawsze tak robiłaś. Ale to jedynie gra.

– Dlaczego gra?

– Już osądziłaś. Wydałaś wyrok. I wysłałaś kata.

– Masz swoje obowiązki. Zaniedbałaś je. Czego się spodziewałaś?

– Od ciebie? – spytała z goryczą Maeve. – Niczego.

– Nic jest właśnie tym, co robiłam. Przez zbyt długi czas. Jednak utrata ciebie również oznacza zagrożenie. Wolalabym, żebyś pozwoliła mi, bym pomogła ci w powrocie do obowiązków.

– Z całą pewnością byś wolała – zaszydziła Maeve. – Z całą pewnością podobałoby ci się torturowanie mnie aż do granic szaleństwa, żeby znów zrobić ze mnie grzeczny mały automat.

Odpowiedź Mab zabrzmiała sekundę później, niż powinna.

– Nie, Maeve.

Zimowa Panna zazgrzytałam zębami.

– Nikt nie kontroluje Maeve.

Na czarnych jak sadza rzęsach Mab pojawił się szron.

– Och, dziecko.

Słowa te miały swój ciężar i nieodwracalność – jak wieko trumny.

– Już nigdy nie będę twoim grzecznym małym sokołem do polowań – mówiła dalej Maeve. – Już nigdy nie zegnę przed nikim kolan, a szczególnie przed zawistną wiedźmą, która zazdrości mi wszystkiego, co we mnie widzi.

– Zazdrość?

Maeve znów zachichotała, jakby znajdowała się pod wpływem litu.

– Zazdrość! Wielka i potężna Mab jest zazdrosna o swoją córeczkę. Ponieważ ja mam coś, czego ty nigdy nie będziesz miała, matko.

– A cóż to takiego?

– Wybór – warknęła Maeve.

– Przestań – odezwała się ostro Mab... ale za późno.

Maeve zgięła łokieć, od niechcienia wycelowała pistolecik na skos swojego ciała i nie odwracając się, wpakowała kulkę w lewą skroń Lily.

– Nie! – krzyknął Fix i zaczął szarpać się z sidhe, którzy go trzymali.

Lily zamarła na sekundę, na jej pięknej twarzy malowała się dezorientacja.

I osunęła się na ziemię jak płatek więdniętego kwiatu.

– Lily!

Twarz Fixa wykrzywiła się z udręki. Walczył gorączkowo, choć nie mógł uciec, próbował rzucić się w stronę Maeve i nie zwracał uwagi na tych, którzy go pojмали. Elfy Zimy i Lata wydawały się tak oszołomione, że prawie odrętwiały, i wpatrywały się w leżącą Lily.

Mab przez długą sekundę patrzyła na Lily, w jej szeroko otwartych oczach malowało się echo tego samego wstrząsu.

– Coś ty narobiła?

Maeve odrzuciła głowę do tyłu i zawyła szyderczym, triumfalnym śmiechem, unosząc ręce.

– Myślałaś, że nie wiedziałam, do czego przygotowywałaś Sarissę, wiedźmo? – Prawie wyśpiewała te słowa. – Stworzyłaś z niej narzędzie Faerie. Raduj się! Niech się stanie twoja wola!

Przez jakąś sekundę nie wiedziałem, o czym, do diabła, mówiła – ale później zobaczyłem.

Nad zmarłą Letnią Panną zapłonął ogień. Nie pochłonał Lily – jego blask, zielony i złoty, przyjął kształt przypominający nieco samą Lily, leżącą na brzuchu na oszronionej ziemi, z rękami rozrzuconymi na boki. Później przy akompaniamencie coraz głośniejszego pisku ogień skupił się i przyjął postać czegoś, co wyglądem przypominało orła lub dużego jastrzębia. Wzgórze załało oślepiające światło i jastrzęb nagle oderwał się od ciała Lily.

Kierując się prosto ku Sarissie.

Sarissa otworzyła szerzej oczy i uniosła dłonie w odruchowym geście obronnym. Jastrzębiokształtny ogień Lata, opończa Letniej Panny, wpadł przez wyciągnięte ręce Sarissy w jej pierś i serce. Ciało kobiety wygięło się w łuk. Krzyknęła, a zielony i złoty blask emanował z jej otwartych ust jak reflektor, rzucając ostre cienie na wzgórze.

Później jej wrzask zmienił się w bulgoczący jęk. Sarissa padła na ziemię i skuliła się w pozycji embrionalnej.

– Opończa przekazana. – Maeve chichotała. – Najbliższe naczynie napełnione. Pory roku wciąż się zmieniają.

Mab patrzyła szeroko otwartymi oczami na Maeve.

– Och, och! – Ciało Zimowej Panny wygięło się i zaczęła spontanicznie tańczyć z radości. – Tego się nie spodziewałaś, co, Matko? Nawet ci to nie przyszło na myśl, prawda? – Sama patrzyła teraz z szalonym przejęciem. – I jak mnie teraz zabijesz? Dokąd trafi moja opończa? Kto jest teraz najbliższym naczyniem? Może jakaś nieszczęsna śmiertelniczka, nieświadoma jej prawdziwej natury? Narzędzie któregoś z twoich wrogów, w sojuszu ze mną, gotowe ukraść opończę i narazić cię na cios? – Maeve chichotała. – Ja też umiem grać w szachy, matko. Lepiej niż ty kiedykolwiek. I w tej chwili jestem dla ciebie mniejszym obciążeniem żywa niż martwa.

– Nie rozumiesz, co zrobiłaś – powiedziała cicho Mab.

– Doskonale rozumiem, co zrobiłam – warknęła Maeve. – Pokonałam cię. Nigdy nie chodziło o śpiących, o tę przeklętą wyspę ani o życie śmiertelnych insektów. Chodziło o pokonanie ciebie, ty skostniała wiedźmo. O wykorzystanie twoich własnych gier przeciwko tobie. Zabij mnie teraz, a ryzykujesz, że na zawsze naruszysz równowagę Zimy i Lata, sprowadzając chaos.

Sarissa leżała na ziemi i jęczała.

– I chodziło o odebranie jej tobie – chełpiła się Maeve. – Jak wiele śmiertelnych kocich muzyk albo zawodów sportowych odwiedzą razem Królowa Zimy i Letnia Panna? A za każdym razem, kiedy będziesz o niej myśleć, kiedy będziesz ją wspominać, będziesz wiedzieć, że to ja ci ją odebrałam.

Mab na chwilę przeniosła spojrzenie czarnych oczu na Sarissę.

– To wszystko jest moją winą – powiedziała cicho Mab. – Za bardzo się troszczyłam.

I wtedy, kiedy Mab się odezwała, coś sobie uświadomiłem. Nie reagowała tak, jak powinna. Zimna furia, gorąca wściekłość, megalomańskie oburzenie – cokolwiek z tego uznałbym za absolutnie zgodne z jej charakterem. Ale w jej głosie ani twarzy nie było niczego takiego.

Jedynie... żal. I zdecydowanie.

Mab coś wiedziała – coś, o czym Maeve nie miała pojęcia.

– Pamiętaj o tym, kiedy świat pokryją popioły, matko, bo nie możesz ryzykować mojej śmierci tej nocy, a ja nawet palcem nie ruszę, żeby pomóc ci w nadchodzącej Nocy. Bez mocy Zimowej Panny twój upadek jest kwestią czasu... i to niezbyt długiego. Po tej nocy już mnie nie zobaczysz.

– Tak – odpowiedziała Mab, choć nie było jasne, na które stwierdzenie.

– Mam wybór, matko, a ty zostaniesz zniszczona w swoich okowach. Umrzesz, a ja będę wolna. W końcu.

– Wypełnianie swojego celu nie oznacza bycia niewolnikiem, córko. I nie jesteś wolna, dziecko, podobnie jak nóż nie jest wolny tylko dlatego, że opuszcza pochwę i zostaje wbity w trupa.

– Wybór to potęga – warknęła Maeve. – Czy mam dokonać kolejnego wyboru tej nocy, by to zademonstrować?

Znów uniosła pistolecik i wycelowała we mnie.

Karrin sapnęła.

A ja nagle zrozumiałem, co się działo; zrozumiałem, co wiedziała Mab, o czym Maeve nie miała pojęcia.

Sarissa nie była jedynym naczyniem Faerie na wzgórzu. Po prostu była jedynym, które miała zobaczyć Maeve.

Była tu jeszcze jedna osoba, która spędzała czas z potężnymi elfami.

Która z jednym z nich pozostawała w związku głębszym i bardziej znaczącym niż przypadkowa lub oficjalna znajomość.

Której życie było metodycznie, celowo i ukradkowo przekształcane w tym właśnie celu.

Która była starannie przygotowywana przez jedną z sidhe.

– Maeve – powiedziałem z paniką w głosie. – Nie! Zabijasz samą siebie. Nie wygrałaś. Po prostu tego nie dostrzegasz.

Maeve zachichotała radośnie.

– Naprawdę?

– Możliwość dokonania wyboru, by skłamać, nie jest pieprzoną supermocą. Ponieważ oznacza, że zawsze możesz dokonać błędnego wyboru. Oznacza, że możesz okłamać samą siebie.

Uśmiech Maeve stał się erotyczny, jej oczy błyszczały.

– Dwa plus dwa równa się pięć.

Przekręciła pistolet bokiem, ale lufa wciąż celowała w moje oko.

Mab poruszyła małym palcem.

Karrin wyrwała ręce z za pleców pośród chmury odłamków czarnego lodu. Wyciągnęła pistolecik z ukrytej kabury nad kostką.

– Nie! – krzyknąłem.

Dwa strzały rozległy się niemal jednocześnie.

Coś świsnęło obok mojego ucha.

Tuż obok nosa Maeve, na linii jej kości policzkowej, pojawił się okrągły czarny otwór.

Maeve zamrugła dwa razy. Na jej twarzy odmalowała się niemal dokładnie taka sama dezorientacja, jak wcześniej na twarzy Lily. Z otworu popłynęła krew.

I wtedy się przewróciła, jak sople lodu w ciepłych promieniach słońca.

– Do diabła, nie – szepnąłem.

Nad leżącą Zimową Panną zebrał się ciemnoniebieski ogień. Z paskudnym wyciem przybrał kształt węża, który zwinął się jak do ataku. Jego płonąca sylwetka przebyła piętnaście stóp dzielących nas od najbliższego rogu chaty...

...gdzie Molly kuliła się pod zasłoną, czekając na okazję, by mi pomóc.

Wąż Zimy wbił się w jej pierś, niszcząc jej zasłonę, i na twarzy mojej praktykantki pojawił się wyraz przerażenia. Nawet nie miała czasu się wzdrygnąć. Uderzył, a ona osunęła się po ścianie chaty, nogi ugięły się pod nią, jakby ich mięśnie zapomniały, jak się poruszać.

Popatrzyła na mnie oszołomiona i zdeorientowana, i z trudem wykrztusiła:

– Harry?

I wtedy ona również osunęła się na ziemię, drżąca i nieprzytomna.

– Boże – jęknąłem. – Boże.

Molly.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Dwie Królowe Elfów leżały martwe.

Niech żyją Królowe.

Wszyscy byli wstrząśnięci, znieruchomiali.

Odwróciłem się do orszaków zabitych Królowych i powiedziałem:

– Puście Fixa. Natychmiast.

Wypuścili niskiego mężczyznę, a on od razu podszedł do Lily, jego twarz wciąż wykrzywił smutek.

– Odłóżcie na ziemię wszystko, co odebraliście moim przyjaciółom – powiedziałem do elfów spokojnym głosem. – Później wycofacie się tak daleko w dół zbocza, jak pozwoli wam ściana. Jeśli zobaczę, że którekolwiek z was spróbuje zrobić coś gwałtownego, nie opuście tej wyspy. Zrozumiano?

Nie robiłem zbyt wielkiego wrażenia, ale ze względu na Mab stojącą tuż za mną po jednej stronie, a Demonreachem po drugiej, potraktowali mnie poważnie – nawet trupiogłowy. Wszyscy odeszli, po drodze rozdzielając się na dwie grupy.

– Harry – odezwała się Karrin. – Co się stało? Czy z Molly wszystko w porządku?

Posłałem Mab ostre spojrzenie.

– Nie wiem – odpowiedziałem Karrin. – Mogłabyś razem z Justine zanieść je obie do chaty? Po prostu... dopilnujcie, żeby nie udławiły się własnymi językami czy coś w tym rodzaju. – Spojrzałem w stronę Justine. – Jak sobie radzisz, Mac?

Mac uniósł kciuk, ale ręce mu drżały.

Justine podniosła wzrok.

– Nie ma zbyt dużo krwi, tak mi się wydaje. Ale trzeba go obmyć z tego błota.

– Przy drzwiach chaty jest hydrant. – Obejrzałem się na Demonreacha. – Może byś się tak na coś przydał i pomógł im zanieść rannych do środka?

Demonreach spojrział na mnie z ukosa.

Ale poczłapał do Molly i podniósł ją, a później Sarisę, bardzo ostrożnie, jak ktoś biorący na ręce niemowlę. Niosąc jedną na jednym ręku, a drugą na drugim, poszedł do chaty. Karrin tymczasem podeszła do Justine. Z pomocą ich dwóch Macowi udało się podnieść i pokuśtykać do chaty. Ja z trudem przerzuciłem sobie przez ramię

nieprzytomnego Thomasa. Jego również zatargałem do chaty i powiedziałem do Myszka:

– Zostań z nim.

Pies szczeknął z troską i spojrzał na Molly. Usiadł na podłodze w połowie drogi między tą dwójką i przeniósł wzrok między nimi.

– Musimy rozbić obóz do świtu – wyjaśniłem. – Zajmiemy się nimi.

Myszek westchnął.

– Harry... – zaczęła Karrin.

– Pistolet – powiedziałem cicho i wyciągnąłem rękę.

Zamrugła, ale sprawdziła go, zabezpieczyła i podała mi.

Ruszyłem w stronę drzwi.

– Zostań tutaj.

– Harry, co ty...

– Zostań tutaj – warknąłem z wściekłością.

Odbezpieczyłem broń i wyszedłszy z chaty, ruszyłem w stronę Mab.

Kiedy się do niej zbliżałem, jej czarna suknia i włosy stały się szare jak burzowe chmury, później srebrne, a w końcu znów białe.

– Tak, mój Rycerzu?

Zacząłem obchodzić podstawę wieży, oddalając się od chaty.

– Czy mogłabyś, proszę, podejść tutaj?

Uniosła brew, ale spełniła moją prośbę, naciskając na ziemię z mniej więcej taką samą siłą, jak księżycowy blask.

Szedłem, aż znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku przebywających w chacie i elfów niżej. Wtedy odciągnąłem kurek pistolecika, obróciłem się i przycisnąłem lufę do czoła Mab.

Zatrzymała się i wpatrzyła się we mnie świetlistymi, niemrugającymi oczyma.

– Co to ma znaczyć?

– Wciąż trwa Halloween. – Trząśłem się z wyczerpania i wściekłości. – A ja nie jestem w nastroju do gier. Chcę odpowiedzi.

– Zmieniałam całe wioski w kamień za gesty mniej obelżywe niż ten. – Mab mówiła spokojnym głosem. – Ale jestem tutaj gościem. A ty wyraźnie jesteś wyczerpany nerwowo.

– Masz cholerną rację, że jestem wyczerpany nerwowo – warknąłem. – Wrobiłaś mnie. To jedno. Wszedłem w to całkowicie świadomie. Przyjąłem do wiadomości i pogodzę się z tym. Ale wrobiłaś też Molly. Daj mi jeden dobry powód, żebym nie

wpakował ci teraz kulki w czaszkę.

– Po pierwsze, dlatego że nie przeżyłbyś, by pociągnąć do końca za spust. Ale jako że groźenie ci śmiercią nigdy nie było skutecznym sposobem dotarcia do twojego zakutego łba, dam ci drugi. Panna Carpenter będzie miała dość problemów z przystosowaniem się do życia z opończę Panny, nie musisz jej jeszcze dodawać mojej. Nie sądzisz?

Racja. O tym nie pomyślałem. Ale nie byłem szczególnie racjonalny.

– Dlaczego? Dlaczego jej to zrobiłaś?

– Nie było moim zamiarem to, by zastąpiła Maeve. Jeśli mam być szczerą, uważałabym ją za lepszą kandydatkę do Lata.

– Wciąż nie powiedziałaś mi, dlaczego.

– Chciałam, żeby Sarissa zajęła miejsce Maeve. Ale nie można wiązać wszystkich nadziei z jednym miejscem, osobą czy planem. Jak w szachach, wyborowa graczka nie planuje tylko jednego gambitu, określonej pułapki. Ustawia pionki tak, by niezależnie od tego, co zrobi jej wróg, miała siły gotowe do reakcji, dostosowania się i zniszczenia. Molly została przygotowana na wszelki wypadek.

– Gdyby coś stało się z twoją córką?

– Coś już się stało z moją córką. Zamierzałam przygotować Sarissę do jej nowej roli, podobnie jak ciebie przygotowywałam do twojej.

– Dlatego wystawiałaś ją na to wszystko razem ze mną?

– Słabość na nic mi się nie przyda, magu. Sytuacja rozwinęła się w sposób, którego się nie spodziewałam. Molly została pierwotnie umieszczona w innym celu... ale jej obecność pozwoliła mi pokonać gambit adwersarza.

– Umieszczona – rzuciłem. – Gambit. Czy tym jest dla ciebie Molly? Pionkiem?

– Nie – odparła spokojnie Mab. – Już nie.

To sprawiło, że cofnąłem się, jakby uderzyła mnie pięścią w nos. Zakręciło mi się w głowie. Opuściłem pistolet.

– Ona jest dzieciakiem – powiedziałem ze zmęczeniem. – Miała przed sobą całe życie, a ty zrobiłaś jej coś takiego.

– Maeve zawsze miała tendencje do przesadnego melodramatyzmu, ale w tym przypadku się nie myliła. Nie mogłam ryzykować, że ją zabiję, gdybym nie miała pod ręką naczynia, które mogło przyjąć jej opończę... a brak mocy Zimowej Panny okazałby się kluczowy. To jedna z lepszych zagrywek adwersarza.

– Nie rozumiesz tego, prawda?

– Nie. Nie rozumiem, w jaki sposób to, co zrobiłam, różni się znacząco od tego, co

ty robiłeś przez wiele lat.

– Że co?

– Dałam jej moc – stwierdziła, jakby wyjaśniała dziecku coś bardzo prostego.

– Nie to robiłem – warknąłem.

– Naprawdę? Żle zrozumiałam? Najpierw pobudziłeś jej wyobraźnię i zaskarbiłeś sobie sympatię jako współpracownik jej ojca. Sprawileś, że zainteresowała się tym, co umiałeś robić, i podsyciłeś tę ciekawość milczeniem. A kiedy zaczęła poznawać Sztukę, postanowiłeś się nie wtrącać, aż do czasu, kiedy popadła w wielkie tarapaty... a wtedy twoja pomoc sprawiła, że stała się twoją dłużniczką. Wykorzystałeś to i jej emocjonalne przywiązanie do siebie, by przygotować i uzyskać zwolenniczkę, która była utalentowana, lojalna i mająca wobec ciebie zobowiązana. Właściwie to była dobra robota.

Przez chwilę stałem z otwartymi ustami.

– Nic... takiego... nie zrobiłem.

Mab pochyliła się w moją stronę.

– Dokładnie to zrobiłeś. Jedynym, czego nie zrobiłeś, było przyznanie się przed samym sobą, że to robisz. I właśnie dlatego nigdy nie skosztowałeś jej uroków. Powtarzałeś sobie śliczne, idealistyczne kłamstwa i miałeś potężną, utalentowaną, lojalną dziewczynę gotową oddać za ciebie życie, która jednocześnie nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby zwrócić się po pomoc. Co się tyczy twojej kariery mentora, upodobniłeś się do DuMorne'a.

– Nic... takiego nie zrobiłem – powtórzyłem ostrzejszym tonem. – To, co jej robisz, zmieni ją.

– A czy ona się nie zmieniła, kiedy zacząłeś ją indoktrynować? Być może byłeś wobec niej zbyt łagodny w czasie szkolenia, ale czy nie zaczęła się stawać inną osobą?

– Osobą, którą postanowiła się stać.

– Czy postanowiła urodzić się z talentem do Sztuki? Czy postanowiła stać się kimś tak wrażliwym, że ledwie wytrzymuje w zatłoczonym pomieszczeniu? Nie ja to jej zrobiłam, tylko ty.

Zazgrzytałem zębami.

– Weź też pod uwagę, że dokonałam czegoś, co tobie nigdy by się nie udało.

– Co dokładnie?

– Sprawiałam, że znalazła się poza zasięgiem Białej Rady i jej Strażników. – Mab znów brzmiała, jakby tłumaczyła coś idiotcie. – Choć mogą do upojenia prawić kazania i zawodzić na temat praktykantki maga, Zimowej Pannie nie zrobią

absolutnie nic.

Odetchnąłem głęboko.

To... również było prawdą.

– Sprawiałaś, że jej życie stało się o wiele trudniejsze – powiedziałem cicho. Właściwie nie mówiłem tego do Mab. Jedynie wypowiadałem na głos ciąg argumentów, które pojawiły się w mojej głowie. – Ale ja też. Szczególnie po Chichén Itzá.

– Powierzyłeś jej swój umysł i swoje życie. Uznałam to za oznakę zaufania do jej umiejętności. Często będziesz współpracować z Zimową Panną. Wydaje mi się, że to będzie bardzo odpowiednie dopasowanie.

– A jej obowiązki? Jaki jest cel Zimowej Panny?

– To ma wiedzieć ona. Wiedz jedno, mój Rycerzu. Gdybym nie uważała jej za doskonałą kandydatkę, nigdy nie kazałabym jej przygotować. Ma podstawowe umiejętności niezbędne, by zapanować nad mocą opończy... szczególnie jeśli ktoś, komu ufa, będzie przy niej, by jej doradzać i ją uspokajać.

– Powinnaś wcześniej porozmawiać o tym ze mną. Powinnaś porozmawiać z nią.

Mab poruszyła się tak szybko, że tego nie zauważyłem. Pistolet po prostu zniknął z mojej dłoni, a jego lufa wbijała się teraz w moją twarz – w dokładnie to samo miejsce, w które została postrzelona Maeve.

– Nie jestem twoją sługą, Dresdenie – powiedziała Mab. – Ty jesteś moim.

– Demonreachu. Jeśli nasz gość pociągnie za ten spust, zabierz ją na dół i zatrzymaj tam.

Padł na nas ogromny cień ducha strażniczego, choć w okolicy nie było niczego, co mogłoby go rzucić. Mab otworzyła szerzej oczy.

– Sługa. Nie lubię tego słowa. Sugeruję, byś rozważyła sytuację i wybrała inne określenie. Moja Królowo. I będziesz łagodna dla tej dziewczyny albo, przysięgam, sprawię, że tego pożałujesz.

Mab bardzo lekko wygięła wargi. Więcej było widać w jej oczach. Popatrzyła na mnie niemal z sympatią i odetchnęła głęboko.

– Nareszcie Rycerz wart zachodu.

Opuściła pistolet i spokojnie mi go podała.

Wziąłem broń.

– Masz jeszcze jakieś pytania?

Zmarszczyłem czoło.

– Właściwie tak. Kiedy wróciłem do miasta, ktoś zadzwonił do Thomasa

i powiedział mu, że ma przygotować łódź. Wiesz coś o tym?

– Załatwiłam to, rzecz jasna – powiedziała Mab głosem, który do złudzenia naśladował Molly. – Jako uprzejmość wobec starożytnego, tuż przed rozpoczęciem twojego przyjęcia.

Zadrzałem. Głos Molly wydobywający się z tej nieludzko zimnej twarzy był... po prostu niewłaściwy.

– Lily. Zamachała ręką nad moją pierś, jakby mogła wyczuć obecność adwersarza.

Mab mocno zacisnęła wargi.

– Tak.

– Czy mogła?

– Oczywiście, że nie. Gdyby to było takie proste, adwersarz nie stanowiłby zagrożenia. Nawet Odźwierny, przy całym skupieniu mocy, nie może mieć całkowitej pewności.

– W takim razie dlaczego ona sądziła, że to umie? – Od razu odpowiedziałem na własne pytanie. – Bo Maeve sprawiła, że w to uwierzyła. Maeve musiała jedynie skłamać i może poświęcić kilka pionków adwersarza, żeby umiejętność wydawała się prawdziwa. Później pozwoliła, by Lily zamachała nad nią rękami i w ten sposób „udowodniła”, że jest wolna od wszelkiej skazy. A Lily nie była dość doświadczona, by się zorientować. Później Lily była gotowa kupić cokolwiek, co wcisnęła jej Maeve.

– Oczywiście. – W głosie Mab zabrzmiała kwaśna nuta. – Masz jakieś pytania, na które nie umiesz sam udzielić odpowiedzi?

Zacisnąłem zęby:

– Czy było ci trudno? Dziś w nocy?

– Trudno?

– Była twoją córką.

Mab umilkła i znieruchomiała. Rozejrzała się po okolicy i zaczęła spacerować ze zmarszczonym czołem, jakby próbowała sobie przypomnieć tekst piosenki z dzieciństwa.

W końcu znów znieruchomiała i zamknęła oczy.

– Nawet dziś w nocy, kiedy wszystko szło w diabły, nie potrafiłaś jej skrzywdzić.

Mab otworzyła oczy i wpatrywała się przez lukę między drzewami w rozległe wody jeziora Michigan.

– Kilka lat temu rozzłościłaś się. Tak bardzo, że kiedy mówiłaś, ludzie krwawili z uszu. Z tego powodu. Ponieważ zorientowałaś się, że adwersarz opanował Maeve.

I to bolało. Świadomość, że adwersarz do niej dotarł.

– To przez nóż.

– Nóż?

– Athame Morgany – powiedziała Mab neutralnym tonem, ale jej spojrzenie było zamyślane. – Ten, który dostała od Czerwonego Dworu podczas maskarady u Bianki. Tak została skażona Leanansidhe... a twoja matka chrzestna przekazała to Maeve, zanim zdążyłam wszystko naprawić.

– Och. – Byłem na tej imprezie.

Mab odwróciła się do mnie gwałtownie.

– Chciałabym pochować je na wyspie, to znaczy zabite Panny, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Ja nie. Ale spytaj wyspę.

– Zrobię to. Jeśli można. – Odwróciła się i zaczęła odchodzić.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Zatrzymała się i wyprostowała.

– Było ci trudno zabić Maeve?

Mab nie odwróciła się w moją stronę. Kiedy się odezwała, w jej głosie było coś, czego nie słyszałem nigdy wcześniej ani nigdy później – niepewność. Wrażliwość.

– Wiesz, kiedyś byłam śmiertelna – powiedziała bardzo cicho.

Po tych słowach ruszyła w stronę ciała córki, a ja patrzyłem na nią z wściekłością... smutkiem... zamyśleniem.

* * *

Do końca nocy nikt nie zginął. Siedziałem oparty plecami o zewnętrzną ścianę chaty, żeby mieć oko na naszych „gości” niżej, ale kiedy kilka sekund później zamrugałem, moje powieki zacisnęły się i nie otworzyły do chwili, gdy usłyszałem odległe ptasie ćwierkanie.

Rozległy się kroki, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem zbliżającego się Kringle’a. Jego czerwony płaszcz i błyszczącą kolczugę pokrywały plamy czarnej posoki, rękojeść miecza wyglądała, jakby ktoś odgryzł jej kawałek, a na jego twarzy malował się szeroki, zadowolony uśmiech.

– Dresdenie – powiedział spokojnie.

– Kringle.

– Długa noc?

– Długa noc. – W jej trakcie ktoś przykrył mnie starym wełnianym kocem z demobilu, który wcześniej znajdował się w plastikowym pojemniku w chacie. Spojrzałem na mężczyznę. – Dobrze się bawiłeś?

Z jego piersi dobyło się niskie, pełne ciepła dudnienie śmiechu.

– Bardzo. Jeśli raz na kilka lat nie pojedę do porządnej bitwy, życie traci smak.

– Nawet w czasie Halloween?

Spojrzał na mnie z ukosa, a jego uśmiech stał się szerszy i bardziej psotny.

– Szczególnie wtedy. Jak noga?

Chrząknąłem i sprawdziłem.

Opatrunek Buttersa trzymał się przez całą noc. Pieczenie ustąpiło, a kiedy odkleiłem gazę, zobaczyłem, że mała ranka w końcu się zasklepiła.

– Wygląda na to, że przeżyję.

– Strzałka z głogu. Paskudztwo. Głogowe drewno pali się gorącym ogniem i nie lubi istot Zimy. – Spoważniał. – Mam dla ciebie wiadomość.

– Ach tak?

– Mab zabrała ze sobą nowe Panny. Prosiła, by ci przekazać, że nowa Zimowa Panna za kilka dni powróci bezpiecznie do swojego mieszkania, po krótkim i łagodnym szkoleniu. Mab ma doskonałe kontakty z ciemnymi elfami i nie spodziewa się problemów z... nowym stanowiskiem twojej praktykantki.

– To... dobrze, tak myślę.

– Owszem. Dresdenie... to sprawa Królowych. Radziłbym ci, żebyś nie próbował się wtrącać.

– Już się wtrąciłem.

Kringle się wyprostował, a w jego uśmiechu pojawiło się zadowolenie.

– Ach tak? Lubisz niebezpieczne życie, co? – Pochylił się i zniżył głos. – Nigdy nie pozwól, by zmusiła cię do służalczości, ale też nigdy nie rzucaj wyzwania jej dumie, magu. Nie wiem, co dokładnie wydarzyło się między wami, ale podejrzewam, że gdybyście mieli świadków, rozerwałaby cię na kawałki. Widziałem to wcześniej. W tej istocie tkwi straszliwa duma. Nigdy się nie ugnie.

– Nigdy się nie ugnie. W porządku. Mogę to uszanować.

– Możliwe, że tak.

Kringle skinął mi głową i zamierzał odejść.

– Hej.

Odwrócił się do mnie z miłym uśmiechem.

– Ta cała historia z Rycerzem Zimy. Uczyniła mnie silniejszym.

– Zgadza się.
– Ale nie aż tak silnym. Mogłeś mnie wczoraj pobić.
– Ach tak?
Uśmiech zniknął z ust Kringle’a... ale pozostał w oczach.
– Widziałem też parę razy, jak poruszają się gobliny. Król Goblinów mógłby zejść z toru tego strzału.
– Naprawdę?
– Chcieliście, żebym dostał Dziki Gon.
– Nikt nie może dostać mocy takiej jak Dziki Gon, Dresdenie. Może ją jedynie wziąć.
– Naprawdę? – powiedziałem najoschlej, jak umiałem.
Co sprawiło, że Kringle znów się roześmiał.
– Masz jaja i wolę, śmiertelniku. Trzeba to było pokazać, bo inaczej Gon nigdy by cię nie zaakceptował.
– Może w takim razie będę spuszczał ci lanie, kiedy przyjdzie mi na to ochota.
– Możesz spróbować – odparł Kringle uprzejmie. Spojrzał na jaśniejące niebo i westchnął z zadowoleniem. – To było Halloween, Dresdenie. Wtedy na jakiś czas zakłada się maskę. I tyle. – Spojrzał prosto na mnie. – W noc Halloween nosi się... i odrzuca... wiele, bardzo wiele opończy, magu.
– Masz na myśli maski? – Zmarszczyłem czoło.
– Maski, opończe. A co to za różnica?
Mrugnął do mnie.
I przez ułamek sekundy wydawało się, że cienie padające z wieży i chaty za nami łączą się ze sobą. Oko, którym mrugnął, zniknęło za pasem cienia i czymś, co przypominało szeroką bliznę. Jego twarz sprawiała wrażenie szczuplejszej i przez tę sekundę widziałem kryjące się wewnątrz Kringle’a wilcze rysy Vadderunga.
Wyprostowałem się i zagapiłem.
Kringle dokończył mrugnięcie, odwrócił się rażno i ruszył w dół wzgórza, nucąc „Here Comes Santa Claus” dudniącym basowym głosem.
Gapilem się za nim.
– Sukinsyn – mruknąłem pod nosem.

* * *

Wstałem i zanim wszedłem do chaty, owinałem się kocem z demobilu. Czułem

zapach kawy i zupy, a mój żołądek pragnął obu, najlepiej w dużych ilościach.

Na kominku płonął ogień, a nad nim wisiał dzbanek z kawą. Kociołek z zupą kołysał się obok na uchwycie. Zupa z pewnością powstała na bazie bulionu i liofilizowanego mięsa, ale byłem zbyt głodny, by wybrzydzać. Wszyscy inni pewnie czuli się podobnie.

Thomas leżał wyciągnięty na jednym z łóżek polowych i pochrapywał. Justine przytuliła się do niego i wciskała twarz w jego plecy. Oboje mieli czyste twarze i dłonie – choć tyle. Mac drzemał na drugim łóżku, nagi od pasa w górę, jego pierś i brzuch zostały obmyte z błota – jak również z krwi i obrażeń.

Sarissa zniknęła. Molly zniknęła. Fix zniknął. Byłem przekonany, że odeszli razem.

Karrin siedziała przy ogniu i wpatrywała się w kubek z kawą w dłoniach. Towarzyszył jej Myszek. Kiedy wszedłem do środka, spojrzał na mnie i zaczął merdać ogonem.

– To ty zostawiłaś koc? – spytałem cicho.

– Kiedy rozpaliliśmy ogień. Pewnie mogłabym teraz pójść po twój płaszcz.

– Wyglądałbym jak ekshibicjonista.

Uśmiechnęła się, bardzo lekko, i podała mi dwa kubki. Popatrzyłem. W jednym była kawa, a w drugim bardzo gęsta zupa. Do zupy podała mi też widelec.

– To nic szczególnego – powiedziała.

– Nieważne.

Usiadłem naprzeciwko niej, by skorzystać z obu. Razem z jedzeniem i kawą mój żołądek wypełniało ciepło i zacząłem się czuć jak człowiek po raz pierwszy od... dłuższego czasu. Wszystko mnie bolało. Nie było to przyjemne wrażenie, ale czułem, że uczciwie zasłużone.

– Jezu, Dresden. Mógłbyś przynajmniej umyć ręce.

Wyjęła wilgotną chusteczkę i pochyliła się, żeby oczyścić mi dłonie. Żołądek uważał, że przerwa była kiepskim pomysłem, ale odstawiłem kubki i pozwoliłem jej.

Cierpliwie oczyszczała moje ręce, zużyła przy tym kilka chusteczek. W końcu powiedziała:

– Nachyl się.

Zrobiłem to.

Wyjęła świeżą chusteczkę i wytarła mi twarz, powoli i ostrożnie. Miałem na niej draśnięcia i rozcięcia. Bolało, kiedy je czyściła, co jednocześnie wydawało się właściwe. Coś w stylu, że rzeczy, które są na dłuższą metę korzystne, za pierwszym razem trochę bolą.

– Już – odezwała się po chwili. – Wyglądasz prawie jak człowiek... – Spuściła wzrok.
– Chciałam powiedzieć...

– Wiem, co chciałaś powiedzieć.

– No tak.

Ogień trzaskał.

– Co się stało z Makiem?

Karrin obejrzała się na śpiącego mężczyznę.

– Mab. Zajrzała tu przed kilkoma minutami i popatrzyła na niego. I zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zerwała bandaż, wpakowała palce do rany i wyciągnęła kulę. Upuściła ją na jego pierś.

– Nie ma teraz żadnej rany.

– Aha. Zaczęła się zasklepiać w chwili, gdy Mab skończyła. Ale pamiętasz, jak został tak paskudnie pobity w swoim barze? Dlaczego wtedy jego obrażenia się nie uleczyły?

Pokręciłem głową.

– Może dlatego, że był przytomny.

– Faktycznie, odmówił leków przeciwbólowych. Pamiętam, że wtedy wydawało mi się to dziwne – mruknęła Karrin. – Kim on jest?

Wzruszyłem ramionami.

– Spytaj go.

– Zrobiłam to. Tuż przed tym, jak stracił przytomność.

– Co powiedział?

– „Jestem poza”.

Chrząknąłem.

– Jak myślisz, co to znaczy?

Zastanowiłem się.

– Może, że jest poza.

– Po prostu odpuścimy?

– Tego chce. Uważasz, że powinniśmy go torturować?

– Przyjęłam do wiadomości. – Westchnęła. – Może po prostu pozwolimy mu odpocząć.

– Może pozwolimy mu warzyć piwo. A co z Thomasem?

– Obudził się. Zjadł. – Zmarszczyła czoło i doprecyzowała: – Zjadł zupę. Śpi od paru godzin. Tamto wielkie kościane coś solidnie mu przyłożyło.

– Zawsze znajdzie się ktoś większy.

Posłała mi spojrzenie.

– Dla niektórych jest to bardziej prawdziwe niż dla innych – doprecyzowałem.
Przewróciła oczami.

– No tak – odezwałem się po chwili.

– No tak.

– Powinniśmy porozmawiać?

– O czym?

Myszek popatrzył na nas i zaczął z nadzieją merdać ogonem.

– Cicho bądź. – Podrapałem go za uszami. – Zły gość cały z kości i ma nad tobą przewagę? Charity dawała ci zbyt wiele przekąsek? Tamta walka powinna wyglądać jak między Scooby-Doo a Duchem Przysmaków Scooby’ego.

Myszek wyszczerzył się radośnie, niewzruszony, i nadal merdał ogonem.

– Nie bądź taki surowy wobec niego. Zawsze znajdzie się ktoś większy. – Pokręciła głową. – Rany, ale z nas dzieci. Wykorzystujemy każde usprawiedliwienie, żeby nie rozmawiać o nas.

Zupa podskoczyła mi w żołądku.

– No tak. Aha. – Przełknąłem ślinę. – My... się pocałowaliśmy.

– Jest piosenka o tym, co to znaczy.

– Jasne. Ale ja nie śpiewam.

Przerwała, jakby jej zupa też właśnie zaczęła gimnastykę.

Później odezwała się bardzo ostrożnie:

– Są pewne czynniki.

– Takie jak Kincaid – stwierdziłem bez złości czy urazy.

– On nie jest jednym z nich. Już nie.

– Och – powiedziałem z niejakim zaskoczeniem.

– Chodzi o ciebie.

– To chyba oczywiste, że jestem czynnikiem.

– Jasne. Ale... nie negatywnym. – Wzięła mnie za rękę. – Przez ostatni dzień widziałam w tobie rzeczy, które mnie... niepokoją.

– Niepokoją cię.

– Kurewsko mnie przerażają – powiedziała spokojnie, gwoli wyjaśnienia. – Ta sprawa z Rycerzem Zimy. Nie chodzi o to, że się zmieniasz. Ty się już zmieniłeś.

Zrobiło mi się zimno.

– Co masz na myśli? Tę noc? Karrin, czy my kiedyś nie mieliśmy do czynienia z potworami i chaosem?

– Często mieliśmy z nimi do czynienia. Ale wcześniej ty zawsze byłeś przerażony.

I tak to robiłeś, ale uważałeś, że to straszne. Co jest rozsądnym podejściem.

– I co? W czym dzisiejsza noc była inna?

– W sposobie, w jaki twoja erekcja ciągle wbijała mi się w plecy – rzuciła oschle.

– Uch. Serio?

– No wiesz, kobiety zwykle to zauważają.

Ja nie. Przełknąłem ślinę.

– To tylko... Karrin, posłuchaj, to coś rzadko robi rzeczy, które nie byłyby nieprzemyślane. Co nie znaczy, że będzie decydować o wszystkim.

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego mężczyźni to robią.

– Co?

– Mówią o swoich genitaliach, jakby to była inna istota. Jakiś rodzaj pasożyta kontrolującego umysł. – Pokręciła głową. – Chodzi o ciebie, Harry. Tylko o ciebie. A część ciebie naprawdę była zachwycona wszystkim, co się działo.

– I to coś złego?

– Tak. – Wydała z siebie krótki odgłos frustracji. – Nie. Może. To zmiana.

– Czy zmiany muszą być złe?

– Oczywiście, że nie. Ale nie wiem, czy ta jest zła, czy jeszcze nie. Harry... jesteś najsilniejszym mężczyzną, jakiego znam, w więcej niż jednym znaczeniu tego słowa. A ponieważ jesteś... to znaczy, że jeśli rzeczywiście się zmienisz...

– Myślisz, że stanę się potworem.

Wzruszyła ramionami i ścisnęła moje dłonie.

– Nie mówię tego we właściwy sposób. To nie brzmi odpowiednio. Ale czułam cię, kiedy byliśmy z Gonem. Wiedziałam, co tobą powoduje, co czujesz. I w tamtej chwili bardzo mi się to podobało... co też mnie przeraża.

– Zdecyduj się, czy to ja jestem dla ciebie zbyt wielkim potworem, czy ty. Robię się zdezorientowany.

– Witamy w klubie.

– Mówisz, że problem polega na tym, że twoim zdaniem mógłbym stać się zły.

– Wiem, że mógłbyś. Każdy może. A ty masz więcej możliwości niż większość. I może nie powinieneś w tej chwili majstrować przy uczuciach. Kiedy Susan złamała ci serce? Tuż po tym, jak się przemieniła? Zacząłeś się sypać. Gdyby to wydarzyło się teraz, kiedy musisz stawiać czoło takim rzeczom... Harry, boję się, że nie udałoby ci się nad tym zapanować.

To była cholerna prawda.

– Nie mylisz się. Ale nie poszliśmy jeszcze nawet na randkę, a ty już przeskoczyłaś

do bolesnego zerwania?

– Są czynniki – powtórzyła stanowczym, spokojnym głosem.

– Na przykład?

– Na przykład ta sprawa z Molly.

– Nie ma żadnej sprawy z Molly. Nigdy nie będzie żadnej sprawy z Molly.

Karrin westchnęła.

– Jesteś magiem. Ona jest magiem. Teraz jesteś Rycerzem Zimy. A ona jest Zimową Panną.

– Karrin... – zacząłem.

– A ja wkrótce zestarzeję się i umrę – powiedziała bardzo cicho. – Względnie wkrótce. Ale ty będziesz żył przez stulecia. I ona też. Jesteście sobie bliscy i nawet jeśli do niczego nigdy nie dojdzie... to kolejna kwestia. Wiesz?

Trzymaliśmy się za ręce, a ogień trzaskał.

– Och – powiedziałem.

Pokiwała głową.

– Czyli świat jest przeciwko nam. Coś nowego?

– W świecie nadnaturalnym ty jesteś królem katastrof – przyznała. – Ale to ja wielokrotnie pakowałam swoje związki na góry lodowe. Robiłam to wystarczająco często, żeby wiedzieć, że razem jesteśmy jak *Titanic*.

– Jesteśmy ludźmi. Nie cholernym statkiem.

– Jesteśmy również ludźmi. Pocałunek, kiedy buzowała w nas adrenalina, to jedno. Związek jest trudniejszy. O wiele trudniejszy. – Pokręciła głową. – Jeśli wszystko skończy się płaczem, boję się, że mogłoby to zniszczyć nas oboje. A gra toczy się o wysoką stawkę. Myślę, że to nie jest decyzja, którą powinniśmy podjąć bez zastanowienia. Potrzebuję czasu do namysłu. Do... Po prostu potrzebuję czasu.

Przełknąłem ślinę. Nadal się nie myliła. Nie podobało mi się, co miała do powiedzenia, ani trochę, ale...

Nie myliła się.

– Czy to ta chwila, w której mówisz mi, że powinniśmy zostać przyjaciółmi?

Zamrugła i popatrzyła na mnie. Czubkami palców dotknęła mojej twarzy.

– Harry, my... My już dawno minęliśmy ten etap. Nie wiem, czy możemy... czy powinniśmy zostać kochankami. Ale jestem twoją przyjaciółką. Twoją sojuszniczką. Widziałam, czego chcesz i co jesteś gotów poświęcić, żeby to osiągnąć. – Ujęła jedną moją dłoń obiema swoimi i mocno nacisnęła. – Od czasu, kiedy mnie wyrzucili, czuję się zagubiona. Nie wiem, co mam robić ani kim powinnam być. Ale wiem, że zawsze

będę cię wspierać. Zawsze. – Z jej niebieskich oczu płynęły łzy. – Dlatego, do diabła, nie próbuj ruszyć autostradą do piekła. Bo będę ci towarzyszyć. Przez całą drogę.

Później nie widziałem już jej twarzy. Poczuję jej głowę pod brodą i objąłem ją. Przez dłuższą chwilę tak siedzieliśmy.

– Zrobi się paskudnie – powiedziałem cicho. – Nie wiem dokładnie jak ani kiedy. Ale nadchodzi burza. Przebywanie w pobliżu mnie nie będzie... rozsądne.

– Zgódźmy się, że nie jestem do końca zdrowa na umyśle, i oszczędźmy sobie kłótni. Zawsze, Harry. Będę tam. I koniec pieśni.

– W porządku. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– To nie jest koniec pieśni. To znaczy... może żadne z nas nie jest gotowe. Ale pewnego dnia możemy być. I kto wie, może będziemy.

– Naiwny optymista – powiedziała, ale słyszałem jej uśmiech.

– A jeśli dotrzemy do tego punktu, nie stchórzysz. Nie uciekniesz, niezależnie od tego, jak to będzie dla ciebie wyglądać. Obierzemy kurs na tę pieprzoną górę lodową, cała naprzód.

Zaczęła się trząść. Płakała.

– I seks. Będzie częsty. Być może gwałtowny. Będziesz krzyczeć. Sąsiedzi będą wydzwaniać.

Zaczęła się trząść jeszcze bardziej. Śmiała się.

– Takie są moje warunki. Możesz je przyjąć albo odrzucić.

– Ale z ciebie prosiak, Harry. – Odsunęła się na tyle, by móc spojrzeć na mnie załzawionymi niebieskimi oczyma. – Może to ty będziesz krzyczał.

* * *

– Jesteś pewien? – spytał Thomas. – Zamierzasz zostać tu sam?

– Zimno nie jest już dla mnie problemem. – Odwiązywałem od doku pierwszą cumę *Chrząszcza Wodnego*. Miałem na sobie ubrania Thomasa z łodzi. Spodnie dresowe były za krótkie, a koszulka była za ciasna, ale płaszcz ukrywał większość. – I mam zapasy na jakiś tydzień, do czasu, aż uda ci się wrócić. Jesteś pewien, że łajba dopłynie z powrotem do miasta?

– Kiedy wyciągnąłem ją na brzeg, załatałem ją w trzech miejscach, a pompy działają. Nic nam nie będzie. A co z tobą? Ta rzecz, o której mówiła wyspa, a którą masz w głowie?

– Kolejny powód, by tu zostać. Jeśli to Molly może mi pomóc, na razie zostałem sam. Ale Demonreach umie zmusić to coś, żeby zostawiło mnie w spokoju, przynajmniej dopóki tu przebywam. Co właściwie znaczy, że muszę tu zostać, dopóki Molly nie weźmie się w garść.

Brat westchnął z niezadowoleniem i zmrużył oczy, patrząc w stronę słońca, znajdującego się na południe od nas, ale ukrytego za chmurami.

– Lara odezwała się do mnie przez radio.

– I jak?

– Zarówno jej ekipa, jak i ludzie Marcone'a trafili we wskazanych miejscach na odbywające się rytuały. Przerwali je. Ktoś naprawdę chciał rozpierdolić to miejsce.

– Albo coś – poprawiłem, teatralnie unosząc brwi.

Prychnął.

– Żartujesz sobie. Ale nie mogę przestać myśleć, że Fix obarczy cię odpowiedzialnością przynajmniej za część tego, co się wydarzyło ostatniej nocy. Może przybyć, żeby ci to wyjaśnić.

– Jeśli pojawi się tutaj, nic nie zrobi – odparłem cicho. – Mogę go pokonać na neutralnym terenie. Tutaj to nawet nie będzie walka.

– Mimo wszystko. Samotny, tutaj?

– Uważam, że to ważne. Muszę dowiedzieć się więcej na temat tego miejsca i jego możliwości. Jedynym sposobem, by to osiągnąć, jest poświęcenie czasu.

– I nie ma to nic wspólnego ze stawieniem czoła rodzicom Molly.

Zwiesiłem głowę.

– Nie byłoby właściwe, gdybym to ja im powiedział. Molly powinna zdecydować, od kogo się dowiedzą. Jeśli to zrobi, jasne. To będzie naprawdę trudna rozmowa. Aż do tego czasu muszę przebywać tutaj.

– I nie ma to nic wspólnego ze stawieniem czoła Maggie.

Odwróciłem wzrok i spojrzałem na szare wody jeziora.

Fix wiedział o istnieniu Maggie. Gdyby chciał mnie zranić...

– Jest z Michaelem, bo jego domu i rodziny strzeże cała drużyna aniołów. I Superpies. Czy ja mógłbym zapewnić jej prawdziwy dom, stary? Wykształcenie? Prawdziwe życie? Jak będzie wyglądać jej podanie o przyjęcie na uniwersytet: „Wychowana na Nawiedzonej Wyspie przez maga z maturą eksternistyczną, proszę, pomóżcie”? – Pokręciłem głową. – A kiedy Biała Rada dowie się o Molly i tym miejscu, zaczniesz się prawdziwy koszmar. Zamiast trzymać ją blisko siebie, równie dobrze mógłbym wytatuować jej tarczę celowniczą na czole.

– Michael jest fantastyczny. Do diabła, żałuję, że to nie on mnie wychowywał. Ale nie jest jej tatą.

– Uprawiałem seks z jej matką. To nie to samo co bycie jej ojcem.

Thomas pokręcił głową.

– Byłbyś dobrym tatą, Harry. Rozpieszczałbyś ją i jej dogadzał, zawstydzalbyś ją przed przyjaciółmi, ale postępowałbyś wobec niej, jak należy.

– Oto ja. Postępuję wobec niej, jak należy. Na razie. Może pewnego dnia sytuacja się zmieni.

Thomas spojrział na mnie z ukosa, po czym potrząsnął głową.

– Dzieci się zmieniają. W dorosłych. O wiele szybciej, niż powinny. Nie zmarnuj zbyt wiele czasu na decydowanie, jak wiele zmian wystarczy.

Do diabła, przynajmniej w tej kwestii miał rację. Westchnąłem i powoli pokiwałem głową.

– Będę o tym pamiętał.

– Wiem. – Uśmiechnął się do mnie. – Bo nie zamierzam siedzieć cicho.

Przewróciłem oczami i pokiwałem głową.

– W porządku.

Uniosłem pięść do żółwika.

Thomas zignorował ją i uścisnął mnie z całej siły, na co odpowiedziałem podobnie.

– Cieszę się, że wróciłeś – szepnął. – Nieudaczniku.

– I może jeszcze się rozplączesz, mięczaku?

– Do zobaczenia za kilka dni. Dokończymy chatę. Niech to nie będzie miejsce, w którym Maggie musiałyby stać się zmiennokształtną, żeby przetrwać.

– Tylko nie zapomnij o książkach. I pizzy dla gwardii.

– Nie zapomnę. – Puścił mnie i wskoczył na pokład. – Jakies wiadomości?

– Molly. Kiedy wróci, poproś ją, żeby przysłała do mnie Toota i Lacunę. I... powiedz jej, że kiedy będzie gotowa porozmawiać, będę tu na nią czekał.

Thomas pokiwał głową, odwiązał ostatnią cumę i rzucił ją mi. Złapałem ją i zacząłem zwijać. Mój brat wspiał się na mostek i powoli wyprowadził łódź z przystani. Przyspieszyć miał dopiero po opłynięciu kamiennych raf otaczających Demonreach.

Karrin wyszła z kajuty i stanęła na pokładzie. Towarzyszył jej Myszek, który wyglądał na poważnego. Oparła się o ścianę kajuty i wpatrywała we mnie.

Ja też patrzyłem, do chwili gdy jej już nie widziałem.

Nad jeziorem Michigan zadudnił grzmot, rzadkość w listopadzie.

Poprawiłem nowy skórzany płaszcz na ramionach, podniosłem długą, szorstką gałąź, którą przed kilkoma godzinami odciąłem z najstarszego dębu na wyspie, i ruszyłem w górę wzgórza, w stronę dawnej latarni i przyszłej chaty. Czekają mnie przygotowania.

Nadchodziła burza.